

Zanim wyruszysz na polowanie,
upewnij się, że to nie ty jesteś celem...

MARTA ZABOROWSKA

DEBIUTANTKA



CZARNA OWCA

**MARTA
ZABOROWSKA**
DEBIUTANTKA

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Redakcja: Adam Osiński
Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz ART.DESIGN
Zdjęcie na okładce: © iStock
Korekta: Beata Wójcik, Kamila Reclaw
Redaktor prowadzący: Katarzyna Monika Słupska

Copyright© by Marta Zaborowska, 2022
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8252-215-0

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, www.czar-naowca.pl

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ I](#)

[ROZDZIAŁ II](#)

[ROZDZIAŁ III](#)

[ROZDZIAŁ IV](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[ROZDZIAŁ VIII](#)

[ROZDZIAŁ IX](#)

[ROZDZIAŁ X](#)

[ROZDZIAŁ XI](#)

[ROZDZIAŁ XII](#)

[ROZDZIAŁ XIII](#)

[ROZDZIAŁ XIV](#)

[ROZDZIAŁ XV](#)

[ROZDZIAŁ XVI](#)

PROLOG

Nie mogła wiedzieć, że las potrafi być tak bardzo ciemny. Hebanowy. Smolisty. Dotarło to do niej o wiele za późno, gdy była już zbyt daleko, by zawrócić. Biegła więc dalej, na oślep, z rękami wyciągniętymi przed siebie, jakby chciała rozpruć nimi czarną płachtę mroku i wpuścić choćby odrobinę światła księżyca. Daremnie. Blask sączący się przez chmury omiatał jedynie wierzchołki drzew, nie docierając nawet do połowy chropowatych pni.

Gąszcz wciągał ją w swój bezkres coraz głębiej, zamykając za jej plecami drzwi z ostrych gałęzi. Rozdzierały białą nocną koszulę na wątlých ramionach i raniły łydki. Nie czuła ani bólu, ani tego, że nocna wydzielina drzew oblepia jej skórę. Nie czuła nic poza strachem.

Dobry Boże, którą teraz...

Dusiło ją w piersiach, ale nie przestawała biec. Co parę chwil coś z piskiem przelatywało nad jej głową i wzbijało się wysoko, po czym piko- wało między sosny. To tylko polujące nietoperze, nie ma się czego bać, uspokajała samą siebie. Gdyby mogła, tak jak one, wzbić się i zobaczyć z góry jakąś drogę, jakiś dom.

Nic poza czarną ścianą pni.

Kolejna gałąź i kolejne ostre igliwie, które wbiło się w stopę. To wszystko nieważne, musi biec. Odgarnęła z twarzy lepka pajęczynę, która przywarła do policzków i rzęs.

Którędy, którą...

Wyteżyła wzrok, szukając choćby najmniejszego śladu ścieżki, wąskiego przesmyku, który mógłby zaprowadzić ją w bezpieczne miejsce.

Wszędzie ciemność.

Przystanąła tylko na chwilę, by nie umrzeć ze zmęczenia. Serce dudniło jej w piersiach, a płuca zdawały się rozpadać na milion kawałków. Oparła się plecami o drzewo i jęknęła. Najciszej, jak tylko mogła.

Wdech.

Wydech.

Wdech.

Jeszcze chwila, zaraz znowu ruszy. Nie powinna przystawać. Oblepione żywicą, przepocone ciało zdążyło już przyciągnąć owady. Czuła, jak jej skóra puchnie od dziesiątków ukąszeń. Nie może o tym myśleć. To wszystko minie.

Musi biec.

Ostatni oddech.

Oderwała się od drzewa i schyliła, by przejść pod powalonym konarem. Naprzód, naprzód! Ten las musi się wreszcie skończyć. Tylko czy nie zboczyła, gdy upadła i straciła na moment orientację? Nic nie widać, dokąd teraz...

To światło tam migocze? Jeszcze daleko, jakieś trzysta metrów, ale widać je wyraźnie. Dotrze tam i ocaleje.

Szybciej, szybciej!

Tam są ludzie. Pomogą jej. Nie zostawią na pastwę losu.

Nadstawiała uszu. Coś słychać, coraz wyraźniej, ale to nie ludzie. Echo niesie z innej strony.

Wycie, wściekłe ujadanie. Po puszczy szwendają się wilki, słyszała o tym. Mają młode, które muszą jeść. Potrzebują mięsa. Głupia była, że nie przewidziała tego. Za bardzo się śpieszyła. Zresztą, jaki miała wybór? Mogła czekać na śmierć w tamtym okropnym miejscu lub zaryzykować i puścić się biegiem w ciemność, kiedy tylko nadarzyła się ku temu okazja. Teraz to już nieważne. Jest za późno, by to roztrząsać. Odgłosy są coraz bliżej i coraz wyraźniej słychać dyszenie. Niecierpliwe, podniecone, jak na polowaniu.

Powoli zaczynało do niej docierać, że nie chodzi o sarnę ani inną zwierzynę. To ona jest celem.

To jest polowanie na nią.

ROZDZIAŁ I

Julia zatrzasnęła za córką i rodzicami drzwi pociągu relacji Warszawa–Zakopane i odsunęła się od torów. Podeszła pod okno ich przedziału i nakazała Sylwii je otworzyć.

– Baw się dobrze. Ale nie tak dobrze, żebym musiała interweniować! – zawołała, grożąc palcem.

Sylwia potrząsnęła grzywką zabarwioną fioletowym sprejem.

– Trochę zaufania, mamó. Nie jestem dzieckiem.

– Pamiętaj, żeby codziennie wysyłać mi wiadomość i zdjęcie z gór. Składane kijki są w dużej walizce, a inhalator w plecaku. Nie zgub!

– Spokojna głowa. Kijki i inhalator – powtórzyła Sylwia.

– I daj znać, jak tylko dojedziecie. Powinniście być na miejscu o ósmej rano.

Widziała, jak na tyłach przedziału ojciec układa bagaże na górnych półkach, a matka wyjmuje prowiant i termos, a zaraz potem pompowane poduszki do spania. Decyzję o wyjeździe podjęli trzy dni temu. Ukochanej wnuczce należał się wypoczynek w zamian za przejście do kolejnej klasy. Świadectwo było co prawda bez paska, ale ważne, że zakończyła rok szkolny bez poprawek. Jej zachowanie wychowawczynie określiła jako poprawne, co i tak, biorąc pod uwagę liczbę uwag w e-dzienniczku, Julia uznała za sukces.

Mały pensjonat na obrzeżach Zakopanego już na nich czekał. Podobnie jak oscypki na Krupówkach i biały niedźwiedź na Gubałówce.

Pociąg ruszył planowo, gdy tylko tablica świetlna pokazała 22.45. Cała trójka wychyliła się przez okno i pomachała Julii na odjazd.

Dwa tygodnie spokoju i odpoczynku.

Na samą myśl o ciszy panującej w domu zrobiło jej się błogo. Miała zamiar jedynie czytać książki i oglądać filmy. Może uda się jeszcze zmienić ten koszmary zielony kolor ścian w sypialni Sylwii i wyskoczyć w ramach nagrody na dobry tajski masaż.

Wbiegła po schodach na poziom zero i skierowała się na parking. Zapaliła silnik w skodzie i włączyła radio.

W centralnej części kraju po ostatnich opadach deszczu spodziewany jest wzrost temperatury nawet do trzydziestu jeden stopni. Na południu czyste niebo, jedynie w weekend należy spodziewać się zachmurzenia i umiarkowanych opadów deszczu. W Wielkopolsce zapowiadane jest...

Przebiegła Aleje Jerozolimskie i wjechała w Emilii Plater. Minęła stare kamienice i kilka kawiarenek, przy których stały stoliki z tłącymi się latarnkami. Lato rozpieszczało napęczniałymi od zieleni drzewami, pod którymi przystawali grupkami młodzi ludzie albo spacerowicze z psami.

Dwa tygodnie raj.

Julia uśmiechnęła się na tę myśl i z zadowoleniem zakręciła palcami młynka na kierownicy. Dawno nie była taka rozluźniona. Nie wcisnęła klaksonu nawet wtedy, gdy na rogu z Wilczą jakiś chłopak ze słuchawkami na uszach niemal wlaźł jej pod koła. Przepuściła go, wykonując miękki ruch ręką, i już miała ruszyć, kiedy usłyszała sygnał policyjnej syreny.

Obróciła głowę w lewo i zobaczyła, jak radiowóz podjeżdża właśnie przed jedną z kamienic, a następnie podskakuje, parkując częściowo na krawężniku. Nie miała pewności, czy w półmroku wzrok jej nie zwodzi, ale wydało jej się, że jedna z wysiadających z auta osób ma na sobie znajomą bluzę Abercrombie. Wrzuciła wsteczny bieg i cofnęła się o kilka metrów, by swobodnie wykręcić w Wilczą. Stanęła tuż za radiowozem i wyłączyła silnik.

Teraz miała już pewność, że to Górny. Podszedł do klatki schodowej i czekającego tam mężczyzny, który wyglądał na zniecierpliwionego i spiętego. Ręce mu się trzęsły, gdy wyjmował z kieszeni spodni składany portfel. Machnął Górnemu przed nosem dowodem osobistym i jeszcze jakimś dokumentem. Musiał być do niego bardzo przywiązany, bo nie miał zamiaru wypuścić go z dłoni. Okazany kwit nie zrobił na Górnym wielkiego wrażenia. Rzucił jedynie okiem, by spisać dane, po czym nakazał mężczyźnie schować oba dokumenty, a potem podszedł do drzwi wejściowych kamienicy i wcisnął guzik domofonu.

Julia trzasnęła drzwiami skody i ruszyła w ich kierunku. Górny, słysząc kroki za plecami, obrócił się odruchowo.

– Co tu robisz? Nieważne, zaczekaj. – Zatrzymał ją gestem dłoni, nim zdążyła podejść bliżej.

Podeszła znowu do skody i oparła się plecami o drzwi. Obserwowała, jak Górny wraca z niczym sprzed klatki i ponownie wdaje się w dyskusję z mężczyzną, który gestykuluje zaciekle przed jego twarzą. W końcu przestał. Zwiesił ręce i zaczął szukać czegoś po kieszeniach. Fajki. Lepsze od Nervosolu. Kilkakrotnie próbował zapalić papierosa, jednak za każdym razem zapalka łamała się, gdy pocierał nią o draskę. Górny podsunął mu w końcu zapalniczkę i wskazał ławkę pod oknami kamienicy. Miał czekać.

– Co się dzieje? – spytała Julia, gdy w końcu do niej podszedł, zostawiając mężczyznę samego. – Jakaś domowa szarpanina? Właśnie przejeżdżałam i zobaczyłam, że jest akcja.

Górny wskazał ruchem głowy na mężczyznę.

– Ten gość w garniturze od kilku miesięcy szuka swojej córki. Uciekła z domu na początku marca i od tamtej pory odezwała się tylko dwa razy, i to do siostry.

– Coś zaniepokoiło rodzinę?

– Niby nie, nie sprawiała wrażenia, że dzieje się jej krzywda. Ale ta rozmowa odbyła się pod koniec kwietnia i potem kontakt już całkiem się urwał. Ktoś ją tu widział, więc ojciec dziewczyny zażądał naszej interwencji. Podobno zakotwiczyła się w tej kamienicy.

– Facet chce odzyskać małą córkę, nie ma w tym nic dziwnego.

– Nie taką znowu małą. Panna ma osiemnaście lat.

– Zatem ma prawo robić po swojemu. Może wraz z otrzymaniem dowodu osobistego zamarzyło jej się żyć na własny rachunek, zarabiać i utrzymywać za własne pieniądze. Niejeden ojciec by się z tego ucieszył.

– Ale nie ten. Ten chce ją z powrotem.

– Obawiam się, że jest na straconej pozycji. Ten, jak mu tam...

– Lewicki.

– Lewicki powinien przyjąć do wiadomości, że epoka patriarchy dawno się skończyła. Jedyne, co możesz zrobić, to sprawdzić, czy dziewczynie nic nie grozi. Przypuszczalnie ich wzajemne relacje to jeden wielki bajzel, więc jeśli ona nie ma ochoty na kontakty z ojcem, do niczego jej nie zmusi. Jak wspomniałeś, jest dorosła.

– Problem w tym, że w chwili zniknięcia nie była.

- I nie pofatygował się wtedy na policję?
- Wolał nie robić sensacji. To grubsza sprawa.

Julia przyjrzała się Górnemu z ciekawością. Miała za sobą wiele spraw o zaginięcie, ale nie słyszała jeszcze, by osobie, której ginie dziecko, zależało na dyskrecji.

– Ludzie robią raban, kiedy znika im pies, a co dopiero córka – zauważyła.

– Nie wiesz wszystkiego. – Adam zerknął kątem oka na mężczyznę. – W każdym razie ograniczył się do wstawienia zdjęcia dziewczyny na stronie o zaginionych młodocianych. Jeden z mieszkańców tej kamienicy zajrzał tam, bo sam akurat szuka bratanka, i zobaczył ogłoszenie. Przypomniał sobie, że natknął się na tę dziewczynę parę razy na klatce schodowej. Zawsze późnym wieczorem, kiedy wracał z drugiej zmiany. Zadzwoił więc i teraz Lewicki waruje tu od dwóch godzin. Domofon w jej mieszkaniu nie odpowiada. Mieszkańcy nie chcieli go wpuścić na klatkę schodową, bo obcy.

Julia przesunęła wzrokiem po oknach kamienicy. W większości były ciemne, tylko gdzieś palila się żarówka.

– Gdyby dziewczyna chciała się z nim spotkać, zesłaby już dawno temu. Cały blok patrzy zza firanek na tę policyjną dyskotekę, więc chyba nie masz wątpliwości, że ona też zdążyła już ją zauważyć.

Spojrzeli na jednego z towarzyszących Górnemu funkcjonariuszy, który zaczął z kimś dyskusję przez domofon.

– Na klatkę wejdziecie, tylko co potem? – Julia wzruszyła ramionami. – Wyważycie drzwi? Szkoda tego Lewickiego, kimkolwiek jest, ale według mnie jego córka już podjęła decyzję.

Górny wsunął dłonie w kieszenie spodni.

– Idź i mu to powiedz. Pofilozofuj o trudnej młodzieży i o tym, że patriariat to przeżytek. Powinien zrozumieć, bo głupi nie jest. Tylko załamany. Możesz przy okazji napomknąć, że za wprowadzanie organów ścigania w błąd grozi mu półtora kafla grzywny albo areszt. Facet ledwie się ławki trzyma, ale wyrzuć to z siebie. Dobij człowieka.

– A tak konkretnie to za co niby ta grzywna?

– Lewicki twierdzi, że dziewczyna została zmanipulowana i jest tu przetrzymywana wbrew własnej woli.

– Że niby wpadła w macki jakiejś szemranej sekty? – Julia zmarszczyła brwi. – Mało prawdopodobne. Sekciarze nie bunkrują się w centrum miasta.

Mają do tego porzucone chaty na wsiach. Komuna rządzi się wolnością i nie wdycha smrodu spalin. Poza tym w takiej kamienicy wystarczy głośniej krzyknąć przez ścianę o pomoc.

– Właśnie o tym mówię. Być może Lewicki odgrywa tu jakiś teatrzyk. Według drugiej z jego córek, tej od telefonicznych połączeń, ta cała obława to tylko bezzasadna pokazówka. Lewicki próbował ją tu ściągnąć, żeby przekonała siostrę do wyjścia, ale odmówiła.

Julia wyjrzała zza ramienia Górnego i zatrzymała wzrok na mężczyźnie. Siedział pochylony, z szeroko rozstawionymi kolanami, na których opierał łokcie. W palcach trzymał tłącego się papierosa, ale nie palił, pozwalając bibułce spopielać się milimetr po milimetrze.

– Na moje oko dziewczyna związała, bo miała dość życia w gołębim puchu – stwierdził Górny. – Rodzina jest ustawiona, facet to polityk. Żyje na świeczniku.

– Jak wysoki jest ten świecznik?

– Wystarczająco, żeby nie chcieć jazgotu wokół swoich bliskich.

– Jazgot w przypadku zaginięć zazwyczaj pomaga.

– To twoja perspektywa, Julia. Lewicki to prawicowy działacz. Poglądy fundamentalne, czystość przedślubna, wycieczki do Lichenia i tak dalej. Dziewczynie takie życie zapewne stawało kością w gardle, więc gdyby przyszło do publicznego prania rodzinnych brudów, kilka z nich mogłoby wypłynąć na powierzchnię. Nie każdy lubi tracić twarz w takich okolicznościach.

– Młodych bardziej ciągnie do życiowej kaskaderki niż do konserwatyzmu, i z tym nie ma co dyskutować. Wyświadczę ci przysługę. Wejdę na górę i z nią porozmawiam. Nie chce gadać z wami, ale może mnie się uda do niej dotrzeć.

– Liczysz na solidarność jajników?

– Na niepisany pakt o kobiecej nieagresji. To jeszcze dzieciak, może po prostu potrzebuje się wyzalić i wybeczeć. Ojca trzymaj z daleka od drzwi mieszkania, tych dwóch gliniarzy też. Na ich widok dziewczyna może spanikować. Zabunkruje się i tyle ją zobaczycie. O ile w ogóle tam jest.

Widziała, że Górny się waha. Może bił się z myślami, czy aby nie powinien umyć od tej sprawy rąk i przekazać jej obyczajówce. Albo nie chciał dopuścić Julii do konfrontacji z rodziną Lewickich. W końcu miało być dyskretnie i bez szumu.

– Nic na siłę – powiedziała Julia, zgadując, że nic tu po niej. – Na pewno świetnie to wszystko ogarniesz. Spokojnej nocy, Górny. Wracam do siebie, do wanny z bąbelkami i miękkiego łóżka.

Zabrzęczała kluczykami i odeszła w stronę skody. Nie zdążyła otworzyć drzwi, kiedy Lewicki stanął za jej plecami.

– Słyszałem, co pani mówiła. Jeśli uważa pani, że jest inny sposób, by dotrzeć do Sary, aniżeli za pomocą policji, to...

Obróciła się i spojrzała w stalowoszare oczy mężczyzny. Były zmęczone, jakby nie spał od tygodni. Zapewne tak właśnie było. Trudno się zasypia ze świadomością, że w pokoju za ścianą brakuje jednego członka rodziny.

– Sara. Piękne biblijne imię. – Uśmiechnęła się ciepło.

– Sam je dla niej wybrałem. Chciałem, by była silna i oddana Bogu.

– „Będę jej błogosławił tak, że stanie się ona matką ludów i królowie będą jej potomkami”. Tak to brzmiało?

– Mniej więcej. Księga Rodzaju.

– Wiem.

Skinął z uznaniem głową, odwzajemniając uśmiech. Nawet jakby się bardziej wyprostował. Kiedy siedział przykulony z papierosem w dłoni, nie zwróciła uwagi na jego wygląd. W mdłym świetle ulicznej latarni trudno dostrzec szczegóły, wydawał się tylko beżową plamą. Teraz widziała go dokładnie. Wysoki, ubrany w markowe ciuchy i modne mokasyny pasujące odcieniem do reszty. To jednak nie był beż, lecz taupe, bardziej szlachetny odcień. Idealny na letni wieczór.

– Moje nazwisko Lewicki – powiedział, zgadując, że Julia próbuje skarżyć jego rysy.

Łukasz Lewicki, polityk optujący za ochroną katolickich rodzin, zagrozały lobbysta moralności. Już rozpoznała tę twarz. Jakiś czas temu sprawa Lewickiego przewijała się przez nagłówki internetowych artykułów. Chodziło o jakiś skandal, ale nie pamiętała szczegółów.

– Julia Krawiec. – Wyciągnęła do niego rękę. – Mogę spróbować porozmawiać z pańską córką, ale... w takich sprawach radziłabym skorzystać z pomocy specjalisty.

– Negocjatora? – Mężczyzna uniósł brwi.

– Bynajmniej. Negocjacje z dorosłymi dziećmi to sprawa z góry przegrana. Chodziło mi raczej o dobrego psychologa. Jeśli rozumiem sytuację, córka nie chce w ogóle z panem rozmawiać, a pan nie ma pojęcia dlaczego.

– Zapomniała, kim jest. Pogubiła się. Ktoś namącił jej w głowie i odeszła z domu bez słowa. Sara jest taka... pokorna. Takie jak ona najłatwiej skrzywdzić.

– A pan chce tylko jej dobra.

– Jak każdy ojciec. To moje ukochane dziecko. Niby wszystkie dzieci kocha się tak samo, a mimo to... Niech ją pani stamtąd wyciągnie, może pani posłucha.

Górny nie wydawał się zachwycony, kiedy wrócili przed drzwi klatki schodowej.

– Mieszkanie na parterze, to z zaciągniętymi zasłonami. – Lewicki wskazał palcem na okno.

Mimo ciepłego wieczoru pozostawało zamknięte. Jednak w środku ktoś był. W pokoju paliła się lampa, wąska przerwa między szkarłatnymi starami wypuszczała na zewnątrz cienki pasek przygaszonego światła.

Jeden z policjantów już od dłuższej chwili stał w progu otwartej klatki schodowej. Julia wbiegła po stopniach i stanęła przed masywnymi drzwiami w ciemnobrązowym kolorze. Po naciśnięciu dzwonka odpowiedziała jej cisza. Zapukała. W przedpokoju coś się poruszyło, jednak nikt nie podchodził do wejścia.

– Saro? – zawołała. – Otwórz, chcę pogadać. – Załomotała ponownie i szarpnęła za klamkę. – Wejdę sama, obiecuję.

Znów usłyszała jedynie szmer dobiegający z wnętrza mieszkania.

Stojący na dole klatki schodowej Górny pokręcił głową z rezygnacją.

– Masz swój pakt o nieagresji.

– Sprawdziliście, do kogo należy ten lokal? – zapytała Julia, widząc, że nie ma tabliczki z nazwiskiem. W starych blokach i kamienicach wciąż można było takie spotkać. Zwłaszcza ludzie w podeszłym wieku nie pozbywali się ich z sentymentu do dawnych czasów, gdy były normą.

Górny nie zdążył zareagować, kiedy dobiegł ich dźwięk otwierania drzwi po drugiej stronie korytarza. Stanął w nich pękaty mężczyzna po sześćdziesiątce z nieumiejętnie przytwierdzonym do głowy czarnym tupe-tem, ubrany w rozciągnięte spodnie od dresu i pomarańczową bluzę z dekoltem.

– Ja państwu powiem, co się tam dzieje – odezwał się, robiąc krok do przodu. – Zwłaszcza po nocach. Drzwi to się tutaj nie zamykają – dodał rozwleknie i na tyle znaczącym tonem, by wszyscy dobrze go zrozumieli. – Mieszkanie jest wynajmowane, odkąd jego właściciel dwa lata temu wyje-

chał do Japonii. Nie był tu ani razu, więc nie ma pojęcia, że Sodoma i Gomora...

Julia odniosła wrażenie, że cokolwiek dzieje się za drzwiami mieszkania, facet z peruką musi bardzo cierpieć, że nie bierze w tym udziału.

– Po prostu rozwalcie te drzwi i wymiećcie stąd to towarzystwo – odpowiedział Tupet, poprawiając ręką spodnie w kroku. – Wstyd na całą kamienicę. W końcu z policji jesteście, stróżę prawa, nie? No, na co czekacie?

Julia podeszła do niego i wskazała ruchem głowy przedpokój.

– Lepiej będzie, jeśli wróci pan do siebie. Życzę spokojnej nocy.

Odczekała, aż za mężczyzną szczękną zamki, i wróciła pod ciężkie drzwi.

– Nie odejdę stąd bez córki – odezwał się Lewicki. – Cokolwiek się dzieje za tą ścianą, zabiorę ją stąd. Jeszcze dziś zaśnie w swoim łóżku, a jutro usiądzie z całą rodziną przy stole i będzie zdmuchiwać świece na urodzinowym torcie.

– Jutro? – zaciekała się Julia.

Kiwnął od niechcenia głową.

– Zatem wciąż jest nieletnia. Tupet miał rację, trzeba rozwalić drzwi. Masz powód, Górny, żeby wejść tam siłą. Pan, panie Lewicki, zostaje na dole – zaznaczyła.

Pod drzwi ktoś podszedł. Usłyszała przekręcany od środka zamek.

W progu stanęła około trzydziestoletnia kobieta, szczupła, o czarnych włosach związanych w ciasny warkocz sięgający pasa. Ubrana w spodnie moro i sportowy podkoszulek z błyszczącymi literami układającymi się w napis „sexy lady”. Sexy były też grube ciemne brwi i różowa pomadka na wypełnionych ponad miarę ustach.

– Wszystko słyszałam – powiedziała, opierając się o futrynę. – Staruch łąże, aż mu dym uszami idzie. Więc dla jasności, bo nie chcę mieć problemów z władzą: prowadzę prywatny salon sportowy. Dla VIP-ów, ma się rozumieć, dlatego to chyba jasne, że przychodzą o różnych porach. Bywa, że i o północy, w końcu miasto nie śpi. – Poruszyła dwukrotnie brwiami. –

Za to staruch już powinien, zamiast wisieć na judaszu. A ta smarkata, co o nią ten cały cyrk przed oknami... mówiła, że skończyła dwudziestkę. Inaczej bym jej tu nie wpuściła. I żeby była jasność: do niczego jej nie zmuszałam. Sama chciała.

Górny stał już za Julią.

– Salon sportowy – powiedział z przekąsem. – A Lewicka pracowała zapewne na recepcji. Zapisy robiła.

– Powiedzmy.

– To pani mieszkanie?

– Moje. Staruch z naprzeciwka gówno wie. Kupiłam je sobie od Japońca na Gwiazdkę. Taki prezent za ciężką pracę.

– A pani to?

– Angelina Jolie. Nie widać? – Dziewczyna machnęła warkoczem.

– Widać – przyznał Górny. – Dokumenty pani poproszę.

Wyjęła z wiszącej w przedpokoju torby portfel i podała mu dowód osobisty wystawiony na nazwisko Andżeliki Wasiak.

– Gdzie jest dziewczyna?

Wasiak wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, nie najęłam się na jej niańkę.

– Od kiedy tu mieszka?

– Proponuję inaczej zadać pytanie: od kiedy tu nie mieszka. Od kilku tygodni. Zaraz, niech pomyślę. No, będzie ze dwa miesiące, jak się zwinęła razem ze swoimi klamotami. Krzyżyk jej na drogę.

– Rozejrzemy się, jeśli to nie kłopot.

– Żaden, byle szybko, bo grafik mam napięty. Po dziewczynie nie ma śladu, nie znajdziecie nawet włosa. A co do starucha, to powtórzę: pieprzy jak potłuczony. Działam dyskretnie i żadne balangi tu nie odchodzą. Jeśli coś słyhać, to od wysiłku. Ludziom zdarza się jęknąć. Co za typ... Pewnie znów macał się po rozporku, zbok jeden. Manię ma jakąś. W jego wieku rozglądałabym się raczej za trumną, a nie fantazjowała! – krzyknęła w stronę drzwi naprzeciwko. – No to jak, wchodzicie?

Przedpokój z wbudowanymi w ścianę szafami o lustrzanych frontach rozdzielał się na dwa pokoje, kuchnię i łazienkę. Julia pchnęła pierwsze drzwi po prawej.

Pokój, jak przystało na starą kamienicę, był okazały. Zwykle w takich murach pomieszczenia mają metraż dwóch izb z klasycznego bloku – tutaj też tak było. Wysokość pomieszczenia także imponowała. Trzy metry, może nawet z górką. Nie to jednak przykuło uwagę Julii. Dwie ściany wyłożone były lustrami, a między nimi znajdował się płaski podest z wbitą weń metalową rurką, której drugi koniec zamocowano przy suficie. Wokół podestu ustawione były w czworobok długie kanapy obite czarną skórą.

– Pole dance? – Julia weszła na podest i pociągnęła za rurkę. – Dobra rzecz, ostatnio w trendach. Wystarczy mieć trochę mięśni w udach.

Kobieta puściła do niej oko.

– Mocne uda to podstawa. Widzę, że się pani zna. Polecam spróbować.

– O niczym innym nie marzę – odparła Julia, widząc szatański uśmiešek Górnego. – A to – wskazała na kanapy – przebieralnia czy widownia?

Nie miała wątpliwości, że znalazła się w centrum rozrywki. Brakowało tylko leżącego gdzieś zwitka banknotu, przeoczonego przez sprzątaczkę. Podłoga była jednak idealnie wyczyszczona, podobnie jak dywan, który dodatkowo musiał być świeżo po odkurzaniu. Czerwony włos układał się idealnie w jedną stronę.

Lokal gotowy na przyjęcie VIP-ów, pomyślała Julia, po czym przeniosła wzrok na stojący pod oknem barek-komodę. Lśnił czernią lakierowaną na wysoki połysk. Ustawione na nim kieliszki, odwrócone denkami do góry, błyszczały w mdłym świetle podsufitowej listwy ledowej.

– Miło tu – przyznała Julia. – Aż się nie chce wychodzić.

Otworzyła drzwi barku. Liczba butelek rudego bourbona i whisky zawstydziliby niejedną uliczną knajpę.

– Coraz milej – zauważyła z uznaniem.

Kobieta tylko wzruszyła ramionami.

– Dla rozluźnienia po wysiłku. Jedni wolą energetyki, inni procenty.

– A jeszcze inni próbują zrobić z nas idiotów. Wiedziałeś, Górny, że tak teraz wyglądają sale treningowe?

Adam skrzyżował ręce na piersiach.

– Najwyraźniej coś mnie ominęło. Zastanawiam się, co czeka nas za kolejnymi drzwiami.

– Obstawiam, że orbitrek, ławka do ćwiczeń i rower – odparła z rezonem Julia. – Przecież pani powiedziała wyraźnie, że chodzi o gimnastykę.

Julia wyminęła ją i pchnęła drzwi do drugiego pokoju. Był bardziej wypoczynkowy niż sportowy. Niemal całą jego przestrzeń zajmowało wysokie łóżko z metalowym, ażurowym wezgłowie i mięsistym materacem. W jego nogach leżała złożona pikowana narzuta w karminowym kolorze. Pod ścianą stała przeszklona gablota.

– Liny, metalowe zapięcia i łańcuchy – mruknął Górny, zaglądając przez szybę. – Prawdziwa świątynia sportu.

Ukucnął i przyjrzał się, co stoi na niższej półce. Żele w różowych i niebieskich butelkach.

– To dla lepszego poślizgu? – zapytał na widok napisu „Back door”. – Domyślam się, że goście wylewają tu litry potu. A teraz do rzeczy. Sara Lewicka. Co tu robiła?

Wasiak najpierw poprawiła narzutę na łóżku, wyglądając zagięcie, po czym usiadła na jego brzegu.

– Pan władza pyta serio? Mam to wyrazić explicite? – spytała niewinnie, gładząc palcami biel materaca. – A co niby może robić ładna młoda dziewczyna w takim miejscu? Sara dawała ludziom szczęście. To chciał pan usłyszeć?

Zapakowanie Andzeliki Wasiak do radiowozu zajęło Górnemu zaledwie kilka minut. Kobieta poprosiła jedynie o czas, by odwołać umówionych klientów, a potem ze spokojem wsiadła ze swoją torbą LV do auta.

– Jak nic dostanie dziesięć lat za stręczycielstwo. – Adam trzasnął za nią drzwiami.

– Najpierw musisz jej udowodnić, że zmuszała Lewicką do prostytucji – odparła Julia. – A na to nie masz żadnych dowodów. Kasy fiskalnej w mieszkaniu Wasiak jakoś nie zauważyłam. Poza tym Sara mogła pracować na własny rachunek, a pokój tylko wynajmowała.

– Musiałaby spać na materacu w kuchni, bo przecież nie w głównej łóżki ani w pokoju wspinaczkowym – zdiagnozował Górny. – Wezmę tę gwiazdę fitnessu na magiel, to może wyśpiewa coś więcej. Przez to zamieszanie zapomniałem spytać, co u ciebie. Odwiozłaś rodzinę na stację?

Julia kiwnęła głową. Zgodnie z rozkładem PKP Sylwia z dziadkami powinni właśnie mijać Żyrardów.

– Przede mną dwa tygodnie nic-nie-ro-bie-nia. Już zapomniałam, jak to jest. Jutro zamierzam spać do dziesiątej, i ani minuty krócej.

– Może mógłbym...

– Najpierw załatw sprawę z Wasiak.

Odeszła do swojego auta i przekręciła kluczyk w stacyjce. Chciała jak najszybciej wrócić do mieszkania i pozbierać z podłogi porzucane przy pakowaniu ubrania Sylwii. Potem czekała na nią już tylko radość z dopiero co odzyskanej wolności.

ROZDZIAŁ II

Nie podchodź, Muniek. – Mężczyzna w garniturze i gumowcach wysokich do kolan zagroził synowi ręką dostęp do czegoś, co leżało między drzewami. – Z daleka stój i patrz, czy kto nie idzie. Psa trzymaj.

Dwudziestoletni brunet z tunelami w uszach i meszkiem nad górną wargą odebrał smycz z szarpiącym się bassetem i przyciągnął go do siebie. Stanął pod drzewem i bacznie obserwował, jak ojciec schyla się po leżącą nieopodal gałąź, a następnie rozgarnia jej końcem zalegające na ziemi igliwie i suche liście.

– To na pewno było tu?

Muniek kiwnął głową.

– Co ja, lasu nie znam? Na sto procent. Trafiłbym w to miejsce z zawiązanymi oczami.

Mężczyzna zaklął niewyraźnie pod nosem.

– Jakby mało mi było kłopotów – warknął. – Nie podchodź, mówię!

Nie musiał skrobać kijem długo. Spod cienkiej warstwy runa szybko odsłoniły się kości dłoni z małym pierścionkiem na środkowym palcu. Mężczyzna splunął na bok, po czym wbił patyk w ziemię. Kiedy spod runa wyjrzały kolejne gnaty, zaklął plugawo.

– Nie takiego widoku się spodziewałem – dodał przez zęby.

Muniek, mimo zakazu, zrobił krok w kierunku ciała.

– Co z tym zrobimy? – spytał.

Ojciec splunął po raz drugi.

– Trzeba to jakoś załatwić.

– Po pierwsze, żadnych glin i żadnego syfu. Po drugie...

– Zamknij się i daj pomyśleć. – Mężczyzna zamachnął się i cisnął kij w krzaki. – I ucisz tego kundla, bo zaraz ściągnie tu połowę wsi!

Muniek przykucnął obok psa i zacisnął mu dłoń na pysku.

– Rwie się, bo czuje trupa. Smród czuje.

– Co ma nie czuć, to pies przecież! Po chuj go brałeś?! Jazgocze jak opętany.

– Suka jest rozplodowa, potrzebuje ruchu. Sam mówiłeś, że jak obrośnie tłuszczem, to będziemy mogli zapomnieć o handlu szczeniakami.

– Sam jesteś szczeniak. Idiotę wychowałem. Ile jeszcze razy mam cię kryć, co, durniu?!

Muniek poczuł ucisk w żołądku i złapał jeszcze mocniej za psi pysk. Jazgot basseta natychmiast zamienił się w pisk bólu.

– W takim razie dzwoń – syknął do ojca. – Powiadom gliny. Niech zrobią smród wokół naszej rodziny i twojego stołka. Zaryzykuj, na rok przed reelekcją. To świetna okazja, by się przekonać, czy twoi wyborcy zagłosują na ciebie ponownie. Może uwierzą, że sołtys Bugaj znalazł trupa przypadkiem. W końcu jesteś wzorowym obywatelem i ich wieloletnim dobroczyńcą. Skoro zagłosowali raz, zagłosują i drugi. No chyba że nie. Co jest, dlaczego nie dzwonisz?

Starszy mężczyzna sięgnął po ukrytą w wewnętrznej kieszeni marynarki piersiówkę. Odkręcił korek i pociągnął kilka łyków żołądkowej. Łamał się, Muniek widział to wyraźnie.

– Może gdyby była stąd. – Chłopak chłodno spojrzał na wystającą spod igliwia pozostałość po ludzkiej ręce. – Ale nie była. To obca, nikt z naszych jej nie szukał. Leży tu tak długo, że niewiele z niej zostało. Sam widzisz, że tylko kości sterczą. Gdyby jednak ktoś się na nią natknął, będziemy mieć bezpieczną wersję: zabłądziła w lesie i trafiła na wilki. Każdy miejscowy wie, że wyją nocami, aż się echo niesie po wsi. Pech chciał, że ją dopadły, a potem ogryzły z mięsa.

Sołtys otarł rękawem usta i schował piersiówkę z powrotem do kieszeni.

– Wolałbym, żeby zeżarły ją razem z gnatami. Nie byłoby wtedy problemu.

– Nie będzie, ojciec. Ta dziewczyna znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze – mówił z przekonaniem Muniek. – A w puszczy o nieszczęście nietrudno.

– Taa... w puszczy... – Antoni Bugaj po raz kolejny strzyknął śliną przez zęby. – To co, ma tu tak dalej gnić?

– Zgniła wiele miesięcy temu. Szkielet tylko został. Ale spokojnie, nie zostawimy jej tak, w końcu jesteśmy ludźmi. Urządzimy jej prawdziwy

pogrzeb. We dwóch. Zdrowaśkę zmówimy i będzie cacy.

Wzrok Bugaja znowu spoczął na szczątkach.

– Wrócimy po zmroku z łopatami i zakopimy ją, jak należy – powiedział. – A teraz obłożmy ją dokładnie liśćmi. W jednym przyznam ci rację, synu. Szkoda tracić kolejną kadencję przez trupa. Ja będę milczał, ale ty też musisz. Gęba w kubek.

Chłopak rozciągnął usta w uśmiechu.

– Widzę, że znowu się rozumiemy.

– I nie zapomnij zabrać ze sobą na wieczór scyzoryka. Jeśli kiedykolwiek ktoś trafi na te kości, lepiej, żeby miały na sobie ślady po wilczych zębach.

* * *

Julia kończyła poranną toaletę, kiedy zadźwięczał dzwonek u drzwi. Wypłukała usta z miętowej pasty i poszła przekręcić zamek. Górny stał na wycieracze z dwoma kubkami kawy ze Starbucksa i pudełkiem słodkich rogalików.

– Nie dałem rady wczoraj – wyjaśnił w progu. – Trzymaliśmy z Szymańskim tę Wasiak do drugiej nad ranem, a potem pojechałem prosto do siebie. Nie miałabyś ze mnie pożytku, choćbyś nawet zatańczyła przede mną kanкана.

Wzięła od niego jeden z kubków i zanurzyła usta w pachnącej kawie.

– Boska – powiedziała, mrużąc oczy. – Mógłbyś mi tak robić codziennie. Może wtedy zainwestowałabym w dobre kabaretki. Czego się dowiedziałeś od Angeliny?

Górny przysiadł na obrotowym stołku i wgryzł się w waniliowy rogalik.

– Niewiele. Tak naprawdę mało się znała z tą Lewicką. Dziewczyna nie była wylewnym typem. Nie szukała przyjaźni, tylko pieniędzy. Chciała zarobić parę stówek dziennie, i właściwie tylko to ją interesowało.

– Zatem łączyła je miłość do forsy i wspólny lokal. Wbrew pozorom to całkiem sporo. Zaryzykowałabym stwierdzenie, że większość związków bazuje na takim układzie przez całe dekady.

– Ich związek przetrwał tylko dwa miesiące. Wasiak brała od niej forszę za pokój na godziny i za użytkowanie sprzętu.

– Widziałam ten sprzęt. Wiązanie, masochizm i dominacja. Jednym słowem, magia BDSM. Dobrze, że Lewicki nie miał okazji przekonać się, co

leży w gablocie na Wilczej. Zmarkotniałby, widząc, w co bawiła się jego córka. Dziecko prawicowego aktywisty i seks na ostro. – Julia się zamyśliła. – Za taką przyjemność słono się płaci, dużo więcej niż za klasyczną usługę. Jesteś pewien, że Sara wyciągała tylko kilka stówek dziennie? Kamienica jest w samym centrum miasta, więc nie powinna narzekać na brak klientów. Założę się, że zarabiała o wiele więcej.

– W tym rzecz, że nie zarabiała. Gadżetów z gabloty też nie dotykała. Chodziło o zupełnie inny sprzęt.

– Dziewczyna poszła w głębszą perwersję?

– Chodziło o zwykłego laptopa.

Julia przekrzywiła głowę.

– O laptopa.

– Tak, ale z profesjonalnym oprzyrządowaniem. Logitech, pełen wypas.

– Niech zgadnę: striptiz online na kamerce?

– Właśnie. Włączała muzykę i zrzucała z siebie fatałaszkę. Faceci wpłacali jej za to forszę na konto. To teraz popularny sport.

– Do tego mało kontuzyjny. Mówisz, że Logitech? – Julia zmarszczyła brwi. – To już bez obrazu 4K nie da się rozbierać?

– Czasy porno na zdartych VHS-ach dawno minęły, kochanie. Klienci żądają jakości.

– Nie wątpię. Tylko dlaczego tak mało jej za tę jakość płacili?

– Sara ustawiła śmiesznie niskie stawki. Dzięki temu chciała pozyskać jak największą liczbę obserwatorów. Studentów, prostych robotników, bezrobotnych na zasiłkach. Poszła w ilość, nie w jakość.

– To może oznaczać, że nie wierzyła w swój potencjał. Tak bywa, gdy się dopiero startuje w te klocki. – Julia pokiwała głową. – Powiedziałeś, że wynajmowała tam pokój na godziny.

– Mhm.

– Gdzie więc mieszkała na stałe?

Górny przemeł w ustach resztkę rogalika.

– W trakcie przesłuchania Wasiak kilkakrotnie wspomniała o niejkiej Stelli. Sara była jej winna jakąś przysługę. Nie wiem jaką ani za co, ale być może to właśnie u niej zakotwiczyła.

– Ta Stella to kolejna, która zajmuje się nocnym życiem?

– Wszystkie kiszą się w jednym kotle. Jednak Angelina ewidentnie ma się za lepszą gwiazdę. Rzuciła o tej Stelli kilka mało wyszukanych epite-

tów. Szymański większości nie rozumiał, ale jedno było jasne: Stella to stara gwardia.

– Pewnie z racji wieku wypadła już z pierwszego obiegu i nie idzie jej tak rewelacyjnie jak młodszym koleżankom. Co jeszcze mówiła o niej Wasiak?

– Że kiedyś miała swój rewir w okolicach Grzybowskiej, ale teraz nie wiadomo, co się z nią dzieje. Jeśli Stella wciągnęła w to bagno Sarę i zmusza ją do prostytucji, sprawa z marszu trafi do prokuratury. Ale to nie moja działka, ja swoje zrobiłem. Zaczynam wolny weekend i pomyślałem, żeby wyskoczyć gdzieś w plener. Co powiesz na...

Przerwał mu dzwoniący telefon. Na widok nazwiska Madejskiego Górny zaklął pod nosem.

– Mówiłeś coś o wolnym weekendzie? – Julia poklepała go po ramieniu.

Kiedy wyrzucała pozostałości po śniadaniu do kosza, słuchała uważnie ich rozmowy. Nie musiała się wysilać, żeby zrozumieć, po co dzwoni jego szef. Po chwili Adam odłożył smartfon na stół.

– Dwa ciała – powiedział.

– Gdzie?

– Na granicy z Kampinosem.

– Masz swój plener. Kim są ofiary?

– To kobiety. Zakopano je razem, w jednym grobie. Na tyle płytko, że po wiosennych ulewach woda wypłukała ziemię i pokazały się szczątki. Nic więcej nie wiem.

Podniósł się ze stołka i ruszył do przedpokoju.

– Odezwę się... cholera wie kiedy. Miłego odpoczywania.

Zamknęła za nim drzwi, a potem sięgnęła po telefon i po raz drugi tego ranka otworzyła skrzynkę mailową. Odczytana o świcie wiadomość od Łukasza Lewickiego była poruszająca. Nie ze względu na podziękowania za wczorajszą rozmowę ani za pomoc we wtargnięciu do mieszkania przy Wilczej. To, że cierpiał po zniknięciu córki, też było oczywiste. Przebiegła wzrokiem po słowach wdzięczności i skoncentrowała się na tym, co pisał niżej. Złoty męski sygnet inkrustowany czarnymi diamentami. Lewicki znalazł go w rzeczach Sary wkrótce po tym, jak zniknęła. Przetrzęsnał jej szufladę z kosmetykami i natknął się na pudełko z błyskotką. Nie był to podarunek od nikogo z rodziny, a dziewczyna na pewno sama go nie kupiła. Za pięć tysięcy albo więcej? I niby dla kogo? Zresztą sygnet był używany, na złocie dostrzegł zarysowania. Dostała go więc z drugiej ręki albo ukradła.

Sytuacja wydała się Julii dość oczywista. Historia zarobkowania Sary zaczęła się dużo wcześniej niż w dniu, w którym stanęła przed kamerą. Być może właśnie wtedy wplątała się w coś śliskiego. Stała się zbyt roszczeniowa lub najzwyczajniej w świecie niewygodna. Dlatego pewnego dnia rozplynęła się w powietrzu. Z własnej woli lub z czyjąś pomocą.

Za odnalezienie Sary Lewicki zaoferował dwadzieścia tysięcy złotych. Akcja poszukiwawcza miała się więc odbyć niewielkim nakładem finansowym, przynajmniej jak na kogoś z jego pozycją. Do wiadomości dołączył zdjęcie długowłosej blondynki o łagodnych niebieskich oczach i jasnej cerze, ubranej w czarną koszulkę na grubych ramiączkach. Fotografii wykonano w jakimś centrum handlowym, przy sztucznym świetle, ale jakoś była przyzwoita. Gdy Julia powiększyła obraz, z łatwością dostrzegła tatuaż na wewnętrznej części przedramienia dziewczyny. Przedstawiał diament, symbol siły i niezniszczalności.

Do potoku słów błagających o pomoc Lewicki dodał swój stały warunek: prośbę o dyskrecję.

Szybki prysznic zmył z niej leniwy poranek. Wysuszyła włosy i związała je w koński ogon. Owinięta ręcznikiem usiadła w bujanym fotelu i odszukiwała w telefonicznych kontaktach imię osoby, o której istnieniu już niemal zapomniała. Do ich ostatniego spotkania doszło na krótko przed tym, jak wylądowała na odwyku. Osiem lat zrobiło swoje. Jak przez mgłę pamiętała tamtą twarz, ale złorzeczenie rzucone w swoją stronę zapamiętała doskonale.

Nie miała pewności, czy numer nadal jest aktualny, jednak po kilku sygnałach usłyszała znajomy głos:

– Proszę, proszę... – Słowa zabrzmiały niczym chrobot. – Julia Krawiec we własnej, wszawej osobie. A więc wciąż żyjesz.

– Przykro mi, jeśli cię rozczarowałam.

– Owszem, Krawiec, rozczarowałaś. Powinnaś skończyć tam, gdzie ja, ale jak widać, nawet piekło cię u siebie nie chciało. Czego chcesz?

– Pogadać.

Najpierw przedłużająca się cisza, a potem wymuszony rechot.

– Na rozmowę ci się zebrało? O ile wiem, nie mamy żadnych nowych wspólnych zainteresowań, a stare tematy skończyły nam się dawno temu. Nasze rachunki też są wyrównane. Nie mam już u ciebie żadnego długu.

– Potrzebuję informacji.

Tym razem do uszu Julii doszło znudzone mruknięcie.

– Zły adres, Krawiec. Poszukaj sobie nowej wtyczki.
– Wolę ciebie.
– To zabawne, zaraz dostanę zajadów od śmiechu. Zawsze umiałaś mnie rozbawić. Niestety, nasze ostatnie spotkanie aż tak zabawne nie było. Na pewno nie dla mnie.
– Odpuść. Lata minęły.
– Bardzo długie lata. Myślałaś czasem o mnie? Bo ja o tobie codziennie. Zawsze przed snem, po przebudzeniu też. Chcesz wiedzieć, co to były za myśli?
– Opowiesz mi innym razem. Sprawę mam.
– Nie, kochaniutka... innego razu nie będzie.
– To ważne.
– Odwal się, Krawiec. To moje ostatnie słowo.
Julia zakłęła w myślach.
– Co zrobić, najwyraźniej się pomyliłam. Ryzyko zawodowe. Pozostaje mi życzyć ci miłej reszty życia.
Już miała się rozłączyć, kiedy głos nagle złagodniał:
– Zaczekaj, co tak nerwowo... Zbyt szybko rezygnujesz, a to do ciebie niepodobne. Byłaś upierdliwa do bólu, Krawiec. Co się stało? Nagle przestałaś być supergliną?
– Można tak to ująć. Od jakiegoś czasu jestem poza strukturami.
– Było tak od razu... Powiedzmy, że ci pomogę. Tylko co z tego będę mieć? Informacje kosztują.
– Ile?
Usłyszała kaszel palacza.
– Pamiętasz nasz poprzedni deal?
– Pamiętam.
– To dwa razy tyle. I nie próbuj się targować, wiesz, że tego nie znoszę.
– Gdzie cię znajdę?
– Tam, skąd mnie zgarnęłaś kilka lat temu. Nie ruszam się stamtąd, to wciąż zacna miejscówka.
– Najzacniejsza. O której?
– Ósma wieczorem, tylko ani minuty później. Jak wiesz, mój czas jest cenny.

Było kilka minut po dziesiątej, kiedy wbiła się w dzinsy i wyszła z mieszkania z zamiarem wyciągnięcia od Lewickiego zaliczki na poczet poszukiwań Sary. Podjechała do jego biura poselskiego przy Pięknej i w krótkich słowach zażądała pieniędzy. Poszedł do bankomatu i po chwili wrócił, niosąc plik banknotów.

– Na co aż tyle? – spytał, wręczając jej gotówkę.

Aż tyle oznaczało trzy tysiące. Liczyła na więcej, ale Lewicki najwyraźniej uznał, że zadatek jest wystarczający jak na pierwszy dzień pracy.

– Koszty niezafakturowane – odparła.

Schowała pieniądze do torby i zapięła dokładnie zamek. Wskoczyła za kółko i zaczęła kierować się w stronę praskiego Grochowa.

Plac Szembeka zalany był słońcem. Minęła kościół maryjny ze spiczastą wieżą i wyprzedziła snujący się miejski autobus. Dobrze знаła ten rewir, niskie bloki i małe prywatne sklepiki powklejane w ich mury. Przystanki i wiaty dające cień.

Rozglądała się uważnie, wypatrując znajomych sylwetek. Za każdym razem wyglądały tak samo; przykurczone i zapadnięte w sobie. Liczyła, że dostrzeże je właśnie tam, na ławkach pod wiatami. Były jednak puste. Przejechała plac w obie strony, ale nadaremnie.

Pozostawało jeszcze jedno miejsce, praktycznie pewniak. Odbiła w boczną ulicę, ku walącemu się budynkowi z cegły, który pamiętał wojnę. Zaparkowała skodę na krawężniku i stanęła przed czymś, co było niegdyś oknem mieszkania, a potem stało się wejściem do świetnie prosperującej meliny. Tyle że po melinie nie było już śladu, a w oknie zamiast pustych ram tkwiły deski. Minęła front kamienicy i przecisnęła się przez rozprutą siatkę, która odgradzała podwórze od jezdni. Ruszyła wzdłuż muru i wiszącego na nim zdewastowanego gołębnika.

Pamiętała, że swego czasu stała tu ławka. Teraz na jej miejscu leżały pilśniowe płyty i puszki po piwie. Na jednej z płyt siedział w półzgięciu, opierając się plecami o mur, nastoletni chłopak. Głowa zwisała mu bezwładnie na pokryty warstwą brudu obojczyk, nogi w granatowym ortalionowym dresie rozrzucone były jak u szmacianej lalki, którą sadza się w rozkroku, by nie fiknęła na bok.

Podeszła do niego i stanęła mu nad karkiem.

– Hej – zagadła. – Mam biznes.

Chłopak się nie poruszył. Kucnęła przy nim, by sprawdzić, czy żyje. Dopiero teraz uniósł głowę na tyle, by zobaczyć jej nogi w skórzanych botkach.

– Potrzebuję towaru, a konkretnie amfy – wyjaśniła.

Łypnął na nią spode łba. Mocno skołtunionej i bynajmniej nie pachnącego szamponem.

– Nie mam.

– Ale wiesz, kto ma albo kto tu teraz diluje.

– No i?

– Zadzwoń. Chodzi o pięć gramów.

– Sama zadzwoń – wybełkotał.

– Obcej nikt tu niczego nie sprzeda. To twój rewir, ciebie znają.

Wyjęła z torby dwusetkę i położyła ją na nogawce ortalionowych spodni. Ożywił się na tyle, by zamrużyć ciężkimi powiekami. Złapał banknot i pociągnął nim po wierzchu dłoni, by upewnić się, że jest prawdziwy.

– Daj telefon – powiedział, wyciągając trzęsącą się rękę. – Jaki chcesz ten śnieg?

– Czysty.

– Czysty to będzie drogo. Może być tańszy, od Cyganów.

– Dzwoń po czysty.

Najpierw zniknął banknot. Chłopak zmełł go i wpakował do tylnej kieszeni portek. Potem zaczął wolno wciskać cyfry w telefonie. Z trudem koncentrował wzrok. Do głośnika też mówił mało składnie, jak człowiek, który stracił poczucie czasu i miejsca. Tylko swoją ksywę wypowiedział wyraźnie.

– Kujon – powtórzył dwukrotnie, za drugim razem dorzucając: – Dowóz tam, gdzie zawsze, przy maryjce.

– Towar będzie za godzinę – poinformował, kiedy skończył rozmowę. – Ale ty nie z psiarni, co? Bo jak z psiarni, to, kurwa, zapomnij.

Podrapał się po niezagojonych ranach ciągnących się wzdłuż przedramienia. Julia zdążyła odebrać mu swój telefon, zanim pod paznokciami chłopaka zgromadził się cały chemiczny arsenał.

– Bez obaw – odpowiedziała. – Nie narobię ci kłopotu.

Nie była pewna, czy zasnął, czy odpłynął po porannym strzale. Na pewno wciąż oddychał, obserwowała każde uniesienie jego klatki piersiowej, która płytko wypełniała się powietrzem. Odliczała minuty do przyjazdu kuriera z prochami. W końcu się pojawił. Czysty, zadbany, w drogim

aucie. Schowana za rogiem patrzyła, jak na wpół przytomny dzieciak robi deal z trzydziestolatkiem ze złotym łańcuchem na karku. Za resztę z podarowanych mu dwustu złotych dokupił kilka kolorowych tabletek, które od razu wepchnął sobie do gardła.

Gdy bmw kuriera zniknęło z pola widzenia, wręczył Julii dwie przezroczyste torebki z białym proszkiem.

– Będziesz miała po tym niezły odlot – powiedział z przymkniętymi powiekami. – Tylko nie przesadz.

W innej sytuacji by się roześmiała. Coś jednak ścisnęło ją za gardło i bardziej przerażało, niż bawiło. Patrząc na tę zastygłą w półśnie istotę, która już na progu życia była skazana na jego nieuchronne zakończenie, wyobraziła sobie Sylwię, albo którąkolwiek z jej koleżanek. Każda z nich mogłaby za kilka lat siedzieć w tym samym miejscu, na pilśniowej płycie, wśród porzrzucanych puszek. Mało trzeba, by dla kogoś świat tak się właśnie skończył.

Schowała narkotyki do torby i odeszła kilka kroków. Chłopak i tak nie zwracał na nią uwagi. Po zażytych dropsach nie widział już, jak dzwoni po pogotowie, tłumacząc dyspozytorce, że młody człowiek okupujący ruinę przy placu Szembeka balansuje na granicy życia i śmierci.

* * *

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem. – Górny dał sygnał technicznym, by ci zaczęli rozstawiać sprzęt, po czym pochylił się nad płytkim grobem. – Dwa ciała razem. Gdyby nie fakt, że oba ciała przysypane są ziemią, pomyślałbym, że to samobójstwo rozszerzone. Młodym zdarza się zrobić coś tak niewyobrażalnie głupiego, zwłaszcza gdy działają pod wpływem emocji.

Joanna Cichocka pokręciła głową.

– Niedawno puszczała w telewizji reportaż o tym, jak znaleziono ciała trzech nastolatek. Też naraz, tylko na szczęście nie u nas, ale gdzieś w Kolumbii. Nie chodziło o żadne samobójstwo. Najzwyczajniej w świecie kilku gości wepchnęło je do samochodu prosto z ulicy i wywiozło na pustkowie. Gwałcili je i torturowali w jakimś bunkrze, a na koniec udusili. Ciała porzucili w krzakach i przysypali gruzem. Leżały tam przez kilka lat, aż ktoś natrafił na nie przypadkiem.

– Tak jak tutaj – mruknął Górny.

Zwłoki, na które patrzyli, na pewno nie znajdowały się pod ziemią tak długo. Sądząc po stopniu rozkładu, kobiety nie żyły od kilku tygodni. Owady na dobre opanowały tkanki miękkie, zasiedlając oczy i otwory w nosie.

– Nie da się na to ze spokojem patrzeć – powiedziała Cichocka na widok larwy wypływającej z ucha jednej z dziewczyn. Podniosła z ziemi patyk i jego końcem zrzuciła oślizłego czerwia. – Potworność. Zwłaszcza że miały przed sobą całe życie. Od razu widać, że to młode ciała. Kto je znalazł?

– Właściciel pobliskiego ośrodka jeździeckiego. Nie znam szczegółów, dowiem się wszystkiego u niego, na miejscu.

– Nie mógł na nas poczekać?

– Najwyraźniej nie mógł. Wysłał telefonicznie pinezkę z lokalizacją i wrócił do biura.

– Pinezkę do zwłok... Świat już zupełnie na psy schodzi. – Cichocka westchnęła z niesmakiem.

Chciała strącić jeszcze grudkę ziemi z szyi dziewczyny, ale koniec patyka zahaczył o coś delikatnego. Ukucnęli oboje tuż przy zwłokach. Joanna ostrożnie odsunęła włosy z karku denatki.

– Łańcuszek z medalikiem. Rwać czy rozpinać?

– Rwij.

Pociągnęła za wisiołek i położyła go sobie na zabezpieczonej lateksową rękawiczką otwartej dłoni.

– Facet z dzieckiem na ręku, brodzący w wodzie – stwierdziła, gdy oczyściła medalik z piasku.

– Jak brodzący, to Święty Krzysztof. Dziwne, że morderca zostawił go przy zwłokach.

– Może uznał, że złamanie dwóch przykazań naraz to gruba przesada.

Górny spojrział na Cichocką z rozrzewnieniem.

– Na pewno tak właśnie było. Mając do wyrobienia limit grzechów, wolał zabić, niż ukraść. Co z tobą, nagły spadek formy?

– Jakbyś zgadł. Mały dawał wycisk do piątej nad ranem. Złe sny, płaczki i pakowanie mi się do łóżka. Oka nie zmrużyłam. Jak zostaniesz ojcem, to zrozumiesz. A ten medalik... zaśniedziały całkiem. Też bym go nie ukradła. Na moje oko ani to srebro, ani tym bardziej białe złoto. Szlachetne metale nie utleniają się w ten sposób. Według mnie to zwykła blacha, szajs za kilka złotych.

Schowała wisiołek do torby na dowody i zacisnęła dokładnie strunę.

– Ja w jej wieku nosiłam na szyi przewierconą starą monetę. Miedzianą, nawleczoną na cienki rzemyk. Potem był szal na szklane buteleczki z piaskiem. Wróciła stara moda i wszystkie dziewczyny chciały być trochę retro. Święte medaliki leżały wtedy pochowane głęboko w szufladach.

Górny wyłączył się, gdy zaczęła mówić o miedzianej monecie. Bardziej interesowały go zwłoki leżące w prowizorycznym grobie, dlatego obszedł je dwukrotnie dokoła, by obejrzeć z każdej strony.

– Wyglądają identycznie – powiedział w końcu. – Ciała są zdeformowane przez rozkład, ale zasadniczo... Tylko się im przyjrzyj.

– Blondynki o długich włosach.

– Chodzi mi bardziej o to, w co są ubrane. Mają na sobie jednakowe białe sukienki, jakby miały w nich iść do komunii albo do ślubu. Wprost dziewicze.

Cichocka stanęła obok niego i przez dłuższą chwilę lustrowała oba ciała.

– To nie są sukienki, tylko nocne koszule – stwierdziła. – Kobiety nosiły takie w dziewiętnastym wieku. Zgrzebne, skromne i długie do kostek. Powiedziałabym, że wiktoriańskie, tyle że dla biedoty, bo bez żadnych ozdób. Nie mają nawet kawałka koronki.

Górny spojrzał na nią pytająco.

– Nie, nie łudź się. – Joanna wykonała przeczący gest dłonią. – Nikt już takich nie sprzedaje. Sklepy, owszem, mają w swoim asortymencie nocną bieliznę szytą na wzór starodawnej, ale to nie ten model. Takiego nie kupiłaby żadna współczesna kobieta. Przecież sam widzisz, że te dwie wyglądają, jakby je przeniesiono w czasie.

Obrócili się oboje na dźwięk rozmowy dochodzącej od granicy lasu. W ich stronę szła prokurator Sieracka z jakimś mężczyzną, i z całą pewnością nie był to Lipski. Ten był od Lipskiego dużo bardziej postawny i młodszy o co najmniej dwie dekady. Miał na sobie błękitny sportowy garnitur i białą podkoszulkę podkreślającą śniadą cerę. Nad lewym uchem, pomiędzy włosami, widać było geometryczny zygzak wycięty maszynką.

– Elegancik – zwróciła się chyłkiem do Górnego Cichocka. – Znasz go?

– Pierwszy raz widzę człowieka na oczy.

– Boski. Jak tylko pozbędę się swojego męża, biorę typa w ciemno.

Sieracka zdążyła już podejść i roztoczyć woń swoich ciężkich perfum.

– To doktor Robert Rajtar, nowy patolog – powiedziała, kładąc dłoń na ramieniu mężczyzny. – Dopiero zaczyna swoją karierę w instytucie na

Oczki, ale ufam, że pod czujnym okiem naszego szacownego Lipskiego zajdzie bardzo daleko. Noty na uczelni miał obiecujące.

Rajtar wyciągnął rękę po kolei do Cichockiej i Górnego.

– Pani prokurator nazbyt łaskawa, ale jak to mawiali starożytni, ostatecznie sądzone będą czyny ludzkie, nie godności. A ja, przyznam, zamierzam dokonać wiele w dziedzinie patologii. W tym się akurat zgadzamy.

– Do tego erudyta – dorzuciła Sieracka. – Nie ma godziny, w której nie przytoczyłby jakiejś łacińskiej sentencji.

– Nie po to tu przyjechaliśmy, żeby mówić o mnie. Proponuję dłużej nie zwlekać, tylko od razu wziąć się do roboty. Gdzie jest ciało?

– Ciała – poprawił go Górny. – Leżą w płytkiej niecce. Zanim pan zacznie, mam jedno pytanie. To będzie pańska pierwsza autopsja?

Rajtar musiał zrozumieć zawołaną aluzję, bo przez jego twarz przebiegł cień niezadowolenia.

– Od czegoś przecież muszę zacząć.

Cichocka uniosła filmowo lewą brew, po czym wskazała zagłębienie w ziemi.

– W takim razie zapraszam.

Ciała kobiet w większości były przykryte piaskiem i ściółką. W całości wystawały jedynie głowy i dłonie. Biel nocnych koszul przebijała jednak bardzo wyraźnie przez cienką warstwę ziemi, stopy były całkowicie ukryte pod igliwem.

– Dziwne... – mruknęła Sieracka. – Nawet bardzo. Grób wykonano po partacku. Ciała też nierówno zakryte ziemią. Sprawiają wrażenie, jakby ktoś je porzucił w pośpiechu.

Rajtar naciągnął na dłonie rękawiczki i poprosił jednego z technicznych o pędzelek. Delikatnie strząsnął włosiem z obu zwłok naniesiony brud. Zaczął od rąk. Podciągnął kolejno rękawy koszul i przyjrzał się sinym rękcom, poczynając od ramion, a kończąc na koniuszkach palców. Ten sam manewr wykonał z twarzami ofiar.

– Są ślady zadrapań. Twarze, dłonie i stopy ofiar mają podobne obrażenia. Trudno mi na pierwszy rzut oka stwierdzić, czy powstały przed śmiercią, czy już po. Tkanki są poważnie uszkodzone.

– Człowiek czy zwierzę? – zapytała prokurator.

– Wyglądają na dość głębokie, więc ludzkie paznokcie odpadają. – Obstawiałbym wilka albo pokaźnych rozmiarów psa.

Cichocka wskazała palcem na szyję drugiej ofiary.

– Widzisz to, Górny? Medalik.

Adam zeskoczył do niecki i ujął wisiołek w palce.

– I też Święty Krzysztof. Są identyczne.

– O co chodzi? – wtrąciła się Sieracka.

Cichocka pokazała jej torbę z pierwszym wisiorkiem.

– Albo były sobie bliskie i w ramach przyjaźni kupiły takie same medaliki, albo ktoś im je podarował na podróż do innego świata – skonstatował Górny. – Osobiście obstawiam tę drugą wersję. W końcu nie bez powodu wybito na nich patrona podróżnych.

– Morderca urządził coś na wzór przeprawy przez Styks?

– Tylko że zamiast obola dziewczyny dostały po chrześcijańskim medaliku. Zakpił z nich, łajza.

– Choćby obsypał je złotem, z martwych nie wstaną – stwierdziła Sieracka. – Później zajmiemy się teoriami. Macie znaleźć producenta tych obolowych substytutów. Od razu widać, że to szmelc, więc pewnie łatwo nie będzie, ale wierzę w was, głównie w panią, Cichocka. Na razie skupmy się na ciałach. Jakies inne urazy? – zwróciła się do Rajtara.

Medyk ściągnął rękawiczki i oddał je jednemu z techników. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął butelkę aerozolu i spryskał sobie sprejem dłonie. Ostry zapach płynu dezynfekującego zawirował im w nozdrzach.

– Po wstępnych oględzinach nie stwierdzam niczego osobliwego. Klasyczne plamy opadowe i typowy rozkład komórek. Żadnych ran, poza tymi ostrymi zadrapaniami na skórze. Resztę obejrzę na stole sekcyjnym. W plenrze to można co najwyżej piknik zrobić, a nie przeprowadzać oględziny.

– Lipski byłby innego zdania – odezwał się Górny. – Jak widać, nie każdy ma umiejętność pracy w terenie.

Sieracka chwyciła go za łokieć i odciągnęła na bok.

– Byłabym wdzięczna, gdyby zachował pan te złośliwości dla siebie – powiedziała, ścisząc głos. – Tu są potrzebne ręce do pracy, a Lipski... Może najlepiej będzie, jeśli powiem to wprost: w ostatnim miesiącu instytut dostał do przebadania kilkanaście ciał i znaczna część z nich wciąż czeka na to, by trafić na stół. Jak tak dalej pójdzie, zakorkuje się system, a wołałabym nie odsyłać nieboszczyków do, pan wybaczy, Bydgoszczy. Co u siebie, to u siebie. Nie zamierzam pomniejszać zasług doktora Lipskiego, bo jego wkład w pracę instytutu jest nieoceniony, ale ewidentnie zwolnił. Cóż... Zmęczenie albo wiek zrobiły swoje. Ten młody człowiek ma jeszcze mleko

pod nosem, jeśli chodzi o praktykę, ale proszę mi wierzyć, wszystko można nadrobić przy odrobinie ambicji.

– Uwierzę, jak zobaczę rzetelny raport z autopsji. Na razie nie usłyszałem niczego odkrywczego.

Obrócili się w stronę płytkiego wąwozu. Cichocka oraz jej ludzie zdążyli już rozejść się po lesie w poszukiwaniu śladów i jedynie dwóch techników kręciło się przy zwłokach, dywagując, w jaki sposób najlepiej je wyciągnąć, by ich nie uszkodzić. Leżały na cienkich plastikowych płachtach, jakich używa się do zabezpieczenia mieszkania podczas malowania. Uniesienie na nich ciał było niemożliwe. Folia porwałaby się i zniszczono by cenny materiał do badań.

– Zwłoki pojedą jednym wozem, a folie drugim – zarządził Górny. – Ułóżcie je tak, by się ze sobą nie stykały, i oznaczcie, która folia leżała pod którym ciałem. Nie chcę mieć bałaganu w dowodach.

– Bałagan to się dopiero zacznie, komisarzu Górny – powiedziała Sieracka, patrząc na krzątających się techników. – Widziałam wiele zbrodni, ale czegoś tak osobliwego to jeszcze nie. Dwa ciała naraz, do tego te medaiki i białe koszule. Wygląda mi to na jakiś koszmarny ceremoniał.

– Pozostaje pytanie, czy mistrz tego ceremoniału miał współnika. Przywieźć ciała do lasu i rzucić je z auta to jedno. Wykopanie podwójnego grobu to już całkiem inna historia.

– Daj pan spokój, machanie łopata to nie drążenie stacji metra.

– O ile ziemia jest mokra, owszem. Jednak, jak pani z pewnością zauważyła, w ciągu kilku ostatnich tygodni nie spadła nawet kropla deszczu. W suchą ziemię szpadel tak łatwo nie wchodzi. Skoro nisza jest płytka, obstawiałbym pojedynczego sprawcę, i do tego niezbyt silnego. Namachał się tylko tyle, na ile pozwoliły mu mięśnie.

– Może wcale nie zamierzał ukrywać ciał, bo mu na tym nie zależało – zadumała się Sieracka.

Górny pominął jej uwagę milczeniem. Na stawianie jakichkolwiek hipotez wciąż było za wcześnie.

– Kiedy zamierza pan rozpocząć sekcję? – zwrócił się do Rajtara.

Patolog skrzyżował ręce na piersiach.

– O ile pańscy ludzie wygrzebią się z robotą do popołudnia, to jeszcze dziś. – Spojrzał najpierw na mężczyzn zabezpieczających zwłoki, a zaraz potem na swój zegarek. – Muszę sprawdzić w instytucie, czy znajdzie się jakaś instrumentariuszka do pomocy. Państwo wybaczą.

Odszedł w stronę piaszczystej drogi, przyciskając telefon do ucha.
Górny wychwycił triumfalny uśmiech Sierackiej.

– Mówiłam. Ambitny młody człowiek. Do tego całkiem piękny.

– Piękność rzadko idzie w parze z mądrością, pani prokurator.

– Tak pan uważa?

– Nie ja. Petroniusz.

Sieracka przemełła coś niewyraźnie w ustach.

– Może przerwijmy te przekomarzanki, komisarzu – powiedziała już zupełnie wyraźnie. – Radzę przeznaczyć tę energię na ważniejsze sprawy. Chcę wiedzieć, kim były te młode kobiety i jak znalazły się w tym lesie. Bierzcie się do roboty.

Adam Górny odprowadził wzrokiem załadowane zwłokami auto. Zaraz potem odjechali Sieracka z Rajtarem. Jedynie zespół techników wciąż kręcił się po lesie. Zaglądali pod każdy krzak i podnosili co bardziej podejrzaną paprochę ze ściółki.

– Pradawni Słowianie składali ofiary z ludzi. – Joanna wyprostowała plecy i wykonała szybką gimnastykę łopatek.

Górny obmacał kieszenie spodni w poszukiwaniu kluczyków do samochodu.

– Owszem, składali. Konkretnie to z dzieci, a jeszcze konkretniej: z niemowląt – wyklarował. – Nawet jeśli zabójcy tych dziewczyn zachciałoby się kultywować pogańskie obrządki, to zapewniam cię, że wiedziałyby o takim szczególe. Tymczasem ofiary były młode, ale nie były dziećmi.

– Dorosłych kobiet też nie oszczędzano. Zdarzały się przypadki ofiarowania żon, gdy umierali ich mężowie. Takie słowiańskie sati, z tym że wdów nie palono, ale po prostu zabijano.

– Sugerujesz, że ktoś morduje, bo zatęsknił za barbarzyńską tradycją?

Cichocka wzruszyła ramionami ukrytymi w białym kombinezonie ochronnym.

– Las, mogiła, święte medaliki, białe koszule nocne...

– Brak ołtarza ofiarnego – przerwał jej Górny. – I brak śladów krwi. Dawnym ofiarom podcinano gardła, żeby odkupić winy albo przebłagać bogów.

– Ołtarz może stać w innym miejscu. Kto powiedział, że zwłok nie przeniesiono?

– Powtarzam: brak ran na szyjach.
– Trujące zioła też potrafią skutecznie zabić. Nie trzeba sięgać po nóż.
Wystarczy napar.

Górny zmarszczył brwi.

– Śmierć w halucynacjach?

– Maść czarownic, bieluń, cykuta. Kiedy tylko piękny Rajtar zbada trzewia tych dziewcząt, wszystko stanie się jasne.

– Wolałbym nie mieć do czynienia z zabójcą bawiącym się w czarną magię, ale jeśli znajdziecie w lesie coś nietypowego, dzwoń. Ja rozejrzę się po ośrodku jezdzieckim. Człowiek, który znalazł ciała, zapewne będzie miał mi wiele do opowiedzenia.

* * *

Julia wciąż stała przed walącą się kamienicą, kiedy lekarz pogotowia wskoczył przez tylne drzwi karetki i zaczął podpinać chłopaka do tlenu.

– Wyć mi się chce, jak widzę takie dzieciaki – powiedział, nie odwracając wzroku od bladej twarzy Kujona. – Ile toto ma lat, siedemnaście? I już mu się żyć odechciało. Pełno ich tutaj. Okupują piwnice i pustostany takie jak ten. Siedzą w nich pojedynczo albo leżą pokotem lub w parach, z igłami w żyłach. To jak trójkąt bermudzki, ten cały plac Szembeka. Jak już się któryś tu zapędzi za towarem, żywy nie wychodzi. Wynoszą go tak zwani przyjaciele. Wie pani, co robią, gdy któryś z nich umrze? Wloką delikwenta i sadzają tam, przy wejściu do kościoła, pod tak zwaną maryjkę. Dla niepoznaki stawiają przy nim plastikowy kubek albo puszkę. Ludzie przechodzą obok i nawet nie wiedzą, że to trup. Biorą go za śpiącego żebraka. Później się okazuje, że żebrak jest zimny od kilkunastu godzin. A tego jak pani znalazła?

– Czysty przypadek – odparła ze ściśniętym gardłem Julia. – Przechodziłam i zobaczyłam, że chłopak ledwie się kiwa. Dobrze, że przyjechaliście tak szybko, inaczej pewnie też trafiłby pod kościół.

Lekarz zajrzał Kujonowi pod powieki.

– Może przeżyje. Do następnego razu.

Trzasnął drzwiami, odcinając Julii widok od reanimowanego nastolatka. Odczekała, aż karetka zniknie za rogiem ulicy, po czym poszła prosto do skody.

Na Czerniakowską wracała w całkowitej ciszy. Nie chciała słuchać radia, szyby też podciągnęła do końca, mimo że nawiew niemal przestał funkcjonować. I bez tego huczało jej w głowie. Co raz spoglądała na zegarek. Według jej wyliczeń karetka z Kujonem powinna już dojeżdżać do szpitala. Nie czuła, że ocaliła mu życie. Przecież dzieciak wróci ponownie tam, skąd go zabrali, do tego na podwójnym głodzie. Zaserwuje sobie najtańszy koktajl albo dopalacza z fentanylem, hitem ostatnich miesięcy. Nowość prosto z Ameryki, która nie bierze jeńców.

Zdecydowanie nie uratowała mu skóry. Posłużyła się nim, by wykonać swoją robotę. Wykorzystała go, bo miał dojścia i był w stanie zorganizować towar, bez którego nie ruszyłyby dalej ze sprawą Sary Lewickiej. On walczy teraz o każdy oddech. Przez nią i przez kolorowe dropsy, które kupił za jej pieniądze.

Szlag...

Zaparkowała auto przed blokiem. W osiedlowym okrągłaku kupiła mrożonkę warzywną na zupę i siatkę ziemniaków. Podchodziła do klatki schodowej, kiedy z pobliskiej ławki poderwała się jakaś kobieta i pociągnęła za sobą różową walizkę kabinówkę na kółkach. Zanim Julia zdążyła wcisnąć kod na domofonie, stała już za jej plecami.

– Zupka na obiad? Cieniutko...

O ile w pierwszej chwili fizjonomia kobiety wydała się Julii obca, o tyle jej głos rozpoznałyby wszędzie.

– Bodnar?

Michalina błysnęła wybielonymi zębami.

– Wiem, że nie lubisz niespodzianek, ale nie miałam wyjścia. Wyszło spontanicznie, dasz wiarę? Jeszcze wczoraj nie miałam pojęcia, że wsiądę w pociąg do Warszawy. Wszystko ci opowiem, jak na świętej spowiedzi, ale najpierw muszę wskoczyć pod prysznic. Chyba przekimasz mnie u siebie jedną noc? Nie stać mnie na Marriotta, wiesz przecież.

Julia nie wierzyła, że można tak się zmienić w ciągu trzech lat. To nie była ta sama Michalina. Wyładniała i wysubtelniała. Mocno rozjaśnione włosy sięgały jej łopatek, a czarna sukienka, która opinała jej ciało, mogła mieć rozmiar trzydzieści sześć. Twarz ozdobił delikatny makijaż, na powiekach trzepotały doklejone struny rzęs. Tylko na nogach miała wygodne sportowe buty. Ta część jej image'u pozostała niezmienną.

– No co, jest niezłe? – Bodnar obróciła się wokół własnej osi z wystudiowanym wdziękiem. – Po tym, jak się od nas wyprowadziłaś, postanowiłam zostać najlepszą laską w drużynie. Przy tobie to było nierealne – dodała z udawanym przekąsem. – Wpuścisz mnie na górę czy będziemy tu tak sterzać?

Julia pchnęła drzwi do klatki schodowej. Bodnar chwyciła rączkę różowej walizki i szarpnęła ją w kierunku windy.

– Które? – Zamachała palcami przed tabliczką z numerami pięter.

– Dziewiąte. Wciśnij mocno, bo nie zawsze zaskakuje.

Wbiła palec w okrągły guzik. Teraz widać było, że i paznokcie zostały pociągnięte błękitną hybrydą.

Trudno było oderwać od niej oczy. Trzy lata. Wykorzystała je, by stać się kimś nowym. Z chłopczycy zmieniła się w seksowną kobietę. Trochę przesłodzoną, ale intrygującą. Julia nie potrafiła jeszcze rozsądzić, która wersja Michaliny bardziej do niej przemawia: oryginalna czy stuningowana. Przede wszystkim nie wierzyła, że zmiana wizerunku spowodowana jest chęcią pokazania się w firmie od bardziej efektownej strony. Tamta Michalina nie potrzebowałaby tego. Tamtej Michalinie wystarczyłaby rozciągnięta bluza od dresu i bojówki z obniżonym krokiem. Jeśli harowała na siłowni, by zrzucić piętnaście kilo, i do tego dała sobie zrobić żel na paznokciach, to za tą zmianą musiało stać coś więcej niż tylko chęć metamorfozy. Ludzie dzielą się na tych, którzy pragną albo pieniędzy, albo miłości. Na pieniądzach Bodnar nigdy nie zależało. Za to zrobiłaby wszystko, by ktoś, kogo pokocha, zaakceptował ją i po miesiącu znajomości nie powiedział, że było miło, ale nie aż tak, żeby obsypywać się poważnymi obietnicami. Stąd ta gigantyczna zmiana. Dla kogoś, nie dla siebie.

– Stęskniłam się za tobą, Bodnar – powiedziała Julia, gdy stanęły przed drzwiami jej mieszkania. – Możesz nie wierzyć, ale mi ciebie brakowało.

Wsunęła klucz do zamka i otworzyła drzwi. Przez chwilę zdawało się jej, że Michalinie zaszklily się oczy. Nie była tylko pewna, czy z sentymentu do dawnych dziejów, czy z wdzięczności za to, że postanowiła być dla niej miła.

– A teraz mów, co cię tu przygnało. – Julia rzuciła klucze na stół w kuchni.

Michalina zsunęła z nóg adidas i wskoczyła na narożną kanapę.

– Poznałam kogoś na Tinderze. Dziś wieczorem mam się z nią spotkać koło fontann.

– Aha – skomentowała Julia.
– Tym razem musi się udać. Stawiam wszystko na jedną kartę.
Więc jednak.
– Na pannę z Tindera? Posłuchaj, Bodnar...
– Tylko popatrz. – Michalina wyjęła z torby telefon i odszukała zdjęcie nowej ukochanej. – Widzisz te szczere oczy?
– Mało je widać spod tych tatuaży. Kto normalny robi sobie dziary na twarzy?
– Tatuaże znikną. Moja ukochana chce je dla mnie usunąć.
– Wszystkie?
– Co do jednego.
– W takim razie to musi być miłość. – Julia uśmiechnęła się pod nosem.
– Od jak dawna ją znasz?
Bodnar posłała całusa zdjęciu i odłożyła telefon na poręcz kanapy.
– I po co wchodzić w szczegóły. Nie bądź drobiazgową, czas nie gra tu żadnej roli. Ważne, że się stara. Wiesz, jaki ból wywołuje laser?
– Twarzy czy zawartości portfela? Nie prosiła cię przy okazji o pieniądze?
Bodnar się roześmiała.
– Mamuśka z ciebie wychodzi. Taka troskliwa. Wydaje ci się, że nie zmądrzałam przez te wszystkie lata?
– Ty mi powiedz.
Julia wsypała zamrożoną mieszankę do garnka i wstawiła czajnik z wodą. Gdy wrzątek zabulgotał, zalała nim warzywa. Do smaku dorzuciła kostkę rosołową.
– O której masz się z nią spotkać?
Bodnar odrzuciła blond lok z twarzy.
– O dziewiątej, jak w przedwojennej piosence. Tak mi do niej śpieszno już. A ty, wciąż sama? Widuję od czasu do czasu twojego byłego. Ożenił się. Szkoda, że nie z tobą. Wiedziałaś?
– Obiło mi się o uszy.
– I?
– Jak widzisz, nie umarłam.
Gdyby miała powiedzieć prawdę, musiałyby się przyznać do tego, że wiadomość o ślubie Artura niemal rozerwała jej serce. Dopiero po wielu miesiącach, na kilka krótkich nocnych godzin, jakie z nim spędziła, przestało mieć to dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Wieczór, który zaczęła

w przebraniu Marii Antoniny, a skończyła, leżąc nago w pościeli na swojej nowej kanapie, był dziwny. Wszystko wydało jej się takie nierealne. Na swój dotyk zareagowali, jakby widzieli się pierwszy raz i pierwszy raz stąpili ze sobą ciałami. To były godziny pełne ciszy. Nie mówili nic, a jednak powiedzieli sobie wszystko. Dotykami, pocałunkami i sobie tylko znanymi gestami. Czuła na sobie jego oddech, zapach i każdą kroplę potu. Nie potrafiłaby określić, ile razy się kochali. Kiedy było już po wszystkim, Artur zasnął z twarzą zwróconą w jej stronę. Wciąż mieli splecione ręce. Gładziła go po palcach, wiedząc, że taka noc nigdy już się nie powtórzy. Jednak jeszcze przez kilka chwil miała go tylko dla siebie.

Poranek był dokładnie taki, jakiego się spodziewała. Trudno było im mówić o tym, co zaszło. Patrzyli na siebie jak dwa spłoszone ptaki, z których jeden musi już za chwilę odlecieć, by wrócić do własnego gniazda. I zapomnieć o tym, zawieszonym na dziewiątym piętrze mokotowskiego mrówkowca.

– Było mi naprawdę dobrze – usłyszała, gdy stanął już w butach w przedpokoju. – Postaram się nie mieć wyrzutów sumienia.

– Nie miej. – Przytuliła się do jego płaszczka. – Biorę to na siebie, ty żyj spokojnie dalej.

Miał już nacisnąć klamkę, lecz zawrócił. Podniósł z podłogi rzuconą perukę Antoniny i poprosił o nożyczki.

– Chcę mieć pamiątkę po tej nocy – powiedział.

Nie wiedziała, czy żartuje, ale zrobił to naprawdę: odciął biały pukiel. Z braku tasiemki przewiązała go zwykłą czerwoną nitką. Wsunął kosmyk z peruki do osobnej przegródki w portfelu i pocałował ją w usta po raz ostatni.

Dusiło ją w gardle, kiedy zamykała za nim drzwi. Słuchała jeszcze przez chwilę, jak kółka jego walizki toczą się po betonowej posadzce prosto do windy i jak dźwig zabiera go na dół.

Postanowiła nie pisać i się nie odzywać. Jak ustalili, to miała być jednorazowa przygoda dla niej i jednorazowy skok w bok dla niego.

– Naprawdę szkoda, że nie z tobą – powtórzyła melancholijnie Michalina.

– Nie każdy się nadaje do małżeństwa ze mną. A może ja się nie nadaję do żadnego małżeństwa, z samej definicji.

– Bzdura. Doktorek jeszcze za tobą zatęskni. Widziałam go kilka dni temu w naszym kinie. Przyszedł z żoną. Nie powiem, całkiem atrakcyjna

i... ona chyba jest w ciąży. Ale to akurat w tęsknocie nie przeszkadza.

Dobrze, że Julia stała odwrócona i tamta nie mogła zauważyć, jak bezmyślnie miesza w garnku coś, co miało przypominać jarzynową.

– Słyszysz? Będą mieli dzieciaka.

– Dotarło do mnie, Bodnar.

Usiłowała zachować spokój, w końcu nikt nikomu niczego nie obiecywał. A jednak poczuła się oszukana.

Michalina podeszła do Julii i objęła ją od tyłu.

– Rzuć czymś o podłogę albo wykrzycz to z siebie – zamruczała, kładąc głowę na jej ramieniu. – Nie duś w sobie. Powiedziałam ci o tej ciąży, żebyś miała świadomość, a nie po to, by sprawić ci ból.

– Nie jestem dzieckiem, Bodnar. Przeżyłam jego ślub, przeżyję i to.

– Wiesz, co myślę? Że tak naprawdę jesteśmy do siebie podobne. Jeśli chodzi o Maciejewskiego, jesteś tak samo głupia jak ja, kiedy chodzi o moje dziewczyny. A już totalnie do dupy jest to, że z tej głupoty nigdy się nie wyrasta.

– Zawsze warto próbować.

– Mhm. Ile lat już próbujesz? Nie odpowiadaj, nie musisz. Widzę, jak ci się ręce trzęsą nad tym garnkiem.

Wróciła do pokoju i rozpięła zamek w swojej walizce. Wyjęła z niej lekki jasnoszary kombinezon z krótkimi nogawkami, beżowe koturny, lokówkę i wypchaną po brzegi kosmetyczkę.

– Wiesz, że cię kocham, Krawiec – rzuciła przez ramię. – Może teraz myślisz, że przywiozłam złe wieści, ale nawet trudna prawda jest lepsza od najpiękniejszego kłamstwa. Przemyśl to sobie, ja idę do wanny. Muszę się odświeżyć przed randką.

Przerzuciła sobie przez ramię ręcznik i zniknęła za drzwiami łazienki.

Julia musiała wyjść na balkon i zapalić. Oparła się o poręcz i wciągnęła w płuca dym z vogue'a. Słyszała, jak w głębi mieszkania Michalina podśpiewuje *The Winner Takes It All* ^[1] Abby. W punkt. Zabrzmiało jak chichot losu. Poczowała się jak ta pokonana kobieta z piosenki, która nie ma już asów do położenia na stole. Przegrała. Cięża tamtej przechyliła szalę.

Michalina miała rację, mówiąc jej, że jest głupia. Ale kolejny raz głupia nie będzie. Czas otrzeźwieć na dobre i zająć się pracą. Jediną rzeczą w jej życiu, która nigdy nie zawodzi.

The loser has to fall... ^[2]

ROZDZIAŁ III

Wreszcie oprzytomniała. – Ręka uniosła się nad zmizerowaną twarzą, po czym przesunęła w lewo i w prawo. – Dochodzi do siebie. Wzrok ma jeszcze błędny, jakby wypita pół litra, ale chyba nas widzi. No, odezwij się, mała. Widzisz nas? Kiwnij głową.

Obrzmiałe powieki drgnęły. Chciała wykonać jakikolwiek ruch, jednak ból był nie do zniesienia. Ciało piekło, jakby dopiero co wyciągnięto ją z ognia.

– Nie chce kiwnąć. Uparta jaka.

Zamknęła na powrót oczy. Woląta nie widzieć tego, co się dzieje wokół niej. Byłoby lepiej, gdyby umarła tam, w lesie, z dala od tego przerażającego miejsca. Tu mieszkało Zło, jak je nazwała pierwszego dnia. Nie mogła nadać mu innej nazwy, jakiegoś imienia. Nic innego nie pasowałoby do tego człowieka. Tylko Zło. Zło w czystej postaci.

– Jutro zmienimy ci bandażę, te już całkiem przesiąkły – usłyszała. – I nie wierć się za bardzo, bo jeszcze szwy ci na żebrach popękają. Ciągną, co? Nie krzyw się, muszą ciągnąć. Przywykniesz, ślicznotko. Jeszcze nikt od tego nie umarł. Poboli, popiecze i w końcu przestanie. No chyba że wda się zakażenie od nici – zachichotało podle Zło. – Ale innych nie było, tylko zwykłe, do owerloka. Chyba nawet już się wdało. Niech no cię powącham... Ano, już trochę śmierdzisz. Też to czujesz? Ropa. Trzeba przyłożyć spirytus, a jutro wreszcie porządnie cię wykąpać.

Chciała krzyknąć, ale obłożone kompresem wargi wydały z siebie tylko cichy jęk.

– Co mówisz? Że tęsknisz za wanną? Będzie wanna, ja zawsze dotrzymuję słowa, przecież wiesz.

Znów ten śmiech. Chamski i odrażający.

– Jutro, ślicznotko, jutro. Teraz odpoczywaj. Musisz szybko dojść do formy. Potrzebna jesteś, ale nie w takim stanie. Nie śmierdząca.

Nogi, obute w ciężkie trepy, zaszurały. Spod przymkniętych powiek obserwowała, jak ciemna ludzka postać oddala się od jej pośłania. Ten potwór zaraz stąd zniknie. Odejdzie, ale za kilka godzin znowu wróci. Przyńiesie spirytus i ohydną papkę do jedzenia. A jutro... lepiej, żeby jutra nie było.

Na samą myśl o tym, że wszystko znów zacznie się od nowa, łyzy napływały jej do oczu.

– Zostaw ją już! – usłyszała jak przez mgłę drugi głos. Jemu też nadała imię. Był Cieniem, mrocznym uczniem swego mistrza. – Nie pieść się z nią tak, nie warto.

Sylwetka, która pojawiła się w prześwicie drzwi, kiwała się niecierpliwie.

– Idę przecież – odpowiedziało Zło. – Koc jej tylko dam, bo się telepie jak w febrze.

Poczuła, jak na jej wychłodzone piersi owinięte metrami bandażu spływa ciepło. Nagroda za to, że przez ostatnią dobę nie zrobiła żadnego głupiego numeru. Gdyby nawet chciała, nie byłaby w stanie. Pełna przytomność wróciła jej dopiero nad ranem. Zobaczyła zagrzybiony sufit i wiszący na ceglanej ścianie obrazek z napisem „Uśmiechnij się, to będzie dobry dzień”. Zrozumiała, że znów tu jest, w swoim więzieniu z wąskim materacem zamiast łóżka i z wiadrem na odchody.

Odczekała, aż zostanie sama. Aż zgaśnie żarówka w wąskiej śluzie prowadzącej z jej celi do wnętrza domu i szczerką drzwi do piwnicy. Podciągnęła się na zdartych łokciach i spróbowała poruszyć nogami. Ból był zbyt silny, opadła na poduszkę i zakryła dłońmi usta, by stłumić krzyk. Trzeba się uspokoić i oszczędzać siły. Kiedy minie zakażenie, ponownie spróbuje się stąd wydostać. Do tego czasu będzie posłuszna i pokorna. Musi, o ile nadal chce żyć.

* * *

Michalina przyniosła z kuchni dwa stołki i postawiła je pod oknem w zielonym pokoju. Obstawiony kosmetykami parapet szybko zamienił się w toaletkę, nawet zasłony wyregulowała tak, by wpadające przez szybę światło

stało się miękkie i sprawiało wrażenie wieczornego. Otworzyła paletki z cieniami i oparła je lusterkami o szybę.

– Usiądź wreszcie – powiedziała do Julii, poklepując siedzisko jednego ze stołków. – Z taką twarzą nie pójdziesz przecież w miasto. Trzeba cię koniecznie podrasować.

Z taką twarzą? Julia nie widziała nic złego w swojej twarzy. Na co dzień wystarczały jej jedynie krem nawilżający i błyszczczyk. Po tusz i szminekę sięgała w sytuacjach wyjątkowych. Dla Michaliny najwyraźniej każdy dzień był wyjątkowy, odkąd odkryła magię kosmetyków. Obok cieni i mascary na parapecie stanął eyeliner i rozświetlacz do policzków.

– Tylko na siebie popatrz. Chyba sama zdajesz sobie sprawę z tego, że...

– Że co, Bodnar?

– Że odstajesz. Problem jest, Julia. Jak by to ująć, żebyś dobrze mnie zrozumiała... Uważam, że masz za niski poziom Warszawki we krwi.

– Według mnie poziom jest optymalny. Poza tym nie idę na randkę, tylko do pracy. – Julia otworzyła kolorowe pudełeczko z pachnącym różem. – Ale ty się szykuj, z przyjemnością popatrzę, jak robisz z siebie słodką Barbie.

Michalina prychnęła z oburzeniem.

– Barbie to może mi co najwyżej stopy wymasować. Siadaj i ucz się.

Julia przycupnęła na stołku obok i zaczęła obserwować, jak czarny eyeliner sunie po górnej powiece Michaliny, robiąc kocie oko. Doszedł do tego smolisty tusz i szary cień, który utworzył smoky eye.

– Nieźle, co? – zamruczała Bodnar. – Tydzień ćwiczyłam, gapiąc się jednym okiem w lusterko, a drugim na makijażowe tutoriale na YouTube. Ale warto było. Jest moc. No, teraz ty. Kreska, a potem cień. Dobierzemy pod kolor tęczęwki. Powiekę masz zwykłą czy tłustą?

Julia spojrzała z rezerwą na wyciągniętą w jej stronę dłoń z eyelinerem.

– Nawet nie wiesz, o czym do ciebie mówię – westchnęła Michalina. – Zatrzymałaś się w średniowieczu. Włosów też pewnie nie nosisz? – zapytała, przyglądając się kucykowi Julii.

Sięgnęła po dużą kosmetyczkę i wyjęła z niej spięte gumką pasma blond loków.

– Prawdziwe, drogie jak cholera – poinformowała z bólem w głosie. – Termoloki chociaż masz?

Akurat były, wystarczyło wcisnąć wtyczkę do gniazdka. Po kilku minutach wałki nagrzały się na tyle, by Bodnar mogła je zawinąć na pasma i przytwierdzić klipsami do własnych włosów.

– Pierwsze wrażenie robi się tylko raz – powiedziała do swojego, prawie już gwiazdorskiego, odbicia w lustrze. – A ja mam dziś zamiar podbić ten syreni gród i trochę pohulać. Więc nie zdziw się, jeśli nie wrócę na noc. Kto wie, dokąd mnie zaprowadzi światło księżycy.

– Światło księżycy czy raczej seksualny post?

Michalina roztarła opuszką palca szminkę na ustach.

– O ile mój post się dziś zakończy, o tyle końca twojego raczej nie widać. Powiedz lepiej, czy masz jakieś dobre perfumy, bo swoich zapomniałam.

Julia przyniosła z łazienki opróżniony do połowy flakonik Pleasure.

– Bieda. Nie masz nic innego?

– Nie przeginaj, Bodnar. Jeszcze do niedawna smarowałaś się po szyi zwykłym dezodorantem w kulce.

Zostawiła ją w zielonym pokoju. W salonie sięgnęła po telefon i wybrała numer do szpitala. Poranna sytuacja z naćpanym chłopakiem z placu Szembeka nie dawała jej spokoju. W ostatnich tygodniach media stale trąbiły o kolejnych ofiarach dopalaczy i gangach sprzedających dragi niewiadomego pochodzenia. Dzieciaki z blokowisk załapywały się na tanie tabletki, chcąc odpłynąć na kilka godzin i zapomnieć o ojcu pijaku lub hejcie w szkole. Ten nastolatek też próbował uciec w nirwanę. Nawet nie zapytała go o imię. Dobrze, że przynajmniej zapamiętała nazwisko lekarza, który podpinał go pod tlen w karetkce.

Połączono ją z tym człowiekiem, ale dowiedziała się tylko tyle, że po dotarciu do szpitala przekazał chłopaka dalej, na OIOM. To znaczyło, że było z nim naprawdę kiepsko. Prawdopodobnie miał niską saturację krwi albo dostał drgawek z powodu narkotycznego szoku. Niech pani spróbuje złapać doktora dyżurnego, usłyszała.

Spróbowała, ale dyżurny był nieosiągalny. Rozłączyła się i wyszła z papierosem na balkon. Wypaliła dwa, jeden po drugim, aż serce zaczęło jej bić niepokojąco mocno.

– No i jak?

Michalina stanęła w drzwiach salonu i wygięła się w seksownej pozie. Miała już na sobie skąpy jasnoszary kombinezon. Po zdjęciu wałków jej włosy ułożyły się w miękkie fale. Dla trwałości spryskała je lakierem, by jej fryzura à la Anna Nicole Smit przetrwała wieczór.

Julia obejrzała ją od stóp do głów. Rano wyglądała lepiej. Bez grubej warstwy czerwonej szminki na ustach i zbyt mocno podkreślonych pąsem policzków.

– Cudo. Twoja kobieta tatuaż oniemieje. A propos oniemienia: mówiłaś jej, że jesteś gliną?

Bodnar uśmiechnęła się kusicielsko.

– Wysłałam jej kilka fotek w mundurze. Myślała, że to przebranie do łóżka, i niech myśli tak dalej.

– Ona też ci swoje wysłała?

– W stroju pielęgniarki.

– Mhm. Policjantka i pielęgniarka. Marzenie Freuda. Brakuje jeszcze groźnej nauczycielki z drewnianą wskazówką.

Michalina odcisnęła czerwone usta w chusteczkę higieniczną.

– Ponosi cię robaczywa wyobraźnia, ale to nawet dobrze. Może się w końcu rozkręcisz. Bo do tej pory sztywna byłaś. Maciejewski jest idiotą, że pozwolił ci odejść, ale niewykluczone, że zabrakło mu w waszym związku czegoś, co dał mu ten nowy babol. Boże, co ja wygaduję... Z tych nerwów rozum mi się sfilcował. Przepraszam cię, Julia.

Należało zakończyć tę rozmowę. Temat był mało wygodny, a poza tym do umówionego spotkania z informatorem zostało niewiele ponad pół godziny. Julia sprawdziła, czy pięć gramów amfetaminy leży bezpiecznie w torbie, po czym wsunęła na nogi skórzane botki.

– Zabiorę się z tobą – usłyszała za sobą głos Bodnar. – Poczekał grzecznie w samochodzie, a potem podrzucisz mnie pod fontanny. Między nami wszystko po staremu?

Nie czekając na odpowiedź, zastukała obcasami swoich butów na koturnach i przewiesiła przez ramię połyskliwą srebrną kopertówkę. Była w pełni gotowa na spotkanie miłości swojego życia.

* * *

Górny zgasił silnik i wyszedł na piaszczystą drogę. Od terenu ośrodka jeździeckiego dzieliło go kilkadziesiąt metrów, które z racji wybojów wolał pokonać pieszo.

Miejsce na prowadzenie stadniny wydawało się wręcz idealne. Pod lasem, z dala od asfaltu i ludzkich siedzib. Cisza, jaka tu panowała, aż kłuła w uszy. Przybytek jednak nie zachęcał, by do niego zajrzeć, sprawiał wraże-

nie prowizorki. Teren był ogrodzony z rzadka powbijanymi w ziemię palikami, między którymi ciągnęły się druty, cienkie niczym żyłki. Wokół zarosniętego placu, który z założenia miał służyć do konnej jazdy, przechadzały się dwa luzaki, skubiąc zbyt wysoką trawę. Zaraz za padokiem stał parterowy budynek podzielony niesymetrycznie – na większą część, w której mieściła się stajnia, oraz mniejszą, przeznaczoną na biuro. Górny musiał przyznać, że chociaż w tym aspekcie się postarano. Do biura prowadziły dwa solidne stopnie, a mur budynku obity został drewnianymi listwami, nawiązującymi do górskich klimatów. W skrzynkach pod oknami czerwieniły się pelargonie.

Schylił się pod drucianym ogrodzeniem i wszedł na wybieg dla koni, które podniosły z zaciekawieniem łby i wysunęły pyski, wietrząc jego zapach.

Kierował się prosto do biura z tabliczką „Ranczo Stacjonata”. Nie zdążył zapukać do drzwi, kiedy usłyszał za plecami męski głos:

– Tylko te dwa się ostały. Były trzy, ale jednego miesiąc temu zagryzły wilki.

Obrócił się. Od strony stajni szedł czterdziestokilkuletni mężczyzna w gumiakach i z widłami przerzuconymi przez ramię. Twarz miał opuchniętą, typową dla ludzi zbyt często zaglądających do kieliszka. Wytarł prawą dłoń w kraciastą flanelową koszulę i wyciągnął ją do gościa.

– Pan z policji? – zapytał. – W sprawie tych martwych dziewczyn?

Dłoń z wyczuwalnymi zgrubieniami od odcisków potrząsnęła ręką Górnego.

– Adam Górny, komenda stołeczna – przedstawił się i błysnął legitymacją.

– Moje nazwisko Zabielski. To ja do was dzwoniłem, a te dwa ciała... fatalna sprawa.

Mężczyzna wbił widły w ziemię i obróciwszy się w stronę padoku, oparł na nich dłonie, po czym powiódł wzrokiem za jednym z koni.

– Ta czarna klacz to Harfa. – Wskazał na nią palcem. – Mam ją od źrebaka. Szatan nie koń, ale kocham go jak własne dziecko. Problem tylko z nim taki, że jeśli się nie wybiega, jak należy, to gotowy rozwalić kopytami boks. Dlatego jeżdżę na nim każdego dnia przed południem. Głęboko w las i na długo, aż mu piana z pyska idzie. Dziś też pojechałem, tylko inną trasą. Zwykle galopujemy wzdłuż linii lasu, ale coś mnie podkusiło, żeby

tym razem przeciąć puszcę. Jest tu kilka ścieżek, gdzie można się rozpędzić.

– Tak znalazł pan ciała?

Zabielski wyjął z kieszeni spodni paczkę winstonów.

– Po jednym?

Zaciągnęli się dymem.

– Ciała zobaczyłem przez przypadek – wyjaśnił Zabielski. – Harfa poniosła mnie w knieje, diabeł wcielony. Gałęzie stały na tyle nisko, że przy takiej szybkości skróciłyby mnie o głowę. Musiałem zsiąść i wyprowadzić ją na szerszy trakt. Po drodze przystanąłem, bo... wie pan... pęcherz. Przywiązałem lejce do gałęzi, żeby mieć wolne ręce. Między liśćmi zobaczyłem kawałek białego materiału. Zszedłem do rowu, żeby go zabrać. Byłem pewien, że to śmieć. Kiedy pociągnąłem... – Mężczyzna pokręcił głową na to wspomnienie. – Wie pan, o czym w pierwszej chwili pomyślałem? Nie dalej jak pół roku temu, zimą to jeszcze było, też znaleziono w lesie zwłoki. I też należały do kobiety. Zagryzły ją wilki, podobnie jak mojego konia, pan wybaczy porównanie.

– Jakaś bezdomna?

Zabielski pociągnął ostatniego macha, po czym zgasił papierosa, trąc nim o podeszwę kalosza.

– Tego to ja nie wiem. Wiem tylko, że nikt o zdrowych zmysłach nie szuka zimą schronienia w puszczy. Ale bywało, że ludzie tu pobłądzili. Tak właśnie dzisiaj pomyślałem, że te dwie... i że wataha znowu zaatakowała. Jak wilki są głodne, to nie patrzą, czy człowiek, czy zwierzę. Zwłaszcza gdy wadery mają młode i szukają żarła. I powiem panu, że nawet bym w to uwierzył, gdyby nie to, że te dziewczyny leżały tak blisko siebie, i do tego zupełnie nierozszarpane. Takie cuda to się w przyrodzie nie zdarzają. Bo tamta z zimy była ogryziona niemal do kości.

– Sekcja wszystko wykaże. Na razie stwierdzono tylko ślady zadrapań.

– Ślady zadrapań... Że niby od pazurów. A co ze śladami kłów? Też powinny być, a nie ma. Przyjrzałem się temu, co wystawało spod ziemi. Ciała nie były poszarpane.

– Może wilki preferują tylko świeże mięso. Zwłoki musiały leżeć w ziemi kilka tygodni. Rozgrzebały i zostawiły.

Zabielski uniósł brwi.

– Od razu widać, że nie zna się pan na dzikich zwierzętach. Świeże czy padlina, to nie ma znaczenia. Dlatego jak wilk znajduje ofiarę, nawet mar-

twą, to nie po to, żeby podrapać ją pazurami i zostawić. Powinny być ślady zębów, to ja panu mówię. Zresztą o czym ta gadka? Słyszał pan, żeby wilki wykopywały groby dla swoich ofiar? Bo ja nie. A to był grób. Płytki, ale jednak.

Harfa podeszła do nich wolnym krokiem, po czym położyła czarny łeb na ramieniu Zabielskiego. Górny pogłaskał ją, drapiąc miękką sierść między nozdrzami.

– Myśli pan, że mógłby to zrobić ktoś z tutejszych? – zapytał wprost. – Może dotarły do pana jakieś słuchy? Ludzie z okolicy wiedzą, kogo lepiej omijać z daleka, i lubią gadać.

Zabielski się roześmiał.

– Niech się pan rozejrzy – powiedział, wskazując ręką na ścianę drzew. – Widzi pan tu jakichś ludzi? Tu jest dzicz, panie. Ze wsi do stadniny są trzy kilometry, niby blisko, ale nikt z miejscowych od dawna już tu nie zagląda. Nie żebym się skarżył, bo i mnie do nich też jakoś nie tęskno. Samemu żyć najlepiej, na zapleczu mam łóżko do spania, a w dzień gadam do tych końskich łbów. Co jakiś czas zabawi tu ktoś ze stolicy, wskoczy Harfie na grzbiet, pobawi się w Johna Wayne’a i odjedzie. I tyle tu tego, jeśli chodzi o rozmowy.

– Więc po co ten biznes? Ani ludzi, ani pieniędzy. Utrzymanie koni przecież kosztuje.

– A owszem, i to niemało. Obrok, weterynarz, prąd, cała ta buda... Od lat dokładam z własnej kieszeni, bo z tego, co przywiozą weekendowicze, ledwie starcza mi na słomę do boksów. Jeśli w tym roku nie dostanę funduszy z gminy, to nie pozostanie mi nic innego, jak zawiązać sobie stryczek na szyi. Tylko co stanie się wtedy z nimi? – Zabielski zapatrzył się na Harfę i krążącego przy niej kuca. – Wszystko rozstrzygnie się już niebawem. Daj Bóg, że los się odwróci i postawię ten majdan z powrotem na nogi.

Wyszarpnął widły z ziemi.

– Pewnie pana rozczarowałem – rzucił przez ramię, kierując się w stronę stajni. – Rozgadałem się nie o tym, o czym powinienem. Niestety, nic więcej nie wiem o tych zabójstwach. Ale ma pan rację. Tam, za lasem, na pewno jest ktoś, kto wie dużo więcej.

– Skąd ta pewność? – zaciekał się Górny.

Zabielski przystanął przed wejściem do murowańca.

– Powiedzmy, że takie mam przeczucie. I jeszcze jedno. Chciał pan, żebym panu pomógł, więc pomogę. Radę dam, bardzo cenną. Jak pan już

pojedzie do wsi, żeby wypytywać miejscowych o te morderstwa, niech pan lepiej nie wyciąga tego policyjnego świstka i nie świeci nim ludziom po oczach. Tam się nie lubi stróżów prawa. Ani innych obcych – dodał po chwili namysłu. – Do nich trzeba dotrzeć sposobem, żeby choć trochę zaufali. I niech się pan nie da nabrać na wiejską legendę. Chociaż nie... legendy pan na pewno nie usłyszysz. Nikt nie odważy się o niej wspomnieć.

– Co to za legenda?

– O diable, co z zemsty zabija ludzi. Ale to bzdury wysane z palca, szkoda na nie pańskiego czasu, niech mi pan wierzy.

* * *

Koła skody potoczyły się po kostce brukowej przy ulicy Grzybowskiej i zatrzymały na wąskiej wysepce służącej za parking dla klientów pobliskiego banku. W sobotni wieczór postój był niemal pusty, jedynie dwa identyczne motocykle marki Yamaha przytulały się do słupków oddzielających parking od chodnika.

Julia wysiadła z samochodu, zostawiając w środku Michalinę, zajęta pisaniem na telefonie, i wciągnęła w płuca powietrze zmieszane z wyciekiem spalin oraz proszkiem do prania. Na wąskim balkonie kamienicy naprzeciwko starsza kobieta w znoszonej podomce rozwieszała właśnie mokrą pościel. Trzy piętra niżej otyły szewc zamykał swój zakład, zasuwając antywłamaniową kratę.

Spojrzała na zegarek: dochodziła dwudziesta. Ruszyła szybkim krokiem w kierunku nieodległego skweru. To tu osiem lat temu odbyła się łapanka, określona przez prasę jako „kres zniw grzechu”. Ulica płonąła od świateł radiowozów, padło kilka strzałów i nieważne, że pociski były gumowe. Pocięła krew i doszło do kilku złamań. Były wściekłe krzyki i szarpanina. Echo niosło się po nocy, a okoliczni mieszkańcy albo otwierali z ciekawości okna, albo zatrzaskiwali je ze zgrozą, nie mogąc znieść przekleństw. Burdel, funkcjonujący od lat pod przykrywką pralni, która „prała” jedynie po nocach, został zlikwidowany z hukiem. Z tamtej akcji Julia zapamiętała głównie zaciekłą twarz właściciela wesołego przybytku. Jej koledzy z policyjnej jednostki wywlekli go z lokalu z wykręconymi rękami i głową przy ziemi. Spojrzał na nią spode łba i błysnął zębami. „Debile, kurwa...” – warknął i splunął krwią prosto pod jej nogi. Zaraz za nim wyprowadzono kilka dziewczyn, które gubiły po drodze buty na obcasach. Jedna z nich pła-

kała przez wykręconą na bruku nogę w kostce. A może ze wstydu. Jako ostatnia szła żona właściciela, dla odmiany wyprostowana, z podniesionym czołem. Nie uciekała wzrokiem, patrzyła im wszystkim prosto w oczy. Wysoka brunetka z mocnym makijażem i w czerwonej kiecce wyglądającej jak milion dolarów. Na jej szyi błyszczał naszyjnik z diamentów, z pewnością nie syntetycznych. Klientów puszczono wolno, rozpierzchli się w mroku ulicy, udając turystów, którzy znaleźli się w okolicach Grzybowskiej o czwartej nad ranem zupełnie przypadkowo.

Julia przecięła niewielki skwer i usiadła na ławce, otoczonej od tyłu rozróżnionymi krzakami. Było pięć minut po czasie. Sięgała już po telefon, kiedy usłyszała znajomy głos.

– Masz towar? – Wysoka brunetka przysiadła obok niej i założyła nogę na nogę. Miała zapadnięte policzki i ciemne wykwitki na szczęce, które przebijały przez warstwę pudru. Spod kusej czarnej spódnicy wyrzała koronka samonośnych pończoch. – Najpierw śnieg, potem możemy pogadać.

Lata, jakie minęły od „kresu żniw”, zmieniły ją z dumnej burdelmamy w kobietę zmęczoną życiem. Za stręczycielstwo dostała zaledwie dwa lata za kratami, obniżone z pięciu. Była na tyle rozgarnięta, żeby skalkulować, co jej się bardziej opłaca: udawać niewinną czy zacząć sypać. Opowiedziała więc ze szczegółami, jak i skąd jej mąż pozyskiwał panienki i gdzie wyprowadzał brudne pieniądze. W ten sposób dołożyła mu do wyroku jeszcze sześć lat. Wtedy nie zastanawiała się, jak małżonek się odwdzięczy, kiedy już wyjdzie na wolność. Uznała, że dekada to dużo czasu, by wykombinować, gdzie się zaszyć. Chciała po prostu opuścić zakład karny. Gdy tak się stało, sprzedała mieszkanie i spłaciła długi. Z tego, co zostało, kupiła kawalerkę i wróciła do biznesu. Tyle że już nie jako stręczycielka, ale podstarzała dziewczyna na godziny.

Julia wyjęła z torby foliową torebkę z białą zawartością i położyła ją na wyciągniętej dłoni kobiety.

– Jak ci się żyje z nowym nazwiskiem, Weroniko?

Wzruszyła ramionami.

– Gdybym tak mogła jeszcze podmienić sobie gębę na inną, może byłaby z tego jakaś korzyść – odparła beznamiętnie. – Twój pomysł ze zmianą tożsamości był może i dobry, ale i tak tkwię w gównie.

- Dostałaś to, co chciałaś: wolność i nowe papiery.
- Myślisz, że to mnie urządza? Spieprzyłaś mi życie, Krawiec. Powiedz, źle ci było ze mną? Miałaś informacje z pierwszej ręki.
- Nie ja kazałam cię wsadzić. To był odgórny rozkaz. Nie możesz mieć pretensji.
- Przestań tam, rozkaz... Wszystko poszło się jebać, cały biznes. A teraz co? W nerwach żyję.
- Mogłaś stąd wyjechać i zniknąć.
- Parsknęła i podrapała się po odsłoniętym udzie.
- Chyba tylko pod ziemią. Tam może ten sukinkot by mnie nie dorwał. Wiem, że ma porozstawianych ludzi po mieście. Obserwują mnie. Przed nim nie ma ucieczki.
- Kiedy wychodzi?
- Pytasz, bo chcesz się znowu o mnie zatroszczyć? – spytała kpiąco.
- Mój limit troski o ciebie już się wyczerpał. Więc... kiedy?
- Za dwa lata. Szybko zleci. Ale masz rację, to już nie twoje zmartwienie. A teraz mów, czego ode mnie chcesz.
- Informacji.
- To wiem. Konkret, Krawiec. Za pół godziny mam umówionego klienta w Novotelu, więc się streszczaj.
- Wyjęła puderniczkę i sprawdziła, czy od upału nie zwarzył jej się podkład na twarzy i nie odsłonił zanadto narkotykowych przebarwień.
- Szukam niejakiej Stelli – powiedziała Julia, przyglądając się, jak odcisnięta w pudrze gąbka sunie po policzkach i brodzie kobiety.
- Stella... Stella – zamruczała.
- Skup się.
- Nie muszę. Stella, czyli śląska Kaśka. Znam, aż za dobrze. Pracowała u mnie, zanim zmiotliście z ulicy naszą pralnię. Miała klasę, przyznam. Figura słaba, ale łeb na miejscu. Czarowała tych durni, aż miło było patrzeć. Ale to było kiedyś.
- Gdzie teraz pracuje?
- Z tego, co mi wiadomo, przez jakiś czas łajdaczyła się za półdarmo pod nocnymi klubami. Przestała się szanować. Zgarniała ostatnich łachmaniarzy, co to nie dają rady wyrwać nikogo przy barze. Ale ostatnio ponoć zmądrzała.
- Nie wiem, co to znaczy w waszym świecie. W moim, jak ktoś mądrzeje, to zwykle zakłada rodzinę albo idzie na studia.

– Ona też poszła. Prosto pod uniwersytet. Tam kręcą się ładne, młode dupcie.

– Nagabuje dziewczyny?

– Zaraz nagabuje. – Upudrowana buzia wykrzywiła się z niesmakiem. – Daje im szansę na lepsze życie.

– Szlachetne. Tylko że teraz uniwersytet jest zamknięty. Wakacje są. Więc? Palec Weroniki zanurzył się w torebce z białym proszkiem.

– Zaczyna towar, postarałaś się.

– Do tego drogi. Mów, gdzie znajdziesz Stellę.

– Jest taki klub dla panów. Ale ciebie tam nie wpuszczają. Musiałabyś mieć penisa i być do tego dziana jak cholera. Black Mirror się nazywa.

– Jak ten serial?

– Może i tak. Nie znam, choć wieczory spędzam zazwyczaj na kanapie. – Roześmiała się rozbijającą. – Niestety, nie z popcornem. Więc jeżeli już coś oglądam, to tylko instruktażowe różowe landrynki, przynajmniej można co nieco podpatrzeć i przekuć potem na szeleszczący banknot.

– Wydawało mi się, że wszystko, co mogło zostać wymyślone w porno, zostało już wymyślone.

– Co ty wiesz o porno, Krawiec... – zaśmiała się Weronika. – Polecę ci kilka perełek z nagród AVN, to oczy ci się otworzą. Esemesem puszcze tytuły, może być?

– Może. Najwyższy czas się doksztalić. To gdzie jest ten lokal?

– Przy Nowym Świecie. Zobaczysz od razu, czarne szyby i złoty napis. Tancerki, striptiz i prywatne łóżka.

– Po czym ją poznam?

– Po pomponie na tyłku. Robi za króliczka przy wejściu. Wpuszcza frajerów i przekazuje ich dalej, by dziewczyny mogły ich porządnie oskubać z kasy.

– Prestiżowa fucha – przyznała Julia, podnosząc się z ławki.

– Lepsze to niż sterczenie po nockach pod mordownią z cuchnącymi kebabami.

Obróciły się w stronę ulicy. Od parkingu, gdzie stała skoda, dochodziła regularna pyskówka.

– Co to za zwarcie? – Weronika zmrużyła oczy, próbując rozpoznać szamoczące się ze sobą dwie kobiety. – Jakaś nowa rzuca się na mojej ulicy. Tę drugą znam, to Mechata Jola.

– Ja natomiast znam pierwszą – mruknęła Julia.

Przyśpieszyła kroku. Zanim doszła, Bodnar stała już okrakiem nad Mechatą Jolą. Jedną ręką przytrzymała jej nadgarstki na plecach, drugą zaciskała na włosach.

– Wzięła mnie za dziwkę, wyobrażasz sobie? – wyjaśniła wściekła. – Kazała opuścić rewir. Nie wiesz, z kim zadarłaś, panienko – warknęła kobiecie do ucha.

– Panna Jola ma rację, to nie twój rewir – stwierdziła Julia. – Puść ją i wracaj do auta.

Pomogła dziewczynie wyczołgać się spomiędzy zaciśniętych nóg Bodnar.

– Poszły stąd precz, obie! – wrzasnęła Mechata Jola, chwiejąc się na niebotycznych koturnach, niewiele wyższych od tych, jakie miała na swoich stopach Michalina.

Bodnar wyciągnęła ponownie ręce do bitki, ale Julia powstrzymała ją w ostatniej chwili.

– Posłuchaj pani, kiedy ładnie prosi.

– Chyba nie słyszałaś, co do mnie mówiła ta wywłoka!

– Słyszałam. Wsiadaj do skody.

Wepchnęła ją do samochodu i zatrzasnęła drzwi, po czym usiadła za kierownicą.

– Za napaść na funkcjonariusza powinnam ją zawlec za te rude kudły prosto do komisariatu. – Michalina szarpnęła pasem bezpieczeństwa. – Nie rozumiem, po co mnie hamowałaś.

– Właśnie po to. Żebyś nie wparowała na komendę w takim stroju i tym czymś na twarzy. – Julia wykonała ręką ruch w okolicy ust. – Nie odróżniłby cię od panny Joli.

Bodnar spojrzała w lusterko pasażera.

– Bez kitu... Ten cholerny babol podrapał mnie po policzku!

Julia wykręciła ze spokojem w Marszałkowską i skierowała się na północ, ku Starówce.

Michalina przycichła, trzymając przy twarzy chusteczkę. Myślami była już z dala od awantury przy skwerze. Patrzyła przez szybę dziwnie spłoszona, podgryzając złamany w walce niebieski paznokieć.

– Jak się nazywa? – Julia wyrwała ją z zamyślenia. – Pytam o tę twoją nową dziewczynę.

– Mirella.

– Ładnie.

– Mhm. Nie spotkałam jeszcze nikogo o takim imieniu. Rzadkie, prawda? Wyjątkowe, jak ona sama.

– A nazwisko jakieś ma?

Bodnar poruszyła się ze zniecierpliwieniem.

– Nie pytałam. Zresztą czy to ważne? Pozwól mi się cieszyć tą randką, możesz?

– Mirella bez nazwiska – mruknęła Julia.

Było tak, jak się obawiała. Michalina zmieniła się, ale tylko na zewnątrz. W głowie wciąż pozostawała tym samym naiwnym stworzeniem. Planowała noc z kimś, o kim wiedziała tylko tyle, że zagadał do niej na Tinderze, ucieszył oko wyglądem i ciepłymi komentarzami.

Podjechały pod fontanny od strony Wybrzeża Gdańskiego. Na rozległych trawnikach ciągnących się wzdłuż skarpy Podzamcza gromadziły się już grupki ludzi oczekujących na cowieczorny spektakl woda – światło – dźwięk. Przysiadali na kocach lub swetrach i wypatrywali pierwszych laserów, które miały wystrzelić i spleść się z kanonadą wody.

– Serce mi zaraz wybuchnie – jęknęła Michalina, wypatrując wśród spacerowiczów znajomej twarzy.

Julia pogłodziła ją po podrygującym kolanie.

– To ty masz być nagrodą dla niej, a nie na odwrót. Zapamiętaj to sobie.

Chyba to do niej nie dotarło, więc spróbowała wyrazić się jaśniej:

– Obiecuj, że nie zakochasz się zbyt szybko.

– Obiecuję. Jezu, jak się trzęsę. Umrę zaraz.

– To może zacznij oddychać. Oddychaj, Bodnar.

Wykonała grymas, który miał być uśmiechem.

– Dam radę. I na pewno się nie zakocham. Chcę się tylko przekonać, czy to moja bratnia dusza.

– I będziesz się przekonywać całą noc? – zaśmiała się Julia. – Podobno mam nie czekać na ciebie z kolacją.

– Nie bądź drobnomieszczańska. Prowincja z ciebie wychodzi.

– Już to gdzieś słyszałam. Idź, gwiazdo. Odzywaj się co jakiś czas, że żyjesz.

– Popadasz w dramę, Krawiec. Córki pilnuj, nie mnie. – Przewróciła oczami i wyskoczyła z auta.

Julia patrzyła z rozbawieniem, jak idzie chodnikiem na swoich koturnach, łapiąc z trudem równowagę, po czym znika w podziemnym przejściu.

Sylwia najwyraźniej dobrze się bawiła w Zakopanem, bo od wczorajszego wieczoru nie odezwała się ani słowem. Julia wybrała w telefonie jej numer i zastygła w oczekiwaniu. Po kilku sygnałach usłyszała głos córki:

– No, mam, nareszcie! Nie opłaciłaś mi komórki i nie mogę się do nikogo dodzwonić. Taka z ciebie matka...

W ferworze pakowania walizek Julia całkiem zapomniała o czymś tak przyziemnym jak doładowanie karty.

– Z telefonu dziadka nie mogę dzwonić, bo babcia cały czas robi sobie zdjęcia – tłumaczyła dalej z pretensją. – Ja mam tylko jedno, i to razem z nią. Nie mam nawet czego wysłać Jagodzie. Normalnie żenua.

– A hotel chociaż dobry?

Sylwia zaczęła kwękać.

– Nudno tu i drętwo. Sami starzy ludzie.

– W całym Zakopanem?

– W całym. Zjazd emerytów.

– Biedne dziecko – roześmiała się Julia. – Pamiętaj o inhalatorze, jak będziecie iść w góry.

– Jakie góry? – zaperzyła się Sylwia. – Babcia mówi, że puchną jej nogi w kostkach, a dziadek chodzi ze mną tylko na Krupówki. Myśli, że nie widzę, jak kupuje sobie takie małe buteleczki z wiśniówką. Załatwiłaś mnie na szaro, miej świadomość. Czekają mnie dwa tygodnie cierpienia i mogę je przeżyć tylko z doładowaną kartą. Kontakt ze światem jest mi niezbędny, mam. Co tak gra? – zapytała, słysząc dźwięki dochodzące z parku fontann. – Tylko mi nie mów, że się gdzieś świetnie bawisz beze mnie.

Julia obserwowała, co dzieje się po drugiej stronie ulicy. Michalina dotarła już pod fontanny i biegła między ludźmi w poszukiwaniu nowej ukochanej. Jej szary kombinezon przemieszczał się z szybkością światła.

Podniosła szybę, chcąc się odciąć od zbyt głośnej muzyki.

– Bez ciebie nie ma dobrej zabawy, kochanie. Muszę już kończyć. Uważaj na siebie i nie jedz tylko pizzy.

– Jem zapiekanki. Bo przecież nie te skrzypiące w zębach oscypki.

– Oscypki – poprawiła ją Julia.

– *Whatever*. Przywiozę ci kilka, bo wiem, że lubisz, choć to paskudne paskudztwo. Tylko doładuj mi kartę. Kontakt ze światem, nie zapomnij.

Kiedy córka się rozłączyła, Julia weszła na profil Emilii na Facebooku. Sylwia nie myliła się, mówiąc, że babcia przesadza ze zdjęciami. W ciągu

jednego dnia trzykrotnie zmieniała kreacje i pozowała na tle mostku na Krupówkach, na balkonie i w restauracji z widokiem na Giewont.

Odłożyła telefon i jeszcze raz spojrzała na zatłoczone Podzamcze. Bodnar stała już z Mirellą. Wpatrzona w nią i szczęśliwa, przynajmniej tak to wyglądało. Słuchała, co mówi tamta, delikatnie odgarniając jej przy tym włosy z wytatuowanej twarzy.

ROZDZIAŁ IV

Dzień dopiero się zaczynał, gdy Julia stanęła przed jedenastopiętrowym blokiem przy Anielewicza. Mrówkowiec, choć nowoczesny, zdawał się niewiele różnić od tego, w którym sama mieszkała. Przemknęło jej przez myśl, że ktoś z politycznego świecznika powinien mieszkać w czymś bardziej imponującym. W bliźniaku za miastem albo przynajmniej na strzeżonym osiedlu. Bez widoku na Powązki. Sąsiedztwo niby spokojne, ale żeby z własnego wyboru patrzeć każdego dnia na groby?

Wcisnęła guzik z numerem mieszkania. Zamek puścił, zanim zdążyła oderwać rękę od domofonu. Wjechała windą na najwyższe piętro. Drzwi do lokalu były już otwarte. Stał w nich Lewicki, mimo niedzieli ubrany w białą koszulę pod garnitur, szare spodnie na kant i sznurowane buty. Odsunął się od progu, robiąc jej przejście do przedpokoju.

– Proszę tędy, od razu do gościnnego – powiedział, zapominając o powitaniu. – Zaraz zawołam żonę.

Julia miała czas, żeby rozejrzeć się po salonie. Lewiccy musieli kochać antyki, bo pokój naszpikowany był ciężkimi meblami z ciemnego dębu. Przytłaczały pomieszczenie, czyniąc je niskim i mrocznym. Efekt ten pogłębiały głębokie fotele obite zieloną ekoskórą. Tylko stolik pod telewizorem był lekki, miał długie cienkie nogi, typowy model z epoki gierkowskiej. Nie musiała podchodzić do okna, by zza gęsto drapowanych firan dostrzec cmentarz. Rozciągał się niczym Panorama Raławicka.

Obróciła się, słysząc za plecami ciche chrząknięcie.

– Dorota Lewicka. – Kobieta wyciągnęła rękę na przywitanie. – Matka Sary – dodała.

Były do siebie podobne. Na Julię patrzyły te same oczy, duże i ciemnoniebieskie, co na zdjęciu nastolatki, które dostała od Lewickiego. Kontra-

stowały z niemal mleczną cerą i jasnymi włosami. Sara miała długie, sięgające za łopatki, natomiast jej matka była krótko ścięta, ale to w żaden sposób nie czyniło jej mniej atrakcyjną. Przeciwnie, przy szczupłej sylwetce i kształtnej głowie taka fryzura dodawała jej klasy i uroku. Ubrana była w bladożółtą, elegancką, kopertową sukienkę z motywem pawiego oka przy dekolcie. Prawdopodobnie miała zamiar wybrać się ze swoim równie eleganckim mężem na przedpołudniowy spacer, zakłócony wizytą Julii. Tylko stopy wciąż miała bose.

– Krawiec. – Julia potrząsnęła jej dłonią. – Rzadko kiedy nachodzę ludzi o tak wczesnej porze. Mam nadzieję, że to nie kłopot.

– Żaden. Oboje wstajemy wcześniej, a teraz... teraz i tak niemal nie śpię po nocach. Wyobrażam sobie wszystko, co najgorsze. Wieczory i poranki są najtrudniejsze, na pewno pani to rozumie.

Julia kiwnęła bez słowa głową.

– Mąż wspominał, że potrzebuje pani informacji o naszej córce. Z tym że my już wszystko powiedzieliśmy. Sara wyszła z domu, zabierając ze sobą jedynie dokumenty, telefon i co lepsze ubrania. Nie zostawiła żadnego listu ani informacji. Ma pani dzieci?

– Tak, córkę.

– Córkę... – powtórzyła Lewicka. – Niech jej pani pilnuje. My mieliśmy dwie. Dwie kochane dziewczynki.

Przeciągnęła brzegiem dłoni pod wilgotną powieką.

– Nie powinnam mówić o niej w czasie przeszłym. Wciąż mamy dwoje dzieci, nie wolno mi myśleć inaczej.

Lewicka spojrzała na przeszkloną biblioteczkę stojącą pod ścianą. Za szybą były dwa zdjęcia córek w komunijnych sukienkach, a pomiędzy nimi srebrny krucyfiks.

– Czasami myślę, że to za jakąś naszą przewinę – powiedziała ściszym głosem. – Uczy się nas, jak mamy rodzić nasze dzieci, ale przepis na to, jak je wychować, musimy znaleźć już całkiem sami. Po drodze popełniamy błędy, o których dopóty nie wiemy, dopóki one nam tego nie uświadomią. Zwykle robią to w okrutny sposób, jakby chciały nas za nie ukarać.

Do pokoju wszedł Lewicki. Podał żonie filiżankę z kawą, a drugą, dla Julii, postawił na ławie.

– To jej pierwszy raz, kiedy uciekła z domu? – spytała.

Lewiccy spojrzeli po sobie porozumiewawczo.

– Pierwszy – odpowiedzieli zgodnie, ale w ich głosach wyczuła fałszywą nutę.

Odczekała, aż oboje to przemyślały, ale żadne z nich nie wyrwało się do sprostowania.

– W ten sposób nie znajdę Sary – powiedziała po kilku chwilach ciszy. – Jeśli chcą państwo wystawić córcę laurkę za dobre zachowanie, to chyba nic tu po mnie.

Lewicka wzięła głęboki oddech.

– Za pierwszym razem zniknęła tylko na trzy dni – wyznała zrezygnowana. – To było półtora roku temu. Kiedy wróciła, przeproszała i obiecywała, że to się nie powtórzy. Jednak powtórzyło się, zaledwie dwa miesiące później, tym razem na cały tydzień. Ale przynajmniej się odzywała, wiedzieliśmy, że żyje, choć do tej pory nie mamy pojęcia, gdzie się wtedy podziewała. Nie było sposobu, żeby to z niej wycisnąć. Daliśmy jej szlaban na wszystko poza szkołą. Nie powiem, pilnowała się. Myśleliśmy, że na tym się skończy, że zmądrzeje.

– Ty tak myślałaś – poprawił ją Lewicki. – Ja od razu wiedziałem, że to był tylko rozbieg. Zasmakowała wolności i w końcu się nią udławiła. Wolę nie myśleć, co robi poza domem.

– Katolickim – wtrąciła Julia.

– Tak, katolickim. Ma pani coś przeciwko przykazaniom? Tylko dzięki nim nasz moralny kręgosłup jeszcze się jako tako trzyma. Pani, mam nadzieję, wierząca?

Lewicka poruszyła się w fotelu.

– Daj spokój, kochanie. Nie nasza sprawa.

– Jak najbardziej nasza. Płacę tej pani...

– Nie za to. Więc przestań, proszę. Nic nam do tego.

– Chciałabym zobaczyć pokój Sary. – Julia przerwała wymianę zdań, która stawała się niedorzeczna.

Milczenie Lewickich wzięła za zgodę. Matka dziewczyny wskazała drzwi po prawej stronie przedpokoju.

– Chcę tam wejść sama – zastrzegła Julia.

– Nie będziemy przeszkadzać – zapewniła Lewicka. – Niczego tam nie ruszałam. Wszystko jest tak jak w dniu jej zniknięcia. Zdjęłam tylko pościel z łóżka.

Julia zostawiła Lewickich w salonie i weszła do pokoju dziewczyny. Zamknęła za sobą drzwi z naklejoną od wewnątrz tapetą we wzór kliszy fil-

mowej i rozejrzała się po dwunastu metrach kwadratowych.

Świat nastoletniej Sary prezentował się zupełnie inaczej niż salon. Nie była to też jaskinia typowej zbuntowanej licealistki. Łóżko przykrywała patchworkowa narzuta w kolorowe romby, a na zagłówku wisały różowo-niebieskie cotton ballsy, czyli – jak je nazywała Sylwia – bombkowe lampki. Pod parapetem stał biały fotel ze złotą poduszką w kształcie gwiazdy, natomiast tuż obok, przy ścianie, biurko podzielone na strefę do nauki i do makijażu. Nad makijażową częścią blatu wisiało prostokątne lustro okolone żarówkami. W gniazdku wciąż tkwiła wtyczka od suszarki do włosów. Podłogę przykrywał dywan w błękitne pasy.

Nie tak wyobrażała sobie to miejsce. Sara, jaką przedstawiła Andżelika Wasiak, nie powinna mieszkać w pokoju słodkiej księżniczki. Dziewczyna ewidentnie prowadziła podwójne życie. Jedno determinowały zasady dekalogu, drugie – twarde zasady seksbiznesu.

Julia usiadła przy biurku i wysunęła szufladę. Pisaki, ołówki i kilka miniaturowych notesów z wizerunkami gwiazd kina. Sara musiała być fanką filmu, zwłaszcza że w stojaku sięgającym połowy ściany połyskiwały plastikowe obwoluty płyt DVD. W drugiej szufladzie znajdowały się kosmetyki. Nie było ich wiele. Jak na osiemnastolatkę kolekcja wydawała się wręcz skromna. Jedna paletka cieni, jedna czarna kredka do oczu i bezbarwna pomadka. Resztę musiała zabrać ze sobą. Tusz, czerwona szminka i mocne cienie były uzupełnieniem kusicielskiej bielizny, którą zrzucała podczas swoich występów.

Drzwi skrzypnęły i stanęła w nich Lewicka.

– Wiem, że miałam nie wchodzić, ale... to jest ten sygnet, o którym wspominał pani mój mąż. – Wyciągnęła rękę i pokazała leżący na dłoni złoty pierścień z brylantami. – Nie wiem, kto był tak wspaniałomyślny, że podarował go naszej córce. Musi być wart majątek.

– Z pewnością do tanich nie należy – odparła Julia, przyglądając się połyskującym kamykom. – Byłabym jednak powściągliwa w nazywaniu tego kogoś wspaniałomyślnym.

– Tak, słyszałam o mieszkaniu przy Wilczej i o tym, że córka zeszła niby na złą drogę. – Matka Sary pokręciła głową. – Ale ja w to nie wierzę. Musiała zajść jakaś pomyłka. Sara by tego nie zrobiła. Nie byłaby do tego zdolna.

– W takim razie skąd miała to cacko? – Julia wskazała wzrokiem na sygnet.

Lewicka mogła jedynie wzruszyć ramionami.

– Zupełnie nie ciągnęło jej do mężczyzn. Jej przyjaciółki wciąż umawiały się na randki i zmieniały narzeczonych, ale nie ona. Sara nigdy nie miała chłopaka.

– Może po prostu o tym nie mówiła?

– Och, nie. – Lewicka znów pokręciła głową. – Wiedzielibyśmy, zapewniam panią. Takich spraw nie da się ukryć, na pewno nie przed matką. Właśnie dlatego nie wierzę, że zgrzeszyła. I do tego za pieniądze? Absurd.

Nie było sensu jej przekonywać, że nie ma pojęcia, co dzieje się w życiu Sary. Jak każda matka odsuwała od siebie myśl, że jej mała córeczka zamieniła zabawę szmacianymi lalkami na zajęcie o znacznie cięszym kalibrze.

– Z tego, co widzę, Sara była fanką kina. – Julia gładko zmieniła temat.

Kobieta przesunęła wzrok na stojak z płytami DVD.

– Odkąd pamiętam, chciała zostać aktorką. Zaczęło się, gdy miała sześć lat i właśnie rozpoczęła swój pierwszy rok nauki. Była najmłodsza w grupie i wśród siedmiolatków miała prawo czuć się zagubiona, dlatego postanowiłam zrobić jej przyjemność i nieco ją rozweselić. Zaraz po rozpoczęciu roku szkolnego wybrałyśmy się do teatru, na przedstawienie dla dzieci. Kukiełkowe, ale i tak siedziała z rozdziawioną buzią. – Lewicka uśmiechnęła się na to miłe wspomnienie. – Potem przyszedł czas na kino i wpadła już po uszy. Sara miała w tym roku złożyć papiery do szkoły filmowej, nie wiem, czy mąż wspominał...

– Nie było okazji.

– Nawet nie podeszła do matury. Miałam nadzieję, że się opamięta i wróci na czas egzaminów, ale niestety... Po prostu rzuciła szkołę i zniknęła, jakby nagle wszystko przestało się dla niej liczyć. Żeby tak zniszczyć swoje marzenia o aktorstwie... Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.

Julia zawahała się, czy powinna wyznać tej kobiecie prawdę i wyjaśnić, że Sara nie całkiem zrezygnowała z odgrywania ról, a jedynie zdecydowała, że finansowo lepiej wyjdzie na pozowaniu przed kamerą komputera, a nie filmową, ale postanowiła to przemilczeć.

– Marzenia nastolatek bywają przelotne, nie warto się do nich przywiązywać – odparła wymijająco. – Dziewięć na dziesięć nigdy nie zostanie zrealizowanych. Da mi pani jeszcze chwilę? – spytała, sugerując, by Lewicka wycofała się z pokoju.

Kobieta wyszła tak samo bezszelestnie, jak się pojawiła. Julia wyjęła telefon i zabrała się do robienia zdjęć wszystkiemu, co znajdowało się

w sypialni Sary. Nie śpieszyła się. Przerwała dopiero, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

Nacisnęła klamkę. W progu stała dziewczyna w bawełnianym szarym dresie i czerwonych skarpetkach. Musiała być starszą siostrą Sary. Podobieństwa między nimi jednak nie było. Wdała się w ojca, miała zdecydowanie ostrzejsze rysy od siostry i inny rozstaw oczu. Były osadzone blisko siebie, co powodowało lekką dysproporcję twarzy. Włosy miała jasne, ścięte na jeża, ale z nieco dłuższą grzywką ułożoną na lewo.

– Podobno ojciec panią wynajął – powiedziała dziewczyna chropowatym głosem, opierając się ramieniem o framugę drzwi.

Julia wrzuciła telefon do torby i wyciągnęła rękę do powitania.

– Moje nazwisko Krawiec. Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach.

– Bez przesady, na razie nikt nie umarł – zauważyła kąśliwie dziewczyna. Obejrzała się przy tym w stronę na wpół przymkniętych drzwi do salonu.

– Zapewniam, że zrobię wszystko, by Sara wróciła do domu.

– Wszystko? No, to ojciec musiał się nieźle wykosztować. Ile pani zapłacił? Zresztą nieważne. Sara nie po to nawiała, żeby dać się złapać.

Było w niej coś kanciastego i surowego. W gestach i w tym, jak mówiła o młodszej siostrze. Nie były już dziećmi, żeby się wzajemnie nie cierpieć. Ten etap dawno miały za sobą, a jednak musiała istnieć między nimi jakaś głęboka zadra. Dziewczyna w dresie nawet nie udawała, że martwi ją zniknięcie Sary. Rodzinne relacje to kopalnia absurdu, przeszło Julii przez myśl. Sama wciąż miała w pamięci to, co wiosną spotkało Lidię. Swoją przyrodnią siostrę znała tyle co nic, a jednak świadomość tego, że mogła zginąć, nie pozwalała jej normalnie funkcjonować. Jak widać, w rodzinie Lewickich sprawy miały się zupełnie inaczej.

– Jak ci na imię? – zapytała.

– Reni. Od Renaty.

– Spodziewałam się czegoś biblijnego.

– Może Racheli albo Abigail? – zaśmiała się głośno Reni. – Starzy za późno wpadli na ten pomysł i na biblijne załapała się tylko Sara.

– Dlaczego myślisz, że nie wróci?

– Ja nie myślę, ja to wiem. Powiedziała mi to prosto w oczy.

– Uwierzyłaś?

– Moja młodsza siostrzyczka tym razem popłynęła z prądem. A jak się zbyt daleko wypłynie, powrót jest niemożliwy. Wie pani, fale, morskie prądy, te sprawy.

– Tak, piękna metafora. Do tej pory Sara pływała przy brzegu?

– Bliżej, dalej, ale zawsze w zasięgu wzroku. Teraz to co innego. Szkoda tylko, że starzy tego nie rozumieją! – krzyknęła w stronę pokoju rodziców. – Łudzą się, że pewnego dnia zapuka do drzwi, oni za karę postawią ją do kąta, a potem znów wszystko będzie jak dawniej.

Julia przyjrzała się jej skwaszonej minie.

– Chyba nie za bardzo lubisz swoją siostrę?

Reni wzruszyła ramionami.

– Lubię, nie lubię... To bez znaczenia. Ale szkoda mi jej, bo całkiem zgłupiała.

– Ostro.

– Prawdziwie. Nie znoszę mydlenia oczu. Nie jestem taka jak oni. – Wskazała głową na drzwi do salonu. – Powiedziałam, że zgłupiała, i to jest prawda. Starzy powinni odpuścić i dać sobie spokój z tymi poszukiwaniami. Jej życie, jej wybór.

– Nie jest ci bliska?

– Tego nie powiedziałam. Wyszłyśmy z jednego brzucha, więc coś tam do niej czuję.

– Miłość z urzędu?

– Bardziej ustawienia fabryczne – odparła z uśmiechem Reni.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła, jakby zastanawiała się nad sytuacją. W końcu oderwała ramię od framugi i zamknęła drzwi.

– Muszę pani o czymś powiedzieć – rzekła ściszym głosem. – Ale nie tutaj, nie w domu. Tu ściany mają uszy. Starzy obserwują mnie, jakbym i ja miała zniknąć.

– Ile masz lat, Reni?

– Dwadzieścia. Pyta pani, bo nie wierzy, że można dorosłej kobiety pilnować jak jakiegoś gówniarza? Zapewniam, że można.

– Można też się wyprowadzić.

– Gdybym tylko miała hajs, zwinęłabym się stąd w pięć minut. Tylko że w przeciwieństwie do mojej siostry nie mam dość odwagi, by stanąć na własnych nogach. Przynajmniej na razie.

– Ty wiesz, co się z nią dzieje, prawda? Po to do ciebie dzwoniła, żebyś przynajmniej ty była o nią spokojna.

Zrobiła tajemniczą minę.

– Właśnie o tym chcę pogadać. Ustawmy się gdzieś na mieście. Ma pani jakiś numer telefonu?

– Jakiś mam. – Julia wyjęła z torby portfel i wyciągnęła wizytówkę. – Jeszcze jedno: czy Sara miała chłopaka? Twoja matka twierdzi, że...

Reni parsknęła dość ostentacyjnie.

– Miała. Jezus Chrystus się nazywał. Matka Maryja, ojciec nieznany. Albo jak kto woli: gołąb. Tylko takiego mogła kochać oficjalnie. Ale, zdaje się, nie o niego pani pyta.

– Raczej nie.

– Tak czy owak, już zna pani odpowiedź.

Szczęknięcie drzwi przerwało ich rozmowę. Lewiccy musieli słyszeć jej strzępy, bo na twarzy mężczyzny rysowało się rozdrażnienie. Jego żona też nie wyglądała na zadowoloną. Reni wolała zejść im z oczu. Schowała szyję w bluzę od dresu i zniknęła w swoim pokoju.

– Nie wiem, co w nią wstąpiło – warknął Lewicki, patrząc na zatraskujące się za córką drzwi. – Odkąd nie ma Sary, zaczęła bluźnić. Wcześniej się tak nie zachowywała.

– Po złości mówi – odezwała się kobieta. – Wszyscy ostatnio żyjemy w napięciu.

– Nie byłoby napięcia, gdybyś trzymała je obie krótko. – Lewicki ściał żonę wzrokiem.

– Robiłam, co mogłam, by dobrze wychować nasze dzieci, tylko...

– Coś poszło nie tak – podpowiedziała Julia.

– To wszystko da się jeszcze naprawić. Jak tylko Sara wróci, znowu będzie normalnie. Zejdzie ze złej drogi i się nawróci. Oboje w to wierzymy, prawda, kochanie?

– Tak właśnie będzie – potwierdził Lewicki. – Ale już inaczej, tym razem po mojemu.

W jednej chwili cała trójka obróciła się w stronę drzwi od pokoju Reni, zza których dało się słyszeć histeryczny śmiech.

* * *

– Miałam nadzieję, że cię tu zastanę. – Julia weszła do gabinetu Górnego, rzuciła torbę na puste biurko Szymańskiego, po czym rozsiadła się w jego

obrotowym krześle. – Wracam od Lewickich. Powinieneś wiedzieć, że zapłacili mi za odnalezienie Sary.

Adam ślęczał nad stertą dokumentów. Poza sprawą z Kampinosu wpadła mu kolejna, o nocny rozbój w całodobowym sklepie z alkoholami, który zakończył się śmiertelnym pobiciem sprzedawcy. Odsunął raporty na brzeg biurka i oparł stopy o krawędź blatu, a potem splótł dłonie na brzuchu i zamknął oczy.

– Tylko pogratulować. Ale mnie w to nie mieszaj, sprawę Lewickiej przejęła obyczajówka.

– I nie interesuje cię, co się z nią dzieje?

– Nic a nic. We łbie mi się kręci od tej ilości papierów. Muszę zrobić szybki reset, a najchętniej to przytuliłbym jakąś mocną kawę.

Na w pół otwarte oko skontrolowała, czy Julia domyśli się, by podnieść z krzesła pośladki i wcisnąć guzik w ekspresie.

– Podobno życie staje się prostsze, kiedy prośbę wypowiada się wprost – zasugerowała i ruszyła do maszyny. Podstawiła pod dyszę dwa kubki, po czym szarpnęła drzwiczkami podręcznej szafki z cukrem i mlekiem. – Chodzi o te ciała w lesie? – spytała, rozglądając się za kartonem. – Byłeś, widziałeś?

– Byłem i widziałem. Dwie dziewczyny zakopane w płytkim wąwozie. Facet z ośrodka jeździeckiego znalazł je przypadkiem.

– W życiu nie ma przypadków.

– W takim razie znalazł je, bo było to jego przeznaczenie. Lepiej?

– Zależy dla kogo. Dla mordercy zapewne nie. Już bardziej dla rodzin tych kobiet. Wszystko jest kwestią perspektywy. Wiesz już, co je zabiło?

Górny zsunął nogi z biurka, wstał i zaczął rozciągać plecy.

– Na to jeszcze za wcześnie. Pogrzebałem trochę w aktach, próbując doszukać się jakichkolwiek podobieństw między tą zbrodnią a jakimiś starymi, ale niestety.

Julia podała Adamowi parujący kubek i po chwili zanurzyła usta w swojej kawie.

– Może ja będę coś kojarzyć. Mów.

– Pochowano je w zgrzebnych białych koszulach...

– Zgrzebnych?

– Jak dla mnie normalnych. Ale Cichocka uznała, że wyglądają jak ze średniowiecza. Długie i arcsykromne, jak dla pensjonarek.

– Jakaś metka?

– Nie, żadnego logo, żadnej nazwy producenta.

– Mów dalej.

– Na szyjach miały medaliki z wizerunkiem Świętego Krzysztofa. Obie blondynki, długowłose, wyglądające na bardzo młode. Tylko tyle. Cichocka sugeruje, że to był jakiś rytualny pogrzeb, a dziewczyny służyły za ofiary.

– Musiałyby mieć rany na ciałach.

– Rany są, ale wyglądają na podrapania. Od tego się nie umiera.

– A co na to Lipski?

Górny skrzywił się jak po wypiciu octu.

– Lipski wypadł z obiegu. Ciałami zajmuje się jakiś goguś mocno promowany przez Sieracką. Nie ufam mu, to żółtodziób.

– Lipskiemu też nie ufałeś.

– To dwie różne ligi, Julia. Jak, bez porównania, ty i...

– Mów, mów, zamieniam się w słuch.

– Lalunie z Instagrama. Te, co się lansują na basenach, leżąc na tych, no...

– Różowych materacach flamingach? – podpowiedziała. – Myślałam, żeby sobie kupić taki na wakacje.

Adam uniósł wzrok.

– Żart.

– Ani trochę. Podobno mam problemy z wyluzowaniem i jestem sztywna, więc zamierzam doświadczyć luzu na flamingu.

– Już cię widzę, jak machasz na nim nóżkami.

Mógł sobie szydzić, ale widać było, jak przez jego głowę przebiega obrazek Julii walczącej z chybotliwym flamingiem.

– Przestań się głupkowato uśmiechać. Powiedz, co z tymi ofiarami. Wiesz, kim są?

– Jeszcze nie. W rejonie Kampinosu nie zgłoszono żadnych zaginięć. Z całego Mazowsza mamy piętnaście zaginionych kobiet w różnym wieku.

Górny sięgnął po kartkę leżącą na stosie i podał ją Julii. Ona przesunęła po niej wzrokiem, zmełła i wycelowała do kosza.

– Robiłem ten raport przez godzinę – syknął przez zęby Adam.

– Żadna nie ma długich włosów. A jak ma, nie jest blondynką. Pokaż mi lepiej, gdzie dokładnie je znaleziono.

Podszedł do ściany z mapą Warszawy i okolic w skali jeden do szesnastu tysięcy, po czym wbił pinezkę w papier.

– Między Kazuniem a Sadami. – Julia przyjrzała się rozrzuconym na mapie wioskom. – Ładne tereny, świergot ptaków i czyste powietrze. No i zamknięte lokalne społeczności, które, gdy się tam pojawisz, pokochają cię jak pies dziada.

– Pięknie to ujęłaś. Facet z klubu jeździeckiego też dał mi jasno do zrozumienia, że może nie być miło.

– I miał rację. Trzy lata spędziłam wśród takich ludzi. Nie lubią, gdy ktoś miesza się w ich sprawy. Sami sobie ustalają zasady i sami ich pilnują. Trzymają się razem, bo znają się od dziecka. Więc jeśli masz zamiar wjechać tam na koniu ze swoją gwiazdą szeryfa i robić zamieszanie, to szczerze odradzam.

– Zdam się na ich zdrowy rozsądek. Skoro na terenie ich gminy ktoś morduje kobiety, to chyba w ich interesie leży, żeby współpracować z policją. Ludzie chcą żyć bezpiecznie. Zresztą prawo to prawo. Odwołam się do ich obywatelskiej postawy.

– Ach, do postawy chcesz się odwoływać... Może zorganizuj im na rynku wspólne czytanie Kodeksu karnego?

– Może pozwól mi samemu zadecydować, jak to rozegrać.

Julia spojrzała na zegarek.

– Dochodzi jedenasta, czyli w samą porę.

Wyminęła Górnego i usiadła przy jego biurku, odsuwając spod rąk kartki z tabelkami i nazwiskami. W szybkim tempie zaczęła uderzać w klawiaturę.

– Nie masz nic przeciwko? – spytała, nie podnosząc głowy.

– Że próbujesz mi mówić, jak mam ustawić śledztwo? Skąd! Nie krępuj się. – Górny stanął za plecami Julii i położył dłonie na jej ramionach, po czym zaczął delikatnie rozmasowywać jej kark. – Nie umiesz pożegnać się z tym miejscem, przyznaj. Wyrzucili cię drzwiami, więc wracasz oknem. Wpadasz pod byle pretekstem i rozwalasz mi dzień. To takie urocze.

Przerwała klikanie. Wywinęła się spod jego rąk i wstała od biurka.

– Dzień ci rozwalam... Najwyraźniej niewiele zrozumiałaś z tego, co ci właśnie powiedziałam. Jeśli nie wierzysz mi, uwierz chociaż temu facetowi od koni. W przeciwnym razie wrócisz stamtąd dokładnie z tym, z czym pojedziesz. Ale, jak rozumiem, ty wiesz swoje.

Chwyła swoją torbę za uszy i ruszyła do drzwi.

– Zaczekaj. – Zatrzymał ją, nim nacisnęła kłamkę. – Źle to zabrzmiało. Powiedzmy, że masz rację. Co zatem sugerujesz?

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Mój pomysł może ci się nie spodobać.

– Wal.

Wróciła do biurka i ponownie otworzyła uprzednio przeglądaną stronę w sieci. Górny nachylił się nad monitorem.

– Co to jest?

– Kościelny repertuar. Rozpiska niedzielnych mszy w jedynej świątyni na terenie, który nas interesuje. Za niecałą godzinę zaczyna się główne nabożeństwo i przyjdzie na nie większość okolicznych mieszkańców. O osiemnastej też jest msza, ostatnia, dla młodzieży. Zakładam, że mało popularna.

– No i?

– Zastanów się, Górny. Powiedziałam właśnie, że w jednym miejscu zbiorą się ludzie z obu wsi. Trzeba ich zachęcić do mówienia.

– Chyba nie przypuszczasz, że usiądę w konfesjonale i będę czekał na to, że morderca przyjdzie się wyspowiadać?

Julia popukała ponagłajaco palcem w szkiełko zegarka.

– Masz pięć minut na zorganizowanie statywu do aparatu – powiedziała, wskazując przy tym ręką, że wysokość do pasa będzie optymalna. – Znajdź też jakąś większą torbę i wypchaj ją gazetami, żeby nie wydawała się pusta. Widzimy się na parkingu pod komendą.

* * *

– Co tak ważnego chciałaś powiedzieć tej Krawiec, że aż zamknęłaś za sobą drzwi? – Łukasz Lewicki otworzył skrzydło szafy i patrząc na zamontowane od wewnątrz lustro, zaczął wiązać na szyi granatowy krawat. – Nie życzę sobie takich sytuacji.

Reni wzruszyła ramionami.

– Przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

– W tym domu nie mamy przed sobą tajemnic. Żadnych pokątnych szep-tów, rozumiemy się? Podaj mi spinki do mankietów.

Reni otworzyła szufladę w regale i wyjęła podłużne bordowe pudełko, a z niego dwie ciemnoniebieskie spinki. Bez szemrania zaczęła je wciskać w podsunięte pod twarz mankiety ojcowskiej koszuli. Gdy skończyła, Lewicki zmierzwił jej w ramach podziękowania włosy na głowie, jakby była małym dzieckiem.

– Jeszcze zrobię z was dobre córki – usłyszała.

Chciała się odruchowo odsunąć, ale tylko się uśmiechnęła. Na krótko. Czym prędzej odwróciła się do niego plecami, by nie zobaczył, jak jej uśmiech zamienia się w rozpacz. Lepiej było opuścić sypialnię rodziców. Wyszła, skrywając twarz przed zbliżającą się matką. Lewicka już otwierała usta, by zapytać, co między nimi zaszło, kiedy jej wzrok przykuł stojący przy małżeńskim łóżku podróżny neseser męża.

– Wyjeżdżasz?

– Na krótko. Jutro będę z powrotem – odparł.

– To ta przekładana od miesiący konferencja? Może wreszcie wybiorą cię na przewodniczącego klubu. Czas najwyższy. Zasłużyłeś, kochanie – westchnęła z uwielbieniem kobieta.

Lewicki zacisnął węzeł pod szyją i wyrównał.

– Przewodniczący... Po tym, co zrobiła Sara, jestem spalony. W kuluarach klubu już jest szum. Możesz się domyślić, o czym się mówi za moimi plecami.

– Niepotrzebnie pokazywałeś się na Wilczej. Mogłam sama to załatwić, mnie nikt by nie rozpoznał.

Zdjął marynarkę z wieszaka i przerzucił ją sobie przez ramię.

– Za to zdjęcie, co mi je zrobiono pod kamienicą i pokazano w prasie, wytoczę proces o zniesławienie. Zrobiono ze mnie ojca prostytutki, a tego nie podaruję.

– Chcesz wojny w sądzie? Dopiero co ucichł poprzedni skandal.

Lewicki podniósł neseser i stanął na wprost żony.

– Tamto to było podłe oszczerstwo. Wolałbym, żebyśmy do tego więcej nie wracali.

– Nie będziemy – zapewniła gorliwie.

– Pilnuj jej, dopóki nie wrócę. – Wskazał brodą drzwi do pokoju Reni. – Ona jedna mi została niepopsuta.

Kobieta odprowadziła męża do przedpokoju. Strzepała niewidoczny pyłek z jego koszuli, byle tylko musnąć go na do widzenia.

– Jeśli wygłosisz dementi, może nie wszystko będzie stracone – powiedziała z nadzieją w głosie.

Pożegnalny uśmiech męża miał ją uspokoić, ale wypadł cierpko. To nerwy, wytłumaczyła sobie. Życie pod presją.

– Oczywiście, najdroższa – odparł. – O nic się nie martw.

Nie zamierzał jej tłumaczyć, że nie ma żadnej konferencji i tym bardziej nie będzie żadnego dementi. Na to przyjdzie jeszcze czas. Teraz musi zro-

bić to, co od dawna chodziło mu po głowie. Kiedy pierwszy raz o tym pomyślał, sam uznał to za szaleństwo. Jednak z każdym dniem utwierdzał się w przekonaniu, że to jedyna droga, by uratować rodzinę i wszystko naprawić. Mógł to zrobić tylko w jeden sposób: porządkując życie Sary. Nie będzie czekał, rozpocznie ten proces od razu i od samej podszewki. Gdy tylko ta Krawiec przyprowadzi dziewczynę z powrotem, jego dzieło się dopełni. I nie zamierza już być miły – ten czas bezpowrotnie minął. Będzie za to skuteczny.

Sprawdził, czy jego bilet na pociąg leży bezpiecznie w przegródce portfela, i zamknął za sobą drzwi mieszkania.

* * *

– Niezły biurowiec jak na taką wieś. – Górny zadarł głowę, by przyjrzeć się bladożółtemu gmachowi kościoła. – Skąd oni biorą na to wszystko forszę?

Julia oparła pośladki o maskę samochodu. Przez chwilę obserwowała nadchodzących pojedynczo i rodzinnie wiernych, którzy zbierali się na południową mszę. Kobiety miały na sobie albo białe bluzki z wykładanymi na żakiet kołnierzykami, albo skromne sukienki w stonowanych kolorach. Mężczyźni też wyglądali, jakby mieli zaraz zasiąść do wigilijnego stołu. Byli odziani w garnitury i krawaty lub co najmniej odprasowane koszule ściśnięte kamizelkami.

– Od ciebie na przykład – odpowiedziała, nie odrywając oczu od ludzi. – Czuj się sponsorem tego przedsięwzięcia. Za to malowidło też zapłaciłeś w swoich podatkach. – Wskazała brodą na wiszący nad wejściem obraz Jezusa Miłosiernego. Był wielkości banerów, jakie wieszają reklamodawcy na Domach Towarowych Centrum.

Poza obrazem kościół zdobiły stojące po obu stronach kruchty gazony z tujami, które kontrastowały z bladością murów. Na pierwszy rzut oka było widać, że teren jest dobrze utrzymany. Na kostce brukowej tworzącej ścieżkę nie było najmniejszego listka, a trawnik soczyście się zielenił.

– W gruncie rzeczy ładna bryła – zamyślił się Górny. – Pan Bozia niewątpliwie zasłużył sobie na taki pomnik.

– Nie Pan Bozia, a Pani Bozia – poprawiła go Julia. – I to nie byle jaka. Matka Boska Szkaplerzna.

– Ta od krzyża?

Pokręciła głową.

– Od medalików.
Zmrużył oczy, jakby wpadło mu pod powieki zbyt dużo słońca.
– Żartujesz. Od tych medalików?
– Być może to zwykły przypadek, ale jak wiesz...
– W twoim słowniku takie słowo nie istnieje.
– Właśnie. Istnieje za to mnóstwo innych. Na przykład logika i dedukcja.
Oba są bliskie mojemu sercu.
Wyjęła z torby paczkę vogue'ów i zapaliła papierosa.
– Nie chcę cię poganiać, ale zaraz tam wchodzimy – rzekł Górny i zerknął na ostatniego wiernego, który szarpnął właśnie drzwiami wejściowymi, po czym zniknął we wnętrzu kościoła.
Julia nieśpiesznie wypuściła dym z płuc.
– Nie tak zaraz. Wejdziemy za jakieś – spojrzała na zegarek – czterdzieści minut, czyli pod koniec mszy. Przez ten czas delektuj się przyrodą. Ależ tu mają świeże powietrze – rozmarzyła się.
Górny wolał wsiąść do auta i założyć słuchawki.
– To po co było tak gnać? – spytał, nim włączył ostatni rozdział thrillera w odsłuchiwanym audiobooku.
– Chciałam się przyjrzeć tym ludziom. Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia.
Wychylił się zza drzwi samochodu.
– I co, dowiedziałaś się? Wytypowałaś mordercę? – parsknął. – Czy może dziwnym trafem drań omija święte przybytki?
– To się dopiero okaże. Wszystko we właściwym czasie, Górny.
Włączyła minutnik w smartfonie. O ile dobrze policzyła, modły powinny zakończyć się dwadzieścia minut przed pierwszą. Kolejna część mszy przeznaczona była na ogłoszenia duszpasterskie.

Elektroniczne kukanie kukułki z telefonu poderwało ją z maski auta. Górny najwyraźniej przysnął, słuchając thrillera, bo siedział z zamkniętymi oczami i dość groteskowym wyrazem twarzy.

Szarpnęła drzwiami i jego ramieniem.
– Bierz sprzęt – zakomunikowała. – Ruchy, Górny!
Przytomniał w dziwny sposób. Chyba nigdy dotąd nie widziała, by człowiek pozbywał się snu spod powiek poprzez uderzenie dłonią nad uchem, jakby właśnie wyszedł z basenu.

Otworzył bagażnik i wyjął z niego torbę oraz statyw. Torbę podał Julii, a statyw przerzucił sobie przez ramię.

– Akcja? – spytał, patrząc już zupełnie trzeźwo.

– Akcja – przytaknęła. – Do roboty.

Weszli do kruchty. Od nawy głównej oddzielały ich przeszklone do połowy drzwi, za którymi widać było główny ołtarz oraz wiernych w ławkach. Skrzypnięcie nienaoliwionych drzwi nie przeszło obojętnie. Kilka głów natychmiast obróciło się w ich stronę.

– Woda święcona – powiedziała ściszym głosem Julia, po czym zamoczyła palce w kropielnicy i przeżegnała się zamasyście. – Ty też. Obserwuj nas, więc się postaraj.

Dla uwiarygodnienia zrobił znak krzyża podwójnie.

Julia pchnęła wąskie drzwi po lewej stronie przedsionka i ruszyła prosto pod ołtarz. Tak jak się spodziewała, trwała już część z ogłoszeniami. Ksiądz zapowiadał, że rozpoczynają się zapisy na sierpniową pielgrzymkę do Częstochowy i w związku z tym poszukiwani są chętni do prowadzenia śpiewów podczas marszruty.

Nie była pewna, czy to zapowiedź wyprawy na Jasną Górę tak poruszyła zebranych, czy też pojawienie się w kościele obcych ludzi, ale słyszała szepty dobiegające z ławek. Głowy kobiet i mężczyzn obracały się w ich stronę i rzucały pełne ciekawości spojrzenia.

Stanęli z Górnym przy pierwszej ławce i oparli statyw o jej krawędź. Głuchy stukot metalu uderzającego o drewno poniósł się echem po wnętrzu i w tej samej chwili kapłan zamilkł. Nie zdążył pobłogosławić sołtysa za obietnicę zorganizowania zimnych napojów na pielgrzymkę ani za namiot, który miał służyć za pielęgniarski gabinet polowy.

– Wygląda na to, że mamy gości. – Ksiądz splótł dłonie, kładąc je na kwadratowym pulpicie. – Szkoda tylko, że spóźnionych. Nabożeństwo już się kończy, niemniej witamy w naszych progach.

– Bóg świadkiem, że staraliśmy się zdążyć – odpowiedziała z żalem Julia. – Niestety zbyt długo rozglądaliśmy się po okolicy. Piękne tereny, kolega operator na pewno się ze mną zgodzi. Prawda, panie Adamie?

Pan Adam skwapliwie przytaknął.

– Przesłało was Wydawnictwo Noe? – Ksiądz wychylił się zza swojego postumentu, zerkając na trójnog od kamery. – Pewnie chodzi o kolejny album. Ostatni był całkiem przyjemny, choć przyznam, czegoś mu zabrakło. Może zdjęć naszej świątyni? – dodał z rozbijającą szczerością. –

Liczę, że tym razem się o to postaracie. Warto! Te mury mają niemal sześćset lat.

Julia słyszała, jak stojący za jej plecami Górny zaczyna uderzać nerwowo palcami o kant ławki. Obróciła się do niego przez ramię.

– Ty czy ja?

– Pomysł był twój, więc się teraz produkuj.

Powiodła uśmiechem po twarzach zebranych, po czym ruszyła ku złotym ścianom prezbiterium. Przyklękła pod ołtarzem, spuszczać z pokorą czoło. Przed staniem obok księdza nie powstrzymał jej szum półgłosów, który zawisł nad wiernymi w ławkach.

– Ojciec pozwoli – powiedziała, sięgając po mikrofon.

Ksiądz zrobił krok w tył. Julia poprawiła wysokość mikrofonu i przysunęła do niego usta.

– Wydawnictwo Noe dawno przestało spełniać kryteria solidnej oficyny, jeśli chodzi o docenianie wielowiekowych miejsc, takich jak to. Ale uspokoję państwa, nie jesteśmy ani od nich, ani z żadnej innej firmy wydawniczej o kulejącej renomie. Działamy z ramienia Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które zamierza nakręcić dokument o waszym pięknym zakątku. Wraz z obecnym tu operatorem – wskazała ręką na Górnego – wykonaliśmy kilka próbnych ujęć, które będą zaczątkiem czegoś naprawdę ważnego dla tej okolicy. Resort przeznaczył już fundusze na to, by ze szczególną dbałością o każdy detal odtworzyć historię tego terenu. Chcemy zacząć właśnie od szesnastego stulecia, o którym wspomniał ksiądz. To będzie wstęp do kolejnych kadrów, o potopie szwedzkim oraz późniejszych latach, kiedy teren dostała w prezencie od samego Jana Kazimierza królowa Maria Ludwika. Opowiemy historię tej ziemi aż do trzeciego rozbioru.

W kościele zapanowała cisza. Kilka osób wzruszyło ramionami i zaszepotało coś do sąsiada w ławce.

– A czy ktoś pytał nas o zdanie? – odezwał się mężczyzna siedzący pod kolumną. – Może nie chcemy tu filmowców.

– Właśnie... Czy sołtys w ogóle o tym wie?

– Niech się stąd wynoszą...

– Zamieszanie tylko...

Do uszu Julii docierały słowa, których się nie spodziewała.

– Bracia w Chrystusie! – zawołał milczący dotąd ksiądz. – Nikt z nas nie wie, co dobrego może przynieść promocja naszej okolicy. Zastanówmy się wspólnie i nie odrzucajmy pochopnie zrządeń losu.

– Co my z tego będziemy mieć? – krzyknął ten sam spod kolumny.

Ksiądz spojrział pytająco na Julię, która po chwili przysunęła się z powrotem do mikrofonu.

– Najlepsze zostawiłam na koniec. Naszym założeniem jest zaangażowanie do produkcji lokalnych mieszkańców. Będziemy potrzebować rąk do pracy, oczywiście za stosownym wynagrodzeniem.

Kątem oka uchwyciła, jak Górny pociera mokre od potu czoło.

– Scenografia zakłada wzniesienie kilkunastu drewnianych budynków średniowiecznej osady – ciągnęła dalej Julia. – Jeśli są tu budowlańcy, dobrze zarobią na współpracy z nami. Z rozebranych konstrukcji powstanie potem muzeum. To, co się w nim znajdzie, będzie w dużej mierze zależeć od was. Stare radła, pokrowce na topory, włócznie. Wszystkie rekwizyty, które powstaną dzięki produkcji. Może jest wśród nas kowal?

Ktoś z tyłu nieśmiało podniósł rękę.

– Doskonale, potrzebujemy fachowców, także kobiet, do szycia. Chodzi o odzież dla aktorów, nic wyszukanego, więc wystarczą podstawowe kwalifikacje. Zdjęcia rozpoczną się już na jesieni, zatem czasu jest niewiele. Dlatego nie ukrywam, że zależy nam na aktywnej współpracy. W kościelnej gablocie zostawię numer telefonu dla tych, którzy zechcą wnieść swój wkład w powstanie tego dokumentu. Powtarzam: budowlańcy, kowal i krawcowe. Dziękuję za uwagę i... niech was Bóg błogosławi.

Zeszła z podwyższenia i wróciła na miejsce przy ławce. Z trzymanej przez Górnego torby wyjęła kartkę A4 z napisem:

PAMIĘTAJMY O NASZEJ HISTORII
ZGŁOSZENIA DO FILMU „PRZED WIEKAMI”
FILM REALIZOWANY POD PATRONATEM
MINISTERSTWA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Poniżej znajdował się jeszcze numer telefonu – na kartę prepaid zarejestrowaną na chwilę przed tym, jak wybiegli z Nowolipek. Urządzenie, dość zdezelowane, ale wciąż na chodzie, Górny dostał z działu technicznego.

Wycofali się do kruchty odprowadzani wzrokiem przez sto par oczu. Julia przypięła kartkę w gablocie za pomocą pinezki.

– Pokrowce na topory? – Górny ściszył głos. – No to pojechałaś... Zapomniałaś wspomnieć o narzędziach tortur. Na przykład o kołysce Judasza.

Wplotłabyś przy okazji wątek biblijny.

– Spoważnij, Górny. Zabito dwie kobiety, więc ten cyrk musiał się odbyć. Teraz pozostaje nam mieć nadzieję, że ktoś zadzwoni z informacją o szwaczkach chętnych do współpracy.

– Producent nocnych koszul może nie być stąd. Pomyślałaś o tym?

– Owszem, ale skoro koszule nie miały metek, istnieje całkiem spore prawdopodobieństwo, że były szyte na miejscu, w którymś z tych domów. – Julia wskazała brodą ulicę pełną murowanych willi.

– Jeśli nawet, to istnieje jeszcze jedno prawdopodobieństwo: ten, kto maczał palce w zbrodni, wyczuje, że ta nagła akcja z filmem to zwykła ściema i teatralny podstęp.

– Poza policją i Zabielskim nikt nie wie o znalezieniu ciała. Zadbaj o to, by koniarz nie puścił farby, bo jeżeli to zrobi, cały plan się posypie.

Spojrzeli przez przeszklone drzwi kruchty. Ksiądz unosił właśnie ręce w geście błogosławieństwa.

– Przyjmij łaskę Bożą, przyda ci się – powiedziała Julia.

Górny nachylił się nad jej ramieniem.

– Chłapanie wodą i wypowiedanie zaklęć jakoś do mnie nie przemawiają. Co innego wyniki sekcji. Swoją drogą, Rajtar powinien już coś dla mnie mieć. Umawialiśmy się, że zadzwoni, jak tylko zakończy autopsję.

Wyszli z kościoła i stanęli przy samochodzie. Górny oparł się o drzwi i zaczął wystukiwać w telefonie numer na Oczki. Julii wystarczyły strzępy ich rozmowy, by zrozumieć, że badanie ciała poszło nie tak, jak powinno.

– Koleś jest jak dziecko we mgle – powiedział Adam, zasłaniając dłonią mikrofon. – Mówi, że będzie potrzebował dodatkowych konsultacji, bo ciała dziwnie wyglądają. Tak, doktorze? – zwrócił się z powrotem do Rajtara. – Rozumiem, nietypowe... Jak bardzo nietypowe? Nie spotkał się pan... Tak, ja też żałuję. Zatem czekam, oby nie za długo. Do widzenia.

Julia zapakowała statyw i torbę do bagażnika, po czym zatrzasnęła klapę z hukiem.

– Nie skomentuję – skomentowała.

Górny jednym płynnym ruchem zasiadł za kierownicą.

– Ten gość powinien wrócić na studia i zabrać się do nauki, a nie stawać za stołem sekcyjnym. Teraz rozumiem, dlaczego tak kochasz Lipskiego. À propos kochania. Co robisz wieczorem?

Na twarzy Julii zakwitł przesłodzony uśmiech.

– Spotykam się z kimś – odparła prowokacyjnie. – Nastawiam się na gorące chwile. Facet jest boski, góra mięśni.

Górny cofnął rękę z kluczykiem od stacyjki.

– Jeszcze ty mi dołoż... Dobij i nie żałuj, że boli. Jaja sobie robisz, Julia?

Odwróciła głowę w stronę okna, by nie widział, jak kurczą jej się ze śmiechu mięśnie twarzy.

– Kim jest ten frajer? Znam go?

Ostentacyjnie zacisnęła usta. Nie zamierzała drwić z Górnego, jednak stres wywołany wystąpieniem w kościele i krzywymi spojrzeniami ludzi sprawił, że chciała choćby minimalnie się rozluźnić.

Górny nie odezwał się do Julii przez całą drogę na Nowolipki. Miała dzięki temu czas, by przemyśleć strategię odnalezienia Sary Lewickiej. Na razie wszystko szło zgodnie z planem. Wiedziała już, gdzie stacjonuje Stella, teraz wystarczy ją tylko zmusić do mówienia. Istniało ryzyko, że kobieta wyprze się znajomości z córką polityka albo dostanie nagłej amnezji, ale pamięć zawsze można przywrócić. Najwyżej pójdzie na to kolejna część zaliczki.

Górny zaciągnął hamulec i wysiadł z auta. Skoda Julii stała na policyjnym parkingu.

– Udanej randki z mięśniakiem – wycedził przez zęby. – Mam nadzieję, że facet się sprawdzi.

Podeszła do niego i wspięła się na palce, by cmoknąć go w usta. Nie uchylił się, ale też nie odwzajemnił pocałunku. Stał zeszywniały niczym żona Lota.

– Ja też mam taką nadzieję – odparła. – Czekam na ciebie o północy, mięśniaku.

Dotarło. Zmrużył oczy i rzucił coś, co zabrzmiało jak „wariatka”.

– Lubisz grać mi na nerwach – powiedział już całkiem wyraźnie. – Odwdzięczę się przy najbliższej okazji.

– Dziś będzie ta okazja. Ubierz się na bogato i nie żałuj perfum. Masz wyglądać jak milion dolarów. Żel we włosach też wskazany. Nie skąp pomady, ma być na grubo.

– Chyba nazbyt dosłownie wzięłaś sobie do serca to, że jesteś sztywna. Woląłem, gdy liczyła się dla ciebie szczerą miłość, a nie pomada.

– I dobry bajer. Dziś będziesz miał okazję się wykazać. Równy o północy, pamiętaj.

* * *

– Rusz się, panienko, już popołudnie. Wiem, że nie śpisz. Pokaż no czoło... Wreszcie trochę lepiej, jakieś trzydzieści siedem i pół. Silna jesteś sztuka, dostaniesz jeszcze kilka tabletek i całkiem ci przejdzie. Co, nic nie mówisz? Wiesz, jaki dziś jest dzień? Nie? To ci powiem. Dziś jest niedziela, a chyba wiesz, co się dzieje w niedzielę...

Udała, że nie słyszy ani ponagleń Zła, ani tego obrzydliwego chichotu, który służył za kropkę w zdaniu. Wciąż się nie ruszała. Nauczyła się symulować sen i nieruchomieć w każdej możliwej pozycji, jaką mógłby przybrać człowiek będący w letargu. Wszystko, byle tylko nie dać po sobie poznać, że słyszy, czuje, odbiera bodźce.

Nienawidziła niedziel. To miejsce oduczyło ją cieszyć się myślą o odpoczynku i wynikających z niego przyjemnościach. Za każdym razem, gdy skreślała na ścianie sześć wydrapanych łyżką kresek i stawiała siódmą, czuła podskórny lęk.

– Taka z ciebie chytruska? Że niby tak cię zmogło? Rusz dupsko!

Poczuła uderzenie. Cios został wyprowadzony ręką, ale ostatnio obrywała też kolanem albo podeszwą buta. Nieważne jak. Ważne, żeby zabolalo.

Otworzyła oczy i jeszcze przez chwilę modliła się, by jakimś cudem wszystko znikło, ale gdy po raz drugi ból przeszył jej żebra, podniosła się z postłania. Nic samo nie zniknie. I nic jej nie ominie.

– Szybciej, laleczko, bo woda wystygnie. Tu nie hotel, ciepła woda kosztuje.

Zaszurała kapciami. Były wstrętne, stare i przesiąknięte wilgocią. Bóg wie, ile osób miało je przed nią na nogach. Ściągnęła z materaca koc i narzuciła go sobie na ramiona. Zacisnęła na piersiach.

– Co z tobą?! Kręcisz się, jakbyś była na karuzeli. Zapomniałaś kierunku? Opaska na oczy i ruchy!

Nasunęła ją. Tylko przebywając w pełnej ciemności, miała prawo jej nie zakładać. Popychana, ruszyła w stronę wyjścia. Dotarła do schodów prowadzących na górę, do drzwi i przejścia, które nazywała służką. Tym właśnie były: wąską i ciemną granicą oddzielającą jej pieczarę od reszty domu.

Za nią znajdowały się kolejne drzwi, potem podłoga bez chodnika, po lewej kuchnia i dwudziestometrowy pokój, w głębi jakaś sypialnia, a po prawej...

Drzwi łazienki się uchyliły.

– Lepiej ci? – usłyszała głos Cienia. Tym razem brzmiał nawet miło, ale skóra i tak ścierpła jej na całym ciele. – Znów się widzimy, cieszysz się?

Zlizała łzę, która spłynęła jej po policzku.

– Odpowiedz! – zgromiło ją Zło.

– Cieszę.

– To dobrze. Wiesz, co masz robić. Ściągaj ciuchy. Wszystko, do gołej skóry. Zaraz, jeszcze bandaże. Wszystko przesiąkło. Cała śmierdzisz, czujesz?

– Czuję.

– Więc jesteś brudną panienką? – zapytało Zło.

– Jestem.

– Jak bardzo brudną?

– Bardzo.

– Całym zdaniem.

– Jestem bardzo brudną panienką.

Nie mogła widzieć, ile metrów bandażu spływa pod jej stopy, ale odwijanie go z tułowia trwało długo. Pisnęła, kiedy jeden ze szwów zaczepił się nicią o ostatni opadający skrawek opatrunku.

– Spokojnie, nic ci nie będzie. Już po wszystkim..., golusienka, jak Pan Bóg stworzył. No, na co czekasz? Wskakuj. Tak się grzebałaś, że woda ledwo ciepła. Trzeba będzie przynieść wrzątek z czajnika.

– Nie trzeba, wolę chłodną – poprosiła. – Rany mniej pieką.

– Jak chcesz. Wchodź.

Odsunęła stopą pled i długą koszulę. Była pobrudzona resztkami z leśnego błota, zacieki sięgały niemal kolan. Wymacała dłonią brzeg wanny i weszła do niej jedną nogą.

– Pomóc? – zapytał Cień. – Przytrzymaj się mojej ręki.

– Nie trzeba, dam sobie radę.

– Jak wolisz.

Usiadła w wodzie, kuląc plecy i podciągając kolana pod brodę. Zaciśnęła ramiona, by osłonić nagie piersi przed surowym wzrokiem Zła. Rany na łydkach pulsowały bólem, zaledwie kilka z nich zszyto, resztę dziur po kłach, które wbiły się w jej ciało, pozostawiono otwarte. Tak bardzo chciała przyjrzeć się sobie dokładnie, w jasnym pomieszczeniu, pod światłem sufity-

wej lampy, które przebijało teraz przez nieco zsuniętą opaskę. Skórę z pewnością pokrywała cała paleta kolorów. Fioletów, żółci i czerwieni.

Już nie hamowała łez. Gładziła swoje ciało, jakby chciała je przeprosić, że uczyniła z niego poszarpany kawał mięsa.

– Zagoją się, nie becz.

Cień starał się, by jego głos był dziś dobrotliwy. Wiedziała, że potrafi taki być. Wiedziała też, że nie powinna się do tego przyzwyczajać. Nie była tu w końcu po to, by mieli się z nią przyjaźnić i jej dogadzać. Wyzbyła się naiwności, pozostawiając tylko ostrożność.

– W końcu przestanie boleć. Słyszysz? Zajmiemy się tobą.

Przez chwilę miała wrażenie, że usłyszała swoje imię. Od dawna nikt go nie wymawiał. Zdążyła być panienką, lalunią, nawet suczką. Wszystkim, tylko nie sobą. Od dawna nie miała już imienia. Może tylko się przesłyszała.

Wbiła paznokcie w skórę ramion i czekała na nieuniknione.

Jeszcze trzy sekundy...

Dwie...

Jedną...

– Popraw opaskę – powiedziało Zło, widząc, że materiał nie przylega dokładnie. – Nasuń dobrze na oczy, żeby było ciasno.

Zrobiła, co jej kazano. Światło lampy znikło całkowicie i nastąpiła ciemność.

– Już można! – zawołało Zło gdzieś w przestrzeń domu.

Wiedziała, że teraz nastąpi krótka chwila przerwy, jakieś dwadzieścia sekund, nie więcej, i że po tym czasie rozpocznie się główna część rytuału. Niech tylko Zło znów się odezwie i powie, że zostawia ich samych.

– Zostawię was. Jak skończysz, zawołaj.

– Zawołam. Zamknij za sobą drzwi.

Już tu był. Czowała jego zapach. Zapach Beztwarzego. Tak go nazwała: Beztwarzę. Nigdy jej nie widziała, dlatego tylko takie mogła nadać mu imię.

– Wyprostuj nogi i odpręż się – usłyszała. – To będzie przyjemne. Umyję cię, tak jak lubisz. Nogi!

Rozplotła zaciskające się na kolanach ramiona i osunęła się na tył wanny. Starła się o niczym nie myśleć. Słuchała, jak plusk wody miesza się z cichym jęknięciem Beztwarzego, gdy sięgnął po gąbkę. Zaraz potem doszło kliknięcie otwieranej butelki z płynnym mydłem.

– Najpierw ręce, potem brzuch, na końcu plecy. Musisz być czysta, bo w przeciwnym razie znów zaczniesz ropicć. No i trzeba porządnie umyć ci

włosy... Widziałaś, co masz na głowie? – Dobrotliwy śmiech przeszedł we współczucie. – Tak nie powinny wyglądać włosy dziewczyny. A ty masz piękne włosy. Bardzo piękne.

Wycisnął z gąbki na jej szyję strumień wody i przez chwilę obserwował, jak spływa między piersiami.

– Czy to jest ten dzień? – spytała cicho. – To ma się stać już teraz?

– To zależy tylko od ciebie.

– Będę bardzo miła, obiecuję.

– W takim razie może uda ci się przeżyć.

– A one? Gdzie są pozostałe dziewczyny? Zniknęły stąd, wszystkie. Słyszałam ich krzyk, echo niesie się aż do piwnicy. Dokąd je...

– Siedź cicho.

– Zostałam tylko ja. Nie rozumiem... Powiedz... Dlaczego wciąż tu jestem? To nie przypadek, prawda?

Łagodnie dotąd przesuwana po plecach gąbka uderzyła o powierzchnię wody.

– Żadnych pytań!

Potrząsnęła natychmiast głową.

– Nie chciałam cię zdenerwować. Przepraszam.

Kiedy chłodna woda splukała resztki piany z jej włosów, usłyszała trzykrotne uderzenie pięścią w drzwi. Po chwili od strony kuchni dobiegł odgłos pośpiesznych kroków Zła.

Wraz z otwarciem łazienki wpadło do niej powietrze przesiąknięte gotowanym mięsem. Musiało być wyjątkowo tłuste i nieświeże, bo był to bardziej odór aniżeli zapach.

Tylko ona jedna pachniała, śnieżnobiała długa koszula z troczkami pod szyją. Przyniesiona wraz z fetorem ohydneho mięsa.

– Wkładaj, ino szybko – nakazało Zło.

Nie było czasu na wytarcie się ręcznikiem. Wciągnęła na wilgotne ciało cienkie płótno, na którym od razu w miejscu niepozszywanych ran uwidoczniły się czerwone plamki.

– A teraz prosto do pokoju. Wiesz, co masz robić.

– To co zawsze? – spytała, choć znała odpowiedź. – Nie wiem, czy dam dziś radę. Wszystko mnie boli.

– Gardło też? Pokaż.

Żelazne palce Zła ścisnęły ją za policzki. Otworzyła usta.

– No widzisz? Zdrowe.

Jeśli śmiech może zboleć bardziej niż klaps wymierzony w pośladek pokryty sińcami, to tak właśnie się stało.

– Tym razem postaraj się, ale podwójnie. Wiesz, o czym mówię?

Kiwnęła posłusznie głową. Pokój z szerokim łóżkiem i zamkiem w drzwiach już na nią czekał. Ruszyła w jego kierunku, szurając po podłodze wilgotnymi kapciami. Chciała mieć to piekło jak najszybciej za sobą.

ROZDZIAŁ V

Michalina drzemała w dużym pokoju wtulona w poduszkę i okutana szlafrokiem Sylwii. Przywoływała w pamięci słowa, czułe spojrzenia i muśnięcia, których doświadczyła na nocnej randce. Dokładała do nich własne projekcje, upiększając kadry i tworząc z nich czysto hollywoodzką produkcję. Nie życzyła sobie, by cokolwiek zakłócało ten błogostan. W jej świeżo skonfigurowanym miłosnym koncepcie wszystko było idealne. Dlatego na dźwięk otwieranego zamka w drzwiach z niechęcią łypnęła okiem w stronę przedpokoju.

– To ty? – spytała, ledwie rozwierając usta.

Julia rzuciła na kuchenny stół kluczyki do skody. Przykleiły się do nich sztuczne rzęsy, tuż obok leżała kępka blond doczep.

– Widzę, że dokonałaś wizerunkowego striptizu. Mów, jak było.

Odpowiedziało jej znad poduszki ciche mruknięcie:

– O nic nie pytaj, ledwo żyję.

– Sponiewierałaś się, jak należy?

– Daj życie, kobieto. I daj śnić. Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia? Wątpię – odpowiedziała sama sobie. – Ty wierzysz tylko w pracę. Ona jedna cię kocha.

Wysunęła nogę spod szlafroka i poruszyła palcami stóp.

– Nic nie rozumiesz z życia, Krawiec. Nic a nic...

Julia zebrała z podłogi rozrzucone buty na koturnach i odniosła je do przedpokoju. Wstawiła wodę na kawę i wyjęła z lodówki żółty ser na kanapki.

– Mnie też zrób – odezwała się z łóżka Michalina. – Teraz dopiero czuję, jak mnie ssie.

– Panna cię nie nakarmiła?

- Nakarmiła, ale marzeniami.
- No, ja myślę! A ty, o ile cię znam, łykałaś wszystko jak głodny pelikan.
- Drwiny, drwiny, drwiny... Zgorzkniałaś, Julia. – Podciągnęła się na ramieniu. – Może chociaż ucieszy cię wiadomość, że postanowiłam przenieść się do Warszawy. Długo się nad tym zastanawiałam.
- Długo, czyli od wczoraj?
- Czas jest w tym przypadku czynnikiem zupełnie nieistotnym. Mirella mnie przekonała.
- Żebyś rzuciła pracę i przewiozła swoje walizki do niej?
- Michalina usiadła w kucki.
- Wszystko sobie przemyślałam. Będziemy razem prowadzić biznes.
- Ty i twoja dziewczyna tatuaż? Co to ma być? Studio piercingu czy rozszczepiania języków?
- Bodnar przewróciła oczami.
- Mam na myśli ciebie.
- Mnie? – Julia przerwała krojenie wczorajszej bagietki. – Chyba nie do końca rozumiem.
- Przecież jesteśmy w tym dobre. Mówię o wyłapywaniu niegrzecznych chłopców.
- Wciąż nie chwytam.
- Tylko pomyśl. Po ulicach tego miasta chodzą setki zdradzanych żon. Czujesz klimat? Każda z nich chce sprawdzić, czy szanowny małżonek nie robi jej koło pióra. To dla nas kopalnia złota. Podzielimy się robotą. Na początek mogę robić za twoją asystentkę. Przydam ci się do przyjmowania zleceń. Z czasem zostanę partnerem biznesowym. Za jakiś rok, powiedzmy.
- Ach, za rok... – Julia pokiwała z powagą głową. – Piękny biznesplan.
- Wręcz idealny! Zanim na dobre ruszymy ze zleceniami, mogę nawet od czasu do czasu posiedzieć z twoją córką w ramach opieki. Poczytam jej książki, porysujemy.
- Wizja, jak Bodnar siedzi z Sylwią i rysuje lalki w zeszycie, była kusząca. Najwyraźniej jednak umknęło jej, że córka Julii dawno temu porzuciła zabawki i kredki na rzecz smartfona i stylówki na czarną madonnę.
- Obiecuję, że się nad tym zastanowisz. – Michalina powiodła oczami za krzątającą się po kuchni koleżanką.
- Już to zrobiłam. Nie ma mowy.
- Szpiegowanie czyichś mężów to dla ciebie za niskie progi?

– Nie rozumiesz mnie, Bodnar. Nie stać mnie na pracownika. Jestem jednoosobową załogą, bez szyldu na drzwiach i bez profesjonalnego biura. To jest moje biuro. Tapczan, bujany fotel, laptop i czarna ściana.

– Ze ścianą to popłynęłaś. Na razie na niej pusto, ale z czasem...

– Wracaj do swoich, tam się bardziej przydasz.

Michalina otwierała już usta do riposty, ale Julia ją ubiegła:

– Policz, ile lat czekałaś na awans i ile cię to kosztowało. Teraz chcesz to wszystko przegwizdać, bo ktoś, kogo znasz jeden dzień, namącił ci w głowie?

– Mirella jest tego warta.

Julia niemal poląła się wrzątkiem z czajnika.

– Być może – odparła, starając się uspokoić. – Ale ty jesteś warta o wiele więcej. Pamiętasz, co ci mówiłam?

– Że to ja jestem nagrodą.

– Właśnie.

– O to chodzi, Julia, że jest zupełnie na odwrót.

Michalina ściągnęła z pleców szlafrok i rzuciła go w kąt łóżka. Julia usiadła obok niej. Rozumiała, co czuje ta wiecznie poszukująca miłości wariatka. Przyciągnęła ją ramieniem i pogładziła po włosach.

– Tylko samobójca skacze na główkę do wody, nie sprawdzając, gdzie jest dno. Nie rób czegoś, co może wyrządzić ci krzywdę, po prostu.

– Jeśli z kolei nic nie zrobię, Mirella zniknie – bąknęła Bodnar.

– Jeżeli to, co was łączy, jest prawdziwe, nic takiego się nie stanie. Czytałaś Stachurę?

Bodnar podniosła oczy. Z jej spojrzenia jasno wynikało, że nie nadała.

– „Cokolwiek pomiędzy ludźmi kończy się, znaczy, że nigdy się nie zaczęło. Gdyby prawdziwie się zaczęło, nie skończyłoby się. Cokolwiek prawdziwie się zaczyna, nigdy się nie kończy”. To tak w skrócie.

– Ładne i całkiem mądre. Tylko co, jeśli nie jest prawdziwe?

– Powiesz: następna, proszę. W końcu to prawdziwe przyjdzie. A strach jest złym doradcą, zapamiętaj to sobie. Nie pozwól, by tobą rządził.

– Wiesz, ile razy mi to mówiłaś?

– Co najmniej tysiąc. Ważne, żebyś w to wreszcie uwierzyła.

– No a ty? Ty w to wierzysz po tym, co przeszłaś? U ciebie też miało się nie skończyć. Powiedziałaś sobie wtedy: następny, proszę?

Nie patrzyły sobie w oczy. Dużo wygodniej było Julii wbić wzrok w czarną ścianę. Michalina też nie spuszczała z niej wzroku.

– Cały czas to sobie powtarzam – odpowiedziała. Nie dodała jednak, że wychodzi jej to z marnym skutkiem. – Powiedz lepiej, o której masz powrotny pociąg – zmieniła szybko temat.

Michalina wyprostowała plecy i zerknęła na zegarek.

– Na najbliższy już nie zdążę. Przechowasz mnie do szóstej? I daj wreszcie coś na ząb, bo mdleję z głodu. Te mikroskopijne kanapki to niby dla kogo?

Julia się uśmiechnęła. Skoro Bodnar zaczynała mówić o jedzeniu, wszystko wracało u niej do normy.

Wyjęła z zamrażalnika paluszki rybne i wrzuciła na patelnię trzy garści mrożonych frytek, które zaskwierczały na rozgrzanym oleju. Gdy wszystko było już na talerzach, rozdzwonił się jej telefon. Lekarz ze szpitala poinformował, że serce chłopaka z placu Szembeka nie wytrzymało. Zmarł po niecałej dobie, nie odzyskawszy przytomności.

Odsunęła od siebie talerz, żołądek miała ściśnięty aż do bólu.

– Nie jesz? – Michalina wbiła widelec w rybę. – Gwiazdki Michelin bym za to nie dała, ale biedy nie ma. Mogę twoje? Bo wystygnie...

Frytki wraz z paluszkami spłynęły na jej talerz. Julia wyjęła z paczki ostatniego papierosa i wyszła na balkon. Usiadła na progu i zapatrzyła się na stojących dziewięć pięter niżej młodych ludzi. Podpierali przystanek autobusowy, zaśmiewając się z jakiegoś żartu. Mieli przed sobą całe życie, Kujonowi natomiast czas się dziś skończył. Może miałby go więcej, gdyby nie pojawiła się przy nim wczorajszego ranka.

Taksówka, która miała zabrać Michalinę na dworzec, podjechała przed blok dwie godziny później.

– Dbaj o siebie, Bodnar – powiedziała Julia, przeciskając się w wąskim przedpokoju obok różowej walizki. – I nie obiecuj niczego Mirelli. Żadnych nieprzemyślanych ruchów, szalona dziewczyno.

– Się zobaczy. Jakby co, mam u ciebie metę? – spytała, łypiąc w stronę pokoju Sylwii, który stał się przystankiem w jej miłosnej podróży. – Bez obawy, następnym razem dokonam rezerwacji z wyprzedzeniem – zapewniła.

– Stówa za noc rozwiąże sprawę. – Julia przytuliła ją na pożegnanie.

Bodnar wsunęła na stopy swoje koturny i chwyciła za klamkę.

– Mam przekazać doktorkowi pozdrowienia od ciebie, kiedy znów go spotkam? Pewnie by się ucieszył. Jak leciało to, co mówiłaś? Cokolwiek prawdziwie się zaczyna...

– Nie trzeba – przerwała jej Julia. – Obejdzie się bez pozdrowień. Idź już, bo ucieknie ci kolejny pociąg.

Odjechała, zabierając ze sobą niemal wszystkie modowe i makijażowe akcesoria. Jedyne teatralnie długie rzęsy pozostały zapomniane na kuchennym stole.

* * *

Wrocław przywitał Łukasza Lewickiego ulewą. Mężczyzna wyszedł z dworca PKP i skierował się na postój taksówek, gdzie miał czekać na niego zamówiony wcześniej biały citroën. Taryfiarz był o czasie i stał na włączonym silniku.

– Dokąd? – zapytał, kiedy Lewicki ułożył się na tylnej kanapie.

Podał mu adres i nie chcąc się wdawać w rozmowę o pogodzie ani tym bardziej w kłopotliwą dyskusję o poczynaniach rządu, ukrył twarz za wyjętą z neseseru gazetą.

Oderwał się od artykułu dopiero, gdy taksówka dotarła do celu. Zapłacił gotówką, a następnie, osłaniając się neseserem przed ulewą, pobiegł prosto ku żelaznej bramie z kolistą kołatką. Załomotał nią kilka razy i dodatkowo wcisnął dzwonek przy furcie.

Stukot deszczu wszystko zagłuszał. Cofnął się dwa kroki, by widzieć okna ukryte za bramą klasztoru. Z tej perspektywy miał je jak na dłoni.

– Jest tam kto?! – krzyknął w stronę pozamykanych szyb.

Firanka poruszyła się w części przeznaczonej dla emerytowanych księży. Postać w ciemnym habicie podniosła rękę, dając znać, że już schodzi. Po dwóch minutach żelazna brama zazgrzytała.

– Pan Lewicki?

Zza furty wychyliła się siwa głowa skryta pod czarnym parasolem.

– Zgadza się.

– Jednak opatrność Boża przywiodła pana w nasze progi. To dobrze, bardzo dobrze. Proszę, to dla pana. – Ksiądz wyciągnął rękę z drugim parasolem. – I od razu zapraszam do środka, czekamy na pana od godziny.

– Pociągi dziś wolniej jeżdżą. Przez tę ulewę – wytłumaczył się gładko.

Pociągi jeździły zgodnie z rozkładem. Jednak gdy tylko postawił nogi na peronie, naszły go wątpliwości, czy dobrze robi, nawiązując kontakt z tymi ludźmi. Wiedział o nich tyle co nic, a rozum wciąż mu podpowiadał, że pomysł z przyjazdem tutaj był absurdalny. Mógł się jeszcze wycofać i wrócić do Warszawy. Najbliższy pociąg odjeżdżał za półtorej godziny.

Zaszył się w dworcowym McDonalddie z kubkiem kawy i wyjął z teczki telefon. Ostatnio oglądana strona w internecie wyskoczyła automatycznie. Po raz enty wszedł w zakładkę „Listy od wiernych”. Podziękowania za odmianę życia i ratunek, który przyszedł w ostatniej chwili, znał już niemal na pamięć, ale zaczął je czytać od nowa. Nie dlatego, że były dziełami sztuki epistolarnej. Patrzył na dołączone do korespondencji zdjęcia uśmiechniętych twarzy wyrażających wdzięczność. Pragnął znaleźć w tej egzaltacji usprawiedliwienie dla czynu, który zamierzał popełnić. Utwierdzić się, że cel bezspornie uświęca środki.

Gdy skończył, pewność wróciła. Sam się rozgrzeszył i poczuł ulgę. Wiele pisemnych podziękowań... To chyba coś znaczy.

Dokończył kawę i wyszedł z dworca, kierując się na plac z taksówkami.

Furta się zatrzasnęła. Lewicki ruszył za leciwym księdzem, uważając przy tym, by nie poślizgnąć się na wąskim chodniku. Ociekające deszczem cyklamenowe hortensje niemal rozpląszczyły się pod ciężarem wody, tworząc ze swych łodyg ruchome podłoże dla nóg.

Skręcili za rogiem budynku i dotarli do drewnianych drzwi z łukowatym sklepieniem.

Ksiądz pchnął skrzydło i wszedł do środka pierwszy. Pomieszczenie było przechodnie i dlatego niewielkie, miało nie więcej niż piętnaście metrów kwadratowych powierzchni. Przez pojedyncze okno o szerokości stopy wpadała skąpa ilość światła, wskutek czego nawet w środku dnia paliła się tu stropowa lampa. Ściany były otynkowane na beżowo, jednak gdzieś gładź odpadła, ukazując kruszejące stare cegły. W jednej ze ścian znajdowała się nisza z kolejnymi drzwiami.

– Tu zostawimy parasole. – Ksiądz wskazał na wiadro stojące przy ciężkiej drewnianej szafie. – Zimno, co? – spytał, pocierając dłonie. – Stare mury nie trzymają ciepła, choćby na zewnątrz panował upał. Ale czego tu wymagać, to czternastowieczny zabytek, ciągnie z każdej szczeliny. Wie pan, że w średniowieczu...

– Może innym razem. Nie przyjechałem tu po lekcję historii – przerwał mu Lewicki.

Ksiądz senior pokiwał głową.

– A tak, oczywiście. Pan wybaczy. – Rozłożył ręce. – Chodzi o pańską córkę. Dużo dziewcząt tu przyjmujemy, bardzo dużo... Takie czasy, że młodzi potrzebują pomocy. Powiem panu, że coraz młodszy. Ile lat ma pańska latorośl? – spytał, przekrzywiając z zaciekawieniem szyję.

– Osiemnaście.

– Osiemnaście... – powtórzył za Lewickim. – W sam raz. Najmłodsza miała, niech no się zastanowię, czternaście. Z Lublina była.

Widząc konsternację na twarzy swojego gościa, szybko dodał:

– Dziwi się pan, bo myśli, że czternaście lat to jeszcze dziecko? Mało kto wie, że Maryja powiła syna, mając właśnie tyle lat.

– Nie widzę związku.

– To wiek, w którym dziewczynki stają się kobietami. Świat nie widzi w nich już dzieci. Tamta czternastolatka też była już na to gotowa. Teraz pan rozumie?

– Powiedzmy. Wolałbym jednak, abyśmy skupili się na mojej córce.

– Tak, tak... na córce. Pewnie zastanawia się pan, czy aby nie stanie się jej tu jaka krzywda, dlatego najpierw wolał pan przyjechać bez niej. Każdy, kto przekracza te mury, chce tego samego: pewności, że to wszystko ma sens. Pan też jej potrzebuje, w końcu chodzi o pana dziecko. Za kilka minut pańskie wątpliwości rozwieją się jak dym z kadzidła. Jeszcze tylko odrobinę cierpliwości.

Lewicki przestąpił z nogi na nogę.

– To tamto wejście? – Wskazał na niszę z drzwiami.

Ksiądz podszedł do nich i położył dłoń na klamce.

– Najpierw muszę wspomnieć o jednej zasadzie. Pan zaś musi się zobowiązać do jej bezwzględного przestrzegania.

Lewicki kiwnął głową.

– Ma ksiądz moje słowo.

– Zasada jest prosta, ale nieubłagana. Od chwili, kiedy przekroczy pan ten próg, obowiązuje pana całkowite milczenie. Żadnych rozmów telefonicznych i żadnych komentarzy. Absolutna cisza. Można tylko obserwować. Rozumie pan?

– Rozumiem. Zaczynajmy.

Ksiądz nacisnął klamkę, pozwalając Lewickiemu przejść do drugiego pomieszczenia, po czym domknął za nim cicho drzwi.

Zszedł po kilku kamiennych schodach, niemal ocierając się ramionami o mur. Gdyby nie zamontowane przy podłodze światło wielkości kciuka, nie zauważyłby niskiego pułapu, który wymuszał solidne zgięcie karku. Długi na kilkanaście kroków korytarz kończył się grubą czarną zasłoną. Wśliznął się za nią i znalazł w kolejnym pomieszczeniu. Było uniesione nad podłogą niczym widownia w teatrze i oddzielone od większej części sali ażurowym przepierzeniem z drewna. Przysunął do niego oczy, ale nie widział detali poniżej widowni. Piwnica była niemal całkowicie zalana ciemnością. Do jej zakamarków docierała jedynie blada poświata rzucana przez płomień paschalnej świecy, która stała kilkanaście metrów dalej, na stole nakrytym białym obrusem.

Postawił swoją teczkę na podłodze i przysiadł na krótkiej ławce za przepierzeniem.

Czekał.

Zgrzyt nienaoliwionych drzwi, znajdujących się gdzieś w głębi, rozszedł się echem po piwnicy. W tej samej chwili zapaliły się górne światła. Teraz Lewicki widział już wszystko dokładnie. Do sali w całkowitej ciszy weszło czterech mężczyzn w ciemnych garniturach. Nieśli ze sobą dodatkowe świece zatknięte w wielkich świecznikach, obraz Matki Boskiej oraz półmetrowy srebrny krzyż. Jako ostatni wkroczył kapłan w czarnej szacie. Z jego szyi zwisała fioletowa stuła, ręce miał zajęte złotą kustodią z hostią oraz relikwiarzem.

Ustawienie przedmiotów na stole zajęło mężczyznom w garniturach tylko krótką chwilę. Mieli wprawę, ich ruchy były szybkie i pewne. Zaraz potem stanęli pod ścianą i skierowali wzrok na kapłana. Ten wyjął spod swej liturgicznej szaty modlitewnik i różaniec, wiążąc go od razu wokół nadgarstka, po czym obrócił się w stronę drzwi i wyczekiwał.

Upłynęło kilka minut, nim otworzyły się ponownie. Stanęła w nich nastoletnia dziewczyna, drobna brunetka z krótkimi włosami. Ubrana była w białe, sięgające podłogi gieżło z długimi rękawami. Szła w ich stronę boso, uważnie stawiając stopy na zimnej posadzce.

– Podejdz, dziecko – odezwał się kapłan. – Bliżej, nie bój się. Dobrze, tak wystarczy. – Sięgnął po coś, co leżało na stole. Kropidło. Zanurzył je

w płaskiej misie ze święconą wodą i uniósł nad głowami najpierw mężczyzn, potem dziewczyny. – Niech Bóg Wszechmogący uwolni od wszelkich pokus i odpędzi demony od tych, którzy zebrali się tu w Jego imię, oraz nawróci tę oto niewiastę na drogę żywej wiary. Uklęknij, Zosiu.

Dziewczyna ugięła kolana. Widać było, że robi to niechętnie i wbrew sobie. Pochyliła jednak głowę i ledwo dostrzegalnie łypnęła jasnymi oczami w stronę ażurowego przepierzenia. Ten ułamek sekundy wystarczył, by Lewicki dostrzegł w jej twarzy jakiś niepokój. Poruszył się nieswojo i znów zastygł na ławce.

– Teraz zmówimy modlitwę – usłyszał.

Ręce kapłana zawisły nad głową dziewczyny. Modlitwa była cicha, lecz Lewicki wyraźnie słyszał *Pod Twoją obronę*, a zaraz potem prośby skierowane do Królowej Aniołów i ojca Pio. Gdy wybrzmiało „amen”, pozwolono dziewczynie wstać. Kapłan podprowadził ją do krzesła przy stole z dewocjonaliami i nakazał usiąść. Sam stanął na wprost niej, położył dłonie na jej ramionach i przez chwilę szeptał coś po łacinie. Kiedy jego szept ustał, kapłan rozłożył ręce i uniósł wysoko głowę, kierując wzrok ku sklepieniu piwnicy.

– Uzdrów, Panie, myśli Zofii, by zawsze były pełne Twojej prawdy, dobre i spokojne. Uzdrów pamięć i wyobraźnię, by wspomnienia i wyobrażenia nie wprowadzały zamętu w jej życie. Uzdrów ją emocjonalnie, wszystkie zranione uczucia. Obdarz swoim głębokim pokojem, jakiego świat dać nie potrafi. Niech nic odtąd nie szkodzi temu Bożemu dziecku. W imię Jezusa Chrystusa...

Cała szóstka zrobiła znak krzyża na piersiach.

Lewicki obrócił się, słysząc szmer za plecami. Stary ksiądz, który wpuścił go za bramę, pojawił się nie wiadomo kiedy.

– Teraz musi pan już wyjść – powiedział, chwytając go pod ramię.

– To koniec?

– A czego się pan spodziewał? Te modlitwy będą jeszcze trwały, ale... to tylko modlitwy. Zobaczył pan już wszystko.

Wyprowadził go przez czarną kotarę i potem ciasnym korytarzem prosto do wyjścia.

– Mówiłem, że tu nikomu nie dzieje się krzywda. Może pan z czystym sumieniem przywieźć córkę, a my się nią zajmiemy. Ta, co ją pan widział na dole...

– Zosia.

– Tak, tak... Jest tu kolejny raz, chyba szósty. To proces, trzeba czekać. I modlić się, modlić, modlić.

– Co zrobiła?

Stary ksiądz sprawdził, czy drzwi do przejścia są szczelnie zamknięte, po czym sięgnął po parasole.

– To co wszystkie, które tu trafiają. Pozwoliła, by zawładnęły nią nieczyste myśli i czyny. Ale kapłan posługujący wyzwoli ją od zła. Pana córkę również. Niech się pan zastanowi nad terminem. Rytuały odprawiamy w każdą niedzielę. To dzień zmartwychwstania, nasz Pan wtedy łaskawszy. Odpuszcza winy i pomaga się podnieść z grzechu. A teraz proszę już iść. Trafi pan sam do furty? Doskonale. Parasol można zostawić przy drzewie.

Lewicki kiwnął głową.

Rozstali się na wąskim przejściu prowadzącym przez zlane deszczem zarośla. Ksiądz, chowając szyję w habicie, zniknął na ścieżce biegnącej ku głównej części kościoła.

Dopiero wtedy Lewicki zauważył, że zostawił w podziemiach neseser. Chciał krzyknąć za księdzem, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Zawrócił w kierunku bocznych drzwi klasztoru.

Odstawił parasol na podłogę i przeszedł przez przedsionek z cegły, tak jak kilkanaście minut temu. Zbiegł po schodach ciasnym korytarzem, starając się nie robić hałasu. Pamiętał o słowach księdza; modły wciąż trwały. Odsunął zasłonę i poszukał wzrokiem swojej teczki.

Nie zdążył jej chwycić, gdy usłyszał krzyk i szamotaninę. Przysunął twarz do przepierzenia. Dziewczyna w białej koszuli leżała na wznak na czymś, co przypominało lekarskie nosze. Rozciągnięta niczym rzeźne zwierzę, z nogami i rękami przypiętymi pasami do bocznych uchwytów.

– Nie szarp się, ty pieprzona lesbo!

Jeden z mężczyzn uderzył ją w twarz. Potem zablokował kółka noszy, by nie przesuwwały się po posadzce, i dał znak kapłanowi.

– Już można – powiedział. – Niech ksiądz robi, co trzeba. Takie zбочone kurwy trzeba tępić.

Otoczyli ją z obu stron. Stanęli blisko, przysuwając swoje lędźwie do ciała dziewczyny. Uderzali nimi o jej uda, pocierali o jej rękę.

– Twoja chuć do kobiet wreszcie się skończy, znikną plugawe myśli i czyny – zagrmiał kapłan. – Szatan cię opętał, ale to Chrystus jest twoim Panem. Na mój rozkaz wyjdiesz z niej, demonie, w imię Jezusa!

Lewicki widział, jak kapłan sięga do butelki i wylewa sobie na dłonie święty olej. Jak podciąga koszulę dziewczyny i wsuwa ręce głęboko między jej uda. Zaraz potem od murów odbiło się echo płaczu i błagania, by przestał.

– Słyszycie to? Słyszycie ten lament? Diabeł wystraszył się świętych rąk kapłana – oznajmił ksiądz, sunąc dłońmi po brzuchu Zofii. – Ciało to siedlisko Szatana. Demon atakuje cnoty boskie, a jego siedlisko jest tu i tu. –

Okrężnym ruchem obmacał jej krocze, po czym przesunął ręce aż do piersi.

Wyła. Z obrzydzenia i upokorzenia. Próbowwała zacisnąć kolana, ale pasy przytrzymujące kostki nie pozwalały na żaden obronny odruch.

– Mamo! – jęknęła podrzucana szaleństwem. – Mamo, ratuj!

Kapłan wytarł ręce w ścierkę i sięgnął po krucyfiks. Położył go dziewczynie na twarzy i docisnął. Ostre krawędzie krzyża wbiły się w jej skórę i zgrzytnęły o zęby. Znów wrzasnęła, już niewyraźnie. Potem z jej ust popłynęła krew. Otarł je ścierką.

– To twoja mama cię do nas przywiozła, pamiętasz? Żebyś zmadrzała i zaczęła żyć, jak należy. Matki trzeba słuchać. I Boga, a On nie lubi, jak kobieta wsuwa język do ust drugiej kobiety. Od tej chwili nie będziesz robić tego już nigdy więcej. Niech ten święty pocałunek cię wyzwoli.

Nachylił się nad nią i przywarł do jej warg. Leżała już całkiem bez siły, poruszała jedynie stopami i dłońmi, napinając je do granic możliwości.

– Spierdalaj – wymamrotała, gdy oderwał się od jej ust. – Słyszysz? Spierdalaj, z boku!

Reakcja dziewczyny nie spodobała ani księdzu, ani pozostałym mężczyznom.

– To co, teraz woda? – spytał jeden.

Kapłan kiwnął głową.

Palce asystującego mężczyzny oplotły szyję dziewczyny. Drugi z pomocników siłą rozwarł jej usta i przytrzymał. Z trudem łapała powietrze. Przestała całkowicie, gdy kapłan uniósł dzban i przechylił go, wlewając wodę święconą do zaciśniętego gardła.

– „Bo gdzie dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich” ^[3] – rozległo się donośnym głosem. – Wszelkie duchy złe, które szkodzą temu Bożemu dziecku, w imię Jezusa Chrystusa wiąże waszą moc i rozkazuję: idźcie precz i nie wracajcie!

– Amen! – odpowiedzieli gromko mężczyźni.

Wreszcie od niej odstąpili. Wciąż się krztusiła, próbując wypełnić płuca powietrzem. Musieli się przestraszyć, że wymiotuje, bo odpięli pasy i pozwolili jej położyć się na boku. Zwinęła się natychmiast w kłębek i splotła ręce na podciągniętych pod brodę kolanach. Trzęsła się z przerażenia i z zimna. Jej biała koszula ociekała wodą.

– Kto dziś będzie pilnował jej w nocy? – spytał ten, który do tej pory się nie odzywał. – Ja mogę, jakby co.

Kapłan natychmiast obrócił się do niego.

– Świeccy powinni trzymać się z dala od mocy Szatana, zwłaszcza po zmroku. Dla jej bezpieczeństwa ja z nią zostanę. Dusza Zofii potrzebuje kogoś, kto jest najbliższy Bogu.

Nakazał chwycić ją pod ramiona i zdjąć z noszy. Zrobili to niezbyt sprawnie, bo wymsknęła im się z rąk i opadła bezwładnie na posadzkę. Dźwignęli ją do półprzysiadu i wywlekli, ciągnąc po podłodze.

Kiedy za bocznymi drzwiami umilkły rozmowy i śmiechy mężczyzn, Lewicki siedział jeszcze przez dłuższą chwilę na ławce za przepierzeniem. Patrzył na nosze, kałużę święconej wody i butelkę ze świętym olejem. W końcu zatrzymał wzrok na pozostawionym na stole krucyfiksie.

Matka cię do nas przywiozła, brzmiało mu w uszach. W imię Jezusa Chrystusa...

* * *

Muniek Bugaj zamknął za sobą dokładnie drzwi szklarni i ruszył na sam koniec długiego na dwadzieścia kroków tunelu. Pod szybami było parno, dużo bardziej niż zwykle. Ściągnął podkoszulek i rzucił go na tyczkę z pomidorami.

Uważał, że matka przesadza z ilością uprawianej zieleniny. Zupełnie jakby chciała wyżywić połowę wsi. Po obu stronach szklarni pięły się w górę dziesiątki sadzonek słodkich cherry, a niżej, w grządkach, płożyły ogórki typu absolut. Za każdym razem, kiedy tu zaglądał, czuł się jak w warzywnej dżungli. Z tym że w dżungli nie czuć nawozu. Paskudnego, bardzo ekologicznego i bardzo cuchnącego obornikiem. Jakby nie można było kupić na targu po kilka sztuk gotowych warzyw, jak to robią ludzie z miasta. Byłoby czysto i pachnąco. I bez konieczności zmieniania ubrań po wyjściu, żeby nie capięło jak od wieśniaka.

Wieś. Niby blisko stolicy, a jednak zadupie. Na samą myśl, że miałyby przejąć po rodzicach tę szklarnię, chlew, zagony kapusty i kartofli, robiło mu się niedobrze. Nawet nie podchodził do stodoły, w której ojciec trzymał wielką kosiarkę w kolorze strażackiej czerwieni i rozsiewacz w kolorze kanarkowym. Duma sołtysa z posiadania maszyn rolniczych była wprost proporcjonalna do poziomu wstrętu, jaki ogarniał Muńka, gdy wyobrażał sobie, że miałyby związać się z tą ziemią na zawsze.

Spuścizna. Ukochane słowo ojca. Staruszek wypowiadał je w taki sposób, jakby mówił o orderze za wygraną wojnę. Muńkowi podnosiło to ciśnienie. Tym bardziej że tego, co myślał o spuściźnie, wolał nie mówić już na głos. Przestał to robić, kiedy usłyszał inne słowo: wydziedziczenie. Miało być karą za bluźnierstwa, jakich się dopuszczał, twierdząc, że nienawidzi wsi i wszystkiego, co prowincjonalne. Syn sołtysa powinien kochać taczki z gnojem i skręcone świńskie ogony. Powinien zacierać ręce na myśl, że kiedyś przejmie schedę. I Muniek zacierał. Jak mantrę powtarzał sobie w myślach, że gdy tylko trumna z ciałem ojca zostanie spuszczone do grobu, a kmiecie wypiją ostatnią kroplę wódki za jego duszę, cały ten majdan pójdzie pod młotek, a on pryśnie jak najdalej od tych świń, ziemi i smrodu ekonawozu. Z forszą, która będzie tylko jego.

Matka ziemia. Dobra, o ile położy się na niej asfalt, który poprowadzi prosto do miasta. Tylko tam siebie widział, wśród ulicznego szumu i w restauracjach, których nie zamyka się o dwudziestej. Szybkie życie, mocne i na luzie. Bez konieczności nawożenia, siania i zbierania. Bez przymusu spędzania każdych wakacji przy zbiorach.

Muniek zerwał jednego pomidora cherry i wpakował go sobie do ust. Wyssał językiem miąższ, po czym wypluł przeżutą skórkę pod nogi. Cuchnęła wiadomo czym – matka naprawdę nie miała umiaru w nawożeniu.

Dotarł do końca matczynej grządki i stanął przed białą plastikową zasłoną, z zamkiem biegnącym przez środek i kłódką uczeponą u dołu. Wyjął z kieszeni džinsów kluczyk, przekręcił zamek i pociągnął za suwak. Ostre światło ustawionej naprzeciw wejścia jarzeniówki zmusiło go do zmrużenia oczu. Wyłączył ją, by móc swobodnie rozejrzeć się po wnętrzu, które było tylko jego. Osłonięty zakamarek z wentylatorami i pomalowanymi na biało szybami, by nikt z zewnątrz nie mógł dojrzeć, co znajduje się w środku. Własne niebo.

Podszedł do zbitych z desek skrzyń i pochylił się nad swoją uprawą. Zielone liście dopiero co zaczynały się pięć po umocowanych do pułapu lin-

kach. Siedmiopalczaste, postrzępione i zjawiskowe. Kolejna hodowla w jego życiu; jeśli dobrze policzyć – siódma. Siódemka to szczęśliwa liczba, więc tym razem jest szansa, że wyjdzie na swoje po ostatniej wtopie. To był koszmar, zwłaszcza że do tamtej pory wszystko szło modelowo. Strat w uprawie nie było, pąków nie dopadło gnicie, a liście rozwinęły się nad wyraz hojnie. Zioło miało moc. Kilka buchów dawało takiego kopa, że można było wyskoczyć z butów. Euforia: level hard. Ale koniec końców zbiory szlag trafił. Z uprawy zostały zgliszcza, a szklarnię zrównano z ziemią. Gdyby nie ojciec i jego zaprzyjaźniony adwokat, z nim też byłoby cienko. Ale było, minęło. Lepiej o tym zapomnieć.

Sprawdził, czy korzenie mają wystarczająco dużo wilgoci, i włączył ponownie jarzeniówkę, nakierowując ją pionowo na strzępiaste liście.

– Rośnijcie, moje piękne. Bez was dawno odbiłaby mi szajba na tym zadupiu – mruknął melodyjnie.

Spojrzał jeszcze na termometr przyczepiony do szklanej ściany. Dwadzieścia dziewięć stopni. Idealnie.

– Śpieszcie się – zagadał znów do roślin. – Nie tylko ja was potrzebuję.

Szczekanie psów dobiegające z podwórka wygoniło go zza zasłony. Zasunął zamek, zatrzasnął kłódkę i wyszedł przed szklarnię.

Alek Koziej siedział w kucki pod drzwiami psiarni i wsadzał palce przez szczelbę. Szczeniaki, włączając sobie na grzbiety, lizały go po dłoniach, piszcząc jak gumowe zabawki.

– Zostaw te kundle, bo jeszcze się pochorują. – Muniek zbliżył się do przyjaciela. – Ojciec dostanie szału, jak któryś złapie parcha i zdechnie. Każdy z nich wart jest dwa patyki. Za sam transport rozplodnika z Niemiec zapłacił tyle, ile ty wyciągasz w pół roku. Więc wypad. – Wykonał ręką wyprasający gest.

Koziej oderwał się od psich pyszczków i wyprostował nogi w kolanach. Poprawił czarne oprawki okularów na nosie, po czym szybko policzył wierzące się psiaki. W sumie wyszło piętnaście merdających ogonów.

– Dwa patyki za bassetą? Forsa jak ta lala – przyznał, odgarniając z czoła ciemnoblonde grzywkę.

– Jak kto głupi, niech płaci. Po co przyszedłeś?

– A jak myślisz? Dawno nie widziałem cię w moim klubie. Drinki przestały ci nagle smakować? – Mówiąc to, wsunął dłoń w kieszeń dresowych spodni. Wybrzuszyły się tuż nad logo adidas widniejącym na lewym udzie. Drugą ręką znów poprawił zsuwające się okulary.

Bugaj zebrał w ustach ślinę i splunął do boku.

– Picie truskawkowego piccolo dobre jest, ale dla gimbazy. Wpadnę, jak sprowadzisz coś dla dorosłych.

– Może po prostu przestań się ukrywać przed ludźmi. Poluzowało się nam przez te twoje strachy.

Muniek uśmiechnął się krzywo i bardzo nieszczerze.

– Tak o mnie myślisz? Że robię po nogawkach?

– Obaj robimy. Niepotrzebnie. Nikt nie wie o tym, co się stało. Prawdę znamy tylko my dwaj, no i... Kostek.

– Nasz odjazdowy maratończyk – prychnął Bugaj. – Co u niego? Dawno nie widziałem.

– Niestety, nie masz pozdrowień.

– W dupie mam jego pozdrowienia. Chcę tylko wiedzieć, czy żyje.

– Żyje, uparciuch. I chce dostać od ciebie swoją dolę.

Muniek kopnął trampkiem leżący przy psiarni kamień.

– Nie mam. Jeszcze za wcześnie. Powiedz mu, że musi poczekać.

– Żadnego „poczekać”. Masz mu przynieść zioło zgodnie z umową. Tamto się już kończy, więc skołuj nowe. Musi brać. Bez tego zdechnie, jak ten, o... – Wskazał palcem na jednego z psiaków. Podparty nosem o ziemię wyglądał, jakby zaraz miał paść.

– Zasypia i łeb mu ciąży od tych wachlarzy. – Muniek zapatrzył się na rudego szczeniaka nakrytego wielkim uchem. – A Kostkowi przekaż, że się zobaczy, może do jutra coś zorganizuję. Na koszt firmy, ale to będzie ostatni raz – zaznaczył. – Kolejnych gratisów nie przewiduję.

Alek Koziej pokręcił z niesmakiem głową.

– Będą. Jutro, pojutrze i do końca świata. Chyba że Kostek ci odpuści, w co szczerze wątpię. Ja na jego miejscu bym cię jeszcze bardziej docisnął, więc lepiej odpalaj mu jego dolę jak do tej pory i udawaj, że się z tego cieszysz. A paczkę z towarem włóż do skrzynki na listy, tej na jego furtce.

– Nie tym razem. Poczekał, aż sam do mnie wyjdzie. Czas, żebyśmy w końcu pogadali.

– Kostek ma wyjść? – Alek roześmiał się gorzko. – Dobre, naprawdę dobre... Żartowniś z ciebie, ale kiepski. A co do waszych pogaduszek, to zapomnij. Kontaktujecie się przeze mnie, panienki. Żadnego zbliżania się na osobności. Ani przy furtce, ani na lodach, ani nigdzie indziej, gdzie nie miałbym was na oku. Jest umowa, Muniek.

Kiwnięcie głową kumpla uznał za kapitulację.

– No to mamy jasność. – Poklepał go po ramieniu. – A do klubu wpadaj, kiedy chcesz. Byłbym zapomniiał, w sobotę otwieram Milano. Przyjdź, zobacz, poderwij panienkę.

– Milano? Brzmi jak szajs. To twoja kolejna mordownia?

– Dyskoteka w starej remizie. Pierwsza we wsi. Eleganckie lasery, ściana LED i coolery na piwo. Startujemy o ósmej.

– Kostek też przyjdzie?

– Widzę, że się nie poddajesz.

– Miejsce publiczne. Neutralny grunt i wśród ludzi.

– Zapytam. Do tego czasu trzymaj się od niego z daleka. *Deal?*

– *Deal.*

Alek wyciągnął rękę na pożegnanie. Czuł, że przyjaciel uściskał ją mocniej niż zwykle.

– Kumple na zawsze? – spytał pojednawczo Muniek. – Chcę, żeby było jak kiedyś.

Koziej cmoknął przez zęby.

– Cała nasza trójka, do grobowej deski... Mało brakowało, a zostałyby nas tylko dwóch. I zamiast gadać teraz o dyskotece, nieślibyśmy mu świeczki na cmentarz. – Spojrzał w kierunku drogi, która kończyła się posesją Knottów. – Nie wiem, czy da się to naprawić. Wszystko spieprzyłeś, stary.

Przez twarz Muńka przemknął cień.

– A ty niby święty? Nie próbuj czyścić sobie mną sumienia, bo go nie doskrobiesz. A teraz wynocha.

Alek kiwnął głową na pożegnanie. Zaczęło się jak zwykle i skończyło jak zwykle. Za dużo kwasu się między nimi rozlało. A kwas potrafi żreć.

Odszedł w stronę opuszczonej remizy, jedyne miejsce, w którym czuł się naprawdę dobrze. Dlatego teraz chciał myśleć wyłącznie o nowej dyskotece. Do otwarcia pozostało zaledwie kilka dni, a ściany wciąż nie były ani pomalowane, ani nawet przygotowane pod podciągnięcie kabli do laserowych gadżetów. Lokal musi być wykończony najpóźniej do czwartku. Następnego dnia odbędzie się próba. Zespół promujący Milano zapowiedział wcześniejszy przyjazd, by mieć czas na rozłożenie sprzętu i przetestowanie nagłośnienia. A do surowych murów ich przecież nie wpuści.

Jutro z samego rana pojedzie do Warszawy po zamówione ledy. Tylko czym? Na motorze? Chyba nie będzie miał wyjścia. Biały opel nie nadaje się do użytku. Zresztą, nawet gdyby się nadawał, nie po to postawił go pod

klubem i przykrył plandeką, by ktokolwiek miał prawo do niego wsiadać.
Nawet on sam.

ROZDZIAŁ VI

Jest tam kto? Jeśli mnie słyszysz, odezwij się.

Głos dochodzący zza piwnicznej ściany był niewyraźny. Zsunęła się z posłania i podeszła do kąta w nadziei, że tu usłyszy go wyraźniej.

– Jestem tuż obok – odparła, po czym zastukała w mur. – Jak ci na imię?

Grube cegły stłumiły odpowiedź. Przysunęła twarz do ściany i oparła o nią policzek.

– Powtórz, tylko głośniej.

Przez chwilę nic się nie działo.

– Danka – dobiegł ją nieco donośniejszy szept. – Mam na imię Danka. Teraz lepiej?

– Tak, teraz dobrze. Od dawna tu jesteś?

– Nie wiem. Ciemno tu, nie rozpoznaję dni ani nocy.

– Podejdź do okna. Jest zabite dyktą i nie dasz rady jej oderwać, ale na parapecie powinna być świeca i zapaliki. Sprawdź.

– Dobrze. Ale ty zaczekaj, nie odchodź.

Danka musiała znaleźć świecę, bo po chwili się odezwała:

– Przynajmniej jest czym ogrzać ręce. Tak tu wilgotno... Kim są ci ludzie?

– Nie wiem.

– Dziwni tacy... Kiedy nas stąd wypuszczą? Powiedz, proszę, że stąd wyjdziemy.

– Trzeba czekać – skłamała.

Sądząc po głosie, była młoda, może nawet młodsza od niej. Wystraszony dzieciak, który trafił tu w ten sam sposób co ona.

– To jakiś test, prawda? – zagadnęła ponownie Danką. – Wypróbujemy nas, żeby sprawdzić, czy się nadajemy. A potem będzie nagroda. Albo okaże

się, że to ukryta kamera. Taki Big Brother.

Nadzieja w jej głosie brzmiała i słodko, i przerażająco zarazem. Naiwnie. Już otwierała usta, by wyrzucić z siebie prawdę, ale się powstrzymała. Nie mówi się skazańcowi, że zamiast w zwykłej celi siedzi w celi śmierci.

– To nie potrwa długo – odparła miękko. – Bądź cierpliwa. Za jakiś czas to wszystko się skończy.

Wydawało jej się, że usłyszała oddech ulgi. Danka nawet się roześmiała.

– Kiedy opowiem po powrocie, co mnie spotkało, nikt w to nie uwierzy. Bo to jest jak film. Trochę straszny, ale tym bardziej będzie co wspominać. Mogliby tylko włączyć światło, bo ta świeca jest tak krótka, że za kilka godzin nic po niej nie zostanie.

– Świecą akurat najmniej powinnaś się martwić – westchnęła szeptem. – Miałaś już kąpiel? – spytała ją wprost.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– Czy byłaś już w wannie? – powtórzyła głośniejszym głosem. – Zabrali cię do łazienki?

– Łazienka? Marzenie... Oddałabym życie za ciepłą wodę. Cała lepię się od brudu. Myślisz, że mnie w końcu zabiorą?

– Zabiorą.

Robiła wszystko, by Danka nie wyczuła drżenia w jej głosie.

Zatem wciąż ją oszczędzali. Trzymali na później, na zakładkę. Na wypadek gdyby jej rany po pogryzieniu okazały się śmiertelne albo nie dała rady wygrzebać się z gorączki wywołanej zakażeniem. Dopiero wtedy by ją wzięli.

Danka zakładka.

– Jak tylko przyjdą tu z jedzeniem, od razu poproszę ich o tę kąpiel – usłyszała zza ściany. – Ale teraz muszę się położyć, oczy mi się kleją. Nie spałam, odkąd mnie tu wrzucili.

Dziewczyna musiała odejść od dzielącego je muru, bo ciche nawoływanie jej imienia pozostawało bez odpowiedzi. Powinna jej powiedzieć, że prośba o zaprowadzenie do łazienki będzie dla niej wyrokiem, i że skończy się dla niej tak, jak skończyła się dla kilku innych dziewczyn, które były tu przed nią.

Musi ją ostrzec, gdy tylko się obudzi. Zanim znów do niej zajrzą za kilka godzin, powinna wytłumaczyć tej naiwniaczce, że ocali swoją skórę, jeśli nie będzie się domagać, by zabrali ją na górę, do białej łazienki. Najlepiej, jakby powiedziała jej to prosto w oczy, bo inaczej gotowa jej nie uwierzyć.

Odeszła na czworakach pod zabite dyktą okno, gdzie stała miska po wczorajszym obiedzie, i złapała za łyżkę do zupy. Wróciła na poprzednie miejsce przy ścianie i świecąc sobie świeczką, zaczęła skrobać końcem trzonka w zaprawę między cegłami.

* * *

Górny zjawił się dwie godziny przed czasem. W drogich ciuchach i sznurowanych butach, tak jak prosiła. Wszedł do mieszkania Julii, ciągnąc za sobą chmurę perfum.

– Tom Ford – zakomunikował od razu. – Sandał i orzech. Miało być na bogato.

Wciągnęła w nos ciężki aromat, który owiewał go od czubka głowy po odprasowaną białą koszulę ukrytą pod błękitną marynarką w kratę.

– Czuć gruby portfel – pochwaliła, po czym przyjrzała się stojącemu na pastę wichrowi nad czołem. – Włos też błyszczący.

On również ją sobie obejrzał. Nie wyglądała na kobietę, która właśnie szykuje się na randkę życia. Ubrana w bawełniany biały podkoszulek i dyżurne džinsy prezentowała się zupełnie niewyjściowo. Na twarzy nie było grama makijażu. Zdjął marynarkę i rzucił ją na tapczan.

– Rozumiem, że zostajemy w domu? Gdybym wiedział, że zamiast iść do knajpy, zaserwujesz mi mrożoną pizzę...

– Pizzy nie będzie.

Sięgnęła po leżącą na blacie kopertę i wyjęła z niej kilka stułotowych banknotów i dwa po pięćdziesiąt.

– W sam raz na pół butelki Dom Pérignon – zauważył.

– Zapomnij o Dom Pérignon. Za tę forszę kupisz sobie drinka i informacje dla mnie. A za tę – wyjęła kolejne cztery setki – dostaniesz prywatną łożę na pełną godzinę. W Black Mirror.

Adam splótł ręce na piersiach i przyjrzał się jej z zaciekawieniem.

– Chodzi o Sarę?

– Mogła tam pracować.

– To klub ze striptizem. Z tego, co wiem, nie sprzedają tam dziewczyn na godziny. Na pewno nie oficjalnie.

– Mówiąc o łoży, nie miałam na myśli tego, żebyś miał tam zaraz ściągać spodnie.

– No raczej. Nie jestem łatwy.

– Skąd! Żaden facet nie jest. Dlatego nie zamkniesz się tam z molestującą cię tancerką, która mogłaby sprowadzić cię na złą drogę, tylko z kobietą stojącą na bramce. To u niej pomieszkiwała Sara.

– Zaraz... Stella? O niej mowa? Zlokalizowałaś babkę?

– Wystarczyło odświeżyć kontakty – bąknęła Julia. Wolała pominąć bolesny szczegół, że to lokalizowanie kosztowało ją kilka gramów czystego sniegu, a bezimiennego chłopaka z placu Szembeka życie.

– Jak rozumiem, spryciula załapała się na salony prosto z ulicy?

– Ścisłej mówiąc, spod uniwerku. Do tej pory wyławiała co ładniejsze studentki i wciskała je klientom, ale teraz kręci lody na Nowym Świecie, właśnie w Black Mirror.

– Przerzuciła się na etat?

– Jedynie na okres wakacji. Wznowi swoją łapankę, jak tylko z nastaniem jesieni pod uczelnią zaroi się od świeżej krwi.

– Myślisz, że właśnie w ten sposób dopadła Sarę?

– Sara nie złożyła papierów na żadną uczelnię. Rzuciła szkołę i zrezygnowała z dalszej nauki. Wygląda na to, że z niewiadomych powodów zaczęło jej zależeć tylko na pieniądzach. Dlatego udasz klienta, którego już miała okazję obsłużyć. Rynek płatnych dziewcząt jest bezkresny, ale jeśli się postarasz, to Stella uwierzy, że miałeś już z nią do czynienia i zakochałeś się w niej bez pamięci. Napomkniesz, że podczas miłosnych igraszek Sara bąknęła coś o klubie dla panów i teraz szukasz jej od drzwi do drzwi.

– Bo chcę powtórki?

– Właśnie. Jeżeli Stella wie, gdzie się podziewa, sypnie adresem za drobną opłatą.

Górny złożył banknoty i wsunął je do portfela.

– Świątynia zła i rozpusty – rozmarzył się. – Nie ma to jak panny wijące się na rurkach. Oby były lepsze od tej z kamienicy przy Wilczej. Marna była, przyznaj.

Kiwnęła głową na odczepnego.

Górny sięgnął po telefon, żeby przejrzeć galerię zdjęć z imprez organizowanych przez Black Mirror. Przerwało mu połączenie przychodzące.

– Sieracka...

Julia nie rozumiała, dlaczego patrzy w ekran, jakby nie chciał odebrać.

– Boisz się, że to kolejne złe wieści? – spytała, moszcząc się na kanapie ze szklanką soku jabłkowego. – Prosektorium nie pracuje w niedzielę, więc raczej nie chodzi o wyniki sekcji.

– Tak czy inaczej, to na pewno jakiś syf.

– Po prostu odbierz.

Obserwowała, jak już po pierwszej wymianie słów z prokuratorem Górnemu zmienia się wyraz twarzy. Jego entuzjazm do oglądania tańców na rurze zniknął szybciej, niż się pojawił. Ze strzępów, które Julia zdołała ułożyć w jako taką logiczną całość, wynikało, że Adam nie spędzi tego wieczora ani w Black Mirror, ani z nią na Czerniakowskiej.

– Jest kolejne ciało? – spytała, gdy odłożył telefon.

– Tak. Też w Kampinosie. I też dziewczyna. Szlag... Ile ich jeszcze znajdują? Pięć, dziesięć?

Julia odstawiła szklanę na parapet, tuż obok bonsai.

– Kto tym razem odkrył zwłoki?

– Nie uwierzysz – parsknął. – Po prostu nie uwierzysz.

– Mów.

Górny chwycił paczkę papierosów i wyszedł na balkon.

– Harcerze – powiedział, zaciągając się dymem. – Zastęp rozbił się na polanie i kilku chłopaczków kopało w lesie dół na latrynę. Przy okazji trafili na szczątki. Niezły horror dla dzieciaków, co?

– Niezły. Może im być potrzebny psycholog. Ile mają lat?

– Skąd mam to wiedzieć, Julia. Nie wiem nawet, czy nie zdążyli zniszczyć śladów.

– Mam nadzieję, że wciąż tam są.

– Jak nic zdeptali teren.

– Mam na myśli zastęp, nie ślady. Oby nie zwinęli się stamtąd zaraz po tym, jak odkryli ciało.

Górny wypuścił z ust kółko dymu.

– Latryna... – mruknął, po czym przydusił niedopałek w pustej podstawce na kwiatek.

Zgarnął swoją marynarkę i wciągnął na grzbiet, a z portfela wyjął wcześniej schowany plik banknotów.

– Innym razem – powiedział, kładąc je na stole w kuchni. – Dziś nie będzie pożytku ani z forsy, ani z Toma Forda. Słuchaj... Może pogadałabyś z tymi dzieciakami? Mnie takie pogawędki nie wychodzą zbyt dobrze.

– Mało kto umie rozmawiać z nastolatkami.

– Ty masz wprawę. – Wskazał głową pokój za ścianą. – Sylwia ćwiczy cię regularnie. To jak, przysługa za przysługę?

– Hiena z ciebie, Górny. Obozowisko w zamian za Black Mirror?

- Wejdę tam jutro, tak samo piękny jak teraz.
- Wejdiesz tam jeszcze tej nocy. Lokal zamykają dopiero przed świtem. Zdążysz.

Narzuciła na plecy bawełnianą bluzę i włożyła na nogi botki. Przyjrzała się butom Górnego. Były dobre do klubu dla dzianych dżentelmenów, nie do lasu. Nie wspominając o marynarce.

- Nie mam czasu na przebieranki. – Górny zdawał się czytać w jej myślach. – Jedziemy prosto do obozu.

Namioty stały w kręgu, z wejściami skierowanymi ku wypalonemu ognisku. Dwanaście zielonych pałatek z naciągniętymi bardziej lub mniej prosto tropikami. Przy każdym z nich leżały po dwa plecaki objuczone menażkami, karimatami i ciepłymi kocami. Zaraz za kręgiem stały dwa większe namioty – jeden przeznaczony na mesę, natomiast drugi, z naszytym czerwonym krzyżykiem, miał pełnić funkcję polowego gabinetu lekarskiego.

Julia z Górnym wysiedli z auta i ruszyli piaszczystą drogą w kierunku mesy. Obok dwóch starszych chłopaków, z których jeden ubrany był w klasyczny zielony mundur, a drugi w czarną koszulę z plaketką zastępowego, z łatwością rozpoznali rudą głowę Szymańskiego. Też ich zauważył. Został chłopaków i zbliżył się do drogi.

– Dobrze, że jesteście, bo mamy tu prawdziwy horror. Starszozna zaczęła już zwijać obóz. Połowa dzieciaków jest przerażona i chce do domu, a pozostali chcą zdobyć sprawność Colombo. Rozleźli się po lesie i szukają śladów. Co chwila któryś oddala się od polany i coraz trudniej ich połapać.

- Od dawna tu są? – spytała Julia.
- Od tygodnia. Mieli zostać jeszcze kolejny, ale... wiadomo. Są już spakowani, obóz zaraz stąd zniknie.
- Gdzie leży ciało? – Górny przeszedł do konkretu. Szymański włączył latarkę i wskazał nią ścianę lasu.
- Tu zaraz. Latryna nie mogła stanąć zbyt głęboko w kniei.
- A Sieracka? Dlaczego jej tu jeszcze nie ma?
- W drodze. Jedźcie razem z Lipskim.
- To chyba jedyna dobra wiadomość. Pokaż dokładnie, gdzie leżą zwłoki.

Weszli między drzewa. Nie dalej niż piętnaście kroków w głąb lasu zobaczyli policyjną płachtę.

– Przykryłem, żeby dziewczyna nie leżała na widoku – powiedział Szymański. – Mam odsłonić?

Upewnili się, że żaden z dzieciaków nie kręci się w pobliżu. Jak okiem sięgnąć nie było nikogo, jedynie z oddali dochodziły podniecone głosy harcerzy udających śledczych.

– Jest bezpiecznie, odsłaniaj – nakazała Julia.

Chwycił za róg płachty i odrzucił ją na bok. Ofiara leżała na prawym boku, wciąż częściowo przysypana ziemią i igliwem.

– Biała koszula, jak poprzednio. – Górny zmarszczył brwi. – Ciało w znacznym stopniu rozkładu. Daj mi coś na buty.

Szymański wyjął z kieszeni ochraniacze i jedną parę rękawiczek.

– Niezłe lakierki – skomentował, patrząc, jak Górny naciąga ochraniacze na błyszczące noski. – Będziesz się komuś oświadczał?

– Tobie, Szymański. Zajmij się lepiej tym wyrostkiem – odparł, widząc, że zza drzewa wychyliła się niespodziewanie ulizana głowa jednego z dzieciaków. – Ej, mały!

Nie wyglądał na harcerza. Mógł mieć co najwyżej dziesięć lat. Za duży mundurek wisiał na nim jak na kiju. Poprawił węzeł chusty i podciągnął krótkie zielone spodnie, po czym splótł ręce za plecami.

Julia podeszła do niego, starając się zasłonić jednocześnie zwłoki. Szymański zareagował za późno. Nim nakrył ponownie ciało, chłopiec zdążył mu się przyjrzeć.

– Jak ci na imię? – spytała.

– Zuch Marcin. Nie musicie jej przykrywać, to ja ją znalazłem. Wiem, że to trup. Bodzio też wie. Razem robiliśmy nową latrynę. Stara była za płytka. Tam są szpadle. – Wskazał palcem łopaty oparte o pień kilka drzew dalej. – Bodzio lubi kopać, razem z ojcem wykopują robale, jak idą na ryby. Wie, jak wbić szpadel, więc robiliśmy to razem.

– Gdzie jest Bodzio? Zawołasz go?

Julia patrzyła, jak Marcin wyjmuje z kieszonki na piersi gwizdek i wsuwa go do ust. Po chwili ich uszy przeszyło ostre potrójne gwizdnięcie. Odpowiedziało mu już tylko podwójne.

– To nasz sygnał. Zaraz tu będzie – powiedział chłopiec i włożył z powrotem gwizdek do kieszonki.

Bodzio również nie wyglądał na spłoszonego sytuacją. Pulchny i zaróżowiony na policzkach chłopiec stanął nad niedokończonym rowem i siąknął nosem. Zaraz potem zasalutował ze spokojem do rogatywki ze srebrną lilijką.

– Zuch Bodzio. Ciało znaleźliśmy o dziewiętnastej zero dwie.

– Spocznij – wyrwało się Górnemu.

Julia obróciła się przez ramię.

– Zwariowałeś? – wycedziła przez zęby, po czym zwróciła się ponownie w stronę chłopców: – Przykro mi, że to się wam przydarzyło. Nie powinniście patrzeć na zwłoki. Jednak, skoro tak się już stało, chciałabym zadać wam kilka pytań.

– Pewnie chodzi pani o to, czy widzieliśmy coś podejrzanego – odezwał się Marcin.

– Ja nie – odparł od razu Bodzio.

– A ja tak. Tam, w krzakach, daleko.

Palec Marcina znów powędrował w kierunku drzew, gdzie stały łopaty.

– Kiedy? Podczas kopania?

Pokręcił przecząco głową.

– Nie, wcześniej. We wtorek chyba. Był już późny wieczór, zupełnie ciemno. Zastępowy kazał mi przynieść więcej gałęzi na ognisko, bo zaczynało dogasać. Ja jestem od chrustu, więc musiałem iść w ten las. I ktoś tam był, słyszałem echo.

– Co konkretnie? – odezwał się Górny. – Może to był jeden z waszych?

Chłopiec uniósł głowę i zrobił kwaśną minę.

– Nasz obóz to same chłopaki. Zero dziewczyn. A tam, w lesie, słyszałem głos kobiety.

– Jesteś pewien?

– Słowo zucha. Ale tylko raz to echo poszło. Jakby jęknęła. Może ją coś zabolalo.

– I to wszystko? – spytała Julia. – Przypomnij sobie dobrze.

– Nic więcej nie słyszałem. Poza wilkiem. Wył. Wilki potrafią strasznie wyć. To przez nie palimy ognisko przez całą noc, żeby nie podeszły. I warty stawiamy, czwórkami. Widziała pani te wartownie na palach? Razem z Bodziem stawialiśmy.

Przekręcił rękaw mundurka, pokazując ramię z naszytą sprawnością. Na żółtym trójkącie widniały zielony młotek i czerwona piła.

– Złota rączka – pochwalił się naszywka.

Bodzio zrobił to samo.

– Ja w lesie nie byłem, ale wilka też słyszałem – potwierdził. – Potem, jak już skończył szcekać, znów zrobiło się cicho.

– No – przyznał Marcin. – A przy tej martwej pani to znaleźliśmy takie coś.

Wyjął z drugiej kieszeni mundurka chustkę i rozłożył jej rogi.

– Ten medalik leżał obok, nie ukradłem – zastrzegł, po czym podał Julii zawiniątko.

– Poświęć, Szymański – zwróciła się do aspiranta. – Kolejny Święty Krzysztof. Do twojej kolekcji, Górny.

Od strony polany rozległ się dźwięk trąbki.

– Wieczorny apel, musimy wracać – powiedział z żalem Marcin.

Żal był tym większy, że w ich kierunku szła już ekipa techników, niosąc lampy i sprzęt do przeszukiwania terenu. Chłopcy odeszli z ociąganiem, oglądając się co chwila, by nasycić oczy widokiem pracy policji.

Kiedy lampy rozświetliły teren, do ekipy dołączyła prokurator Sieracka. Poza Lipskim towarzyszył jej też Rajtar.

– Jutro – powiedział sam z siebie młody patolog, by uprzedzić pytanie o wyniki autopsji dwóch pierwszych ciał. – Razem z doktorem zajmiemy się wszystkim.

Na ustach Lipskiego zabłąkał się dyskretny uśmiech.

– Ustalmy to może od razu. Ja będę badał, a pan zajmie się podawaniem mi narzędzi.

Rajtar tylko zacisnął zęby.

– Sam pan wie, że to był trudny przypadek.

– W medycynie nie ma trudnych przypadków, młody człowieku. Są tylko niedouczeni lekarze. To prawdziwe przekleństwo współczesnej nauki: patrzeć wąsko i bez koncepcji.

– Chce mnie pan obrazić?

– Sam się pan obraża poprzez swoją niewiedzę. Miałem dostać fachową pomoc, a dostałem dzieciaka do niańczenia. Do książek, drogi panie. Doktor Google to za mało, żeby stanąć przy stole sekcyjnym.

– Widziałaś? – szepnęła do Julii Sieracka. – Buldog z ratlerkiem szarpią się pod dywanem. – To nawet zabawne.

– Podobno to ty wprowadziłaś tego ratlerka na pokoje. Mam nadzieję, że to nie była celowa prowokacja. Buldog się porządnie wkurzył.

Sieracka przeżuła coś w pomalowanych na czerwono ustach.

– Rajtar miał mocne papiery, ale nie doszukuj się tu żadnej mojej protekcji.

– Słyszałam co innego.

– Wspieram Rajtara tylko po to, żeby nie zawiął się z Oczki, jak kilku innych. Prosektorium ma poważne problemy kadrowe.

– Lipski robi bokami?

– Już od dłuższego czasu. Przez to wyraźnie zwolnił, choć nie zamierza się przyznać, że mu ciężko.

– Cały on. Stara gwardia nigdy nie wymięka.

– Stara gwardia głupio myśli. Trzyma gardę jak płód przed aborcją, bo boi się, że go system wyłyczekuje za te opóźnienia. Ja na to nie pozwolę. Lipski jest zbyt dobry i według mnie powinien tam pracować do śmierci. Niech tylko zrozumie, że chcę mu pomóc, nie zaszkodzić.

– Wrzucając mu do prosektorium kogoś takiego jak Rajtar?

– Młody wygląda na pogubionego, ale w końcu okrzepnie. Lipski jeszcze zrobi z niego człowieka, jak tylko opadnie między nimi pierwszy kurz. To w gruncie rzeczy miły facet. Tylko dlaczego nie bierze się do badań... – Sieracka zwróciła się do Rajtara: – Czekamy na coś, doktorze?

Rajtar nie zareagował. Obserwował, jak Lipski zsuwa się po miękkim piasku wprost do zagłębienia w ziemi, a potem pochyla nad ofiarą, by obejrzeć jej twarz i kończyny.

– Gołym okiem widać, że to ten sam model zbrodni co poprzednio. Potwierdzenie zgonu mogę wypisać od razu, ale badać jej tu nie zamierzam. To nie ma sensu, nie przy tym świetle. Jutro rozpoczniemy od nowa autopsję dwóch pierwszych ciał i dołączymy do badań to tutaj. Przypuszczam, że w każdym przypadku obrażenia będą niemal identyczne. Mam już na ten temat swoją teorię, ale wolałbym się nie śpieszyć z ostateczną diagnozą. Niech pan, doktorze Rajtar, przygotuje trzy stoły sekcyjne na ósmą rano. Zaczynamy punktualnie, przed nami mnóstwo pracy.

Odeszli na bok, robiąc miejsce technikom z aparatami fotograficznymi.

– Ta dwójka dzieciaków, co nas minęła... – odezwała się Sieracka. – To oni znaleźli ciało?

Górny spojrział w stronę obozowiska. Wieczorna zbiórka dobiegła już końca, na polanie zwijano namioty, co chwila słychać było metaliczny stukot rzucanych na stertę śledzi.

– Tak, to oni.

– Nie wyglądali na szczególnie wystraszonych. Przez te gry komputerowe i strzelanki na ekranie dzieciaki całkiem się znieczuliły.

Szymański pokręcił głową.

– Pozory. Na razie uważają się za bohaterów, co to się trupa nie zlekli, więc wolą nie tracić twarzy. Ale z czasem dotrze do nich, co tak naprawdę się stało. Tych wakacji jeszcze długo nie zapomną.

Zatrzymali się na skraju lasu. Na końcu drogi pojawił się autokar, który miał zabrać zuchy do miasta, by wróciły do rodziców. Sieracka wołała nie czekać, aż tuman kurzu, jaki ciągnął się za busem, osiadzie na jej sukience. Pożegnała się i czym prędzej odeszła w stronę swojego mercedesa. Lipski też nie zamierzał zostawać. Kiwnął ręką na Rajtara, oferując mu podwózkę do domu.

– Nie podoba mi się to – powiedział Górny. – Zauważyliście, co tu się stało? Potraktowano tę dziewczynę jak kolejny przypadek statystyczny. Sieracką rozumiem, bo w jej żyłach od zawsze płynie lód zamiast krwi, ale Lipski i to jego prosektoryjne party? Ma zamiar kroić je grupowo, jak myszy laboratoryjne?

– Nauka nie zna sentymentów – odparła Julia. – Co z tymi wilkami, o których wspominał zuch Marcin?

– Włóczę się po okolicy i sieją postrach wśród tutejszych. Zabielski z ujeżdżalni też o nich mówił. Jeden z jego koni przez nie padł, a jakby tego było mało, pół roku temu zaatakowały tu człowieka. Plaga jakaś. Zastanawiam się, ile w tym prawdy, bo z tego, co wiem o wilkach, to pod ludzkie siedziby tak chętnie nie podchodzą.

– Najwyraźniej mało wiesz – skomentował Szymański. – Oczywiście, że podchodzą, kiedy szukają jedzenia. Dlatego wcale mnie nie dziwi, że kręcą się wokół obozu. Zwłaszcza wieczorem, kiedy płonie ognisko i unosi się zapach pieczonych kiełbas.

– Nie podeszły pod obóz – zauważyła Julia. – Chłopiec słyszał wycie w oddali. Podobnie jak głos kobiety. Echo niesie się po drzewach, więc odgłosy mogły dobiegać z bardzo daleka. Zastanawia mnie, co robiła tu po zmroku.

Górny się zamyślił.

– Nie wiem, ale to jakieś pechowe miejsce. Może to i dobrze, że te dzieciaki stąd odjeżdżają.

Patrzyli, jak pozwijane namioty, plecaki z kocami i karimaty ładują po kolei w bagażniku podstawionego autokaru. Jeden z zastępowych zasypał

jeszcze piaskiem tłące się ognisko i zalał je dla pewności resztką wody z butelki. Pokrzykiwania zuchów cichły, dzieci wskakiwały gęsiego do środka i przylepiały nosy do szyb, żegnając smętnym wzrokiem miejsce, gdzie jeszcze przez kilka dni miała planowo trwać ich wakacyjna przygoda.

– Co jeśli w lesie jest więcej ukrytych zwłok? – zapytała Julia, odrywając wzrok od autokaru, do którego właśnie wniesiono zwinięty poręcz drużyny.

Górny z Szymańskim spojrzeli po sobie.

– Zakładam, że limit trupów w Kampinosie się wyczerpał – odpowiedział bez przekonania Adam.

– Na te trzy natrafiono przez czysty przypadek. Chcesz czekać bezczynnie na kolejny?

– Nie przeszukamy przecież całej puszczy – odezwał się Szymański. – Gdyby to było małe pole, dalibyśmy radę. Ale tu? Misja niewykonalna.

Widać było, że mimo wszystko przejął się tym, co zasugerowała. Górny też sposepniał.

– Znajdź Cichocką i przyprowadź ją tutaj – powiedziała do Szymańskiego Julia.

Ten wszedł w las i wmieszał się między ludzi w białych kombinezonach.

– Wiem, co ci chodzi po głowie, ale zespół Joanny to cztery osoby – zagaił Górny. – Nie mogę wręczyć im łopat i kazać kopać hektary lasu, żeby zajechali się na śmierć.

– Nikt nikogo nie zajedzie.

Z tłumaczeniem Julia wolała poczekać, aż pojawią się Szymański i Cichocka. Przyszli po dwóch minutach.

Cichocka ściągnęła z głowy kaptur białego kombinezonu i rozpięła zamek pod szyją. Była zgrzana, otarła dłonią czoło i wyjęła z kieszeni małą butelkę wody.

– O co chodzi? – spytała, biorąc łyk. – Mówcie szybko, bo mam roboty po łokcie.

Adam splótł ręce na piersiach.

– Przypuszczamy, że te trzy ciała mogą być zaledwie wierzchołkiem góry lodowej – powiedział. – Mamy do czynienia z seryjnym mordercą, który upodobał sobie ten teren i zrobił z niego cmentarzysko dla swoich ofiar. Dlatego prawdopodobieństwo, że zabił więcej osób, jest niestety całkiem spore.

Cichocka musiała bezbłędnie zrozumieć jego intencje, bo pokręciła z dezaprobatą głową.

– Przekopanie lasu jest niewykonalne.

– Jest inna opcja, która nie wymaga rycia w ziemi – odezwała się Julia. – Ile macie georadarów?

Cichocka nabrała w policzki powietrza i wypuściła je bardzo powoli.

– Pytasz serio?

– Serio. Ile?

– Na stanie są trzy. Nie dam głowy, że działają, bo są rzadko używane, a ostatni przegląd techniczny robiony był chyba przed moją ciążą.

– Sprawdź to, sprzęt musi działać. Ile możesz pożyczyć od innych jednostek?

Joanna się zamyśliła.

– Nie wiem, może zbiorę dziesięć. Ale to wymaga czasu. Kwity, papiery, zgody...

– Górny zadba o to, by Madejski przybił odpowiednią pieczętkę. Czyli w sumie mielibyście trzynaście maszyn. Nie najgorzej. Co ty na to, Górny?

Spodziewała się, że przytaknie bez żadnego ale. Zamiast tego patrzył jak zahipnotyzowany na opuszczony po obozowisku plac.

– Co jest? – zapytała. – Chcesz wiedzieć, co znajduje się pod ziemią, czy nie?

– Chcę. Jest tylko jeden szkopuł. Ciała nie zawsze odbijają fale. Jeśli szczątki są zleżałe, radar ich nie wychwyci.

– Ale wychwyci zmiany w strukturze gruntu. To wystarczy, żeby namierzyć kolejny dziki grób.

Górny musiał się przespacerować do zgaszonego ogniska i z powrotem. Co chwilę kopał lakierkami a to porzucone przez zuchów bierwiono, a to przypadkową grudę zbitej ziemi.

– Nie zaszkodzi spróbować – powiedział wreszcie. – Szymański, zajmij się wnioskami o użyczenie sprzętu. Ty, Joanna, weźmiesz na siebie zorganizowanie ludzi do obsługi.

– Zrobię, co się da. Na kiedy?

– Środa rano. Zaczniemy o świcie.

Cichocka od razu sięgnęła po swoją komórkę, by nie czekać do poniedziałku z szukaniem sprzętu. Odeszła kilkanaście kroków od ściany lasu, żeby złapać zasięg. Szymański ruszył do swojego samochodu. Jeśli plan

miał zadziałać, wnioski musiały być gotowe jeszcze dziś, by jak najszybciej trafiły na biurko Madejskiego do podpisu.

– Jesteś pewna, że nie odpuścisz mi kolejnej atrakcji w tym cholernym dniu? – spytał Górny.

– Black Mirror czeka – odpowiedziała Julia. – Mam nadzieję, że wozisz w aucie czyścik do butów.

* * *

Alek Koziej stanął pośrodku klubu Milano i rozejrzał się po wnętrzu. Patrząc na marny postęp prac, nachodziły go coraz większe wątpliwości, czy sobotnia inauguracja jest w ogóle możliwa. Budynek nie prezentował się tak, jak go sobie wymarzył. Brak szyldu był najmniejszym problemem. Z wyrównaniem terenu przed wejściem też sobie jakoś poradzi. Wystarczy, że wysypie żwir i ubije, by dało się swobodnie dojść do wejścia. Ale co z podłogą w miejscu, gdzie ma grać zespół? Plama po benzynie, którą strażacy wlewali z kanistrów do swoich wozów, wyglądała nie tylko paskudnie, ale też nadal cuchnęła. Na darmo tarł ją szczotką od południa. Będzie musiał pociągnąć podłogę emalią do betonu, innego wyjścia nie ma.

Ważne, że był już bar. Drugi postawi na zewnątrz, podepnie beczkę z piwem i zorganizuje tam powitalnego browca.

Dam radę, pocieszył się w myślach. Do otwarcia pozostaje pięć dni. Jutro swoją robotę złączą malarze i wszystko nabierze charakteru. Powoli zrobię z tej rudery prawdziwą tancbudę.

Przeszedł na zaplecze. Mały pokój przeznaczony na biuro pomalował sam już miesiąc temu, żeby poczuć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Pociągnął ściany na kolor ciemnobrązowy, by zasmakować tego samego co właściciele amerykańskich lokali, jakie widział w hollywoodzkich produkcjach. Tam również były ciemne mury, ciemne biurko i dym z cygar unoszący się nad podłogą z bordową wykładziną. Też sobie podobną kupił. W takich miejscach robi się biznesy i liczy grubą forszę. Przydałby się jeszcze podgląd na salę, wystarczy tylko podłączyć kamerę do laptopa i będzie malinowo. I przytarga jakiś materac na wypadek, gdyby przyszło mu zostać tu na noc. Tylko gdzie go wstawić? Może pod oknem, obok skrzynki z butelkowaną colą.

– Niezła buda – usłyszał nagle za plecami.

Obrócił się. Kostek Knott siedział na swoim wózku inwalidzkim i otrępywał dłonie z kurzu sprzed budynku.

– Drzwi były otwarte – dodał chłopak, po czym niezbyt wprawnym ruchem poprawił na podpórkach bezwładne, pozbawione mięśni nogi.

Alkowi wciąż trudno było przyzwyczaić się do tego widoku. Starał się unikać patrzenia na dolną część ciała przyjaciela, wolał koncentrować się na jego twarzy, byle nie zrobić jakiejś głupiej, współczującej miny. Gapienie się na szramę biegnącą przez czoło i prawy policzek też do łatwych nie należało, ale stanowiło mniejsze wyzwanie. I jeszcze te znoszone dresy i wyświechtane sportowe buty... Kostek powinien odpuścić, w końcu minął prawie rok. Przecież był na tyle inteligentny, by wiedzieć, że nie poderwie się już nigdy więcej i nie stanie na bieżni. Ani nigdzie indziej.

Patrzył mu prosto w oczy, nad którymi biegły połączone czarne brwi. Ludzie rzadko kiedy mają je aż tak zrosnięte, a on miał i wcale nie szkodziło to jego urodzie. Choć policzki nieco się zapadły, śniada cera i brązowe oczy były najzwyczajniej w świecie piękne. Uśmiech też został ten sam, choć ostatnio Kostek uśmiechał się coraz rzadziej.

– Zapomniałeś tylko o jednym. – Knott uderzył dłońmi w koła. – Jak się zaprasza kumpla kalekę na potańcówkę, wypadaloby zrobić podjazd dla jego karocy. Chyba że z tym zaproszeniem to lipa. Może wcale nie chcesz, żebym tu był w tym wielkim dniu?

Alek sięgnął do skrzynki po dwie butelki coli. Przyłożył po kolei szyjki do biurka i napałł dłońią na kapsle. Jedną z nich podał Kostkowi.

– Głupio gadasz, łamago. Obiecałem ci, że będziesz moim honorowym gościem, i tak będzie. Zdrowie. – Stuknął swoją butelką o jego.

Tym razem Kostek się uśmiechnął. Po chwili obrócił butelkę i wylał ciemny płyn prosto na bordowy dywan.

– Na łeb ci padło?! – Alek poderwał się, łapiąc za szcnotkę, którą kilka godzin temu tarł podłogę w głównej sali. – Ten dywan kosztował mnie majątek!

Kostek spojrzał na niego prowokująco.

– Zaproszenie nadal aktualne?

Bez pośpiechu wyciągnął z kieszeni spodni jointa i pudełko zapalek. W powietrzu rozszedł się słodki zapach palonej marihuany.

– Łeb mam akurat zdrowy – powiedział po chwili, wciągając dym. – Za to z całą resztą nieco gorzej.

– Powiedziałem ci...

– Słyszałem. Gość honorowy. Przewidziałeś dla mnie miejsce pod ścianą, jak w tym twoim poprzednim klubie?

Wcześniej mu tego nie wypominał. Stary klub był klaustrofobiczny, trudno było się okręcić kelnerce między stolikami, a co dopiero mówić o jeździe wózkiem. Kiedy Alek wskazał przyjacielowi kąt między prowizoryczną szatnią a toaletą, Kostek powstrzymał się od komentarza. Wychylił jedno piwo, rzucił dychę na stół i kręcąc kołami wózka, wyjechał. Wrócił po kilku dniach i po raz drugi trafił pod drzwi toalety. Trzeciego razu nie było.

Alek postanowił posypać głowę popiołem.

– Tamto to było nieporozumienie. Sorry, głupio wyszło.

Kostek skinął ręką w kierunku skrzynki z colą.

– Daj mi nową. Spokojnie, limit na niszczenie ci gabinetu uważam za wyczerpany.

Obserwował, jak Alek wstaje z kolan i sięga po kolejną butelkę.

– Co z oplem? – spytał, zaciągając się ponownie jointem. – Miałeś załatwić sprawę, jak się umawialiśmy. Tymczasem grat wciąż tu stoi.

– Przywlokłeś się tu, by to sprawdzić?

– Powiedzmy, że chciałem sprawdzić, czy mój przyjaciel zrobił to, co obiecał. Jak się okazuje, wciąż robi mnie w konia. Zaczynam się zastanawiać, w co ty grasz, stary.

Alek spojrział na niego spode łba. Unikał tej rozmowy jak ognia. A właściwie rozliczenia za dzień, o którym cała trójka wolałaby zapomnieć.

Czarny czwartek i wyprawa nad morze, gdzie nie dotarli. Ich droga zakończyła się na czwartym kilometrze od domu. Głupia decyzja, którą wtedy podjął, zmieniła ich losy na zawsze. Kostek ucierpiał najbardziej i miał prawo dopominać się o sprawiedliwość. Tylko dlaczego właśnie teraz, gdy wszystko zaczynało się układać? Przez jego zawziętość miałyby stracić to, co budował własnymi rękami od lat? Miał dwa lokale, a w planach jeszcze coś większego. Siłownię albo całonocny z alkoholem. To, że obiecał kumpłowi, że któregoś dnia wyczyszczą między sobą sprawę, nie znaczyło, że trzeba się z tym aż tak śpieszyć.

– Dla wszystkich będzie lepiej, jeśli pogodzimy się z tym, co się stało. Czasu nie cofniesz – burknął, licząc, że ta prosta prawda zamknie dyskusję.

Nowa butelka coli zawirowała w dłoni Kostka, po czym cisnął nią tuż obok głowy Kozieja. Skulił się i zasłonił twarz łokciem. Szkło huknęło o ścianę, roztrzaskując się w drobny mak.

– Możesz wysadzić ten lokal w powietrze, ale to, kurwa, niczego nie zmieni! – krzyknął Kostkowi w twarz. – Choćbyś się wściekł, to nie wstanieś z tego parszywego wózka! Robimy z Muńkiem wszystko, żeby ci dogodzić, ale ty i tak masz to w dupie, prawda?

Niemal płakał. Nie wiadomo było tylko, czy powodowała nim złość, czy bezradność. Dużym chłopcom rzadko kiedy tak bardzo łamie się głos. Nie wycierają nosa w rękaw i nie zasłaniają oczu, na których nagle wykwitły czerwone obwódki.

– Nigdy nie zamierzałeś dać tego grata do zbadania – powiedział oschle Kostek. – Spisałeś mnie na straty. Obaj to zrobiliście, ty i Muniek. Chuje z was, nie przyjaciele.

Zwolnił hamulec przy kołach, zacisnął dłonie na metalowych obręczach i odkręcił wózek w stronę wyjścia.

– Widzimy się w sobotę – rzucił przez ramię. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę na ten wyjątkowy wieczór. To będzie twój moment chwały. I nie zapomnij tym razem o porządnej rampie, bo jeszcze może się zdarzyć, że nie dam rady dostać się do środka, a przecież tego byś nie chciał... – Zawiesił głos, ale nie doczekał się zaprzeczenia. – Jak go nazwiesz?

– Milano – dobiegła go cicha odpowiedź.

– Jak połowa wiejskich imprezowni w tym kraju. Winszuję pomysłowości.

Odjechał. Alek słyszał, jak koła wózka toczą się po nieuprzątniętej posadzce, gniotąc rzucone przez robotników plastikowe kubki po napojach, jak Kostek, cicho stękając, popycha drzwi wyjściowe i jak domykają się za nim z ledwie słyszalnym trzaskiem.

Stał jeszcze chwilę wpatrzony w ciemny hol, po czym podszedł do miejsca, gdzie minutę temu siedział na wózku jego przyjaciel. Podniósł z podłogi jointa, który wciąż się tlił. Włożył go do ust i zaciągnął się głęboko, po raz pierwszy od czarnego czwartku. Tamtego dnia obiecał sobie, że to ostatni raz, że nigdy więcej. Był wtedy nawalony, prawie nieprzytomny. Świadomość odzyskał, gdy było już po najgorszym. Muniek bluzgał, Kostek nie mówił nic. Nie mógł, bo był martwy. Tak w każdym razie pomyślał, gdy go zobaczył. Było dużo krwi i potłuczonego szkła. To akurat pamiętał doskonale. Resztę powiedział mu Muniek już później, zaraz po tym, jak usłyszeli, że Kostek może się nie wybudzić po wypadku. Zatem wciąż żył. Alek nie wiedział, czy powinien się z tego cieszyć, ale udał, że to dobra wiadomość.

Nawet wówczas nie zapalił. Zamiast tego dużo się modlił. Poszli razem z Muńkiem do szpitalnej kaplicy i usiedli obok siebie w ławce. Miał wrażenie, że obaj modlą się o to samo. Żeby Kostek nigdy już się nie obudził.

* * *

Łukasz Lewicki nie zamierzał zostawać we Wrocławiu na nocleg. Po wizycie w podziemiach kościoła zaszedł do baru na dwa głębsze, a później pojechał na dworzec. Stojąc w kolejce do kasy, zadzwonił do żony. Nie chciał wymyślać historyjki o tym, że konferencję odwołano. Nie uwierzyłyby. Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, by anulowano zjazd w ostatniej chwili. Jego partia była na to zbyt rzetelna. Poskarżył się na nagły ból w kręgosłupie, który był na tyle dokuczliwy, że siedzenie na krześle przez kilkanaście godzin mogłoby go zabić.

To nie było pierwsze kłamstwo w jego życiu, może dlatego tak gładko przeszło mu przez usta. Na pewno pomogło to, że nie musiał patrzeć jej w oczy. Gorzej, że w swoje własne odbicie też trudno było mu spojrzeć w lustrze w toalecie na dworcu. Chciał tu przywieźć własną córkę? Zgodzić się, by zrobili jej to samo co tamtej dziewczynie?

Do odjazdu pociągu pozostawały trzy kwadranse. Nie mógł usiedzieć na ławce na peronie, wołał chodzić wzdłuż torów tam i z powrotem. Podróżnych było wielu, dlatego wyjął z kieszeni płaszcz przyciemniane okulary i włożył je na nos. Na wypadek gdyby ktoś go rozpoznał i zechciał zrobić z ukrycia zdjęcie. W końcu tak to działa, wystarczy mieć znaną twarz, a zawsze znajdzie się człowiek, który pstryknie fotkę i wciśnie ją brukowcowi. A jego twarz nie nadawała się teraz do prasy. Była rozogniona procentami i przejęta wspomnieniem o młodziutkiej Zosi. Bezpieczniej ukryć się za ciemnymi szklami, byle tylko uniknąć nagłówków w stylu: „Na kogo wieczorową porą czeka Lewicki? Czyżby jego romans trwał?”, „Co tym razem ukrywa prawicowy poseł?”. Zaczęliby drążyć albo wymyślać idiotyczne teorie o jego prywatnym życiu. Już to kiedyś zrobili. Wyśledzili go nocą pod lokalem o nie najlepszej reputacji, jak dość wylewnie zegnał się ze swoją klubową koleżanką. To wystarczyło, by pojawiły się chamskie insynuacje. Musiał się gęsto tłumaczyć na swoim Twitterze, upokorzony i wściekły.

– To pan? – usłyszał nagle za plecami.

Nie miał pojęcia, skąd na peronie znalazł się stary ksiądz, który kilka godzin temu wpuszczał go przez klasztorną furkę. Gdzieś się wybierał, bo miał przy sobie czarną torbę typu jamnik.

Lewicki nie zamierzał go pytać o cel podróży. Najchętniej odwróciłby się plecami i poszedł w swoją stronę.

– Wraca pan do siebie? – zagaił zakonnik. – Tak, rozumiem... Poważne decyzje należy podejmować w spokoju.

Pokiwał lekko głową. Na jego twarzy malowało się współczucie, tak typowe dla duchownych pochylających się nad problemami zwykłych śmiertelników.

– Jak już pan sobie wszystko przemyśli...

– Już to zrobiłem – odparł krótko Lewicki.

– To dobrze, to bardzo dobrze. Bóg da, że córka nie będzie jak... na przykład ta, niech pan tylko popatrzy. Ta w czerwonych szortach i obcisłej bluzce.

Lewicki obrócił się we wskazanym kierunku. Dziewczyna, którą wypatrzył ksiądz, stała kilkanaście metrów dalej, opierając się plecami o ścianę dworca. Rozmawiała z jakimś starszym mężczyzną i co chwilę odrzucała do tyłu włosy.

Ksiądz zmarszczył brwi, jakby zobaczył coś wstrętnego.

– Rozpoznaję je od razu – powiedział. – Dziewczyny gorszego sortu. Pełno ich. Do tej pory krążyły przy Gwarnej, ale teraz podchodzą pod sam dworzec. Wszystkie takie same. Mają grzech wypisany na twarzach.

– Tylko ze sobą rozmawiają.

– Jak się jej pan dobrze przyjrzy, to w końcu zobaczy.

– Niby co?

Dziewczyna zgięła nogę w kolanie i oparła wysoki obcas o mur. Pogładziła spodem dłoni po nagim udzie. Jakiś przechodzący obok nastolatek w dresie gwizdnął przeciągle w jej stronę. Nie odrywając pleców od ściany, pokazała mu środkowy palec. Mężczyzna, z którym do tej pory stała, musiał się poczuć niezręcznie, bo nagle odszedł, skrywając twarz w kołnierzu marynarki. Nie czekała długo, aż zjawił się kolejny. A nawet dwóch. Wyszli właśnie z pociągu. Po krótkiej rozmowie cała trójka skierowała się w stronę wyjścia.

– To, co widzą wszyscy: łatwodostępność – odparł ksiądz. – Niech się pan nie łudzi, ludzie nie traktują takich kobiet jak równych sobie i nigdy nie będą. Zawsze pozostaną naznaczone skazą.

Odchylił rękaw sutanny i zerknął na zegarek.

– Na mnie już pora. Wjeżdża ostatni do Torunia. Proszę dać znać, co robimy z pańską córką. Będę czekał na telefon. Chyba że już pan zdecydował...

– Zdecydowałem – powiedział Lewicki, wciąż patrząc na czerwone szorty dziewczyny, plecy oddalających się wraz z nią mężczyzn i ludzi na peronie, którzy wbili w nich wzrok. – Córka przyjedzie. Zarezerwujcie termin. Jak najszybciej.

* * *

– Nie przesadzasz z tym? – Górny obrócił w palcach miniaturowy mikrofon do ucha. – To nie matura, wiem, co mam mówić.

– Ważne, żebyś wiedział, o co pytać.

Siedzieli w jego aucie i obserwowali, jak gościnne drzwi Black Mirror otwierają się co kilka minut i wpuszczają do środka nocnych klientów. Za każdym razem na ulicę wypadały dźwięki stłumionej muzyki.

Górny zdecydowanym ruchem odłożył mikrofon na deskę rozdzielczą.

– Ten pod koszulą w zupełności mi wystarczy. Będiesz słyszeć, co dzieje się w środku, i na tym koniec. Żadnego szeptu do mojego mózgu. Zresztą w tym hałasie nie usłyszałbym nawet, gdyby sam diabeł mi szeptał.

Julia z rezygnacją schowała swoją nową zabawkę do etui.

Odczekali, aż do klubu wtoczy się sześćoosobowa grupa podrajcowanych młodzieńców. Sądząc po rozchełstanych koszulach i kwiatku wpiętym w klapę marynarki jednego z nich, był to ciąg dalszy wieczoru kawalerskiego. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, Górny spojrzął na zegarek. Dochodziła pierwsza w nocy. Pociągnął za klamkę.

– W takim razie: *showtime*. Trochę tam zabaluję.

– Baluj.

Zerknął na nią kątem oka.

– Nie miałabyś nic przeciwko, żebym zaglądał w takie miejsca, gdybym był twoim mężem?

– Nie fantazuj, Górny.

– Zero zazdrości? – spytał z niedowierzaniem.

– A to by w czymś pomogło? Po co się spalać na rzeczy, na które nie ma się wpływu. Szkoda prądu. Idź już, Stella powinna kręcić się gdzieś na bramce.

Trzasnął drzwiami. Julia widziała, jak przebiega przez ulicę, a lekki nocny wiatr unosi poły jego marynarki. Przystanął na chodniku i poklepał głośnik ukryty pod warstwą ubrań. Uśmiechnęła się, kiedy rzucił: „Wisisz mi za to jakiś nowy okręcik do składania, bejbe”. Podeszedł pod czarne szyby Black Mirror i zanim pociągnął za klamkę, sprawdził jeszcze, czy dobrze wyczyścił buty z grudek ziemi.

W słuchawce zaszumiało, kiedy tylko znalazł się w środku. Stłumione męskie głosy mieszały się z dochodzącą z głębi lokalu muzyką. Julia słyszała, jak płaci za wstęp, a bramkarz życzy mu udanego wieczoru, kierując go za obrotowe drzwi.

– Nie ma Stelli – dotarło do jej ucha. – Żadnej babki przy wejściu, same karki. Idę głębiej, może jest w sali.

Przygaszone światła otuliły go zaraz po przejściu przez obrotowe drzwi. W powietrzu unosił się słodki zapach wanilii wypuszczany z wywietrzników pod sufitem; mieszał się z ciężkimi męskimi perfumami i dymem z cygaretek. Te leżały na stoliku przy wejściu, dostępne dla każdego klienta. Wystarczyło sięgnąć.

Skusił się i podpalił cygaretkę, korzystając z zapalek, które na pudełku miały inkrustowane czarne logo BM. Jeszcze nie wszedł między kanapy z widokiem na podest z rurkami do tańca. Na razie oparł się plecami o ścianę pokrytą bordową tapetą, która imitowała materiał, i delektował widokiem smukłych dziewcząt w butach na przezroczystych obcasach. Zaciskając nagie uda na rurkach, kręciły się wokół nich, wykonując karuzelkę oraz – co najbardziej przypadło mu do gustu – figurę open V. Ich kostiumy skrzyły się jaskrawymi cekinami. Jedna, zapewne lepiej opłacana, wyginała się topless, w stringach z czerwonej koronki.

Górny zgasił cygaretkę w wysokiej popielnicy i ruszył w kierunku jedynej wolnej kanapy. Stała nieco z boku, przez co nie pozwalała na podziwianie w pełni wdzięków dziewczyn.

Rozparł się wygodnie, rozciągając ramiona na oparciu, i założył nogę na nogę. Kelnerka ubrana w strój króliczka Playboya z uczepionym na pupie białym pomponem zjawiała się niemal natychmiast.

– Dla pana wódka czy whisky? – zapytała, opierając dłoń na krągłym biodrze. – Mamy świetną, trzydziestoletnią.

– Niech będzie. Pojedyncza, z lodem.

Po minucie przyniosła podwójną.

– Przecież i tak zaraz pan domówi kolejną – wyjaśniła, dołączając uśmiech za milion dolarów. Zainkasowała jeden z pięćdziesięciozłotowych banknotów przeznaczonych na tę noc.

– Zaraz będzie występ specjalny – szepnęła, ścierając ze stolika wodę, która zebrała się pod szklanką z grubym dnem. – Rewia zamówiona przez tamtych. – Wskazała głową na chłopaków od kawalerskiego. – Dobrze pan trafił.

Położyła ścierkę na tacy i zamierzała odejść, ale Górny zatrzymał ją i kiwnął palcem, by się nachyliła.

– Szukam Stelli. Mam do pogadania.

Króliczek pokręcił głową.

– Stella, Stella... Chyba nie znam. Striptiz czy party girl?

– Ani jedno, ani drugie.

– Innych nie ma. Więc pytam, czy się rozbiera, czy dosiada do stolika. Mało dziś mamy dosiadających, ale mogę zawołać którąś z tancerek. Tylko że im trzeba więcej zapłacić.

– Chodzi mi o kobietę sprzed wejścia. Zwykle stoi na bramce.

– Ach, ta stara? To znaczy, aż tak stara nie jest, ale do stolików się już nie nadaje. Po trzydziestce to sorry... Nie ten lokal.

– Gdzie ją znajdę?

Pupa z pomponem obróciła się wokół własnej osi. Dziewczyna rozejrzała się po sali i zaraz potem pokręciła głową.

– Może jest na zapleczu. – Wskazała na drzwi ukryte gdzieś za sceną. Były zupełnie niewidoczne, odgradzone od estrady mięsistą zasłoną. – Ale to nie miejsce dla gości. Panom tam nie wolno. To strefa beauty, malowanie, przebieranie i fryzury. Czasem pomaga dziewczynom się wyszykować, a jak już mówiłam...

– Rewia.

– Właśnie. Przed występem nikt nie ma na nic czasu. Niech pan pije tę whisky, bo wyparuje. – Roześmiała się, pokazując pod czerwoną szminką równy rząd górnych zębów.

Kręcąc pośladkami, odeszła w stronę machających do niej dwóch śniadych dżentelmenów.

Whisky była warta swojej ceny. Trzydziestoletnia, zrobiona w ciągu pięciu tygodni. Za porządną, pachnącą drewnem z beczki, zapłaciliby dwa razy tyle.

Górny przełknął dwa łyki i odstawił szklankę na twarde oparcie kanapy. Nie spuszczał wzroku z miejsca za sceną. Za dwie minuty miał się rozpocząć show. Za dwie minuty powinien też wejść do zarezerwowanej prywatnej łoży. Kątem oka dojrzał stojącą przy barze dziewczynę, która kilka chwil temu tańczyła przy rurce w koronkowych stringach. Teraz miała już na sobie stanik, równie czerwony i z tej samej koronki. Wystawał zza satynowego szlafrocza, który dyskretnie się rozchyłał, ukazując skrawek jej ciała. Przyglądała się Górnemu z ciekawością i z miną niewinnego łabędzia.

Dopiero co od ziemi odrosła, pomyślał, może mieć najwyżej dwadzieścia lat. Ciało dojrzałe, ale buzia niedraśnięta czasem. Odwrócił spojrzenie, nie chcąc prowokować sytuacji. Poza tym na scenę wchodziło właśnie sześć rewiowych tancerek z programem „Paris Paris”, jak zapowiedziano przez głośnik. Pióra, kabaretki i stukot obcasów wypełniły scenę. Wszystko w takt *Milord Édith Piaf*.

– Nie powinniśmy tracić na to czasu – usłyszał nad głową. Panna Koronka opierała się udem o poręcz sofy. – Pańska łoża czeka. I ja też. W zastępstwie za zamówioną koleżankę – wyjaśniła.

Sięgnął po niedopitą whisky i wlał do gardła.

– Obiecuję, że będzie miło. – Panna Koronka oblizwała zachęcająco usta.

Górny miał na końcu języka, że za taką kasę powinno być cholernie miło.

– Pani przodem – mruknął tylko.

Podźwignął się z kanapy i poszedł za nią w stronę drzwi do wydzielonej strefy z łożami. Miękka wykładzina wyściełająca przejście wyciszała ich kroki, ale Panna Koronka nie musiała spoglądać za siebie, by mieć pewność, że cały czas za nią idzie. Jeszcze jej się nie zdarzyło, by którykolwiek zrezygnował. Rzecz jasna trafiali się tacy, których nagle nachodziły wątpliwości, wystarczyło jednak, że pociągnęli kilka łyków z procentami, i rezon wracał. Na każdego czekała w łoży butelka.

– To tu. – Stała przy ostatnich drzwiach. – Zapraszam.

Weszła pierwsza. Łoża była niewielkim pokojem bez okien, za to z dobrze działającą klimatyzacją i lustrami na suficie i ścianach. Pośrodku stała welurowa wiśniowa sofa o półokrągłym kształcie. Miękkie, stłumione światło zainstalowane przy podłodze odbijało się od lusterek, tworząc kosmiczną scenerię. Z boku, na podręcznym stoliku, stała szklanka i mała butelka koniaku.

– Tylko jedna? – spytał Górny. – Mam na myśli szklanke.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Ja nie piję.

Poprawiła sięgające obojczyka włosy, zakładając je za ucho. Ciemny kolor nie pasował do jej cery, włosy musiały być sztuczne. Klasyczna peruka do pracy.

– Proszę usiąść – powiedziała słodko i wciąż niewinnie. – Tak, doskonale. A teraz włączę muzykę. Przypominam, że dotykać nie można. Tylko patrzeć.

– Wiem.

– Napiwki proszę kłaść na stolik.

Nacisnęła przycisk tuż przy drzwiach. Pościelowa melodia wypełniła łóżę. Satynowy szlafroczek sfrunął jej z ramion i wylądował na podłodze. Podniosła go czubkiem buta i rzuciła w kąt.

Zawirowały jej włosy, koronki i piersi. Tańczyła namiętnie, zbliżając się do nóg Górnego i oddalając.

– Nawet nie wiem, jak masz na imię – bąknął, kiedy po raz kolejny owiał go zapach jej owocowych perfum.

Panna Koronka oparła stopę obok uda Górnego, wbijając obcas w kanapę.

– A jak byś chciał?

Znał te numery. Teraz powinien rzucić, że Lola, Ksenia albo jakoś tak. Roześmiała się, widząc, że nie może się zdecydować.

– Możesz mnie nazywać, jak ci się tylko podoba. Albo wcale, jak wolisz. Nie musisz do mnie mówić, jeśli nie chcesz.

Odkręciła się tyłem i wykonała ciałem coś na kształt ruchu tańczącej kobry. To był dobry moment na to, by wyjąć z portfela dwa dwustuzłotowe banknoty. Położył je we wskazanym wcześniej miejscu na stoliku. Zauważyła to w odbiciu w lustrze.

– Och, dziękuję.

W podziękowaniu wypięła się w jego stronę pośladkami i pociągnęła zmysłowo dłońmi od łydek po uda.

– Znasz tu wszystkie dziewczyny? – zapytał, nie odrywając wzroku od jej dłoni wędrujących po nogach.

Wyprostowała się i stanęła przodem. Ten sam ruch kobry wykonała na ugiętych kolanach.

– Mhm. Jest tu nas zaledwie dziesięć, to co mam nie znać. Jeśli chcesz jeszcze jedną, można dokupić. Lubisz duety?

– Nie chodzi mi o taniec.

– Ach... – westchnęła, po czym weszła obiema nogami na kanapę i stanęła okragiem nad Górnym. – A o co? Bo mówiłam, nie możesz dotykać. Ja ciebie mogę, ale ty mnie już nie. Jej też nie będziesz mógł. Za dotykание można stąd wylecieć. Tamto małe oczko – spojrzała w górny kąt pokoju – to kamera. Niektórzy klienci bywają porywczy, zwłaszcza gdy zostają sam na sam z tancerką. Myślą, że wszystko im wolno.

– Chcę tylko pogadać.

Zakołysała biodrami. Bał się spojrzeć w górę, na jej koronkowe stringi, co natychmiast wyczuła. Przykucnęła w rozkroku nad jego kolanami.

– Po co gadać? Odpręż się wreszcie – zaświergotała. – Zostało nam jeszcze pół godziny.

– Zejdz. Zejdz na podłogę.

Na twarzy dziewczyny wykwitł grymas. Spłynęła na wykładzinę, ale nie przestawała tańczyć.

Ponownie sięgnął do kieszeni. Udała, że odwraca wzrok. Nie zrobił tego, na co czekała. Nie położył kolejnego banknotu na stole. Zamiast tego zgar-
nął poprzednie i wsunął je do portfela.

– Coś podobnego! – parsknęła z oburzeniem.

Uderzył portfelem o otwartą dłoń, jakby się z nią drażnił.

– Dostaniesz tę forszę, jeśli sprowadzisz tu Stellę.

– Tę starą? – Twarz Panny Koronki wykrzywiła się ponownie. – Jej się nie zamawia. Zresztą Stella w ogóle nie obsługuje klientów.

– Ona cię tu zwerbowała?

Dziewczyna zamarła i zerknęła niepewnie w oko kamery pod sufitem.

– Nie przestawaj tańczyć – powiedział. – I nie patrz tam. Ona cię tu ścia-
gnęła?

– A co, jeśli tak?

– Jesteś jedną z nich? Ze studentek uniwerku?

– Tańczyć to nie grzech.

– Nie oceniam, tylko pytam. Znasz Sarę Lewicką? Może też tu pracowa-
ła?

Czarna peruka pokręciła się na boki.

– Lewicka? Tu tylko same Kowalskie i Nowak.

Jasny przekaz. Może prawdziwe nazwiska istniały w papierach, ale żadna z nich nie legitymowała się drugiej.

– Ma osiemnaście lat. Blondynka, szczupła, jasne włosy. – Wyjął z kieszeni telefon i pokazał jej zdjęcie Sary. – Przypatrz się. Poznajesz?

Żeby się przyjrzeć, nie wywołując podejrzeń u podglądającego ich ochroniarza, uklękła przed Górnym, rozchylając mu nogi. Klasyczny numer w tańcu erotycznym. Nachylił telefon na wysokość swojego krocza.

– No i jak?

– Ach, ta... Poznaje. Była tu, ale krótko. Tydzień chyba.

– Co się z nią stało?

– A ty co, jej tatuś? Nie wyglądasz na tatusia. – Panna Koronka podniosła się i dla odmiany położyła na wznak na kanapie. Dla wygody umościła głowę na kolanach Górnego. – Odeszła, nie wiem dokąd. Po prostu pewnego dnia zniknęła. Może wolała kłaść się spać po dobranocce, zamiast tańczyć tu do rana. – Zachichotała.

– Z chęcią się dowiem, co to była za dobranocka. Przyprowadź Stellę – powtórzył. – Powiedz, że klient chce odnowić kontakt z Sarą. No, idź.

Wsunęła palec z czerwonym paznokciem za guzik jego koszuli i poskrobała go po ciele.

– Pójdę. Ale najpierw forsa.

Gdy dostała z powrotem banknoty, schowała je natychmiast w miseczce stanika. Na wypadek gdyby znowu mu się odwidziało. Zsunęła się z jego kolan jak zniecierpliwiona kotka i narzucając na plecy czerwony peniuar, wyszła z lustrzanego pokoju.

Górny miał wrażenie, że nim zamknęła za sobą drzwi, dziwnie mu się przyjrzała. Jakby podejrzliwie. Poprawił odgięty skrawek koszuli przy guziku, zza którego wystawał plaster przytrzymujący ukryty mikrofon. Musiała go zauważyć.

Zerwał się z kanapy i wybiegł na wąski korytarz, a potem dalej, do głównej sali. Na scenie odbywał się kolejny pokaz, tym razem dwie tancerki wisały na wielkich kołach i kręciły się wokół ich osi. Pod obręczami leżały pięćdziesiątki i setki.

Obiegł wzrokiem salę. Wszystko wskazywało na to, że dziewczyna rozpłynęła się z jego forszą w powietrzu, bo nigdzie nie było widać jej kusego wdzianka.

Górny wypadł przez obrotowe drzwi w nadziei, że może jakimś cudem znajdzie Stellę w przedsionku, ale zobaczył jedynie tych samych dwóch

bramkarzy, którzy wpuścili go do klubu czterdzieści minut temu.

Pozostawało jeszcze jedno miejsce, gdzie mogła się zaszyć.

Wrócił na salę i nie zważając na zakaz, ruszył prosto za scenę, ku grubym kotarom, za którymi skrywały się drzwi do garderoby. Szarpnął za klamkę.

Stanowiska do makijażu, lustra z żarówkami i sceniczne kostiumy. Dwie tancerki z papierosami w rękach obróciły się na kręconych krzesłach w jego stronę.

– Co to za jeden? – warknęła jedna. – Tu nie wolno, hej!

Po prawej coś się poruszyło. Zobaczył Pannę Koronkę ukrytą między wieszakami. Wypuszczała kogoś bocznym wyjściem dla personelu.

Nim do niego doskoczył, zatarasowała je ciałem. Nie chciał się z nią przepychać. Chwycił ją za ramiona i przeniósł jak sklepowego manekina. Zachwiała się i rzuciła za nim kilka bluzgów.

Wypadł na wewnętrzny dziedziniec okolony starymi kamienicami. W oknach mieszkań było ciemno, tylko nikielne światło padało gdzieś z boku. Wyglądało, jakby dochodziło z bramy prowadzącej na ulicę. Podbiegł kilka kroków i zobaczył na wpół otwarte przejście.

– Wybiegła na jezdnię! – krzyknął do mikrofonu. – Ta cholerna Stella zwiąła!

Chwilę potem ciszę panującą na ulicy przeszył pisk opon.

* * *

„Dziękuję za pozdrowienia, miło, że pamiętałaś”.

Julia patrzyła na ekran swojego telefonu. Esemes od Maciejewskiego przyszedł kilka minut po północy. Szlag by cię, Bodnar! Najwyraźniej nie rozumiesz słowa „nie”.

– Wchodzisz? – Głos Górnego wyrwał ją z zamyślenia.

Stał w otwartych drzwiach i zapraszał ją ruchem ręki. O tej porze w komisariacie było o wiele spokojniej niż za dnia. Pracownicy kończący o siedemnastej dawno spali już w swoich łóżkach, więc za biurkami tkwiła tylko nocna zmiana.

– Zaraz ją przyprowadzą – dodał, wchodząc do pokoju przesłuchań. –

Bąłem się, że będzie musiała spędzić całą noc w szpitalu, ale na szczęście nie połamałaś jej nóg. Słyszysz mnie?

Wyłączyła telefon i schowała go do kieszeni dzinsów.

– Słyszę. Nie miałam zamiaru jej uszkodzić, ale wyskoczyła mi prosto pod koła.

– Widziałem co innego.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Nic nie widziałeś, Górny. Odbiła się od maski i upadła.

To, co zobaczył, kiedy wybiegł za Stellą na ulicę, działało się na tyle szybko, że w pierwszej chwili nie rozumiał, czego był świadkiem. Pisk opon i uderzenie. I znowu pisk, tym razem ludzki. Stella leżała na asfalcie, mamrocząc coś i złorzecząc. Julia wciąż siedziała za kółkiem. Dopiero po chwili dostrzegł na asfalcie czarne rysy po oponach.

– O mało jej nie zabiłaś. Musisz się liczyć z tym, że wniesie przeciw tobie oskarżenie.

– Udowodnię, że uciekała przed policją. Zaginęła osiemnastolatka, pamiętasz?

– Co nie znaczy, że masz rozjeżdżać ludzi na chodnikach!

– Nie musiałabym tego robić, gdybyście wzięli się do roboty. O ile wiem, też jej szukacie. Szkoda że z marnym skutkiem.

Uciszyli się, gdy skrzypnęły drzwi. Do pokoju weszła kobieta z pokaźnym opatrunkiem na szczęce i dłonią owiniętą bandażem. Wciąż miała na sobie kostium króliczka, na który narzuciła dodatkowo szpitalny fizelinowy fartuch. Funkcjonariusz, który ją wprowadził, zniknął w korytarzu.

– Proszę usiąść. – Górny odsunął jedno z krzeseł przy stole. – Coś do picia?

– A macie wódkę? Strzeliłabym sobie na mocne zakończenie dnia. A właściwie na rozpoczęcie nowego.

Nie wyglądała na przerażoną. Miała nijaki wyraz twarzy, jak ktoś, kto z nudów siada do oglądania w telewizji powtórki oklepanego serialu. Zmyty w szpitalu makijaż pozostawił po sobie resztki w postaci ciemnych smug wokół powiek i lekko rozmazanych na czerwono ust. Czarne włosy związane w kucyk były ulizane i mocno skropione lakierem.

– Kawa albo woda – odpowiedział Górny.

– Daj pan spokój z wodą. Fajkę chociaż dajcie.

Podsunał jej swoje papierosy i zapałki zabrane z Black Mirror. Dołożył plastikowy kubek, zalewając jego dno wodą z dystrybutora.

Na kubek nawet nie spojrzała. Zapaliła za to łąpczywie i zakasłała.

– Poznaje cię, to ty mnie tak załatwiłaś. – Wyciągnęła w stronę Julii palce, w których trzymała papierosa. – Przez ciebie mogę stracić robotę.

Julia nachyliła się nad stołem i spojrzała Stelli prosto w oczy.

– Gdzie jest Sara Lewicka?

Podsunięła jej fotografię nastolatki. Kobieta w odpowiedzi wypuściła z ust smugę dymu, ignorując uśmiechniętą twarz ze zdjęcia.

– Szczęka zagoi się najwcześniej za dwa tygodnie. Będę co najmniej cztery kafle do tyłu.

– Chcesz forsy?

– Chyba mi się należy.

Górny już otwierał usta, jednak Julia powstrzymała go ruchem ręki.

– Dostaniesz. Mów, gdzie jest dziewczyna.

– Najpierw pieniądze. Nie ufam ludziom, którzy wjeżdżają mi w tyłek zderzakiem.

Z tego, co zostało w portfelu Górnego po wizycie w Black Mirror, wygrzebali cztery setki. Julia ze swojego wyjęła jeszcze dwie.

– Reszta będzie później. Podaj adres.

Zaśmiała się. Śmiech musiał ją lekko zabołoczyć, bo złapała się za szczękę.

– Mała *pretty woman* zaginęła? A to niespodzianka!

Górny usiadł na brzegu biurka.

– *Pretty woman*?

– Co pan, nie zna się na młodych? Są takie naiwne, całkiem jak dzieci. Wszystkie chcą być jak Julia Roberts. Poudawać znajdę w taniej peruce i pewnego dnia nadzieć się na milionera. Lewicka była nim zafascynowana. Tym filmem, znaczy się.

Julia ponownie sięgnęła po swój telefon. W galerii ze zdjęciami zrobionymi w pokoju Sary odnalazła to, które pokazywało półkę z płytami DVD. Powiększyła je.

– Rzeczywiście, miała ten film – powiedziała, nie odrywając wzroku od ekranu.

Stella wzruszyła obolałymi ramionami.

– Mówię przecież, że miała obsesję na tym punkcie. Perukę też miała platynową, z grzywką. Wariatka na całego. Raz przyłapałam ją, jak ćwiczyła scenę z pudełkiem. Wiecie... tę, co to wieczko miało jej palce przytrzasnąć. Sama je sobie zatrzaskiwała na dłoni i śmiała się jak ta aktorka. Księżcia zakochanego w prostytutce szukała, co to jej brylanty będzie kupował. No... wariatka jak się patrzy – powtórzyła.

Wyciągnęła rękę po kolejnego papierosa i odpaliła jednego od drugiego.

– Jeśli popłynęła, nie znajdziecie jej.

– Dokąd mogła popłynąć? – spytała Julia. – Wiesz?
Stella wytarła kciukiem kąciki ust.

– Wszędzie.

– Wysił się bardziej. Dokąd odpływają młode dziewczyny?
– Praca w Black Mirror jej nie odpowiadała – zadumała się Stella. – Mówiła o nich, że to leszcze, albo i bardziej dosadnie, nie będę przyta-
czać...

– O mężczyznach z klubu?
– O tych, co szczypią się z każdym tysiącem. Wiecie, co to jest tysiąc dla prawdziwej *pretty woman*?
Zrobiła z palców zero i pstryknęła nimi w powietrze.

– Podobno była ci winna przysługę – zagaiła Julia.
Stella kiwnęła głową.

– Nadal jest. Za wynajmowany pokój i za wkręcenie jej do klubu, z któ-
rego zwiła. Ustawiliśmy się na pewną kwotę i wciąż czekam. Jak ją znaj-
dziecie, powiedzcie tej małej mendzie, że jej nie odpuszczę.

– Powiemy – zapewnił na odczepnego Górny. – A teraz skoncentruj się.
Kiedy mieszkaliście razem, wspominała o kimś konkretnym? Mam na
myśli gościa z grubą forszą.

Stella ziewnęła, a potem zacisnęła na piersiach fizelinowy fartuch i przy-
mknęła oczy.

– Jednak spadł pan z księżyca. Naprawdę myśli pan, że w takim biznesie
podaje się nazwiska swoich klientów? Jeśli się już jakiegoś złapie, nie roz-
mawia się o nim z inną kobietą. Konkurencja nie śpi – stwierdziła, po czym
dodała: – *Escort girls*. Tam radzę szukać, może jej agentka poda wam
namiary na tego sponsora. Choć wątpię. Takie informacje trzymane są
w dyskrecji, jak stan konta w szwajcarskim banku.

– A jednak wybrała klasyczny burdel – skonstatował Górny.

– Oficjalnie: agencję z ofertami ekskluzywnych pań do towarzystwa –
sprostowała Julia. – Dziewczyny zaciągają się tam, licząc na łatwy pie-
niądz. Wysyłają zdjęcie ładnej buzi i dobrego ciała, opisują rodzaje świad-
czonych usług i podają wykształcenie.

Górny zaczął strzelać palcami w stawach.

– Nie wiedziałem, że do tego trzeba mieć jakieś szkoły.

– To często studentki, aktorki i modelki. Znają języki, pachną drogo
i umieją jeść ostrygi. Na tym polega ich ekskluzywność. Od dwustu do
czterystu euro za godzinę – dopowiedziała Stella. – Jak ma się to dziewczy-

nom nie opłacać? Dochodzą do tego wyjazdy zagraniczne, jachty i tak dalej. Ona też tego chciała, ta młoda Lewicka. Pieniądzy od dzianego klienta, który zrobi z niej światową kobietę.

– Ile ich jest?

– Pyta pan o agencje czy o dziewczyny? – Stella zmarszczyła brwi. – Rynek ostatnio ładnie się rozwinął. Liczba eskortek dobija do tysiąca. Wyczuły pismo nosem, to się rwą do tego miodu.

– Psują wam przez to biznes – zauważyła Julia.

Stella próbowała się zaśmiać, ale boląca szczęka pozwoliła jej jedynie na ciche westchnienie.

– Tak pani sądzi? To panią oświecę: popyt na dziewczyny nigdy nie zmaleje, nie w tej branży. Ważne, żeby towar był świeży, a chętni zawsze się znajdują. A teraz wypuście mnie już z tej klatki. Nic więcej nie wiem.

Kobieta wyglądała, jakby za chwilę miała spaść z krzesła. Coraz częściej przymykała powieki, a jej głowa spadała na ramię. Miała już dość wrażeń.

– Niech idzie, więcej z niej nie wyciśniemy – mruknął do Julii Górny.

Wyszedł na korytarz i zawołał dyżurnego funkcjonariusza, by odwiózł Stellę do domu. Oparła się na jego ramieniu, ale zanim opuściła pokój, kiwnęła na Julię.

– Chcę resztę swojej doli. Na ulicy jest bankomat, bez forsy nie odjadę.

Opuściły komisariat razem. Stella nie spuszczała z Julii oka, kiedy ta przebiegała przez jezdnię i wypłacała pieniądze z prywatnego konta. Gdy dostała banknoty do ręki, dokładnie je przeliczyła.

– Teraz jesteśmy kwita – potwierdziła.

– Słuczki nie było? – upewniła się Julia.

Kobieta wsunęła pieniądze za czarny gorset króliczka.

– Nic nie wiem o żadnej słuczce.

Zacisnęła szpitalny fartuch na piersiach i odeszła z policjantem do jego wozu.

Górny też wyszedł z budynku. Marynarkę przerzucił przez ramię, a w rękę trzymał kluczyki do swojego auta. Zakręcił nimi na palcu.

– Wyrobiłaś już swoją dniówkę – powiedział, stając za Julią. – Masz wolne, jedź do domu i wyśpij się jak człowiek.

Nie ruszała się z miejsca, patrząc wciąż za odjeżdżającym radiowozem.

– Nie na to liczyłaś – zagadnął ponownie. – Byłaś pewna, że poda ci adres Lewickiej na tacy. Co nic nie mówisz?

– Myślę. A do myślenia potrzebuję ciszy. Dobranoc, Górny.

Pocałowała go na pożegnanie w policzek. Od rana zdążył już schropować od zarostu.

Odeszła w stronę czekającego na nią ubera. Zanim do niego wsiadła, obejrzała przód policyjnego samochodu Adama. Maską nad prawym reflektorem była lekko wgnieciona, ale nie na tyle, by musiał oddać go do warsztatu.

ROZDZIAŁ VII

Dwie cegły były już dokładnie obdrapane dookoła krawędzi. Początkowo szło jej ciężko. Choć zaprawa murarska miała chyba ze sto lat, wszystko wskazywało na to, że kiedyś ludzie budowali domy dużo solidniej niż obecnie. Teraz ściany kruszą się i pękają z byle przyczyny. Niestabilny grunt, pijani budowlańcy, oszczędności na materiale. Na fundamentach tego domu nikt nie oszczędzał, dlatego musiała się wysilić, by spoiwo skruszało. Gorzej, że trzonek łyżki zdarł się już zupełnie, a ręce jej spuchły od zaciskania go z wielką siłą. Skóra piekła ją niemiłosiernie, ale drapała dalej.

Dmuchnęła w starty na pył cement. Chciała sprawdzić, ile jeszcze centymetrów przyjdzie jej skrobać, by mogła uderzyć w cegły i zrobić wyrwę w murze, ale uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, jaką mają szerokość. Wiedziała jedynie, że są o wiele bardziej wytrzymałe od aluminiowej łyżki.

Musiała odpocząć. Omiatając płomieniem świecy podłogę, zagarnęła ceglane resztki pod materac i otrzepała brzuch i nogi z pyłu. Kiedy uznała, że jest w miarę czysta, włożyła swoją białą koszulę. Za każdym razem, gdy zaczynała drapać w ścianie, robiła to nago. Na białym płótnie nie dałoby się ukryć śladów po okruchach z cegieł. Byłby widoczny jak krew na prześcieradle. Wystarczyłoby niewielkie zabrudzenie, a domyśliliby się od razu, że coś knuje.

Pozostawała jeszcze kwestia zdartego trzonka. Czymś będzie musiała to wytłumaczyć, gdy przyjdą, by zabrać brudne naczynia.

Wiotką ze zmęczenia ręką zaczęła kreślić na podłodze rysunki. Trzonek rył ciemny beton, grodząc przestrzeń i wydzielając w niej miejsce na kuchnię i pokój. I tak jej nie uwierzą. Od kilku linii łyżka nie zdarłaby się aż tak bardzo. Dorysowała więc meble. Na pewno zapytają, po co to robi, więc

odpowie im najszczerzej, jak tylko potrafi: przecież jest mi tu jak w domu. Teraz jest tu ładniej, a każdy metal się przecież niszczy, kiedy rysuje się nim po twardej podłodze. Mogę dostać jeszcze jedną łyżkę, ostatnią? Marzę, by dorysować łazienkę. Taką z wanną, jak na piętrze.

I z prawdziwym sedesem, powinna dodać. Metalowe wiadro przeznaczone na toaletę stało w kącie nieopróżniane od dwóch dób. Gromadziło nie tylko fekalia, ale i opatrunki, które zdejmowała, gdy któryś zaczął przesiąkać krwią. Cuchnęło, mimo pokrywy, i wywoływało mdłości.

Powietrza...

Podeszła do zabitego okna i nacisnęła dłonią na pilśniową płytę. Trzymała mocno, jak to ceglane spoiwo w ścianie.

Rozbije ją, przynajmniej skrawek. Inaczej się udusi. Jeśli ma umrzeć, to nie w ten sposób, nie od smrodu.

Przyciągnęła pod okno kubek z kołyszącymi się wewnątrz brudami i ułożyła na nim dokładnie pokrywę. Sprawdziła, czy wiadro nie kolebie się zanadto, i postawiła na nim nogę. Zbyt ryzykowne. Jeden nieostrożny ruch, a wszystko wyleje się na podłogę. Wtedy będzie już nie do wytrzymania.

Sięgnie do okna na tyle, na ile może, choćby na palcach.

Skrobanie w ścianie zaostriło krawędź trzonka łyżki na tyle, by mogła wbić go w płytę i zrobić pierwsze nacięcie. Jedna warstwa sklejk, choć twarda, ukruszyła się i jej drobny fragment upadł pod nogi. Nie liczyła na wiele, ale z każdym kolejnym drapnięciem wstępowała w nią nadzieja. O usunięciu przeszkody w całości nie sposób było marzyć, ale wystarczyłby nawet niewielki otwór, by wpuścić odrobinę świeżego powietrza.

Jeszcze tylko kilka skrobnięć. Czują, że sklejka robi się coraz cieńsza. Cztery, trzy, dwa...

Otwór miał wielkość orzecha włoskiego i niemal nie wpuszczał tlenu. Będzie się musiała bardziej postarać, gdy skończy już z ceglaną ścianą. To ona jest teraz najważniejsza. Na razie musiało jej wystarczyć, że może wysunąć palec przez prześwit w płycie.

Tam, na zewnątrz, wstawał dzień. Przez to dłubanie w murze zupełnie straciła poczucie czasu. Powinna zdrzemnąć się choćby kilka godzin, ale na to jeszcze nie pora. Teraz będzie czuwać. Odczeka, aż na górze zrobi się całkiem cicho i dom opustoszeje. To będzie właściwy moment na to, by spróbować przebić ścianę. Musi w końcu wyważyć te cegły. Musi zobaczyć Danke.

* * *

Była równo ósma rano, kiedy Antoni Bugaj otworzył na oścież okno w swojej kuchni, by wyrzeć, czy na drodze nie majaczy przypadkiem postać miejscowego listonosza. Młody pracownik poczty zwykle zaczynał kurs po wsi od jego domu. Wrzucał listy do skrzynki na furtce, o czym zawiadamiał domowników dzwonkiem przy swoim rowerze, a następnie wykręcał ku dalej położonym ulicom.

Tym razem nie słyhać było dzwonka, a przy furtce zamiast listonosza Bugaj zobaczył swoją żonę. Elwira stała odwrócona do niego plecami i rozmawiała z kimś, gestykulując zapamiętałe. Zza kępy bzu rosnącego przy płocie trudno mu było rozpoznać, kim jest ten człowiek. Nie słyszał też, o czym dyskutują. Do kuchni dochodził tylko tembr męskiego głosu zagłuszanego przez przejeżdżające auta.

Bugaj chrząknął znacząco i na tyle głośno, że żona obróciła się w stronę okna. Czym prędzej pożegnała się z rozmówcą i oderwała ręce od dzielącego ich ogrodzenia.

– Kto to był? – usłyszała, gdy tylko stanęła w progu kuchni.

Wytarła dłonie w kwiecisty fartuch przewiązany w pasie i odruchowo wygładziła włosy przy skroni.

– Zabielski, ten od koni. Muniek jeszcze śpi?

Bugaj zignorował pytanie o syna. Zamiast tego wyjrzał ponownie przez okno, by upewnić się, że chodnik przed furtką jest już na pewno pusty.

– Wiem, kim jest Zabielski – mruknął. – Czego chciał?

Kobieta wrzuciła dwie grzanki do tosterka, po czym wyjęła z lodówki masło.

– A jak myślisz?

– Pewnie znowu przyszedł zebrać o te zabezpieczenia przed wilkami. Było go od razu odesłać do diabła. – Widząc lodowate spojrzenie żony, sprostował: – To znaczy do urzędu, żeby napisał podanie.

– I niby po co? Mało ich złożył? Pełno ich gnije w twoich szufladach.

– I będą gnąć nadal. Zabielski nie dostanie ode mnie ani grosza. Na ludzi muszę mieć pieniądze, nie na wilki. Konia mu zeżarły, słyszałaś? Obłądu dostał przez te szkapy. Mam nadzieję, że wie, co o nim myślę.

Kobieta zakręciła się za zapałkami. Postawiła czajnik na kuchence i przekręciła kurek z gazem.

– Wie doskonale. Dlatego przyszedł do mnie. Z tobą już nie zamierza rozmawiać.

Bugaj zmarszczył brwi.

– Zatem ma zamiar nękać całą moją rodzinę. Pewnie znów był na bani? Bo na trzeźwo by się nie odważył.

Wsypała zmieloną kawę do kubka i postawiła przed mężem cukiernicę z kostkami cukru.

– Nie czuć było wódki. Tak naprawdę głównie pytał o Muńka – powiedziała szeptem. Obejrzała się przy tym za siebie, by mieć pewność, że jej słowa nie wyjdą poza ściany kuchni. – I o tamto, co się wydarzyło, wiesz, wtedy.

Tamto. Wtedy. Te dwa słowa były jak klucze, które pasują tylko do jednego zamka. Wypowiadali je zawsze półgłosem i przez zęby, jakby to była tortura.

Bugaj wrzucił do kubka dwie kostki cukru i zaczął kruszyć je łyżeczką.

– Co mu powiedziałaś?

– Że o niczym nie wiem i że coś musiało mu się przywidzieć.

– Było od razu przegonić, nie dyskutować – wycedził.

Przysiadła się do stołu i schowała twarz w dłoniach.

– On naprawdę wszystko widział.

– Pijackie halucynacje... nikt mu nie uwierzy. Cała okolica ma go za dziwaka i moczymordę. Jeśli pojawi się tu znowu, nie otwieraj. Nie będzie nas, łajdak, szantażować.

Kobieta podniosła się na dźwięk gwizdka w czajniku. Zalała wrzątkiem kawę i usiadła ponownie przy stole.

– To miało być ostrzeżenie. Na razie jest niegroźny, ale kto wie, co będzie dalej. Dlatego ten opel, co stoi u młodego Kozieja pod remizą, musi zniknąć raz na zawsze. Miał iść na złom dawno temu. Nie wiem, dlaczego Alek tak z tym zwleka.

– Przydałoby się wysadzić tego grata w powietrze. – Bugaj siorbnął kawę. – Ale to zbyt ryzykowne.

– Najpierw musimy się zająć Zabielskim. Trzeba go uciszyć, i to szybko, bo ten koniarz nie zamierza czekać w nieskończoność. Na kilka dni mamy spokój, ale jeśli zaczniemy przeciągać sprawę, zrobi się niebezpiecznie. A co do oplą...

Przerwała, słysząc kroki syna w przedpokoju. Muniek wszedł do kuchni, naciągając na siebie czerwoną podkoszulkę z napisem „dziki dzik”. Pod-

szedł do matki i pocałował ją w czubek głowy.

– Co to za narada? Macie miny, jakby ktoś umarł. Co, umarł ktoś?

Nie zauważył, jak przez twarz kobiety przebiega cień.

– Jak chcecie. – Wzruszył ramionami, minął matkę i zajrzał do lodówki.

– Podejź tu – usłyszał za plecami.

Ojciec stał wyprostowany, jego oczy były dziwnie zwięzione.

– Znowu coś schrzaniłem? – zapytał chłopak. – Co tym razem?

– Podejź.

Stanął z kartonem mleka i rozłożył pytająco ręce. Ojciec nie śpieszył się z odpowiedzią, Muniek odkręcił więc zakrętkę i wziął solidny łyk. Kolejnego już nie zdążył. Dłoń starego Bugaja wytrąciła mu opakowanie z ręki.

– Co jest, ojciec?! Mamo?

Kobieta poderwała się z krzesła, by zabrać z podłogi karton. Rzuciła pod nogi zwój papierowych ręczników, które natychmiast nasiąkły białą cieczą.

– Musimy porozmawiać, synu – powiedziała, podnosząc ociekający papier. – Teraz, bo potem może być już za późno. Siadaj i posłuchaj, co mamy ci do powiedzenia.

– Może najpierw wyjaśnijcie, o co ta drama.

– O to, że przez twoją głupotę nasze kłopoty nigdy się nie skończą – odparł Bugaj. – Łeb ci ukręcić to mało!

Bugajowa odsunęła męża i spojrzała synowi głęboko w oczy.

– Ktoś was widział, Muniek. Wtedy. Chodzi o tamten dzień. Dzień, w którym... zabiliście sarnę.

* * *

Julia źle spała tej nocy. Przewracała się z boku na bok, w końcu włożyła do uszu słuchawki i puściła wyciszającą mantrę z YouTube'a. Miało się skończyć na jednej, w opisie podano, że po jedenastu minutach słuchający zapadnie w głęboki sen. Cierpliwość straciła po sześciu minutach nieustannego słuchania „ommm...”. Wyjęła z uszu słuchawki i zastąpiła je stoperami. Do gardła wrzuciła tabletkę nasenną. Odpłynęła po piątej nad ranem.

Dzwonka domofonu nie usłyszała. Dopiero gdy przez stopery przedarł się sygnał jej telefonu, otworzyła oczy.

– Jest pani w domu czy przekładamy dostawę na inny termin? – dotarł do niej męski głos. – Sejf pani zamawiała.

Sejf. Zamówiła go zaraz po tym, jak dostała pozwolenie na broń. Była zmuszona ją nabyć nie tylko z przyczyn zawodowych. Po ostatnim starciu z byłym mężem, kiedy to wdarł się do jej mieszkania i zaczął wymachiwać pięściami przed jej nosem, uznała, że nie zaszkodzi mieć pod ręką kontrargument w postaci glocka. A skoro miała trzymać go w mieszkaniu, przy córce, musiała mieć również pancerny sezam.

– Nie przekładamy, proszę na górę. Domofon musiał się znowu zepsuć.

Wyskoczyła z pościeli i zwinęła ją szybko do skrzyni. Narzuciła na siebie sweter i związała włosy. Kiedy winda wjechała na dziewiąte piętro, już stała w drzwiach. Kurier zdjął z wózka przesyłkę i przetoczył się z nią przez próg.

– Gdzie postawić?

Wskazała parapet i miejsce obok bonsai.

– Utrzyma? – Mężczyzna spojrzał podejrzliwie na pęknięcie na konglomeracie.

Innego miejsca nie było. Gdyby miała własną garderobę, a nie kilka półek użyczonych przez córkę w jej szafie, problem sam by się rozwiązał.

– Na pani odpowiedzialność – powiedział kurier, wypakowując piętnastokilową czarną skrzynię ze styropianu i stawiając ją na oknie. – Nie lepiej było kupić mały? Na diamenty wystarczy pancerna kasetka.

– Diamenty trzymam pod klepką w parkiecie – odparła z uśmiechem.

Kurier wyszedł, zabierając ze sobą opakowanie i skrzypiący styropian. Zamknęła za nim drzwi i wróciła do swojej nowej zabawki. Przekręciła zamkiem tarczowym. Ciche podwójne kliknięcie zabrzmiało jak najpiękniejsza muzyka. Mogłaby słuchać tego do snu zamiast mantry.

Spod stosu brudów zgromadzonych w koszu w łazience wygrzebała nowiutkiego glocka 19X w kolekcjonerskim kolorze coyote ugly bitch, a po ludzku – w odcieniu starego złota. Miała przed sobą unikat ze spersonalizowaną rękojeścią i trzema magazynkami w komplecie. Przetarła go ręcznikiem i zaniósła do pokoju, by położyć na miękkiej wyściółce sejfu. Nie zamykała go jeszcze, chciała rozkoszować się widokiem połyskującego cacka. Miała na to godzinę, tyle zostało jej do wyjścia z domu na spotkanie z Reni. Esemes, który przyszedł zaraz po wyjściu dostawcy, nie był zaskoczeniem. Reni chciała się spotkać, i to jak najszybciej. Wyznaczyła miejsce dość nietypowe, ale idealne, by mogły swobodnie porozmawiać.

Kiedy Julia stanęła przed bramą prowadzącą na Stare Powązki, dziewczyna już na nią czekała. W jednej ręce trzymała bukiet z plastikowych kwiatów, w drugiej szklany znicz.

– Muszę kombinować, żeby starzy się nie czepiali – wyjaśniła, drapiąc się łodygami sztucznych róż po głowie. – Dzisiaj są urodziny mojej zmarłej babci, więc puścili mnie bez podejrzeń. Powiedziałam im tylko, że chcę przyjść tu sama.

– W samotności na cmentarzu najlepiej.

– Babcia była mi bardzo bliska, bliższa niż matka. Naprawdę lubię ją tu odwiedzać, nawet bez powodu.

Julia spojrzała pytająco na róże.

– Że sztuczne? – Reni zmarszczyła nos. – Tylko takie kupuję, na żywe szkoda forsy, a ten przynajmniej postoi z pół roku. Ważne, że znicz prawdziwy. Ten na baterię, z żarówką udającą wieczny płomień, babci by się nie spodobał. Była postępową, ale nie aż tak.

Przeszły główną aleją kilkadziesiąt kroków i skręciły za kamiennym pomnikiem Chrystusa przygniecionego krzyżem.

– To już niedaleko – powiedziała Reni i przeskoczyła po krawędzi omszałego grobu. – Tam nas nikt nie usłyszy.

Poprowadziła Julię pod grobowiec z czarnego marmuru. Na płycie stała już wiązanka z lilii, również sztucznych.

Dziewczyna rozłożyła składaną ławkę.

– Teraz można siadać. Składamy ją, żeby wrony nie osra... przepraszam. Miałam się nie wyrażać, ale zeskrobywanie ptasich odchodów jest po prostu obrzydliwe – wyjaśniła, po czym wstawiła róże do metalowego klosza. – Jeszcze tylko znicz.

Ogień zapłonął. Postawiła świeczkę pośrodku płyty i usiadła obok Julii.

– Sara nie uciekła bez powodu – powiedziała, patrząc na dygoczący płomyk.

– Wiem. Słyszałam co nieco.

– Cokolwiek pani słyszała, to bzdury.

– Prawda o naszych bliskich nie zawsze jest tak różowa, jak się nam wydaje.

Reni zaczęła nerwowo stukać czubkiem swojego trampka w ścianę grobu.

– Bywa i tak. Ale to nie ten przypadek. Nikt nie zna Sary tak dobrze jak ja.

– *Pretty woman*. Tak na nią mówili w klubie dla forsiastych mężczyzn. Wiedziałaś o tym?

– Że pracowała w lokalu nocnym? Owszem, od samego początku. Ale że chciała być jak tamta prostytutka? Bez żartów... Ten film to kolorowa bajka dla głupiutkich dziewczynek.

– Jednak miała go w swojej kolekcji.

– Co z tego? Miałaby traktować filmowy scenariusz jak instrukcję na własne życie? Chyba tylko dla zwykłej beki. Moja siostra lubiła ten film tak samo jak *Stowarzyszenie umarłych poetów*, a poetką być nie zamierzała, zaręczam. Czego się jeszcze pani o niej dowiedziała? Że chciała żyć w luksusie i dlatego się sprzedała?

– Nie było tak?

Reni prychnęła z niesmakiem, po czym wyciągnęła ze swojej torby prostokątną puderniczkę. Podniosła wieczko i wyjęła z niej kłębek waty. Pudru pod watą nie było, na dnie leżały białe tabletki.

– Nie poczęstuję – zaznaczyła. – Pewnie myślała pani, że chowam tu skręty? Przy babci nigdy bym nie zapaliła.

– Skręty, tabletki, za posiadanie grozi do trzech lat – powiedziała Julia, patrząc, jak Reni kładzie sobie pigułkę na język. – Za udzielanie do dziesięciu. A za głupotę można trafić tu, gdzie leży teraz twoja babcia.

Reni uśmiechnęła się krzywo.

– Miałaby się do kogo odezwać, biedaczka. Samej jej pewnie nudno.

– Na twoje towarzystwo jeszcze dla niej za wcześnie. Na co Sarze były potrzebne pieniądze?

Dziewczyna wciągnęła mocno powietrze przez nos.

– Na spłatę długu.

Julia usilnie starała się sobie przypomnieć, co tak kosztownego znajdowało się w pokoju Sary Lewickiej, ale mimo wysiłku nic nie przychodziło jej do głowy.

Reni najwyraźniej czytała w jej myślach.

– Nie, to nie był żaden drogi sprzęt. Chodziło o coś zupełnie innego.

– Może o to? – Julia wskazała wzrokiem na puderniczkę z tabletkami. – Bawiła się w dilerkę i ktoś przerobił ją na grubszą kwotę, z której miała się rozliczyć?

– Sara nigdy nie dilowała. A te pigułki to zwykłe leki, od lekarza, na receptę. Ulżyło pani?

– Ulżyło. Zatem co to był za dług?

Reni musiała rozchodzić nogi albo ławka nagle zaczęła ją parzyć w pośladki, bo wstała i dwukrotnie okrążyła grób. W końcu oparła się ramieniem o tablicę.

– Na pewno słyszała pani o klinikach w Tajlandii.

– Turystyka medyczna? Słyszałam. Piersi, pośladki, taniej niż w Europie.

Odpowiedziało jej kręcenie głową.

Julia przyjrzała się bacznie dziewczynie. Nie musiała się zbytnio wysilać, by dostrzec, że Reni nieco pobladła.

– W takim razie o co chodzi?

– Do tych klinik trafiają ludzie, którzy nie do końca są sobą. Tacy, co... Jezu, ależ to trudne...

Objęła tułów ramionami i zacisnęła je tak, jakby miała zamiar się w nich schować.

– Sara chciała to zrobić dla mnie. Wyjechać ze mną do Bangkoku, byle dalej stąd, żeby nikt się nie dowiedział i nam nie przeszkodził. Ja... nie jestem sobą. Nie tu. – Wskazała na rozporek w spodniach.

– Zmiana płci, to chcesz mi powiedzieć?

Kiwnęła głową. Unikała wzroku Julii, jakby to, co właśnie powiedziała, było najohydniejszym z pomysłów.

– Gdyby się pani lepiej przyjrzała tym filmom na półce w pokoju Sary...

Julia wyjęła telefon i odszukała zdjęcie z płytami DVD.

– Tu. – Reni wskazała palcem płytę na samym dole stojaka. – *Dziewczyna z portretu*, oglądała pani? To piękny film, choć mało znany. O człowieku, który tak jak ja urodził się w ciele niepasującym do tego, co jest tutaj. – *Dziewczyna* popukała się w skroń. – Podarowałam go Sarze, żeby poczuła to, co ja czuję. Żeby zrozumiała. Tylko w ten sposób byłam w stanie wyznać jej prawdę o sobie. Bałam się, jak zareaguje, bo gdy film się skończył, nic do mnie nie mówiła. Długo siedziała zamknięta w swoim pokoju. Gdy w końcu wyszła, miała oczy spuchnięte od płaczu. Musiałam ją pocieszać, że sto lat temu miałabym marne szanse na przeżycie takiej operacji, ale teraz to całkiem inna historia. Wystarczy mieć pieniądze. Powiedziała, że je zdobędzie.

– Ile?

– Sześćdziesiąt tysięcy. Grubo, co? Nigdy nie widziałam takiego hajsu.

– A rodzice? Nie wyglądają na biednych. Nie mogłaś ich poprosić?

– Pani chyba żartuje – prychnęła gorzko. – Miałabym im powiedzieć, że zamiast Renaty trzymając pod swoim dachem przyszłego Roberta i że potrzebuję szmalu na przeróbkę?

– Takie wybrałaś sobie imię?

– Bardzo męskie, prawda? Co do nazwiska, też będzie nowe. Nie wiem jeszcze jakie. Wiem tylko, że ze starym się duszę. Ona też wiedziała. I wiedziała, jak bardzo się boję. Nie, nie operacji, ale tego, co będzie się działo już po. Przyszło mi nawet do głowy, żeby w ogóle tu nie wracać. Po cholere mi hejt i wytykanie palcami? To dziki kraj, w którym nie toleruje się takich dziwolągów. Mogłabym zamieszkać gdziekolwiek, na przykład w Belgii lub w Danii. Tam każdy jest szanowany, a praca też by się jakaś dla mnie znalazła. W każdym razie miałam taką opcję, brakowało tylko pieniędzy. Miałyśmy razem je jakoś uzbierać, przynajmniej na start, na sam wyjazd. Ale jak się ze wszystkim podliczyłyśmy, doszłyśmy do wniosku, że nie damy rady wykombinować pieniędzy na drugi bilet, ten dla niej. Mnie udało się odłożyć trochę forsy, kiedy załapałam się na roczny staż w firmie deweloperskiej, ale większość poszła na wstępne badania i terapię hormonalną. Te pigułki w pudełku to hormony. Sara zrezygnowała ze swojego biletu, żebym mogła je kupić. Teraz pani rozumie?

– Jaki to etap?

– Końcowy, ostatni przed operacją. Jednak po zabiegu musi być ciąg dalszy. To proces, na który trzeba pieniądze.

– Nadal nie rozumiem, co to za dług, o którym mówiłaś.

– Operacja jest już opłacona. Pieniędzmi, których nie miałam.

– Kredyt?

– Powiedzmy. Lepiej niech pani nie pyta, od kogo ani na jaki procent. Ale nie było wyjścia. Rozpoczęłam leczenie i znalazłam termin na zabieg. Rezerwacja wymagała pokrycia pełnego kosztu, wszystko miało wpłynąć na konto kliniki z góry. Cieszyłam się jak głupia, że idzie mi tak gładko. A ona zamartwiała się, jak zdołamy oddać te pieniądze... – Reni siąknęła nosem. – Niezłe jaja, co?

– Niezłe. Dlatego Sara uciekła? Żeby zarobić na spłatę długu i dalsze leczenie?

– To był jej pomysł, do niczego jej nie zmuszałam. Pierwszy raz zniknęła, żeby się przekonać, ile może odłożyć na sprzątanii. Nie takim zwykłym, bo wcale nie chodziło o pucowanie mebli. To miał być spektakl: dziewczyna ubiera się w pończochy, kusy strój i szpilki i biega po domu

jakiegoś bogatego frajera z miotłą do kurzu. Miała dwóch stałych klientów. Od jednego dostała w rozliczeniu...

– Sygnet.

– Tak. Drugi płacił, ale do czasu. Uciekła od niego po pierwszej próbie gwałtu. Wróciła z podkulonym ogonem do domu, wystraszona i rozżalona, że się nie udało. Starzy wybaczyli, bo nie mieli pojęcia, czym się zajmowała. Wmówili sobie, że to był zwykły gigant nastolatki. Tak naprawdę woleli o niczym nie wiedzieć, są naprawdę świetni w zamykaniu uszu na nasze sprawy. Jakoś to wszystko przeszło bokiem. Tylko że ja już byłam w trakcie terapii. Więc znowu zwała. Za to, co zarabiała, wynajmowała pokój na godziny, mieszkanie dla siebie i... no, inwestowała w zabawki. Wie pani jakie...

– Nazwijmy je filmowymi rekwizytami.

– To była jej kolejna porażka. Dlatego powiedziałam, że odwołamy operację i zwrócimy pieniądze. Nie chciała o tym słyszeć. Wiedziała, że jeśli nie poddam się zabiegowi teraz, to nie zrobię tego już nigdy. Bała się o mnie i o to, co dzieje się w mojej głowie. Jestem słaba, o wiele słabsza od niej. Dlatego zadręczała się myślą, że przyjdzie w końcu taki dzień, kiedy zdecyduję, że dłużej nie dam już rady.

Spuściła głowę, żeby ukryć drżenie ust i brody.

– Chyba nie zamierzałaś zrobić niczego głupiego, co, Reni?

Obróciła się bokiem i zaczęła zdejmować z grobu naniesione wiatrem drobne liście.

– Posprzątam tu trochę – powiedziała, nachylając się nad płytą. – Żeby matka miała pewność, że tu dotarłam. Ciągłe mają mnie na radarze, oboje z ojcem.

– Boją się, że i ty coś im wykręcisz. Sara uciekła, to i ty możesz.

– Może gdybym powiedziała im prawdę o sobie, sami wystawiliby mnie za próg. Wie pani, co sobie myślę? Że życie takich ludzi jak ja jest totalnie bez sensu.

– Każde życie ma sens.

Reni otrzepała zakurzone dłonie kilkoma uderzeniami o uda.

– Pożyłaby pani w mojej skórze. Zbok, dewiant, pajac, to by pani wtedy o sobie usłyszała.

Chwyciła swoją torbę i przerzuciła ją przez ramię. Julia dopiero teraz zauważyła okrągłą przypinkę dołączoną do zamka. Kółko, od którego odchodziły strzałka, krzyżyk i strzałkokrzyżyk.

– To wasz znak? Połączenie symboli Wenus i Marsa?

– Mhm. Podoba się pani?

Julia wyciągnęła kciuk skierowany w górę. Dziewczyna wreszcie się uśmiechnęła.

– Muszę wracać. Dziękuję, że pani tu przyszła. Trochę mi lżej, odkąd zna już pani prawdę. Pewnie nie tego spodziewała się pani usłyszeć, ale nie chciałam, żeby miała pani o Sarze złe zdanie. Musiałam to wyjaśnić. Że nie jest żadną sprzedajną dziwką.

Opuściła składaną ławkę i poszła ku bocznej alei. Widać było, że nie śpieszy się z powrotem. Dwa razy oblała się ramieniem o przechodzących ludzi. Rzuciła odruchowo krótkie „przepraszam”. Myślni była gdzie indziej.

– Niech ją pani znajdzie i powie, że ja już nie chcę tych cholernych pieniędzy na terapię po – rzekła, gdy dochodziły do głównej bramy. – Wymyślę coś, żeby je zdobyć, a ona niech wraca. I tak zrobiła dla mnie zbyt wiele.

Znów stały na chodniku, w miejscu, skąd widać było blok i okna mieszkania Lewickich.

– Kiedy im powiesz o sobie? – spytała Julia, wskazując brodą na wieżowiec.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, czy dam radę to z siebie wykrztusić. Wciąż udaję kogoś albo coś. Nawet nie potrafię przyznać się do tego, że cokolwiek stało się z Sarą, stało się przeze mnie. A co pani by zrobiła na moim miejscu? Powiedziałyby?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Pewnie.

– Nie śpieszyłabym się z tą informacją.

– Może gdyby byli inni. Ale to dogmatycy bez krzty zrozumienia. Nie nawidzę ich i chcę, żeby oni znienawidzili mnie. Byłoby mi wtedy o wiele łatwiej.

– Byłoby ci łatwiej, gdybyś miała ich po swojej stronie. Żałuję, że to jest niemożliwe.

– To przecież takie proste... Gdyby tylko ludzie odważyli się wiedzieć więcej, czuliby więcej i rozumieliby więcej. Tak mało trzeba, żeby wszystkim było lepiej. A nie jest.

– Nie naprawisz całego świata, Reni. To utopia. Ale jeżeli jest coś, co mogłabyś zrobić dla siebie, zrób to i nie oglądaj się na to, co pomyślą inni.

Julia miała wrażenie, że zobaczyła na twarzy dziewczyny ulgę.

– W takim razie gdy już będzie po wszystkim – powiedziała, również zerkając w okna na jedenastym piętrze. – Niech tylko wsiądę do tego cholernego samolotu do Bangkoku.

Wyciągnęła po męsku rękę do pożegnania. Nie miała jeszcze wprawy, wyprostowała łokieć, by wzmocnić uścisk, ale wciąż był delikatny.

– Jeszcze jedno. – Julia zatrzymała ją, zanim ta wcisnęła guzik w sygnalizatorze, by przejść na drugą stronę jezdni. – Czy Sara wspominała ci o jakiejś agencji dla dziewczyn? Może robiła specjalne zdjęcia w bieliźnie, żeby się tam załapać?

Reni zmarszczyła brwi.

– Zdjęcia? Nic o tym nie wiem. Ale od czasu jej zniknięcia wiele się mogło wydarzyć. Prawdę mówiąc, nie zdziwiłabym się, gdyby to zrobiła.

– Bo w agencji bezpieczniej?

– Bo była naprawdę zdesperowana. Nie powiedziałam pani jeszcze o jednym. Sara była dziewicą. Na pewno wie pani, że ten towar też można sprzedać.

– Szlag... Zrobiłaby to?

– Widziałam, jak przegląda artykuły o takich przypadkach i szuka informacji o stawkach. Pełno jest tego w sieci. Za taką jedną z Krakowa facet zapłacił pięćdziesiąt tysięcy. To kupa forsy, można by za to spłacić prawie cały dług. Więc jeśli jakaś agencja miałaby dostęp do klientów, którzy są w stanie dać za dziewicę takie pieniądze, Sara pewnie by się nie zawahała. Ale to musiałyby być naprawdę elitarna firma, która filtruje mężczyzn i odsiewa frajerów. Na żaden tani bajzel działający pod przykrywką salonu masażu by się nie nabrała. Może jest młoda, ale nie naiwna.

– Bardzo młoda i bardzo naiwna – sprostowała Julia.

– Mam nadzieję, że nie posunęła się tak daleko. Kamerki to co innego, ale seks za kasę... Nawet nie chcę sobie tego wyobrażać.

Światło na przejściu nie zmieniło się jeszcze na zielone, ale Reni ze zwieszoną głową weszła na pasy. Kilka klaksonów zawyło, ale szczęśliwie dotarła na drugą stronę jezdni.

– Biedne dziewczyny – mruknęła pod nosem Julia. – I ten kraj, całkiem popieprzony.

Reni miała pełne prawo mówić, że to nie jest miejsce dla niej. Podobne słowa Julia usłyszała kiedyś od Michaliny. Bodnar też boksowała się przez większość życia ze wstydem, że jest inna. Ryczała po kątach i przebąkiwała, że chce się zabić. Może nie z bezradności, ale po kolejnej miłosnej porażce. Z lęku przed tym, co powie jej matka, gdy dowie się, że nie jest taka, jak przewiduje system. Okazało się, że lęk był na wyrost. Dogadały się i pokochały na nowo. Ale każda rodzina jest inna. Gdyby Bodnar była córką Lewickich, może też byłaby zmuszona myśleć o ucieczce. To mit, że ludzie chcą wiedzieć wszystko o swoich dzieciach. Większość chce słyszeć tylko to, co jest wygodne, a przed trudną prawdą woli zatkać uszy i udawać, że prawda nie istnieje. Albo czekać, aż dzieciak z tego wyrośnie i zmądrzeje. Byłoby o wiele prościej, gdyby to oni sami spróbowali zmądrzeć.

* * *

Escort girl. Łatwy pieniądz lgnie do młodych kobiet, a one lgną do niego, zwłaszcza gdy mają długi. Łatwy pieniądz... Chyba tylko z nazwy. Sara nie miała pojęcia, jak to jest być z mężczyzną. Do tego obcym, który nie pyta, czy seks sprawia jej przyjemność ani czy w ogóle ma na to ochotę. Naczytała się w internecie, jaki to złoty biznes, i poszła na całość. Gdyby jeszcze trafiła przy tym na dewizowca, podbiłaby stawkę i miałyby nie tylko na bilet do Bangkoku, ale także na rozpoczęcie z Reni nowego życia, z dala od kraju.

Julia zrzuciła z nóg buty i usiadła na tapczanie, kładąc sobie na kolanach laptopa. Włączyła przeglądarkę i wstukała pierwszy wyraz. Drugi wyskoczył sam.

Na czym polega praca escort girl?

Wyjazdy z escort girl

Escort girls do zadań specjalnych

Wyjechałaś z kimś, Saro? Trafił ci się milioner, który wybrał cię na swoją towarzyszkę w podróży do Emiratów, Australii czy innych Dardaneli? Zapłacił za twoje dziewictwo, a później za wieczorową sukienkę do klubu i mocno wycięty kostium kąpielowy, w którym miałaś pokazać się na jego jachcie? Już sączysz drinka z kieliszka na cienkiej nóżce?

Zatrzymała wzrok na jednym z wyrzuconych przez wyszukiwarkę haseł.

Trzy dziewczyny do towarzystwa oferowało Allegro. Zagotowała się, jednak gdy weszła w ogłoszenie, zobaczyła, że chodzi o sprzedaż używanej płyty z filmem porno. Ulga, choć to pewnie tylko kwestia czasu, kiedy tego typu usługi zaczną się licytować na platformach handlowych. W końcu wszystko jest na sprzedaż.

Oderwała się od sieci, gdy zabręczał jej telefon. Dzwoniła Sylwia, tym razem szczęśliwa. Do wesołej wycieczki dołączyła Jagoda, która tak długo wierciła swojej babci dziurę w brzuchu, aż obie wsiadły do pociągu relacji Warszawa–Zakopane.

– Jest grubo, mam – powiedziała scenicznym szeptem. – Nasza babcia już ma za sobą pierwszą spinę z babcią Jagody. Zgadnij, o co.

– Operacje plastyczne, ubrania czy kościół?

– O dziadka! Dziadek chciał być miły dla babci Jagody i... poszło! Teraz ma zakaz rozmawiania i przebywania w jej towarzystwie. Babcia jest wściekła i mówi, że jak nie będzie się słuchał, to wszyscy wrócimy do Warszawy. Wybij jej to z głowy, mam. Teraz mam wracać, jak przyjechała Jagoda?! No błagam... I doładuj mi wreszcie konto, bo najwyraźniej zapomniałaś. Mam dość proszenia dziadka o jego telefon.

Julia zapewniła córkę, że żadnego przedwczesnego powrotu nie będzie. Obiecała, że załatwi sprawę z Emilią, a jeśli będzie trzeba, wykupi im hotel na drugim końcu Zakopanego, byle dalej od babci Jagody, ale żadnego powrotu. To miały być dwa tygodnie spokoju, tylko dla niej. Nie mogła przewidzieć, że zaginięcie Sary pokrzyżuje ten plan, jednak wciąż miała nadzieję na choćby kilka dni oddechu.

Odłożyła telefon i wróciła do przeglądarki. Agencje – tego szukała przede wszystkim. O dziwo, nie reklamowały się zbyt natarczywie. Najwidoczniej pozycjonowanie tego rodzaju usług nie miało sensu; kto chce znaleźć dziewczynę i tak ją znajdzie. Odrzuciła Sweetheart, Paradise i kilka innych, które wyrzuciła wyszukiwarka. Do Krakowa, Gdańska czy Łodzi Sara raczej by nie pojechała. Zwłaszcza że tuż za rogiem, a konkretnie przy rondzie Daszyńskiego ogłaszała się Afrodyta. Przedstawiała się jako biuro, które na swojej romantycznej stronie informowało, że „zmienia życie dziewcząt w niekończącą się przygodę”. Dokładnego adresu Afrodyta nie podawała, jednak widniejący na zdjęciu drapacz chmur pokryty błękitnym szkłem Julia rozpoznała od razu.

Uwierz w siebie. Jeśli jesteś piękna, młoda i zdeterminowana, zgłoś się. Nie pozwól, by ominęło cię szczęście. Najwyższy czas, by świat cię docenił.

To wszystko może się stać, zaufaj nam. Weź swoje życie w swoje ręce, wyślij ankietę, a odezwiemy się do ciebie w ciągu doby.

Otworzyła formularz zgłoszeniowy. Nie wydawał się zbyt skomplikowany, odniosła nawet wrażenie, że został stworzony dla prostych dziewczyn. Zaczęła go wypełniać kliknięciami w okienka.

Czy masz doświadczenie w biznesie towarzyskim?

tak *nie*

Czy mówisz po angielsku?

tak *nie*

W którym kraju chciałabyś pracować?

Wielka Brytania

Niemcy

Francja

Włochy

USA

Australia

Polska

Czy masz ważną wizę do USA lub Australii?

tak *nie*

Czy masz zrobioną erotyczną sesję fotograficzną?

tak *nie*

Podaj do siebie kontakt:

Skype:

E-mail:

Nr telefonu:

Nie sądziła, że Sara chciała wyjechać z kraju, na pewno nie na stałe. Reni potrzebowała jej tu, na miejscu, przynajmniej do czasu własnego wyjazdu. Poza tym jeszcze do ubiegłej soboty była nieletnia. Agencję mogła co prawda oszukać i zełgać, że skończyła osiemnaście lat. Pewnie nawet tego nie sprawdzali, w końcu na dole ankiety napisano drobnym drukiem, że biuro nie ponosi odpowiedzialności za fałszywe oświadczenia kandydatek, ale co z dokumentami? Nie miała przecież dowodu osobistego, by okazać go na lotnisku. A autokarem tak znamienita firma by jej przecież do klienta nie wysłała. Uleciałby cały prestiż.

Fotograficzna rozbierana sesja? Z zalem Julia zaznaczyła, że nie miała. Jej zdjęcia w zwykłej bluzce i dżinsach raczej by nie wywołały pożądania u biznesmenów. Sytuacja nie była jednak beznadziejna; agencja oferowała własnego fotografa. A więc jednak: elitarnie.

Wyślij zgłoszenie?

Zaraz... jeszcze mała gwiazdka z dopiskiem, że po wstępnej kwalifikacji kandydatki obowiązuje jednodniowe szkolenie. Z czego? Z seksu? Mają je nauczyć, jak leżeć na plecach i boku albo jak opierać się o ścianę?

...wyjaśnimy, na czym polega praca escort girl i na jakie benefity możesz liczyć. Jak zdobyć zaufanie klienta i osiągnąć wymarzony sukces.

No tak, tylko o to chodzi, o spełnienie marzeń.

...najbliższe szkolenie odbędzie się czwartego lipca...

Pojutrze.

...więc nie zwlekaj.

Nie zamierzała.

Wyślij.

Palec uderzył w belkę zgłoszeniową, ale aplikacja nie przeszła przez system. Komunikat zwrotny pojawił się wraz z pulsującym na ekranie spina-czem: *załącz przynajmniej dwa swoje zdjęcia.*

A jednak. Możesz mieć cztery fakultety i znać dwanaście języków, ale bez ładnej buzi się nie zgłaszaj.

Nie zamierzała robić z siebie słodkiej idiotki, ale innego sposobu na wejście do klubu ekskluzywnych dziewczyn do towarzystwa nie było. Odło-

żyła na kanapę laptopa z wciąż aktywnym wnioskiem i zaczęła grzebać w szafie.

Po szybkim przejrzeniu letnich ubrań, które nadawały się jedynie na piknik w miejskim parku, uznała, że jest źle. Bawełniane T-shirty jakoś nie kojarzyły się z buduarem. Ani sportowe marynarki. Co z bielizną? Stanik, bez stanika?

Bez, za to w koszulowej bluzce. Białej i lekko rozpiętej, ale nie na tyle, by widać było cokolwiek poza miękkim zarysem piersi. I makijaż. Szminka, rzęsy. Te pozostawione przez Michalinę powinny się jeszcze trzymać, może klej zwiąże się ze skórą, choćby na kilka minut. Włosy? Ulizane na mokro. Że niby stylowo i elegancko. Do czerwonej pomadki wręcz idealnie.

Zdjęcie telefonem zrobiła na tle czarnej ściany. Wyszło nieprzyzwoicie. W sam raz.

Wyślij zgłoszenie.

Twoja aplikacja została zarejestrowana. Dziękujemy i życzymy powodzenia.

Zapięła koszulę pod samą szyję i wyszła z papierosem na balkon. Musi się udać. To jedyna szansa, żeby znaleźć się tam, gdzie przypuszczalnie trafiła Sara Lewicka. O ile nie okaże się, że na to, by zostać spełnioną i szczęśliwą *escort girl*, jest za stara lub niewystarczająco śliczna.

* * *

– Porażenie prądem.

– Powtórz, bo chyba nie dosłyszałam.

– To był prąd, Julia – potwierdził Górny, wciąż niewyraźnie. Połączenie rwało się, od kiedy wjechał do tunelu. Musieli odczekać kilkanaście długich sekund, zanim znów wyskoczył na powierzchnię. – Byłem na Oczki. Widziałem je, wszystkie trzy. Miały dziwne ślady na skórze. Lipski nie ma żadnych wątpliwości co do przyczyny zgonu.

– Domyślam się, że nie chodziło o uderzenie pioruna.

– I słusznie. Te dziewczyny nie tańczyły podczas burzy w lesie, ani tym bardziej nie położyły się same w rowie po tym, jak trafił w nie grom. To ewidentne zabójstwo. Mówiąc wprost, usmażono je.

– Potworna śmierć. Masz zdjęcia z prosektorium?

– Mam. Ciała wyglądają paskudnie.

– Chcę je zobaczyć. Nie spotkałam się jeszcze z zabójstwem przy użyciu prądu.

– Ani ja. Powiem ci, że to, co zobaczyłem... Rozkład zwłok to jedno, ale najgorsze działo się pod ubraniem, pod tymi koszulami. Szok, cholerny szok.

– Tym bardziej chcę je obejrzeć. Co jeszcze powiedział Lipski?

– Że takie przypadki to niemal niespotykane zjawisko. Sam początkowo nie dowierzał, bo w swojej karierze zetknął się z czymś takim zaledwie raz, i to dekady temu.

– Może dlatego Rajtar nie rozpoznał śladów. Za mało jeszcze widział i wyszedł brak doświadczenia. Kiedy zakończą autopsję?

– Najwcześniej pod wieczór, o ile nie przeciągną badań do jutra. To trzy ciała, więc jest co robić. Co z tymi zdjęciami, wysłać ci?

– Nie, zmieniłam zdanie. Pojadę na Oczki, żeby zobaczyć ciała na własne oczy.

– Jutro, Julia. Daj Lipskiemu pracować. Chcę mieć kompletny raport, i to jak najszybciej, więc tym razem odpuść. Niech się skupi na robocie.

– Będę niewidzialna, nawet nie zauważysz, że jestem na sali. Po prostu muszę zobaczyć te ciała.

– Po co ja ci to w ogóle mówiłem? Słyszysz mnie?

– Nie bardzo. Coś znowu przerywa.

Rozłączyła się i rzuciła telefon na kanapę.

Wciąż siedziała w koszulowej bluzce i z czerwonymi jak krew ustami. Zanim wyszła do łazienki, by zmyć szminkę i odkleić sztuczne rzęsy, sprawdziła jeszcze w skrzynce mailowej, czy nie wpadło coś z agencji, ale Afrodyta milczała.

Zamiast tego przyszedł mail od Michaliny. Julia spodziewała się, że Bodnar będzie chciała wrócić do tematu swojej przeprowadzki do Warszawy, tym bardziej że w jedynym napisanym przez siebie zdaniu bąknęła, że „zmiany w życiu nikogo nie omijają ani nie zabijają”. Na jednym z dwóch załączonych zdjęć siedziała na kartonie z miną zwycięzcy. Naprawdę była gotowa spakować się i rzucić wszystko dla Mirelli? Jasne, że tak. Obie były zdrowo rąbnięte. Na drugiej fotografii pewnie będzie szczerzyć się do napisanego właśnie wypowiedzenia z pełnienia służby. W końcu wszystko dla miłości.

Drugi załącznik nie pokazywał jednak Michaliny, pudeł czy wypowiedzenia, tylko park, który Julia zdążyła dobrze poznać przez trzy lata pracy

pod Warszawą. Zdjęcie wykonano z ukrycia, mimo to było ostre. Przedstawiało dwoje ludzi idących aleją i trzymających się za ręce. On w dzinsach i sportowej koszuli w niebiesko-czerwonej kratę, ona w sandałach i zielonej sukience, dość opiętej na zaokrąglonym, ciężowym brzuchu. W drugiej dłoni trzymała kubek ze słomką. Lemoniada, kawa lub mleczny shake.

Zabolało. Widok Artura i jego żony spowodował, że Julia poczuła, jakby ktoś wsadził rękę między jej żebra i ścisnął za serce. Gdyby była małą dziewczynką, zasłoniłaby oczy i udała, że nic nie widzi. Jednak patrzyła, oswajając się z rodzinną sielanką Maciejewskich.

Nie powinna mieć do niego pretensji. W końcu umówili się, że wtedy, w marcu, to był tylko jeden raz i ich drogi rozejdą się na dobre. Po co naiwnie wierzyć, że posklejają coś, co rozpadło się dawno temu?

Mogła mieć jednak żal. I miała. Brzuch Matyldy był na tyle okazały, że ciąża prawdopodobnie trwała już sześć albo siedem miesięcy. Kiedy widziała się z Arturem tuż przed pogrzebem Arlety Rawskiej, wspominał, że na dziecko za wcześnie. Jego żona musiała być już wtedy w ciąży, nie wiedział o tym? Nie podzieliła się z nim tą radosną nowiną? Może nie była pewna, co zrobić. Usunąć dziecko i kontynuować karierę bez przerwy na niańczenie niemowlaka czy urodzić. Musiała bardzo kochać Artura, skoro wybrała macierzyństwo. Kupiła więc parę maleńkich bucików i podczas ich kolejnego spotkania w Oslo podarowała mu je w ramach niespodzianki. Ten numer z bucikami przecież zawsze działa. Facet nie dowierza i się wzrusza. No i pęcznieje z dumy.

Artur chciał mieć rodzinę. Doskonale pamiętała, jak planował ich nowy dom, a w nim pokoje dla Sylwii i ich wspólnego dziecka. Nie wyszło im, więc przynajmniej teraz ma się z czego cieszyć.

Jednak gdyby wiedziała, jak się sprawy mają, nie wylądowałiby razem w łóżku i nie zrobiłaby z siebie idiotki. Ale zrobiła.

Dzięki, Artur.

Dzięki, Bodnar.

Powiększyła obraz. Jak już się katować, to po całości. Zoom na ich twarze nie wypadł już tak dobrze, zdjęcie stało się nieostre, ale widziała, że się uśmiechają.

– Piękna z was para. Żyjcie długo i szczęśliwie – powiedziała do wesołej fotografii, po czym kliknęła „usuń” i trzasnęła klapą laptopa.

* * *

Antoni Bugaj nie zwykł zostawać w biurze po godzinach urzędowania nawet kwadransa i tego samego wymagał od swoich pracowników. Wierzył, że dobra organizacja pracy to podstawa, i jeśli ktoś nie wyrabia się od ósmej do szesnastej, to w pobliskim centrum ogrodniczym zawsze znajdzie się miejsce dla tych, co nie lubią się z niczym śpieszyć.

Dlatego gdy zegar pokazał szesnastą, Bugaj przystawił ostatnią tego dnia pieczętkę pod okólnikiem o przyjmowanie wniosków na przyszłoroczne inwestycje sportowo-kulturalne, po czym złożył pod nią zamaszty podpis. Zanim schował pismo do szuflady biurka, zerknął jeszcze na treść, by upewnić się, że zawarł tam wszystko, czego wymagają przepisy.

Do końca kadencji został mu niecały rok. Sołectwo rozkwitło pod jego okiem. Odnowił bibliotekę, wylał asfalt tam, gdzie droga się urywała i zmieniała w zwykłą żwirówkę, oraz postawił siłownię pod chmurką. Potrzeb jednak nie ubywało, więc i tym razem spodziewał się gradu wniosków. Gdyby tak jeszcze przybywało mu na te wszystkie zachcianki pieniędzy w sołeckiej kasie.

Zgodnie z rozporządzeniem jutro mija ostateczny termin publikacji okólnika. Sekretarka wywiesi kserokopię na tablicy informacyjnej przed sołectwem. Kolejna zawiśnie w gablocie przy kościele, obok ogłoszenia tych dziwnych artystów z Warszawy. Albo zamiast niego. Nie powinno tam wisieć. Zjawili się bez zaproszenia i zrobili zamęt. I do tego w domu Bożym. Powinni przyjść tutaj, do biura, i grzecznie zapytać, czy władza wyda zgodę na udostępnienie terenu pod plan filmowy. Może jak zobaczą, że ich afisz zniknął, nauczą się zasad. Dokument chcą kręcić... Jeśli liczą na to, że któryś z miejscowych zgłosi się do współpracy, to się przeliczą. Nikt się nie wyrwie. No, może kilku młodym zakręci się w głowach na myśl o tym, że ich nazwiska mogłyby się pokazać w napisach końcowych, ale co oni potrafią, żeby pchać się do telewizji? Szkoda gadać... Ogłoszenie musi zniknąć.

Bugaj wstał od biurka i podszedł do stojącej pod ścianą szafy na płaszcz. Otworzył skrzydło i rozejrzał się po swojej kolekcji krawatów. Trzymał ich w biurze kilka, każdy na inną okoliczność. Bordowy, w którym zwykł urzędować, był zanadto krzykliwy i nijak nie pasował do składania wizyt. Lepszy był ciemnoszary i bez wzorów, nierzucający się w oczy. Na dziś w sam raz.

Zawiązał supeł pod szyją, a następnie zdjął z wieszaka też szarą, pasującą do krawata marynarkę. Przerzucił ją przez ramię i ruszył z teczką do

wyjścia.

Na korytarzu czekała już żona, która na jego widok natychmiast podniosła się z krzesła.

– Wreszcie – mruknęła. – Miałeś skończyć punktualnie.

– Miałeś czekać w samochodzie – odbił piłeczkę. Przekręcił klucz w zamku i schował go do przegródki w teczce. – Masz wszystko, co trzeba? – spytał po chwili, ścisząc głos.

– W bagażniku. Chodźmy już. Zróbmy, co trzeba, i miejmy to z głowy. Chcę wrócić do domu przed zmierzchem.

Ruszyli pustym korytarzem do bocznych drzwi. Auto czekało pod betonowymi schodami, wycofanymi z użytku ze względu na ryzyko skręcenia nogi w kostce, z tabliczką „przejścia nie ma”.

– Wolałbym to załatwić w inny sposób – rzekł Bugaj, gdy znaleźli się już w pojeździe.

Kobieta poprawiła rękawek w swojej wizytowej sukience.

– Innego nie ma – odparła ze spokojem. – Wszystko przemyślałam i jeżeli będziemy trzymać się planu, za kilka godzin nasze problemy znikną. Znowu będzie po staremu, zobaczysz. – Poklepała męża po dłoni.

Włączyła silnik i ruszyła ku nieuczęszczanemu leśnemu duktowi. Koła podskakiwały na nierównościach, ale kobieta nie zdejmowała nogi z gazu. Chciała jak najszybciej dotrzeć do celu. Kierowała samochód w stronę wschodniej granicy wsi. I oddalonego o trzy kilometry Rancza Stacjonata.

* * *

– Bardzo boli? – Dorota Lewicka zawisała nad mężem. Odkąd wrócił z Wrocławia, leżał w ich małżeńskim łóżku i patrzył niemo w sufit. – Przyniosłam ci leki, pomogą na kręgosłup. Weź.

Odsunął jej rękę z opokanem. Maści też żadnej nie chciał.

– Nic mu nie jest – odezwała się Reni, stając za matką. – Udaje.

Kobieta obróciła się w jej stronę.

– Postradałaś rozum? Przez ten ból musiał zrezygnować z ważnego wystąpienia. Drugi dzień go trzyma.

– Wow, niesamowite. Jednak myślę, że ojciec robi z ciebie... nieważne, w końcu moje zdanie i tak się tu nie liczy.

– Zmarkotniał, zauważyłaś?

– Może zastanawia się, co ci odpowie, gdy zapytasz, gdzie naprawdę wczoraj był i co tam robił.

Lewicki nawet nie spojrzał na córkę.

– Niech stąd wyjdzie. Wyprowadź ją.

Jego żona odłożyła na bok leki i chwyciła Reni za łokieć.

– Zajmij się czymś pożytecznym, zamiast go denerwować.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i wycofała się z sypialni rodziców. Nie musiała długo czekać, aż matka pojawi się w jej pokoju. Weszła po zaledwie kilkunastu sekundach, roztrzęsiona i z pretensją w głosie.

– Ciężko na nas pracuje, na mnie, na ciebie i na odnalezienie twojej siostry – warknęła. – Jak tylko mu się polepszy, przeprosisz.

– Nie mam za co – powiedziała Reni, siadając wygodnie na swoim łóżku. Oparła się plecami o ścianę i położyła sobie na kolanach poduszkę. – Ojciec kłamie ci w żywe oczy. Nie był na żadnej partyjnej konferencji. To ściema, zrozum wreszcie.

Twarcz matki wykrzywiła się w niedowierzaniu, że dziewczyna może być aż tak zawzięta.

– Widziałam bilet na pociąg.

– Ach, bilet widziałas. – Reni pokiwała głową z udawanym zrozumieniem. – Było przy okazji sprawdzić kierunek.

Lewicka przymknęła drzwi i podeszła bliżej córki.

– O co ci chodzi?

– O nic. No, może tylko o to, że powinnaś wreszcie oprzytomnieć. Nie pojechał do Krakowa. Ale ty mi nie wierzysz, prawda, mamó? Dla ciebie jestem tylko głupią intrygantką. Więc idź i go zapytaj. Miej śmiałość raz w życiu zadać mu pytanie o coś innego niż to, w jaką kieckę masz się wbić na kolejny klubowy raut. No, idź!

Wystarczyłoby, żeby zasiała w matce ziarno wątpliwości, a ojciec musiałby się gęsto tłumaczyć. Nie mogła powiedzieć jej wprost, że gdy tylko wczoraj usnął, zajęła się tym jego śmiesznym neseserkiem, z którym nigdy się nie rozstawał. W takich neseserkach na szyfr zawsze można znaleźć coś ciekawego. Tym razem zapomniał go zamknąć po tym, jak wyjął z niego telefon i zniknął w łazience pod pretekstem wzięcia prysznic. Gdy pachnący i wcale nieobolały przeniósł się do sypialni, złapała za teczkę i po cichu przyniosła ją do swojego pokoju. Znalazła składaną ulotkę wydaną przez wrocławski klasztor. Zrobiła zdjęcie każdej strony, po czym odstawiła neseser do korytarza. Nie mogła się powstrzymać, by dodatkowo nie wsu-

nać dłoni do kieszeni w jego marynarce. Wciąż tkwił tam bilet kupiony we Wrocławiu.

– Nie masz na tyle odwagi, prawda? – spytała, widząc, że matka nie rusza się z miejsca. – Zabrakło ci jej już wtedy, gdy przyłapano go z tamtą kobietą pod nocnym klubem, jak stali w objęciach... Tak, widziałam zdjęcie, jakbyś miała co do tego wątpliwości. Tak jak połowa kraju. Ale nie, pytać o to nie wolno. Masz rację. Najlepiej udać, że wszystko jest w porządku.

Lewicka przemełła coś w ustach. Reni zdawało się, że tarcza, za którą jej matka skrywała smutek, jaki nosiła w sobie od lat, powoli opada.

– Żal mi cię, mamó. – Dziewczyna podniosła się na łokciu. – Myślisz, że jedziesz z nim na jednym wózku, ale...

Kobieta westchnęła głęboko.

– Nic już nie mów. Czasami lepiej o pewnych sprawach milczeć. Tamto to było nieporozumienie. Ktoś zadrwił z ojca i nie ma co do tego wracać. Dbą o nas, to najważniejsze. Chce dobrze.

– Tak. Dla siebie. Mnie nawet nie zna. Wie tylko, jak się nazywam.

W przedpokoju dało się słyszeć szuranie nóg. Po chwili Lewicki przetraszał już kieszenie marynarki.

– Patrz, jak szybko ozdrowiał – zauważyła Reni. – Ból minął, kiedy tylko usłyszał, że jest kłamcą.

Lewicka uznała, że córka mówi zbyt głośno. Zasłoniła jej dłonią usta i pokręciła z przerażeniem głową.

– Proszę cię, żebyś pilnowała języka – powiedziała z wyrzutem. Gdy upewniła się, że kroki ucichły, oderwała rękę. – Przynajmniej kiedy nie jesteśmy same.

Matka podniosła się z łóżka i spojrzała na wiszącą na kłamce torbę Reni. Nie widziała wcześniej zawieszki w kształcie kółka ze strzałką i krzyżykiem.

– Nawet ładna – stwierdziła, obracając ją w palcach. – To jakiś specjalny znak?

Córka smutno się uśmiechnęła.

– Tak, specjalny.

Lewicka zastygła w oczekiwaniu na wyjaśnienie.

– Nie zrozumiesz tego, mamó. Zamknij za sobą, możesz?

Szyba w drzwiach lekko zadrżała, gdy kobieta zbyt mocno docisnęła kłamkę. Reni podciągnęła kolana pod brodę i po raz kolejny otworzyła

w telefonie zdjęcia ulotki z wrocławskiego klasztoru.

A więc tam chce ją wysłać. Do smutnych facetów w czarnych sukienkach, którzy mają uzdrowić jej duszę i przepędzić z niej złe moce. Jednak domyślił się, że jest inna. Sara jest już dla niego stracona, a ten cały kit z jej szukaniem to tylko zwykłe mydlenie oczu. Dla niego będzie nawet lepiej, jeśli się nie odnajdzie. Czasem łatwiej jest przełknąć zaginięcie dziecka niż wstyd, jaki ono przynosi. Zawsze można z bólem w głosie powiedzieć, że nikt nie mógł tego przewidzieć, ale stało się, mleko rozlane. I tym samym zamknąć temat. Ale druga wykolejona córka to już za wiele.

Wyznaczył już nawet datę, kiedy ją tam zawiezie. Zapisał to sobie długopisem tuż obok zdjęcia klasztoru. Niedziela za tydzień. Musi mu się bardzo śpieszyć. Ciekawe, jak to sobie zaplanował. Że zarygluje ją teraz w domu, a potem zawiezie do jakiejś wilgotnej kościelnej izby i będzie trzymał o chlebie i wodzie, dopóki nie zmądrzeje? A goście w sukienkach będą się nad nią modlić, błagać anioły o wstawiennictwo i pieprzyć bzdury o nawróceniu.

Za tydzień... Mało czasu. Tak samo jak do terminu operacji. Nikomu o nim nie mówiła, nawet tej Krawiec. To jedno chciała zachować tylko dla siebie. Musi dotrzeć na miejsce, choćby miała stanąć na głowie. Sprzeda, co ma, żeby przeżyć tam najgorsze dni po zabiegu, ale wyjedzie. Zrobi to dla siebie i dla Sary, ona tego by właśnie chciała. Ale najpierw musi stąd zniknąć, żeby nikt jej nie powstrzymał.

Wyjęła spod łóżka swój plecak ze stelażem. Ostatni raz używała go w liceum, w trakcie rejsu po mazurskich jeziorach. Wciąż przechowywał w sobie resztki wspomnień – zasuszony wianek z trawy, który zrobił dla niej kolega z klasy. Nie mógł wiedzieć, że podkochiwanie się w Reni to strata czasu. Ale wzięła go i udawała, że się cieszy. Wróciła z nim do Warszawy i zamiast wyrzucić, zatrzymała. Przeleżał na dnie plecaka, poszarzał i skruszał.

Osiemdziesiąt litrów pojemności to wystarczająco, by pomieścić ubrania na cały miesiąc. Zwłaszcza że już lato, spakuje zaledwie kilka szmatek. Bieliznę, buty, drobne kosmetyki. I dokumenty. Więcej nie potrzebuje.

Usiadła przy biurku i położyła przed sobą kartkę. Kilka razy przykładała długopis do papieru, ale słowa nie układały się w żadną gładką całość. Jak miałyby zacząć? „Kochani Rodzice”? Żart. Postanowiła nie zwracać się do nich w ogóle. Napíše, co czuje, po prostu. Pożegna się i podpisze nowym

imieniem. Pewnie się wściekną, jak to przeczytają. Ale ten jeden raz w życiu to oni jej wysłuchają.

Nareszcie.

* * *

– Znamiona prądowe? Chcę to zobaczyć z bliska. – Julia naciągnęła na dłonie winylowe rękawiczki i stanęła u wezłowi stołów sekcyjnych.

Trzy ciała, okryte prześcieradłami od ramion w dół, leżały obok siebie w równym rzędzie. Długie jasne włosy dziewcząt odciągnięte od szyj i twarzy zwisały poza metalowe podpórki umieszczone pod ich głowami.

– Możesz odsłonić tę z lewej. – Lipski oderwał się od majstrowania przy nowo zainstalowanej kamerze przy lampie sekcyjnej, która zamiast nagrywać obraz z autopsji, od kilku godzin rejestrowała jedynie białe plamy. – Jest najświeższa, więc ślad jest najbardziej wyraźny.

Rajtar zajęty był opisywaniem na laptopie kolejnych etapów badań. Nieufny co do pracy kamery Lipski posadził go przy jednym z metalowych stołów i nakazał mu stenografować każdą minutę ich pracy, na wypadek gdyby z nagrania znów nic nie wyszło.

– Powiedziałeś Górnemu, że zabójstwo przy użyciu prądu to rzadkość. – Julia stanęła przy wskazanym ciele i zaczęła oglądać ręce ofiary. Skóra, poza typowymi oznakami rozkładu, nie nosiła znamion porażenia.

Lipski wcisnął guzik w kamerze i powiedział kilka słów na próbę. Kiedy odtworzył nagranie, obraz wciąż był rozmazany.

– Wiesz, kiedy ostatni raz spotkałem się z taką zbrodnią? – zwrócił się ponownie do Julii. – A właściwie to pierwszy i jak do tej pory jedyny. Jak upadł mur berliński. Wyjechałem do Niemiec na pierwszą wymianę stażyстів. Pracowaliśmy w dwójkach, jeden od nas, drugi stamtąd. Razem z doktorem Pohlem dostaliśmy do zbadania ciało kobiety, którą mąż alkoholik podpiął do prądu. Zabił ją, gdy spała. Przyłożył dwa bolce wtyczkowe do jej skroni, kolejne dwa do szyi i włączył dwieście dwadzieścia woltów. Gdy było po wszystkim, zaniósł zwłoki na strych i poszedł pić. Oczywiście za jej pieniądze, które zbierała na studia ich syna.

– Miły gość.

– Nie chciał się do niczego przyznać. Pewnie skończyłoby się na stwierdzeniu nagłego zawału serca, gdyby nie to, że obejrzelśmy pod mikrosko-

pem jej ciało. Cztery ledwie widoczne poczerwiałe wklęsnięcia na skórze wyjaśniły wszystko.

Julia zsunęła materiał poniżej piersi dziewczyny.

– Nic tu takiego nie widzę. Żadnych ciemnych wklęsnięć.

– Zrzuć tę płachtę całkowicie, to zobaczysz.

Zrobiła, jak powiedział. Chwyliła za brzeg prześcieradła i szybkim ruchem odsłoniła zwłoki.

– Teraz widzisz?

Widziała. Cienkie poczerwiałe linie wiły się od stóp ofiary, poprzez nogi i biodra, aż do pępka. Splatały się ze sobą i rozchodziły, jak gałęzie drzewa.

– Chryste... To wygląda jak...

– Dzieło malarza, to chciałaś powiedzieć? – Lipski podszedł do Julii i też przyjrzał się ciału. – I to nieliczego. Też tak pomyślałem, gdy tylko je zobaczyłem. Niecodzienne oblicze śmierci.

– Koszmar.

– Dla mnie: czyste piękno. Nauki, oczywiście. Tylko przyjrzyj się temu malunkowi. Widać wyraźnie, jak biegł prąd. Od palców stóp równo do pasa. Równiuteńko – powtórzył Lipski. – Z czym ci się to kojarzy?

– Jakby ktoś posadził ją na krześle elektrycznym.

Lipski pokręcił przecząco głową.

– Byłyby znaki na nadgarstkach, które wtedy też się przywiązuje. Nadgarstki są czyste, więc jest tylko jedno wytłumaczenie.

– Mianowicie?

– Woda. Granica porażenia jest równa co do centymetra. Dziewczyna musiała być zanurzona do pasa w cieczy, bo jak dla mnie to jest właśnie linia wody. – Lipski przesunął palcem wzdłuż talii ofiary. – Wszystkie zginęły w ten sam sposób. Natężenie prądu objęło tę część ich ciała, zostawiając idealnie zachowany ślad. Jak zauważyłaś, pozostała część skóry jest nie naruszona.

– Co z tego, skoro serce nie wytrzymało.

– Nie mogło, Julia.

– Na ile oceniasz dawkę prądu?

– Dawka nie ma żadnego znaczenia. Nie o nią tu chodzi, tylko o jej skutek. Serce, przynajmniej tamtej – wskazał na ciało leżące najdalej – wyglądało na zniszczone. Pozostałych jeszcze nie badałem, ale nietrudno się domyślić, że znajdę w nich to samo.

– Zawał?

– O nie, moja droga. Zawał przy tym to betka. Chodzi o migotanie komór. Wywołuje je porażenie prądem o charakterze pulsacyjnym.

– Zmieniano napięcie?

Lipski pokiwał z przejęciem głową.

– To najgorszy rodzaj prądu. Wprawia mięsień sercowy w nieskoordynowane pobudzenia, które w konsekwencji wywołują pewną i dość szybką śmierć.

– Ktoś się nie cackał.

– Och, z pewnością. Te młode kobiety nie miały żadnych szans, by to przetrwać.

– Mówisz: prąd pulsacyjny... Nie szybciej zabija się stałym?

Lipski położył dłoń na sercu ofiary.

– Ono bardzo nie lubi arytmii i zupełnie sobie z nią nie radzi.

Naciągnął prześcieradło na zwłoki.

– Widziałaś już wszystko. Daj nam teraz popracować.

Wrócił do kamery, próbując podłączyć kabel, który do niczego nie pasował. Skapitulował po minucie.

– Doktorze Rajtar, niech pan lepiej włączy zwykły dyktafon. Tyle lat obchodziłem się bez kina podczas autopsji, to i teraz się obejdę. Coś jeszcze, Julia?

– Tak. Co do ciał tych dziewczyn: sprawdzałeś może, czy...

Lipski wykonał ręką gest mówiący, że nie musi kończyć. To pytanie zawsze padało podczas badania zwłok kobiet.

– Sprawdzałem. Wygląda na to, że...

– Wszystkie?

– Nie, Julia. Żadna. Na pewno nie przed samą śmiercią.

Wyszła z instytutu otępiała. Nie była pewna, co bardziej ją zszokowało: brak śladów gwałtu czy to, w jaki sposób je zlikwidowano. Bo to była likwidacja, typowa masowa egzekucja.

Mogła tylko współczuć Górnemu, że przyjdzie mu informować rodziców ofiar o koszmarnym odkryciu. O ile zidentyfikuje te dziewczyny. Na razie nie miały imion ani nazwisk. Były tylko kolejnymi numerami w rejestrze Lipskiego.

Dlaczego musiały umrzeć w tak barbarzyński sposób? Teoria Cichockiej o męczeńskiej śmierci na ołtarzu ofiarnym upadła zaraz po tym, jak Lipski odkrył, co było przyczyną zgonów. Żadna znana pogańska religia nie przeprowadzała na swoich ofiarach tego typu eksperymentów.

Nim Julia wrzuciła w skodzie pierwszy bieg, wyjęła z torby telefon, który dwoma sygnałami dał znać, że przyszła wiadomość. Nadawcą była Afrodyta. Zaproszenie na szkolenie było zwięzłe. Poza grzecznościową formułką i godziną środowego szkolenia wskazano numer konta bankowego, na jaki ma dokonać przelewu. Całe tysiąc pięćset złotych za osiem godzin słuchania o tym, jak ma zakładać nogę na nogę i mizdrzyć się do faceta, który ma dać jej szczęście. Dowód wpłaty ma przesłać do jutra do południa, materiały szkoleniowe dostanie na miejscu.

Materiały szkoleniowe?

Zaliczka za znalezienie Sary topniała, ale przelew zrobiła od ręki. Zgodnie z umową zawartą z Lewickim dalszy brak konkretnych tropów blokował resztę wypłaty. Jak tak dalej pójdzie, wyjdzie na zero.

Już w środę dowie się, czy dziewczyna dołączyła do zespołu elitarnych pań do towarzystwa. Ale by tak się stało, musi się tam jakoś pokazać. Nie powinna odstawać od reszty kursantek, a w dżinsach lub w znoszonej czarnej sukience przecież nie wystąpi. Od razu wyczułyby odmienca.

Przez chwilę Julia nosiła się z zamiarem podjechania do najbliższego centrum handlowego, jednak zrezygnowała. Gdzieś na dnie szafy miała szorty z ekoskóry. Kupiła je pod wpływem impulsu, bez sensu i najmniejszej potrzeby. Bo były przecenione i ładnie robiły talię. Tak zwane z wysokim stanem. Włoży je i czarne szpilki. Na górę wystarczy obcisły top, do tego umaluje usta i na tym koniec.

To, że odezwali się z Afrodyty, uznała za swój mały próżniaczy sukces. Chałupnicza sesja zdjęciowa na tle czarnej ściany udowodniła, że mimo upływu lat trzyma się nie najgorzej. Powłóczyście spojrzenie spod sztucznych rzęs też zrobiło wrażenie. Jakkolwiek patrzeć, wbrew temu, co mówiła Bodnar, aż tak sztywna nie jest.

Teraz musi już tylko czekać na ciąg dalszy, a ten zapowiada się ekscytująco. Wciągną ją do swojej bazy danych, umieszczą na stronie jako Sandrę czy Anabellę i wystawią na sprzedaż. Zadebiutuje jako nowa dostawa. Nie ważne, że nie pierwszej świeżości, jeśli chodzi o rynkowe standardy. Ważne, że dostanie się do agencji i przekroczy granicę dwóch światów, za którą być może odnajdzie Sarę Lewicką.

ROZDZIAŁ VIII

Wspięła się na palce i przysunęła oko do wydłubanej szpary w dykcie. Przez trzycentymetrową dziurkę zobaczyła trawnik i skrawek starego drewnianego domku na narzędzia. Mało widziała, ale usłyszeć mogła wiele. Szpara wpuszczała do jej celi wszystkie odgłosy otaczające to okropne miejsce. Odniosła nawet wrażenie, że przez przebywanie w ustawicznej ciemności jej zmysł słuchu jakby się wyostrzył. Uznała to za łaskawość losu. Tego właśnie potrzebowała. Intensywnych dźwięków, które zagłuszą złe myśli i osłodzą kolejne godziny w zamknięciu. Na nic bardziej zbawiennego niż szum drzew i świergot ptaków nie mogła liczyć.

Oparła się o ścianę i wsłuchiwała w dźwięki dochodzące zza okna. Nie cieszyła się nimi długo. Ptasie trele przerwał metaliczny chrobot źle naoliwionych zawiasów w drzwiach domu. Znała go na pamięć, słyszała to samo zgrzytanie regularnie, każdego dnia o tej samej porze. Dawał początek kolejnym odgłosom: krokom i głuchemu skrzypieniu, jakie wydają spod siebie podeszwy gumiaków. Kroków powinno być dwadzieścia trzy.

Zaczęła liczyć. Osiem... siedemnaście... dwadzieścia dwa...

Teraz powinno nastąpić uderzenie metalu o metal. Nie można go z niczym pomylić; tak opada rączka blaszanego wiadra. Zaraz potem cicho kliknie otwierana kłódka i skobel odbije się od drzwi. Chwilę później zacznie się ujadanie. Piskliwe, podlizujące się, żeby dostać żarcie z wiadra.

Zwierzęta kochała, ale tego skowytu wręcz nienawidziła. Za każdym razem, gdy go słyszała, zamierało w niej serce. Na szczęście ujadanie szybko ustało. Psie pyski musiały się dorwać do miski.

I znów: skobel, kłódka. Pięć... trzynaście, dwadzieścia trzy. Klamka, wycieraczka, szur, szur podeszwami. Głosy przeniosły się do wnętrza domu, tuż nad jej głową. Niedługo zacznie gwizdać czajnik, zaskrzypi szafa

w sieni. Znów klamka, wycieraczka i dym z papierosa palonego w drodze do furtki. Wyczuje go, dotrze aż tutaj.

– Jesteś tam? – usłyszała nagle zza ściany z cegieł. – Nie śpisz?

Szept był cichszy niż zwykle i pozbawiony żarliwości, jaką słyszała jeszcze kilkadziesiąt godzin temu.

Podeszła do muru i przytuliła do niego policzek.

– Jestem.

– Jaki dziś dzień?

– Nie wiem. Chyba wtorek.

– A godzina?

– Po szóstej rano. O szóstej karmią psy.

– Regularnie?

– Tak. Dlaczego pytasz?

– A jak myślisz? Ktoś, kto dba o zwierzęta, nie może być złym człowiekiem.

Gdyby tylko Danką mogła zobaczyć jej rany...

– Kończy mi się świeca – usłyszała. – Oszczędzam, ale ile można siedzieć po ciemku. Może jak ich zawołam, to przyniosą mi nową.

– Nie wołaj. Siedź cicho i się nie odzywaj.

Przez chwilę rzeczywiście milczała. Słysząc było tylko, jak plaska bosymi stopami o posadzkę, po czym pociera zapałką o draskę.

– Może wystarczy na godzinę – mruknęła. – Przynajmniej nie rozbiję sobie głowy. A tak w ogóle przestaje mi się to wszystko podobać. Za długo to trwa. Jak ci się wydaje, kiedy nas przerzucą?

– Przerzucą?

– No, dalej, na Zachód. Ja wybrałam Berlin. A ty?

– Bangkok.

Danka się roześmiała.

– Nie ma go na liście, musiałaś się pomylić przy wypełnianiu ankiety. Nieważne, byle nas jak najszybciej stąd zabrali. Ta dziura to tylko przystanek. Poczekalnia. A potem... sama wiesz. Tylko że mnie się już nie chce czekać. Co innego mi obiecywali, na pewno nie te ohydne lochy.

Pozwoliła jej marzyć. Sama wstała z kucek i podeszła do drzwi. Musiała sprawdzić, czy na górze jest całkowita cisza. Kiedy przez kilka długich sekund nic się nie działo, usiadła na materacu i ściągnęła poszewkę z poduszki. Nadgryzła zębami brzeg i pociągnęła. Materiał rozdarł się na dwie połowy. Jedną zawinęła grubo wokół palców u prawej dłoni, drugą

zacisnęła na nadgarstku. Sprawdziła, czy przegub jest na tyle usztywniony, by nie wykręcił się ani nie zwicznął.

– Odsuń się od ściany – powiedziała do Danki, kucając na podłodze.

– Po co?

– Po prostu odejdz. No już, na bok!

Zacisnęła dłoń w pięść i przyłożyła do cegieł w miejscu, gdzie od dwóch dni wydrapywała zaprawę. Najpierw uderzyła lekko, na tyle, by wyczuć, czy warstwa poszewki ochroni jej kości przed złamaniem. Do strzaskanej dłoni nie wezwą przecież lekarza. Zrośnie się krzywo i boleśnie. O ile nie wda się kolejne zakażenie i nie dostanie znowu gorączki. Wtedy to już na pewno będzie po niej.

Może lepiej zrobić to lewą dłonią, w końcu do codziennych czynności używa jej znacznie rzadziej, więc aż tak szkoda nie będzie, jeśli ją uszkodzi... Tylko że lewa jest słabsza. Kiedyś próbowała trzymać nią raketę tenisową. Trzymać, bo trudno było to nazwać grą. Piłka lądowała albo poza kortem, albo na siatce.

Musi być prawa.

Uderzyła mocniej, ale cegły ani drgnęły. Tyle wyskrobała tej zaprawy, że powinny się poruszyć. Zacisnęła zęby i łupnęła ponownie. Raz, drugi i trzeci. Jedna odlepiła się od skruszonego spoiwa i przesunęła w głąb muru. Poszewka zaczęła nasiąkać krwią, ale ona nie przestawała tłuc dłoń w mur.

Jezu, dopomóż, ten jeden cholerny raz... Wysil się i rusz te pieprzone cegły!

Spadły. Załedwie dwie, ale i tak uznała to za sukces.

Ręka jej drżała, kiedy odwijała czerwone od krwi strzępy materiału. Zdarta skóra piekła, podmuchała więc w nadziei, że poczuje ulgę. Ból zelżał, ale tylko na chwilę. Brud z poszewki zaczął już robić swoje. Mogła jedynie polizać pokaleczoną dłoń, by zmyć z niej bakterie. W końcu przestanie piec – pocieszyła się, by dodać sobie otuchy – ważne, żeby kości wciąż były całe. Dla pewności poruszyła palcami. Bolały przy rozprostowywaniu, ale nadal funkcjonowały.

– A teraz podejdz – powiedziała do Danki, po czym położyła się na podłodze i wsunęła dłoń przez małą niszę. – Widzisz mnie?

Po drugiej stronie błysnął płomień świecy. Nawet czuła jego ciepło. I dłoń tamtej, kiedy dotknęła jej ręki.

– Pokaż się. Schyl się i przysuń świecę do twarzy.

Dziewczyna zrobiła, co jej kazała. Płomień oświetlił jej szyję, jasne włosy i słodką buzię.

– Miło mi cię poznać, Danko.

Widziała, jak się uśmiecha. Zwyczajnie, jak to przy zawieraniu znajomości.

– Aleś ty ładna – przyznała, przyglądając się jej dużym oczom i dołkom w policzkach. – Szkoda tylko, że głupia. Nie będzie żadnego przerzutu do Berlina. Nigdy stąd nie wyjdiesz. Nigdy, rozumiesz?

* * *

Elektroniczny budzik nastawiony na siódmą rano dzwonił w sypialni Reni nieprzerwanie od minuty. Dorota Lewicka otworzyła drzwi, by potrząsnąć córkę za ramię, ale zamiast tego stanęła w progu i wstrzymała oddech. Wystarczył jej rzut oka na pokój, by zrozumiała, że dziewczyna nie nocowała w swoim łóżku. Było starannie zasłane, nawet zbyt starannie jak na jej standardy. Na biurku leżały klucze do mieszkania, obok nich złożona na pół kartka, a na niej długopis.

Przeczuwała, że to list. Nie taki zwykły, w którym informuje się o późniejszym powrocie do domu albo zostaniu na noc u przyjaciółki. Reni nie miała przyjaciół, a przynajmniej Lewicka nic o nich nie wiedziała. Jeśli jednak byli, to w sieci, nie na żywo. By przyjaźnić się w świecie realnym, trzeba bywać między ludźmi, a tego Reni unikała. Zaczęła się odsuwać od rówieśników kilka lat temu, zaraz po skończeniu podstawówki. Nie spędzała czasu z innymi dziewczętami, plotkując o chłopakach, bolesnych miściakach czy nowych lakierach do paznokci. Trzymała się od tego z daleka. Lewiccy uznali, że to bunt, typowy dla młodzieży w jej wieku, kontestującej wszystko i wszystkich. Bunt jednak się przeciągnął aż do czasów liceum. Reni wolała zaszywać się w pokoju ze słuchawkami na uszach, zamiast marnotrawić czas na dyskotekach. Wtedy zrozumieli, że nieodwracalnie zamieniła się w odludka. I doszli do wniosku, że jest im to na rękę, zwłaszcza że w tym samym czasie zaczęły się problemy z młodszą córką. Więc przynajmniej Reni mieli stale na oku. Zdawało im się, że dziewczyna nie odczuje dociśniętej śruby, gdy po drugiej ucieczce Sary zamienili mieszkanie w kontrolowane więzienie z fabrycznym zegarem, w którym odbija się karty wyjść i wejść. Nie mylili się, poddała się bez protestów. Co jakiś czas burczała tylko pod nosem w ramach niezadowolenia, ale potem

szybko cichła. Więc o co chodzi z tym pustym pokojem i zasłanym łóżkiem?

Dorota Lewicka wzięła kartkę do ręki i zaczęła czytać.

Jest siódma rano. Dzwoni budzik (nastawiłam go jak zwykle, w końcu to wy wytresowaliście mnie do tego, bym była obowiązkowa) i... pewnie się już dziwicie, że mnie nie ma. Biegacie po mieszkaniu i sprawdzacie, czy zabrałam swoje ubrania i buty. Zatem tak, zabrałam. Tyle, ile mi potrzeba, czyli niewiele. Zaraz zaczniecie przetrząsać moje biurko w poszukiwaniu czegokolwiek, co powie wam, dokąd mogłam pójść. Nic nie znajdziecie, szkoda fatygi.

Teraz wrzeszczycie na siebie, że zawaliliście na całej linii, skoro wasze więzienie nie zadziałało, skoro uciekłam. Na mnie też klniecie, bo okazałam się niewdzięczna, i w ogóle jak mogłam to zrobić. Mogłam i zrobiłam. Ale nie wam, tylko sobie. Mam dwadzieścia lat, a to wystarczająco dużo, by żyć po swojemu. Nie zaakceptowalibyście tego, kim jestem. Więc robię wam przysługę. Uwierzcie mi, to dla waszego i mojego dobra. Jeśli zastanawiacie się, czy do was wrócę, to jeszcze tego nie wiem. Mam dużo czasu, żeby zdecydować, czy tego chcę. Tak czy inaczej, nie próbujcie mnie szukać, bo i tak nie znajdziecie.

Mamo, słabo się dla nas starałaś. Myślisz, że znałaś Sarę i mnie, ale nie masz pojęcia, jakimi jesteśmy ludźmi i dlaczego nie ma nas teraz przy tobie. Ta zawieszka przy moim plecaku, o którą pytałaś – znajdź w internecie, co oznacza, może wtedy otworzą ci się oczy. To taka mała podpowiedź, skoro sama nie zdołałaś (a raczej nie chciałaś) zauważyć, kim naprawdę jestem.

Tato, tobie nie mam nic do powiedzenia. Długo się zastanawiałam nad tym, co mam ci napisać, ale w końcu doszłam do wniosku, że nie ma takich słów, jakich powinnam użyć, by określić to, co chciałaś mi zrobić.

PS Mój telefon nie działa, zniszczyłam kartę – to na wypadek, gdybyście jednak próbowali mnie namierzyć.

R.

Dorota Lewicka długo jeszcze trzymała list w dłoni. Miała wrażenie, że w mieszkaniu nagle zrobiło się przeraźliwie cicho. Nie słyszała szumu wody ani pogwizdywania męża pod prysznicem.

Zrobiła to. Jej druga córka zostawiła ją samą.

Zajrzała pod łóżko, by sprawdzić, czy zniknął stamtąd plecak. Tak na wszelki wypadek, gdyby to miała być tylko próba jakiejś nieczystej gierki, w którą córka zapragnęła się zabawić. Ale wtedy by go nie zabrała, wzięłaby tylko małą sportową torbę. Pod łóżkiem było pusto, podobnie jak na półkach, gdzie Reni trzymała podkoszulki i ulubione spodnie ściągane w pasie na troki.

– Co tak stoisz? – usłyszała głos męża. Stał za nią owinięty ręcznikiem wokół bioder. Drugim tarł po głowie, by wysuszyć włosy. – Gdzie jest Reni? Chyba nie poszła znowu na cmentarz?

Usiadła na brzegu tapczanu i zapatrzyła się w okno.

– Robiłam, co mogłam...

– Gdzie jest Reni?! – powtórzył twardo.

– Nie ma. Odeszła.

Podawała mu kartkę, ale ledwie na nią spojrział. Wystarczyło, że przeczytał ostatnie zdanie, by zrozumieć, co się stało.

Podniósł rękę, zamachnął się i uderzył ją w skroń. Zwinęła się na łóżku i zasłoniła przed kolejnym ciosem. Tym razem się powstrzymał i tylko wrzasnął. Usłyszała, że wychowała suki, nie córki. Że nie pilnowała dziewczuch, jak należy.

– Masz ją znaleźć, słyszysz?! – huknął. – I przyprowadzić tu, do mnie!

– Dobrze – bąknęła, ledwo poruszając ustami.

Nachylił się nad jej głową.

– Nie słyszę.

– Znajdę Reni.

– Na litość boską...!

Wyszedł z pokoju. Słyszała, jak z szafy w sypialni wyjmuje garnitur i jak szczęka małe pudełko, w którym trzyma spinki do koszuli. Firmowe, z logo konserwatywnej partii. Znaczek na szpilce, też z logo, tkwił na stałe w kłapie marynarki. Razem z jakimś drugim świętym znaczkiem. Świętym, bo spadło na niego kilka kropel święconej wody, kiedy uroczyście otwierali ich klub. Był biskup, byli oni wszyscy, zadowoleni i dumni, ze swoimi żonami.

Ona też poszła, choć wcale nie miała ochoty. Włożyła najlepszą sukienkę i zawiesiła na szyi perły. Dużo się uśmiechała i mało mówiła, odliczała kwadransy do końca uroczystości. Trzymał ją blisko przy sobie, obejmował ramieniem i przedstawiał kolegom. Wtedy jeszcze wspominał o ich córkach, nawet z dumą. Na ostatniej popijawie z okazji nowego roku już o nich nie mówił; na pytania o Sarę i Reni odpowiadał zdawkowo. Och, dzieci, mówił, każdy wie, jak to z nimi jest. Nie wiedzieli, bo nie mieli pojęcia, że młodsza z córek stała się dla ojca synonimem wstydu.

Naprawdę to powiedział? Że wychowała suki?

Poczuła pieczenie w klatce piersiowej. Oby to był zawał, pomyślała. Najlepiej podwójny; byłaby szansa, że nigdy się nie ocknie.

– Chyba nie zamierzasz tak siedzieć? – dotarło do niej, kiedy zajrzał ponownie do pokoju Reni. – Od siedzenia jej nie znajdziesz. Kiedy wrócę z pracy, powiesz mi, gdzie jest. Lepiej mnie nie zawieź.

Trzasnęły drzwi i znów była cisza.

Poszła prosto do kuchni i złapała za leżący na stole telefon. Była tylko jedna osoba, która przychodziła jej na myśl. Jeśli ona jej nie pomoże, chyba całkiem odejdzie od zmysłów.

Odczekała, aż pojawi się sygnał, po czym oblizwała spierzchnięte usta.

– Halo?

– Pani z nią była, wczoraj pod cmentarzem, widziałam was z okna – wyrzucała z siebie słowa. – Zniknęła. Tak, Reni... Po co się z panią spotkała? Czego chciała? Niech pani nie kłamie, że o niczym nie wie!

– Niech pani nie kłamie, że o niczym nie wie! – Głos w słuchawce nie był już tak miły jak wtedy, gdy widziały się w mieszkaniu Lewickich. Kobieta krzyczała i płakała jednocześnie. Tłumaczenie Julii, że nie ma nic wspólnego ze zniknięciem jej córki, mijało się z celem. Ale wiedziała już, że dziewczyna przemyślała ich rozmowę i postanowiła działać. Wybrała siebie i własne szczęście, dlatego rozpląnęła się w powietrzu.

Kolejne pytanie ją zmroziło. Odczekała dłuższą chwilę i odpowiedziała zdecydowanie, że nie zamierza przyłączyć się do poszukiwań. Nie tym razem.

Zakończyła tę szorstką wymianę zdań, tłumacząc, że ma na linii drugą rozmowę. Górny czekał na połączenie od kilkunastu sekund. Gdy się odezwał, od razu wyczuła, że coś jest nie tak.

– Zabielski nie żyje – powiedział po chwili. – Ten od koni. Znalaziono go w stajni, wygląda na to, że doszło do wypadku. Chcesz jechać?

* * *

– Jest tam, w środku, w boksie po prawej.

Daria, siedemnastoletnia wolontariuszka ubrana w luźną żółtą podkoszulkę i czarne spodenki sięgające kolan, pchnęła drewniane drzwi stajni i weszła na klepisko założone słomą.

Koński zapach wypełniał pomieszczenie mimo otwartych okien. Daria sięgnęła po oparte o ścianę widły i przyblokowała nimi drzwi, by do stajni wpadło więcej świeżego powietrza.

– Przyszłam godzinę temu, żeby oporządzić Harfę i kuca przed pierwszą jazdą – wyjaśniła ze łzami w oczach. – Wszystko przez to naniesione stare błoto. Wchodzi koniom pod podkowy i między strzałki. Czasem nawet z kamieniami, a to dla zwierzaków piekielnie bolesne.

– Przede wszystkim nie denerwuj się. – Górny uśmiechnął się do niej uspokajająco. – Zaraz wszystko wyjaśnimy. Po prostu opowiedz, co się stało. Od samego początku.

Dziewczyna pokiwała głową i wzięła głęboki oddech.

– Wczoraj, kiedy stąd odjeżdżałam, ustaliliśmy z panem Zabielskim, że czas wymieść wszystko z boksów i dokładnie polać klepisko wodą. To konieczne, jeśli chce się wypłukać brudy z kątów. Mieliśmy się zabrać do tego we dwoje, ja zawsze prosiłam pana Zabielskiego o cięższe prace, bo potrzebuję dużo ruchu – przyznała z nieumiejętnie ukrywanym wstydem. Musiała ją deprymować jej niewielka otyłość, bo przy okazji zasłoniła brzuch rękami.

– Umówiliście się na dziś? – zapytała Julia.

– Tak, na wieczór, zanim konie wrócą z popasu. Miały już trafić do czystych boksów. Zwykle wymieniamy wyściółkę raz w tygodniu, przyjeżdżam tu wtedy dwukrotnie: z rana, by przygotować Harfę do jazdy, i po południu.

– Pan Zabielski nigdy wcześniej nie czyścił stajni bez ciebie?

– Może tylko wtedy, gdy byłam chora – zamyśliła się Daria. – Nie wiem, dlaczego akurat wczoraj zmienił zdanie i zaczął to robić beze mnie. Pewnie nie mógł patrzeć, jak konie męczą się w tych nieczystościach. On tak bar-

dzo je kochał. Zlitował się nad nimi i wziął się do roboty sam. Rozwinął szlauch, koń się spłoszył i... zresztą, niech państwo sami zobaczą.

Podprowadziła Julię i Górnego pod drzwi boksu i odsunęła skobel. Ciało leżało na słomie pod żłobem, twarzą w dół. Lewa ręka Zabielskiego była wykręcona na plecy, prawa tkwiła pod brzuchem. Nogi miał podkurczone.

– Harfa go tak załatwiła – powiedziała Daria, po czym wskazała głową boks naprzeciwko. – To ta czarna, grzywiasta. Za dnia jest narowista, ale krzywdy nie robi. Gorzej jest po zmroku, kiedy od puszczy idzie echo.

– Wilki? – spytała Julia.

– Tak, wycie. Przerazające. Każdy koń, który słyszy wycie, zaczyna panikować. Harfa nie jest wyjątkiem.

– Pan Zabielski musiał o tym wiedzieć. Po co miałby zaczynać sprzątanie stajni po zmierzchu?

Daria popatrzyła z przejęciem na ciało właściciela stadniny. Nigdy wcześniej nie widziała zwłok, a do tego nie była pewna, czy dobrze zrobiła, dzwoniąc na policję zamiast po pogotowie. Kiedy weszła do boksu Harfy i zobaczyła Zabielskiego, była pewna, że mężczyzna zemdłał. Chwyciła go za dłoń i od razu poczuła jej chłód. Złapała Harfę za uzdę i wyprowadziła ją z boksu. Zaraz potem wybrała 997, ale czy słusznie? Czekając na przyjazd radiowozu, próbowała go cucić, na siłę. Szarpnęła kilkanaście razy jego tułowiem i przykładała palce do tętnicy na jego szyi, ale nic nie wyczuwała.

– Dziwnie się wczoraj zachowywał. Od rana był nieswój. Mało mówił, dużo rozmyślał. Kiedy odjeżdżałam stąd przed czternastą, nawet nie wyszedł do mnie, by się pożegnać. Zamknął się w biurze i tylko rzucił przez drzwi, żebym wzięła sobie dziś rano wolne i przyszła dopiero pod wieczór, na to czyszczenie boksów. Nie wiem, dlaczego tak powiedział. Tu jest tyle pracy, a ja przecież nie biorę za pomoc nawet złotówki. Tyle tylko, że wsiądę po pracy na konia i pojedę w las, dla przyjemności.

– A jednak przyszłaś dużo wcześniej, niż cię o to prosił – zauważył Górny. – Tak bardzo martwił cię stan końskich kopyt?

– Matka nauczyła mnie odpowiedzialności. Młodsze rodzeństwo, rozumie pan... A pan Zabielski naprawdę miał się wczoraj kiepsko. Pomyślałam, że jeśli dziś też tak będzie, to kto oporządzi konie? Nie można do nich podchodzić, kiedy jest się w nerwach. One to czują i same stają się niespokojne. Ale on podszedł i stało się najgorsze. Może gdyby to nie chodziło o Harfę, tylko o tego drugiego, kucyka, wciąż by żył.

– Może wyczuła od niego alkohol?

Dziewczyna spuściła wzrok.

– Harfie jego zapach nigdy nie przeszkadzał. Była do niego przyzwyczajona. Ale owszem, panu Zabielskiemu zdarzało się popijać. Ostatnio trochę więcej niż kiedyś. To ze zgryzoty.

– Pił wczoraj?

– Na pewno nie przed moim wyjściem. A potem to nie wiem.

Julia dała dyskretny znak Górnemu, żeby zostawił ją samą z ciałem. Chciała przyjrzeć się zwłokom bez obecności nastoletniego świadka. Górny położył dziewczynie dłoń na ramieniu i pociągnął w stronę wyjścia.

– Pokaż mi jego biuro. Przy okazji napijemy się czegoś ciepłego. Pan Zabielski miał tu chyba jakąś herbatę?

Oboje mieli wrażenie, że Daria ma już dość przebywania w stajni i patrzenia na martwego właściciela. Z ulgą dała się wyprowadzić Górnemu na świeże powietrze.

Julia przykucnęła przy Zabielskim. Uniosła lekko jego kark, by przyjrzeć się klatce piersiowej i twarzy. Jeśli uderzenie kopyta trafiło właśnie tam, z pewnością zabiło go na miejscu. Twarz wydawała się niedrażniona, ale pod rozpiętą kraciastą koszulą zauważyła w okolicy serca siny ślad. Owalny, wielkości dużej, męskiej dłoni.

Podniosła się z kucek i przeszła do boks obok. Harfa zajęta była piciem, Julia miała więc sposobność, by przyjrzeć się klaczy. Czerni jej sierści była doskonała. Nawet łeb pozbawiony był tak często spotykanej białej plamy między oczami. Lśniaca, idealnie wyczesana grzywa spływała na jeden bok.

– Ktoś tu źle o tobie mówi, piękna istoto – zagadała do konia. – Podobno zamieniłaś się w bestię.

Klacz oderwała się od poidła i zrobiła dwa kroki w kierunku Julii. Przynęła łeb do jej twarzy i obwąchała włosy. Julia poczuła jej wilgotny oddech na szyi, ale nie cofnęła się. Położyła dłoń na nozdrzach Harfy. Były miękkie i aksamitne.

– Tylko ty wiesz, co tu się stało. Gdybyś potrafiła mówić, powiedziała-bys mi, jak zginął twój pan, prawda?

Koń prychnął cicho i poruszył łbem. Julia otworzyła drzwi boks i wsunęła się bokiem do środka. Przylepiwszy plecy do ściany, czekała. Spodziewała się jakiegokolwiek oznaki nerwowości, ale Harfa wciąż była spokojna. Łypnęła czarnym okiem na intruza, po czym wróciła do poidła.

– Życie ci niemiłe? – usłyszała za sobą głos Górnego.

Złapał ją za rękę i wyprowadził na przestrzeń między boksami, a potem zatrzasnął drzwi zagrody i upewnił się, czy rygiel dobrze trzyma.

– Jest spokojna, pogadałyśmy sobie trochę – odparła Julia. – Co z dziewczyną?

– Odesłałem ją do domu, na dziś ma dosyć wrażeń.

Wyjął telefon i zaczął szukać jakiegoś numeru.

– Co robisz? – Julia zerknęła mu przez ramię.

– A jak myślisz? Trzeba zabrać stąd ciało, zanim opanują je muchy.

– Chyba zanadto się śpieszysz. Wiesz, że to nie był wypadek?

– Wiem, że facet zginął tragicznie. Hodował Harfę od źrebaka, więc to cholernie przygnębiające, ale takie sytuacje się zdarzają.

– Bo konia spłoszyło wycie wilków?

– Nie możemy tego wykluczyć – mruknął Adam, nie odrywając wzroku od ekranu. – Zwierzę broni się w ten sposób przed niebezpieczeństwem. Wali kopytami na oślep.

– Może nie znam się za dobrze na koniach, ale wiem jedno: walą kopytami tylko ze względu na ślepe pole widzenia w okolicach zadu.

– Wystarczyło więc, że Zabielski zaszedł Harfę od tyłu.

– Widziałeś, gdzie leżą zwłoki?

– Tak, Julia. Pod żłobem.

Otworzyła na oścież boks z ciałem Zabielskiego.

– Leżą przy ścianie przeciwległej do wejścia. Gdyby koń stał przodem do drzwi boksu, rozpoznałby Zabielskiego bez najmniejszego problemu, nawet w ciemności. Jaki więc miałby powód do nerwów? Otóż żadnego. Obecność właściciela zadziałałaby uspokajająco, nie stresogennie. Konie czują spokój bijący od człowieka. Harfa wyraźnie czuła mój, kiedy weszłam do niej kilka minut temu. Widziała mnie pierwszy raz w życiu i nie zrobiła nic, by mnie przepędzić. Nic, rozumiesz?

– Więc to miał być eksperyment?

– Poniękad. Załóżmy jednak, że kiedy przyszedł Zabielski, klacz stała zadem do wejścia. Z niewyjaśnionej przyczyny poczuła rozdrażnienie tym, co dzieje się poza jej polem widzenia, i zaatakowała. Gdzie leżałoby ciało? Tu, gdzie teraz stoimy my. Przy drzwiach, nie pod żłobem. Nie ma innej opcji, Górny.

– Po uderzeniu Zabielski mógł jeszcze żyć i się ruszać.

– Czołgałby się wtedy w stronę wyjścia, czyli znowu: do miejsca, w którym stoimy.

Zrobił to samo, co zrobiła Julia, oglądając zwłoki. Przekręcił je tak, by swobodnie obejrzyć głowę i tors.

– Popatrz tylko. – Wskazał na owalną plamę stężonej krwi na piersiach mężczyzny. – Kształt kopyta. Odcisnął się idealnie.

Wzruszyła ramionami.

– Tak, odcisk rzeczywiście jest idealny. Szkoda tylko, że taki szeroki po obwodzie. I domknięty. Widziałeś kiedyś domkniętą podkowę? Poza tym konie zwykle nie noszą skorodowanych podków.

Górny ponownie odchylił koszulę Zabielskiego. Dopiero teraz zobaczył na niej kilka drobnych fragmentów rdzy.

– Kolejna sprawa dla prokuratury – stwierdziła Julia.

Cmoknął z niesmakiem przez zęby.

– Jasna cholera... Coraz mniej mi się to wszystko podoba. Po co ktoś miałby zabijać właściciela ujeżdżalni? Żył z dala od ludzi, interesowały go tylko konie.

– Wiesz o nim tyle, ile sam ci powiedział. Trzeba przetrząsnąć jego biuro.

– Szumnie powiedziane. Ten pokój, w którym przyjmował zapisy na jazdy, to zwykła kanciapa z papierowym rejestrem klientów. Ale widziałem, że za biurkiem są kolejne drzwi.

Julia wyminęła go i stanęła w progu stajni.

– Na co czekamy?

Rozejrzał się za czymś po kątach. Na jednej ze ścian poza dwiema upręczkami wisiała czarna końska derka. Zdjął ją z haka i nakrył nią ciało Zabielskiego.

– Muchy – stwierdził, odgarniając się od wirujących nad głową owadów.
– Już zaczynają się gromadzić.

* * *

Alek Koziej wcisnął na głowę kask i wyprowadził motocykl z garażu. Pot ciekł mu po plecach z gorąca. Skórzany komplet do jazdy był ekstrawagancki i kosztował go fortunę, ale pod kurtką i spodniami ciało zaczynało się powoli gotować. Oby lejący się z nieba żar przystopował do końca tygodnia, pomyślał, patrząc na bezchmurne niebo. W przeciwnym razie zabawa w dusznej remizie może nie przyciągnąć zbyt wielu chętnych. Młodzi wypiją zimne piwo na zewnątrz, ale nikt nie będzie się dobrowolnie dusił

w zamkniętym pomieszczeniu. Przegrzane klimatyzatory nie dadzą rady ochłodzić klubu, nie przy tej temperaturze. Zamówiony zespół miałby grać przy pustej sali?

Kurtyny wodne – widział kiedyś takie w Warszawie. W szpanerskich ogródkach piwnych przyciągały klientów, którzy podstawiali pod nie twarze i czerwone od ciepła dekolty oraz karki. Dlaczego miałby nie zainstalować takich samych w Milano? Jeden porządny zraszacz przy wejściu, a drugi, mniejszy, nad parkietem. Tego we wsi jeszcze nie było, żeby podczas tańców opadała na ludzi chłodna bryza. Jeśli klub ma odnieść sukces w dniu otwarcia, musi załatwić kurtyny.

Wsiadł na swoje bmw i włączył silnik.

Droga przez las wiodła na skróty i oszczędzała czas, jaki zmarnowałyby, wybierając asfaltową szosę, by dostać się na krajową S7. Samochodem osobowym nikt się tu nie pchał, za dużo dziur. Jednak zwrotny motocykl gładko omijał wyrwy.

Alek zwolnił dopiero na skraju puszczy, gdy na wprost niego pojawiła się nieco zasapana dziewczyna na czerwonym rowerze. Widywał ją od czasu do czasu, jak jechała do ośrodka Zabielskiego albo z niego wracała. Ilekroć go mijala, czuł ciągnący się za nią zapach koni. Nie wiedział, jak ma na imię, musiała mieszkać gdzieś na obrzeżach wsi. Za każdym razem, gdy się spotykali na drodze, odrzucała do tyłu głowę na powitanie, jakby byli dobrymi kumplami. Jednak teraz nawet na niego nie spojrzała. Przejechała obok, zaciskając ręce na kierownicy i wbijając wzrok w horyzont.

Zgasił silnik i zdjął kask z głowy.

– Hej! – zawołał, nim odjechała w głąb lasu. – Stało się coś?

Był pewien, że go zignoruje, lecz zatrzymała się i zeskoczyła z siodełka. Skręciła przednim kołem, jakby miała zamiar zawrócić, ale najwidoczniej zrezygnowała z bliższego kontaktu, bo tylko stanęła jak wryta.

– Nic ci nie jest? – zagadnął ją ponownie.

– Nie – odparła dość cicho. – Mnie nic. Ale pan Zabielski nie żyje. Znałeś go?

Byłoby dziwne, gdyby ktoś z mieszkańców okolicznych wsi nie znał koniarza. Ludzie kiedyś przyprowadzali do niego swoje dzieciaki i sadzali na kuca, robiąc rundę dokoła padoku. Przy okazji pstrykali maluchom pamiątkowe zdjęcia, że niby tacy z nich dżokeje. Po kilku latach ujeżdżania jakoś spowszedniała i przestała być atrakcją. Zabielski zaczął mieć problemy z utrzymaniem biznesu. Mógł liczyć jedynie na przyjezdnych z mia-

sta lub pasjonatów koni, którzy wpadali do Stacjonaty na kilka godzin, po czym znikali do następnego weekendu. Od poniedziałku do piątku mało kto tam zaglądał, zwłaszcza jesienią i zimą.

– Na pewno mówił ci o nim ten twój kumpel – powiedziała już znacznie głośniej. – Bywał u niego, i to dość często. Chyba się nawet przyjaźnili.

Musiała w końcu uznać, że komunikacja na odległość nie jest najwygodniejszą formą rozmowy, bo szarpnęła kierownicą i podeszła bliżej Alka.

Ocecił w mgnieniu oka, że nie jest aż tak tęga i niska, jak mu się wcześniej wydawało. Nogi też miała całkiem zgrabne. W szortach do kolan wyglądały nie najgorzej.

– Nie żyje? – spytał, ignorując jej dociekania. – Jesteś pewna?

– To był wypadek. W stajni, od kopyta. Okropny widok, Boże, jaki okropny... Jeszcze teraz trzęsą mi się nogi.

– Widziałaś, jak on...? No, wiesz.

– Jak zginął? Nie, nie widziałam. Pewnie był wtedy sam, jak zwykle zresztą. Teraz jest tam policja, oglądają stajnię. Kazali mi odjechać.

Alek oparł motocykl na podpórcę i podszedł do granicy drogi i ogrodzenia, za którym rozciągał się teren ujeżdżalni. Wytężył wzrok, by zobaczyć, co dzieje się dwieście metrów dalej, przy murowanej stajni. Dziewczyna mówiła prawdę. Obok auta Zabielskiego stał jeszcze jeden wóz.

– Szukają czegoś konkretnego? – zapytał, nie odrywając oczu od małego parkingu przed biurem Stacjonaty. – Mówiłaś, że to był wypadek.

– Wiesz, jak jest. Muszą wszystko sprawdzić. Policja bywa podejrzliwa.

– Jasna sprawa – mruknął.

Ledwie zauważył wyciągniętą w jego stronę rękę.

– Tak w ogóle jestem Daria.

Nie zdejmując rękawicy, potrząsnął jej dłonią.

– Miło mi.

– Mnie bardziej. – Na jej policzki spłynął rumieniec. – Od dawna chciałam cię poznać. Teraz, przez tę śmierć, nie słyszałam nawet, że nadjeżdżasz. Przepraszam.

Bąknął pod nosem coś, czego nie dosłyszała.

– Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy – zagadnęła ponownie, ale nie zareagował.

Zawróciła z rowerem na ścieżkę. Wskoczyła na siodełko i postawiła na pedałach stopy w trampkach.

– To do następnego razu – powiedziała już całkiem bez przekonania, że usłyszy to samo od Alka.

Jak przypuszczała, nawet na nią nie spojrział. Gapił się jak otępiały na padok i dwójkę ludzi, którzy przechodzili właśnie ze stajni do biura sąsiadującego przez ścianę.

Odjeżdżając w las, obejrzała się za siebie. Chłopak wciąż stał przy motocyklu i zaciskał pod pachą kask z namalowanymi czerwonymi płomieniami. Śmierć Zabielskiego niewątpliwie go poruszyła, dlatego tak zaniemówił. Wręcz skamieniał. A może był po prostu zwykłym bucem na drogim bmw, który nie zamierzał spoufalać się z kimś takim jak ona. Nie tak to sobie wyobrażała przez ostatnie dwa lata, odkąd zrozumiała, że lubi go bardziej niż innych chłopców. Szkoda, że tak ją zlekceważył. Może gdyby był trochę miłszy, powiedziała by mu, co podsłuchiwała pod ścianą stajni, zanim odjechała ze Stacjonaty. Że śmierć Zabielskiego mogła nie być zwykłym wypadkiem.

* * *

Michalina Bodnar natknęła się na żonę Maciejewskiego nie całkiem przypadkowo. Odkąd wysłała Julii zdjęcie, jak spacerują razem po parku, sumienie nie dawało jej spokoju. Powinna czuć się dobrze z tym, że robi wszystko, by Krawiec raz na zawsze zamknęła za sobą przykry rozdział w życiu, ale sposób, w jaki rozegrała pierwszy akt, chyba nie był najlepszy. Julia nie odezwała się, dając tym samym sygnał, że jest raczej wściekła, a nie wdzięczna. Wysłanie tego maila okazało się naprawdę głupie, co stwierdziła poniewczasie.

Nie wiedziała, jak tamta kobieta ma na imię, ale już dobrze znała jej twarz. W tak małym miasteczku wpada się na siebie raz po raz, nawet gdy się tego nie chce. Wystarczy wyjść na główny rynek lub skwer, gdzie zbierają się ludzie w słoneczne dni.

Teraz też przysiadła na jednej z ławek naprzeciw okrągłej fontanny. Była jeszcze nieczynna, ktoś w urzędzie miasta najwyraźniej zapomniał, że przy dwudziestu sześciu stopniach przydałoby się włączyć zasilanie wody.

Jego żona już tam była, z książką i ukrytym pod wielobarwną sukienką zaokrąglonym brzuchem, który nieustannie gładziła, nie odrywając przy tym oczu od powieści. Obok niej stał na ławce mały koszyk z termosem

i prawdopodobnie czymś do jedzenia, bo Michalina dojrzała wystający biały papier, w jaki zawija się piknikowe kanapki.

Sama też korzystała z czterdziestominutowej przerwy na lunch. Było południe, słońce grzało jak opętane. Miałyby pójść do stołówki i dusić się w murach? Kupiła na wynos potrawkę z duszonych warzyw.

Nie zamierzała do niej podchodzić. Bywają sytuacje, które rozwijają się same, i na to liczyła. Na razie maczała widelec w potrawce i przyglądała się tej wysokiej blondynce z gładko ściągniętymi w kucyk włosami. Owszem, była ładna, ale nie aż tak, by można było stracić dla niej głowę. Ona by nie straciła. Zraziłaby ją zbyt długa szyja i blada cera. Stanowczo zbyt blada. Miała jednak w sobie coś tajemniczego.

Przyjechała tu, żeby urodzić? Pewnie tak. Zatem Maciejewski zostanie ojcem. Szkoda, że nie zrobił dziecka Julii; mieliby pięknego synka albo córkę.

Michalina przełknęła bakłażana i zajrzała do torby w poszukiwaniu chusteczki, by wytrzeć ciekący po brodzie sos. Chusteczek, jak na złość, nie było. Wysypała zawartość na ławkę i zaklęła cicho pod nosem.

– Proszę – usłyszała po chwili.

Podniosła oczy znad torby. Najpierw zobaczyła opięty pod kolorową sukienką brzuch. Zaraz potem rękę żony Artura, która podawała jej papierową serwetkę.

– Lepiej tego nie wycierać rękawem. Niech pani weźmie, mam zapas.

Kiwnęła w podziękowaniu głową i szybko wyczyściła chustką brodę. Chciała bąknąć coś dowcipnie o swoim gapiostwie, ale kobieta odeszła tak samo szybko, jak się pojawiła. Znow siedziała na swojej ławce, ale nie sięgała po książkę. Ktoś do niej zadzwonił, więc wyjęła telefon z koszyka. Rozmówca musiał być jej bliski, bo rozpromieniła się, gdy tylko usłyszała jego głos.

Mówiła po angielsku. Michalina nie błyszczała, jeśli chodzi o znajomość języków obcych, ale nie była aż tak niedouczona, by nie wychwycić kilku zdań i nie zrozumieć ich sensu. Rozmowa nie była długa, trwała minutę, może dwie.

Kiedy kobieta się rozłączyła, ponownie chwyciła za książkę. Posłała przy tym Michalinie przyjazny uśmiech i rzuciła „smacznego”. Bodnar jednak nie zamierzała kończyć potrawki. Coś trzymało ją za gardło.

Słowa, które zdołała wychwycić z rozmowy żony Maciejewskiego, były naprawdę proste. I co gorsza, wyjątkowo paskudne.

* * *

Szuflady w biurku Zabielskiego były przepełnione papierami, ale uporządkowane. Przede wszystkim leżały w nich dokumenty typowe dla prowadzenia działalności gospodarczej: księgi rachunkowe i poukładane rocznikowo rejestry klientów. Większość kart w tych rejestrach była niezapisana, bywały dni, a nawet tygodnie, w których nikt tu nie zaglądał, by wynająć konia.

Przykry widok, pomyślała Julia, odkładając katalogi na miejsce i sięgając po to, co znajdowało się w dolnej szufladzie. Tekturowe zamykane pudło skrywało zupełnie inne skarby. Zabielski musiał być wyjątkowo sentymentalny i mieć słabość do wspomnień, bo każdy z drobiazgów przypominał o historii ujeżdżalni. Julia wysypała na blat breloki z końskimi łbami, kilka gumowych bransoletek odstraszać owady, ale głównie zdjęcia. Na jednym z nich widać było grupę kilkudziesięciu osób, uśmiechniętych, trzymających plastikowe kubki i wznoszących toast. Pośrodku gromady stał Zabielski z wielką butelką szampana, a nad ich głowami widniał napis „Ranczo Stacjonata 2005”. Dzień inauguracji. Kolejne fotografie przedstawiały pierwszych jeźdźców, którzy dumnie prężyli się na końskich grzbietach.

– Pełno tu wspomnień. Jest nawet księga pamiątkowa – powiedziała, otwierając bordową okładkę memuaru. – „Oby ci się dobrze kręciło”, „Wiatru w grzywach”, „Utrzymania w siodle” – przeczytała, po czym przekartkowała księgę do końca. – Zabielski miał szansę na ciekawe życie. Szkoda, że skończył je tak szybko i na dodatek w tak fatalny sposób.

– Gdyby ci było mało zdjęć, tu są kolejne. Chyba jego ulubione, bo w ramkach.

Górny przesunął wzrokiem po przybitych do ściany wysłużonych kantarach i dzwonek do sań i zatrzymał go na fotografiach zrobionych podczas sanny. Z końskich pysków buchała para, w saniach tłoczyli się zziębnięci, lecz zadowoleni ludzie. Zdjęcia wykonano i za dnia, i po zmierzchu. Nastrojowe były zwłaszcza te, które przedstawiały zamontowane przy saniach pochodnie.

– Wszyscy dopóty są mili, dopóki nie zaczniesz odnosić sukcesów – powiedział, nie odrywając oczu od ściany z pamiątkami. – Potem patrzą na ciebie spode łba, jak, nie przymierzając, te zbolące konie. Mają takie smutne oczy, jakby działa im się krzywda.

Julia stanęła obok niego i przyjrzała się odbitkom.

– Może dlatego Zabielski sam nie powoził, żeby nie brać udziału w tym, jak się męczą. Zauważ, że na żadnym zdjęciu nie siedzi na koźle. Tylko stał z aparatem i pstrykał pamiątkowe fotki.

– Piękne. Miał smykałkę do uwieczniania magicznych momentów.

– Trudno zrobić złe zdjęcie zwierzętom. Są doskonałe z natury.

– I nie potrzebują filtrów – dodał Górny. – Popatrz na to, z jesieni. Ten na deszczu to chyba Harfa. Obłądne.

– A ten biały? Nie widziałam go w stajni.

– Mówiłem ci, że jednego konia zagryzły wilki. To pewnie on. Szkoda, bo wyjątkowy okaz.

Julię bardziej interesowało biurko, dlatego wróciła do przetrząsania szuflad. Poza wysuszoną butelką koniaku znalazła równo złożony plik kartek.

– Bardzo ciekawe... – powiedziała pod nosem, przyglądając się dokumentom. – Wiedziałeś, że Zabielski kilkakrotnie składał wnioski o dofinansowanie ochrony rancza? To kopie jego podań.

– Tak, wspominał, że chce postawić nowe, solidne ogrodzenie. Bał się powtórnego ataku wilków. Taka inwestycja to kupa forsy. Sam nie dałby rady tego sfinansować.

– Odmowy z sołectwa... Trzy, rok po roku. Uzasadnienia równie cienkie jak kartki, na których je przysłano. Brak podstaw prawnych, brak finansowego uzasadnienia i... O! To naprawdę interesujące: w ostatniej odmowie powołano się na brak stabilności emocjonalnej inwestora.

– Pokaż. – Górny wyciągnął rękę po pismo. – Zarzucono mu zaburzenia psychiczne? Nie inaczej... Zrobiono z niego chorego na umyśle. W okrągłych słowach, ale oficjalnie, z pieczętką i datą siedemnastego września zeszłego roku.

– To jeszcze nie koniec. Na deser mała niespodzianka. W koszu pod biurkiem znalazłam wzór jego najnowszego wniosku o grant, napisany na komputerze i z naniesionymi odręcznie poprawkami.

Julia przesunęła wzrokiem po linijkach.

– Niezły był gracz z tego Zabielskiego. Posłuchaj tylko: „Zaznaczam, że kolejne odrzucenie wniosku o dofinansowanie ośrodka jeździeckiego Ranczo Stacjonata spotka się z moim zdecydowanym działaniem. Niedopuszczalna jest konsekwentna i bezpodstawna odmowa wsparcia tak zasłużonego obiektu sportowo-rekreacyjnego, jakim jest wspomniany ośrodek. Jeśli więc zajdzie potrzeba, udowodnię, na jakie niesłuszne cele zostały

dotąd przeznaczone środki finansowe...”. I tu następuje wyliczanka przekrętów sołtysa, ale nie to jest najciekawsze. Słuchaj dalej: „Jeśli zaś chodzi o naruszenie moich dóbr osobistych, jakimi są dobre imię i nieposzlakowana opinia, zostanie wytoczony proces, na którym wykażę, jakiego karalnego czynu dopuścili się...”. I tu zamazane. Na pewno w oryginale dokończył swoją myśl.

– Tak czy owak, mamy do czynienia z pogrózkami. Pozostaje pytanie, czy Zabielski wysłał to pismo do adresata, czy dopiero zamierzał to zrobić.

– Trzeba z nim pogadać, to znaczy z tym... – Julia rozprostowała róg kartki, by dobrze przeczytać nazwisko. – Z Antonim Bugajem. Poślij do niego Szymańskiego, ty sam nie powinieneś się pokazywać we wsi. Przy najmniej jeszcze nie teraz.

– Bo jestem z telewizji? Czas zakończyć tę zabawę. Twoja prowokacja nie dość, że nie wypaliła, to jeszcze komplikuje mi robotę.

– Minęły dopiero dwa dni. Trzeba czekać.

– Chyba tylko na cud. Idę zapalić.

Wyszedł przed biuro, by przy okazji sprawdzić, czy na drodze nie pojawiły się auta Cichockiej z załogą i Sierackiej. Trakt prowadzący do stadniny wciąż pozostawał pusty, jedynie żółte tumany kurzu unosiły się nad ziemią poganiane wiatrem.

– Wydawałoby się, że tak tu spokojnie. Te małe miejsciny... każda ma swoje tajemnice.

– Co mówisz? – dobiegł go z gabinetu głos Julii.

– Mówię, że czas otworzyć te drugie drzwi, od zaplecza. Zabielski musiał gdzieś trzymać do nich klucze. Sprawdź półki i tę przeszkloną gablotę.

Julia nie zamierzała tracić czasu na przekopywanie biura metr po metrze i odblokowała zamek swoim wytrychem. Brzęk szpikulców był dużo cichszy od dźwięków końskich dzwonek zawieszonych na ścianie.

– Układasz sobie w głowie poemat o urokach wiejskiej przyrody czy wchodzisz tu ze mną? – zawołała.

Górny zgasił papierosa o podeszwę buta i oderwał ramię od futryny.

To nie był składzik, jakiego się spodziewali. Zwykle zastawione są pod sufit niepotrzebnymi rupieciami, które kumulują się w ciągu lat, a ich jedynym przeznaczeniem jest zbieranie kurzu. W pakamerze Zabielskiego, o wielkości trzech metrów na dwa, rupieci nie było wcale, żadnych pudeł ani przedmiotów związanych z działalnością stadniny. Pod jedną ze ścian

stało połowe łóżko z cienkim materacem zasłanym wełnianym kocem, a drugą połowę pomieszczenia zajmował wąski metalowy regał sięgający połowy ściany. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że półki były puste. Tylko na jednej z nich stała metalowa kasetka wielkości pudełka do butów. Wyglądała niemal identycznie z sejfem, który stanął ostatnio w mieszkaniu Julii.

– Rozumiesz coś z tego? – Górny szarpnął za uchwyt skrzynki. Była zamknięta.

– Odsuń się, spróbuję otworzyć.

Wytrych tym razem nie zadziałał, ostrza ześlizgiwały się z zapadek.

– Trzeba przewiercić. – Julia z rezygnacją schowała swoje nożyki do skórzanego etui. – Ale nie tu. Musimy ją stąd zabrać. Wrzucimy do bagażnika i zawieziemy do ciebie.

Górny zakołysał się na ugiętych nogach.

– Nie ma takiej możliwości. Nie zamierzam za to beknąć. Otworzymy skrzynkę razem z technicznymi.

– Albo i nie. Wszystko zależy od tego, jak prokuratura zaklasyfikuje śmierć Zabielskiego. Jeśli uzna, że to był wypadek, kasetka na zawsze pozostanie zamknięta i nie dowiesz się, co koniarz w niej ukrywał.

– Haki na sołtysa? – Górny położył dłoń na sejfie i zakręcił na nim młynka palcami.

– Na pewno coś, co miało nie wpaść w niepowołane ręce.

Wciąż się wahał. Wokół śmiertelnego żniwa, jakie zbierała puszcza, mnożyło się zbyt wiele znaków zapytania, a odpowiedzi nie przybywało. Nie takich, na jakie liczył. Jeden krok do przodu, dwa do tyłu. Najpierw zwłoki dziewczyn, teraz nagła śmierć człowieka, który nie dość, że odnalazł ciała, to na dodatek miał na pieńku z miejscową władzą. Górny nie podejrzewał, by Sieracka mogła zbagatelizować okoliczności śmierci Zabielskiego, ale jeszcze pół godziny temu on sam był święcie przekonany, że zgon nastąpił wskutek nieszczęśliwego splotu okoliczności. Ile czasu potrzebowałaby prokuratura, by stwierdzić, że to jednak było morderstwo, i wrócić na miejsce zbrodni? I czy kasetka stałaby jeszcze wtedy na tej metalowej półce?

– Tracimy czas, Górny. – Julia zdawała się czytać w jego myślach.

Szarpnął za uchwyt kasetki i bez słowa wyniósł ją ze składziku. Wrzucił do bagażnika w ostatniej chwili. Na pylistej drodze majaczyły już wóz techniczny i mercedes Sierackiej.

– Nie musi na razie wiedzieć o tej skrzynce. – Adam trzasnął klapą kufra. – Zresztą może się okazać, że Zabielski trzymał w niej same śmieci.

Cichocka wyskoczyła z samochodu pierwsza. Prokurator najpierw wołała wyrzucić przez otwartą szybę mercedesa. Wciągnęła w nos zapach słomy wymieszany z łajnem.

– Mam nadzieję, że nie fatygowaliście mnie tu, bo ktoś dostał zawału od kopnięcia kopytem. – Pokręciła z dezaprobatą głową. – Szymański mówił mi, że to był wypadek. To jak? Wypadek czy morderstwo?

Julia podeszła do jej auta i pociągnęła za klamkę.

– Przypuszczam, że tak upozorowanej zbrodni jeszcze nie widziałaś.

– Masz na myśli, że genialnie? – zainteresowała się Sieracka, po czym wysunęła nogi w czerwonych szpilkach.

– Że tak głupio. Zapraszam do końskiego boksu.

* * *

Ze Stacjonaty Julia wróciła do domu taksówką. Reszta ekipy została na miejscu, technicy rozkładali sprzęt i czekali na pojawienie się patologa. Nie chciała dłużej w tym uczestniczyć. I nie mogła. Śledztwo należało do Górnego, a ona nie zamierzała kręcić się wśród jego ludzi, zwłaszcza na oczach Sierackiej, która i tak patrzyła na ich dwoje z podejrzliwością. Lepiej było się ulotnić.

Na oglądanie zawartości skrzynki umówili się na późny wieczór. Do tego czasu Julia chciała zająć się sobą. Na jutrzejsze szkolenie z uwodzenia powinna przynajmniej zadbać o paznokcie.

Postawiła na parapecie lakier i przysunęła do okna bujany fotel. Pociągnęła ociekającym na czerwono pędzelkiem po płytce paznokcia, kiedy odezwał się telefon. Włączyła głośnik i wróciła do robienia manikiuru.

– O co tym razem chodzi, Bodnar? – zapytała.

– Znów ją widziałam, wiesz kogo...

– Nie wiem i nie mam nastroju na zgadywanki.

– Żonę twojego byłego. Cały czas tu jest, nie wyjechała.

– Jej prawo.

– Przestań tam... prawo. Prawo do niego to ty masz.

Julia zamachała w powietrzu mokrymi palcami.

– Zmieniłaś front? Kilka dni temu mówiłaś coś o zamkniętym rozdziale.

– Taki zamknięty to on chyba nie jest. Nastąpił zwrot akcji.

– Nie mam na to czasu.

– To go znajdź. Powinnaś mieć świadomość, co się tu święci.

– Chyba nie rozumiesz. Nie interesuje mnie...

– Ma kogoś – przerwała jej w pół słowa. – Ta kobieta. Słyszałam jej rozmowę. Nie zwracała na mnie uwagi, kiedy ćwierkała do telefonu. Mówiła po angielsku, ale zrozumiałam wystarczająco dużo – dodała z nieskrywaną dumą. – Nadal nie chcesz wiedzieć?

– Nie. Nie mój cyrk i nie moje małpy.

– Cyrk to dopiero będzie. Kiedy Maciejewski dowie się, że jego ukochana nosi nie jego dziecko.

Pędzelek z lakierem zawisł w powietrzu.

– Odebrało ci rozum, Bodnar?

Koleżanka zaśmiała się gorzko.

– Z moim rozumem wszystko w porządku, zapewniam cię. Ze słuchem również. Ale jeśli „wiem, że nie możesz się doczekać, aż urodzę naszego syna” nic dla ciebie nie znaczy...

– Zupełnie nic. Mogła tak mówić chociażby do swojej zagranicznej przyjaciółki. „Naszego” znaczy jej i Artura. To wszystko? Koniec twoich rewelacji?

– Prawie. „Mam nadzieję, że weźmie z nas to, co najlepsze” też powiedziałaby do przyjaciółki? Nauka poszła do przodu, ale o ile mi wiadomo, nie do tego stopnia. A może rozmawiała po angielsku z Maciejewskim? Że niby są tacy nowocześni, międzynarodowi? Dorzucę jeszcze coś do kompletu, na wypadek gdyby wciąż ci było mało: „żałuję, że to nie ty będziesz przy mnie w tej ważnej chwili” I: „wiem, że na początku będzie ciężko, ale od tego, co się stało, nie ma już odwrotu.” Co tak zaniemówiłaś? Ja na twoim miejscu odkorkowałabym szampana. Jesteś tam?

– Jestem.

– Mam nadzieję, że coś z tym zrobisz.

Pędzelek przesunął się powoli po kolejnym paznokciu.

– Nie, Bodnar, nic z tym nie zrobię.

Na chwilę zapadła cisza.

– No tak, nie twój cyrk... Wiesz, co ci powiem? Że szkoda mi tego doktora. Żeby tak robić mu koło pióra. Życie bywa naprawdę podłe. To tyle ode mnie. Trzymaj się, Julia, i zastanów się jeszcze nad sprawą. Mogę się koło tej babki pokręcić i dowiedzieć czegoś więcej. Daj znać, jak się zdecydujesz. No, to w kontakcie.

Rozłączyła się.

Julia dokończyła malowanie, po czym zakręciła buteleczkę z lakierem. Złapała nadgarstkami swoją torbę i wysypała z niej zawartość, szukając paczki vogue'ów. Wyszła na balkon i błysnęła zapalniczką.

Michalina z tym odkorkowywaniem szampana mocno przesadziła. Może i większość kobiet w takiej sytuacji szukałaby już kieliszków, ale ona nie czuła satysfakcji. Pierwotna złość na to, że o ciąży Matyldy dowiedziała się w dość żalony sposób, minęła. Zastąpiło ją współczucie. Artur na takie upokorzenie nie zasługiwał, i w tym akurat Bodnar miała rację. Każdy, tylko nie on. Jeśli to, co powiedziała, okaże się prawdą, znów będzie cierpiał.

Tylko o tym myślała, jadąc trasą Mokotów–Śródmieście: czy i w jaki sposób powinien się dowiedzieć. I co ważne, od kogo. Bo przecież nie od niej. Nie umówią się na mieście, żeby między łykiem espresso a kęsem bajaderki powiedziała mu, że nie jest ojcem dziecka, na które czeka. Po pierwsze, nie dałaby rady patrzeć mu w oczy w takiej chwili, a po drugie, nie jej rolą jest rozwiązywanie małżeńskich problemów Maciejewskich. Lepiej będzie, jeśli pozwoli toczyć się sprawom ich własnym torem. Jej udział w tym bałaganie musi pozostać zerowy.

Wjechała w Kredytową i zaparkowała pod kamienicą Górnego. Dawno tu nie była, na wąskiej ulicy wciśniętej między zabytkowy budynek ze zdobnymi okuciami przy parapetach a trzypiętrowy blok z lat siedemdziesiątych. Ten nie był ani ładny, ani nawet czysty. Graffiti i zacieki po brudnych deszczach zrobiły z tynkiem swoje. Nie pomagały nawet kolorowe witryny biura PTTK, które zajmowało parter.

Pchnęła ciężkie drzwi prowadzące na klatkę schodową i wbiegła po stopniach na poddasze. Górny zdążył się już przebrać w dresy i krążył po mieszkaniu w poszukiwaniu odpowiedniego wiertła. Kasetka stała na kuchennym stole, a obok leżała wiertarka.

– Może ten się nada. – Wyjął ze skrzynki z narzędziami świder i spróbował dopasować go do zamka w skrzynce.

– Weź cieńszy, tym tylko poszarpiesz metal. Co tu tak ciemno, oszczędzasz na prądzie?

Mieszkanie tonęło w wieczornym mroku. Poza ledową listwą świecąca pod kuchennymi szafkami nie było włączone żadne inne światło.

Julia zapaliła górną lampę i usiadła na krześle obok stołu. Górny wcisnął przycisk w wiertarce i obrócił głowę w jej stronę.

– Chwila prawdy.

Zgrzyt metalu rozniósł się po mieszkaniu. Po chwili zapadka pękła, wydając z siebie ciche kliknięcie.

Górny odłożył wiertarkę i otworzył drzwiczki.

– Masz swojego Świętego Graala... Targaliśmy to dziadostwo na darmo.

Przekręcił kasetkę, by pokazać Julii zawartość.

– Goły metal. – Wsunęła rękę do środka i przesunęła nią po wnętrzu. –

Na górnej ścianie też pusto. Zaraz... tu coś jest. Zgrubienie nad drzwiczkami.

Szarpnęła za niewielki plastikowy przedmiot przyklejony do skrzynki zwykłą taśmą.

– Karta pamięci. – Obróciła kwadratową kostkę w palcach. – Nikon.

– Zapewne z jego aparatu fotograficznego. Coś mi jednak mówi, że nie ma tu zdjęć koni. Aż w taką obsesję nie uwierzę.

Julia spojrzała na prześwit w drzwiach prowadzących do sypialni. Nie musiała się wysilać, żeby zobaczyć, że na półkach z modelami okrętów zrobiło się jakby ciasniej.

– To co innego – zastrzegł Górny.

– Jasne. Nie mylmy obsesji z klasyczną szajbą. Ale masz rację, nie o konie chodziło Zabielskiemu. Miał dobre oko, jednak do mistrzów fotografii było mu daleko. Na zdjęciach Harfy nie zarobiłby tyle, ile zarabiają spece od zdjęć koni arabskich, więc aż tak cenne nie były, żeby miał je trzymać w sejfie.

– W takim razie chyba czas na wieczorne kino? Liczę na porządne trzęsienie ziemi.

Górny sięgnął po ładującego się na podłozie laptopa i postawił go obok kasetki. Julia wsunęła kartę pamięci do portu.

Zdjęć nie było wiele, zaledwie około dwudziestu. Wbrew temu, na co liczyli, przedstawiały naturę. Na monitorze zazieleniło się od wysokiej trawy i drzew majaczących w oddali. Widać było, że wszystkie ujęcia pochodzą z tego samego miejsca, jakby oko aparatu koncentrowało się na jednym obiekcie. Tylko perspektywa nieco się zmieniała: fotografie robione były raz bliżej, raz dalej celu, ale niewprawne oko mogłoby nawet nie zauważyć różnicy.

– O żaden szantaż również mu nie chodziło – stwierdził z rozczarowaniem Górny. – Myliliśmy się. To zwykłe zdjęcia. Zielsko, drzewa i kawałek asfaltu.

– Samochód i jacyś ludzie – powiedziała Julia, powiększając jedno z ujęć.

– Tak, dwoje. Stoją przy szosie. Tylko co z tego?

– Na razie nic. Ale tu, na następnym, jest ich troje. Widzisz? Trzy głowy. Jedna bardzo nisko, nad linią trawy.

Górny wolał zajrzeć do lodówki. Wyjął z niej zimne piwo i uderzeniem szyjki o stół oderwał kapsel. Julii podał szklanekę z gazowaną mineralną.

– Dziwne... – powiedziała, nie odrywając wzroku od laptopa.

Górny przełknął trzy duże łyki piwa.

– Co takiego?

– Na kolejnych zdjęciach znowu jest ich tylko dwoje.

– Bo ktoś wsiadł już do auta?

– Na żadnym zdjęciu nie widać otwartych drzwi.

– Wystarczyło, że Zabielski nie wcisnął akurat wtedy migawki. – Górny rozłożył ręce.

– Być może. Ale coś mi tu nie gra.

– Niepotrzebnie się wkręcasz. Zabielski okazał się dziwakiem, który robi zdjęcia nie tylko koniom, ale i przypadkowym ludziom. Typowy outsider i podglądacz. Nie miał swojego życia, więc kradł je innym. Zapewne nie na trzeźwo, bo to ryzykowne, tylko po solidnej dawce alkoholu. Teraz już wiesz, dlaczego w odmowie z sołectwa powołano się na jego niezrównoważenie psychiczne.

– A co, jeśli ci ludzie nie są tacy całkiem przypadkowi?

Zawisł nad Julią z butelką, niemal stawiając szkło na jej ramieniu. Odsunęła je od siebie, żeby nie wdychać oparów z piwa.

– Możesz zabrać te zdjęcia na Nowolipki i dać technicznym do powiększenia? Niech je dodatkowo wyostrzą, to może coś z nich wyniknie.

– Uczepiłaś się... – Górny wyjął kartę pamięci z laptopa i podrzucił ją w dłoń. – Dobra, zobaczę, co da się z tym zrobić. Dla świętego spokoju – dodał.

Julia wstała od stołu i podciągnęła żaluzje w oknie. Przekręciła kłamekę w oknie, licząc, że wpuści odrobinę świeżego powietrza. Kiedy poczuła smród spalonej benzyny, zamknęła je na powrót.

– Co się teraz dzieje z ciałem Zabielskiego? Rozumiem, że pójdzie pod nóż?

Mina Górnego mówiła co innego. Skwasił się jak po wypiciu nie piwa, ale octu.

– Jeszcze nie wiadomo. Sieracka ma wątpliwości.

– A jednak. Zdawało mi się, że pokazałam jej wyraźnie, że...

– Dla niej to podkowa. Ten ślad na ciele.

– Mhm, podkowa. Kto przyjechał zbadać ciało?

– A jak myślisz?

– Twój ulubieniec Rajtar?

– Pojawił się zaraz, gdy odjechałaś. Postawił diagnozę, że to jednak wypadek.

– I uwierzyła mu.

– Co mam ci powiedzieć, Julia? Chyba tylko tyle, że będę robił swoje, bez względu na punkt widzenia prokuratury. Zobaczymy, co dalej.

To była kolejna tego dnia wiadomość, której nie spodziewała się usłyszeć. Podeszła do okna i zapatrzyła się na zapadający na ulicach zmrok.

– Cała nadzieja w Lipskim, o ile będzie miał szansę obejrzeć ciało – usłyszała za plecami.

Górny objął ją w pasie i zakołysał na boki. Czowała, że zaraz usłyszy pytanie, czy jej ciało zostanie u niego na noc.

– Co z georadarami? – uprzedziła sytuację. – Mielicie wystartować z nimi jutro z rana.

Objęcie się poluzowało.

– Dodaj jeszcze, że powinienem się porządnie wyspać przed akcją.

– Powinieneś.

Obróciła się do niego przodem. Najwyraźniej zdążył się już przyzwyczaić do jej zawołanych wykrętów przed wspólną nocą, bo miał całkiem obojętny wyraz twarzy.

– Może powiedz wprost, że coś jest nie tak. – Przyjrzał jej się uważnie. –

Coś nam się wywaliło. Szkoda, że nie wiem co ani kiedy. A ty oczywiście mi tego nie powiesz, bo i po co?

– Nic się nie wywaliło. Jak się wywali, będziesz pierwszy, który się o tym dowie.

Pocałowała go w usta, przylepiając się do jego warg na kilka długich sekund.

– Potrzebuję wreszcie odpocząć, to wszystko – wyjaśniła łagodnym głosem. – To co z tym badaniem terenu?

– Zaczynamy z Cichocką o ósmej.

Kiwnęła głową.

– Obyście niczego nie znaleźli.

Zaczęła zbierać się do wyjścia. Dopiła swoją wodę, po czym chwyciła za torbę i stanęła w drzwiach.

– Odezwę się jutro wieczorem. Dobranoc, Górny.

Nie zapytał, co zamierza robić przez cały dzień. I tak by mu nie powiedziała.

* * *

Kostek Knott szarpnął kołami swojego wózka inwalidzkiego, by wjechać na rampę, ale nagle się zatrzymał. Na drzwiach małego lombardu, będącego własnością jego matki, zobaczył kartkę z napisem „Inwentaryzacja”. Wycofał wózek i już miał wykręcić w ulicę prowadzącą do domu, kiedy drzwi się otworzyły.

Matka miała podejrzenie czerwone oczy i spłoszony wyraz twarzy. Nie po raz pierwszy. Kiedyś powiedziała mu, że urodziła się w przeklętej godzinie albo że ktoś rzucił na nią zły urok. Coś w ten deseń, ale nie pamiętał, o co jej konkretnie chodziło. Teraz też musiała się czymś przejąć lub czegoś wystraszyć.

– Co jest, mama? Diabła zobaczyłaś? – zawołał, starając się, by jego głos zabrzmiał żartobliwie.

Zwykle na takie słowa by się przeżegnała, ale nawet nie podniosła ręki do czoła. Rozejrzała się wokół budynku, po czym zeszła na dół i pchnęła jego wózek ku rampie.

– Nie szarp się z tym, przecież sam mogę. – Kostek napiął mięśnie karku i ponownie zakręcił kołami.

Przytrzymała drzwi, by swobodnie wjechał do środka.

Lubił to miejsce, pełne staroci, których ludzie pozbywali się z domów, licząc, że ktoś skusi się na rozklekotane radio, pożółkłą suknię ślubną czy serwis z lipnej porcelany. Pachniało płynem dezynfekcyjnym i drewnem przeżartym przez korniki. Dla matki był to drugi dom. Biegała po nim ze ścierką i pucowała nadkruszone kryształy oraz mosiężne świeczniki. Latem

szyla lniane woreczki, do których wkładała lawendę, żeby mole nie przeżarły jedyne go wyliniałego futra, wiszącego tu od bodajże czterech lat.

– Stało się coś? – Kostek rozejrzał się po kątach. Zatrzymał wzrok na półce, gdzie zwykle stały dwie szkatułki ze srebrną biżuterią. Jednej z nich nie było.

Matka kiwnęła głową.

– Zginęło kilka rzeczy.

– Włamanie?

– Tylne okno – wyjaśniła. – Zbite. Dwa dni nie upilnowałam. Może gdybym przyszła tu wcześniej... Dwa dni wystarczyły. Robię spis tego, co zabrali.

Kostek zakręcił kołami i podjechał do drzwi prowadzących na zaplecze. Pod niewielkim oknem, które tyle razy chcieli okratować, ale zawsze brakowało na to pieniędzy, leżały kawałki szkła.

– Na co czekasz? Trzeba to zgłosić na policję.

Wyjął z przedniej kieszeni spodni telefon, ale zaraz mu go wyrwała.

– Nie, synu. Nie chcę, żeby to się rozniosło po wsi. Kiedy ludzie się dowiedzą, że komis nie jest bezpieczny, przestaną przynosić mi swoje rzeczy. Wtedy będę musiała zamknąć interes na dobre.

Widział, jak pod szarą sukienką, jedyną, jaka nadawała się do tego, by matka mogła stać za ladą bez poczucia wstydu z powodu swojego skromnego wyglądu, drżą jej ramiona. Lombard był jej miejscem na ziemi, przynosił zysk liczony w groszach, ale tylko tu czuła się spełniona.

– Co zamierzasz? – zapytał, choć wiedział, co mu odpowie.

– Oddam ludziom, co ich. Ze swoich albo się zadłużę. Muszę tylko sprawdzić, co zginęło. Pomożesz mi, synku?

Kostek miał na końcu języka, że przy zdolności kredytowej matki o pożyczce w banku można jedynie pomarzyć, a swoich pieniędzy ma tyle, że wystarczy na miesięczny bilet do Warszawy. Mimo że balansowała na skraju bankructwa, traktowała to miejsce, jakby świat poza nim nie istniał. Nie mógł jej odmówić. W końcu każdy człowiek ma swoją prywatną świątynię. Jego świątynią był kiedyś sport. W chwili, gdy zdarzył się wypadek, runęła bez szans na odbudowę. Nie chciał tego samego dla matki, więc tylko pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Od którego kąta zaczynamy? – zapytał, zacierając ochoczo ręce.

Wreszcie się rozpogodziła. Chwyciła za długopis i segregator, który służył jej za rejestr, po czym podeszła do regału ze starymi książkami i komik-

sami. Nie podejrzewała, by ktoś połąsił się na coś tak bezwartościowego jak książki, ale wolała sprawdzić wszystkie tytuły z prowadzonym skrupulatnie spisem. Kiedy ostatnia pozycja na półce pokryła się ze swoim odpowiednikiem w wykazie rzeczy zastawionych, odetchnęła z ulgą.

– Teraz weźmiemy się do tego. – Wycelowwała końcówką długopisu w kącik ze sprzętem AGD.

Kostek podjechał pod wskazane przez matkę miejsce. Kiedy blokował koła wózka, usłyszeli pukanie do głównych drzwi. Pani Knott odłożyła na stół segregator ze spisem towaru i poszła przekręcić zamek.

W drzwiach stał Muniek Bugaj. Na widok kobiety zdjął z nosa swoje przeciwsłoneczne ray-bany i skinął na przywitanie głową.

– Ja do Kostka – powiedział, lustrując przez przymknięte drzwi wnętrze lombardu. – Jest?

Otworzyła je szerzej.

– A gdzie miałyby być? Siedzi albo w domu, albo tu. Dalej na tych kółkach przecież nie zajedzie. Wejdz.

Od razu spostrzegł, że coś jest nie tak, zwłaszcza że pod jego stopami zachrząściło szkło. Musiało się przyczepić do podeszwy jej buta, kiedy weszła na zapleczu w rozbitą szybę.

– Włamanie – uprzedził jego pytanie Kostek. – Jakiś pajac pochciwił się na zastawione bambetle.

Muniek zareagował prawidłowo: powiedział, że jest mu przykro, i zapytał, czy może w czymś pomóc.

– Możesz nie przeszkadzać – odparł Kostek. – Mów, po co przyszedłeś, i zwijaj się stąd. Mamy robotę.

Bugaj zbliżył się do wózka i położył na kolanach Kostka zawiniątko w srebrnej spożywczej folii. Spojrzał przy tym przezornie przez ramię, by mieć pewność, że Knottowa nie patrzy mu na ręce. Zajęta była jednak przeglądaniem segregatora.

– Twoja dola, następna będzie za trzy dni. – Wskazał brodą na pakunek wielkości kciuka.

Kostek wcisnął szybkim ruchem zawiniątko za cholewkę adidasa.

– Rozum ci odjęło?! Zapomniałeś, że masz wrzucać towar do skrzynki na listy?

– Tym razem wolałem się spotkać osobiście.

– Kretyn. Masz się trzymać umowy.

– Nie zapytasz dlaczego?

Muniek poruszył ramieniem, jakby coś go uwierało albo strzykało w kościach.

– Co jest? – zainteresował się Kostek. – Ojciec znowu cię pogłaskał?

Bugaj pokręcił przecząco głową.

– Sam się uderzyłem, w psiarni, o futrynę. Nic mi nie będzie. Mamy do pogadania, stary. O tym, co się stało – dodał, ścisząc głos.

Kostek spojrział na niego wściekły. Ile jeszcze razy będą to wałkować?

– Więc mów. – Oparł łokcie o podpórki wózka. – No dalej, słucham.

– Nie tutaj.

Nie zaprotestował, kiedy Muniek chwycił za wózek, by wyprowadzić go na zewnątrz. Zjechał nim po rampie i wykręcił w stronę bocznej ściany budynku. Stanęli w cieniu dzikiej śliwy, przy trzech głazach, które przytoczyli tu z pola, gdy mieli po dwanaście lat. Od tamtej pory to była ich baza, miejsce codziennych zbiórek. Siadali na nich i wyjadali co bardziej dojrzałe mirabelki, plując pestkami, kto dalej.

– Chcę zawieszenia broni – powiedział Muniek, opierając podeszwę buta o kamień. – To wszystko staje mi już kością w gardle. Te skrzynki na listy, udawanie, że się nie znamy... Kurwa, co za syf, mam już dosyć tej błaze-nady.

– To fatalnie się składa, bo mnie ona odpowiada. Im rzadziej cię widzę, tym lepiej sypiam.

– Ja prawie wcale.

Kostek uśmiechnął się drwiąco i potarł bliznę biegnącą przez środek twarzy.

– Biedactwo. Może się zamienimy? Co, Muniek, wolałbyś wskoczyć na moje miejsce?

– Nie pajacuj. I nie wypominaj, bo tego też mam po czubek głowy. Chyba coś sobie ustaliliśmy wtedy, w szpitalu, kiedy składali cię do kupy. Żadnych pretensji.

– Mało z tego pamiętam, byłem na prochach. Ograniczona świadomość, niejasny ogląd sytuacji...

– Nie wciskaj mi kitu. Byłeś już zupełnie przytomny. Zawarliśmy pakt i to miało nas trzymać w kupie. Dzięki niemu mieliśmy to wszystko przetrwać. Ale ty się wyłamałeś.

– Nie, Muniek. Zmądrzałem.

– Przy okazji próbujesz skaptować Alka. Radzę ci, odpuść. Psyche mu siada przez to, że musi stać okrakiem między nami. Zaczyna poważnie świ-

rować.

– A mnie się wydaje, że wreszcie zaczyna przeglądać na oczy. Kiedy je w pełni otworzy, zrozumie, jaka z ciebie łajza.

Muniek usiadł na głazie i przekręcił wózek z Kostkiem tak, by mieć jego twarz naprzeciw swojej.

– Za kilka nowych syntezatorów, jakie wjadą w prezencie ode mnie do jego nowej tancbudy, Koziej szybko zmieni front. Wiesz, że nie będę miał skrupułów. Więc przemyśl, czy naprawdę chcesz otwartej wojny. Zastanów się dobrze, bo wtedy popłyniemy razem, we trzech. Każdy z nas trzyma drugiego za gardło. Jeśli jeden zacznie ścisnąć za bardzo, udusi się kolejny. To mój ostatni raz, kiedy przychodzę do ciebie z białą flagą i proszę, żebyśmy trzymali się solidarnie. Osobno nie przetrwamy.

Wyglądał nawet zabawnie z tą zacieklą miną. Jego jasnoszare oczy nagle zrobiły się granatowe. Kostek zawsze uważał to za wybryk natury, ale dziewczynom to się nawet podobało. Jemu nie.

– Pierdol się, Muniek. Obaj z Alkiem się pierdolcie.

Zawrócił kołami i odjechał w stronę rampy. Wziął zamach, żeby wtopczyć się na podjazd. Gdy był już na górze, poczuł, jak ręce Muńka łapią za uchwyty wózka.

– W takim razie to koniec naszej wspólnej przygody, przyjacielu – usłyszał nad uchem. – Bujaj się na tych kółkach sam, zobaczymy, jak daleko zajedziesz. Mnie już nie ma, rozumiesz? Odpadam. Koniec z dostawą towaru. Koniec ze wszystkimi przesyłkami. To źródło właśnie wyschło. Od tej chwili ty nie znasz mnie, a ja ciebie. A jeżeli zechce ci się kłapać dziobem, to bądź pewny, że za jedno twoje słowo przeciwko mnie ja powiem dziesięć przeciwko tobie.

Muniek szarpnął wózką i koła potoczyły się do tyłu. Niebo i bryła budynku zawirowały. Kostek mógł tylko schować w dłoniach głowę, zanim uderzył ciałem o ziemię.

ROZDZIAŁ IX

Masz na imię Reni? – Pękata kobieta w dżinsowym wdzianku, składającym się z obcisłych spodni i opiętej na piersiach koszuli, nachyliła się nad wąskim łóżkiem. – Reni, tak?

Dziewczyna potarła zaspane oczy. Poranne słońce padało prosto na jej twarz. Rozejrzała się po dwudziestometrowym pokoju i zatrzymała wzrok na tapczanie zasłanym poszarzałą kołdrą. Nie spędziła tej nocy sama, obok niej spała jeszcze jedna lokatorka. Leżała obrócona twarzą do ściany, na poduszce widać było jej ciemne włosy.

– Tak – odpowiedziała. – Kto pyta?

– Dobry anioł. – Kobieta błysnęła zębami. Jeden z nich pokryty był połyskującym złotem, ani chybi prawdziwym. – Mów mi Jania – dodała szeptem, nie chcąc zbudzić śpiącej tuż obok brunetki. – Nie pamiętasz mnie?

Reni podciągnęła się na łokciach i osłoniła oczy przed słońcem. Odchrząknęła flegmę, która zebrała jej się w ustach. Mało pamiętała z poprzedniego wieczoru. Po tym jak w dwóch domach pomocy odmówiono jej noclegu, powędrowała do ostatniego, jaki miała na swojej krótkiej liście. Sukurs, bo tak się nazywał, był na tyle obskurny, że dzwoniąc do drzwi, zastanawiała się, czy aby nie lepiej spędzić tę noc na jakiejś przypadkowej klatce schodowej, opierając głowę o kaloryfer. Opinie, jakie przeczytała w sieci, też nie były zachęcające. Marne jedzenie i niezdezynfekowana pościel. Jakiś chłopak wspomniał nawet o pluskwach. Przytułek ostatniej szansy, tak o nim pisali. Albo ostatniego wyboru. Zawsze to jednak bezpieczniej niż pod czyimiś drzwiami, a pluskwy jakoś zniesie. Wcisnęła więc dzwonek i czekała. Otworzyła jej kobieta po sześćdziesiątce i bez zbędnych pytań przyprowadziła do tego pokoju. Dała do wypicia jogurt, bo

kuchnia już nie pracowała. Wskazała posłane łóżko, mówiąc: „Jutro o wszystkim porozmawiamy”.

– Nie wiem – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Mało co pamiętam.

– Ledwie trzymałaś się na nogach. Padłaś na łóżko i od razu usnęłaś. Musiałam ci ściągać buty z nóg.

– Dziękuję. Za jogurt też. Wczoraj chyba nie zdążyłam podziękować, przepraszam. Powinnam wypisać podanie o przyjęcie? O to chodzi?

Kobieta przysiadła na materacu.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Mam się stąd wynieść?

Jania pokręciła przecząco głową.

– Ktoś do ciebie przyszedł. Czeka w sekretariacie.

Jeśli prawdą jest, że człowiek może oprzytomnieć w jednej sekundzie na wieść, której się nie spodziewa, to tak się właśnie stało.

– Ojciec? – spytała spłoszona.

Widok rozszerzonych oczu Reni wymusił na dobrym aniele naturalny odruch. Kobieta pogładziła jej plecy tak, jakby chciała rozsmarować na nich balsam łagodzący.

– Spokojnie, dziewczyno. Matka cię szuka. Obeszła wszystkie przytuliska i w końcu trafiła pod ten adres. Opisała cię na tyle dokładnie, że nie miałam wątpliwości, że chodzi o ciebie. Zdjęcie też pokazała. Ale jeśli nie chcesz...

– Nie chcę – odpowiedziała natychmiast. – Niech jej pani powie, że się pomyliła. Że to nie ja. Nie ma mnie tu i nigdy nie było. – Reni schyliła się, by zebrać z podłogi trampki. – Macie pomagać, prawda? Więc proszę, żeby ją pani odesłała. Niech szuka dalej.

– Zatem: pomyłka.

– Co poradzić. – Reni rozłożyła ręce w geście bezradności.

Kobieta stęknęła, podnosząc się z łóżka. Do podobnych pomyłek dochodziło tu nad wyraz często. Dziewczyny ukrywały się przed ojcami i mężami. Czasami przed braćmi. Nie zdarzyło się jednak, by miały się chować przed matkami. Wyświechtaną formułkę – „To nieporozumienie, mamy tu taką jedną podobną, ale to nie ona, przykro mi” – miała wykutą na blachę. Opracowała nawet specjalną choreografię, by za każdym razem wypaść wiarygodnie.

– Na końcu korytarza jest prysznic – powiedziała Jania, stając w drzwiach. – Pora, żebyś się tu zadomowiła. Nie mamy tu wielu wygod,

ale ciepłej wody i jedzenia na pewno ci u nas nie zabraknie.

Reni podziękowała jej uśmiechem.

– Po śniadaniu opowiesz mi o sobie – dodała kobieta. – Tyle, ile będziesz chciała. A jeśli wolisz milczeć, to też dobrze. Nikt cię tu za język nie będzie ciągnął.

Dżinsowy anioł zniknął w korytarzu.

Poczuła spokój. W obcych ścianach i z obcą dziewczyną śpiącą tuż obok. Kim była i jak się tu znalazła? Też związała od swojej ukochanej rodziny? Bez powodu by tu przecież nie trafiła.

Musi się wykąpać, zmyć z siebie pot po całodobowej tułaczce. Poszewkę z poduszki jeszcze upierze, bo już wczoraj czuła, że zaciąga nieświeżym zapachem. Przetrzyma wszystko i zorganizuje sobie czas do momentu wylotu do Bangkoku. To w końcu tylko kilka dni. Teraz liczy się tylko ona i czekająca ją operacja.

* * *

Ściskając w rękę przepustkę z logo Afrodyty, Julia wjechała na jedenaste piętro wieżowca. Już po wyjściu z windy zobaczyła stojące grupkami młode kobiety, których podekscytowanie było wyczuwalne w takim samym stopniu co zaduch wywołany unoszącą się nad głowami chmurą perfum. Babski ferment i nagromadzenie estrogenu niemal rozsadały hol.

Podeszła do stołu, za którym siedziały dwie kobiety, na oko dwudziesto-pięcioletnie, z różowymi plakietkami przypiętymi do czarnych żakietów. Po odhaczeniu nazwiska na liście kursantek wręczyły Julii cienki segregator z planem dnia i notesem, a także zapakowaną w folię koszulkę promującą firmę. Miała na końcu języka pytanie, czy naprawdę myślą, że ktoś będzie się afiszował na ulicy z logo agencji na piersiach, ale zamiast tego ładnie podziękowała za powitalny upominek.

Oparła się plecami o ścianę i zaczęła lustrować kobiety. Wyglądały, jakby się zmówiły. Kuse sukienki, dziesięciocentymetrowe obcasy i wygładzone prostownicą włosy – jasne, ciemne, z balejażem i bez. Odrzucały je, odsłaniając powabnie szyje. Nie wszystkie były zabójczymi pięknosciami, ale wszystkie były szczupłe i bardzo młode, jakby dopiero co skończyły klasę maturalną. Poczuła się jak zabytek. Nie pasowała tu, co kilka dziewcząt dość szybko dało jej do zrozumienia, zatrzymując na dłużej spojrzenie na jej twarzy i robiąc dwuznaczne miny. Dobrze, że w ostatniej chwili

zamieniła kuse skajowe spodenki na zwykłe džinsy. Wolą wyglądać jak dziwoląg niż po prostu tanio.

Równo o dziesiątej drzwi do głównej sali otworzyły się i stanęła w nich wysoka szatynka w kloszowanej czerwonej sukience.

– Zapraszam panie do środka! – zawołała, klaszcząc w dłonie. – Zaczynamy.

Julia usiadła w połowie sali, pod oknem. Stąd miała najlepszy widok na dziewczyny i prowadzącą. Położyła na kolanach notes i zafoliowany T-shirt.

Prowadząca przedstawiła się jako Fabiola i usłyszała na powitanie oklaski.

– Przejdźmy do rzeczy. – Szybko uciszyła swoje audytorium gestem dłoni. – Na początek zadam wam pytanie. Ile z was, dziewczyny, studiuje?

Podniosła się ponad połowa rąk.

– Dużo, brawo. – Pokiwała z uznaniem głową. – I pewnie niejedna ma do spłacenia kredyt studencki albo musi opłacać chesne, prawda? – Znów szczere kiwanie. – Komu jak komu, ale wam z pewnością przydałoby się finansowe wsparcie, mam rację?

Julia miała wrażenie, że szyja Fabioli niedługo zazgrzyta z przepracowania.

– Dlatego znalazłyście się w tym miejscu, bym mogła wam pomóc rozwiązać wasze kłopoty i... – Tu nastąpiła przerwa na emocjonalne werble. – Odmienić wasz los. Chcecie tego, prawda?

Oklaski, dużo mocniejsze. Ucichły, gdy Fabiola sięgnęła po pilota i włączyła ekran telewizora.

– To na zachętę, obejrzyjcie uważnie.

Film reklamujący agencję trwał trzy minuty. Przez ten czas grupa kobiet z kilku krajów z uśmiechami na podekscytowanych twarzach zdawała relacje z tego, jak bardzo zmieniło się ich życie, odkąd poznały swojego *sugar daddy*. Oddały długie, objechały dookoła świat i codziennie zasypiały w piżamie od Chanel. Ich poranki skropione były perfumami Diora, a w szafach piętrzyły się torebki z logo LV. Szczęście zdawało się nie mieć granic.

Po projekcji zapanowała cisza.

– Flirt. Pożądanie. Luksus. Hojny dobroczyńca. W końcu stabilizacja u boku nowego, prawdziwego przyjaciela. Czyż nie marzy o tym każda z nas? – Fabiola rozłożyła ręce jak ksiądz przed ołtarzem.

Julia rozejrzała się po twarzach dziewczyn. Zaczynały chwytać przynętę, jedne bardziej, inne wciąż były jeszcze trochę nieufne.

– Mężczyźni zawsze chcą piękna, a wy takie jesteście. Piękne, inteligentne i pociągające. To wasz towar, za który wielu będzie chciało was wynagrodzić.

– Mamy z nimi iść do łóżka za grubą forszę, chyba o to chodzi? – odezwała się któraś spod ściany. Jako jedyna miała krótkie włosy i spódnicę sięgającą kolan. Zbyt skromną jak na kogoś aspirującego do roli *escort girl*, i w dodatku w nieciekawym, zielonkawym kolorze. Makijaż też miała oszczędny. – Może więc od razu nazwijmy sprawę po imieniu. Przecież chodzi o płatny seks.

Fabiola okrasiała twarz tajemniczym uśmiechem.

– Nazwijmy to romanssem. Mężczyźni z wyższych sfer to dżentelmeni, nie lubią dosłowności.

– Chyba ich penisy nie różnią się niczym od penisów hydraulików? – zripostowała kobieta spod ściany.

Fabiola puściła jej uwagę mimo uszu. Przylepiła za to do twarzy przesłodzony uśmiech.

– Wprowadzę was w świat bogactwa. Skojarzę z najlepszymi partiami, ale to już od was będzie zależało, jak potoczą się wasze losy. Te z was, które marzą o własnym biznesie, będą miały szansę na znalezienie inwestora. Przyda się wam zastrzyk gotówki, a tej możecie być pewne. To co, zaczynamy?

Dziewczyny zaszeleściły notesami.

– Zasada numer jeden: pod żadnym pozorem nie poruszajcie kwestii finansowych na pierwszej randce. To może mężczyznę zrazić, a tego nie chcecie. Najwcześniej na drugiej. I delikatnie, bez naciskania.

Naprawdę notowały. Julia patrzyła na ich skupione twarze, jakby należały do pilnych uczennic siedzących na wykładzie z ekonomii.

– Zasada kolejna: spotkanie zawsze przebiega na warunkach mężczyzny. On dysponuje waszym czasem i to on ma być zadowolony z tego, jak go z wami spędzi.

– A jeśli nie? – rzuciła dziewczyna gdzieś z początku sali.

– Wtedy odeśle was z kwitkiem. Nie chcecie tego, prawda? Więc bądźcie miłe. Uśmiechnięte i zachwycone. Zawsze. To wasza praca, a w pracy zostawia się swoją osobowość za drzwiami.

– To chyba żart... – Kobieta w zielonkawej spódnicy nie ustępowała. – Jesteśmy ludźmi, nie zabawkami.

Fabiola rzuciła z impetem pilota na stojące obok niej biurko.

– Wasz zachwyty – powtórzyła z naciskiem. – To ma czuć sponsor za każdym razem, kiedy jesteście obok. Tu nie ma żadnych kompromisów. A po trzecim i najważniejszym... – Twarz mentorki nagle złagodniała. – Pozwólcie im was rozpieszczać.

– Najpierw my ich dopieszczamy, potem oni nas...

– Widzę, że nie każda z pań dorosła do tej pracy. Zawsze można wrócić do fabryki i stanąć przy taśmie.

– Lepsze to niż puszczanie się za pieniądze.

– Seks to tylko dodatek do waszego towarzystwa. Tylko od was zależy, co zaproponujecie mężczyźnie.

– Może wystarczy trzymać się za rączki, żeby dostać jego złotą kartę na zakupy?

Fabiola miała dość. Zarządziła krótką przerwę. Kobiety wysypały się z sali i ponownie zgrupowały w holu.

Julia nalała sobie wody do szklanki i podeszła do dziewczyny w zielonej spódnicy. Stała przy wysokim bankietowym stole z naciągniętym na blat obrusem.

– Ostro pogrywasz jak na aspirującą flamię. Jak ci na imię? – zagadnęła, mając wreszcie okazję poznać szkoleniową sabotażystkę.

– Magdalena. Jak słynna grzesznica.

Potrząsnęła podaną przez Julię ręką.

– Nie była grzesznicą. Ty chyba też nie zamierzasz.

– Wkurwia mnie takie gadanie, słyszałaś ten bełkot. Chcą zrobić z tych dziewczyn bezmózgie lalki. Może jeszcze rozetną im usta od ucha do ucha, żeby miały całodobowego banana na twarzy.

– Ewidentnie próbujesz rozwalić to zgromadzenie przyszłych milionerek.

Magdalena oparła się łokciami o blat stolika.

– Może próbuję rozwalić ten cały chory system.

– Nie dasz rady. Popatrz na nie. – Julia obróciła się w stronę rozgadanych kobiet. – Nie przyszły tu po to, by uczyć się gry w szachy. I nie są naiwne, wiedzą, co robią.

Magdalena skrzywiła się i pokręciła głową.

– Uwierz mi, że nie wiedzą. Bajka o księciu na białym koniu skończy się dla nich szybciej, niż im się wydaje. Będą cierpieć.

– Tak jak ty cierpiałas? – Julia przyjrzała się jej oczom. – Byłaś po drugiej stronie, prawda? I wiesz, co je czeka.

Magdalena na chwilę odeszła i wróciła z parującą czarną kawą. Postawiła filiżankę na stole, wsypała cukier z saszetki, a potem długo mieszała go plastikowym patyczkiem.

– Najpierw zachłysz się lotem do Paryża czy Londynu, kupią sobie szminkę za pięćdziesiąt euro i kozaki od Rossiego...

– Gino?

Zaśmiała się. Prawdziwie i rozbijająco.

– Dobra jesteś... Od razu widać, że z innego świata. Od Gianvita Rossiego. Dwa tysiące za parę. Dolarów, dla jasności. Jak już się obkupią w te buty i kiecki, będą musiały się bardzo starać, żeby się odwdziaczyć. I wtedy już nie będzie miło. Penis biznesmena jest taki sam...

– Jak hydraulika. Słyszałam, co mówiłaś.

– No właśnie, tylko że fanaberie są dużo gorsze, bezlitosne. To okrutny świat. A te młode... Co one o tym wiedzą? Śnią o luksusie, a skończą jako seksualne niewolnice. Nawet nie będą miały jak i dokąd uciec.

– Ty uciekłaś?

Magdalena upiła łyk kawy.

– Nie chcę o tym mówić. Ale mam zamiar zrobić wszystko, by uchronić przed tym syfem choćby jedną z nich.

– Na razie żadna nie zrezygnowała. Czekają na ciąg dalszy.

– Bo ta burdelmama robi im wodę z mózgow. Gładko jej idzie, a one są napalone na sukces. Ten filmik z zachwyconymi beneficjentkami podziałał na nie jak opium na morfinistę.

Przerwa się kończyła. Fabiola zagoniła pozostałe kursantki do sali i zamknęła za nimi drzwi. Chwilę się zawahała, zanim podeszła do stolika, przy którym stały Julia z Magdaleną.

– Zwrócimy ci koszty szkolenia – powiedziała do Magdaleny. – Nie musisz tam wracać. Co więcej, nie powinnaś. Wydaje ci się, że cię nie poznałam? Już tu byłaś, tylko wtedy mniej jazgotałaś. Nie chcę cię widzieć na moim seminarium nigdy więcej.

Kobieta skrzyżowała ręce na piersiach.

– Zostałam na zawsze wykluczona z elitarnej hodowli prostytutek? Chyba tego nie przeżyję.

– Jak widać, wciąż nie rozumiesz idei tych spotkań. Prestiż agencji...

Magdalena roześmiała jej się w twarz. Na tyle głośno, że dwie kobiety siedzące za powitalnym biurkiem zareagowały. Jedna z nich złapała za telefon, a druga pobiegła w stronę windy. Na wszelki wypadek, gdyby sygnał przekazany ochronie budynku nie zadziałał. Nie musiały długo czekać. Facet w za dużym garniturze i miękkich butach położył dziewczynie rękę na plecach, by popchnąć ją w stronę windy.

– A ciebie zapraszam na drugą część. – Fabiola wykonała zachęcający gest w stronę Julii. – Będzie o akceptowaniu odmierności.

– A konkretnie?

Fabiola przewróciła oczami.

– Nie każdy sponsor wydaje się nam na początku piękny. Trzeba umieć się przekonać do...

– Szpetnego, ale bogatego? Trudny temat.

– Wystarczy zamknąć oczy i uruchomić wyobraźnię, to pomaga. Zaraz... dokąd idziesz? Chcesz przegapić najważniejsze?

Julia wcisnęła guzik przy windzie, a potem zjechała na dół i wybiegła z przestronnego holu prosto na ulicę. Rozejrzała się po chodniku w nadziei, że jeszcze zdąży zobaczyć w tłumie zieloną spódnicę Magdaleny. Nie mogła przecież odejść daleko.

Mignęła jej za wiatą przystanku tramwajowego. Julia przebiegła przez pasy i złapała ją w ostatniej chwili, nim ta zdążyła wskoczyć do wagonu.

– To poprzednie szkolenie... – zagaiła. – Kiedy było?

Magdalena spojrzała na nią zaskoczona. Zdjęła stopę z tramwajowego schodka i stanęła na chodniku.

– Kiedy było? – zapytała raz jeszcze Julia.

– W maju. Po to mnie zatrzymałaś?

Maj. Piękny miesiąc, o ile właśnie wtedy nie znika młoda dziewczyna, która liczy na szybki i łatwy zarobek.

Julia wyjęła z torby zdjęcie Sary i pokazała Magdalenie.

– Przyjrzyj się dobrze. Poznajesz ją? Była tam wtedy?

Przez twarz kobiety przebiegł łagodny, ledwie zauważalny uśmiech. Po chwili wyparł go grymas. Na tyle frapujący, że Julia złapała ją za rękaw bluzki i odciągnęła z przystanku wprost na przejście dla pieszych.

– Mam nadzieję, że się nigdzie nie śpieszysz – powiedziała, rozglądając się na boki, żeby nie wpadły pod pędzące auta. – I że jesteś głodna.

* * *

Muniek Bugaj długo nie wstawał z łóżka. Kiedy ostatni raz spoglądał na zegarek, była za dziesięć jedenasta. Teraz pewnie dochodziło już południe. Spojrzał od niechcienia na ekran telefonu. Jakby zgadł.

Wygrzebał się z pościeli, ale nie zamierzał jeszcze się ubierać. Wciągnął jedynie skarpety, po czym znów zawinął się w kołdrę i padł na poduszkę.

Dobiegły do niego dźwięki rozmowy z dołu. To, że matka była w domu, nie zdziwiło go ani trochę. Ale ojciec? Głos z pewnością należał do niego. Był tam ktoś jeszcze. Obcy mężczyzna.

Zawinięty w piernat stoczył się z materaca i stanął przy schodach.

– Nadal nie rozumiem, co ja mam z tym wspólnego – usłyszał podenerwowany głos ojca. – Ledwie go znałem, to odludek był. Prawda, kochanie?

Matka miała zapewne przytaknąć, ale najwyraźniej wolała milczeć.

– Teren Stacjonaty należy do gminy, więc to chyba oczywiste, że musimy zacząć od rozmowy z panem – odezwał się obcy mężczyzna. – Przede wszystkim proszę zachować spokój. To nie jest żadne oficjalne przesłuchanie, na razie badamy okoliczności tego zajścia.

Zaszurało krzesło. Ojciec zawsze tak je przesuwiał, kiedy był zdenerwowany. Jednym silnym pociągnięciem rysował podłogę, co zawsze wkurzało matkę.

– Potworna śmierć – westchnęła, tym razem zupełnie bagatelizując ryse na linoleum. – Zdawałoby się, że takie przypadki to tylko w filmach, a tu proszę. Ja też nie znałam go zbyt dobrze, ale szkoda człowieka. Jak to nigdy nie wiadomo, co komu pisane. Kiedy go znaleźliście?

Gwizd czajnika przeciął powietrze. Zaraz potem Muniek poczuł zapach parzonej kawy. Zacisnął kołdrę na piersiach i zszedł niżej, by przez prześwit w przedpokoju zobaczyć przybysza.

– Wczoraj przed południem. Ciało odkryła pomoc stajenna.

Młody mężczyzna z postawioną rudą grzywką i policyjną kaburą przy pasie obrócił się nagle w stronę schodów.

Muniek musiał się pokazać. Podeszedł do niego i wyciągnął spod kołdry rękę do powitania.

– To nasz syn. – Bugajowa wyręczyła chłopaka. – Złapał coś, pewnie wirusa. Od dwóch dni nie wychodzi z domu.

Położyła na stole talerz z pokrojonym keksem.

– A powinien – burknął sołtys. – Do porządnej roboty powinien się wziąć, zamiast na łbie nam siedzieć.

– Daj dzieciakowi spokój...

– Dwadzieścia lat na karku i u matki się żywi.

– Przestań, powiedziałam. Pan nie musi tego wysłuchiwać. To co z tym Zabielskim, panie...

– Szymański.

– Tak, oczywiście. Mówi pan, że od końskiego kopyta? A tak je kochał, jakby były ludźmi. Patrzy pan, jak to zwierzęciu nie można ufać.

Antoni Bugaj zacisnął zęby na kawałku keksa. Przemęł go i przełknął tak głośno, jakby przez gardło przechodziła mu piłeczka pingpongowa.

– Możemy przejść do sedna? – zapytał. – Nie skończyłem jeszcze pracy, muszę zaraz wracać za biurko.

W rękach Szymańskiego zaszeleściły zmiętolone kartki papieru. Wniośki wysyłane przez Zabielskiego do sołectwa wylądowały na stole.

– Znaleźliśmy je w jego biurze. Na jednym jest ewidentna groźba. Skierowana do pana. – Wskazał palcem na jedno z pism.

Bugaj przebiegł wzrokiem po literach, po czym odsunął od siebie kartkę.

– To był nieszkodliwy wariat.

– Żądał pieniędzy.

– Nie on pierwszy. Przywykłem już do zastraszania. Jak się ma władzę, ma się i wrogów.

– Zabielski był pana wrogiem?

Bugajowa zapatrzyła się tępo w otwarte kuchenne okno.

– My nie mamy wrogów – odpowiedziała za męża. – Może nie wszyscy są zadowoleni z tego, jak funkcjonuje wieś, ale dogodzić wszystkim nie sposób. Mieszkamy tu od lat i znamy każdego z mieszkańców. Mielibyśmy im szkodzić? Albo oni nam? Zabielski miał żal o to ogrodzenie, ale mąż naprawdę chciał mu pomóc.

– Chciałem – przytaknął sołtys. – Wiedziałem, że zależy mu na tych koniach. Dlatego jak tylko dostałem potwierdzenie, że dostaniemy pieniądze na lokalne inwestycje, postanowiłem poinformować o tym Zabielskiego. Żeby tym razem złożył swój wniosek jako pierwszy.

– Kolejność ma znaczenie?

– Żadnego. Ale chciałem, by poczuł się wyróżniony. I żeby była jasność: miałem zamiar dać mu te pieniądze.

– Powiedział mu pan o tym?

– Od razu. Liczyłem, że się ucieszy.
– Kiedy to było?
– Potwierdzenie dostaliśmy w poniedziałek, z samego rana.
– I tego dnia w fatalnych okolicznościach zginął Zabielski. Rozmawiał pan z nim osobiście?

Bugajowie spojrzeli po sobie.

– Proszę odpowiedzieć – popędził go Szymański. – Czy rozmawiał pan wtedy z Zabielskim?

Bugaj pokiwał głową.

– Rozmawiałem.

– Jak?

– Nie rozumiem...

– Telefonicznie czy w cztery oczy? Pytam, czy pojechał pan do Stacjonaty, by osobiście się z nim spotkać.

– Pojechałem.

– Jak pana przyjął?

– Kochanie, lepiej będzie, jeśli powiesz całą prawdę – jęknęła Bugajowa. – Przecież nie zrobiłeś nic złego.

Muniek podszedł do niej i objął ją opiekuńczo ramieniem. W podziękowaniu poklepała chłopaka po dłoni.

– Nic, synu, się nie dzieje. Wracaj do siebie.

Spojrzał spod przymrużonych powiek najpierw na mężczyznę, który naszedł ich dom, potem na każdego z rodziców.

– Zostanę.

Odsunął krzesło spod stołu i wcisnął się na nie wraz z kołdrą.

– Widywałem u ludzi większe zadowolenie, jeśli o to pan pyta – odezwał się Antoni Bugaj. – Zabielski nie przywitał mnie kwiatami.

– Domyślam się.

– Wydawało mu się, że przyjechałem w złych zamiarach. Ale jak już pan wie, było na odwrót. W końcu zrozumiał, że chcę mu pomóc. Pokazał mi całe obejście, a potem... wyciągnąłem butelkę.

– Wódkę?

Bugaj wzruszył ramionami.

– Pijał tylko koniak. Przywiozłem najlepszy, na zgodę. I na to zakończenie naszych nieporozumień. Wszyscy we wsi wiedzą, że Zabielski lubił sobie chlapać, mimo że miał słabą głowę. A w poniedziałek popołudnie

było gorące, więc szybko go ścięło i nagle zaczął gadać trzy po trzy. Bluzgał.

– Na pana?

– Najwidoczniej musiał sobie ulżyć. Powiedział, co mu leżało na wątrobie, i na tym nasza rozmowa się zakończyła.

– I to wszystko?

Szymański czekał, obracając w dłoniach szkalujący sołtysa wniosek.

– Co pan chce usłyszeć? Że mam żal? Do nieboszczyka mam mieć pretensje, daj pan spokój.

– A pan? Ile pan wtedy wypił?

Po szyi Bugaja rozlała się czerwień.

– Tyle co palec. – Pokazał płasko kciuk. – Nawet tego nie poczułem.

– Co było potem?

– Odjechałem. I od razu odpowiem na pana kolejne pytanie: Zabielski wtedy żył. Zostawiłem go w pełni zdrowego. Chyba nie podejrzewa pan, że miałem coś wspólnego ze śmiercią tego człowieka?

– Która była wtedy godzina?

Bugaj odruchowo spojrzął na żonę.

– Nie pamiętam. Siódma, może ósma.

– Mąż wrócił o siódmej dwadzieścia – odpowiedziała kobieta. – Akurat wstawiałam do piekarnika ciasto, a zawsze wtedy patrzę na zegar, żeby nie spalić. Więc pamiętam to doskonale.

– Był pan wtedy w domu? – Szymański zwrócił się do Muńka.

– Może. Nie pamiętam.

– Nie pamięta pan, co robił dwa dni temu?

– Tak, byłem – rzucił na odczepnego.

Bugajowa pokiwała głową.

– Byłeś u psów – odpowiedziała. – Hodujemy bassety. Trzeba dać trzy razy dziennie jeść, zwłaszcza młodym. Syn ma dobrą rękę do zwierząt, pilnuje.

– Nie tłumacz chłopaka. – Sołtys machnął ręką, jakby chciał zakończyć temat hodowli i całą tę rozmowę.

Podniósł się z krzesła i wskazał Szymańskiemu drzwi.

– Jeśli to wszystko... Muszę wracać do biura.

Odprowadził policjanta do furtki. Kiedy wrócił do kuchni, żona siedziała na jego krześle i trzymała w palcach tłącego się papierosa.

– Poszedł sobie? – zapytała.

– Przecież usłyszał, co miał usłyszeć. Widziałaś go? Myślał, że mnie zakasuje tymi podaniami Zabielskiego.

– Jakoś z tego wybrnąłeś.

– Ty też byłaś niezła. Mało brakowało, a i ciebie wzięłoby na spytki. Bałem się, że się złamiesz, jeśli zapyta, czy byliśmy tam we dwoje.

– Ale nie zapytał. I dobrze.

Bugaj zdjął z wieszaka w przedpokoju marynarkę, włożył ją i wyszedł bez słowa, kiwając się lekko na boki.

– Niezłe przedstawienie. – Muniek skubnął niedojedzony przez ojca keks. – Należą się oklaski.

Matka zebrała talerze i wrzuciła je do zlewu.

– Gdyby nie ty... Zajmij się lepiej psami – odparła, stojąc tyłem do syna i myjąc naczynia. – Od czterech godzin czekają na żarcie. W końcu padną z głodu.

Mruknął coś niezrozumiałego. Chyba żeby dała mu spokój. Zagarnął kołdrę i powłókł się do swojego pokoju. Minęło dobrych kilka minut, zanim zaczął trzaskać szufladami, szukając czegoś na kark.

Kobieta odczekała, aż Muniek zbiegnie po schodach i wyjdzie do psiarni. Gdy kroki przed domem ucichły, schyliła się do szafki pod zlewem i sięgnęła głęboko, za kubek na śmieci. Po chwili trzymała już w ręku półlitrowy czarny pojemnik z rysunkiem szczura na etykiecie.

Potrząsnęła puszką. Resztką granulowanej trucizny, którą wiozła dwa dni temu w bagażniku prosto do stajni Zabielskiego, zabrzmiała jak grzechotka.

Kiedy stała tam, przy źłobie Harfy, nie mogła się spodziewać, że ten durny koń uderzy ją łbem tak mocno, że granulat wysypie się pod nogi i wmiesza w słomę. Nie miała zamiaru ryzykować i schylać się, by go zebrać. Końskie kopyta bywają niebezpieczne. Poza tym i tak zaraz rozgniotą tę trutkę na miazgę. Zamknęła puszkę z resztką granulatu i obiecała sobie, że jeszcze tam wróci. To był naprawdę genialny pomysł, by raz na zawsze rozwiązać problem ze stadniną i szantażem. Druga kadencja męża warta była tego, by zaryzykować. Co prawda konie przeżyły, ale Zabielski już nie. Tak czy inaczej, kłopot z głowy.

Wyszła z domu i wysypała zawartość puszek do kompostownika. Miał służyć do nawożenia pomidorów, ale odkąd odkryła ekologiczny nawóz, leżał

odłogiem. Wyjedzie wraz z pozostałymi śmieciami na wysypisko. Tam śmiercionośne granulki na pewno się przydadzą, w końcu szczury mnożą się w resztkach jedzenia i brudzie. Czyli wszystko jest tak, jak powinno być. Szkodników nie należy żałować, należy je tępić.

* * *

Szymański wysiadł z samochodu i z dłońmi na biodrach rozejrzał się po lesie za żółtą kamizelką Górnego. Od dwóch sezonów była tematem żartów w komisariacie. Zauważył go od razu, bezrękawnik bił po oczach jaskrawością, której nie zdołałoby przyćmić nawet stado kanarków. Zaszedł go od tyłu i poklepał po neonowych plecach.

– Techno czy trance-dance? – zagadnął. – Się, chłopie, nie poddajesz.

Górny, nie odrywając wzroku od technika wpatrującego się z uwagą w ekran georadaru, strząsnął jego dłoń ze swojego ramienia.

– Się lepiej nie wypowiadaj w tematach, o których nie masz pojęcia. Przynajmniej jestem widoczny dla ekipy. Poza tym komary mniej tną przez poliester. Powiedz lepiej, czego się dowiedziałeś we wsi. Byłeś w sołectwie?

Szymański zdał zwięzłą relację z rozmowy z Bugajem.

– Jednym słowem, kiedy opuszczał stadninę, Zabielski wciąż żył – podsumował.

– Jacyś świadkowie?

– Żadnych. Bugaj przyznał wprawdzie, że wywiązała się między nimi pyskówka, ale na tym się skończyło. Do żadnej szarpaniny nie doszło.

– Wystarczyłoby poddać ciało Zabielskiego autopsji i mielibyśmy jasność, czy powiedział prawdę.

– Zapomnij o autopsji. Rajtar nie doszukał się znamion przestępstwa, więc prokuratura pewnie wykluczy zabójstwo.

– Zastanawiam się, czy Rajtar w ogóle jest w stanie doszukać się cokolwiek poza czubkiem własnego nosa.

Szymański cmoknął nieprzyjemnie przez zęby.

– Pozostanie nam spisać protokolik i zamknąć sprawę.

Technik z georadarem dał sygnał ręką, żeby podeszli.

– Protokolik, tak czy owak, spisujemy – odparł Górny, idąc w jego stronę.
– Ale sprawy nie zamierzam zamknąć. Sieracka niech dalej wierzy, że to był wypadek.

– I bardzo cię, stary, w tym popieram. – Szymański ruszył za nim, odsuwając sprzed twarzy gałęzie drzew. – Mnie też sprawa Zabielskiego śmierdzi na kilometr.

Gdy dotarli do technika, Górny od razu spojrzął na pulsujący ekran georadaru.

– Coś konkretnego tym razem?

Mężczyzna odstawił maszynę i sprejem w butelce zakreślił na ziemi czerwone koło o średnicy dwóch metrów.

– To co zwykle. Naruszenie warstw gleby.

– Dziewiąte w ciągu czterech godzin. Trafiamy albo na zakopane psy, albo na śmieci. Jak tak dalej pójdzie, cały las będzie w spreju.

– Nic na to nie poradzę. To co?

– Kopiemy.

Policjanci stanęli poza obrysem i czekali, aż technik odgarnie szpadlem ziemię. Spod warstwy piasku i liści pokazał się zdeformowany korzeń wielkości pokaźnej owcy.

– Szlag mnie zaraz trafi – Górny pokręcił z niedowierzaniem głową.

Zostawił za plecami człowieka z georadarem i ruszył do ustawionego pięćdziesiąt metrów dalej aluminiowego stołu. Odsunął laptopa z mapą i przysiadł pośladkiem na krawędzi, po czym sięgnął po termos z kawą i rozlał ją do dwóch kubków.

– Pij, Szymański. Szybko z tą zabawą nie skończymy. A ty dokąd?

Szymański musiał ulżyć pęcherzowi. Odszedł na kilka kroków i stanął tyłem do Górnego.

– Trzymałem od rana... Jezu, co za ulga.

Po chwili wrócił do stołu i wyciągnął rękę po kubek. Zanim dopił kawę, odezwała się krótkofalówka:

– Dwieście metrów od linii lasu, podaję dokładne współrzędne – zatrzeszczał głos.

– Kolejna gówniana niespodzianka – warknął pod nosem Górny. – Zrozumiałem.

Nie oglądając się na Szymańskiego, ruszył w podanym kierunku. Po drodze zgarnął Cichocką, która też najwyraźniej miała już dosyć biegania po lesie.

– Sama nie wiem, czy w takich sytuacjach wolę, żeby było ciekawie, czy nudno. Jedno mnie tylko pociesza: przynajmniej będziemy mieć pewność, że na tych trzech dziewczynach się skończyło – przyznała, przeskakując

przez próchniejący konar. – Powoli dobijamy do końca, dwie trzecie terenu za nami. Morderca ewidentnie polubił ten rewir, więc nie sądzę, żeby ciała porzucono gdzieś poza nim.

– Do której mamy wynajętych ludzi?

– Do szesnastej. Za dwie godziny zaczniemy się stąd zwijać. Gdzie jest ten, co znowu coś znalazł? – Rozejrzała się na boki.

Technik stał niedaleko, pochylał się nad ziemią i rysował sprejem czerwony krzyż.

– Jakaś nowa technika? – zagadnęła Joanna.

– Każdy ma swoją – odpowiedział, potrząsając puszką z farbą. – W tym miejscu jest największa zmiana. Sprzęt jest słaby i tych mniejszych, oddalonych choćby o pół metra, już nie wyłapuje.

Górny spojrzał na Cichocką z pretensją.

– Dali ci ludzi z trefnym sprzętem?

– Było samemu zebrać – odburknęła. – Najlepiej w Bundespolizei albo FBI. Mamy, co mamy.

– Dziadostwo mamy.

– Chyba lepsze to niż dłubanie patykiem w ziemi. Odczep się, Górny. Za bardzo cię nosi ostatnio.

– Jeśli państwo już skończyli... – Technik zaczynał się niecierpliwić.

Cichocka wsunęła ręce do kieszeni w spodniach.

– Kop pan i miejmy to już za sobą.

Zdjął z pleców rozkładaną saperkę.

Grudy wysuszonego piachu z trudem odchodziły od znaku X. Technik wbił trzonek prostopadle do ziemi i nacisnął butem na szpadel.

– Ciężko idzie – stęknął. – Gлина może być zbita do głębokości metra.

Mogli tylko czekać. Cisza przerywana kolejnymi uderzeniami saperki o ziemię trwała do momentu, gdy usłyszeli ciche stuknięcie.

– Ostrożnie z tym szpadlem. – Górny przykucnął nad rozkopanym dołem. – Lepiej niech go pan całkiem odstawi i odgarnie ziemię rękami. Cholera wie, co tam jest.

Kilka szybkich ruchów wystarczyło, by spod zwałów piasku wypłynął na powierzchnię materiał. Brudna biel.

– Mamy ją – szepnęła Cichocka. – Mamy czwartą ofiarę.

W krótkofalówce Górnego zatrzeszczało. Kolejne wezwanie, tym razem sto metrów dalej. Rozprostował nogi, ale nie zdążył odejść od ciała, kiedy odezwano się ponownie.

– Łącznie sześć morderstw. – Cichocka zapatrzyła się na drzewa, wokół których technicy z jej ekipy owijali policyjną taśmę. – Wszystkie groby wykopano w obrębie kilometra. I wszystkie ofiary to blondynki, które ubrano w ten sam sposób i dołożono tandetny medalik. Dawno nie spotkałam się z czymś tak makabrycznym. Masz przerąbane, Górny.

Nie musiała mu o tym przypominać. Sześć kobiet plus właściciel stadniny – gorzej być nie mogło. Pozostało mu powiadomić Julię, że przecucie jej nie myliło. Wysłał jej krótkiego esemesa o treści „kolejne trzy są już na powierzchni, stan ciał fatalny”.

* * *

Restauracja Bydło i Powidło mieściła się w przeszklonym parterowym budynku, z którego rozciągał się widok na zurbanizowane osiedle. Wystrój lokalu był industrialny, ale przytulny. Kontuar z białej cegły kontrastował z drewnianą podłogą i czarnymi stolikami, które na blatach miały narysowane wielkie numery. Nad głowami wisiały podłużne lampy oraz oldskulowe metaliczne reflektory.

Magdalena wsunęła się za stół z numerem dziewięć i oparła łokcie o blat.

– Prestiżowo, choć z zewnątrz nie wygląda. Rozumiem, że jem za darmo?

– Jesz za informacje – uściśliła Julia.

Menu oferowało tatarskie, burgery i steki. Magdalena długo mu się przyglądała.

– Polędwica hereford – zakomunikowała kelnerce, po czym zwróciła się do Julii: – Informacja to kosztowny towar.

Julia, dla utrzymania równowagi finansowej, zadowolona się smażonym bakłazanem.

– Więc widziałas ją – wróciła do przerwanej rozmowy o Sarze. – Zgłosiła się do Afrodyty, bo szukała sponsora.

– Dżianego, i wcale się z tym nie kryła. Zadawała mnóstwo pytań, chyba nawet zbyt wiele.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Magdalena rozwinęła serwetkę i położyła ją sobie na kolanach.

– Nadaktywna była. Chciała wyciągnąć ze szkolenia jak najwięcej. Reszta dziewczyn siedziała cicho, a ją ciągle było słychać. Przykuwała

uwagę: młoda, wyszczekana i zawzięta.

– To nie mogła być ona. Sara jest wycofana i małomówna.

– Potrafię rozpoznać twarz. Musiało ją porządnie przycisnąć, skoro aż tak się zaangażowała. Ewidentnie miała nóż na gardle. Nawet podczas przerwy nie odstępowała Fabioli. Nękała ją aż miło.

– O co?

– O termin. – Kobieta z niecierpliwością pokręciła głową. – Termin spotkania ze swoim *sugar daddy*. Chciała zacząć jak najszybciej. Gdyby mogła, poleciałaby do niego od razu. Ale to tak nie działa.

Sięgnęła po przyniesione przez kelnerkę czekadełko w postaci czosnkowych grzanek. Przełknęła pierwszy kęs i wytarła usta serwetką.

– To agencja kojarzy dziewczyny ze sponsorami – wyjaśniła. – Faceci zgłaszają się i czekają, aż taka Fabiola czy inna menadżerka zweryfikuje ich pod kątem opłacalności. Chodzi oczywiście o prowizję.

– Opłata klubowa?

– Coś w ten deseń. Rocznie to dwadzieścia pięć tysięcy. Dla agencji, bo dziewczyna dostaje osobną dolę. A ile wyciągnie od samego faceta, to już jej sprawa.

– Dwadzieścia pięć? Niemało...

– Nie bądź śmieszna. To żaden pieniądz. Dla byle patałacha może i tak, ale nie dla prawdziwego biznesmena. Patałachy idą na odstrzał. Gość liczy się od momentu, gdy zapłaci wpisowe, dopiero wtedy następuje kojarzenie z dziewczynami. Weryfikacja może trwać kilka dni albo kilka tygodni. Zależy, czy facet jest stąd, czy z zagranicy.

– Sprawdzają, czy nie są karani?

Roześmiała się.

– Tak... i czy aby nieżonaci. Bo z żonatym to już grzech – zadrwiła. – To nie biuro matrymonialne! Widziałaś stronę internetową? Liczy się ładna buzia dziewczyny i kasa sponsora. Nikt nikomu w kartotekę nie zagląda. Agencja sprawdza tylko, czy gość jest naprawdę tym, za kogo się podaje. Chodzi o ich wiarygodność, żeby przypadkiem nie wyszło, że ten człowiek w ogóle nie istnieje. Zdarzały się sytuacje, że mężczyźni chcieli pozostać anonimowi albo podawali fałszywe dane. Gdyby agencja przymknęła na to oko, dziewczyny przestałyby jej ufać i poszłyby szukać szczęścia do konkurencji. Są chciwe, ale chcą się czuć bezpiecznie.

Kelnerka podała polędwicę i bakłażana. Julia rozgrzebała swoją potrawę na talerzu, po czym podniosła oczy na Magdalенę, która delektowała się

jedzeniem.

– Fabiola odesłała ją z kwitkiem? – zapytała, przyglądając się, jak z połówicy wypływa cienka strużka krwi, a odkrojony kawałek mięsa znika w ustach kobiety. Meła go z rozkoszą i nieśpiesznie.

– Początkowo tak. Ale Sara nie zamierzała kapitulować. Kiedy usłyszała, że dostanie sponsora najwcześniej za tydzień...

– Zrobiła piekło?

Magdalena pokręciła głową.

– Popłakała się jak dziecko. Fabioli ten widok się nie spodobał.

– Bo nie komponował się z egzaltacją pozostałych dziewczyn.

– No raczej. Nikt nie chce mieć ryczących kursantek.

– Co było dalej?

– Dalej było jeszcze ciekawiej. Fabiola poprosiła ją o dokument ze zdjęciem. Widocznie coś ją tknęło, w końcu dorosłe kobiety raczej nie płaczą z byle powodu. Nie miała ani dowodu osobistego, ani prawa jazdy. W końcu przyznała, że do osiemnastki brakuje jej kilku tygodni. Wyszły z sali wykładowej i stanęły pod windami. Długo rozmawiały. Powinna odesłać beksę do matki, ale tego nie zrobiła. Koniec końców Sara wróciła na salę, już dużo bardziej spokojna.

– Nie wyrzuciła jej?

Magdalena wbiła nóż w kolejny kawałek mięsa.

– Mówiłam ci już, że coś takiego jak etyka w tym zawodzie nie istnieje. Nierząd nie jest karalny, a pieniędzy od żadnej z dziewczyn przecież Fabiola nie bierze.

– Bierze je za to od ich sponsorów.

– Tak. Dokładnie w ten sam sposób, w jaki robią to biura matrymonialne. Czy ktoś je ściga za składkę członkowską? Nigdzie nie znajdziesz potwierdzenia, że opłata wnoszona jest za seks. To czym miała się przejmować? Sara dokończyła szkolenie, a potem... potem nie wiem, co się z nią stało.

Kobieta odłożyła cicho sztućce na talerz.

– Widzę, że ci zależy na tej małej – powiedziała, patrząc na ślady krwi po połówicy. – Więc winna ci jestem szczerść.

Julia spojrzała jej prosto w źrenice.

– Nigdy nie spotkałaś Sary? To, co powiedziałaś, jest zwykłą bujdą?

– Spotkałam i wszystko jest prawdą. Ale nie wiesz o mnie jednego. Jeśli myślałaś, że ja też, tak jak one... – Pokręciła głową. – To nie, nie jestem

jedną z nich.

Julia postawiła łokcie na blacie stołu.

– Aktywistka walcząca z handlem kobietami? – strzeliła.

– Dziennikarka. Od dłuższego czasu zbieram materiał do reportażu, który ma wywołać ogólnopolski skandal. Robię z siebie potencjalną ofiarę tego biznesu i prowokuję. Celowo, żeby nagrać to wszystko.

Julia poruszyła się niespokojnie na krześle.

– Udokumentowałaś oba szkolenia?

– Każdą minutę.

– Posłuchaj...

– Nie zobaczysz materiału. Upublicznę go dopiero wtedy, gdy reportaż będzie gotowy. Chyba rozumiesz, że nie mogę sobie pozwolić na żaden wyciek albo, co gorsza, zniszczenie zapisu. Włożyłam w to zbyt dużo pracy.

– Powiedz po prostu, że liczysz na nagrodę Grand Press. Obie wiemy, że seks i skandal zawsze się dobrze sprzedają.

– Może i liczę, moje prawo. Robię dobrą robotę i nie widzę powodu, żeby dzielić się jej efektami z kimś, kogo poznałam kilka godzin temu.

– W takim razie ja też będę z tobą szczerą. – Julia wyjęła z torby swoją detektywistyczną licencję i położyła przed Magdaleną. – Szukam tej dziewczyny na zlecenie jej rodziny. Sara zaginęła. Po tym, jak postanowiła zdobyć za wszelką cenę pieniądze, przepadła bez śladu.

– Nie ona jedna.

– Zatem było ich więcej? Co o nich wiesz?

– Powiedzmy, że wiem wystarczająco dużo, by mieć pewność, że agencja tak naprawdę wydaje dziewczyny byle komu. Dlatego giną.

– Mówiłaś, że robią weryfikację.

– Owszem, ale zdarzają się wyjątki. Zwłaszcza gdy klienta przyciśnie i chce dostać dziewczynę od ręki, jeszcze zanim go zlustrową. Podejrzewam, że to był właśnie ten przypadek. Facet w potrzebie i dziewczyna w potrzebie. Zasady wtedy przestają obowiązywać. Liczy się tylko szybka transakcja.

– Jak na targu z mięsem.

– Agencja nie ponosi żadnej odpowiedzialności za to, co stanie się z ich *sugar babies*. Wystarczy, że dziewczyna podpisze kwit, że bierze ryzyko na siebie. Fabiola i jej podobne mają wtedy czyste ręce.

– Nie, jeśli chodzi o nieletnią.

– Mówię ci, jak jest. To informacje z wiarygodnego źródła.

– Domyśliłam się. Chcę wiedzieć, kim ono jest.

– Źródeł się nie zdradza – odparła Magdalena. – To takie dziennikarskie credo, jakbyś nie wiedziała.

– Pracownica agencji czy jedna z dziewczyn?

– Uparta jesteś.

– Może sprawdzam twoją wiarygodność. Więc?

– Jedna z dziewczyn. Przeszła traumę po tym, jak została wydana komuś, kto ją więził i upokarzał. Nie trafił się jej romantyczny romans, zapewniam cię. Owszem, uciekła. Po miesiącu tortur. Rany się zagoiły, ale do tej pory leczy się psychiatrycznie.

– Po gwałtach?

Magdalena się zamyśliła.

– O gwałcie nie mówiła.

Julia czuła, że jej serce zaczyna przyśpieszać.

– Spotkałam się z nią tylko dwa razy, więc na tak intymną rozmowę jest jeszcze zbyt wcześnie – wyjaśniła Magdalena. – Na to trzeba czasu. Opo-
wie mi o wszystkim, jak już będzie gotowa.

– Gdzie ją leczą?

Kobieta przyjrzała się Julii z poirytowaniem.

– Nie ma mowy. I tak powiedziałam ci za dużo. Jedzenie było dobre, ale nie przeciągaj struny. Usłyszałaś, co chciałaś, a teraz...

Podniosła się i zasunęła za sobą krzesło.

– Jest w Warszawie? – zatrzymała ją Julia. – Czy gdzieś poza?

– Nie szukaj jej, bo nie znajdziesz. Zaszyla się z dala od ludzi, na swoje szczęście.

– Prywatna klinika?

– Do widzenia, Julia. Mam nadzieję, że znajdziesz Sarę, ale więcej nie jestem w stanie ci pomóc.

– Jeszcze jedno. To miejsce, skąd uciekła twoja informatorka, gdzie się znajduje?

Magdalena sięgnęła po stojącą na stoliku wykałaczkę. Odwinęła ją z papierka i wsunęła między zęby.

– Szczerze? Nie wiem. Ta dziewczyna ma poważne luki w pamięci. Dopadło ją typowe wyparcie i pamięta tylko to, co wydarzyło się przed tym, jak ją uwięziono. Może za jakiś czas się z tym upora, a może nigdy.

Przez szklaną ścianę Bydła i Powidła widać było, jak Magdalena idzie Kolejową w kierunku przystanku tramwajowego. Julia też zaczęła zbierać się do wyjścia. Opłaciła rachunek i ruszyła w stronę ronda Daszyńskiego, do biurowca, w którym wciąż trwało szkolenie dla przyszłych milionerek.

* * *

Kostek Knott wyminął wózkiem siedzącego przy kuchennym stole ojca i podjechał na swoje miejsce pod oknem. Zablokował hamulce przy kołach i w ciszy obserwował, jak matka ustawia na serwecie wazę z pomidorówką, a zaraz potem talerze z czymś, co przypominało gulasz.

– Tylko mi nie mów, że trzeci raz w tygodniu mam jeść boczniki. – Serafin Knott nachylił się nad swoim talerzem, by przyjrzeć się udawanym kawałkom mięsa. – Potrzebuję kalorii, nie papierowej paszy – dodał.

Kostek łypnął na matkę. Udawała, że nie słyszy, jak zawsze, gdy w domu zaczynało się robić nieprzyjemnie. Była w tym perfekcyjna, a spokój, jaki malował się na jej twarzy, wręcz anielski. Przytyki o brak mięsa zdarzały się coraz częściej. Ojciec kochał mięso, jadał mięso i pracował przy mięsie. Odkąd sołtys założył hodowlę psów i zaraz obok niej niewielką zagrodę ze świniami, by bassety miały co zjeść, wszystko kręciło się wokół mięsa. Robota u Bugaja nie była lekka, a żadne sałatki ani kielki żołądka ojcu nie wypełniały. Kalorie mogło uzupełnić jedynie piwo, które i teraz matka odkapslowała, zanim zdążył się na nowo odezwać.

– To ostatni raz – powiedziała przeprasząco. – Może jutro dostanę coś świeżego.

Kostek tylko zacisnął dłonie na udach. Może gdyby była wojna, uwierzyłyby, że w spożywczym zabrakło towaru. Matka najwyraźniej zaczęła już odkładać pieniądze na pokrycie strat po włamaniu do lombardu. Z tym że jutro nic się nie zmieni. Znow będzie cienka zupa i równie cienkie drugie. Chyba że zrobi coś wyjątkowo głupiego i zapożyczy się na wysoki procent.

Knott pociągnął kilka łyków jasnego piwa, najtańszego, jakie sprzedawano w sklepie Na Rogu.

– Co za szczyzny – warknął, odstawiając szklanę. – Już nawet nie chodzi o mnie. Ale o niego. Chłopak musi jeść tłusto, inaczej nigdy nie wstanie z tych kółek. Miesiąc siedział w Konstancinie. Sześć tysięcy dałem za to, żeby mu wzmacniali mięśnie, i wszystko ma iść jak krew w piach? Mięsa mu trzeba, rozumiesz?

– Będzie jutro, obiecuję.
– Sześć tysięcy... Zaklinali się, że w końcu poczujesz coś w nogach – zwrócił się do syna. – No, mów. Czujesz cokolwiek?

Nie czuł nic. Ani bólu, ani swędzenia, ani ciepła, ani zimna. Jego ciało od pasa w dół było nieruchome i bezwolne.

– Zaczynam, coś jakby mrowienie – mruknął z cicha.

Knott poruszył się żywo na krześle.

– W stopach? Mówili, że pójdzie od stóp.

– Tak, w palcach. Szpilki takie.

Kostek wahał się, czy spojrzeć mu w oczy, i czy jeśli to zrobi, ojciec nie wyczuje, że łże. Musiał zaryzykować. Spotkali się wzrokiem, na krótko, ale jednak.

– Wyliżesz się z tego, już moja w tym głowa. Choćbym miał za to zapłacić górę złota. Razem z matką zapłacimy, co, matka? – Serafin Knott złapał z energią za łyżkę do zupy. Zanim zanurzył ją w talerzu, dodał: – Jeszcze będziesz biegł, synu. Choćbyśmy mieli kogo okraść, będziesz biegł...

Kostek bez słowa patrzył, jak po niedogolonej brodzie ojca spływa kropla zabelonej śmietaną zupy. Zawsze jadł tak, jakby nikt na niego nie patrzył. Prosty człowiek, który dorwał się do talerza i wiosłuje łyżką tak, by jak najszybciej trafić jedzeniem do mięsistych warg. Ocierał je zawsze dłonią, choć stojak z serwetkami stał na wyciągnięcie ręki. Nie był w stanie zrozumieć, jak matka mogła wyjść za kogoś tak nieokrzesanego i prostego. Byli jak woda i ogień. Ona może nie najpiękniejsza, ale delikatna. Czysta i dobra, żeby nie powiedzieć: święta. Taka była, nim zdarzył się wypadek. Potem coś w niej pękło. Zgorzkniała i milczała dużo więcej niż przedtem. Stała się jak maszyna, może po to, by nie dać po sobie poznać, że męczy ją jego kalectwo. Albo żeby nie okazywać irytującej go litości. Tylko od czasu do czasu wracała u niej ta miękkość, którą miała wcześniej. Jednak zbyt rzadko i na bardzo krótko.

– Wracam do roboty – powiedział Knott, odsuwając od siebie talerz z fałszywym gulaszem. Sięgnął po wykałaczkę i wsunął ją między zęby. – Sołtys wymyślił sobie, że w sobotę zaprosi całą wieś na festyn. Chce się pochwalić tymi dotacjami dla gminy.

– W sobotę? – odezwał się Kostek. – Nikt nie przyjdzie.

– Co ty tam wiesz, młody.

– Żałoba jest przecież we wsi – wtrąciła Knottowa. – Po tym Zabielskim od koni.

Knott rozparł się wygodnie na krześle.

– Żałoba nie żałoba, ludzie i tak przyturlają się na darmową kiełbasę i żytko. Zresztą, czy to on był od nas, żeby po nim płakać? Zawracanie głowy.

– W sobotę jest otwarcie Milano – zauważył Kostek.

Rodzice najwidoczniej nie mieli pojęcia, o czym mówi, bo dodał:

– Alek zorganizował dyskotekę w budynku po starej remizie. Zespół przyjedzie z Warszawy. Młodzi przyjdą do niego, nie na kiełbasę sołtysa. Tańce będą.

– Nie dla ciebie. – Knott rzucił wykałaczkę na talerz. – Ty nie masz się tam po co pokazywać. Poskaczesz, jak przyjdzie pora. No, a teraz kończ jeść to błoto. Jak dla chorego kota... Pomożesz mi przy świni, zamiast siedzieć beczynn timer na tyłku.

Widząc zakłopotaną minę syna, dodał:

– Rękami będziesz robił. Ubity kaban czeka, kiszki trzeba poskręcać w pęta i do wędzarni wrzucić. To chyba potrafisz?

Brzydził się krwią, ale to by jeszcze przeboleł. Nabijanie kiszek mięsem też. Ręce w końcu zawsze można umyć, a ubranie włożyć do pralki i smród zejdzie. Poczucie winy za wyrzucone w błoto sześć tysięcy też przydałoby się zagłuszyć. Wolał jednak nie natknąć się tam na Muńka. Wciąż odczuwał ból w karku po tym, jak tamten załatwił go przed lombardem. Obiecał sobie wtedy, że to było jego ostatnie upokorzenie. Miałby teraz pojawić się u jego ojca i robić za sługusa grzebiącego w świńskich flakach?

– Ja pójdę. – Knottowa musiała pomyśleć o tym samym. Widziała wtedy wszystko. Stała w oknie komisur i patrzyła, jak wózek z Kostkiem toczy się do tyłu po rampie. Kiedy wyskoczyła, Muniek był już na tyle daleko, że mogła tylko pomóc synowi podnieść się i otrzepać z kurzu.

Wstała od stołu i odwiązała z talii kuchenny fartuch.

– Powiesz mi, co mam robić. A dziecku daj święty spokój.

Śmiech mężczyzny rozniósł się po kuchni. Już otwierał usta, żeby dosadnie powiedzieć, co myśli na temat „dziecka”, kiedy rozległo się walenie do drzwi.

Na progu stał Muniek Bugaj. Trząsł się jak w gorączce. Czoło miał spoczone, źrenice oczu wielkie jak spodki.

– Pożar – wybełkotał. – Ogień wszędzie. Pomóżcie... nie wiem, co z nim...

– Z kim? – Knottowa złapała się za serce. – O kim mówisz?!

– O Alku. Pożar... ratujcie...

ROZDZIAŁ X

Poprzedniego wieczoru słyszała wiele odgłosów. Umiała już je lokalizować, bezbłędnie rozpoznawała, czy rozmowa dochodzi z kuchni, przedpokoju czy łazienki. Zwykle nie zwracała na nie uwagi, ale tych wczorajszych nie sposób było zignorować.

Pierwszy krzyk Danki dotarł do niej późnym popołudniem. Zamykała oczy, by usnąć na swoim cuchnącym materacu, kiedy rozległo się wołanie. Nie było dramatyczne, raczej proszące. Trwało krótko i urwało się po kilku minutach. Minął może kwadrans lub dwa, kiedy znowu się odezwała. Tym razem jej wrzask był inny. Przerażliwy, niemal wyjący. Zatem stało się: Danką już się dowiedziała, co oznacza kąpiel i że nie należy o nią prosić. Ten dzień musiał w końcu przyjść.

Najpierw zabrali ją na górę, by wytłumaczyć, po co się tu znalazła i co ma robić. Gdy skończyli mówić, zaśmiała się, a potem zaklęła. Dość brzydko, bo dotarło do niej, co się stanie, jeśli nie będzie posłuszna. Dlatego dostała po twarzy. Plask, plask. Na każdy policzek po razie, żeby było po równo. Wieczorem dźwięki niosą się jak szalone, więc dotarły też na dół. Podobnie jak brzęk czegoś ciężkiego. To telewizor spadł, ten stary, od którego idą kable pod ścianą. Zwykły, antenowy. Zaplątała się w któryś nogą albo zrzuciła go celowo, z wściekłości.

Po wszystkim poprowadzili ją prosto do wanny. Pewnie pokazali jej to okropne urządzenie. Spanikowała i zaczęła się drzeć na dobre. Ze strachu, nie z bólu.

Potem był chłupot, czyli na pewno szarpała się w wodzie. Kilka sekund później ponownie zrobiło się cicho.

Czekała na powrót Danki, ale oczy kleiły jej się ze zmęczenia. Usnęła zaraz po tym, jak znów lano wodę. Może ktoś się skaleczył przez ten spada-

jący telewizor.

Ocknęła się w środku nocy. Obudziło ją wycie wilków i wściekłe ujadanie psów. Zerwała się z materaca i zapaliła świecę. Podeszła z nią do ściany i wypchnęła naruszone cegły. Wsunęła rękę ze świecą do celi Danki, by sprawdzić, czy dziewczyna jest już u siebie.

– Danka – szepnęła w ciemność, rozświetloną jedynie słabo migocącym płomieniem świecy.

Widziała tylko skrawek jej pośłania i pled rzucony w nogach.

– Danka! – powtórzyła głośniejszym głosem. – Jesteś tam? Ciężki dzień, co? Na drugi raz nie stawiaj im się, wariatko, bo w końcu cię zabiją. Słyszysz?

Długo czekała, aż zobaczy jakiś ruch na pośłaniu albo dojdzie ją jęknięcie wywołane bólem lub rozczarowaniem Danki, że zamiast trafić do wymarzonego Berlina, znalazła się w tym parszywym miejscu. I wcale nie przejściowo, lecz na stałe.

Cisza panująca za ścianą zdawała się nie mieć końca. Cofnęła rękę i zgasła świecę. Oparła głowę o mur i pogładziła jego chropowatą powierzchnię. Znowu została sama, pod ziemią.

Bo Danki już nie było. Ani tu, ani nigdzie.

* * *

Nie ma to jak zostać certyfikowaną *sugar baby*, pomyślała Julia, patrząc na pachnący farbą drukarską atest ukończenia szkolenia w Afrodycie.

Gdyby nie fakt, że za każdym takim certyfikatem stał zakamuflowany handel kobietami, uznałaby to nawet za zabawne. Do śmiechu jej jednak nie było. Nawet wtedy, gdy Fabiola szepnęła jej dyskretnie, że na starsze panie też znajdują się chętni. Odebrała dowód swej przydatności do zawodu i odpowiedziała, że na to właśnie liczy. Tak naprawdę liczyła, że jeśli nie będzie w stanie dotrzeć do Sary w jakiś racjonalny i cywilizowany sposób, ten świstek papieru z różowymi literami stanie się jej przepustką do tamtego świata. A konkretnie – do osad ludzkich rzuconych w okolicy Kampinosu.

Kiedy usłyszała od Górnego o kolejnych zwłokach, wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Afrodyta miała tam swojego odbiorcę i wysyłała do niego co bardziej zdesperowane dziewczyny. Klient ograniczył swoje wymagania do minimum: chciał dostać młodą dziewczynę o jasnych włosach. Agencja podsuwała mu najbardziej naiwne i najmniej wymagające kursorantki. Co dalej się z nimi działo, nikogo już nie obchodziło.

Nie mogła przestać myśleć o tym, co usłyszała o kobiecie, której udało się zbiec z miejsca kaźni. Była tam, u człowieka, który okaleczał ofiary prądem, a potem zakopywał w lesie. Kim był i w jaki sposób wymknęła mu się z rąk?

Jak powiedziała Magdalena, jej informatorka była teraz w trakcie leczenia psychiatrycznego. Z dala od ludzi.

Julia chwyciła za telefon, ale zawahała się przed wybraniem numeru. Powrót do kliniki pod Warszawą może okazać się nieunikniony, jeśli potwierdzi się, że dziewczyna trafiła na oddział Maciejewskiego. Musiałyby stanąć z nim oko w oko i udać, że nie wie o jego ciężarnej żonie. Ale tyle razy już w życiu udawała, że teraz też sobie poradzi.

Wcisnęła zieloną słuchawkę, licząc, że usłyszy znajomy szczebiot recepcjonistki. Ewa Czajka odezwała się po zaledwie dwóch sygnałach.

– Miło mi panią słyszeć, ale w niczym już nie pomogę – powiedziała z wyraźnym żalem. – Jestem na wylocie, właśnie się pakuję. Dostałam wymówienie, do tego w mało elegancki sposób. Zdetonowali mnie po tylu latach pracy. Szok... – Głos jej drżał.

– Maciejewski? – spytała z niedowierzaniem Julia.

– Nie, nie on. Doktor Maciejewski nigdy by mi tego nie zrobił. Ale ten drugi, Synowiec, ubzdurał sobie, że... nieważne.

– Powiedz.

– Mówiłam pani kiedyś, że widzę zbyt dużo. Tu, w klinice. Odkąd to Synowiec głównie zajmuje się pacjentami, wieje chłodem, a to odbija się na chorych. Przecież to są ludzie, a nie statystyki. Gołym okiem widać, że pozamykali się emocjonalnie, a chyba nie o to chodzi w leczeniu psychiatrycznym. Ograniczył liczbę zajęć, a zwiększył ilość leków. Chyba tylko po to, żeby mieć z nimi święty spokój. Dlatego nie wytrzymałam i powiedziałam głośno, co o tym myślę. Może gdybym zamknęła buzię i nie wspomniała o planie, jaki zamierzam zaproponować doktorowi Maciejewskiemu, żeby klinika znów była przyjaznym miejscem... No trudno. Stałam się wrogiem numer jeden.

Ewa nie żartowała. Między jej kolejnymi słowami słychać było szelest taśmy do zaklejania pudeł.

– To mój ostatni dzień – stęknęła. – Nie będę miała szansy pożegnać się z doktorem Arturem. On nawet nie wie, że pakuję manatki.

– Nie ma go? – zainteresowała się Julia.

– Wyjechał na dwa dni do Oslo. Referencji od Synowca też nie dostanę. To wszystko jest takie upokarzające.

– Wyjechał sam?

– Maciejewski? Sam, jak zwykle. Przecież nigdy tam nie lata z innymi lekarzami.

Nie o lekarzy Julii chodziło, ale ugryzła się w język.

– Możesz coś dla mnie zrobić? Ostatni raz.

– Mogę w pani imieniu napluć Synowcowi na drzwi gabinetu. Wiem, że pani też za nim nie przepada.

– To przy okazji. Ale wolę, żebyś powiedziała mi, czy przyjęliście w ciągu ostatnich miesięcy kobietę z utratą pamięci i nabytym lękiem.

– Tu wszyscy mają lęki, nabyte albo wrodzone. A co do pamięci: raz jest, raz jej nie ma. Trudno wyczuć. Zresztą mówiłam już, że tu się z ludźmi nie rozmawia. Tu się tylko wbija igły.

– Młoda, blondynka, z ranami. – Julia wyjęła z rękawa najważniejszą kartę. – Dziewczyna miała na ciele widoczne ślady przemocy. Nic ci to nie mówi? Przypomnij sobie, to naprawdę ważne.

Przez głośnik dało się słyszeć, jak Ewa Czajka coś mamrocze, najpewniej przegryzała zębami taśmę klejącą.

– Było mówić od razu, że młoda i z ranami – powiedziała, po czym spluła resztką taśmy, która została jej w ustach. – No tak, jest tu jedna taka. Trzymamy ją od dwóch miesięcy. Pamiętam, jak uzupełniałam jej dokumentację. Szło jak po grudzie, dopiero po kilku dniach zaczęła się odzywać, biduła.

– Wcześniej nie kontaktowała?

– Ledwo. Ale nie o to chodziło. Zasadniczo nie pozwalała się dotknąć. Nikomu, nawet lekarzowi. Pielęgniarki też nie mogły jej wykąpać, ani pod prysznicem, ani w wannie. Musiały zostawiać jej przy łóżku wilgotną ścierkę, żeby się podmyła. Dopiero od niedawna zaczęła wchodzić do miski z wodą. To i tak dużo. Wanny unika do tej pory. Na samo słowo „kąpiel” dostaje szału.

– Chcę się z nią spotkać.

– Niemożliwe. Synowiec na to nie pozwoli.

– W takim razie wyprowadź ją na zewnątrz.

Ewa Czajka musiała bić się z myślami, czy może jeszcze zrobić cokolwiek w klinice, skoro wypowiedzenie leżało na biurku, a ona niemal stała ze spakowanym kartonem w drzwiach wyjściowych.

– Może uda mi się załatwić twoją sprawę z Maciejewskim – zaryzykowała Julia. – Wiem, że nie chcesz stamtąd odchodzić.

– Przeciwnie. Po tym, co usłyszałam na swój temat, nawet się nie obejrzę.

– Twoje miejsce jest w klinice. Lepszej od ciebie nie znajdą.

– I niby Maciejewski miałby pani posłuchać? No nie wiem.

– Wystarczy, że ja wiem. Po prostu mi zaufaj. Zadzwońię do niego i poproszę, żeby wstrzymał zwolnienie. Wtedy ty wyprowadzisz dziewczynę do magazynu z bielizną. Najlepiej zaraz po obiedzie.

– O trzeciej?

Julia spojrzała na zegarek. Do piętnastej brakowało dwóch godzin.

– Tak. Dasz radę?

Czajka wzięła bardzo długi oddech.

– Niech pani wejdzie bocznym wejściem, od składu na pościel. Jeśli nas nie będzie, to znaczy, że jednak wyrzucili mnie stąd na zbity łeb.

Pierwszą rundę miała za sobą, teraz czekała ją kolejna. Zapaliła vogue'a i usiadła z nim na progu balkonu, wkładając pod pośladki poduszkę.

Maciejewski nie odbierał. Jedyne, co mogła zrobić, to nagrać się na sekretarkę. W pokrętny sposób tłumaczyła mu, że jedna z jego pracownic stała się obiektem mobbingu w klinice i skłania się ku wniesieniu skargi na policję. Więc jeśli Artur nie chce mieć problemów...

Nie skończyła mówić, gdy oddzwonił.

– Nie dziękuj – powiedziała, gdy usłyszała, że nie miał o niczym pojęcia. – Po prostu załatw sprawę z Synowcem i przywróć Czajkę do pracy. Zapomni o wszystkim. A, jeszcze jedno. To łebska dziewczyna, ma kilka pomysłów na to, żeby twoja klinika nie przypominała średniowiecznego wariatkowa, więc posłuchaj, co ma ci do powiedzenia. W przeciwnym razie twój medyczny przyjaciel doprowadzi do tego, że pewnego dnia nie będziesz miał kogo leczyć. Chyba nie o to ci chodzi, żeby klinika zupełnie straciła renomę?

Usłyszała ciężkie westchnienie.

– Nie dobijaj mnie, Julia. Myślisz, że nie zdaję sobie sprawy z tego, co się dzieje? Gdybym tylko miał kogoś na miejsce Synowca, odesłałbym go w jasną cholereę. Ale nie mam.

- Facet wyżywa się na pacjentach i personelu.
- Pogadam z nim, jak wrócę. To trudny przypadek, Synowiec ma ewidentny kryzys wieku średniego.
- Może powinien kupić sobie czerwony kabriolet albo znaleźć młodszą kochankę. To zwykle pomaga.
- Świetna sugestia, Julia, naprawdę doskonała. A teraz wybacz. – Ton głosu Artura wyraźnie wskazywał, że to nie był jego dzień. Chyba nigdy wcześniej nie rozmawiał z Julią tak zdenerwowany. I na pewno nie chodziło tu tylko o sprawę Czajki. – Nie mam teraz do tego głowy, pogadamy kiedy indziej.
- Zaczekaj!
- Do widzenia, Julia.
- Przywróć Czajkę! – krzyknęła już do głuchej ciszy w telefonie.

* * *

Reni długo się wahała, czy wcisnąć guzik dzwonka przy klasztornej furcie. To tu miała trafić, pod adres wskazany w ulotce z Wrocławia, którą znalazła w neseserze ojca. Może chciał je obie umieścić w tych murach? Dlatego nie spuszczał z niej oka i tak rozpaczliwie szukał Sary.

Skurwiel.

Zadarła głowę, by przyjrzeć się murom i wielkim witrażowym oknom.

Sam powinien tu trafić, skoro taki chętny do robienia czarów. Wybrał jednak eksperymenty na własnych dzieciach.

Skurwiel jak nic.

A matka nie lepsza. Całe życie w strachu przed Jego Świątobliwością. Wiecznie pół kroku z tyłu i z cichą zgodą na wszystko, co mówił. Co z tego, że jej szukała. Przecież nie z tęsknoty, tylko z lęku przed nim.

Wyjęła z plecaka pożyczony od Jani telefon na kartę i stanęła na tle furty. Upewniła się, że wejście i krzyż na czubku kościoła znajdują się w kadrze, po czym włączyła nagrywanie.

– Nazywam się Renata Lewicka i jestem osobą transpłciową – powiedziała, patrząc odważnie w urządzenie. – Dużo mnie kosztuje, by powiedzieć to otwarcie, wierzcie mi. Mam jednak dość ukrywania mojej odmienności. Jestem tym już zmęczona. Ale do rzeczy. Pewnie zastanawiacie się, co to za miejsce i dlaczego tu stoję. Widzicie ten krzyż za mną? Tak, to dom Boży. Tylko że Boga w nim nie ma, jest za to dręczenie ludzi. Odmieńców

takich jak ja. Z pewnością słyszeliście o egzorcyzmach. Może nawet niektórzy z was zostali do nich przymuszeni albo tak się dopiero stanie. Jeśli nie pasujecie do podstawionego przez świat wzoru, bądźcie czujni. Mnie też zamierzano tu nawrócić. Chore, co? Nie myślcie, że średniowieczna inkwizycja to już przeszłość. Ona trwa. Pod egidą kościołów, takich jak ten. Nie znajdziecie nigdzie oficjalnej informacji o tym, co dzieje się za tą furką, bo to temat tabu. Kościół nigdy się do tego otwarcie nie przyzna, że torturuje, gwałci i odziera z godności. Wszystko, oczywiście, w imię Boga. Na koniec powiem wam jeszcze jedno: skoro dzieci takiego człowieka, jakim jest mój ojciec, polityk Łukasz Lewicki, mogą tu trafić, to każdy z was też może. Kochani inni, wystrzegajcie się takich miejsc, błagam. Pod tym nagraniem zamieszczę link do wyznań kogoś, kto przeżył to piekło. Przeczytajcie, dla własnego bezpieczeństwa.

Wyłączyła nagrywanie. Czuła, że cała się trzęsie. Musiała gdzieś usiąść, gdziekolwiek, żeby nie zemdleć.

Ruszyła wzdłuż muru, ku głównemu wejściu do kościoła. Pchnęła ciężkie drzwi i wsunęła się do środka. Świątynia była pusta, nie licząc trzech starszych kobiet, które klęczały w ławkach skupione na modlitwie. Nad ich głowami wisały mosiężne elektryczne kandelabry, o tej porze dnia pogażone. Tylko kilkanaście małych kinkietów przy kolumnach rzucało blask na obrazy i wota ukryte w przeszklonych witrynach.

Oparła się o ławkę i wzięła kilka głębokich oddechów. Powoli się uspokajała. Nagadała się do kamery, ale wciąż czuła niedosyt. Podeszła pod sam ołtarz i wsunęła się do pierwszej pustej ławki od strony prezbiterium. Usiadła na wprost okazałego krzyża i wbiła spojrzenie w zwieszoną twarz Chrystusa.

– Wszystko, co złe, zaczyna się w takich miejscach – szepnęła w jego kierunku. – Nie o tobie mówię, wiesz przecież. To nie twoja religia jest zła. Jest nawet całkiem spoko. Tylko wiesz co? Jednego nie przewidziałeś. Że ludzie do niej nie dorośli. Dzięki niej mieli stać się dobrzy i mądrzy, a okazali się chciwi i okrutni. Powinieneś coś z tym zrobić. Nie przyszło ci do głowy, żeby rozpieprzyć to wszystko w drobny mak i zacząć od początku? Albo nie zaczynać niczego, tak może nawet byłoby lepiej.

Obejrzała się za siebie, by mieć pewność, że w odległości kilku ławek wciąż jest sama, po czym wróciła do rozmowy z wiszącym na krzyżu Bogiem.

– Zrób coś dla mnie, okej? Musisz, bo to przez ciebie mam w życiu przechłapanie. Podobno to twój ojciec mnie stworzył, więc się postaraj. Dogadaj się z nim jakoś. Więc słuchaj teraz, w czym rzecz: chcę przeżyć tę operację. I mówię ci to wprost. Żadnego umierania od infekcji, zakrzepów i innego dziadostwa. Nie kombinujcie tam, na górze. Raz stańcie po mojej stronie, niczego więcej od was nie chcę. To tyle, mam nadzieję, że się rozumiemy.

Przeżegnała się, wyszła z ławki i skierowała się prosto do wyjścia. Wciąż trzymała w ręku telefon, wahając się, czy zamieścić w swoich social mediach nagrany przed chwilą film. To, co będzie się działo, gdy ludzie go zobaczą, pograży jej ojca na amen.

Ale sam tego chciał.

To on zaczął.

Napisała w poście „Oto moja prawda”, załączyła film, a potem wcisnęła „opublikuj”.

* * *

Odkąd Julia sięgała pamięcią, drzwi do magazynu zawsze były albo otwarte na oścież, albo jedynie przymknięte. Wystarczyło podejść do bocznego wejścia, by po chwili znaleźć się w klinice dla psychicznie chorych.

Stała w środku pomieszczenia wyłożonego do połowy ścian prostą, białą glazurą. Ktoś musiał niedawno myć podłogę lizolem, bo jego zapach mieszał się z fetorem ludzkiego moczu i potu, jaki zalegał w pościeli wrzucanej do metalowych wózków na kółkach. By wygonić kwaśny zapach i móc oddychać bez zasłaniania nosa dłonią, Julia musiała otworzyć drzwi magazynu na oścież.

Spojrzała na zegarek: dwie po piętnastej. Podeszła do wewnętrznych drzwi, które bezpośrednio łączyły magazyn z kliniką, i szarpnęła klamką. Były zamknięte od drugiej strony.

Musiała czekać. Zanim Ewa Czajka wyciągnie dziewczynę ze stołówki i przeprowadzi niezauważenie przez labirynt korytarzy, może minąć nawet kwadrans.

Minęło dwadzieścia minut, ale Czajki wciąż nie było. Julia zadzwoniła na recepcję, ale włączył się automat. Usłyszała, żeby wybrać tonowo numer, jeśli chce się połączyć z pielęgniarką lub lekarzem dyżurnym.

Nie tak miało być. Spróbowała jeszcze raz, ale efekt był ten sam.

Mogła odejść z niczym lub wejść od frontu i zorientować się w sytuacji. Wybrała to drugie. W holu panowała cisza. Drzwi, za którymi mieściła się recepcja kierowana przez Czajkę, były uchylone, jednak na okienku wisiała biała kartka. Zawiadomienie o czasowej przerwie w obsłudze nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Ewy już nie było.

– Szlag by cię, Artur! – warknęła pod nosem.

Zerwała z wściekłością kartkę i już miała zgnieść ją i rzucić w kąt, jednak zauważyła ledwo widoczny napis wykonany ołówkiem: „p. 6”.

O ile dobrze pamiętała rozkład pomieszczeń, pokój numer sześć był wieloosobową salą i mieścił się na pierwszym piętrze, między łazienką z prysznicami a gabinetem Synowca, który musiał być teraz na wpół otwarty, bo wyraźnie dochodził z niego głos lekarza.

Po raz trzeci wybrała numer recepcji.

W celu połączenia się z pokojem pielęgniarzkim wybierz jeden. By połączyć się z lekarzem dyżurnym, wybierz dwa.

Już miała wybrać dwa i zełgać, że na tyłach kliniki, gdzie znajduje się ogród, jeden z pacjentów potrzebuje pilnej pomocy, ale zamiast tego weszła przez uchylone drzwi recepcji. Powinien gdzieś tu być. Cichy alarm, jaki montuje się na wypadek napadu lub choćby agresywnej szarpaniny między pacjentami. Obiegła wzrokiem ściany w poszukiwaniu przycisku ukrytego za szkłem, ale poza kilkoma obrazkami i kalendarzem nie znalazła niczego, co przypominałoby guzik alarmu. Było jeszcze biurko, a konkretnie – blat. Jeśli zamontowano przycisk tak jak w sklepach czy bankach, powinien być pod spodem, w zasięgu ręki.

Uśmiechnęła się, gdy wyczuła pod palcami okrągłe zgrubienie. Wystarczyło wcisnąć i czekać.

Już po chwili zza okienka w ścianie zobaczyła biegnącą pielęgniarkę, a zaraz potem usłyszała dudnienie lekarskich chodaków. Synowiec zszedł po schodach i rozejrzał się po pustym korytarzu, po czym znacznie szybszym krokiem ruszył w stronę skrzydła ze stołówką.

Julia wbiegła na górę i skręciła w lewy korytarz. Cztery... pięć... prysznic... i sześć. Białe drzwi i zamknięty zamek.

Kochała swoje wytrychy. Jeśli miałyby zabrać ze sobą do trumny ulubiony przedmiot, byłoby to właśnie etui z ostrymi nożykami. I zdjęcie Sylwii oczywiście.

Otworzyła zamek i pchnęła drzwi.

Wystrój sali był o wiele bardziej surowy niż ten, jaki widziała ostatnim razem, w pokoju małej Niny Rawskiej. Tu nie było jak w domu, raczej jak w typowym szpitalu. Beżowe linoleum na podłodze i brak jakichkolwiek ozdób na białych ścianach. Cztery łóżka stojące w jednym rzędzie też były białe, jedynie błękitne koce sprawiały, że nie czuło się tu jak w lodowej krainie. Małe nocne szafki z plastiku i żaluzje wmontowane między okienne szyby dopełniały całości.

Na dźwięk jej kroków wszystkie głowy obróciły się w stronę drzwi. Dwie kobiety były starsze, pod czterdziestkę, dwie dużo młodsze. Jedna z jasnymi włosami, druga w chustce na głowie.

Julia nie miała pojęcia, jak nazywa się ta, której szukała.

– Znacie Magdalene? – powiedziała, licząc, że któraś z nich zareaguje. – Dziennikarkę.

Nawet nie drgnęły. Siedziały z obojętnym wyrazem twarzy, jakby nie dosłyszały.

– Rozmawiała z którąś z was o pracy w agencji – dodała.

Jedna ze starszych kobiet poruszyła się na swoim łóżku pod oknem.

– Mamy tu kurwę? – spytała ciężkim głosem. – Która to?

Jak na pacjentkę z zaburzeniami dedukcji kontaktowała zupełnie nieźle. Najwyraźniej stopień otępienia nie był równy u wszystkich.

– Niech się pani lepiej nie odzywa. – Julia spróbowała zasznurować kobiecie usta.

W odpowiedzi usłyszała chichot. Doszedł do tego wysunięty język, którym kobieta poruszyła w obrzydliwy sposób.

– To byłaś ty? – Julia podeszła do jasnowłosej dziewczyny i położyła rękę na jej ramieniu. – Pracowałaś dla Afrodyty?

Ani nie przytaknęła, ani nie zaprzeczyła. Ze spokojem i bardzo powolnymi ruchami podciągnęła kolana pod brodę. W zielonych piżamowych dresach wyglądała jak zwinięta kępa trawy.

– Mogę? – Julia wyciągnęła dłoń w stronę jej wysoko naciągniętych na łydki skarpet. Jeśli rany były głębokie, wciąż mogła mieć ślady na ciele.

Nie kopnęła jej, choć Julia spodziewała się wierzgania i obronnego krzyku. Twarz dziewczyny i jej oczy nie wyrażały żadnych emocji, jedynie bacznie ją obserwowały.

Julia wsunęła palec pod ściągacz skarpety i zsunęła go, by obejrzeć skórę. Dziewczyna też ją obejrzała z ciekawością, jakby widziała swoje ciało po raz pierwszy. Gdy doszła do wniosku, że wie o swoich nogach

wszystko, powiodła mętnym wzrokiem ku sufitowi i uśmiechnęła się do migoczącej czerwonej lampki zamontowanej w rogu.

Kamera. Były tu wszędzie. Na korytarzach i w salach.

Może podczas alarmu nikt przy nich nie siedzi, pomyślała Julia, patrząc na mrugający punkt. Skóra na nodze była zdrowa. Podobnie jak na obu rękach, co Julia sprawdziła, podciągając rękawy zielonego dresu. Przypomniała sobie słowa Ewy Czajki: dwa miesiące. Czas i wysokogatunkowe maści jednak zrobiły swoje.

– Uciekłaś stamtąd, pamiętasz?

Nawet nie drgnęła.

– Las... zamknięcie... – podsuwała skojarzenia, które wywołałyby w niej jakąkolwiek reakcję. – Rażenie prądem...

Julia czuła, że zabrnęła za daleko, ale musiała mieć pewność, że to ona. Jednak dziewczyna wciąż patrzyła na nią bez cienia wzruszenia. Za to pacjentka w chustce zakryła uszy dłońmi i schowała głowę między kolana.

Podeszła do niej i odciągnęła zaciśnięte na uszach ręce. Wielkie niebieskie oczy patrzyły na Julię błagalnie. Nie musiała powtarzać pytań. To, co zobaczyła w jej twarzy, wystarczyło, by pomogła jej podnieść się z materaca i ruszyć do wyjścia. W ostatniej chwili złapała spod łóżka puchate kapcie dziewczyny.

Szła jak zahipnotyzowana. Nie szarpała się, nie wrzeszczała. Była jak bezwolne dziecko, które godzi się na wszystko, bo tak je nauczono.

– Tak, dobrze, spokojnie, spokojnie... – powtarzała jak mantrę Julia. – Nic ci nie zrobię, jesteś bezpieczna.

Wyprowadziła ją na korytarz. Dziewczyna pochylała się i zaciskała na piersiach swój rozciągnięty bury sweter.

– Już niedaleko... – Julia odepchnęła się nierozważnie od drzwi do natrysków. Opamiętała się, zanim dziewczyna zaczęła wysuwać się z jej uścisku. – Nie, nie wejdziemy tam, przepraszam. Przepraszam...

Poprowadziła ją w kierunku schodów. Dziewczyna poślizgnęła się na posadzce, ale podtrzymana za łokieć dotarła bezpiecznie do stopni.

– Dokąd idziemy? – odezwała się nagle, gdy przystanąły obok recepcji.

Julia wyprowadziła ją przed klinikę, musiały jeszcze dojść do bramy.

– Jednak umiesz mówić. To dobrze, bo będziemy ze sobą dużo rozmawiać.

– Dokąd? – powtórzyła.

– Dowiesz się w swoim czasie. Teraz muszę cię stąd zabrać.

Rozejrzała się, czy nie ma nikogo przed budynkiem, i ruszyła w stronę auta. Dziewczyna szła powoli, Julia musiała szarpnąć ją za rękę, by przyspieszyła kroku.

– Wsiadaj. – Otworzyła drzwi skody i wepchnęła ją na tylne siedzenie.

Dziewczyna posłusznie położyła się na kanapie i przycisnęła dłonie do piersi.

– Dokąd? – spytała po raz trzeci. – Powiedz.

– Jeszcze nie wiem.

Zawróciła przy bramie. Przed kliniką wciąż nic się nie działo. Synowiec uznał, że alarm był fałszywy? I nikt się nie pofatygował, by sprawdzić monitoring? Artur musiał naprawdę nie mieć pojęcia, co się dzieje w jego zakładzie.

Odjechała kilometr. Stała na poboczu i zgasła silnik.

– Możesz się już podnieść.

Dziewczyna usiadła. Zacisnęła kolana i wsunęła między nie złączone dłonie. Julia obróciła się do niej i wyciągnęła rękę z butelką wody mineralnej.

– Napij się, to szybciej się uspokoisz. Pewnie boisz się, że cię skrzywdzę? Nic ci nie grozi. Chcę tylko porozmawiać.

Nie wzięła butelki. Zamiast tego poprawiła chustkę na głowie.

– Jak się nazywasz?

Podniosła na nią oczy.

– Lily.

Była przerażona, ledwie poruszała ustami.

– Nie ma już Lily. – Julia pogładziła ją po dłoni. – Zapomnij o tym, co ci się przydarzyło. Lily nie istnieje.

– Monika – szepnęła.

– Dużo lepiej. A dalej?

– Brewka.

– Miło mi cię poznać, Moniko Brewko.

Dziewczyna nie była zainteresowana oglądaniem legitymacji detektywistycznej Julii, nawet na nią nie spojrzała. Za to co chwila łypała w stronę lasu, który otaczał klinikę.

– Wtedy tak się właśnie schroniłaś, wśród drzew? Wiem, że uciekłaś.

Wbiła wzrok w fotel.

- Nie pamiętam.
 - Przypomnisz sobie.
- Monika kiwnęła niepewnie głową.
- Zaczynij już teraz – usłyszała. – Mamy mało czasu.
- Julia wcisnęła sprzęgło i wrzuciła bieg.

Do mieszkania przy Czerniakowskiej wpadła tylko po to, by złapać w biegu kilka bluzek i lekkich sukienek na zmianę, czystą bieliznę i kosmetyczkę. Chwilę się zawahała, nim sięgnęła po swojego nowiutkiego glocka. Zawinęła go wraz z kaburą w stanik i wrzuciła na dno sportowej torby. Dołożyła do tego trzy magazynki i dwie pary butów, po czym zapięła zamek.

Monika czekała posłusznie w samochodzie. Przez szybę obserwowała zdyszanego psa, który z językiem na brodzie szukał odrobiny cienia pod okrągłym spożywczakiem.

Julia usiadła za kierownicą i położyła torbę na siedzeniu obok. Przekreśliła kluczyk w stacyjce, by włączyć nawiew. Klimatyzacja ledwie zipała, ciepłe powietrze tylko zakotłowało się w skodzie.

– Pojedziemy tam, gdzie nikt cię nie będzie szukał. – Julia rozpięła zamek w torbie i podała dziewczynie jedną ze swoich bluzek. – Masz, włóż, żebyś wyglądała jak człowiek. I zdejmij tę chustkę z głowy.

Uchwyciła w lusterku wstecznym przerażone spojrzenie Moniki.

– Wyglądasz, jakbyś uciekła z obozu. Wiesz jakiego. Za bardzo rzucasz się w oczy – wyjaśniła. – Zdejmij.

Dziewczyna powolnym ruchem rozsuptała węzeł z tyłu głowy. Spod chustki wyjrzały nierówno wystrzyżone kępy włosów, odrośnięte od skóry na nie więcej niż trzy centymetry.

– Maszynka do golenia? – spytała Julia. – Sama się tak załatwiłaś?

Wzruszyła ramionami i ze wstydem przyglądała dłonią odstające kosmyki.

– Spokojnie, ja też chciałam kiedyś o wszystkim zapomnieć. Co prawda za pomocą nożyczek, ale efekt był podobny.

Miała nadzieję, że dziewczyna się uśmiechnie, ale nic takiego się nie stało.

Zjechała z parkingu przed blokiem i włączyła się w sznur aut ciągnących ku północnym rogatom miasta.

* * *

Adam Górny wyciągnął nogi na biurku i rozerwał podaną mu przez Szymańskiego kopertę. Wyjął z niej plik dwudziestu jeden zdjęć wywołanych z karty pamięci Zabielskiego.

– Nie powiesz mi, skąd ją wzięłeś? – Szymański podrzucił w dłoni kartę Nikona.

Nie doczekał się odpowiedzi.

– Chodzi o te zabite dziewczyny czy o Zabielskiego? – spytał, zerkając przy okazji na Młodą, która opieczętowywała katalogowane dokumenty.

– Jeszcze nie wiem. Może o jedno i drugie.

– Mieliśmy nie mieć przed sobą sekretów.

Zabrzmiało, jakby zamienił się w pannę żądającą od ukochanego bezwzględnej uczciwości.

– Co chcesz konkretnie wiedzieć, Szymański? – Adam położył sobie fotografie na udach i splótł dłonie na sprzączce od paska.

– Wszystko. Na przykład dlaczego zacząłeś kręcić własne lody.

– Bo te wspólnie kręcone mi nie smakują. Skwaśniałe są, i to mocno. Coś jeszcze?

Szymański wymienił z Młodą porozumiewawcze spojrzenie. Kobieta odłożyła na bok pieczętkę i nachyliła się nad swoim biurkiem.

– Wściekasz się, bo Sieracka uznała śmierć tego koniarza za wypadek – powiedziała ściszym głosem. – Wszyscy jak tu siedzimy, wiemy, że to ściema. Szymański mnie wprowadził, więc jestem w temacie – wytłumaczyła dla jasności.

– Po prostu mów, stary, co tu jest grane.

Adam opuścił nogi na podłogę.

– Śmierć Zabielskiego była komuś na rękę. Ostatnią osobą, która widziała go żywego, był sołtys. Wszystkiego się wyparł, czyli zadziałał klasycznie. Jak się domyślicie, pod wykrywacz kłamstw go nie podepniemy, więc trzeba do niego dotrzeć innym sposobem.

– Tyle to i ja wiem – bąknął Szymański. – Tylko co to ma wspólnego ze zdjęciami?

– Może wiele, a może zupełnie nic. Te fotki zrobił Zabielski, a potem dobrze je ukrył. Karta, którą trzymasz w ręce, znajdowała się w kantorku za jego biurkiem.

– Z dokumentów wynika, że pomieszczenie było puste.

– Było. Poza łóżkiem i tym. – Górny popatrzył na małą czarną kostkę, którą bawił się Szymański.

Nawet nie udawał zaskoczenia.

– Zwinąłeś dowód i jakby nigdy nic dałeś technikom do wywołania. Brawo.

– Te fotki mogą stanowić ważny dowód w sprawie – odparł ze spokojem Górny.

Szymański zgarnął zdjęcia i zaczął je przerzucać jedno po drugim.

– Ważny dowód... Co to ma być? Seria *Z naturą na ty*?

– Przyjrzyj się uważnie.

– Nic ciekawego tu nie widzę. Trawa, drzewa, trawa i trawa.

Górny wziął głęboki oddech. Odebrał zdjęcia z rąk Szymańskiego i wybrał z nich cztery najbardziej wyraźne. Położył mu odbitki przed oczami.

– Teraz patrz.

Poza morzem zieleni zdjęcia pokazywały z czterech różnych ujęć fragment asfaltowej drogi, białe auto z otwartymi drzwiami i dwóch młodych mężczyzn stojących na poboczu. Na pierwszym zdjęciu stali naprzeciwko siebie, jeden trzymał się za głowę, drugi się ku niemu nachylał. Sądząc po sposobie gestykulacji, musiał dostać ataku furii. Drugie zdjęcie również było ciekawe. Zgięci w pół oglądali przód auta.

– Stłuczka? – Szymański się skrzywił. – Wyglądają, jakby w coś przydzwonili.

– Oglądaj dalej.

– Mało tu widać. Coś niosą.

– Albo kogoś.

Szymański zmrużył oczy, po czym gwizdnął przeciągle. Młoda wstała od swojego biurka i zawisała nad rozłożonymi zdjęciami.

– Na omdlenie to nie wygląda. Chłopcy ewidentnie narozrabiali.

Górny podsunął im czwarte zdjęcie.

– Zbliżenie na słupek drogowy – mruknął Szymański. – Powinno dać się rozczytać, który to kilometr trasy.

– Da się.

– Dobrze widać samochód – zauważyła Młoda. – Ktoś siedzi za kierownicą. Ma odchyloną głowę. Wygląda, jakby spał.

Górny wyjął z pliku zdjęć jeszcze jedno.

– Tu nikt nie siedzi za kierownicą – powiedział. – Więc ilu było rozbójników? Dwóch czy trzech?

Spojrzeni po sobie. Górny położył kartę pamięci na stole i podsunął ją palcem w ich stronę.

– Na każdym zdjęciu jest data i godzina wykonania. Ułóżcie je wszystkie zgodnie z chronologią, a potem powieście odbitki na ścianie. Całą sekwencję, co do sekundy. Może to rzuci nam trochę światła na powód, dla którego zginął Zabielski.

Podniósł się z krzesła i chwycił kluczyki do samochodu.

– A ty dokąd? – zatrzymał go Szymański.

– Muszę coś sprawdzić. Bierzcie się do roboty.

* * *

Skoda zjechała ze żwirowej drogi na pięćdziesięciometrowy odcinek asfaltu, który kończył się przy parterowym żółtym budynku z brązową dachówką.

– Co to za miejsce? – Monika odezwała się po raz pierwszy, odkąd ruszyły sprzed bloku Julii. Przez całą drogę zajęta była wyglądaniami przez okno, jakby dopiero poznawała świat.

– Pomieszkamy tu trochę.

– W przydrożnym motelu?

– Spodoba ci się. Zresztą nie mamy wyboru.

Julia podjechała przed wejście do budynku.

– Trochę to znaczy ile?

– Aż wróci ci pamięć.

Dziewczyna wypuściła cienki strumień powietrza z ust.

– A co, jeśli...

– Lepiej, żeby wróciła.

Julia wysiadła z auta. Nim zatrzasnęła za sobą drzwi, zabrała z siedzenia sportową torbę z ukrytym w niej glockiem.

– Mam w niej dokumenty do meldunku – wyjaśniła pokrętnie. – Siedź tu i nigdzie się nie ruszaj.

Weszła do recepcji. O ile motel Mazovia z zewnątrz jeszcze jakoś wyglądał, o tyle w środku Julia od razu wyczuła powiew Peerelu. Boazeria na ścianach, pikowane czerwone obicie kontuaru i sztuczna paproć stojąca na blacie mówiły o tym miejscu wszystko. Całości dopełniał recepcjonista,

starszy mężczyzna z siwiejącym wąsem, ubrany w białą koszulę i czarną, pogrzebową kamizelkę. Siedem dych za noc – wszystko się zgadzało.

– Na nazwisko...?

Portier najwyraźniej nie słyszał o czymś takim jak rejestracja gości w komputerze, bo przed nim leżała otwarta książka ewidencyjna.

– Kuraś. Bożena. Bez rezerwacji – dodała, widząc, że palec mężczyzny zaczyna błędzić po rejestrze gości.

– Jakiś dokument ze zdjęciem?

Położyła przed nim stuzłotowy banknot.

– Dokument zniszczył się w praniu.

Wąsy mężczyzny poruszyły się w dość niesmaczny sposób. Musiała dołożyć jeszcze pięćdziesiątkę.

– Pani sama?

– Z kimś.

– Rozumiem, że dokument tego kogoś też... w praniu?

– Też. Potrzebuję dwóch osobnych łóżek i zasięg wi-fi.

– Wi-fi płatne oddzielnie.

Julia sięgnęła po kolejny banknot. Pieniądze od Lewickiego topniały, podobnie jak ona. Temperatura w motelu ani chybi sięgała trzydziestu stopni.

– Klimatyzacja też płatna – dorzucił recepcjonista, widząc, jak ociera spocone czoło.

Wpisał odręcznie jej nowe nazwisko i oderwał od perforowanej kartki hasło z dostępem do internetu.

– Pokój numer trzy, od wyjścia na lewo – powiedział, wyjmując klucz z gabloty. – Restauracja od siódmej do szesnastej. Bilard i piłkarzyki tam. – Wskazał dłonią drugi kąt recepcji.

Julia zabrała z lady klucz i wyszła przed motel. Monika tym razem nie siedziała posłusznie w nagrzanym aucie, tylko na jego masce, opierając stopy w puchatych kapciach o gorącą blachę.

– Chcesz coś zjeść? – zapytała Julia, widząc, że wskazówki zegarka dobijają powoli do czwartej po południu. – Teraz albo wcale.

Brewka zeskoczyła z samochodu i powłokła się za nią do uchylonych drzwi restauracji.

Miała wygląd i wyposażenie szkolnej stołówki: proste stoły i krzesła o metalowych nogach, dwa podgrzewane bębny i jednogarnkowa stacja do zupy. Na osobnym stole stały koszyki ze sztućcami, serwetniki i solniczki.

Kobieta za ladą, w kuchennej siatce na głowie, zaoferowała im wysuszoną pangę w panierce, tłuczone ziemniaki i surówkę z kapusty.

– Dla mnie bez ryby – zastrzegła Monika. – Nie znoszę od dziecka.

Odebrały obiad i usiadły przy bocznym stoliku nakrytym sfatygowaną ceratą w miętową kratę.

– Musisz zacząć ze mną rozmawiać – powiedziała Julia, wbijając widelec w pangę. – Nie wierzę, że nic nie pamiętasz.

– To uwierz. Ludzie w traumie tak mają. Słyszałaś o żołnierzach, którzy wrócili z misji? Albo sikają w nocy w łóżku, albo mają zaniki pamięci.

– Wysłaś stamtąd ledwie żywa i chcesz mieć cały ten bajzel za plecami. W to akurat wierzę. Ale nie w całkowitą amnezję. Zwłaszcza że zaczęłaś się ze wszystkiego spowiadać tej dziennikarce.

Brewka zamoczyła usta w niemal przezroczystym kompocie z rabarbaru.

– Po pierwsze nie ze wszystkiego, a po drugie... czego ty właściwie ode mnie chcesz? Po co tu jestem?

– Interesuje mnie, jak trafiłaś w tamto miejsce.

Dziewczyna zaszurała kapciami.

– Przecież wiesz, że przez agencję.

– Podsunęli ci klienta i dali adres?

Pokręciła głową.

– Dziewczyny nie dostają adresów. Pierwsze spotkanie ze sponsorem zawsze odbywa się na mieście. Knajpa, wino, gadka szmatka, jednym słowem: facet dokonuje oględzin. Żadnego zapraszania do jego domu. Jak dziewczyna się spodoba i zgodzi się na warunki współpracy, lądują w hotelu.

– Testowanie?

– Powiedzmy, że przypieczętowanie kontraktu.

– Dokąd zabrał ciebie? – zapytała Julia, licząc na miejskie kamery.

– Po co ci to wszystko... Po co tu jestem?

– Wkrótce się wszystkiego dowiesz. Więc dokąd?

– Donikąd. Mieliśmy się spotkać pod Pałacem Kultury. Dzień był ustalony, godzina też. Piątek, ósma wieczorem. Miałam czekać na ławce przed wejściem do Kinoteki.

– Mów dalej.

– Dalej było tak, że podeszły do mnie dwie osoby i zaprowadziły do auta.

– Jak wyglądały?

Rozgrzebała widelcem surówkę, po czym ją nabiła i włożyła do ust.

– Nie wiem, nie widziałam ich. Na tej ławce czekała na mnie koperta. W środku była opaska, miałam ją założyć na oczy punktualnie o ósmej.

Julia przyjrzała się jej z niedowierzaniem.

– Wiem, jak to brzmi, ale w ten sposób znalazłam się w ich samochodzie – zapewniła Brewka. – Miałam nie wiedzieć, dokąd jadę. Myślałam, że to taka gra. Goryle często dostarczają dziewczynę do jakiegoś wynajętego domu i przekazują w ręce biznesmena, więc siedziałam cicho. Liczyłam, że jak już mnie dowiozą, zrobię swoje i wrócę bezpiecznie do domu.

– Wiesz przynajmniej, jak długo jechałaś i w którym kierunku?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Czulałam tylko zapach. Dziwny był, duszący. Obok mnie siedział mężczyzna. Przez całą drogę, jakby bał się, że ucieknę.

– Próbowalaś?

– Niby po co? Mówię przecież, że klienci miewają różne dziwactwa. Zawiązywanie oczu to banał, wierz mi. Zresztą nie każdy lubi, jak dziewczyna wie, dokąd ją wiozą. Na przykład tacy z pierwszych stron gazet. Po co im to? Żeby się rozniosło, gdzie mają swoje zakątki rozkoszy?

– A tamten zakątek rozkoszy...

– Nie pokażę ci go na mapie, choćbym nawet chciała. Kiedy zdjęto mi opaskę z oczu, byłam już w środku. Bez torby, telefonu i dokumentów. W całkowitej ciemności.

– I...?

– To wszystko, co pamiętam.

Skubnęła widelcem tłuczone ziemniaki, po czym odsunęła od siebie talerz.

– Ohyda. To miejsce też okropne. Nie było lepszego?

– Wytrzymasz.

– Oby chociaż pokoje były czyste.

– Pokój. Jeden – sprostowała Julia.

Nie zdążyła dojeść swojej ryby, kiedy pojawiła się kucharka z tacą.

– Panie skończyły? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, zgarnęła oba talerze. – Na śniadanie jutro zapraszam. Sadzone będą.

Kobieta wyczyściła stół, Julia zaś sięgnęła do torby, by wyjąć swój dzwoniący telefon. Nim natrafiła na niego palcami, wyczuła telefon na kartę, który od niedzieli powinien znajdować się w rękach Górnego. W tym zamieszaniu zapomniała mu go oddać, a Górny się o swoje nie upomniał.

Albo po prostu nie wierzył, że ktokolwiek się odezwie, i zbagatelizował sprawę.

Wcisnęła zieloną słuchawkę. Spodziewała się tej rozmowy, i to znacznie wcześniej niż po dwóch godzinach od wyjazdu z kliniki.

– Powiedz, że to nieprawda – zaczął z grubej rury Maciejewski. – Chcę usłyszeć, że kamery w klinice pokazały nie ciebie, tylko kogoś podobnego. Halo, jesteś tam?

– Jestem.

– Zabrałaś ją?

– Wypożyczyłam.

Musiał łąpać oddech, bo przez dłuższą chwilę nic nie mówił.

– Jest bezpieczna – uprzedziła jego kolejne pytanie. – Siedzi obok mnie cała, w jednym kawałku, i ma się świetnie.

– Do czasu. Dziewczyna jest w trakcie leczenia i musi brać leki – powiedział, starając się trzymać nerwy na wodzy. – To uprowadzenie, Julia. Nie wiem, co sobie myślałaś, ale posunęłaś się o krok za daleko.

– Potwierdź, Moniko, że żyjesz.

Julia podsunęła jej telefon. Liczyła, że po krótkiej odpowiedzi Maciejewski spasyje, ale tak się nie stało.

– Synowiec chce wezwać policję. Jeśli Brewka nie zjawi się z powrotem w ciągu godziny, rozpęta wojnę. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Nagle stał się gorliwy? Nieważne, dziewczyna i tak zostanie ze mną.

– W takim razie mamy problem.

– Nie byłoby go, gdybyś nie zawałił sprawy ze zwolnieniem Czajki. Miałaś wykonać jeden telefon do Synowca. Prosiłam, pamiętasz?

– Nie miałem do tego głowy. Ani do Czajki, ani do ciebie. Oddaj dziewczynę i będzie po sprawie.

– Oddam, ale jeszcze nie teraz.

Nie tylko się rozłączyła, ale w ogóle wyłączyła telefon, a potem wstała od stołu i zasunęła za sobą krzesło.

– Czas się tu zdomowić – powiedziała, chwytając torbę z ubraniami.

Wyszły z restauracji i skierowały się do strefy kwaterunkowej. Sześcioro drzwi i sześć nisko osadzonych okien z jednakowymi zielonymi zasłonami wychodziły na parking, tonąc w popołudniowym słońcu. Julia wsunęła klucz do zamka i pchnęła drzwi.

Rozejrzały się po ścianach. Trzy były pomarańczowe, a czwartą pokrywała fototapeta z jeziorem. Na podłodze leżała poplamiona wykładzina.

Nad dwoma pojedynczymi łózkami, zasłanymi narzutami w pomarańczowym kolorze, wisiał landszaft przedstawiający kolejne jezioro i pływające po nim dwa łabędzie.

Monika, czując, jakby znalazła się pośrodku pomarańczowego piekła, zacisnęła dłonie na ramionach.

– Nie zostanę tu, nie dam rady.

Julia rzuciła klucz na stół stojący vis-à-vis łózek. Zdjęła z ramienia torbę i postawiła ją na jednym z nich.

– Pytałaś, po co cię tu przywiozłam – powiedziała, zaciągając zasłony w oknie. – Pogadałyśmy sobie o agencji i innych ciekawostkach, ale tak naprawdę szukam kogoś.

Wyjęła zdjęcie Sary i podsunęła Monice pod oczy.

– Podobnie jak ty przeszła przez Afrodytę, a potem zaginęła. Dwa miesiące temu, akurat wtedy, kiedy ty uciekłaś od swojego oprawcy. Mogłyście się spotkać, więc przyjrzyj się jej dobrze. Poznajesz?

– Ładna. Jak one wszystkie.

– Nie o to pytam.

Brewka wzruszyła lekceważąco ramionami.

– Nie kojarzę. Mam luki w pamięci, przecież wiesz.

– Wiem, że przeszłaś swoje i na pewno słodko ci u tamtego człowieka nie było, ale ta cała trauma to teatr. A kiedy w teatrze jest za dużo dramatyzmu, a za mało autentyczności, przedstawienie zamienia się w groteskę. W klinice szło ci całkiem nieźle, ale przestało, gdy tylko wyjechałyśmy z miasta. Ani razu nie zapytałaś o swoje tabletki, a podobno musisz je brać regularnie. Chociażby te na uspokojenie, bo męczą cię stany lękowe. Rozumiem zatem, że nie masz problemu z zasypianiem? Ja, będąc w traumie, bym miała. Więc skończmy z tą ściemą o amnezji. Pomóż mi, a przede wszystkim jej.

Dziewczyna skrzyżowała ręce na piersiach.

– Chcesz grać w otwarte karty? Okej. Przede wszystkim nie pomagam za darmo. Pracuję dla pieniędzy, pamiętasz? A takie historie dobrze się sprzedają.

– Czyli z tamtą dziennikarką to był układ za konkretną forszę?

– Chyba nie myślałaś, że z dobroci serca? Jestem naocznym świadkiem, a informacje z pierwszej ręki są w cenie. Dostanę procent od tantiem. Reportaż ma powstać, może ci mówiła. Będzie kolejne mięso dla mas, a dla mnie szeleszczące banknoty. Lubię szelest.

– To jedynie potwierdza, że daleko ci do paranoi. Tylko prawdziwemu świrowi nie zależy na forsie. Moja propozycja jest więc następująca: powiesz mi, co wiesz o dziewczynie ze zdjęcia, a ja dam ci za to okrągły tysiąc. Schowasz go do swojej świnki skarbonki, a potem wrócisz do kliniki i dalej będziesz udawać amnezję, by twoja opowieść drogo się sprzedała. W przeciwnym razie postaram się, żeby do reportażu dodano postscriptum, że jesteś zwykłą oszustką.

Brewka rozejrzała się za czymś, co mogłaby podłożyć pod pośladki, zanim usiądzie na narzucie. Pokój nie oferował niczego sterylne poza czystymi ręcznikami. Przyniosła jeden z łazienki, położyła go na łóżku i wyciągnęła się na nim jak długa. Julia przysunęła krzesło, usiadła okra-kiem i ponownie wyciągnęła rękę ze zdjęciem Sary.

– Ta dziewczyna nazywa się...

– Nieważne, jak się nazywa. Nie żyje.

– Jesteś pewna?

Obróciła się na bok i podparła głowę na dłoni.

– Widziałam ją. Krótco, może przez godzinę. Wpakowali nas razem do jednej piwnicy, bo w drugiej, tej przeznaczonej dla mnie, akurat zabijali okno. Śpieszyli się i zrobili to niedokładnie. Na moje szczęście, bo dzięki temu dobę później stamtąd zwiąlam – wyjaśniła. – Ona miała być na zakładkę.

– Mów jaśniej.

– Czego nie rozumiesz? Taki mają system. Zanim wykończą jedną, biorą kolejną. Z tą było źle od samego początku. Psychika jej siadła, przestała jeść. Zresztą jeść to nam prawie wcale nie dawali, miałyśmy tam paść z głodu. Musiała mieć świadomość tego, że nie da rady długo wytrzymać w tych warunkach, bo gdy tylko powiedziałam jej, że zamierzam zwać, kazała mi obiecać, że po wszystkim skontaktuję się z jej siostrą. Wierzyła, że mi się uda, albo chciała wierzyć. W każdym razie prosiła, żebym przeka-zała wiadomość.

– Co miałaś przekazać?

– Że spartoliła sprawę i żeby tamta nie miała jej tego za złe. Nie pyta-łam, o co chodzi, ale się zgodziłam.

– Wiadomość nie dotarła. Reni nie ma pojęcia, co się stało z Sarą.

Monika westchnęła głęboko.

– Biedna mała Sara... Chciałam dać jej nadzieję, że jednej z nas uda się przeżyć. Pomyślałam, że choć w ten sposób jej pomogę.

– Szlachetnie.

– Wbrew temu, co o mnie myślisz, mam sumienie. Ale nadeszła ostatnia noc Sary. To, co jej obiecałam, przestało mieć znaczenie. Ona już nie istniała. Więc sobie odpuściłam. Mój plan na życie po ucieczce nie zakładał już kontaktowania się z jej rodziną. Nie chciałam patrzeć na łzy tych ludzi ani opowiadać im, w jaki sposób zginęła. Nie nadaję się na kata. Postanowiłam skupić się na swojej przyszłości.

– Odgrywając ofiarę?

– O mały włos, a bym się nią stała. Wiedziałam, co mnie czeka. Musiałam działać szybko, dałam sobie dwadzieścia cztery godziny na wydostanie się z piwnicy. Ta płyta w oknie... nie postarali się. Gdyby wbili kilka dodatkowych gwoździ, nie dałabym rady jej wyważyć. Albo gdyby to Sarę umieścili w celi z felernym oknem, nie mnie... Może to ona by uciekła i gadała-byś teraz z nią, a nie ze mną. Tak, miałam dużo szczęścia. Ale to nie powód, żeby teraz robić ze mnie zimną sukę. I to tylko dlatego, że przeżyłam i postanowiłam sprzedać swoją historię. Wiem, co przeszła Sara, i cholernie jej współczuję. Mnie też zależy, by prawda wyszła na jaw. Tylko sposób działania mam inny. Wierz mi lub nie, ale chcę ci pomóc. Gdyby tak nie było, nie wyszłabym z tobą z kliniki.

– Może to też jest część twojego scenariusza. Nie dość, że poszkodowana przez los, to jeszcze uprowadzona. Podwójny dziennikarski bonus.

Brewkę musiała zabołec ręka od podtrzymywania głowy, bo położyła się na wznak i rozmasowała zdrętwiałe ramię. Przy okazji zamknęła oczy, jakby szykowałą się do drzemki.

– Chcesz się dowiedzieć, jak umarła Sara, czy nie? – zapytała twardo.

Julia miała na końcu języka, że wśród trzech pierwszych ciał znalezionych w lesie nie zidentyfikowano żadnego z tatuażem na przedramieniu, a kolejne wyglądały na dawno pogrzebane, ale się powstrzymała. Dzikich mogił wciąż mogło być znacznie więcej.

– Mów, co widziałas.

Monika milczała przez dłuższą chwilę, jakby układała sobie w głowie wydarzenia sprzed dwóch miesięcy. Po chwili podniosła się z łóżka i podeszła do okna. Odsunęła zasłonkę i oparłszy dłonie o parapet, wbiła wzrok w niemal pusty wybetonowany parking.

– Tamtego wieczoru, na kilka godzin przed moją ucieczką, byliśmy już w osobnych celach. Dzieli je mur, ale echo i tak niesie się po piwnicy. Dlatego wszystko słyszałam. Jak po nią przyszli i wciągnęli po schodach na

górze. Jak lała się woda. Krzyczała, żeby nie szarpali jej za włosy. To cholerny ból, wiem, co mówię. Dlatego zgoliłam swoje i do końca życia będę nosić krótkie. Żeby nikt więcej nie owijał ich wokół swojej ręki.

– Co działo się potem?

– Woda przestała się lać, a ona ucichła. Przez chwilę był spokój, ale potem usłyszałam, jak coś uderzyło o podłogę. To musiało być ciało Sary. Nie wytrzymała. Pewnie ją dokąś ciągnęli, bo on strasznie stękał i kłął.

– Kto? Kim jest on?

– Nie wiem. Nie rozpoznałam głosu.

– Mówiłaś, że w aucie, którym cię wywieziono, było dwóch mężczyzn.

– Nie słuchałaś mnie uważnie. Powiedziałam, że były dwie osoby. Jedna z nich milczała, nie odezwała się ani razu. Ten drugi głos rozpoznałabym wszędzie, ale to nie był on, nie tamtej nocy. – Odwróciła się od okna. – To nie ich miałyśmy obsługiwać, nie tych z auta. W domu, do którego przywozili dziewczyny, czekał ktoś inny.

– Ten, który was maltretował?

Przez jej twarz przebiegł łagodny uśmiech.

– Nie osobiście. Dlatego ja mówiłam o nim złośliwie: Pan Miłosierny. Sara nazywała go Beztwarzy.

* * *

– Macie całą sekwencję zdarzeń? – Górny zamknął za sobą drzwi gabinetu na Nowolipkach i od razu podwinął rękawy koszuli aż za łokcie. Pracujący w kącie wentylator tylko mełł ciepłe powietrze, nie dając szansy na wytchnienie. – Ułożyliście zdjęcia tak, jak o to prosiłem?

Młoda wskazała głową na ścianę z tablicą magnetyczną i na cztery rzędy przyczepionych do niej fotografii.

– Zanim zaczniemy, daj mi coś do picia, Szymański. Najlepiej z lodem.

– Adam rozejrzył się za swoim kubkiem.

– Może jeszcze z cytryną i listkiem mięty? – Szymański wyjął z szafki małą butelkę wody mineralnej i postawił ją na biurku Górnego. – Nie ma lodu. Maszyna w korytarzu padła, serwis przyjedzie jutro, o ile w ogóle. Najbliższy lód jest w spożywczym po drugiej stronie ulicy.

– No to na co czekasz?

Szymański mruknął coś niezrozumiałego pod nosem. Na widok wyciekającej miny Górnego złapał za portfel i trzasnął za sobą drzwiami.

Młoda przysiadła pośladkiem na biurku.

– Wpłynęło zgłoszenie – powiedziała. – Nie spodoba ci się.

– Mało co mi się ostatnio podoba. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że ktoś znów natrafił na zwłoki?

– Tym razem nie o to chodzi.

Podsunęła mu pod nos pismo przysłane kurierem. Klinika psychiatryczna pod Warszawą donosiła o uprowadzeniu jednej z pacjentek przez widoczną na monitoringu ich dobrą znajomą. Do zgłoszenia dołączono czarno-białe wydruki z ujęć zarejestrowanych przez kamery.

– Jasna cholera, tego mi jeszcze brakowało. – Górny nie wierzył w to, co właśnie czyta.

– Pytanie, co z tym zrobisz. Nie możesz udawać, że nie ma sprawy.

Rzucił pismo na biurko. Chodzenie od okna do drzwi i z powrotem z rękami splecionymi za głową nie pomogło mu znaleźć odpowiedzi.

– Później się tym zajmę. Julia miewa głupie pomysły, i to jeden z nich. To była policjantka, nie kidnaperka. Na pewno da się to wszystko jakoś logicznie wytłumaczyć.

Młoda wyprostowała plecy i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Radzę ci postawić na coś bardziej przekonującego niż logiczne wytłumaczenie, kiedy góra zacznie dopytywać, czy masz z tym coś wspólnego. Madejski szykuje obławę, jakbyś miał wątpliwości.

– Nie robi tego.

– Zrobi, zrobi. Jego wojenka z Julią jeszcze się nie skończyła. Zawieszenie broni było chwilowe i podyktowane koniecznością, a nie sympatią. Zresztą sam wiesz o tym najlepiej.

Górny zatrzymał się przy stole i jeszcze raz spojrzął na treść zgłoszenia.

– Kim jest ta cała... Monika Brewka?

Młoda sięgnęła do szklanki ze słonymi paluszkami.

– Dziewiętnastolatka z zanikiem pamięci. Przebywała w klinice przez ostatnie dwa miesiące. Szymański rozmawiał z władzami kliniki, ale nie dowiedział się niczego, jeśli chodzi o przypuszczalny powód uprowadzenia. Usłyszał tylko, że to pacjentka trzymana pod szczególną ochroną.

– Nie taką znowu szczególną, skoro udało się ją wywieźć w biały dzień.

Górny sięgnął po telefon, by wybrać numer Julii, ale usłyszał tylko automat zachęcający do pozostawienia wiadomości.

– Zajęty – zełgał bez mrugnięcia okiem. – Spróbuję później.

Rozmowę ucięło wejście Szymańskiego. Trzymał w ręce worek z kostkami lodu, który od dołu zaczynał już podchodzić wodą.

– Łap, bo zaraz wszystko popłynie. – Rzucił paczkę Górnemu. – Resztę rozdamy ludziom zza ściany, żeby nie zmarnować towaru.

Szymański dołożył do lodu cytrynę. Gdy kładł ją na biurku, zobaczył zgłoszenie z kliniki.

– No to już wiesz, że Krawiec znowu poszła po bandzie. Sprawa lada moment otrze się o prokuraturę. Ty oczywiście nie masz z tym uprowadzeniem nic wspólnego?

– Może cię to zdziwi, ale nie tym razem. I uprzedzając wasze kolejne pytania, nie zamierzam z tym nic robić.

Górny wyminął ich i stanął pod tablicą z przyczepionymi zdjęciami.

– Może czas, żebyśmy zajęli się własną robotą, zwłaszcza ty, Szymański. – Wykonał ręką ruch nakazujący podejście bliżej.

Usadowili się oboje z Młoda na wprost odbitek.

– Co do tych fotek, to widać na nich drogę pięć siedem pięć – powiedział Górny. – Biegnie od Sadów, odcinek zaraz przy krajowej S siódemce.

– Po to zniknąłeś na tyle godzin, żeby obejrzyć teren?

Górny wyjął z kieszeni džinsów plastikową torebkę z potłuczonym szkłem.

– Przy drodze wciąż leżą odpryski. Drobnica, zalega głównie w trawie przy jezdni, ale udało mi się znaleźć też kilka większych kawałków. Jest jeszcze drzewo zryte na wysokości sześćdziesięciu centymetrów. To drzewo. – Wskazał palcem na jedno ze zdjęć.

Młoda przejęła torebkę i podeszła bliżej okna, by przyjrzeć się ostrym fragmentom.

– Myślisz, że powypadkowe? Chłopcy zrobili bum i poszła szyba?

– Gołym okiem widać, że coś się wtedy stało. Nie mamy uchwyconego momentu wypadku, ale to, co uwiecznił Zabielski swoim nikonem, w zupełności wystarcza. Sprawdźcie w bazie, czy nie mamy zarejestrowanej stłuczki z września ubiegłego roku i czy nikt nie trafił wtedy do szpitala. Co do tego białego auta, to na moje oko opel corsa, model wypuszczony po dwa tysiące dziesiątym. Trzeba sprawdzić, czy szkło z drogi pasuje do szyb, jakie montowano wtedy do tego modelu.

– Koniarz mógł się bardziej postarać – zauważył Szymański. – Sfotografował wszystko, tylko nie tablice rejestracyjne. Twarze tych mężczyzn też ledwo widać.

– Znajdziemy opla, znajdziemy i tych gości. O co chodzi, Młoda?
Zrobiła zbolaną minę.

– Ja odpadam. Dziś jeszcze pomogę, ale od jutra przenoszą mnie do nowego archiwum. Mówiłam ci, że jestem tu do połowy miesiąca.

– Nie ma jeszcze połowy.

– Przyśpieszyli prace. Nic na to nie poradzę, z samego rana stąd znikam.

– Mamy więc czas do rana. Przejrzysz bazę drogówki?

– Jasne.

– Szymański, bierz te potłuczone diamenty i szoruj do technicznego.

Górny wyszedł do pokoju zwanego wagonem sypialnym i wyjął papierosa. Zanim zapalił, po raz drugi spróbował połączyć się z Julią.

Po sygnale zostaw wiadomość.

– Mam nadzieję, że dobrze się bawisz, ale wyhamuj, Julia. Oddaj dziewczynę, bo robi się dym. Słyszysz? Oddaj Brewkę. W ogóle po jaką cholerę ją stamtąd wywiozłaś? Możesz mi to wyjaśnić? Byłoby miło, gdybyś wreszcie odebrała, albo najlepiej oddzwoń. Martwię się o ciebie, więc bądź tak uprzejma i daj znać, gdzie jesteś. Dopóki będę mógł ci pomóc, to pomogę. Potem może być za późno. Madejski znowu przestał cię kochać, więc nie zdziw się, jak puści za tobą psy. Opamiętaj się. Na razie.

ROZDZIAŁ XI

Znów była sama. Przez dwa miesiące, jakie spędziła w tym domu, zdarzało się to naprawdę rzadko. A już na pewno nie odczuwała tego tak dotkliwie jak teraz. Dziewczyny pojawiały się i zaraz potem znikwały, nie zdążyła się nawet z żadną zapoznać. Nie знаła ich imion i nie widziała twarzy, dlatego było jej łatwiej. Kiedy trafiła tu Monika, cieszyła się, ale na krótko. Przytakiwała, kiedy ta powiedziała, że nie zamierza tu zgnić, ale swoje wiedziała.

Wolała nie myśleć, ile minut po tym, jak Monika wymknęła się przez piwniczne okno, złapali ją i zabili. Bo zrobili to, tego była pewna. Stąd nie ma ucieczki.

Krótką była ta jej upragniona wolność. Nim się rozstały, poprosiła ją, żeby przekazała coś Reni. To nie miało żadnego sensu, wiedziała przecież, co ją czeka. Ale chciała w ten sposób dodać jej pewności siebie. W myśl zasady, że jeśli choć jedna osoba w ciebie wierzy, już jesteś wygrany. Jak jej wtedy powiedziała? „Kiedy spotkasz się z moją siostrą...” Nie „jeżeli”, ale „kiedy”. Mała, a jakże wielka różnica. Potem się rozstały.

To był dzień, w którym czekała ją kąpiel. Założyła opaskę na oczy i ruszyła schodami na górę. Zahaczyła nogą o stopień na tyle niefortunnie, że upadła. Wtedy poczuła, jak na jej włosach zaciskają się palce. Krzyknęła z bólu i poszła dalej.

Brązowe linoleum udające drewno i białe kafelki – tyle widziała spod zsuniętej przy upadku opaski. I jeszcze kabel zwisający z haka. Zawsze tam był, długi i gruby jak palec. Z metalową końcówką, którą podpina się do prądu. Zobaczyła dół pralki, z której spływała kraciasta cerata, i stojący obok niej kosz z ogrodowymi narzędziami: sekatorem, motyką z ułamanym trzonkiem i pikownikiem. Więcej nie dawało się podejrzeć.

Ściągnięto z niej koszulę i popchnięto w stronę wanny. Wiedziała, że to już koniec. Wtedy pomyślała o Monice. W tej ostatniej chwili chciała doświadczyć tego co ona: poczuć bunt i siłę. Zapomnieć o lęku. „Jeśli mam umrzeć, to na własnych warunkach” – powiedziała, po czym zerwała z oczu opaskę. Poczowała przypływ cudownie bezczelnej dumy, a zaraz potem cios w kark. Zachwiała się na nogach, ale jeszcze wtedy nie upadła. Dlatego uderzyli raz jeszcze.

Ocknęła się kilka godzin później, już na dole, na cuchnącym materacu. Zza ściany dobiegały przekleństwa i ciche stukanie młotkiem. Okno w celi obok zostało dokładnie zabite. Zrozumiała, że Monika naprawdę uciekła.

Ona tak, ale nie Danka. Danka była zbyt głupia, żeby utrzymać się na powierzchni. Zabrakło jej instynktu przetrwania.

Po tym, jak zniknęła, wyczekiwała, aż po nią też przyjdą, kolejny raz i już na pewno ostatni. Żadna z dziewczyn nie przebywała tu dłużej niż miesiąc. Zapomnieli o żelaznej zasadzie czy pogubili się w kalendarzu? Pewnie dlatego jeszcze żyje, przez przypadek. W końcu nie jest w niczym lepsza od tamtych poprzednich.

Teraz jest tu tak pusto i cicho. Zbyt wcześnie, by słyszeć kroki na górze. Zbyt wcześnie na ujadanie psów. Ledwie świta.

* * *

Pani Jania nie zapalała lampy. Przystanąła na progu pokoju, wpuszczając światło z korytarza, i zacisnęła na piersiach lekki sweter w niebieskie prążki. Spojrzała z westchnieniem na plecak Reni. Czekał przy jej łóżku spakowany od wczorajszego południa. Na wierzchu leżał jedynie paszport i włożony między kartki bilet.

– Dużo tego nie masz jak na podróż na koniec świata – powiedziała szeptem, by nie budzić dziewczyny śpiącej na łóżku obok. – Na pewno niczego nie zapomniałaś?

– Mam wszystko.

Reni rozejrzała się dla pewności po pokoju. Jej nocny stolik był pusty, szuflada też. Kosmetyki pochowane, buty na nogach.

– Boisz się? – spytała kobieta. – Ja bym się bała.

Chciała odpowiedzieć, że da sobie radę. Ale z każdą minutą, jaka przybliżała ją do wyjścia, serce zaczynało coraz bardziej wariować. Za trzy

godziny wsiądzie do samolotu. Po kolejnych czternastu zapakuje się do taksówki, która zawiezie ją prosto do kliniki. Dostanie łóżko i będzie czekać.

– Oby cię tam do końca nie popsuli. Że ani babą nie będziesz, ani chłopem. Bo jakby tylko spróbowali, pojedę tam i osobiście wygarbuję im skórę – zażartowała Jania, ale żadna z nich się nie uśmiechnęła.

Do łomotania serca doszedł ostry ból w brzuchu. Reni położyła dłoń poniżej pępka i zaczęła okrągłymi ruchami rozmasowywać gromadzący się pod skórą stres. Jeszcze sekunda, a zwymiotuje. Tyle razy wyobrażała sobie tę chwilę, jak z uśmiechem na ustach zapina w samolocie pasy bezpieczeństwa i leci ku swojemu nowemu życiu. No i jak potem budzi się po operacji w naprawionym ciele, dużo doskonalszym niż obecne. Jak wysyła zdjęcie Sarze z wiadomością: „Już po wszystkim, zrobiłam to dzięki tobie”. W jej dopracowanym w każdym szczególe planie zawsze było tak samo: fotka z przesadnie obolałą miną, jeszcze ze szpitalnego łóżka, i zaraz potem kolejna, z wyszczerzonymi z radości zębami i kciukiem wyciągniętym w górę. Plan nie zakładał, że Sary zabraknie i nie będzie miała komu się poskarżyć, że boli ją „na dole”, kiedy znieczulenie przestanie już działać. Może gdyby wszystko poszło zgodnie z pierwotnym scenariuszem, nie czułaby takiego pieczenia w ciele.

– Zaraz przyjedzie taksówka – powiedziała, spoglądając w półmroku na wskazówki zegarka. – Powinnam się zbierać.

– Może chcesz, żebym pojechała z tobą?

– Nie trzeba, do lotniska niedaleko. Dam sobie radę.

– Bo jeśli...

– Pomogła mi już pani wystarczająco. A za ten bilet na pociąg do Wrocławia zwrócę co do złotówki.

Pani Jania machnęła ręką.

– Nie liczymy się jak Żydzi. Ważne, że załatwiłaś, co miałaś załatwić.

Po tym, jak wstawiła nagranie na swój profil, pierwszy komentarz pojawił się po zaledwie kilku minutach. Brzmiał mało przyjemnie: „Śmierć lesbom i pedałam”. Dziwne, bo lesbą nie była, pedałem też nie. Burza rozpuściła się natychmiast. Siedziała w pociągu powrotnym do Warszawy i czytała wszystko jak leci, od „Brawo, dziewczyno” poprzez „A mnie to wisi” po „Ewidentne parcie na szkło, że aż żal dupę ściska”. Publicznie stała się transem, zbokiem i dziwadłem. Na prawie sto komentarzy, jakie przeczytała, tylko kilka odnosiło się do tego, co działo się za murami kościoła. Dwóch użytkowników załączyło to samo zdjęcie z rzucającą się na łóżku

Emily Rose, co wzbudziło powszechną wesołość. Jeden poszedł dalej i wrzucił parodię *Egzorcysty*. Mogła się tego spodziewać, choć w głębi duszy nie na taki odzew liczyła. Zanim odłożyła telefon, przeczytała wiadomość od człowieka o nicku Nieswój. Był jak ona, nie w swojej skórze. Przeszłość miał tak samo pokręconą, ale plany na przyszłość dużo prostsze. Miały się zrealizować jeszcze tego samego dnia, równo o północy, kiedy żona i dzieci będą już smacznie spać. Strych, belka i sznur. Napisał do niej, bo chciał komuś o tym opowiedzieć, po czterdziestu trzech latach swojego życia.

– Chodź, odprowadzę cię chociaż do wyjścia. – Pani Jania zaszurała butami. – Ktoś przecież musi cię pożegnać.

Reni nie chciała płakać, ale zwilgotniały jej oczy. By powstrzymać łzy, najlepiej szybko zamrużyć, tak zapamiętała z dzieciństwa. Matka była w tych sprawach ekspertem. Reni była przekonana, że namrużowała się przez te wszystkie lata życia z ojcem tak bardzo, że jej powieki powinny już skrzypieć.

– Myśl tylko o tym, co przed tobą – usłyszała i poczuła poklepywanie po plecach. – Nie o tym, co było, rozumiesz? Tamto to przeszłość. No, spokojnie, dziecko... Zadzwoń, jak tylko dotrzesz na miejsce. A teraz uciekaj, bo jeszcze samolot poleci bez ciebie.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła panią Janię, pomyślała o niej, że jest tak pospolita, że idealnie wpasowała się w ten mdły zakątek, gdzie poza żółtymi lamperiami na korytarzach wszystko jest szare i nijakie. Teraz też, w zbyt ciasnym sweterku w paski nie wyglądała zniewalająco. Jednak tkliwość, którą zobaczyła w jej oczach, kiedy się z nią żegnała, czyniła ją piękną kobietą. Teraz widziała to wyraźnie.

– Odezwę się, jak już będzie po wszystkim – odparła Reni, przesuując palcami po wystrzyżonych włosach. – Przyda mi się wsparcie.

Kobieta chwyciła ją za głowę i pocałowała w środek czoła.

– Zawsze, moje dziecko.

Nim wsiadła do czekającej przed wejściem taksówki, upewniła się, że koperta z dolarami, które dostała za sprzedaż sygnetu z czarnymi diamentami, leży bezpiecznie w kieszonce plecaka.

Zapięła pasy i opuściła szybę. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale pani Jania ją uprzedziła.

– Do usłyszenia, Robercie. Tylko do przodu, pamiętaj!

* * *

Słońce wpadło śmiało przez okno i wypełniło pokój, nagrzewając go w okamgnieniu. Julia odrzuciła z nóg kołdrę, ale jeszcze nie zamierzała wstawać. Rozejrzała się najpierw po suficie, po czym przesunęła wzrok na fototapetę na przeciwległej ścianie. Przedstawiał harmonię – tak pomyślała, kiedy zobaczyła ją po raz pierwszy. Jezioro i las okalający wodę. Brakowało tylko ptaków szalejących między gałęziami.

Chciała je sobie wyobrazić, zwłaszcza wczoraj, gdy próbowała zasnąć, co nie było proste. Noc rozpoczęła się przy akompaniamencie dochodzących zza ściany odgłosów ostrego seksu. Julia zrezygnowała więc z fantazjowania o ptakach i zabawiła się w obstawianie, czy to mężczyzna jest na przeciągającej się kolacji z wymaginowanym klientem, czy też może kobieta urwała się z małżeńskiej sielanki, wymawiając się babskim wieczorkiem u przyjaciółki. Po dwóch godzinach ucichli, po kolejnym kwadransie drzwi pokoju obok szczęknęły. Zaraz potem z parkingu wyjechał samochód zakochanych, a Mazovia ponownie opustoszała.

Monika tego nie słyszała, spała odwrócona do niej plecami. Padła na łóżko, gdy tylko się ściemniło, i odpłynęła, wpatrując się w okno. Nie pozwoliła go zasłonić. „Żadnej ciemności” – powiedziała stanowczo. „Nienawidzę mroku, szyby muszą być odsłonięte”. Pilnowała, by Julii nie przyszło do głowy zaciągnąć stor, aż zasnęła wtulona w poduszkę.

Julia spojrzała na zegarek. Była siódma pięć. Usnąć już nie uśnie. Za dużo światła i za dużo ciepła. Usiadła na łóżku i wsunawszy stopy w skórzane botki, wyszła do łazienki. Widok prysznicza i rdzy otulającej ramę metalowego natrysku nie zachęcał do kąpieli. Położyła na dnie brodzika mały ręcznik i stanęła pod strumieniem ledwo ciepłej wody. Siedemdziesiąt złotych za dobę, przypomniała sobie natychmiast. O co tu mieć pretensje? Na deskę sedesową w bliżej nieokreślonym kolorze zawsze można położyć grubą warstwę papieru toaletowego i udać, że nie widzi się tego, co wystaje spod ceramicznego kołnierza. Byle tylko spłuczka działała, to da się przeżyć. Za to lustro nad umywalką było idealnie czyste. Łazienka wyglądała, jakby sprzątaczką weszła do niej z chęcią zrobienia porządku, ale po minucie opadła z sił. Albo przeszkodził jej dzwoniący telefon.

Tak jak dzwonił teraz.

Zakręciła wodę, by upewnić się, czy to rzeczywiście telefon. Swojego smartfona wyłączyła wczoraj, a para zza ściany wyniosła się przed trzecią

nad ranem. Wszystko wskazywało jednak na to, że dźwięk dochodził z jej torby stojącej na nocnym stoliku.

Wsunęła mokre stopy w botki i obwiązała się ręcznikiem. Kiedy weszła do pokoju, panowała w nim już całkowita cisza. Łóżko Moniki było puste, a sportowa torba na zamek – otwarta.

Dopadła do niej i wsunęła dłoń na sam spód. Odetchnęła z ulgą, gdy poczuła pod palcami stanik i zawiniętego w niego glocka.

To musiał być telefon Górnego, ten na kartę. Wysypała na łóżko zawartość swojej podręcznej torby, ale telefonu nie było. Poczuła za to zapach papierosowego dymu, który wciskał się z zewnątrz przez szparę w drzwiach.

Stała w progu pokoju i rozejrzała się po parkingu. Monika siedziała na masce skody w jej sukience. W jednej ręce trzymała tłącego się vogue'a, w drugiej obracała magazynek z nabojami.

– Będziesz nimi rzucać? – spytała, zaciągając się papierosem. – Bo broni nie znalazłam.

Zaciskając ręcznik na piersiach, Julia podskoczyła do niej i odebrała amunicję.

– Wolałabym, żebyś nie grzebała w moich rzeczach. Nigdy więcej tego nie rób, rozumiemy się?

– A ja wolałabym wiedzieć, kim naprawdę jesteś. – Dziewczyna uniosła brwi. – I co to za film, który kręcisz? Bo jeśli bawisz się w kolejną reporterkę, to sorry, ale przegięłaś.

Zeskoczyła z maski i rzuciła niedopałek pod nogi. Rozgniotła peta kapciem, po czym pchnęła na wpół otwarte drzwi ich pokoju. Kiedy Julia stała za nią, nawet nie odwróciła w jej stronę głowy, za to z zainteresowaniem wpatrywała się w krajobraz z fototapety.

– Idiotkę ze mnie zrobiłaś. Mam nadzieję, że jesteś zadowolona – warknęła.

Julia rozłożyła ręce w pytającym geście.

– Porwanie, przydrożny motel, naboje, gadka o tym, jak bardzo szukasz Sary, zajawka o filmie... – wyliczyła Brewka. – Zaczynam się czuć jak w kiepskim serialu.

– O filmie nic nie mówiłam. Reszta się zgadza.

Wreszcie się odwróciła. Była wściekła.

– Spotkajmy się w sprawie filmu, mogę pomóc. – Wykrzywiła twarz niczym rozgoryczone dziecko. – Tak powiedziała.

– Kto?

– Ty mi powiedz. Może jest was więcej. Cholernych dziennikarek napalonych na moją historię. Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię.

Zatem to nie Górny dzwonił na drugą komórkę.

Julia znów pokazała dziewczynie swoją licencję, na którą wczoraj nawet nie spojrzała, po czym wyciągnęła rękę, żądając zwrotu telefonu.

Brewka wskazała brodą na parapet.

– Jest gdzieś tam. Albo nie, poczekaj.

Szybkim ruchem ściągnęła narzutę ze swojego łóżka. Komórka wyplątała się z grubego materiału i upadła na wykładzinę.

– Odebrałam, bo mnie denerwował. – Zaczynała łagodnieć. Podniosła telefon z podłogi i rzuciła go Julii. – Dzwonił chyba z minutę, kiedy ty moczyłaś się pod prysznicem. Więc nie miej pretensji.

Sięgnęła po swoją chustkę na głowę, a potem wyszła z nią do łazienki i stanęła przed lustrem, próbując zawiązać materiał tak, by zakrył jej postrzępione włosy.

Julia sprawdziła listę ostatnich połączeń. Było tylko jedno. Wcisnęła zieloną słuchawkę.

Sygnał trwał zaledwie kilka sekund, po czym abonent odrzucił rozmowę. Spróbowała ponownie, ale z tym samym skutkiem. Za trzecim razem usłyszała dwa krótkie dźwięki, co oznaczało, że została zablokowana.

– Co dokładnie powiedziała ta kobieta? – zawołała Julia w stronę łazienki. – Przypomnij sobie, to może odpuszczę ci grzebanie w mojej torbie i znów będziemy przyjaciółkami.

– Jakby mi na tym zależało. Najpierw chcę wiedzieć, o co chodzi z tym filmem.

– Za długo by tłumaczyć.

Monika chwyciła szczoteczkę do zębów i wycisnęła na nią pastę, by usunąć z ust cierpkość po wypalonym vogue'u.

– Do jutra chyba zdążysz? – wybełkotała przez pianę w buzi. – Bo spotkanie w sprawie filmu ma się odbyć w sobotę. To jak? Kładziesz karty na stół czy kończymy znajomość i każda idzie w swoją stronę?

Jak na pacjentkę z traumą radziła sobie całkiem nieźle.

– Żadnego filmu nie będzie – wyjaśniła Julia, wchodząc do łazienki i opierając się ostrożnie o ściankę prysznica. – To prowokacja na potrzeby śledztwa.

Brewka wypluła pianę z ust i ponownie zabrała się do układania chustki, widząc, że kilka niesfornych kosmyków wysunęło się spod materiału.

– Słyszałam o takich sztuczках.

– Więc to właśnie taka sztuczka. Policja szuka kogoś, kto ma informacje o ciałach porzuconych w lesie.

Dziewczyna znieruchomiała. Wyglądała jak modelka pozująca do obrazu *Kobieta przed lustrem* François Roganeau, z rękami uniesionymi do splatania długich czarnych włosów. Choć miała jedynie chustkę, wyglądała identycznie.

– Nie mówiłaś nic o ciałach – powiedziała ściszym głosem.

– Tak było lepiej. Chorych na nerwy nie powinno się bombardować takimi informacjami. Miałam cię za chorą.

– Ale już nie masz. Więc, co to za ciała?

– Sześć zamordowanych dziewczyn. Znalezione je w Kampinosie, kilka kilometrów stąd. Wszystkie mniej więcej w twoim wieku. Rozumiesz więc, że wolałam ci o nich nie mówić.

Brewka oparła ręce o umywalkę i pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Żarty sobie robisz? Mogłam być jedną z nich. Gdybym nie uciekła, nie mówiłabyś o sześciu ciałach, tylko o siedmiu. Więc łaskawie wyłącz tryb litości nade mną, bo akurat teraz jej nie potrzebuję. Sześć ciał... – Zaciśnęła palce na zlewie. – Czyli tyle ich było.

– Tyle odnaleziono – sprostowała Julia.

– Skurwysyny... Wiedziałam, że one znikają, ale myślałam, że to klasyczny przerzut do kolejnych klientów, o ile ich wcześniej nie zagłodzą lub nie zamęczą.

– Przykro mi. A teraz powiedz, o której ma się odbyć spotkanie.

Dziewczyna spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

– Nie tak szybko. Powiem, ale pod jednym warunkiem. Od tej chwili działamy ręką w rękę.

– Nie przejdzie. Pracuję indywidualnie.

Odpowiedź jej się nie spodobała. Wyminęła Julię, wyjęła z jej podręcznej torby portfel, a z niego stuzłotowy banknot. Zwinęła go i wcisnęła sobie za stanik.

– Twój wybór – powiedziała, chwytając za klamkę. – Wracam do kliniki, a ty czekaj na cud. Może twoja tajemnicza informatorka odezwie się ponownie.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie mogę cię narażać. – Julia zatrzymała ją, zanim przestąpiła próg. – To niebezpieczni ludzie.

– Ojej.

Jednak była wariatką, i to nieudawaną.

– Chcesz zasad? To teraz usłyszysz moje. Są banalnie proste: planujemy wspólnie, ale to ja decyduję, czy mam cię zabrać na akcję, czy zostawić w motelu. To moje ostatnie słowo. Jeśli ci to nie pasuje, droga wolna.

Julia wyjęła z torby podróżnej dzinsy, czystą bieliznę i biały podkoszulek. Zamknęła się na pół minuty w łazience i wciągnęła na siebie ubranie. Obawiała się, że gdy wróci do pokoju, będzie pusty. Brewka jednak nie wyszła.

– To od czego zaczynamy zabawę? – spytała jak gdyby nigdy nic.

Wariatka na całego.

– Od zwrócenia mi moich pieniędzy. Proponuję załatwić to od razu, na wypadek gdyby znów dopadły cię problemy z pamięcią. Potem pójdziemy na śniadanie. – Julia sięgnęła po swoje słoneczne okulary.

– Tak, smażone jajka...

– Przede wszystkim kawa, nie spałam pół nocy.

– Niegrzeczna parka za ścianą? Dawali ostro czadu. Na szczęście nauczyłam się wyłączać. Ta kobieta z kliniki, z łóżka obok, też potrafiła się łajdaczyć. Sama ze sobą, ale jechała bez trzymanki. Przez pierwsze dni myślałam, że coś jej zrobię. Przyzwyczyłam się do jej jęków dopiero po miesiącu.

Brewka wygrzebała zza biustonosza banknot i położyła go na wyczekującej dłoni Julii. Zatrzasnęły za sobą drzwi i wyszły na zalany słońcem parking.

– Zapowiada się ładny dzień – rozmarzyła się Monika, wystawiając twarz do ciepłych promieni. – I wreszcie się dogadałyśmy. Przy śniadaniu opowiesz mi o tych zmarłych dziewczynach.

– Nie wiem, kim były. Za wcześnie na identyfikację.

– Nie chodzi mi o ich nazwiska. Chcę wiedzieć, co im zrobiono.

– Lepiej będzie dla ciebie, jeśli oszczędzę ci szczegółów. I nie uruchamiaj wyobraźni, bo może cię zabołec.

Czekała, aż Brewka znów powie „ojej”, ale milczała.

– Nie boję się prawdy – powiedziała po chwili. – Nawet ta najgorsza jest lepsza od domysłów. Muszę ją usłyszeć, ze względu na pamięć o Sarze.

A spotkanie z tą kobietą od telefonu jest o szesnastej. Podobno chce pomóc przy szyciu kostiumów.

* * *

– Na ten moment nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć. – Lipski złożył zamaszty podpis pod wstępnym protokołem z sekcji kolejnych trzech ciał znalezionych w Kampinosie, po czym włożył dokument do skanera.

Górny czekał cierpliwie, aż maszyna prześle dane do komputera na biurku patologa. Gdy skaner zrobił swoje, wyciągnął rękę po oryginał.

– Brak uszkodzeń? – Zapytał, przewracając kartki.

– Owszem, jeśli chodzi o kości. A co do tkanek miękkich... sam pan wie, w jakim są stanie. Analiza tego, co z nich pozostało, może zająć tygodnie.

– Przyznam, że spodziewałem się lepszych wieści.

– Potwierdzenia, że ofiary zginęły w ten sam sposób co poprzednie kobiety? Niestety, tym razem mamy do czynienia z niemal całkowitym rozkładem ciał. Przebywały pod ziemią znacznie dłużej niż trzy pierwsze.

– Gdy wyciągnięto je na powierzchnię, miałem wrażenie, jakby były zwęglone.

Lipski sięgnął po stojący na parapecie termos i odkręcił zatyczkę. Zapach kawy rozniósł się po sali.

– Życzy pan sobie? Parzona rano, ale termos dobrze trzyma.

Górny pokręcił głową.

– Postanowiłem opisać ten przypadek w nowym podręczniku z zakresu medycyny sądowej. Tak, poproszono mnie o udział w publikacji – przyznał z wyraźnym zadowoleniem Lipski. – Pan coś kiedyś publikował? Nie? A wykłady z taktyk policyjnych? Też nie? Polecam, to dobrze działa na szare komórki. Człowiek powinien się sprawdzać na wielu płaszczyznach, a praca nad słowem pisanym rozwija i daje inną perspektywę. Niech pan spróbuje, doświadczenia przecież panu nie brakuje, byłoby o czym pisać.

– Może kiedyś. Wróćmy do raportu i zwłok. Pytałem o...

– Tak, tak, o szerniałe zwłoki. – Lipski pociągnął łyk kawy. – Owszem, wyglądają jak zwęglone. To iluzja wywołana przez proces gnilny. Te kobiety zakopano wiele miesięcy temu i, co tu dużo mówić, chemia zrobiła swoje z ich ciałami.

– Jest pan w stanie ocenić, jak długo leżały w ziemi? W raporcie nie widzę żadnego konkretnego.

Kolejny łyk kawy.

– Bo go być nie może. Chce pan znać dokładną datę? Niestety, drogi panie.

– Muszę coś wpisać do policyjnych kwitów.

– Niech pan wpisze to, co jest w raporcie z sekcji. W przybliżeniu stawię na osiem, dziesięć miesięcy.

– Zabito je zeszłej jesieni?

– Plus minus. Na pewno przeleżały porę mokrą w ziemi. Ciało mocno dotknęła wilgoć.

Górny wyjął z tylnej kieszeni spodni notes i zajrzał do swoich notatek.

– Te poprzednie trzy...

– Były stosunkowo świeże – dokończył Lipski. – Nazwałem je roboczo letnimi trojaczkami.

– A nowe zimowymi? Nie sądzi pan, że to brzmi nieco koszmarnie?

– Wcale. Do tego bardzo ułatwia mi pracę. Nie znam ich nazwisk, więc jak mam o nich mówić? Denatka X, Y i Z? Daj pan spokój, nie widzę nic złego w tej nazwie.

– Letnie i zimowe... – Górny wrócił do swoich zapisków. – Jak gdyby umierały w kolejności, miesiąc po miesiącu.

– Albo co drugi. Oczywiście...

– Plus minus.

– Co nie zmienia faktu, że najprawdopodobniej zginęły z jednej ręki. Sposób działania sprawcy wydaje się w każdym przypadku identyczny, o ile szczegółowa analiza ciał zimowych trojaczek nie wykaże czegoś innego. Ktoś, kto je zabijał, najwyraźniej upodobał sobie ten sposób krzywdzenia kobiet. Może lubił je karać, a śmierć była tylko tego smutną konsekwencją.

– Miałyby pastwić się nad nimi dla zabawy? Nie sądzę, doktorze. Ludzkość wymyśliła tyle rodzajów tortur, że ofiary miałyby na ciałach również inne oznaki dręczenia. Jedną poraziłby prądem, a drugą przyduszał, byle się dziewczyna męczyła, a on miał swoją seksualną jazdę. Nie napisał pan o nich. Poza znamionami prądowymi i liniami wody w okolicach pępeków nie ma żadnych innych obrażeń.

– Jest nieskończenie wiele rodzajów parafilii, komisarzu. Zadawanie bólu w jeden, powtarzalny, sposób to częsty motyw zaburzeń, chyba nie

muszę tego panu tłumaczyć.

Górny złożył raport na pół i przeciągnął po zgięciu palcami.

– Pozwoli pan, że pozostanę przy własnej wersji. Celem sprawcy było, żeby je zabić, szybko i skutecznie. Może gdyby na ciałach pozostawiono jakikolwiek ślad wskazujący na przemoc seksualną, przyznałbym panu rację. Ale go nie ma.

Podniósł się z fotela i wsunął raport do wewnętrznej kieszeni sportowej marynarki.

– Dziękuję, że przyjął mnie pan w biurze, nie tam gdzie zwykle.

– Przebywanie na sali sekcyjnej wciąż jest dla pana utrapieniem? – zaśmiał się Lipski. – Powinien pan tam częściej bywać, wtedy pan przywyknie. Regularność to podstawa. Chyba że chce pan do emerytury ratować się maścią kamforową. Nie polecam, potrafi strasznie piec, jak się z nią przesadzi. Ten słoik, co go trzymam na dole, w sali sekcyjnej, jest na wszelki wypadek, dla studentów pierwszego roku.

– Czyli nie jestem jedyny. – Górny potrząsnął na pożegnanie ręką Lipskiego.

– Zawsze trafi się jakiś wrażliwy na dwudziestu normalnych. Niech się pan nie pogniewa, ale to nie jest komplement. – Lipski poklepał go serdecznie po dłoni. – Dlatego mam nadzieję, że zobaczymy się już wkrótce właśnie podczas autopsji. O ile mi wiadomo, prokuratura ma dla mnie w zanzardzu jeszcze jedno ciało do analizy.

* * *

– Co z nimi zrobimy? – Młoda stażystka ubrana w obcisłą szarą garsonkę stanęła przed biurkiem Antoniego Bugaja i przesunęła wzrok z wiszącego na ścianie godła z orłem na twarz sołtysa. – Z tymi końmi po Zabielskim? Wiem, że nie żyje dopiero od kilku dni, ale obawiam się, że nawet za rok nie znajdziemy chętnych do przejęcia ośrodka.

Bugaj wyprostował się w fotelu i pokiwał w tył i przód.

– Nawet po śmierci ten pijanica sprawia kłopoty.

– Konie stoją w boksach, odkąd go zabrakło. Nikt nie wypuszcza ich na wybieg.

Chciała dodać, że powinny być ujeżdżane przynajmniej raz dziennie, ale Bugaj był szybszy.

– Od stania nic im nie będzie. Najwyżej obrosną tłuszczem, od tego akurat nie padną.

Kobieta poprawiała pod szyją kołnierzyk białej bluzki.

– Padną, ale z głodu. Dzwoniła ta młoda wolontariuszka. Była tam, żeby sprawdzić, co się dzieje, i dać im wody. Powiedziała, że żłoby stoją puste, a konie jeść przecież muszą.

– Jak wszyscy. Tylko dlaczego mają jeść za moje?

Stażystka nachyliła się nad biurkiem.

– Ludzie już zaczynają gadać, że pan serca nie ma.

Bugaj podciągnął się na podłokietnikach i stęknął, wstając z fotela. Wyminął ją i podszedł do okna, by opuścić metalowe żaluzje.

– Od zawsze gadali i gadać będą. Stacjonata jest nierentowna, a pieniędzy mam tylko tyle, żeby pokryć co ważniejsze potrzeby. Ludzi, nie zwierząt.

– Ta klacz, Harfa... Jest cenna. Na pewno znajdzie się na nią kupiec. Tylko zadbać o nią najpierw trzeba, bo zdziczeje.

– Już dawno zdziczała. Może byłaby jakaś szansa na sprzedaż, gdyby Zabielski ułożył tego konia, jak należy. Takich szalonych chabet nikt nie chce. A ten drugi to zwykły kundel.

Widział, jak twarz kobiety posepnieje.

– Przecież nie dam zrobić im krzywdy – powiedział tonem, który miał wypaść dobrotliwie, a zabrzmiał jak słowa kata tłumaczącego skazańcowi, że to potrwa tylko chwilę. – Sam chowam zwierzęta.

– Tak, wiem. Psy.

– Piękne sztuki. Jeszcze żaden nie zdechł, więc... – Bugaj popukał się w środek rozpiętej na brzuchu marynarki. – Serce mam, gdzie trzeba. Coś wymyślę.

Kobieta poprawiała po raz kolejny kołnierzyk i otworzyła nieśmiało usta.

– Jest takie miejsce, niedaleko. Sanktuarium dla niechcianych zwierząt. Wezmą je tam na pewno, trzeba tylko zrobić badania, że są zdrowe. Weterynarz przecież to poświadczy, w końcu to młode konie. No i jeszcze zorganizować transport. Jeśli gmina nie pomoże, zbierzemy datki we wsi. Wystarczy ogłosić zbiórkę, najlepiej z ambony.

Bugaj podszedł do niej i chwycił dłońmi jej rozedrgane z emocji ramiona.

– Weterynarz i transport? Niech będzie, dam, ile trzeba. Ludzie powinni poczuć, że jest we wsi prawdziwy gospodarz. A teraz proszę już wracać do

pracy i nie martwić się końmi.

Pchnął ją delikatnie w stronę drzwi. Wyszła bez oporu i z uczuciem ulgi. Chyba nawet wreszcie się uśmiechnęła, jakby dziękowała mu w imieniu Harfy i jej mniej rasowego kolegi.

Bugaj docisnął klamkę, wrócił za biurko i odszukał numer do weterynarza, który opiekował się miotami bassetów w jego hodowli i przyjmował porody suk. Porządny chłop, nawet dał mu w prezencie jednego szczeniaka, dla syna na Gwiazdkę. Dla dalszej dobrej współpracy. Dzieciak marzył co prawda o bokserze i na widok basseta zapragnął obciąć mu ogon, ale weterynarz nie dał skrzywdzić szczeniaka. Dobry, poczciwy człowiek.

Odebrał połączenie niemal natychmiast. Bez przerywania słuchał, co Bugaj ma mu do powiedzenia. Gdy ten skończył, zapytał tylko, czy jest pewien, że chce w ten sposób rozwiązać problem koni Zabielskiego.

– Nie żal ci ich? Chcesz, żebym je uśpił tak po prostu? Nie zabija się zdrowych koni.

– Przestań się rozczulać i zrób, jak ci mówię. Tylko nie na ludzkich oczach, nie w ujeżdżalni. Wywieź je gdzieś dalej, żeby nie było świadków. Do diabła, to tylko głupie zwierzęta! W raporcie napisz, że padły z przeżrzenia. W końcu jest upał. No to każdemu po szprycy, jasne?

* * *

Klient po sześćdziesiątce, z Podkarpacia, importujący wina z Korsyki...

Przecież nie zaznaczyła w formularzu Francji.

Szuka pani do wspólnych wypraw po towar i zapewnia jej nocleg oraz wyżywienie...

Jednym słowem: Bed & Breakfast.

Jako dodatkowy bonus niewykluczone jest wspólne zwiedzanie winnic...

Przyjemne z pożytecznym.

Zapewniony miłe spędzony czas podczas degustacji wina...

Szkoda, że degustować alkohol przestała kilka lat temu.

Oraz szkolenie z jego wytwórstwa.

Ugniatanie nogami gron w kadzi?

Więcej propozycji od sponsorów nie było. Julia zamknęła swoją skrzynkę mailową w komputerze udostępnionym w motelowej strefie wi-fi i opadła na oparcie wiklinowego fotela.

Bryndza. Bieda. Nie kwalifikowała się jako *sugar baby*. Oferta Afrodyty przypominała ofertę biura podróży, jeśli nie klasyczny obóz pracy. A gdzie obiecywane jachty i masaże lomi lomi?

Weszła na stronę agencji i zaczęła pisać w „Zostaw wiadomość, a odezwiemy się tak szybko, jak to będzie możliwe”:

Szukam czegoś od zaraz, najchętniej w bliskich rejonach Warszawy, wezmę każde zlecenie. Chciała dopisać, że dojedzie na własny koszt, ale zrezygnowała. Nawet największa desperacja ma swoje granice.

Kupiła coś w maszynie i wróciła do pokoju.

– Nic się nie nadaje. – Monika oderwała wzrok od ubrań rozrzuconych na łóżku. – To mają być twoje najlepsze ciuchy? Serio?

Wśród bawełnianych podkoszulek i dwóch sukienek do kolan nie mogła doszukać się cekinów i połyskujących nitek.

– Serio.

– W takich ciuchach przecież nikogo nie wyrwiemy. Nie ma siły. Faceci lubią, jak laski rzucają się w oczy. A to to badziewie jakies.

Julia odebrała jej z rąk swoją ulubioną podkoszulkę w stylu moro i złożyła ją w kostkę.

– Nikogo nie zamierzam wrywać. Agencja ma mnie doprowadzić do mordercy kobiet, i to wszystko.

– Ja nie o tym. Zaczekaj.

Dziewczyna zakręciła się na pięcie i wyszła na krótką chwilę z pokoju. Kiedy wróciła, trzymała w ręce podłużną ulotkę. W plastikowym stojaku na recepcji było kilka podobnych. Informowały o atrakcjach regionu. Muzeum Kolei Wąskotorowej, Muzeum Pola Bitwy nad Bzurą czy dawna Baza Cyrku Julinek. Julia tylko musnęła je wzrokiem. Zwłaszcza tę z cyrkiem. Z dręczeniem zwierząt ku ucieście gawiedzi jakoś jej nie po drodze, nawet jeśli to już historia.

– Jutro sobota – powiedziała Monika, wachlując sobie twarz ulotką.

– I spotkanie z kobietą w sprawie filmu.

– Filmu, który nie powstanie – doprecyzowała Monika. – Ważne, ale... co powiesz na odrobinę rozrywki?

– Mało ci atrakcji?

Brewka usiadła na gładko ułożonej narzucie na swoim łóżku, przykrytej jak zwykle czystym ręcznikiem.

– To nazywasz atrakcją? Pomarańczowy pokój na zadupiu i betonozę za oknem?

– Najwyraźniej zapomniałaś, po co tu jesteśmy.
– Zabito dziewczyny i świetnie wiem, o co idzie stawka. Ale potrzebuję zapomnieć na chwilę o tym wszystkim. Mam dziewiętnaście lat, a zamiast cieszyć się życiem, spędzam czas ze starszą... sorry, Julia. Z kimś tak sztywnym jak ty.

Więc jednak była sztywna.

– Co proponujesz?

Poderwała się z łóżka i wyprostowała rękę w łokciu, wyciągając przed sobą kolorową ulotkę.

– Wiejska zabawa w Milano? – Julia przyjrzała się zdjęciu, które jak nic przedstawiało remizę. – Moje standardy rozrywki może nie są wybujałe, ale twoje też nie najwyższych lotów.

– Ty mi mówisz o standardach? – Monika spojrzała wymownie na stertę bawełnianych ciuchów. – Zgódź się. Potupiemy na klepisku i wrócimy. Obiecuję, że do końca życia nie zapomnisz tej imprezy.

Dyskoteka miała się zacząć o ósmej wieczorem. Spotkanie z nieznaną, która odezwała się w sprawie szycia kostiumów dla aktorów, zaplanowane było na czwartą. Na całkowitym odludziu, pod myśliwską amboną zaszytą w głębi puszczy. Opisała to miejsce dokładnie, Monika dla pewności skrobnęła kilka wskazówek na kartce papieru, a resztę Julii dopowiedziała.

Powinna tam trafić, o ile Brewka się nie pomyliła. Kobieta mówiła szybko, musiała być podenerwowana i nie do końca przekonana, czy postępuje właściwie. Prawdopodobnie dlatego odrzuciła rozmowę telefoniczną: żeby nie negocjować lokalizacji, którą każdy normalny człowiek wolałby zamienić na kawiarnię lub park. Wszystko przemawiało za tym, że nie chciała, by ktoś dowiedział się o tym spotkaniu, i że jako jedyna wyłamuje się z lokalnej społeczności, oferując współpracę.

Monika musiała uznać, że wyprawa do Milano jest przesądzona. Wygrzebała spod ubrań zieloną sukienkę z falbaną przy kolanach i przyłożyła ją sobie do brzucha.

– I jak, obleci? Tylko co z tym? – Skubnęła palcami kępkę włosów. – Przydałby się jakiś żel, żeby ulizać.

Żelu nie było. Po zmoczeniu włosów wodą z kranu przyklepały na kilka minut, ale gdy tylko zaczynały wysychać, znów podnosiły się jak chwasty po ulewie.

Julia wyjęła z torby swoją bejsbolówkę i rzuciła dziewczynie prosto w ręce.

– To ci musi wystarczyć.

Nie wyglądała najgorzej. Przekręciła tylko daszek do tyłu i klasnęła w dłonie, kołysząc przy okazji biustem jak Cyganka podczas tańców przy ognisku.

– I gitara. Jutro całe wsiowe Milano będzie moje.

* * *

– To trucizna. – Szymański położył przed Górnym raport z badania stajni. – Klasyczna trutka na szczury. Cichocka ze swoimi ludźmi przesiała całą wyściółkę z boksu Harfy. Jak by powiedział nasz złotousty Leśniar, to było jak szukanie igły w stogu siana. No i znalazła.

– Chrzanisz. Co w stajni robiła trucizna?

Przebiegał wzrokiem po linijkach raportu. Z każdym kolejnym akapitem jego czoło marszczyło się coraz mocniej.

– Antykoagulanty? – zapytał, gdy dotarł do połowy raportu.

– Działają przeciwzakrzepowo, co wywołuje u gryzoni krwotok wewnętrzny. W odpowiednim stężeniu padają też koty, psy i... ludzie.

Górny zrobił okrężny ruch głową, chcąc rozciągnąć mięśnie szyi.

– Wiem, co to są koagulanty, nie musisz mi tego tłumaczyć. Przypominam ci, że Zabielski nie umarł od trucizny.

– Ale tam była. Może miała trafić na jego talerz, ale ten, kto ją tam przyniósł, wysypał ją przez nieuwagę w końskim boksie.

– Ponoś cię fantazja, Szymański. Miałby się potknąć na sianie i niby niechcący wypadło mu pudełko z granulatem?

– Na końskiej wyściółce łatwo stracić równowagę.

– Pierwsze słyszę. Siano to nie lodowisko. Musiało zdarzyć się coś innego.

Górny wstał od biurka i zaczął przechadzać się po pokoju. Co rusz spoglądał na wiszące na ścianie zdjęcia wykonane aparatem Zabielskiego.

– W boksie tego drugiego konia niczego nie znaleziono? – spytał, stając w rozkroku i krzyżując ręce na piersiach.

Szymański pokręcił głową.

– Jedyne u Harfy. Jeśli nie Zabielski miał zginać, to może ta jego klacz? Tylko co komu szkodzi koń?

– Działalność Stacjonaty opiera się na Harfie. Kucyk to zabawka, przyjemna, ale mało znacząca. To dla Harfy Zabielski starał się o dotację na zabezpieczenie przed wilkami. Jeśli ona by padła, najpewniej zamknąłby biznes i się stąd wyniósł. Problemy sołtysa by się skończyły.

– Może właśnie o to chodziło – zamyślił się Szymański. – Usunięcie Zabielskiego z pola widzenia miało się odbyć w białych rękawiczkach.

– Widzę, że nadążasz. Główkuj dalej.

Szymański spojrzał na Górnego spode łba.

– Teoria mogłaby być prawdziwa, ale skoro komuś tak bardzo zależało na zabiciu Harfy, dlaczego nie wsypał granulatu bezpośrednio do żłobu albo do poidła? To zajęłoby ułamek sekundy, a miałyby przynajmniej pewność, że koń prędzej czy później zdechnie.

– Nie zapominaj, że ze żłobu z łatwością dałoby się pobrać próbki. Lepiej było podać Harfie truciznę prosto z ręki, chociażby w cukrze. Sekcji padniętym koniom się raczej nie wykonuje. Uznano by, że po prostu dostała skrętu jelit i na tym sprawa by się zakończyła. Ale plan się nie powiódł. Podejrzewam, że Zabielski wszedł do stajni w złym momencie, akurat wtedy, gdy gość zabierał się do naszpikowania konia tymi granulkami. Doszło do szarpaniny i granulaty wysypał się na podłogę. Koń przeżył, ale chłop oberwał, i to śmiertelnie. Zabójca zwiął, a on tam został, w boksie.

Szymański usiadł za biurkiem i zaczął uderzać palcami w klawiaturę.

– Tylko jednemu człowiekowi zależało na pozbyciu się Zabielskiego. Prześwietlę tych Bugajów. Jak tylko przekroczyłem próg ich domu, od razu wydali mi się dziwni. Niby serdeczni, ale ta ich serdeczność była taka...

– Przez zęby?

– Do tego mocno zaciśnięte. On dominujący, ona lojalna, a syn jakby nieobecny. Poszperam w komputerze, może na coś trafię. A! Zapomniałem ci powiedzieć, że techniczni ustalają producenta tych medalików ze Świętym Krzysztofem. Szajs straszny, żaden szanujący się jubiler nie wypuściłby takich spod sztancy. Pozostają albo domorośli władcy pierścieni i wszelkiego złomu, albo handlarze szmelcu z AliExpress.

Górny pokiwał z uznaniem głową nad elokwencją kolegi. Jeszcze rok, dwa i całkiem się wyrobi.

– Co z Julią? – spytał Szymański, nie odrywając wzroku od monitora. – Madejski rozpoczął już swoją krucjatę przeciwko pani detektyw?

– Rozpoczął, psy spuszczone.

– Niech się chłop dobrze bawi, życzę mu niepowodzenia – zaśmiał się Szymański. – Swoją drogą, wiesz, co się z nią dzieje?

– Gdybym miał obstawiać, zaszyła się gdzieś z tą dziewczyną i przywraca jej pamięć. Znając Julię, bardzo intensywnie. Będzie siedzieć w swojej norze aż do skutku.

– To jedna z tych, co...

– Wszystko na to wskazuje. Gdyby nie była z tych, Julia by się nią nie zainteresowała. Widziałeś zgłoszenie: pacjentka pourazowa, w trakcie leczenia traumy.

Szymański prychnął mało stosownie.

– I trafiła w ręce Krawiec? No, to się podleczy. Swoją drogą, z Julią to i ja bym się gdzieś zaszył. Tak na dwa dni.

– Nie twoja liga, Szymański. Zajmij się lepiej swoją panną. I robotą – dodał, ściągając z oparcia fotela marynarkę. Z jej górnej kieszeni wyjął przeciwśłoneczne aviatory i umieścił na nosie.

– A ty znowu dokąd? – Głowa aspiranta wychyliła się zza ekranu.

– Do prokuratury. Czas zakończyć tę zabawę w ciuciubabkę.

– Masz zamiar zmusić Sieracką, by uwierzyła w zabójstwo Zabielskiego? Nie przejdzie.

Górny złożył raport o trutce na czworo i uderzył nim w otwartą dłoń.

– Lipski bąknął coś o tym, że prokuratura szykuje mu kolejne ciało do badań. Chcę się upewnić, że chodzi o Zabielskiego.

– A jeśli nie? Co jeśli sprawa jego śmierci zostanie definitywnie zamknięta i dostaniesz zakaz grzebania w dowodach?

– To wycofam się ze śledztwa. Złożę u Madejskiego rezygnację i się usunę. Niech ktoś inny przejmie dochodzenie i prowadzi je dalej po łebkach, bo ja nie zamierzam.

Szymański otworzył usta. Wyglądał jak ryba wyrzucona na brzeg.

– Nie zrobisz tego, stary.

– Nie znoszę partactwa, a te wszystkie morderstwa mają wspólny mianownik. Nie wiem jeszcze jaki, ale wiem, że istnieje. Jeśli prokuratura wypina się na to, żeby go znaleźć, ja zrobię to samo.

Uniesiona brew Szymańskiego oznaczała podziw.

– Jedyna szansa w tym, że jak Sieracka przeczyta kwit od techników, to oprzytomnieje. Urób ją odpowiednio. Ten facet od koni zasługuje na sprawiedliwość nie mniej niż dziewczyny z Kampinosu. Raz już oberwał. Jeśli uznają jego śmierć za wypadek, oberwie po raz drugi.

Górny stanął w drzwiach. Chciał przekazać Szymańskiemu, że gdyby Julia odezwała się na ich służbowy telefon, niech ją przekieruje na jego komórkę. Jednak się powstrzymał. Od wczoraj nie dawała znaku życia, co było jasnym sygnałem, że nie zamierzała się z nikim kontaktować. Jeśli dziewczyna, którą uprowadziła z kliniki, miała jakiegokolwiek informacje o Sarze Lewickiej i pozostałych sześciu ofiarach, będzie działać dyskretnie i nie wychyli się nawet o milimetr. Gdyby to zrobiła, natychmiast odebrałby jej Brewkę i zostałyby z niczym. Nie spali swojej akcji tylko dlatego, że jemu zależy na pogawędce. W ich wspólnym marszu w stronę rozwikłania zagadki zaginięć i zabójstw doszli do punktu, w którym musiała się odłączyć. Zrobiła to bez uprzedzenia, bo po co miałyby się komukolwiek tłumaczyć? Zatem znów działają osobno, każde na własną rękę.

* * *

Skrzynkę mailową Julia otwierała co trzy godziny. Jej komunikacja ze światem wciąż ograniczała się jedynie do komputera w motelowym punkcie wi-fi, znajdującym się kilka metrów od recepcyjnej lady. Portier w przyciśniętej kamizelce na początku spoglądał na nią jak na dziwadło. To, że wyglądał jak wyjęty z lat siedemdziesiątych, nie oznaczało, że nie miał pojęcia o czymś takim jak dostęp do sieci przez telefon. W przypadku tej klientki dość szybko jednak zrozumiał, że zdziwienie lepiej przekuć w brzęczący pieniądz i inkasować za dostęp do internetu po pięć złotych za każdy rozpoczęty kwadrans. Po wyegzekwowaniu opłaty skrył się za świeżym wydaniem „Super Expressu”, udając, że artykuł o zawodach w hokeju na trawie interesuje go bardziej niż kobieta o nieznanym tożsamości.

Julia wsunęła się z krzesłem w kąt recepcji, gdzie intymność miał jej zapewnić wiklinowy parawan, i włączyła Gmaila. Musiała poinstruować Sylwię, by przez pewien czas nie kontaktowała się z nią telefonicznie i wszystko, co ważne, przekazywała jej za pośrednictwem poczty elektronicznej. Przy okazji zapytała, czy w Zakopanem ucichło trzęsienie ziemi wywołane przez Emilię. Do tekstu dołączyła serduszko. Nie spodziewała się szybkiej odpowiedzi, ale córka zareagowała natychmiast. W pierwszym zdaniu wyraziła oburzenie, że matka prowadzi jakąś tajemniczą akcję bez jej udziału, a w drugim zdradziła, że w Zakopanem ziemia wciąż drży. Odrobinę mniej, bo spotkania Sylwii i Jagody zeszły do podziemia, a bab-

cia przyjaciółki zajęła się jakimś zamożnym Niemcem. W odpowiedzi na serduszko wysłała czerwone usta, które miały ucałować mamę.

Julia już miała zamykać skrzynkę, kiedy nadeszła wiadomość od Michaliny:

Nie wiem, co się dzieje, że nie odbierasz telefonu, ale rusz tyłek i podłącz go do ładowania, bo pewnie padła ci bateria. Mam wieści, na pewno cię zainteresują. Oddzwoń.

Nie zamierzała robić wyjątku. Odpisała jej zdawkowo, że jest poza zasięgiem i że kolejny raz zaloguje się do poczty o osiemnastej.

– Mija druga doba – usłyszała zza recepcyjnego stołu. – Trzeba będzie dopłacić, pani Kuraś.

Julia dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że portier mówi do niej. Zdażył nawet powtórzyć swoją uwagę, dużo donośniej i podejrzliwym tonem.

– Niektórzy nie lubią regulować należności. Był tu raz taki, co nawet sobie klucz do pokoju dorobił i waletował przez dwie noce. Wstydu ludzie nie mają.

Sięgnęła do kieszeni po portfel i wyjęła stużłotowy banknot.

– Za nocleg i śniadanie.

Mężczyzna schował pieniądze do szuflady.

– Ta, co jest z panią, była tu w nocy. Kręciła się, nie wiadomo za czym, a to mi się nie podoba. Za młoda jest na nocne spacerki. Jak nie może spać, tabletki dam. Ale niech nie łązi.

Julia była zaskoczona. Facet albo bujał, albo działało się tu coś, o czym nie wiedziała.

– Zdawało się panu. Cały czas była ze mną.

Rozciągnął usta w cynicznym uśmiechu i podrapał się centralnie pośrodku wypukłości na kamizelce.

– Całą dobę tu siedzę, tylko na kilka godzin zmienia mnie syn, jak idę się zdrzemnąć. Widziałem ją, najpierw podeszła tu. – Wskazał palcem miejsce przy maszynie z butelkowanymi zimnymi napojami za dwa złote. – Kupiła wodę i wyszła.

– Więc ma pan odpowiedź. Noc była gorąca.

– A była, była. Pić wolno każdemu. Ale potem poszła na parking. Z parkingu na ulicę. Stąd wszystko widać. – Zerknął na przeszklone drzwi wejściowe i ciągnący się za nimi kawałek asfaltu prowadzący do jezdni. – Tam dalej latarni już nie ma, więc zniknęła mi z oczu.

– Krótki spacer przed snem potrafi zdziałać cuda.

Cmoknął przez zęby.

– Nie był znowu taki krótki. Wróciła po dwóch godzinach. Niech mi pani powie: co taka dziewczyna może robić w środku nocy na autostradzie?

Czekał na odpowiedź, która nie nastąpiła.

– Do tego nie w piżamie, więc to nie lunatyczka. – Recepcjonista przy-mrużył prawe oko. – W kusej kiecec była. Potem kręciła się przy pani samochodzie. Kilka razy szarpnęła za klamkę, jakby chciała ją wyrwać.

Julia niczego nie słyszała. Wydawało jej się, że śpi czujnie i słyszy każdy szmer, ale Monika najwyraźniej odczekała, aż odpłynie na dobre, i ruszyła na zwiedzanie okolicy.

– Niech ją pani lepiej pilnuje, bo o nieszczęście nietrudno. Tiry rozpędzają się, kiedy droga pusta. Nawet nie zauważają, jak ją sprzątną z jezdni.

Podziękowała za troskę i wyszła na zewnątrz. Kiedy wpadła do pokoju, Monika leżała z zamkniętymi oczami na rozpostartym na narzucie ręczniku. Odsypiała nocną wyprawę albo zbierała siły przed kolejną.

Szturchnęła ją w ramię.

– Wstawaj. Wiem, że nie śpisz.

Mruknęła coś, co brzmiało jak „daj mi spokój”.

Julia zsunęła jej nogi na podłogę. Chcąc nie chcąc, musiała się podnieść.

– O co chodzi? – Ziewnęła przeciągle, rozciągając łopatki.

– Gdzie byłaś?

Dziewczyna potarła zaspane oczy.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– O nocy. Wrócił ci sentyment do stania przy drodze?

Poderwała się z łóżka i stanęła pod ścianą. Niemal wcisnęła w nią kręgosłup, byle znaleźć się dalej od Julii. Oczy się jej szklily, jakby dostała nagłej gorączki.

– Nie wiem, czy chce mi się z tobą gadać – odparła urażonym tonem.

– Spróbuj.

– Po pierwsze, nie poszłam tam łapać facetów. Bo tak o mnie myślisz, co? Że chciałam zarobić, nadstawiając tyłka.

– Tego nie powiedziałam.

– Znalazłaś ładniejsze określenie, ale sens jest ten sam. Więc powtarzam, mylisz się.

Oderwała plecy od tapety z jeziorem i dopadła do stolika, na którym leżała paczka vogue'ów. Ręce się jej trzęsły, kiedy wkładała sobie papierosa do ust. Podpaliła go w pokoju i owiana pierwszym dymem wybiegła na par-

king. Pędziła przed siebie, ku ciągnącemu się po horyzont ugorowi. Miała do pokonania dwieście metrów wysypanych żwirem. Kamienie kłuły ją w bose stopy, przez co zatrzymywała się co rusz, by wydlubać spomiędzy palców boleśnie wdzierające się drobinki.

Julia musiała ją dogonić. Złapała za kluczyki do skody i włączyła silnik.

– Wsiadaj! – zawołała przez uchyloną szybę, gdy zrównała się z dziewczyną. – Pogadamy na spokojnie.

Nie słuchała, tylko z obolałą miną maszerowała dalej, zmniejszając dystans do miejsca, gdzie koła skody będą musiały się już zatrzymać.

– Nie bądź dziecko. Mamy robotę do zrobienia, pamiętasz?

Zatrzymała się nagle. Stała na lekko rozstawionych nogach i pokiwała się na boki.

– Do mnie mówisz?

Zrobiła dziwny gest, którego Julia nie знаła. Jakby chciała uderzyć się wierzchem dłoni w dolną szczękę.

– To znaczy odwal się? – zagadnęła.

– Po prostu daj mi spokój.

Znów ruszyła przed siebie, już dużo szybciej. Co jakiś czas zaciągała się papierosem, w końcu rzuciła go na bok. Co kilka kroków posykiwała; nagrany słońcem żwir nie dość, że ranił jej stopy, to na dodatek parzył.

Julia musiała stanąć. Zatrzymała auto i przez chwilę patrzyła, jak dziewczyna brnie w pierwszych brzdach suchego piachu. Omijała przy tym wystające ostre kikuty pozostałe po czymś, co wyglądało na uschnięte pędy kukurydzy. W końcu usiadła. Widać było, jak pod naciągniętym materiałem sukienki szybko pracują jej płuca.

Odczekała, aż rwany oddech Brewki uspokoi się na tyle, by mogła do niej podejść. Nie obejrzała się za siebie, choć musiała słyszeć, jak pod butami Julii trzaska wysuszona kukurydza. Patrzyła na horyzont.

– Chciałam znaleźć drogę – powiedziała w końcu cicho.

Julia usiadła obok niej, na bruździe szarego piasku.

– Dokąd?

– Do tamtego miejsca. Kiedy tu wczoraj jechałyśmy, usłyszałam dźwięk. Już go wcześniej słyszałam, tylko nie pamiętałam gdzie.

– Jaki dźwięk?

– Muzykę. Westernową, jak z Dzikiego Zachodu.

– Nie zauważyłam.

– Może dlatego, że nikt nie wiózł cię z opaską na oczach. Bo to było właśnie wtedy, w wieczór, gdy zabrali mnie spod Kinoteki. W takich okolicznościach słuch się wyteża. Nic nie widziałam, ale uszu mi nie zatkali. Dlatego ta muzyka utkwiała mi w pamięci.

– Co to było, sklep muzyczny?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Raczej przydrożny salon gier na automatach. Przez opaskę przebijało światło neonu. Takie salony często mają go na dachach obrotową lampę w czerwone i niebieskie pasy, że niby gość ma się czuć, jakby trafił do Las Vegas.

– Jesteś pewna, że to był ten sam dźwięk?

– Nie pomyliłabym go z żadnym innym. Kiedy spałaś, wszystko zaczęło do mnie wracać. Zaczęło mi stykać na łączach i bum!

– Mogłaś mi powiedzieć, zamiast iść tam sama.

Wzruszyła ramionami.

– Pewne sprawy trzeba załatwić samemu. Musiałam się upewnić. Ale i tak nie dotarłam do tamtego miejsca. Zawróciłam po trzech kilometrach.

Urwała suchy patyk i oczyściła jego końcówkę z piasku. Wsunęła ją sobie do ust. Zadziałał dziecięcy odruch, jakby siedziała na łące i zapraagnęła wysssać sok z trawy.

– Po to, by wziąć mój samochód? Chciałaś usiąść za kierownicą i pojechać dalej?

Splunęła przed siebie odgryzionym kawałkiem patyka.

– Kluczyki cały czas mam przy sobie – wyjaśniła na wszelki wypadek Julia. – To tak dla jasności, gdyby znów przyszło ci do głowy uciec.

– Chciałam tylko tam dotrzeć.

– Dotrzesz, w swoim czasie. A teraz wstawaj.

Julia podniosła się i wyciągnęła do niej rękę. Dziewczyna spojrzała nieufnie, ale podała jej dłoń i oparta na jej ramieniu dokuśtykała na obolałych stopach do samochodu.

– Nie rób tego więcej – powiedziała Julia, przekręcając kluczyk w stacyjce. – Nie włócz się sama po nocy, okej?

– Nie rób ze mnie więcej przydrożnej dziwki, okej? – usłyszała w odpowiedzi.

Pozwoliła jej odespać straconą noc. Dziewczyna padła na łóżko z utyłanymi w piasku nogami i od razu zwinęła się w kłębek. Sen przyszedł szybko. Julia usiadła na parapecie i obserwowała, jak Monika porusza ustami, wydając z siebie ciche dźwięki. Przysunęła się bliżej, na tyle, by móc je rozpoznać.

Trzeba uciekać... ale ty zostań, jedna z nas musi zostać... zrób to, Saro, ty tu zostań...

ROZDZIAŁ XII

Zarty sobie robisz? – Muniek Bugaj wpadł do szpitalnej sali jak po ogień. – Jakie wychodzę? Jakie zabierz mnie stąd?

Alek siedział na skraju łóżka, ze wzrokiem wbitym w kapiący kran umywalki zamontowanej w kącie sali.

– Poparzona ręka i zdarta skóra z pleców. Naprawdę ci odbiło. – Muniek wsunął palce za szlufki w spodniach i zaczął krążyć od ściany do ściany. – Matka nie nauczyła cię, że nie wolno bawić się ogniem?

Koziej wyciągnął rękę po stojącą obok łóżka kulę ortopedyczną. Odkąd ocknął się w szpitalnym łóżku, wciąż kręciło mu się w głowie.

– Chyba nie myślisz, że to ja sam... – Spojrzał przyjacielowi w oczy. – Miałbym podpalić własne auto?

– Grata, nie auto. Chciałeś wydębic odszkodowanie?

– Powtarzam ci, że to nie byłem ja. Ktoś podłożył ogień – stęknął, stając na nogach.

– Tak stwierdziła policja?

– Straż.

– Straż gównu wie.

– Były ślady benzyny. Na tyle to się chyba znają, żeby je rozpoznać.

Muniek przekreślił klamkę w oknie. Zapach lizolu unoszący się od sterylnej podłogi był tak samo wstrętny jak zapach ekologicznego nawozu, który ukochała sobie jego matka.

– Bak pewnie pękł – odparł odkrywco. – Wyciek paliwa, jakiś niedopalek i opel poszedł z dymem. Gdyby nie Kostek i jego stary, też byś poszedł. Wyciągnęliśmy cię w ostatniej chwili.

– Nic nie pamiętam.

– Bo rąbnąłeś o coś głową.

– O podsufitkę.
– Właśnie. Tylko kretyn ładuje się w środek pożaru. Po co tam wlałeś?
Chciałeś się skopcić na amen?

– Może chciałem.

Doczłapał się do szafy i wyjął z niej popalone szczątki swojego ubrania. Cuchnęły spalenizną. Zwinął je w rękach i wycelował do kosza na śmieci.

– To nawet byłby dobry koniec – dodał po chwili. – Klamra taka.

– Klamra... Męczennik się znalazł.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Jeden, opierając się ramieniem o wąskie skrzydło szafy, drugi, gapiąc w odkazone linoleum.

– Może dobrze się stało z tym oplem – stwierdził Muniek. – Problem sam się rozwiązał.

– Tak.

– Wszystko teraz wróci do normy. Będzie po staremu, tak jak tego chcieliśmy.

– Tak.

– Rany też na pewno szybko się zagoją.

Tym razem Alek nie przytaknął. Zamiast tego zaczął rozwiązywać troki przy szpitalnej koszuli.

– Gdzie masz dla mnie czyste ciuchy? – spytał, widząc, że Muniek przyszedł z pustymi rękami. – Powiedz, że zostawiłeś na dole w samochodzie.

Mina przyjaciela mówiła co innego. Alek wyminął go i o kulach dotarł do drzwi.

– Kutas z ciebie, Muniek.

Nim zacisnął palce na rozcięciu koszuli, poprawił bandaż, który opasywał mu tors. Napał łokciem na klamkę. Bugaj, powłócząc nogami, ruszył za nim. W milczeniu zjechali windą na parter. Kiedy Alek załatwiał wypis na żądanie, Muniek usiadł w poczekalni obok oddziału dziecięcego i rozejrzał się po ścianach. Zatrzymał wzrok na kolorowych obrazkach z postaciami z bajek o Kubusiu Puchatku i Myszce Miki. Poprzednim razem, gdy tu był, w odwiedzinach u Kostka, też wisiały. Siedział na tym samym stołku i gapił się na różowego Prosiaczka i czerwone spodenki Mikięgo. Kostek, leżąc piętro wyżej, walczył wtedy o życie.

– Zawieź mnie od razu do klubu – wyrwał go z zamyślenia Alek. – Mam tam jakieś ubranie na zmianę.

Muniek poderwał się, żeby użyzyć mu ramię do oparcia. Szpitalną kulę trzeba było zostawić.

– Mam iść z tobą pod rękę jak panna do ołtarza? – W głosie Alka zabrzmiała ledwie wyczuwalna nutka kpiny. Mimo to nie odepchnął przyjaciela, tylko wsparty na jego barku ruszył w kierunku wyjścia.

– Milano jutro startuje? – upewnił się Muniek.

Alek skrzywił się z bólu. Poparzona klatka piersiowa zapiekła go nagle podrażniona opatrunkiem. Zatrzymał się tuż przed rozsuwanymi drzwiami i zaczął łapać szybkie oddechy.

– Punktualnie o dwudziestej. I nawet nie próbuj mnie powstrzymywać.

– Przecież z wariatem na argumenty nie wygram. Powiesz mi, co mam robić, a ja się wszystkim zajmę. Ty będziesz tylko siedział i patrzył. Damy radę. Do końca życia będziesz wspominał ten dzień.

Chłopak spojrzał wymownie na przyjaciela. Muniek znał ten wyraz twarzy. Zawsze gdy Alek tak spoglądał, dusił w sobie coś, czego nie chciał powiedzieć na głos.

– Z Kostkiem jest już sztafa – uprzedził nadciągające pytanie. – Kiedy się hajcowałeś w tym pogruchotanym oplu, współpracowałeś.

Ostatnie słowo zabrzmiało w jego ustach tak, jakby nie chodziło o ratowanie przyjaciela, ale o wykonanie planu na budowie.

Stanęli przy samochodzie Muńka. Trzeba było odsunąć fotel pasażera, by Alek mógł wejść do środka i wyprostować nogi. Z uwagi na piekące rany nie chciał zapinać pasów, chwycił się jedynie rączki przy podsufitce.

– Co robił? – zapytał Koziej, gdy zjeżdżali ze szpitalnego parkingu na jezdnię.

– Nie rozumiem.

– Co robił Kostek? Ratował mnie czy moje auto?

– Kurde, wyluzuj...

– Odpowiedz.

Muniek tylko mocniej wcisnął gaz i zaraz potem włączył radio. Wszystko było lepsze od jazdy w niezręcznej ciszy. Rozmawiać na temat tego, co robił Kostek, nie zamierzał. Nie dlatego, że ich kaleki przyjaciel miał problem ze zrobieniem czegokolwiek. Bo nie miał. Kiedy uderzył kamieniem w zamek bagażnika i wyjął gaśnicę, Muniek myślał, że na tym jego pomoc się zakończy. Zwłaszcza że przy Alku było już dwoje przypadkowych przechodniów, stary Knott i on, Muniek. Kostek wymanewrował jednak kołami swojego wózka inwalidzkiego i podjechał pod drzwi kierowcy. Nie bał się ognia, ale nie użył gaśnicy zgodnie z jej przeznaczeniem, tylko walnął jej spodnią częścią w szybę, a potem zamachnął się, by ude-

rzyć ponownie, tym razem w kierownicę. Był wściekły, kiedy Muniek go odciągnął.

– Chcesz mu rozwalić tym łeb?! – krzyczał. – Kurwa, Kostek, co ty najlepszego wyprawiasz?

Alek leżał w środku nieprzytomny, zasłaniając ciałem deskę rozdzielczą. W aucie kłębiło się coraz więcej gryzącego dymu, ogień zdążył już strawić tylne siedzenia i zaczął podchodzić ku przodowi. Kiedy wyciągnęli Kozieja i położyli go na ziemi, było już za późno. Kierownica płonęła. Kostek patrzył, jak to, na czym mu najbardziej zależało, trawia płomienie. Gdy przyjechała karetka i zabrała Alka do szpitala, wciąż tam był. Siedział na wózku i obserwował, jak straż walczy z ogniem. Opel w kilka sekund pokrył się pianą.

– I co teraz? – odezwał się do kumpla Muniek, kiedy na podwórku ich przyjaciela zrobiło się już cicho. – Jak to rozwiążemy?

Kostek wciąż wpatrywał się tępo w zgliszcza samochodu.

– Rób, jak uważasz.

– Nie musi wiedzieć, że zachowałeś się jak idiota. Nie wiem, czy Alek przeżyje, ale jeśli tak, to powiem mu, że współpracowałeś.

– Leję na to, co mu powiesz.

Zdawało się, że Alek usnął. Kołysany ruchem samochodu i sączącą się z radia piosenką zamknął oczy. Muniek nie był pewien, czy ten nagły sen jest prawdziwy, czy udawany. Ważne, że pytania o to, co naprawdę wydarzyło się podczas pożaru opla, ucichły. Nie żeby było mu żal kumpla, ale o pewnych sprawach lepiej po prostu milczeć. I o przypuszczeniach również. Chociażby na temat tego, czy doszło do przecieku w baku z benzyną, czy też było zupełnie inaczej.

* * *

– Cuchnie tu jak w chińskiej dzielnicy. – Młoda wparowała do gabinetu z kartonem na osobiste rzeczy i postawiła go na swoim dawnym biurku. – Psy tu jecie?

Szymański wychylił się zza komputera i pomachał w powietrzu pałeczkami.

– Sushi, dobra kobieto. Starczy i dla ciebie, tylko musisz się obsłużyć widelcem. Pałeczki w deficycie.

Skrzywiła się, jakby kazał jej jeść bawole jądra. Otworzyła skrzydła kartonu i rozejrzała się po pokoju.

– Przyszłam zabrać kilka swoich drobiazgów – powiedziała bez entuzjazmu.

Górny z Szymańskim wymienili porozumiewawcze spojrzenie.

– Jak ci na nowych śmieciach? – zagaił Górny.

– Jako tako.

– Nowe archiwum aż tak bardzo wciągające?

Młoda podeszła do maszyny z kawą i wrzuciła kapsułkę.

– Jak mandżurska telenowela. Policzki nie przestają mnie piec z podeksytowania. Mam ci opowiedzieć o funkcjach w nowym skanerze czy wolisz posłuchać o sposobach kodowania plików?

Górny wolał włożyć sobie do ust nigiri z łososiem.

– Świętujecie coś? – Młoda spieniła mleko i wlała solidną dawkę do świeżo zaparzonej kawy.

– Można tak powiedzieć. Sieracka otworzyła śledztwo w sprawie zabójstwa Zabielskiego.

Aż przysiadła na biurku.

– Brawo ty.

– Okazało się, że śmierć koniarza jej także spędzała sen z powiek. Może was zaskoczę, ale ucieszyła się, gdy zobaczyła wynik badań ze stajni.

– A kiedy ciało trafi do badania?

– Już pojechało na Oczki. Zdążyliśmy w ostatniej chwili, bo na jutro zaplanowany był pogrzeb.

– W najgorszym wypadku skończyłoby się na ekshumacji.

Szymański mało umiejętnie ścisnął palcami rolkę ryżu, która natychmiast rozleciała się na części.

– Nie da się ekshumować ciała po kremacji. Więc owszem, jest co świętować.

Nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich młody kurier, który biegł z dokumentami od jednego pokoju do drugiego.

– Co tam masz? – zapytał Górny, widząc, że trzyma w dłoni kopertę.

Chłopak był mocno rozkojarzony albo nie wiedział, kto jest kim, bo podszedł do Szymańskiego.

– Dla pana podkomisarza Adama Górnego – powiedział oficjalnie.

Szymański wskazał palcami biurko naprzeciwko, a kurier uklonił się przepraszająco.

– Z działu technicznego, do rąk własnych.

Górny odebrał kopertę i rozerwał w miejscu perforacji. Przebiegł oczami po raporcie.

– Medaliki.

– Co z nimi? – Młoda poruszyła się niespokojnie na biurku. – Znaleźli producenta?

– Owszem. Yishù jīnshǔ.

– Co takiego?

– Yishù jīnshǔ – powtórzył Górny.

– Nie mów, Młoda, że nie znasz – zaśmiał się Szymański. – Jednym słowem: chińszczyzna. Nie wiedziałem tylko, że w Chinach tak dobrze znają się na katolickich świętych.

Górny czytał dalej:

– Artystyczny metal, tak to przetłumaczyli. Daleko mu i do jednego, i do drugiego. Zaraz... jest i lokalny handlarz, polski importer. Firma zarejestrowana w Radomiu, nazywa się Bizuteryjne Cuda.

– Jest coś więcej? – Młoda wyciągnęła szyję w stronę raportu.

– Będzie, ale jutro z rana. Radomska firma ma dostarczyć listę nabywców, którzy złożyli zamówienie na medaliki.

– Kto teraz kupuje takie rzeczy? – zamyśliła się Młoda. – Chyba tylko na komunię, dla dzieciaków, żeby miały pamiątkę. Choć ja takiego złomu nikomu bym nie dała. Wstyd byłby na całą rodzinę.

– Dlatego lista będzie krótka. Takie medaliki rozdaje się albo w przytułkach dla otuchy, albo...

– Zawiesza na szyjach ofiar – dokończył Szymański.

Górny odłożył pismo i zabrał z biurka opakowanie po sushi. Wycelował nim do kosza na śmieci, po czym przetarł blat serwetką, by oczyścić go z kropel sosu sojowego.

– Co z newsami o rodzinie Bugajów? – rzucił przez biurko do Szymańskiego. – Znalazłeś coś?

Młodszy aspirant przemełł kolejny kawałek jedzenia i oblizał usta.

– Zaraz.

Wcisnął pionowo pałeczki w ostatnią rolkę sushi i upewnił się, że czubek na rudych włosach stoi niewzruszenie. Po chwili uderzał już palcami w klawiaturę.

– Wygrzebałem kilka ciekawostek. Jedna z pewnością cię zainteresuje. To prawdziwa bomba.

– Dajesz – popędziła go Młoda, która najwyraźniej zapomniała o kartonie i swoich biurowych precjozach.

– Trzy lata temu u syna Bugajów znaleziono zioło. Niby nic szczególnego, bo młodzi ćpają na potęgę, ale chłopak miał je przy sobie, w szkolnej torbie.

– Konopie obok Gombrowicza? – Górny pokiwał głową z uznaniem.

– A jak, był na tyle koleżeński, że poczęstował nimi przewodniczącą klasy. Musiała albo mieć chody u ciała pedagogicznego, albo była niezłą szprychą, bo nie żałował towaru. Umówmy się, brzydkim dziewczynom nikt nie daje go bezinteresownie.

– No i?

– Upaliła się za salą gimnastyczną tak, że trzeba było wezwać pogotowie.

– Pewnie to był jej ostatni dzień w radzie klasy.

– Tego nie wiem. Chłopak wylądował na komendzie, ojciec zainterweniował i po kilku godzinach go wypuścili. Ale ślad w kartotece pozostał.

– I to ma być ta bomba? – skrzywiła się Młoda. – Dzieciaki się najarały i tyle. Pokaż mi takiego, który choć raz w życiu nie spróbował.

Szymański z dumą pokazał dwoma kciukami na swoją klatkę piersiową.

– Nigdy? – Młoda rozszerzyła oczy. – Ani jednego macha?

– Czysty jak łąza.

Podniosła się z niesmakiem z biurka. Jeśli tak miała wyglądać pozostała część zapowiadanego trzęsienia ziemi, wołała zabrać się do składania swoich rzeczy do kartonu.

– Zawołajcie mnie, jak dowiecie się czegoś naprawdę ciekawego. Bo na razie...

– To był dopiero wstęp – odezwał się Szymański. – Jeszcze nie skończyłem. Problem z ziołem powtórzył się kilka miesięcy później. Wydział do walki z przestępczością narkotykową otrzymał anonimowy donos, że na terenie gospodarstwa Bugajów rosną konopie. Patrol złożył im wizytę i okazało się, że w szklarni za domem jest niewielka hodowla. Syn Bugajów dostał za to rok w zawiasach na trzy lata.

– Więc teoretycznie jest już po wyroku – podliczyła Młoda.

Szymański obrócił monitor tak, by oboje widzieli, co znajduje się na zdjęciu.

– To on, młody Bugaj? – spytał Górny.

– Jak mówiłem, kartoteka została. I podobizna też. Powiedziałbym, że z facjaty to niezły z niego Belmondo. Na żywo wygląda jeszcze lepiej. Zmęźniał od tamtej pory i zapuścił wąsa.

– Takim jak on dziewczyny nie odmawiają – przyznała Młoda. – Ta, która wylądowała na pogotowiu, nie bez powodu dała mu się nakarmić ziołem.

– No raczej. Nie ma to jak udawać równą babkę. Sztywnych dziewczyn nikt nie lubi. A teraz skoncentrujcie się.

Szymański znów uderzył w klawiaturę. Obok podobizny Muńka Bugaja na ekranie pojawiło się drugie zdjęcie, mniej wyraźne, ale dobrze je znali.

– Panowie od rozbitego opla – stwierdził Górny. – No i?

– Ten po lewej to młody Bugaj.

– No nie wiem...

Szymański rozparł się wygodnie w swoim obrotowym fotelu.

– Techniczni wydobyli charakterystyczne punkty na twarzy i porównali z tymi z kartoteki. Nos, szerokość czoła, rozstaw oczu. Wszystko się zgadza.

– Cudotwórcy. Ja bym niczego nie dopasował. Nie przy takiej rozdzielczości. A ten drugi?

Szymański milczał, podtrzymując napięcie, ale Młoda już po kilku sekundach potrząsnęła oparciem jego krzesła.

– Skończ z tym Hitchcockiem! Kim jest drugi chłopak?

– Dwa dni temu spłonęło auto. To jego właściciel.

– Nazwisko – popędził go Górny.

– Aleksander Koziej. Mieszkaniec wsi pod Kampinosem. Nie muszę chyba dodawać, jakiej marki był wóz.

Oczy całej trójki powędrowały ku ścianie z tablicą, na której wisiły zdjęcia zrobione przez Zabielskiego.

– Chłopak był w środku?

– Był i o mało co nie usmażył się, gmerając za czymś w aucie. Z tego, co wiem, jest w szpitalu.

– W którym? Jest przytomny?

– MSWiA przy Wołoskiej. Pewnie leży pod narkozą, takie poparzenia cholernie bołą.

– Więc szybko sobie z nim nie pogadamy. Od jak dawna wiesz o tym pożarze? – Górny wbił świdrujące spojrzenie w zadowoloną twarz Szymańskiego.

Młoda wolała się wycofać. Męskie starcia nie należały do jej ulubionych sportów, poza tym jej obecność tutaj i tak zanadto się przeciągnęła.

– Na mnie chyba już czas – powiedziała, ale raczej jej nie usłyszeli.

Dźwignęła niemal pusty karton, w którym przewracało się jedynie kilka drobiazgów, i bezdźwięcznie zniknęła za drzwiami.

– Pytam, od kiedy trzymasz te informacje tylko dla siebie – ciągnął Górny.

– Bez nerwów, stary. Potwierdzenie danych przyszło dwie godziny temu. Nie chciałem nic mówić, zanim się nie upewnię. Ale wygląda na to, że właśnie wypłynął nowy motyw w sprawie. Co więcej, wątki się nam wreszcie zaczęły spinać: karambol na drodze, zdjęcia Zabielskiego i biały opel. Panowie Bugaj i Koziej dowiedzieli się, że gość od koni zrobił z ukrycia dokumentację kraksy, i postanowili go uciszyć. To stawia sprawę zatargu między sołtysem a Zabielskim w zupełnie innym świetle. Może się okazać, że czepialiśmy się starego Bugaja bez powodu.

Zamilkł, czekając na oklaski. Górny oderwał ręce od biurka, ale zamiast złożyć je do bicia braw, skrzyżował je na piersiach.

– Błędzisz, Szymański. Mówisz, że tych dwóch smarkaczy zatłukło Zabielskiego za to, że cyknął im fotki... Nie wiem jak ty, ale ja za taką pierdołę nie zabiłbym człowieka. Jakoś przełknąłbym mandat i punkty karne i ze zwieszonym łbem wróciłbym do domu, żeby strzelić sobie setkę na pocieszenie. Na tym sprawa by się zakończyła.

Szymański zrobił kwaśną minę.

– Może dla ciebie. Tego, co inni mają w głowach, się nie dowiesz. Pamiętaj też, że młody Bugaj wciąż miał wtedy wyrok w zawiasach.

– Po pierwsze, nie wiemy, który z nich prowadził ani w jaki sposób doszło do stłuczki. Po drugie, są młodzi, ale nie głupi. Nie zaryzykowałiby dożywocia za stłuczoną szybę czy wgnieciony zderzak. Jeśli rzeczywiście maczali palce w zabójstwie Zabielskiego, musiało pójść o coś o wiele grubszego. Poza tym najwyraźniej o czymś zapomnieliś. – Górny podszedł do ściany z sekwencją zdjęć, którą Szymański ułożył z Młodą minuta po minucie, i zakreślił długopisem koło na jednym z nich. – W tym aucie była jeszcze jedna osoba. A potem nagle zniknęła.

– Tego kadru, jak opuszcza auto, akurat nie mamy. Jakby Zabielski celowo wykasował klatki.

– Albo ktoś go przepłoszył i nie zdążył już wcisnąć spustu migawki.

– Tak czy owak, mamy informacyjną dziurę.

– Którą szybko wypełnisz. Wrócisz do wsi i wypytasz dyskretnie o tego trzeciego, który uciekł z miejsca wypadku. Ja jestem uziemiony.

– Bo zachciało ci się gwiazdorzyć. Jaśnie pan reżyser i hollywoodzka produkcja – parsknął Szymański. – Nie będę komentować.

– Nawet nie próbuj.

Szymański połknął na odchodne ostatni kawałek sushi i wsunął do tylnej kieszeni spodni portfel z policyjną legitymacją. Górny odniósł wrażenie, że uśmiecha się drwiąco.

– Chciałeś coś powiedzieć?

– Tylko tyle, że potrzebujemy jeszcze jednej teorii, najważniejszej. Przydałoby się w końcu powiązać ze sobą sprawy Zabielskiego i tych sześciu zabitych dziewczyn.

– Jak się domyślam, masz już coś w zanadrzu.

Szymański uniósł ręce w obronnym geście.

– Ja? Człowiek od brudnej roboty? Ty tu jesteś geniuszem dedukcji, więc główkuj.

Wyszedł, poprawiwszy uprzednio w lustrze na drzwiach rudy czubek z włosów.

Górny też wyszedł. Dochodziła szósta po południu, w sam raz, by załatwić sprawę, która nie dawała mu spokoju. Upewnił się tylko na mapie w telefonie, jak trafić pod właściwy adres, i zamknął za sobą drzwi.

* * *

– Tym razem jestem naprawdę skończony. – Łukasz Lewicki oparł się ramieniem o drzwi balkonu i wbił wzrok w mur cmentarza. – Załatwiła mnie.

O tym, że filmik nagrany przez Reni krąży od wczoraj w sieci, dowiedział się równo w południe, podczas przerwy obiadowej. Sejmowa stolówka zwykle nie cichła od rozmów, jednak dziś było na niej wyjątkowo głucho, jakby ludzie zapomnieli, do czego służy im język. Dla odmiany świetnie im wychodziła mowa ciała: dyskretne spojrzenia, znaczące gesty i współczujące uśmiešky. Początkowo nie zorientował się, że chodzi o niego. Usiadł przy stole z tacą, na której stała szczawiowa i pulpety w sosie, i zasłonił się gazetą. Czytał o spotkaniu Trumpa z Kim Dzong Unem oraz podpisaniu porozumienia na rzecz pokoju na Półwyspie Koreań-

skim. Był w połowie lektury, kiedy dosiadła się do niego jedna z klubowych koleżanek. Bez tacy i bez obiadu. Za to z telefonem w ręku.

– Podziwiam – powiedziała. – Ale nie zazdroszczę.

Odparł, że Kim to niezły cwaniak, ale chyba nie o to jej chodziło, bo miała dziwny wyraz twarzy.

– Coś się stało? – zapytał, odkładając gazetę.

– Przecież wiesz.

Nie wiedział. Nie miał pojęcia.

– Syn mi pokazał. – Podsunęła mu telefon i włączyła nagranie. Zbyt głośno nastawione, bo od razu kilka głów obróciło się w ich stronę. – Nie zdałam sobie sprawy, że... Wolaleś nie mówić? No tak, właściwie to rozumiem dlaczego. Nie na wszystko mamy wpływ, a dzieci trzeba kochać, prawda? Bez względu na to, co robią.

Wyszedł bez słowa i dużo szybszym krokiem niż zwykle. Zasył się za budynkiem z zatkniętą na czubku biało-czerwoną flagą i wyszukał nagranie na swoim smartfonie. Odsłuchiwał je tylko raz, potem cisnął telefonem o betonowy kosz na śmieci.

Urwał się z pracy pod wypróbowanym już pretekstem bólu kręgosłupa. Tak często się nim posługiwał, że nikt się już nie dziwił. „Tak, naturalnie, idź. Wiemy, że cierpisz” – współczuli. Nie wiedział tylko czego: bólu czy sytuacji, w jakiej się znalazł.

Usiadł za kierownicą i jechał przed siebie. Nie myślał o niczym, chciał jak najszybciej dotrzeć do mieszkania. Gdy znalazł się na parkingu przed blokiem, spojrzął w okna na jedenastym piętrze. A konkretnie w te dwa należące do pokoi jego córek.

– Nigdy ci tego nie wybaczę – wymamrotał, odwracając wzrok od murów cmentarza.

Dorota Lewicka zasłoniła przedramieniem twarz, próbując odciąć się od wpadającego popołudniowego słońca. W jego ostrym świetle twarz męża wydała jej się całkiem obca. Nieraz widziała go kipiącego gniewem, ale tak przepełnionych okrucieństwem oczu chyba nigdy. Mogłaby się wycofać i zniknąć w małżeńskiej sypialni, by przeczekać tam najgorsze, ale drzwi mają klamki po obu stronach. A on nie zamierzał mówić do pustych ścian.

– Ta kobieta z przytułku mnie oszukała – bąknęła, próbując się usprawiedliwić. – Gdybym wiedziała, że Reni tam jest, nie dałabym się tak łatwo

odprawić.

– Spała tam dwie noce! Nie przyszło ci do głowy, żeby wejść i zajrzeć do każdej z sal?!

– Ważne, że nasza córka żyje. Zadzwoiła do tej opiekunki i potwierdziła, że jest bezpieczna.

– Gdzie jest bezpieczna? No gdzie?!

– Tego mi nie powiedziała. Tylko że Reni wyjechała. Chciała, żebyśmy wiedzieli.

– Tak. Że ta gówniara chce sobie przyszyć fiuta między nogami.

– Nie bądź wulgarny. To obrzydliwe, co mówisz.

Lewicka usiadła w fotelu, wciskając się głęboko w siedzenie.

– Nie robi tego – powiedziała tonem, jakby chciała zakłąć własne słowa. – Nie odważy się. To ryzykowna operacja. Zresztą nie ma pieniędzy.

– To je zdobędzie. Nasze córki wiedzą, jak sobie dorobić.

– Przestań.

Szarpnął za przekrzywiony krawat i zdjął go szybkim ruchem przez głowę. Owiązał go sobie wokół dłoni, zaciskając ciasno.

– Byłem zbyt pobłażliwy. Miała za dużo swobody i to namieszało jej w głowie.

– Mówisz, jakby kogoś zabiła.

– Zgrzeszyła przeciwko czwartemu przykazaniu. Są kraje, w których karze się kobiety za dużo mniejsze winy.

Zamarła.

– Mówisz o swoim dziecku...

– Nie jest już dzieckiem – przerwał jej natychmiast. – Na pewno nie moim. Kiedyś byłem jej ojcem, ale to dawne czasy. Teraz jestem bezdzietnym, zrujnowanym człowiekiem.

Zapadła cisza.

– Reni dla mnie umarła. Ale żadnej żałoby nie będzie. Zaczynamy nowy rozdział, z czystą kartą.

– Jezu... – chlipnęła Lewicka.

– Tylko bez hysterii! Mam ci jeszcze raz pokazać nagranie, na którym zrobiła ze mnie durnia? Zamiast wycić, pomóż mi wymyślić komentarz dla mediów. Przecież ten jawny atak na Kościół nie przejdzie bez echa. Znów opozycja będzie miała używanie. Już słyszę, jak ich wierchuszka zaciera ręce.

– Powiesz, że to prowokacja. To zawsze działa.

– Kolejna mądra... Zamiast wyciszyć sprawę, tylko rozpętałbym burzę. Myślałem raczej o dopalaczach. Młodym odbiera rozum po kolorowych tabletkach. Dorzucę kilka setek na jakąś fundację zwalczającą uzależnienie wśród młodzieży i może jakoś z tego wybrnę.

– Zrobisz z Reni patologię.

– To już nie moje zmartwienie. Ani twoje. Zajmij się lepiej domem, usuń jej rzeczy, żeby nie został żaden ślad tego, że kiedyś tu mieszkała. Czysta karta, rozumiesz?

– Mam wyrzucić rzeczy naszej córki? A jeśli wróci?

Zacisk krawatu na dłoni jeszcze się zwiększył.

– Czego nie zrozumiałaś? – Lewicki przyjrzał się żonie. – Mam powtórzyć?

Pokręciła niepewnie głową. Dźwignęła się z fotela i ruszyła do przedpokoju. Zatrzymała się jeszcze na chwilę w progu i odwróciła głowę w stronę męża.

– A co z Sarą? – spytała z nadzieją w głosie. – Są jakieś wieści?

Do niej jednej miał słabość. Jej by się nie wyparł, choćby tańczyła nago w jego ukochanym parlamencie.

Podszedł do żony tak blisko, że czuła zapach potu na jego szyi.

– Zapomnij o Sarze – usłyszała. – Ta mała dziwka mnie już nie obchodzi. Niech idą obie do piekła, tam gdzie ich miejsce.

– Nie mówisz tego na poważnie...

– Nie mam już dzieci. Koniec z poszukiwaniami Sary, cokolwiek się z nią dzieje.

* * *

Obiekt znajduje się po lewej stronie drogi.

Górny wyłączył GPS i wysiadł z samochodu. Najpierw spojrzął na ścianę lasu, a zaraz potem na żelazne ogrodzenie na wysokiej podmurówce i dalej na klinikę, która zgłosiła uprowadzenie Moniki Brewki.

Nie tak wyobrażał sobie to miejsce. Klinika przypominała bardziej ośrodek wypoczynkowy, a nie budynek, w którym leczy się ludzi z obłądu. Zgrabny niby-pałacyk, do tego zadbany, z dużą ilością nasadzeń i miejsc do spacerowania. Przez chwilę nasłuchiwał, czy z któregoś z otwartych okien nie dobywa się krzyk, ale nic takiego się nie działo.

Na dźwięk domofonu nikt nie zareagował, więc postanowił zadzwonić. Po trzech sygnałach usłyszał kliknięcie. Automat przekierował rozmowę, a pielęgniarka, która odezwała się po drugiej stronie, znów go przełączyła, tym razem prosto do gabinetu lekarza. To nie było nazwisko ze zgłoszenia, ale skojarzył je bez problemu. Maciejewski. Gość, którego Julia nazywała znajomym z dawnych czasów. Opiekun małej Niny Rawskiej, dziecka z przeszłością, ale bez przyszłości. To była zdecydowanie przykra sprawa.

Maciejewski nie krył zaskoczenia, gdy usłyszał jego nazwisko. Najpierw zamilkł, a potem chrząknął przeciągle.

– Pan w sprawie... – zawiesił pytanie.

– Moniki Brewki.

– Oczywiście, Brewka. Proszę zostać na dole, zaraz zejść.

Pojawił się po kilku minutach. Szedł od drzwi z pochyloną głową, jakby szukał wzrokiem czegoś na chodniku. Nie wyglądał tak jak podczas pogrzebu matki Niny, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Wtedy zadał szyku. Nie żeby Górny przyglądał się szczególnie facetowi, który towarzyszył Julii, ale czuł, że jest człowiekiem z wyższej ligi. Wymuskany, jakby zależało mu na zrobieniu wrażenia na żałobnikach. Może wszyscy lekarze z prywatnych klinik tak wyglądają, bez względu na okoliczności. Teraz był jakiś szary, wymemłany i do tego wyraźnie rozkojarzony. Z opóźnieniem zareagował na dłoń wyciągniętą do powitania.

– Znaleźliście ją? – spytał bez zbędnych ceregieli Maciejewski, poprawiając jednocześnie flegmatycznym ruchem fartuch na piersiach. – Mija już trzecia doba.

– Pracujemy nad tym. Przyjechałem porozmawiać o szczegółach wprowadzenia.

– Wiem tyle, ile przekazał mi personel i co widać na nagraniu z monitoringu. Nic poza tym. Żałuję, ale nie było mnie tamtego dnia w klinice.

– To akurat nie miałyby większego wpływu na przebieg zdarzenia – mruknął Górny. – Usiądziemy? – Wskazał na ławkę przy chodniku.

– Wolałbym nie. Mam za sobą długi dzień, więc przejdźmy do sedna.

Górny wsunął dłonie w kieszenie dzinsów.

– Domyślam się, że rozmawiał pan także z pozostałymi pacjentkami. Tymi z sali Brewki. O ile mi wiadomo, były świadkami zajścia.

– Nie miały nic do dodania.

– Nie padło ani jedno zdanie, dokąd udaje się...

– Porywaczka? – dokończył Maciejewski. – Nazywajmy rzeczy po imieniu. Lub, jeśli pan woli, pańska przyjaciółka, Julia Krawiec. Nie, nie padło. Nie pochwaliła się, dokąd zabiera Brewkę. Może dlatego, że za bardzo się śpieszyła. Cała akcja trwała zaledwie kilka minut. Wpakowała dziewczynę do auta i zniknęła.

Górny długo zastanawiał się, w jakie słowa ująć kolejne pytanie.

– Wał pan wprost – popędził go Artur. – Widzę, że coś jest na rzeczy.

Górny wyjął rękę z kieszeni i podrapał się nerwowo za uchem.

– Zna ją pan dobrze? – wydusił.

– Jak każdego pacjenta kliniki.

– Mówię o Julii.

Maciejewski zmarszczył brwi.

– Skąd ten pomysł?

– Kroi się afera. Wolałbym ją znaleźć, zanim zrobią to służby.

Odpowiedział mu drwiący, choć krótki śmiech.

– Chyba czegoś tu nie rozumiem. Myśli pan, że ze względu na naszą dawną znajomość wiem, gdzie ją diabły poniosły?

– Wolałem się upewnić. Jej telefon milczy, mieszkanie stoi puste, a samochód zniknął sprzed bloku.

– Nie sądzę, by odjechała daleko ani na długo. W przeciwnym razie musiałyby zabrać ze sobą córkę.

Górny przyjrzał się Maciejewskiemu uważnie. Doktorek znał małą?

– Sylwia jest z dziadkami w górach.

– W takim razie mieszkanie na Saskiej Kępie stoi puste.

Wyjął z kieszeni kitla skrawek papieru i zaczął skrobać długopisem adres.

– Zaraz... – Przerwał pisanie i wycelował skuwką w szyję Górnego. – Przecież pan na pewno wie, gdzie to jest. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.

Górny mimo wszystko wyciągnął rękę po adres.

– Dla pewności, że myślimy o tym samym miejscu – wyjaśnił, czując, że robi z siebie idiotę.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że Julia nigdy nie zaprosiła go do matki. Owszem, raz znalazł się przed jej blokiem, kiedy odwoził Emilię i Edmunda po ich ślubie, ale do środka nie wszedł i nie widział nawet, do której klatki wchodzi. Maciejewski wiedział dużo więcej. Jak na zwykłego

znajomego chyba za dużo. Gdyby nie okoliczności, starłby szybko ten jego triumfalny uśmiech z twarzy.

– Pozostało panu jeszcze ostatnie pytanie. – Maciejewski skrzyżował ręce na piersiach. – Śmiało, proszę je zadać. Albo odpowiem panu od razu, żeby tego nie przeciągać. Nie, nie kontaktowała się ze mną. Gdybym wiedział, dokąd wywiozła moją pacjentkę, pojechałbym po nią osobiście, nie czekając na waszą interwencję.

Doktorkowi chodziło o Julię czy o Brewkę?

– Dobro tej dziewczyny leży mi na sercu – dodał.

Julii czy Brewki?

– Jeśli do pana zadzwoni...

– Wiem, co mam robić – przerwał mu Maciejewski. – Ale na pana miejscu nie liczyłbym na żaden cud. Julia się nie odezwie. Wie pan, są dwa rodzaje ludzi. Jedni w razie niebezpieczeństwa uciekają, a drudzy stają do walki. Julia nigdy nie ucieka, nawet jak ma pościg na karku.

– Jednak gdzie się zaszyła.

– Bo tego właśnie chciała – powiedział dobitnie. – Nie radzę mylić tego z ucieczką.

– Schowała Brewkę. Pytanie, po co – drażył Górny.

– Bo szykuje się do bitwy. Być może właśnie teraz maluje sobie na twarzy barwy wojenne.

– Byłoby lepiej, gdyby szykowała się bardziej strategicznie.

– Przy pańskiej pomocy? Julia działa w pojedynkę, bo ufa tylko sobie. Radzę się do tego przyzwyczaić.

– Widzę, że dobrze ją pan zna.

Górny czekał, aż zabłąkany uśmieszek znów pojawi się na twarzy Maciejewskiego, ale tym razem tak się nie stało.

– Powiem panu więcej. Gdybym to ja dyżurował tamtego dnia w klinice, miałbym poważny dylemat, czy zgłaszać zaginięcie Brewki na policję.

– Ciekawa koncepcja jak na lekarza.

– I ordynatora – dookreślił Maciejewski.

– Tym bardziej zaskakujące. Ja na pana miejscu...

– Nie jest pan na nim. Ale jeśli dziwi pana mój tok myślenia, musi pan wiedzieć, że widziałem nagłówki w prasie i wiem o ciałach w Kampinosie. Wiem też, dlaczego Brewka trafiła do naszego zakładu. Doktor Synowiec powiedział wam niezbędne minimum, że dziewczyna zniknęła. Nie dodał,

że Brewka była niewolnicą seksualną. Żyje tylko dlatego, że udało jej się uciec od swojego oprawcy. Julia po prostu musiała się z nią skontaktować.

– Doszliśmy już do tych wniosków, doktorze. Julia znalazła w Brewce świadka doskonałego. Jednak takie sprawy załatwia się inaczej. Wystarczyło ją przesłuchać tu, na miejscu.

– Miałyby gawędzić przy kawie i słonych paluszkach? Niech pan nie żartuje. Jeśli Julia chce wyciągnąć z Brewki cokolwiek, co zaprowadzi ją do człowieka, który zabija kobiety, musi mieć ją przy sobie i dla siebie. Nie godzinę, ale kilka dni. Aż dziewczyna się oswoi i zaufa jej na tyle, by zacząć mówić.

Górny miał jeszcze jedno pytanie.

– Od kogo Julia się dowiedziała, że Brewka jest w pańskiej klinice?

Maciejewski pokręcił głową.

– Nie ode mnie. Musiała wyciągnąć tę informację od kogoś innego. Jeszcze niedawno kręciła się tu taka jedna, podobno dziennikarka. Pewnych wiadomości nie da się długo trzymać w tajemnicy.

– Robienie wywiadu z kimś, kto ma problemy z pamięcią, chyba nie jest prostą sprawą. O ile mi wiadomo, Brewka cierpi na amnezję.

– Tak twierdzi doktor Synowiec.

– Pan uważa inaczej?

– Nie zamierzam podważać jego kompetencji, ale powiedzmy, że mam własną teorię na ten temat. Brewka wielokrotnie dzwoniła do swojej rodziny. A skoro pamiętała numer telefonu do matki, to znaczy, że jej pamięć nie była aż tak zawodna. Mówiła też całkiem składnie jak na kogoś, kto ma tak szerokie spektrum zaburzeń. Oczywiście nie zakładam, że jej trauma była mistyfikacją. Bywały dni, kiedy obserwowaliśmy u niej typowe dla tego stanu zachowania depresyjne, ale zdarzały się też napady złości przechodzące w agresję. Nic do niej wtedy nie docierało.

– Sugeruje pan, że Brewka może stanowić zagrożenie?

– Ta jednostka chorobowa ma wiele twarzy, więc niczego nie mogę wykluczyć.

Górny wyciągnął rękę do pożegnania.

– Pozwoli pan, że nie będę mu życzył powodzenia – stwierdził na odchodne Maciejewski. – Tak między nami: odpuście ten pościg. Nie chciałbym, żeby przez waszą gorliwość doszło do nieszczęścia. A to się może zdarzyć, prawda? Różnie bywa przy obławie, jeden nieostrożny ruch i... jak mówię, wystarczy iskra. Wolałbym, żeby nic jej się nie stało.

Górny miał na końcu języka pytanie, czy chodzi mu o uprowadzoną, czy porywaczkę, ale się nie odezwał. Chyba znał odpowiedź.

Odprowadził Maciejewskiego wzrokiem. Znów szedł wpatrzony w kostkę brukową. Podniósł oczy dopiero, gdy przekroczył próg kliniki.

* * *

– Ile musisz oddać, wiesz już?

Kostek Knott podjechał wózkiem bliżej matki. Siedziała za stołem w swoim lombardzie z ołówkiem w ręku i wpisywała liczby do zeszytu w kratkę. Matematyczny słupek nie wydawał się długi, ale wartości w nim były dwu- i trzycyfrowe.

– Na razie niecałe dwa tysiące – westchnęła kobieta, po czym wprowadziła ostatnią kwotę. – Złodziej zabrał tylko starocie, ale przy okazji kilka rzeczy poniszczył. Jest jeszcze kwestia szyby i nowych zamków.

Wyjęła z szuflady kalkulator i zaczęła wciskać kolejne guziki. Kostek nie chciał jej przeszkadzać. Była tak skupiona na dodawaniu, że nie zauważyła, jak okręcił się i podjechał do półek z akcesoriami sportowymi. Nazbierało się tego niemało: poprzecierane na łatkach piłki do futbolu, dziecięce narty, dwie pary pałek do badmintonu oraz damskie figurówki ze zdartymi noskami i śladowymi oznakami rdzy na płozach.

Zablokował wózek i wyciągnął rękę po coś, czego nie zauważył, gdy był tu ostatnim razem. Niebieskie kolce do biegania, firmowe legendy z jaskrawozielonymi podeszwami. Takie, o jakich od zawsze marzył.

Zdjął je z półki i położył sobie na kolanach. Zerknął przez ramię, czy matka nic nie widzi, po czym rozsznurował je i wsunął do środka dłonie. Poczul ucisk w piersiach, dokładnie tam, gdzie jeszcze rok temu buchały endorfiny, kiedy stawał na linii startu i dociskał palce do żwiru na bieżni.

– Jeszcze kiedyś takie włożysz – usłyszał nagle zza pleców. Matka położyła dłonie na jego ramionach i potarła nadwątlone mięśnie. – A teraz mi je oddaj, lepiej, żeby się nie zniszczyły.

– Ile za nie chcą?

– Synu...

– Mój rozmiar, widziałaś? Do tego nówki, jeszcze z metką.

Obrócił buty podeszwami do góry i przejechał palcami po kolcach.

– Ostre, idealne. No, ile? Przecież sama przed chwilą powiedziałaś, że kiedyś wyjdę z tego kalectwa.

– Powiedziałam. Jak tylko staniesz na nogach, kupię ci lepsze. Jakie tylko będziesz chciał.

Parsknął cicho. Matka tak samo wierzyła, że wyzdrowieje, jak on sam, czyli wcale. Łatwo jest obiecywać coś, czego się nigdy nie spełni. Nowe? Jeszcze lepsze? No i droższe. Kochana mama. Szkoda, że nie umie kłamać.

Oddał kolce. Patrzył, jak matka ustawia je pod lekkim ukosem, by już od progu rzucały się w oczy.

– Kto je przyniósł? – zapytał, gdy buty znalazły się na swoim poprzednim miejscu.

Kobieta odstąpiła od syna i wróciła pośpiesznym krokiem za biurko.

– Nie pamiętam – powiedziała, bazgrząc coś ołówkiem w zeszyście.

Koła wózka znów zazgrzytały na linoleum.

– Ktoś musiał przynieść je wczoraj lub dwa dni temu.

Dobrze wiedział, że odkąd wybito szybę, matka zamknęła sklep i nie wpuszczała tu nikogo prócz niego. Do ich domu też nikt niczego nie dostarczył, by wystawić to w komisie.

– Skąd masz te kolce? – zapytał ponownie.

Wyglądała, jakby zaczęła się pocić. Potarła czoło i zaczerwienioną skórę na szyi. Cekał, aż powie mu pokrętnie, że jest jej słabo albo że weszła w fazę klimakterium, jednak milczała. Wolą włączyć radio, by zabić ciszę, jaka między nimi zawisła, ale podjechał i pociągnął za kabel, wyrrywając go z gniazdka. Cisza męczy i wymusza reakcję. Pozwolił jej na ten moment męczarni. Oparł łokcie na podpórkach i wbił w nią wyczekujące spojrzenie.

– Przyniesiono je już jakiś czas temu – odpowiedziała w końcu. – Nie chciałam ich wystawiać, więc trafiły do magazynku.

– Takie buty na zapleczu? Nie widzę sensu.

– Za dużo tych pytań, synu.

– Chcę wiedzieć.

Knottowa obróciła kilkakrotnie ołówek w palcach.

– Mam je od zeszłej jesieni. Ktoś, kto je tu przyniósł, zdecydował, że jemu się już nie przydadzą. Wolął oddać je mnie, zamiast wyrzucić na śmietnik.

– Oddał za darmo takie buty? Nawet ich nie przymierzył. Widziałas podeszwę? Nowiusienka, prosto z fabryki.

Dawno nie patrzyli sobie prosto w oczy. Zdobyła się na odwagę i zrobiła to teraz.

– Nie były dla niego. To miał być prezent.

Coś ostrego przeszło Kostka tuż pod żebrami. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, ale mózg miał sprawny i potrafił dodawać dwa do dwóch.

– Miały być prezentem dla ciebie – wyjaśniła, nie chcąc dłużej brnąć w kłamstwa.

Już się tego domyślił. Pozostawało jedynie domknąć zagadkę uroczego darczyńcy, który z taką łatwością postawił krzyżyk na jego sportowej karierze.

– Moi przyjaciele... – Kostek cmoknął z niesmakiem przez zęby.

To musiał być któryś z nich. Pomysł wyszedł od Alka, ale to Muniek miał forszę, bo Koziej wszystko, co zarobił, ładował w swoje kluby. Aż dziwne, że Muniek nie zwrócił butów do sklepu. Pewnie nie chciało mu się wypisać kwitka, bo to za wiele fadygi, a on nie lubi zawracać sobie głowy bzdetami. Wstawił więc buty do lombardu jego matki, żeby go tylko tym wkurwić. Przecież wiedział, że prędzej czy później Kostek je zobaczy. Zaglądał tu niemal co dzień, a jaskrawe podeszwy były po oczach jak neon w środku nocy.

– Luz, mamuś. Nie mogłaś postąpić inaczej. – Kostek poprawił na podpórce stopę, która skrzywiła się lekko i zaszła noskiem jednego buta na drugi. – Temat jest zamknięty. Dokopali mi raz i wtedy, owszem, zabolalo. Drugi raz kopnięcie boli już znacznie mniej. Nauczyłem się już żyć bez tych dwóch złamasów. Daję sobie radę, jak widzisz.

By potwierdzić, że jest wyluzowany, zrobił pokazowy obrót wokół własnej osi. Tak naprawdę chciał już stamtąd uciec. Robienie dobrej miny do złej gry było trudniejsze niż wywijanie piruetów. Podjechał do drzwi i szarpnął za klamkę.

– To nie oni – usłyszał głos matki.

Obrócił się w jej stronę. Nie ruszyła się z za stołu. Siedziała z brodą opartą o zaciśnięte pięści.

– To nie twoi przyjaciele przynieśli te trampki.

Nie były to żadne trampki, ale nie miał ochoty tego prostować.

– Więc kto?

– Ten koniarz, Zabielski. Przywiózł je po wypadku, kiedy dowiedział się o twojej diagnozie. Przykro mi, synu.

Nie chciał, by widziała, jak drży mu żyłka na czole. Czuł jej delikatne pulsowanie tam, gdzie przebiegała blizna. Wolał wyjechać bez słowa.

Zatrzasnął za sobą drzwi i dopiero wtedy, gdy był już sam, otworzył usta w niemym krzyku.

Wszystko wróciło w pamięci. Najpierw mała bieżnia we wsi, którą okrążał jak wariat, by wzmocnić mięśnie w łydkach, a potem ich pierwsze spotkanie, kiedy zdecydował się na mniej komfortową formę treningu – bieg przez leśne ostępy. Sprint kończył na granicy Stacjonaty. Pewnego dnia zajął tam, by poznać człowieka, o którym stary Bugaj mówił, że jest wrzodem na dupie. Okazał się nie wrzodem, tylko całkiem miłym facetem. Nie ważne, że od czasu do czasu wiało od niego gorzałą. Gadał co prawda głównie o koniach, ale wiedział, kim jest Kostek, i znał jego wyniki. Śledził lokalną stronę internetową nie tylko pod kątem informacji gminnych, ale i sportowych. Pogratulował mu tego, że daje radę gnać trzydzieści kilometrów na godzinę. Do Usaina Bolta wciąż było Kostkowi daleko, ale i tak bił mu brawo za jego zapał i miłość do celów wyższych. Tak to nazywał. Mówił, że człowiek powinien mieć kręgosłup i wiedzieć, czego chce. Kostek biegał więc tam każdego dnia, po słowny doping i krzepiące słowa. Zabielski dawał mu wodę, a potem prowadził, wciąż zziąjanego, do koni. To było miłe, gdy Harfa opierała łeb na ramieniu Kostka, a on uspokajał oddech, głaszcząc ją po aksamitnej szyi.

Kiedyś powiedział Zabielskiemu, że chce wziąć udział w sztafecie Polski i że wygra ją dla swojej dziewczyny. Chciał, by była z niego dumna. Nic innego nie mógł jej ofiarować, więc chociaż to... Zabielski spojrzał wtedy na jego zdarte adidasy. Kostek czekał, aż usłyszy, że w takim obuwiu to może co najwyżej zbierać gałęzie w lesie, a nie stawać do mistrzostw, ale Zabielski poklepał go tylko po ramieniu i powiedział, że przyjdzie popatrzeć, jak dobiega pierwszy na metę. Wierzył, że wygra, może nawet właśnie w tamtej chwili przyszedł mu do głowy ten pomysł z prezentem. Liczył, że pewnego dnia Kostek stanie na olimpijskiej bieżni.

Teraz kolce stały na półce, Zabielski nie żył, a on był kaleką. I jako jedyny miał świadomość, że żadnych wyższych celów już nie osiągnie.

* * *

– Trzech ich było, trzech kumpli. – Szymański odjechał przed drive thru przy McDonalddie i docisnął ramieniem telefon do policzka, by odwinąć z papieru cheeseburgera. – Jak Lech, Czech i Rus.

– Lech, Czech i Rus byli braćmi – sprostował Górny.

Usłyszał szelest, a zaraz potem siorbnięcie przez słomkę.

– I właśnie do tego piję. Nierozłączna drużyna, trzymali się razem, odkąd matki posadziły ich razem w piaskownicy.

– Piękna sprawa.

– Mhm... – Szymański przeżuł pierwszy kęs kanapki. – Ale nie do końca. Jak wiesz, męska przyjaźń często wystawiana jest na próbę.

– Wojenki podjazdowe to norma, gdy testosteron wali po głowie. Pewnie nieraz tłukli się o jakąś dziewczynę.

Górny się zatrzymał. Od odgłosów jedzenia dochodzących z telefonu jemu również zaczynało burczeć w żołądku. Mały punkt z kurczakami z rożna, który minął przy wjeździe do Warszawy, nie wyglądał może luksusowo, zwłaszcza że przepasany fartuchem kartonowy kogut, pełniący funkcję reklamy, miał zwichnięty dziób i wydłubane oko, jednak cofnął auto i wtoczył je pod okienko wydawkę. Wyciągnął w stronę sprzedawcy jeden palec, po czym sięgnął po portfel.

– Mów dalej.

– O dziewczyny to akurat się nie tłukli. Tym bardziej że jeden z nich miał pannę zaklepaną na stałe. Zaraz... Kostek Knott.

– W tym wieku? To szczyłe przecież.

– Na wsiach ludzie pobierają się wcześniej. Ślub miał się odbyć tego lata.

– Ale?

– Ale się skończyło. Zapowiedzi nie wyszły.

– Panna sama się rozmyśliła czy któryś z miłych kolegów jej w tym dopomógł? – Górny odebrał kurczaka i odjechał z nim pod jeden ze stolików ze zбитych bali. Wysiadł z auta i usadowił się na pieńku, po czym rozwinął folię. Ostra węgierska przyprawa zrumieniła skórę na chrupiącą skorupkę. Oderwał palcami udko i wgryzł się w nie zębami.

– To pierwsze. Zrezygnowała, kiedy chłopak stał się kaleką.

– Brzydko. Paskudnie. Ale miłość, wbrew pozorom, nie jest ślepa.

– I tu dochodzimy do sedna sprawy. Gość, z którym rozmawiałem, bąknął o wypadku samochodowym.

Ręka z udkiem zawisała w powietrzu.

– Biały opel?

– Bingo. Słuczka usadziła chłopaka na wózku. Dostał dożywocie, przynajmniej tak mówią we wsi.

– Mów dalej.

– Ten informator to facet z myjni. Jest taka jedna w okolicy, z opcją samoobsługi. Tak się złożyło, że nasi mili panowie, zamiast dać opła na lawetę, podprowadzili ją pod zakład. I tu kolejne bingo. Chcieli umyć auto sami, własnymi rękami, koniecznie myjką ciśnieniową. Zgadnij dlaczego.

– Bo jest jakieś trzecie bingo?

– I owszem, na masce były wyraźne, choć rozmazane plamy.

– Krew?

– Podobno po zabitej sarnie. Wpadła im pod koła i doszło do tragedii. Młody Knott wyładował w szpitalu, a opel został bez przedniej szyby. Facet polecił im taniego szklarza, chłopcy umyli wózek i zabrali go na podwórko do jednego z nich. Jak już wiesz, auto spłonęło.

– Myjka ciśnieniowa dobra rzecz. W ten sposób pozbyli się reszty śladów. Ta sarna musiała być wyjątkowo ważna, skoro tak im zależało, by dokładnie wypucować po niej karoserię.

– Zwłaszcza że mogłoby się okazać, że to nie była sarna. – Szymański znów siorbnął przez słomkę.

– Dobra robota. Ile dałeś temu z myjni? Wolałbym, żeby nie rozgadywał po wsi, że ktoś go ciągnął za język.

– Żadne ciągnął. Normalna rozmowa się odbyła. Wiesz, ile trwa full service z odkurzaniem, myciem i woskowaniem? Masz, co chciałeś, a moja bryka przy okazji błyszczy jak porcelanowa laleczka. Tarł ją tak, że mało co nie pozdzierał lakieru.

– Ile?

– Stówka. Dorzucisz mi do pensji. Nie mów, że nie było warto.

Górny się rozłączył. Schował resztę kurczaka do foliowej torby i wytarł oblepioną tłuszczem rękę w serwetkę. Szymański zadziałał w modelowy sposób, ale jedna sprawa wciąż nie dawała mu spokoju.

Ponownie sięgnął po telefon i wybrał numer straży pożarnej.

* * *

Była dziewiąta wieczorem, kiedy Julia weszła do recepcji Mazovii i poprosiła po raz kolejny o dostęp do internetu. Mężczyzny w kamizelce nie zastała, był za to jego syn. Wysoki i śniady, jakby dopiero co wyszedł spod opalania natryskowego. Od razu przyszedł jej na myśl Ross Geller z telewizyjnych *Przyjaciół* i epizod z salonu piękności, w którym aktor niemal zamienił się w Denzela Washingtona.

– Piętnaście minut – powiedziała, kładąc przed nim dwudziestozłotowy banknot.

Kwadrans zwykle wystarczał, by mogła przejrzeć skrzynkę mailową i skrobnąć kilka słów do Sylwii. Od niej też oczekiwała wieści, jednak od ich ostatniego kontaktu córka najwidoczniej nie miała albo czasu, albo interesu, by się odezwać. Julia zamknęła więc Gmaila i przeszła do czytania najświeższych informacji z kroniki policyjnej. Poza wzmiankami o odkryciu dziupli, w której dekowano niemieckie auta, oraz dwóch mordobiciach, na Pradze i Białołęce, nie znalazła nic ciekawego. Dopiero gdy zjechała nieco niżej, zobaczyła coś naprawdę obrzydliwego.

Prosektorium Lipskiego знаła jak własną kieszeń, z zamkniętymi oczami mogłaby opisać każdy szczegół. Tym bardziej ani na moment nie zwątpiła, że zdjęcia do artykułu, który zamieszczono w sieci, zrobiono właśnie tam. Drzwi sześciu lodówek, w których Lipski trzymał ciała, były otwarte. Z szuflad wystawały białe worki rozpięte w okolicach stóp. Autorem artykułu *Dziewczęta z Kampinosu* był niejaki Ralf Szwarc, który informował, że zakład na Oczki w sposób wzorcowy przeprowadził analizę ciał sześciu młodych kobiet, które wykopano z leśnych kurhanów dzięki staraniom i zawodowej intuicji szefa stołecznej policji Wiktora Madejskiego.

Według Szwarca wykonano badania, jakich do tej pory nie przeprowadzano. Śmiertelne porażenia prądem są bowiem rzadkim zjawiskiem i wpiszą się na stałe w annały polskiej kryminalistyki. Na samym dole widniało zdjęcie skupionego na swojej misji młodego doktora Rajtara, pioniera w dziedzinie kryminalistyki sądowej. W ostatnim zdaniu wspomniano krótko o jego współpracy z asystującym mu doktorem Lipskim.

Narodziny gwiazdy, wymamrotała pod nosem Julia. Gwiazda stanęła buciorami na ramionach Lipskiego i głośno wykrzyczała w medialną przestrzeń swoje nazwisko, by echo rozniosło je po kraju. Lipski pewnie do tej pory nie ma pojęcia, że został okradziony z własnych osiągnięć. Ani o tym, że zrobiono zdjęcia stóp zamordowanych kobiet. Nie pozwoliłby na to za żadne honory.

A do tego kolejny idol tłumów. Madejski. Jak to brzmiało? Że dzięki jego staraniom i intuicji? Następna supernowa na nieboskłonie.

Julia zamknęła laptopa i opadła na oparcie krzesła. Wygrzebała z kieszeni dwa złote i podniosła się, by wrzucić monetę do maszyny z napojami.

– Daj pan telefon – usłyszała ściszy głos dochodzący z recepcji. – Chcę zadzwonić. No, szybciej.

Monika rozglądała się na boki, wyciągając rękę po aparat. Syn człowieka w kamizelce aż tak się nie śpieszył.

– Aparat w pokoju nie działa? Pewnie zepsuła? Guziki trzeba wciskać delikatnie, bo się blokują. Ojciec nie uprzedzał?

– Najwyraźniej zapomniał. Dawaj pan.

Telefon w pokoju został zlikwidowany przez Julię w pierwszej godzinie ich pobytu. Wolała, by nie kusił dziewczyny do czegoś, czego by sobie nie życzyła: do obdzwaniania znajomych i rodziny. Teraz leżał w bagażniku skody.

Julia wyjęła butelkę, która wytoczyła się z maszyny, i podeszła do recepcji.

– Żadnego kontaktu ze światem – szepnęła Monice do ucha. – Wracaj do pokoju.

Dziewczyna skrzywiła się, jakby właśnie wrywano jej paznokieć.

– Tylko do matki chciałam. Bądź człowiekiem.

Julia musiała wyprowadzić ją na zewnątrz. Wyszła, szamocząc się i ciskając wściekłe spojrzenia.

– Chrzah się, Krawiec! – szarpnęła się mocniej, wyswobadzając łokieć z uścisku. – Jeśli wolisz, żebym rozwalila ci bagażnik, masz to jak w banku.

– Już próbowałam przy nim majstrować i jakoś ci nie wyszło. To stary model, trzeba umieć.

Monika usiadła na krawężniku i wystawiła twarz do zachodzącego słońca.

– Kup mi chociaż olejek. Siedzimy na tym zadupiu i ani porządnego jedzenia, ani żadnej innej radości. Nie mogłaś wybrać jakiegoś hotelu dla ludzi? Z basenem i drink-barem?

Julia stanęła przed nią, zasłaniając słońce.

– Jakoś się przemęczysz.

Dziewczyna spojrziała na nią, mrużąc mocno oczy.

– Mówię tylko, że nędza. W klinice było lepiej.

– Twoje koleżanki z sali były aż takimi duszami towarzystwa? Najwidoczniej coś mi umknęło.

– Lekarz był spoko gościem – westchnęła Monika.

– Synowiec? Pewnie zabrakło mi szczęścia, by poznać jego spoko naturę.

– Ten drugi. Trochę picuś, ale zasadniczo niezła sztuka.

Wszystko jasne.

– Szkoda tylko, że gej – dodała po chwili. – Zero reakcji na moje nogi. No, popatrz tylko. Niezłe, co? – Zaprezentowała je w całej okazałości, podciągając brzeg sukienki. – Więc gej jak nic. To co z tym olejkim? Muszę coś jutro robić, kiedy ty będziesz się bawić w filmowca. Może chociaż mają tu leżaki.

Julia zostawiła ją na chodniku i wróciła do recepcji. O czymś takim jak płyn do opalania mogła pomarzyć tak samo jak o świeżym homarze, dostała za to krem rumiankowy. Jeśli Monika miała przestać narzekać choćby na kilka godzin, musiał wystarczyć. Leżaki też były w deficycie. Znalazły się za to dwa składane krzesła z parcianymi siedziskami. Polski Ross Geller zarzekał się, że plażowe, choć na oparciach widać było wyblakłe rysunki szczupaków. Zarezerwowała jeden na jutrzejszy dzień z zastrzeżeniem, by usunąć z niego ciemne plamy niewiadomego pochodzenia oraz gryzący rybi zapach.

* * *

Raport przysłany przez młodszego ogniomistrza Stasiuka był zaledwie kilkudzaniowy, ale za to frapujący. Górny przeczytał go kilkakrotnie.

Według wstępnego orzeczenia ogień został podłożony wewnątrz pojazdu, na co wskazują rozległe ślady głębokich uszkodzeń w tapicerce tylnych siedzeń oraz temperatura, z jaką pożar stopił plastikowe części auta. Z nagromadzonych wewnątrz produktów spalania wynika, że ogień rozprzestrzenił się w warunkach niedostatecznej wymiany gazowej, czyli przy zamkniętych drzwiach. Nadciśnienie gazów pożarowych powstałych wewnątrz auta uwolniło się z chwilą otwarcia przednich drzwi przez właściciela pojazdu. Podpalenie ma charakter przestępczy, co oznacza, że sprawca działał z winy umyślnej w zamiarze bezpośrednim.

Ostatnie stwierdzenie jasno dawało do zrozumienia, że sprawa trafiła w ręce policji i że wrak samochodu czekają kolejne, bardziej szczegółowe badania.

– Ktoś chciał zrobić z opla jeden wielki fajerwerk – powiedział Górny, podając pismo Szymańskiemu. – Ten chłopak, Alek Koziej, miał więcej szczęścia niż rozumu.

– Nie mógł wiedzieć, że pożar go zmiecie, gdy tylko otworzy drzwi. Ludzie nie mają pojęcia o reakcji substancji łatwopalnych z tlenem. Ale co

racja, to racja, gdyby nie kumple, nie leżałby teraz w szpitalu, tylko w plastikowym worku.

– I tak nie leży.

Szymański ściągnął czoło.

– Wyszedł wczoraj – wyjaśnił Górny. – Poparzony, ale na własnych nogach.

Spojrzał na zegarek. Za dwie godziny miał zajrzeć do Lipskiego. Zabielski powinien właśnie trafić na jego stół prosektoryjny.

– Co z listą z Bizuteryjnych Cudów? Handlarz medalików miał ją przysłać z samego rana.

Szymański sięgnął po telefon, by połączyć się z działem technicznym. Z jego twarzy można było wyczytać, że żadnej listy nie będzie.

– Facet od chińszczyzny zapadł się pod ziemię – powiedział po chwili. – Nie ma z nim kontaktu. Pewnie przez ten cholerny artykuł. Najpierw wydrukowały go papierowe szmatławce, a teraz jeszcze zamieszczono go w internecie. Gość skojarzył fakty i... – Szymański pstryknął palcami, wydając dźwięk pękającej bańki mydlanej.

– Ten Maciejewski z kliniki też mówił o jakimś artykule. Masz go?

– No kurde, stary... *Dziewczęta z Kampinosu* to najnowszy przebój bulwarówek.

Odszukał w sieci publikację i przekręcił monitor, by pokazać ją Górnemu.

– Co za skromność... – skomentował, przesuwając wzrokiem po artykule. – Szkoda, że ten głąb Rajtar nie wie, w co się właśnie wpakował. Lipski mu tego nie odpuści. Gdzie jest mowa o medalikach?

– Zaraz pod zdjęciem tych stóp w lodówkach.

– *Zwłoki sześciu ofiar porzucono w białych koszulach. Każda z dziewcząt na swoją ostatnią drogę dostała rzadki medalik, którego zdjęcie zamieszczamy...* Ożeż kurwa.

– Też tak myślę. Więc nie dziw się facetowi z Radomia, że zwinął ogon pod siebie i nagle zamilkł. Zaraz... a ty dokąd?

Górny zgarnął ze stołu kluczyki do samochodu.

– A jak ci się wydaje? Jeśli góra nie ma zamiaru wysłać raportu do Mahometa, to Mahomet wydrze górze ten raport z gardła. W razie czego łącz telefony.

Adres wskazywał radomskie osiedle Ustronie. Górny błdził przez chwilę pośród blokowiska, dwa razy dopytując przechodniów o lokal, który w jego wyobrażeniu powinien być punktem usługowym wydającym towar dostarczony z Chin, jednak za każdym razem odpowiadało mu przeczące kręcenie głowami. Punktu ani żadnej hurtowni nie było. Budynek z numerem trzynastie okazał się zwykłym blokiem mieszkalnym, a właściwie dziesięciopiętrowym molochem, który zdawał się nie mieć początku ani końca. Jego żółte, usytuowane na gęsto balkony wyglądały jak szalupy ratunkowe uczone frachtowca.

Podszedł do klatki schodowej i wcisnął guzik w domofonie. Odebrała młoda kobieta. Po sposobie, w jaki powiedziała „halo”, wywnioskował, że zjawił się nie w porę, zapewne wyrywając ją z popołudniowej drzemki.

– Nie ma – odpowiedziała cierpko, nim skończył wymawiać nazwisko Marka Bogacza. – A zresztą kto pyta? Bo jeśli po odbiór towaru...

– Po odbiór.

Zaryzykował, mimo że mógł spalić jedyny most, jaki łączył go z Bogaczem. Handlarz mógł trzymać swój bublowaty asortyment z dala od domu.

– Ubrania czy biżuteria? Bo jeśli biżuteria, to trzeba iść na rynek, na pawilony.

Zbyt długie milczenie Górnego musiała odczytać po swojemu.

– Pan pewnie przyjezdny? – Kobieta wciąż nie wpuszczała go do środka. – Teraz są dni miasta. Kto ma coś do wystawienia, idzie z towarem na rynek. Marek zabrał ze sobą co lepsze wyroby, więc jeśli...

– Po ubrania.

Powiedziałaby wszystko, byle tylko wpuściła go na klatkę.

– Pan wchodzi. Ósme piętro.

Wreszcie usłyszał sygnał otwierania drzwi.

Winda stała na parterze, jakby na niego czekała. Nie miał w głowie planu B, a tym bardziej nie miał pojęcia o sukienkach czy stanikach sprowadzanych z Chin. Czasu też nie było na zmyślenie gładkiej historyjki o powiązaniach z Bogaczem.

Wysoka szatynka o ściętych na jeża włosach stała już na progu. Miała na sobie czerwoną podomkę z wyszytym złotym smokiem i pachniała kąpielą. Na pewno nie była śpiąca, raczej rozdrażniona tym, że przerwał jej robienie popołudniowego makijażu. W ręku trzymała paletkę z cieniami i pędzelek.

– Za dwie godziny mają się odbyć na rynku pokazy magików, a ja jestem w proszku – wyjaśniła od razu. – Pan lubi magię?

Górny wyteżył pamięć, by przypomnieć sobie jakąkolwiek ze sztuczek poza oklepanym wybieraniem karty z talii, ale jedyne, co przychodziło mu do głowy, to przeciskanie monety przez szybę.

– Niech pan już lepiej pokaże to swoje zamówienie. – Kobietę musiał rozczarować poziom zaawansowania gościa w kwestii kuglarstwa.

Zamiast zamówienia pokazał legitymację. Takiej sztuczki się nie spodziewała.

Odwróciła się na pięcie i podreptała korytarzem do pokoju. Górny ruszył za jej rozkołysanymi plecami, na których kolejny smok, dużo większy, falował i połyskiwał cekinowymi łuskami.

– Działamy legalnie – powiedziała, sięgając po paczkę papierosów. – O co więc chodzi tym razem? Skarbówka znowu ma o coś pretensje?

– Nie chodzi o skarbowkę, ale o wasz towar. Powiedziała pani, że co lepszy asortyment powędrował na rynek.

Kobieta błysnęła ogniem z zapalniczki, po czym otworzyła szerzej skrzydło balkonu.

– A owszem, powędrował. Pieniądz nie lubi zastoju. To, co nie zeszło, a nadaje się do wciśnięcia klientom, Marek zabrał ze sobą. Ludzie lubią okazje, a kolczyki ze świecidełkami Swarovskiego zawsze kupią. Za dychę to i pan by kupił. Prawdziwe, nie podrabiane.

Górny rozejrzał się po pokoju. Bogacz może i był bogaty, ale gustu nie miał. Mieszkanie urządzone było w stylu *made in China*, zaczynając od obrazków na ścianach, poprzez poszewki na poduszkach, a kończąc na lampach.

– Co z resztą towaru? – zapytał, gdy już nasycił oczy. – Mam na myśli ten najgorszy złom. Gdzie go trzymacie, pod łóżkiem?

Podszedł do kanapy i podwinął długą narzutę z wzorem tygrysa. Nie było tam nic poza atłasowymi kapciami.

– Może lepiej będzie, jeśli powie mi pan wprost, po co ten nalot. – Kobieta zaciągnęła się dymem.

– Narzeczony pani nie mówił?

– Brat – sprostowała. – Nie, nie był łaskaw. Najwidoczniej nie przewidział wizyty policji.

Górny obszedł pokój, zatrzymując się na dłużej przy konstrukcji mającej służyć za regał. Podłużne półki przytwierdzone do ściany ugięły się od małych i większych pudełek. Na wieczkach naklejone były kartki z napisami, wielokrotnie przekreślanymi i nanoszonymi ponownie. Zmiana asor-

tymentu musiała być intensywna: bransoletki, kolie, zawieszki, pendrive'y, plastikowe kostki do lodu.

Zainteresował się zawieszkami. Pod wieczkiem jednego z pudełek zakłębiło się od czegoś, czego nie potrafił nazwać.

– To perły i bursztyny – wyjaśniła siostra Bogacza. – Syntetyczne, ale robią robotę. Dowiem się w końcu, o co chodzi?

– O medaliki.

– Dewocjonalia? Szajs najgorszy z możliwych. Wyszliśmy już z tego. Producent robił potworki, nie medaliki. Trudno było rozpoznać, kto jest kim. Matka Boska wyglądała jak... wolę się nie wyrażać.

– Co z nimi zrobiliście?

– Mówię przecież. Towar nie schodził, więc skończyliśmy handel. Zamieniliśmy na kotki z machającą łapką. Chce pan jednego? Sprzedam po kosztach.

– Medaliki ze Świętym Krzysztofem – naciskał Górny. – Wiem, że kilka sztuk sprzedaliście.

– Chyba ze śniętym Krzysztofem – zaśmiała się, niemal się dławiąc wydychanym dymem. – Tak wyglądał, jakby był przymulony. Twarz całkiem rozmazana, zlewała się z tułowiem. No, było ich trochę, ale do niczego się nie nadawały. Sprowadziliśmy sto sztuk i większość poszła na śmietnik.

– Co zrobiliście z resztą?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ja handluję elektroniką, Marek babskim asortymentem: ciuchami i butami, biżuterią też. Wszystko przez to, że klientki go lubią. Czarus z niego i bajer ma niezły, więc taki ustaliliśmy podział. Każdy działa na własny rachunek, tylko dach wspólny.

– Jakież księgi rachunkowe?

Popatrzyła na niego, jakby poprosił ją o sprowadzenie z Chin oryginalnego stradivariusa.

– Pan tu zaczeka – odparła, gasząc papierosa o parapet balkonu.

Przepełnęła obok niego bezszelestnie i zniknęła za ścianą. Usłyszał, jak coś przekłada, a potem zrobiło się cicho. Kiedy wszedł za nią do sąsiadującego pokoju, stała z telefonem w ręku.

– Niech pani to odłoży.

Zacisnęła usta, ale zrobiła, co jej kazał. Nieważne, że z miną, jakby wypięła piołun.

– Wspólny dach i wspólny kłopot – burknęła. – Nic nie wiem o tych dziewczynach. Bo to o nie chodzi? Widziałam artykuł. Nie powiem, wyszło paskudnie.

– Chcę zobaczyć raport ze sprzedaży medalików.

Usiadła na pufie z frędzelkami i skrzyżowała nogi w kostkach.

– Brat mnie zabije. Już raz go ciągali po sądach za zabawki, od których otruł się jakiś dzieciak, a teraz to.

– Raport. – Górny wyciągnął rękę.

Zsunęła się z pufy, podeszła na kolanach do komody i wysunęła najniższą szufladę. Wygrzebała z dna segregator z szerokim grzbietem. Zestawienia sprzedaży z kolejnych miesięcy powpinane były w osobne koszulki. Przerzuciła kilka z nich, po czym wyjęła z zatrząsków ostatnią folię i podała Górnemu.

– Zamówienia były trzy. Pierwsze we wrześniu zeszłego roku. Kolejne w październiku. Ostatnie w listopadzie. Miesiąc po miesiącu.

Górny przyjrzał się ewidencji.

– Zamawiano po jednej sztuce?

– Tylko za pierwszym razem. Potem były trzy, a na końcu pięć. Razem dziewięć.

Nie sześć. Trzy ciała prawdopodobnie wciąż tkwiły gdzieś w ziemi.

– Zamawiała je ta sama osoba. Na dole ma pan adres i nazwisko. O to panu chodziło?

– Właśnie o to – odparł Górny, patrząc na litery, które składały się na jednoznaczną informację.

– Cholerne medaliki... – Siostra Bogacza podniosła się z kolan. – Jak tylko je zobaczyłam, od razu wiedziałam, że żadnego szczęścia nikomu nie przyniosą. Nadawały się tylko do jednego: do zakopania bardzo, bardzo głęboko. Żeby nikt ich nigdy nie znalazł.

ROZDZIAŁ XIII

Monika zakręciła kurek pod prysznicem i owinęła się szczelnie ręcznikiem. Podtrzymując go nad piersiami, wsunęła stopy w puchate kapcie i stanęła w drzwiach do pokoju.

– A jeżeli to jakaś pułapka? Ta kobieta powinna umówić się z tobą w bardziej cywilizowanym miejscu, a nie w środku lasu – powiedziała, wyciskając wodę z ledwo odrośniętych włosów.

Julia odstawiła na brzeg stołu przyniesioną ze stołówki filiżankę z kawą i po raz kolejny włączyła GPS. Jakkolwiek patrzeć, miejsce spotkania to całkiem dziki zakątek. Droga prowadząca do myśliwskiej ambony była cienką nitką, która urywała się nagle i zamieniała w głuszę. Podjedź tam autem, jeśli trakt nie będzie zbyt wyboisty. Potem będzie musiała iść kilkadziesiąt metrów w głąb, między drzewa.

– Nawet nie wiemy, jak się nazywa – ciągnęła dziewczyna. – Ciekawe, dlaczego nie podała swojego nazwiska. To trochę dziwne, nie uważasz?

– Wszystkiego dowiem się na miejscu.

Mokry ręcznik lepił się Brewce do ciała. Rozwiązała supeł pod pachą i rzuciła go na łóżko. Julia widziała w odbiciu w lustrze, jak od jasnej skóry dziewczyny odbija się wpadające przez okno światło. Nie czuła skrępowania. Przeszła naga do swojego łóżka, usiadła na brzegu prześcieradła i przeciągnęła się w słońcu, pokazując wszystkie zębra.

– Może jednak zabierzesz mnie ze sobą? Na wszelki wypadek. We dwie zawsze raźniej.

– Już o tym rozmawialiśmy. Zostaniesz tu i będziesz na mnie czekać.

– Jak chcesz...

Brewka podkurczyła pod siebie nogi.

– Wiesz, co powinniśmy zrobić? – zagadnęła po chwili. – Powinniśmy spróbować coś z tego wycisnąć.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Przecież to wszystko jest jak film. Urowadzenie, ucieczka i szukanie gościa, który więzi dziewczyny.

Julia obróciła się w jej stronę.

– Nadal nie rozumiem.

– Co powiesz na dokument, ale taki prawdziwy? Kino drogi. Nie czcze gadanie do kamery, jak chciała tamta dziennikarka.

– Magdalena.

– Właśnie. – Monika podrapała się po prawej piersi. – Siedzenie na stołku i łkanie w studiu to lipa. Każdy może coś podobnego nakręcić. Ale *live* z prawdziwą detektyw i prawdziwą ofiarą, które razem szukają oprawcy kobiet, to już całkiem inna bajka.

– Marzy ci się feministyczna telenowela w odcinkach?

– Wystarczy jeden, ale mocny. Za dobry hajs mogę poudawać cierpienie i zaniki pamięci. Jak rozkręcimy akcję, jeszcze chwilę się nad sobą pouzalam, a potem powstanę jak Feniks z popiołów. Niegłupie, co?

– Obawiam się, że trafiłaś na niewłaściwego filmowca. Żadnych kamer.

Julia odłożyła GPS i podeszła do torby, by wyjąć z niej coś na kark dla Moniki.

– Ubierz się – powiedziała, rzucając jej wczorajszy zielonkawy T-shirt. – I nie próbuj żadnych głupich numerów, kiedy mnie tu nie będzie. Żadnych telefonów do matki i żadnego wychodzenia na ulicę.

Przy okazji położyła na jej łóżku rumiankowy krem do opalania.

– Będiesz grzecznie siedzieć i wystawiać się do słońca, rozumiemy się?

Poza ostatnią czystą podkoszulką, którą miała dla siebie, wyjęła dyskretnie glocka i wsunęła go sobie za pasek dżinsów. Chwyliła ze stołu swoje nawigacyjne cudo i wzięła ostatni łyk wystygłej już kawy.

– Co mam zrobić, jeśli nie wrócisz?

– Wrócę.

– Zawsze coś może pójść nie tak, więc chcę wiedzieć.

– Za dwie godziny będę z powrotem.

Julia otworzyła drzwi i wyszła na parking.

Monika wciągnęła pośpiesznie przez głowę bluzkę i zasłaniając mokrym ręcznikiem biodra, podreptała za nią.

– Włącz chociaż telefon!

* * *

Górny zaczynał się przyzwyczajać do zapachu prosektorium, zwłaszcza że Lipski był tak uprzejmy, że postanowił mu w tym pomóc. Powitał go od progu, wręczając kieszonkowy zestaw pierwszej pomocy, składający się z pudełka z maścią kamforową i naklejkami na wieczko, które przedstawiały postaci z seriali kryminalnych.

– Columbo, Mulder i... tego nie znam. – Górny przyjrzał się uważnie podobiznom.

– Dale Cooper. Nie oglądał pan *Twin Peaks*?

– To ma być Cooper? Przypomina Cher.

– Wszystko przez retusz. Niech pan weźmie Muldera, nawet do pana podobny. No co, dobry prezent?

Górny odkręcił wieczko i powąchał zawartość.

– Najlepszy.

– Może wreszcie przestanie pan podbierać moją maść. Zauważyłem, że nie dezynfekuje pan palców, kiedy sięga do słoja.

Lipski odszedł w kierunku parapetu przy zlewie, gdzie zwykł trzymać swoje prywatne drobiazgi. Zimą stawiał tam termos, teraz połyskiwała na nim turystyczna minilodówka.

– Nie lubię też, gdy ktoś się ze mną umawia, a potem o tym zapomina. Podobno zależało panu na szybkich wynikach z badania ciała Zabielskiego. – Zachrząścił pokruszonym lodem i wrzucił kilka kostek do swojego kubka z wodą. – A wyniki wyszły nad wyraz ciekawe. Wysłałem już oryginał raportu do prokuratury. Kopia jest dla pana.

Wskazał głową główne okno i kolejny parapet – ulubione miejsce, w którym gromadził protokoły, o ile miał się spotykać ze śledczymi na sali prosektoryjnej.

– Domyślam się, że na ciele mogły pozostać ślady trucizny.

Lipski przełknął kilka haustów schłodzonej wody, po czym otarł usta chustką.

– Mówi pan o tej na szczury? Bo tego pan, zdaje się, szukał. Nie, nie znalazłem żadnej trutki. Ani na zewnątrz, ani wewnątrz ciała. Organy były w idealnym stanie. Pomijając wątrobę...

– Zabielski lubił zaglądać do kieliszka.

– ...i serce.

– Zmiażdżona klatka piersiowa?

– Nie, panie komisarzu. Klatka cała. Uderzenie poszło prosto w mięsień sercowy i wywołało wstrząśnienie. Rzadkie zjawisko, bardzo rzadkie.

Górny otworzył raport, jak zwykle podzielony na rozdziały i podrozdziały.

– Rzadkich zjawisk ostatnio nie brakuje w tym zakładzie – stwierdził, kartkując dokumentację. – Co konkretnie zabiło Zabielskiego?

– Dwa razy spotkałem się z takim przypadkiem. I to u młodych ludzi, właściwie u dzieci. Raz jednego uderzyła w pierś piłka bejsbolowa, a drugi... nie uwierzy pan.

– Jestem w stanie uwierzyć we wszystko. Więc?

– Zawody cheerleaderek. Nieostrożne kopnięcie i było po dziewczynce. Ale dzieci to inna kategoria, ich żebra są słabsze, a mięśnie klatki piersiowej mało rozwinięte.

– Słaba osłona przed urazem?

– Cieniotka. – Lipski pokręcił głową.

– Zabielski był dorosłym, silnym mężczyzną. Skąd więc u niego wstrząśnienie?

Lipski nie zdążył odpowiedzieć, bo drzwi do sali otworzyły się i wjechały nosze pchane przez Rajtara.

– To ta samobójczyni z Woli? – Starszy patolog podszedł do noszy i rozpiął zamek worka na zwłoki.

Górny kątem oka dojrzał krwawą miazgę.

– Kobieta Ikar. Dziesiąte piętro. Pewnie chciała skoczyć po coś do spoywczaka i tak się jej śpieszyło, że wolała nie korzystać z windy – zaśmiał się Rajtar.

Lipski spojrział na niego z obrzydzeniem.

– Śmierć tak bardzo pana bawi? Może lepiej byłoby panu pracować w kabarecie? Niech pan zostawi ciało i wróci z czystymi narzędziami. Zaraz rozpoczynamy badanie.

Kiedy Rajtar zniknął za drzwiami, Lipski powolnym ruchem zasunął zamek. Gołym okiem widać było, że wciąż trawi słowa młodszego kolegi i że przychodzi mu to z trudem.

– Wie pan, od pewnego czasu regularnie go nagrywam. Włączam zapis na kilkanaście minut przed sekcją, bo wtedy jeszcze się nie pilnuje z językiem. Dzięki temu mam czarno na białym każde jego słowo. Bez dowodów przecież nikt by nie uwierzył w jego impertynencję.

– Ma pan zamiar postawić Rajtara przed izbą dyscyplinarną?

– I to jak najszybciej. Nie dorósł do tej pracy. Może jestem starej daty, ale wiem jedno: ciału należy się szacunek. Nieważne, czy to ciało żyje, czy jest martwe.

Górny wciąż nie był pewien, czy Lipski zdążył już natknąć się na artykuł, którego Rajtar był bohaterem, ale wszystko wskazywało, że nie miał o niczym pojęcia. Postanowił to na razie przemilczeć. Nad Rajtarem i bez tego zbierały się czarne chmury.

Dotarł w międzyczasie do podrozdziału 2c: *Możliwe przyczyny nagłego zgonu*.

– Co to za rysunek? – Obrócił kolorową stronę, która przedstawiała przekrój ludzkiego tułowia i skierowane na niego czerwone strzałki.

– Opis patofizjologiczny. Przyda się prokuraturze podczas procesu. Poniżej dołączyłem poglądowy wykres EKG.

– Widzę, ale nie rozumiem, co jedno ma wspólnego z drugim.

Lipski sięgnął do pudełka z jednorazowymi rękawiczkami i naciągnął je z pietyzmem na dłonie, szykując się do badania ciała kobiety.

– Wykres pokazuje reakcję serca na uderzenie. Mówiłem już, że śmierć w wyniku takiego zdarzenia to rzadkość, ale są wyjątki.

– Tak, cheerleaderki i bejsbol.

– Nie tylko. Wystarczy, że silny cios trafia w serce akurat wtedy, gdy wykonuje ono konkretny cykl. Energia mechaniczna skupiona na małym obszarze wytrąca je z rytmu i zmienia stabilność elektryczną serca. Nazywamy to podatnością elektryczną.

– Dochodzi do migotania komórek, jak u zamordowanych dziewcząt?

– Poniekąd, z tą różnicą, że tam migotanie było wywołane prądem, a tu zwykłym uderzeniem. Wystarczy trafić w odpowiedni odcinek i po człowieku.

– Ktoś wiedział, w co celować.

– Ja stwierdzam tylko przyczynę śmierci. Pańską rolą jest dociec, czy doszło do zbrodni. Może Zabielski wcale nie miał umrzeć w ten sposób, ale nie ulega wątpliwości, że cios zadano twardym narzędziem.

– Wyklucza pan to, że zmarł od końskiego kopyta?

Lipski po raz drugi rozpiął zamek worka ze zwłokami kobiety z Woli i rozszerzył jego skrzydła tak, że poza zmiażdżoną twarzą dało się zauważyć wykręcony tułów.

– Nigdy się nie spotkałem z przypadkiem konia, który miałby trójkatne kopyta – odparł. – Niech pan obejrzy zdjęcia z załączników, te na ostatnich

stronach raportu. Będzie pan wiedział, o czym mówię. Ciało po kilku dniach pokazało dokładnie zarys uderzenia.

Górny tym chętniej zagłębiał się w wyszukiwanie zdjęć, im Lipski szerzej rozchyłał worek ze zwłokami. Był nie tylko mistrzem w opisywaniu obrażeń, ale i skrupulatnym dokumentalistą. Tors Zabielskiego widniał na sześciu zdjęciach, które zrobiono pod każdym możliwym kątem. Wszystkie pokazywały jeden bardzo wyraźny brzeg trójkąta i dwa słabsze. Każde z ramion miało przypisaną literę alfabetu i określoną długość.

– To najkrótsze i najciemniej zaznaczone ramię przedmiotu...

– C, jedenaście centymetrów – dopowiedział Górny.

– Tak, C. Było główną przyczyną śmierci. Weszło dosłownie w podstawę serca. Boki A i B, każdy po dwadzieścia centymetrów, były już dla ofiary drugorzędne.

– Zatem cios musiał być bardzo silny.

– Powiedzmy, że wystarczająco silny. Zdziwi się pan, ale w swojej praktyce słyszałem o przypadkach, gdy dziecko zmarło od uderzenia psiego łba w klatkę piersiową. Nawet to może wywołać zaburzenia w pracy serca i doprowadzić do zgonu. Ludzki organizm potrafi zaskakiwać. Ale co do uderzenia kopytem... – Lipski pokręcił głową. – Niech pan zapomni o tej teorii.

Drzwi znów skrzypnęły. Rajtar wrócił z wózkiem, na którym w dwóch rzędach leżały świeżo wysterylizowane narzędzia.

– Mam nadzieję, że mój raport do końca przekona prokurator Sieracką – powiedział głośno Lipski, by jego słowa dotarły do uszu młodego asystenta.

– To człowiek zabił Zabielskiego, nie zwierzę. Ten, kto twierdzi inaczej, jest medycznym analfabetą. Pani prokurator bez wątpienia dojdzie do tego samego wniosku. Dobrze mówię, komisarzu Górny?

– Bardzo dobrze, doktorze.

Górny chciał wyciągnąć rękę na pożegnanie, ale zrezygnował. Po pierwsze dlatego, że ściskanie winylowej rękawiczki Lipskiego nie miało sensu, a po drugie patolog pochylał się już nad zwłokami kobiety Ikara.

* * *

– Piecze jak jasna cholera. – Alek zacisnął zęby i syknął przeciągle. Ciasno założony bandaż przywarł wraz z opatrunkiem do pleców zbyt mocno. – Poluzuj! Jeszcze trochę!

Muniek Bugaj oderwał ręce od tułowia przyjaciela i rozłożył je jak ksiądz do błogosławieństwa.

– Spokojnie, panienko, nie umrzesz. Zamiast tak piszczeć, lepiej podziękowałbyś, że bawię się w twoją matkę.

– Moja matka zrobiłaby to lepiej.

Bugaj podniósł się z krzesła i splótł ręce na piersiach. Żeby było mu wygodniej, oparł się o ścianę.

– To do niej zadzwoń. Może rzuci wszystko i przyjedzie tu ze słonecznej Italii, żeby cię niańczyć. Przy okazji dowie się, że z tęsknoty za nią nazwałaś tę budę na cześć kraju, który tak ją zafascynował, że zapomniała o twoim istnieniu i postanowiła mieć cię centralnie w dupie. Zaraz, ile to już lat odkłada forszę na twój komunijny garniturek? Dwanaście?

– Odwał się. – Alek potarł nerwowo czoło. Było gorące, ale co gorsza, jego wzrok stawał się jakby mniej ostry. – A o mojej matce albo dobrze, albo wcale. Rozumiemy się?

Znów zasyczał. Każdy ruch łopatek wywoływał falę bólu, jakby poparzenie nasmarowano sproszkowaną papryczką chili. Ściany zawirowały mu przed oczami. Zachwiał się na stołku. Gdyby nie wyciągnięte w porę ręce kumpla, leżałby już na podłodze.

Muniek utkwiał wzrok w przyjacielu.

– Za osiem godzin zacznie się tu prawdziwa bonanza, a ty wyglądasz, jakbyś właśnie kładł się do grobu. No zajebiście.

– Do wieczora mi się polepszy. Potrzebuję tylko odpocząć. Daj mi coś do picia.

Kiedy Bugaj ruszył do skrzynki z piwem, klub rozsadziły basy z dyskotekowej sali.

– Zespół się od wczoraj instaluje – wymamrotał Alek. – Powiniennem im pomóc.

Spróbował się dźwignąć, ale nawet nie oderwał pośladków od stołka.

– Narwany idiota z ciebie. – Muniek nacisnął na jego ramię, by nie wykonywał żadnych gwałtownych ruchów. – Siedź, jak ci dobrze. Sam sprawdzę, co się tam dzieje.

Upił łyk piwa, ale smakowało jak ciepły mocz. Odstawił z niesmakiem butelkę na stół i zniknął za drzwiami.

Alek czekał, zdawało mu się, że całą wieczność. Kapela grała nieprzerwanie, wyciągając coraz dłuższe dźwięki. Wycie syntezatorów wwiercało się w mózg, jakby regulacja wzmacniaczy była czymś wyjątkowo skompli-

kowanym. Przecież nieraz Muniek grzebał w elektronice, wystarczyło nastawić kilka pokręteł i ustabilizować nagłośnienie, by nie rozrywało bębenków w uszach.

– Ten kretyn robi mi na złość – wybełkotał i po raz drugi napiął mięśnie, żeby podciągnąć się ze stołka.

Pionizował się centymetr po centymetrze. Trzymając się powietrza, dotarł do drzwi dyskotekowej sali i przeszedł jeszcze kilka kroków.

Przeciąg od głównego wejścia owiał go po twarzy, przynosząc chwilową ulgę od gorączki. Minął maszynę z napojami i stanął pod sceną. Małą, bo małą, ale czterech chłopaków z zespołu jakoś się na niej mieściło. Dwaj z tyłu, którzy walili w syntezatory, jeden z gitarą elektryczną i wokalista. Z uwagi na to, że klimatyzacja dopiero zaczynała działać, koszule lepiły im się do ciał, tak samo jak bandaż lepił się do pleców Alka.

– Gdzie Muniek? – spytał, przekrzykując klawiszowców. – Wszedł tu przed chwilą.

Solista rozejrzał się po sali, po czym wskazał głową na główne drzwi.

Alek wytoczył się na podwórko. Kurtyny wodne, które zainstalował, wciąż wstrzymywały się z wypuszczaniem bryzy. Z przyzwyczajenia schylił głowę pod niskim zadaszeniem i rozejrzał się po okolicy. Poza dziewczyną, która wieczorem miała stanąć za barem, a teraz przecierała szmatką stoliki, nie było nikogo.

– Widziałaś Muńka?

Oderwała się od pracy i zasłoniła oczy przed południowym słońcem.

– Za rogiem, na pogorzeliśku. – Machnęła ścierką.

Minął stoliki i ruszył za budynek. Czarna plama, która pozostała po spalonej trawie i opłu, była jak kosmiczna czarna dziura. Muniek usilnie szukał czegoś w jej obrębie.

Alek nie chciał go płoszyć. Stanął przy murze i przyglądał się w milczeniu, jak przyjaciel chodzi pochylony z patykiem w rękę i rozgrzebuje resztki popieliska, co jakiś czas kopiąc czubkiem trampka jakiś kamień czy paproch. W końcu przykucnął. Podniósł coś niewielkiego i przez chwilę trzymał to w palcach. Wsunął znalezisko do kieszeni i dopiero wtedy się wyprostował. Musiał wyczuć, że jest obserwowany, bo obrócił się nagle spłoszony.

– Aleś mnie wystraszył! – huknął, po czym szybko przyklepił uśmiech do ust. – Miałaś siedzieć w środku.

Alek zmrużył oczy.

– Miałeś pomóc przy sprzęcie. Mam nadzieję, że znalazłeś to, czego szukałeś?

Bugaj podszedł bliżej i sięgnął do kieszeni.

– To na pamiątkę po naszej łajdackiej przeszłości. Żebyśmy nigdy nie zapomnieli o tym, co się stało wtedy.

Położył mu na dłoni całkiem spaloną maskotkę zawieszkę, która wisiała na lusterku wstecznym od dnia, kiedy wybrali się na pierwszą przejażdżkę nowo zakupioną furą.

– Twój baran. Pamiętasz, jak się wkurzyłeś, kiedy Kostek powiedział, że to od twojego nazwiska? Zawieszki z kozą nie było, więc kupił ci barana na szczęście. Tyle z niego zostało. Kółko i kawałek metalowych rogów.

Powinien podziękować. Za miłe gesty wypadałoby.

– Po to grzebałeś w tej spaleniźnie?

– Lepiej teraz, bo jak policja się tu zjawi, to wymiecie każdy pyłek. Nie mówiłem ci jeszcze, ale straż zgłosiła glinom celowe podpalenie. Będą przesiewać całe podwórko.

Alek nie potrafił odgadnąć, czy świdrujący wzrok Muńka miał zmusić go do powiedzenia czegoś w stylu „wpuszczę ich tu, ale po moim trupie”. Zamiast tego obrócił tylko w palcach resztki spalonej maskotki. Na słowa podziękowania za odnalezienie barana też się nie zdobył. Widział wyraźnie, że to, co Muniek wygrzebał z pogorzelniska, trafiło do innej kieszeni niż zawieszka, którą kiedyś podarował mu Kostek.

* * *

Julia zatrzymała skodę na ostatnim metrze asfaltowej jezdni. Tam, gdzie kończyła się twarda nawierzchnia, zaczynało się rozwidlenie traktu. Obie drogi były wąskie i po kilkunastu metrach ginęły między niskimi koronami drzew. GPS wskazywał jednak wyraźnie, że punkt wyznaczony na spotkanie znajduje się trzysta metrów w głąb lasu. Nie mogło więc dojść do pomyłki; była niemal na miejscu.

O tym, by dojechać tam samochodem, nie było mowy. Przepisnąłby się tędy co najwyżej nieduży quad.

Zgasła silnik i wyszła na drogę. Ciszę przerywały jedynie ptasie wrzaski, a zaraz potem daleki pomruk burzy. Powinna przejść bokiem, pomyślała. Niebo wciąż jest czyste. Tylko ptaki są jakieś dziwnie niespokojne.

To było fatalne zrządzenie losu, że nie ona odebrała telefon. Mogłaby wyczuć ją po głosie. Tę kobietę, szwaczkę. Nie dałaby się zaciągnąć w ten dziki zagajnik. A może Brewka źle zapisała miejsce spotkania? Jest roztrągniona i nabazgrała to, co niewyraźnie usłyszała. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zapuszcza się przecież w takie tereny.

Coś zaszeleściło. Gdzieś między drzewami, jakieś kilkanaście metrów od niej. Odbita lub złamana pod butem gałąź.

Zatem Brewka się nie myliła. Ktoś tu jest.

Machinalnie musnęła tył dzinsów i schowanego za paskiem glocka.

Schyliła głowę i spojrzawszy po raz ostatni na pulsujący w GPS punkt, weszła między chaszczce.

* * *

Kostek Knott wcisnął guzik w wentylatorze stojącym na jego biurku i przystawił twarz do śmigła. Miał je tuż przed sobą, pozbawione osłonki, która pękła kilka lat temu i wylądowała w szufladzie w oczekiwaniu na naprawę. Zasłonił dłońmi uszy i zacisnął powieki. Czuł i chłód, i zapach małego silniczka pociągniętego smarem. Czuł też, że jeszcze centymetr, dwa i czubek jego nosa zostanie roztarty na miazgę.

Otworzył oczy, gdy znów zrobiło się gorąco. Wyczerpana bateria zatrzymała obroty, ratując mu twarz.

A zatem nici z dramatu. Może i kiepskiego, ale szum po wsi poszedłby jak nic, gdyby pod ich domem pojawiło się pogotowie. Cholerne baterie, zawiodły, a mogły pomóc. Gdyby wentylator poranił mu twarz, miałyby pretekst, żeby nie pójść na otwarcie Milano. Pojechaliby spokojnie do szpitala i przeczekałby triumf Alka bez konieczności pokazywania się tam na wózku. Wszyscy by zrozumieli, w końcu u kaleki łatwo o wypadek. Ewentualnie mógłby jeszcze stoczyć się znów z rampy, tym razem bardziej niefortunnie, i połamać kilka żeber.

Ale twarz i żebra wciąż były całe, zatem wyprawa do Milano go nie ominie. Będzie musiał strugać z siebie wariata i udawać, że wszystko między nim a Alkiem gra. Poklepie go po plecach i powie „dałeś radę, stary!”. Wyszczrzy zęby z radości, że pożar pochłonął tylko auto, a nie jego właściciela.

Podjechał wózkiem do szafy i spojrział na półki z koszulami. Matka prasowała je w kant i zawsze składała równo, jakby miał w nich iść do biura.

Te z długimi rękawami kładła wyżej, a te z krótkimi tak, by nie musiał się wysilać, żeby po nie sięgnąć. Czyli na poziomie dziecka. Dobrze, że nie układała mu slipów w kostkę. Dobrze, że w ogóle nie zaglądała do szuflady z bielizną. Nie życzył sobie, by to robiła.

Wysunął szufladę z bielizną i sięgnął na jej dno.

Wspólne zdjęcie, na którym pociągali colę przez słomki, wywołało skurcz serca. Siedzieli wtedy w jakiejś kafejce na warszawskiej starówce. Ona po prawej, przytulona do jego boku, a on z wariacko wybałuszonymi oczami, jakby bąbelki podeszły mu pod nos. Chciał wykasować to zdjęcie z telefonu, ale zaprotestowała. Powiedziała, że to ich ostatnie wygłupy, bo za chwilę zaczną się wszystko na poważnie. Ślub, potem ciąża. Oboje tego chcieli.

– Wydrukuję to i oprawię. Pokażemy tę fotkę naszym dzieciom za jakieś dziesięć lat – westchnęła z autentycznym rozrzewnieniem. – Niech zobaczą te twoje miny. Inaczej nie uwierzą, że ich ojciec był kiedyś takim cudakiem.

Odrzuciła z szyi swoje miękkie włosy i pocałowała go w czubek nosa.

Nie mogła przypuszczać, że równo tydzień później usłyszy, że wspólnych dzieci nie będzie. Że zamiast tego będzie walka o to, by mógł się w ogóle poruszać i odzyskać władzę w górnej części ciała. Płakała. Stała pod oknem w szpitalnej sali i zatykało ją od łez. Kiedy przyszło otrzeźwienie, sprzedała białą sukienkę i wyłączyła telefon. Myślał, że to efekt szoku i że jak tylko przejdzie jej fala hysterii, w końcu się do niego odezwie. Miłość życia nie powinna rozpląnąć się w powietrzu z powodu kalectwa. Tak sądził.

Cudak.

Odłożył zdjęcie i sięgnął po czystą koszulę, tę z niższej półki, bo na długie rękawy było za duszno. Chciał dobrać do niej zamszowe brązowe mokasyny, ale zrezygnował. Jego wzrok powędrował ku starym sportowym butom, w których przebiegł na stadionowej bieżni dziesiątki kilometrów. Nie były tak ładne jak te, które kupił mu Zabielski, ale były ważne. Chciał je włożyć właśnie teraz, w tym jakże znaczącym dla jego kumpla dniu, żeby Alek zrozumiał ten jasny przekaz i uświadomił sobie, jak bardzo go zawiódł.

Przetarł je łokciem z kurzu i postawił pod łóżkiem. Wystroi się we wszystko już niedługo. Impreza inauguracyjna zaczną się za cztery godziny. Z pewnością będzie niezapomniana.

* * *

Górny nastawił klimatyzator na maksymalne wianie i wyciągając rękę w stronę żeberek, sprawdził, czy rzeczywiście temperatura powietrza wpompowywanego do gabinetu obniżyła się do dwudziestu stopni.

– Nie zejdzie poniżej dwudziestu pięciu – odezwał się zza biurka Szymański. – Możesz sobie kręcić tym wihajstrem do woli. Usterka technicznie nienaprawialna.

– Mózg mi się zaraz ugotuje – warknął z irytacją Górny.

Szymański utkwiał wzrok w jego zaczerwienionej twarzy.

– To nie przez upał, stary. Ciśnienie ci skacze przed akcją. Im bliżej dorwania człowieka od medalików, tym większa gorączka. O której startujemy?

Górny spojrzął na zegarek.

– Zbieramy się za półtorej godziny. Dopiero wtedy dostanę więcej ludzi.

– Do obławy na jednego gościa? Delikwent może nie mieć nic wspólnego z zabójcą. Obstawiam, że jest tylko kolejnym ogniwem w handlu chińszczyzną.

Górny potarł ręką po zgrzanej szyi.

– Wiesz o nim cokolwiek? – zagadał ponownie Szymański.

– O niej. To kobieta.

– Tym bardziej. Kobiety rzadko kiedy mordują, i do tego seryjnie. Była notowana?

– Nie, Szymański. Grzeczna była.

– Jak rusałka nucąca serenadę nad tonią jeziora?

Górny zakręcił młynka palcami.

– Nigdy nie ufaj rusałkom, dobrze ci radzę. Potrafią być bezlitosne, a ta... w przeciwieństwie do ciebie mam co do niej złe przeczucia.

– Zamieniam się w słuch.

Górny podszedł do ściany i po raz setny przyjrzał się zdjęciom zrobionym przez Zabielskiego.

– To matka jednego z tych chłopaków – powiedział.

– Nazwisko, Górny.

Na biurku zadzwonił telefon.

– Zostaw, ja odbiorę. – Górny niemal biegiem ruszył do aparatu. – Kto?!
– krzyknął do kobiety z sekretariatu. – Jest pani pewna? Tak, przełączać natychmiast!

Przysiadł na rogu stołu i wbił wzrok w Szymańskiego. Ten ruchem ręki pokazał mu, żeby stał sobie z czoła krople potu.

– Tak, przy telefonie... Proszę mówić, tylko spokojnie. Wszystko po kolei, od samego początku.

Złapał za długopis i kartkę wyciągniętą losowo spod sterty dokumentów. Notował każde słowo, ani razu nie przerywając rozmówcy. Gdy odłożył długopis, przeniósł dłonie na klawiaturę komputera i wpisał coś w wyszukiwarce.

– O której to się stało? – odezwał się po dłuższej chwili do telefonu. – Jasna cholera... Tak, zapisałem. Będę tam za pół godziny.

Rzucił słuchawkę na widełki i schował twarz w dłoniach.

– Chodzi o Julię? – spytał Szymański.

Górny w odpowiedzi pokiwał głową.

– Przeczuwałem, że do tego dojdzie. Krawiec nie przeżyje jednego dnia, żeby nie wpakować się w jakiś syf – skomentował Szymański.

Górny sięgnął po kluczyki do samochodu.

– Jedziesz ze mną czy wolisz tu zostać i przekładać dokumenty?

– Jadę, tylko nie wiem dokąd. Gdzie ona jest?

Górny stał już w drzwiach i nastawiał lokalizację w smartfonie.

– Też chciałbym to wiedzieć. Ostatni raz widziano ją w motelu Mazovia. Recepcjonista dał cynk, że się tam zameldowała.

– Zabunkrowała się w zacisznym apartamencie? Skąd wiedział, że jej szukamy?

– Nie wiedział. Tak naprawdę dzwonił dlatego, że ukradziono jego auto. Jedynymi gośćmi motelu była kobieta o rudych włosach i towarzysząca jej młodsza dziewczyna. Przyjechały tam starym modelem skody. Numery z blach pasują do auta Julii.

Szymański poprawił wystającą ze spodni koszulę, wciskając ją za pasek.

– Pewnie grat rozkraczył się podczas ucieczki i dziewczyny podprowadziły mu samochód spod motelu. Robi się coraz ciekawiej.

– Jakby wcześniej nie było.

Młodszy aspirant uśmiechnął się krzywo.

– Przecież to właśnie cię w niej kręci: nieprzewidywalność. Z normalną byłoby drętwo.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Jasne, stary. I niech tak zostanie. Jeśli wolisz udawać, że nic cię z nią nie łączy, twoje prawo.

– Wolę. I rusz wreszcie tyłek.

– Odpuszczasz spotkanie z właścicielką medalików?

Górny spojrzał ponownie na zegarek. Czas, którego jeszcze chwilę temu miał za dużo, zaczął się nagle kurczyć.

– Najpierw motel. Muszę wiedzieć, co się tam stało. Chłopaków skrzyknijemy potem.

Udał, że nie słyszy sarknięcia Szymańskiego. Zamknął za nimi gabinet i nie oglądając się na młodszego kolegę, ruszył do wyjścia z komisariatu.

– Przyjechały tu dwa dni temu, w czwartek. – Mężczyzna w kamizelce poślinił palec wskazujący i przerzucił kartkę w rejestrze.

Górny odszukał dla pewności zdjęcie Julii w swoim telefonie i podstawił mu ekran pod nos.

– Tak, to jedna z nich. Bożena Kuraś.

Mógł się tego spodziewać.

– A nazwisko tej drugiej?

– Niestety... Ale numery auta spisałem, jak należy. Jakby mnie coś tknęło, że mogą być kłopoty. Ten mój ford całkiem nowy, trzylatek. Zniknął z parkingu zaraz po czwartej po południu. Byliśmy wtedy razem z synem na kuchni. Spuściłem parking z oczu na dziesięć minut. Kiedy wróciłem, miejsce po nim było puste. Tu mam dokumenty. – Mężczyzna wygrzebał zza kamizelki dowód rejestracyjny i polisę OC.

Górny zerknął dla przyzwoitości.

– Co z tym drugim samochodem?

– Ze skodą? Odjechała pół godziny wcześniej. W motelu została tylko ta młoda dziewczyna z ogoloną głową. Widziałem, jak się opala, sam przyniosłem jej leżak. Potem ona też zniknęła, a razem z nią mój ford. Pomyślałem, że coś strzeliło jej do głowy, ale zaraz będzie tu z powrotem, odda za spaloną benzynę i udamy, że nic się nie stało. Młode lubią wyrwać się w miasto, a tą łysą to aż nosiło. Ta Kuraś wciąż jej pilnowała, więc nawet się nie zdziwiłem, że wykorzystała okazję. Nie pierwszy raz kręciła się przy samochodach. Pojeździ sobie i wróci, mówiłem do syna. Ale nie wróciła. Wtedy kazał mi zawiadomić policję.

Szymański stanął przy przeszklonych drzwiach wychodzących na parking i zapatrzył się w puste miejsca.

– Nie słyszał pan, czy rozmawiały o czymś nietypowym? – zapytał, nie odwracając wzroku od rozgrzanego asfaltu. – Może miały coś w planach?

– Nie, proszę pana, nic nie słyszałem. Chociaż... ta łyśa przebąkiwała coś o dyskotece. Wzięła nawet ulotkę. O, jedną z tych. – Wyjął z plastikowego stojaka agitkę zachęcającą do przyjsia na inaugurację klubu.

– Milano? – Górny przebiegł oczami po kolorowej reklamie.

Szymański podszedł do lady i też spojrzął.

– Podobno Brewka przechodzi traumę pourazową. Nie słyszałem o metodzie leczenia traumy dyskoteką, ale co ja tam wiem. Panny się wystroiły i widocznie pojechały zabalować.

– Żadne zabalować – usłyszeli z korytarza młody głos. W ich stronę szedł wysoki jak tyczka i nadmiernie opalony dwudziestokilkulatek z przerzuconymi przez rękę ręcznikami. – Obie były w zwykłych ciuchach, nic wyskokowego. Bez cekinów się tutaj nie baluje.

– Pański syn? – Górny kiwnął głową w stronę dryblasa.

– Henio. Mój najstarszy. On kazał mi dzwonić.

– Szemrane były od samego początku. – Henio odłożył ręczniki na brzeg recepcyjnego blatu. – Zwłaszcza ta łyśa. Fochy robiła. Ruda miała z nią problem, dlatego trzymała ją na pasku.

– Powiedział pan, że na wiejską zabawę bez cekinów...

– Nie da rady – dokończył Henio. – Trzeba mieć coś błyszczącego, ale najlepiej supermini, a sukienek też ze sobą nie zabrały. Ciuchy leżą porozrzućane na łózkach.

– To znaczy, że nie zabrały niczego z pokoju?

– Na moje oko niczego. Może myślały, że jak zostawią swoje rzeczy, weźmiemy to za dobrą monetę i będziemy czekać, aż po nie wrócą. Niezła podpucha, żeby zyskać na czasie.

– Klucze. – Górny wyciągnął rękę do recepcjonisty. – Chcę zajrzeć do ich pokoju.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Drzwi są otwarte. Tej łysey tak się śpieszyło, że zapomniała przekręcić klucz w zamku.

– Który to pokój?

– Trójka, panie komisarzu. Z wyjścia od razu na lewo.

Szymański pchnął z rozmachem drzwi. Powietrze, które wdarło się do niewielkiego pokoju, uniosło zieloną zasłonkę w oknie.

Zgodnie z tym, co usłyszeli w recepcji, na łóżkach wciąż leżały rozrzucone ubrania. Na jednym z nich dodatkowo bielił się kąpielowy ręcznik.

– Niezły bajzel. – Szymański przesunął nogą wsuwane kapcie z puchatą otoczką. – Nie wiedziałem, że nasza żelazna dama gustuje w puszkach.

Górny wolał nie wchodzić w kolejną dyskusję o Julii, zwłaszcza że wzrok Szymańskiego padł na przerzucony przez oparcie krzesła czarny koronkowy stanik. Ani kapcie, ani biustonosz nie należały do Julii, tego był akurat pewien. Wolała proste rzeczy, których na pewno nie można było zaliczyć do seksownych. Kupienie puszków byłoby dla niej zbyt rewolucyjne.

Rozpoznał za to sportową torbę leżącą pod ścianą. Po przeprowadzce do Warszawy Julia trzymała w niej książki, które zabrała ze sobą ze starego mieszkania. Torba długo stała obok nierozpakowanych kartonów z innymi gratami.

Szymański zajrzał do łazienki. Nie znalazł tam nic osobistego, poza tubką pasty do zębów i dwiema szczoteczkami. Przymknął drzwi i stanął za plecami Górnego. Niedomknięta torba, w którą wpatrywał się jego kolega, kusiła, by do niej zajrzeć. Przykucnął i rozchylił jej brzegi.

– Zostaw – przepędził go Górny. – Ja to zrobię.

Podniósł torbę za uszy i położył ją na łóżku. Zawartość była raczej skromna. Szorty, złożone w kostkę podkoszulki i kilka sztuk bielizny. Zwykłej, bawełnianej. I jeszcze mała kosmetyczka z kremem pod oczy, cielistą szminką i perfumami Pleasure.

Odetkał korek i wciągnął zapach w nozdrza.

– Zostaw te pachnidła i popatrz na to – usłyszał od strony stolika pod ścianą z fototapetą. – Chyba mam tu coś ciekawego.

Górny chciał odstawić torbę, kiedy wewnątrz coś metalicznie zadźwięczało. Włożył rękę na sam spód, pod bieliznę i T-shirty. Wyczuł klucze i coś jeszcze. Po chwili trzymał w dłoni magazynek w kolorze starego złota.

– Elegancka rzecz. – Szymański gwizdnął przeciągle na widok amunicji. – Co z bronią? Też tam jest?

Górny pokręcił głową.

– Nawet nie wiedziałem, że się ostatnio uzbroiła.

– Kupiła naboje, musi mieć i broń. Ale może to i dobrze. Spójrz tylko na te zapiski – powiedział, podając Górnemu urwaną kartkę z kilkoma wyra-

zami. – Ewidentnie była z kimś umówiona ponad dwie godziny temu. To by się zgadzało z tym, co mówił właściciel motelu. Odjechała krótko przed czwartą.

– Przy ambonie, droga za paśnikami – przeczytał Górny.

– Miejsce dość nietypowe jak na spotkanie. Ma dziewczyna fantazję.

Górny podniósł wzrok znad skrawka papieru.

– Po pierwsze, to nie jest jej charakter pisma. Po drugie, gdyby to Julia wyszła z pomysłem na spotkanie, nie zapisywałaby tego, tylko miała wszystko w głowie. Po trzecie i ostatnie, nie zna puszczy, więc tym bardziej nie wie, gdzie poustawiane są paśniki.

– W takim razie propozycja wyszła od kogoś, kto zna ten teren doskonale. Myślisz, że wasza zabawa w filmowców w końcu chwyciła?

– Na to wygląda. Cały czas miała przy sobie drugi telefon. Ktoś odpowiedział na ogłoszenie, a Brewka zapisała wiadomość.

Górny zadzwonił na numer, który wskazali w ogłoszeniu, ale w głośniku zalegała głucha cisza.

Szymański splótł ręce na piersiach i zaczął krążyć po pokoju.

– Nie tylko nie mamy pojęcia, gdzie porozstawiane są strzelnice dla myśliwych, ale nawet ile ich jest w Kampinosie. Nie mówiąc o paśnikach. Przydałby nam się teraz ten cały Zabielski. Znał każdy zakamarek w okolicy.

– Bardziej martwi mnie to, że Julia zabrała ze sobą broń. Musiała uznać to spotkanie za ryzykowne.

– Za to Brewka zrelaksowała się na całego. Poczwała wolność i zwiłała podprowadzonym autem.

Górny zakręcił na palcu kluczykami.

– Tracimy tylko czas w tej norze. Idź do recepcji i powiedz, że gdyby jakimś cudem któraś z nich wróciła, niech dzwonią bezpośrednio do mnie.

Szymański nacisnął klamkę. Zielone zasłonki znów się uniosły.

– Przy okazji powiem też, żeby nie alarmowali ponownie naszych w sprawie tego forda. Jeśli Henio lub jego ojciec podadzą na Nowolipkach namiary na auto Julii, zjawi się tu cała psiarnia z Madejskim na czele.

Mógł mu tylko kiwnąć w podziękowaniu głową.

Kiedy szedł w kierunku parkingu, zatrzymał się na chwilę przy stojącym na skrawku trawy leżaku w rybie wzory. Obok stał otwarty słoiczek z roztopionym kremem rumiankowym.

– W ten sposób chciałaś zatrzymać tu Brewkę? – mruknął Górny. – Liczyłaś, że będzie grzecznie czekać na twój powrót, smażąc się na słońcu? Błąd, Julia, niewybaczalny.

– Gadasz sam do siebie? – usłyszał za plecami głos Szymańskiego.

Górny kopnął leżący w trawie słoik, aż ten potoczył się w kierunku rżyska.

– Do wielkiej nieobecnej. Zostawiła tu Brewkę, tylko nie wiem, z jakiego powodu. Może nie chciała jej jeszcze bardziej traumatyzować podróżą do Kampinosu, albo najzwyczajniej w świecie wołała ganiać z gnatem po lesie zupełnie sama.

– Obstawiam to drugie. Dziewczyna stanowiłaby tylko niepotrzebny balast, zwłaszcza że ma problemy z głową. Julia wyciągnęła z niej tyle, ile mogła, i pojechała dalej węszyć za młodą Lewicką.

– Żywą lub martwą – wtrącił Górny. – W końcu za to jej płacą.

– Nam natomiast płacą za doprowadzenie na komisariat miłej pani od świętych medalików – przypomniał Szymański. – Już najwyższa pora zastukać do jej leśnej chatki.

Ruszyli do samochodu. Górny przekręcił kluczyk w stacyjce, ale wciąż nie wciskał gazu. Zamiast tego włączył przeglądarkę w telefonie i zaczął coś pośpiesznie wpisywać.

– Ruch antyłowiecki – powiedział. – Ekolodzy i strażnicy dzikiej przyrody. Pamiętasz tę ich akcję sprzed roku? Myśliwi wytoczyli im proces za opryskiwanie okolic czatowni koncentratem, który przypominał ludzki pot. Miał odstraszać sarny i dziki.

– Myślisz, że mają mapę z naniesionymi ambonami strzelniczymi?

– Mają, Szymański. Od tego są, żeby ją mieć. Pozostaje tylko pytanie, ile takich punktów jest w Kampinosie.

Szymański otwierał usta, żeby przypomnieć o zupełnie innej akcji, którą zaplanowali na dzisiejsze popołudnie, ale zamilkł. Górny wybierał właśnie numer do głównego koordynatora Stop Hunting.

ROZDZIAŁ XIV

Znów to szuranie nad głową. I skrzypienie desek. Rytmiczne trach, trach, grzmiące niczym dalekie pomruki nadciągającej burzy. Mogłoby wreszcie błysnąć. Zobaczyłaby wtedy ściany, które tonęły w ciemności. Ostatni ogarek świecy wielkości połowy kciuka postanowiła zachować na przyszłość, o ile takowa w ogóle miała jeszcze kiedykolwiek nastąpić. W końcu jedzenia nie przynoszono od wczoraj, wiadra z nieczystościami też nikt nie opróżniał.

Przyszłość.

Roześmiała się na tę myśl.

Naiwna jaka... Przyszłość nie istnieje. Nie po tym, co właśnie usłyszała, przyciskając ucho do drzwi u szczytu schodów.

Woda lała się do wanny już drugą minutę piosenki. Odmierzała czas, nucąc po cichu Stay Rihanny. Stary dobry hit znała na pamięć, sekunda po sekundzie, każdy kadr teledysku, każde słowo i każdy dźwięk. Właśnie w połowie wideoklipu, w jego drugiej minucie, kiedy to siedząca w wannie artystka zaczynała opierać brodę o swoje kolana, zakręcano kurki. Tam na górze, w prawdziwym świecie. Wtedy poziom wody podchodził pod zaznaczoną w wannie kreskę.

Wiedziała, że ten dzień w końcu nadejdzie. Ostateczne załatwienie sprawy. Ze strzępków słów, jakie dotarły do jej uszu, usłyszała coś jakby „czas uprzątnąć ślady”. Była nim. Śladem. Ostatnim, jaki pozostał. Mówili jeszcze coś, a raczej się kłócili. Ich dwóch, jak zwykle. Nędzna aria na dwa głosy.

Chyba najwyższa pora, żeby zapalić świeczkę.

Przeszła na czworakach pod mur z cegły, macając wokół siebie podłogę. Świeczka jest, pudełko z zapalnikami też. Ostatnie dwa patyczki z siarką.

Wszystko się kończy. Zapałki, świeca i czas.

Potarła zapałką o draskę. Płomień oświetlił ścianę z obrazkiem „Uśmiechnij się, to będzie dobry dzień” oraz rysunek na podłodze; jej wyimaginowany pokój z meblami utworzonymi przez krzywe linie wyryte trzonkiem łyżki.

Nisza w ścianie. Jeszcze nie tak dawno temu wyskrobywała stare spoiwo, by móc zobaczyć po drugiej stronie muru Dankę.

Cuchnący kubek. Nawet z nim trudno było jej się rozstać. Jakie to wszystko żałosne.

Już po nią idą. Słysząc kroki.

Nie będzie się opierać, niech to wszystko skończy się jak najszybciej. Tak bardzo brakuje już sił.

Podeszła ze świecą do schodów. Zacisnęła koszulę na piersiach i jeszcze raz spojrzała na materac, poduszkę, rysunki na podłodze i niszę.

Kiedy zazgrzytał zamek, nawet nie drgnęła.

– Boże, zrób tak, żeby nie bolało – szepnęła tylko.

– Czas na kąpiel – usłyszała. – Wiesz, co masz robić.

Kiwnęła głową, po czym zdmuchnęła płomień ze świecy.

* * *

Muniek wsunął klucz do kłódki i wszedł do szklarni. Tym razem nie rozglądał się na boki, by mieć pewność, że nikt go nie śledzi. Myślał tylko o jednym: zaciągnąć się na tyle porządnie, by jakoś przetrwać kilka najbliższych godzin. Po dobrym buchu życie jest o wiele łatwiejsze do przetrwania. A miał co trawić. Może gdyby Alek nie nakrył go, jak grzebie w pogorzeli-sku po opłu, nie czułby się tak podle. Ważne, że znalazł to, czego szukał. Papierośnicę, z którą się nie rozstawał i do której dokładał co kilka dni świeżutko skręcone jointy. Wypadła mu z kieszeni w złym miejscu o złym czasie. Zorientował się, że jej nie ma, gdy czekał przed szpitalem na wypis kumpla. Chciał puścić dyskretnego dymka, ale kiedy sięgnął do tylnej kieszeni spodni, była pusta. Pamiętał, że w dniu pożaru miał ją przy sobie. Uwierała go kantem w pośladek, gdy wciskał się na tylne siedzenie opła, by ułożyć pod nim butelkę z benzyną.

Zanim odszedł na dobre, podpalił szmatę zatkniętą w szyjce butelki. Czekał dwa domy dalej i patrzył, jak ogień zajmuje auto. Był pewien, że gruchot spłonie szybko i będzie po sprawie. Nie przewidział tylko, że Alek,

zamiast siedzieć w domu, ślęczy w Milano, dopinając plan otwarcia klubu. O tej godzinie zawsze jadał u siebie obiad. Zawsze. Ale nie tego dnia.

Biegł do Kostka, jakby jemu samemu paliło się pod stopami. Sam nie wiedział, dlaczego gnało go akurat tam. Dom stał na samym końcu wsi, równie dobrze mógłby wpaść do najbliższego, ale wybrał ten ostatni. Co za absurd. I czego się spodziewał? Że dawny przyjaciel zerwie się z wózka na nogi i pobiegnie razem z nim na ratunek? Ale wpadł do Knottów i zaczął krzyczeć. Nie myślał logicznie ani wtedy, ani później, gdy karetka zabierała Alka do szpitala. Oprzytomniał, kiedy usłyszał, że Koziej żyje, że obrażenia są poważne, ale się wyliże. Wyrzuty sumienia starał się zastąpić troską. Może nieco fałszywą, ale już ton własnego głosu, kiedy tłumaczył mu: „Chłopie, masz leżeć i odpoczywać”, działał jak mała spowiedź i zarazem rozgrzeszenie. Wstrząsnęło nim, gdy Alek zwlókł się ze szpitalnego łóżka i zdecydował, że mimo ran nie odwoła otwarcia dyskoteki. Syczał z bólu, przez niego. A przy okazji nazwał go kutasem. Wtedy Muniek poczuł, że potrzebuje zawartości swojej czarodziejskiej papierošnicy z jointami. Kieszka była jednak pusta. Od tego momentu nie myślał już o niczym innym, jak tylko o tym, by wrócić na pogorzelnisko. Zaoferował, że zajmie się klubem, byle tylko Alek dał mu we wszystkim wolną rękę. We wszystkim, czyli też w kręceniu się wokół Milano i grzebaniu patykami w spopielynych resztkach. On tymczasem miał siedzieć w swoim odpicowanym gabinecie na zapleczu i lizać rany.

Wymknął się pod pretekstem sprawdzenia nagłośnienia. Kapela miała próbę, szarpali druty niemiłostnie, ale miał to w nosie. Poszedł za budynek i zaczął przeszukiwać popiół.

– Mam nadzieję, że znalazłeś to, czego szukałeś? – usłyszał, gdy już trzymał w rękach swoją czerwoną papierošnicę z wzorkiem pięciopalcza-stego zielonego liścia. Gdyby nie to, że w ostatniej chwili złapał za spaloną zawieszka, nie wywinąłby się tak łatwo. To, czy Alek uwierzył w jego sentymentalne pierdoły i wspomnienia o podarunku na szczęście, nie miało znaczenia. Ważne, że o nic więcej nie pytał. Pewnie dlatego, że ledwo trzymał się na nogach.

Jeszcze jeden joint na dobry humor i będzie mógł ją pochować. Wydrążyć otwór w rzędzie cicho rosnących konopi i przykryć warstwą ziemi. Nie martwić się, że gliny wyniuchają coś przeciw niemu. Smugi ognia na papierošnicy są jak odciski palców; lepiej, żeby ich nie zobaczyli.

Grat spłonął, ślady zatarte. Był czysty jak dziewica. Jak kropla wody. Jak dziewica kąpiąca się w krystalicznej wodzie.

Na myśl o dziewicach uśmiechnął się pod nosem. Trudno o nie teraz. Niedziewice to co innego. Są jak łatwy i szybki towar jednorazowego użytku. Jak jego blanty.

Zaciągnął się, odchylając do góry głowę. Kolejne machy wchodziły jeszcze bardziej gładko. Po szóstym poczuł, jak świat kolebie mu w głowie. Nogi w kolanach też cudownie zmiękły.

Wreszcie jest dobrze. Spokojnie i bezpiecznie.

Pyk, pyk, coraz lepiej.

Zachichotał w kułak i odkaslnął.

Ciii... uciszył sam siebie, kładąc palec na ustach. Nikt nie może go usłyszeć. Mały zagajnik z rozweselającym ziołem musi pozostać nieodkryty. Może kiedyś go zlikwiduje, żeby nie zrobił się smród. Bo kiedyś już był, trzepali go na komendzie niczym talibskiego zamachowca. A co on przy sobie miał, kilkanaście gramów suszu? Się nie mieli do czego przyczepić... Co innego z tym anonimowym donosem. To był syf po całości.

Pyk, pyk.

Na pewno zlikwiduje, ale później, bliżej jesieni. W lato musi swoje wypalić. Przez ten czas będzie wciskał Kostkowi ciemnotę, że zielsko zeżarła pleśń. Przystanie dawać mu towar za darmoszkę, bo ile można? Jakby go podliczyć za to, ile kopert z działkami dostał w ciągu ostatnich miesięcy... Lepiej nie kalkulować, bo jasna cholera go trafi na samą myśl, ile forsy przeszło mu koło nosa. Popełnił błąd, oferując temu kalece susz. To było zaraz po wypadku, chciał mu w ten sposób ulżyć w cierpieniu. Psychicznym i fizycznym, bo nie wiadomo było, na co Knott cierpi bardziej: na ciało czy rozum. Zlitował się, podsunął mu jednego skręta, potem kolejnego i jeszcze jednego. Miał niezły ubaw, patrząc, jak najarany kumpel wywija piruety na swoich dwóch kólkach. Ważne, że nie jęczał, jak mu się strasznie życie spieprzyło. Wszystko było lepsze od tego gadania. Wkrótce trawka stała się towarem pierwszej potrzeby. Skończyło się nie na kilku gramach, ale na regularnych dostawach. Cały czas za frajer. Układ się Kostkowi podobał, a jakże. Wyciągał rękę bez zahamowań, raz po raz. Kiedy pewnego dnia Muniek odmówił, Kostek nie brał już go na litość, zastosował inny chwyt. Zachował się jak ostatni palant i zaczął go szantażować. Skurwiel.

Muniek pyknął ostatniego dymka i skiepował skręta w ziemi ze skrzynki, po czym spróbował rozgonić ręką wiszącą nad nim słodką chmurę.

Przesadził z tym drugim jointem. Powinien skończyć na pierwszym. Nie dość, że ciężko oddychał, to jeszcze do szklarni nie docierało z zewnątrz czyste powietrze. Wdychał ciężką chmurę, która nie miała ujścia i wciskała mu się do nosa. Chciał podskoczyć i uderzyć w nią głową, jakby była piłką futbolową. Żeby odpłynęła gdzieś dalej. Jednak jedyne, co mógł zrobić, to unieść się na nogach i zaraz potem osunąć z powrotem na ziemię. Nie czuł nic, kiedy upadał. Złożył się jak scyzoryk i runął pod platformę z uprawą. Ostatnim przeblyskiem świadomości wymacał wypukłość worka z granulami do napowietrzania gleby i oparł o niego głowę.

PER... PERLIT – przeliterował napis na folii. Superzajebista rzecz, żeby konopie wyrosły jak świerki i przebiły ten śmieszny, trzęsący się jak gala-reta sufit, pomyślał, po czym odpłynął.

* * *

– Przyznam, że miałam wątpliwości, czy pani przyjdzie.

Kobieta przed pięćdziesiątką, ubrana w szarą sukienkę i sportowe buty, nieco za duże jak na jej stopy, uśmiechnęła się z ulgą do Julii. Gdy kilka minut temu wsiadała do skody, raczej uciekała wzrokiem. Bardziej skupiała się na tym, co dzieje się za szybą, jakby wypatrywała, czy droga pod lasem wciąż pozostaje pusta. Teraz zachowywała się już dużo swobodniej.

Po tym jak odjechały z wąskiej drogi prowadzącej w zarośla, Julia zatrzymała wóz na skraju gęstego zagajnika. Niebo zaczynało zwiastować burzę, bezpieczniej było podjechać bliżej wsi, choć do zabudowań wciąż pozostawało kilkaset metrów.

– Nikt poza leśniczym nie zapuszcza się w tamto miejsce. Od lat jest przekłete. Teraz mogę to pani powiedzieć. Mało kto zna historię tej puszczy, przekazuje się ją z pokolenia na pokolenie. Obcym się o niej nie mówi, bo i tak by nie uwierzyli. Ale pani nie jest już obca.

Ciekawiła ją ta kobieta. O sobie wciąż mówiła mało. Julia wiedziała tylko tyle, że kiedyś całkiem nieźle szyła, ale odkąd zamknięto niewielką szwalnię w Kazuniu, musiała zmienić zawodowe plany. Zaznaczyła przy tym, że z radością przyjmie zlecenie na wykonanie wszystkiego, co może zostać wykorzystane w filmie. Na ogłoszenie odpowiedziała tylko z jednego powodu: jej nowe miejsce pracy dotknęło nieszczęście. Lombard ze

starociami został okradziony i by pokryć straty, potrzebowała kilku tysięcy. Stawka, jaką Julia zaoferowała zupełnie bez namysłu, była na tyle przekonująca, że kobieta nie tylko na nią przystała, ale też poczuła się w obowiązku dorzucić coś na inny temat. Julia wyczuła, że może się on okazać dużo ciekawszy niż ich lipna współpraca.

Uregulowała nawiew w skodzie; mimo nadciągającej burzy wciąż było parno.

– Chcę usłyszeć o tej klątwie – powiedziała, obracając się do nowo poznanej kobiety. – Jeśli jest cokolwiek, co może wprowadzić do naszego filmu wątek tajemnicy opartej na wiejskich wierzeniach, zamieniam się w słuch.

Kobieta poprawiła pod pośladkami przygniecioną sukienkę.

– Tak też pomyślałam, stąd to nietypowe miejsce naszego spotkania. Chciałam je pani pokazać. Jego historia nie sięga co prawda dawnych wieków, ale zawsze można...

– Nieco nagiąć oś czasu?

– Ludzie kochają przerażające historie i mało ich obchodzi, czy wydarzyły się dawno temu, czy wczoraj. Ważne, że były. Tak jak ta. Paśnik dla zwierząt, przy którym się spotkałyśmy... – Kobieta pokręciła z przygnębieniem głową. – To było z pięćdziesiąt zim temu, bodaj w siedemdziesiątym roku. Znalezione tam dziecko, chłopca. Musiał być świeżo urodzony, bo kikut na pępku mu się jeszcze nie zagoił. W paśniku leżał jak Jezusek w żłobie, tylko że sukienkę miał czarną niczym sadza, nie białą. Noc była mroźna, żadne maleństwo by jej nie przeżyło, ale on przeżył. Kiedy leśniczy przyszedł rankiem, by dorzucić sarnom siana, zastał tę drobinę zawiętą w tobołek. Chłopiec nie miał żadnych odmrożeń, nie płakał. Leśniczy odwinął kocyk i czarną sukienkę i zobaczył dziwolągą w całej jego okazałości. Nóżki miał popsute. W każdej stopie po cztery palce. Widziała pani kiedyś, żeby dziecko miało po cztery palce? Zaniesiono go do księdza, żeby ochrzcił, bo może zemrzeć w każdej chwili, ale ksiądz odmówił. Nikt nie pytał dlaczego. Po prostu wzięto tego chłopca za dzieło szatana, za diabelski pomiot.

– Matka się nie znalazła? Żadna z tutejszych kobiet nie chodziła wcześniej z brzuchem?

– A bo to w zimie widać, która gruba chodzi? Pod kozuchem wszystkie brzuchate się zdają. Ale od tego czasu dziwne rzeczy zaczęły się dziać w okolicy. Jakby kto urok rzucił. Może w mieście o takich rzeczach ludzie

nie mówią, nie zwracają uwagi, że zło ma zawsze swój początek w czymś tak dziwnym. Ale u nas wciąż się pamięta o tamtej zimie.

– Te złe rzeczy... – zagadnęła Julia. – Co takiego działo się w okolicy?

– Jakby Bóg się od ludzi odwrócił. Młodzi umierali bez powodu, zboże na polach czerniało i gniło, no a potem przyszły wilki. Widziała pani kiedy wilcze łapy? Przednie po pięć palców, ale tylne... po cztery. Co i raz sły-chać było, jak wyją do księżyca. Diabeł powrócił pod wilczą postacią i dawał o tym znać. Zawsze potem na kolejny dzień dochodziło do nie-szczęścia.

– Co się stało z noworodkiem?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Byłam wtedy dzieckiem, a dzieciom nie mówi się przecież zbyt wiele. Dopiero po latach dowiedziałam się, że którejś nocy chłopiec zniknął ze wsi. Plotkowano, że ktoś z miasta go przygarnął, ale częściej chodziły słu-chy, że go utopiono, bo nikt nie chciał chować odmieńca. – Rozłożyła bez-radnie ręce. – Może jak ktoś usłyszy o nim w waszym filmie, zdobędzie się na odwagę i wyjawi prawdę. W przeciwnym razie...

– Zły urok będzie trwał nadal – dokończyła Julia.

– Szatan mści się za swoje dziecko. Podrzucił je ludziom, żeby wyrosło między nimi, jak, nie przymierzając, pan nasz, Jezus, a ci wyrządzili mu krzywdę. Od tego czasu nie ma w okolicy domu, na który nie spadłoby nie-szczęście. A ostatnio jakby ich wręcz przybyło. Nie życzę nikomu źle, ale jeśli ktoś ma cierpieć, niech cierpi ten, kto zadarł z diabłem, nie zaś my wszyscy. Opowie pani o tym?

Julia zapewniła, że nie zapomni umieścić w filmie wzmianki o cztero-palczastym dziecku, chociaż nijak nie mogła sobie wyobrazić, żeby wszechmocny Szatan nie był w stanie zidentyfikować winowajcy. Najwy-raźniej aż tak przebiegły nie był.

Wrzuciła bieg i wyjechała piaszczystą ścieżką na asfalt. Dała się prowa-dzić tej kobiecie, która już bez oporów pokazywała jej drogę do wsi. Zache-cona obiecaną zaliczką na poczet uszycia kostiumów, wspomniała o zbiera-ninie gratów, jakie trzymała w swoim okradzionym lombardzie. Może i tam znajdzie się jakaś starzyzna, którą da się wykorzystać w filmie *Przed wie-kami*.

– Ludzie znoszą wszystko, co im niepotrzebne – wyjaśniła kobieta. – Nie tylko swoje rzeczy, ale i znaleźne. Te lasy kryją pod ziemią wiele nie-

spodzianek. To, co wykopano, trzymam na zapleczu, w pudle. Mogę wypożyczyć albo sprzedać i co nieco o nich opowiedzieć.

Rozochociła się. Co parędziesiąt metrów pokazywała skręt i kolejny zjazd. Jej palec wędrował od szyby do srebrnego łańcuszka, który wisiał jej na szyi.

– Teraz już prosto, lombard będzie zaraz po lewej.

Kiedy stanęły przed niskim budynkiem z wejściem po schodkach i z dostawioną do nich rampą, kobieta zabręczała kluczami. Po chwili przekręciła je w zamku i otworzyła na oścież drzwi.

– Proszę do środka – powiedziała zachęcająco, a zaraz potem zasunęła zasuwę. – Tu nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Od progu Julię uderzył zapach starzyzny i lawendy, której zasuszone wiechcie wystawały spod futra wiszącego na ściennym haku. Pod oknami stały regały z książkami o wytartych grzbietach i szklane figurki udające porcelanę. Był nawet podłogowy zegar z wahadłem, które zatrzymało się lata temu i pokryło patyną.

Julia szła obok półek, biorąc do ręki to lalkę z nadgryzionym palcem, to ramkę czekającą na to, aż ktoś umieści w niej pamiątkowe zdjęcie. Komplet składający się z imbryka i czterech żółtych filiżanek wyczekiwał z kolei, aż wypełniony herbatą lub kawą trafi w końcu na czyjś stół.

Gruchnięcie żelastwa oderwało ją od oglądania szpargałów. Na biurku, obok równo ułożonych ksiąg i notesów, stanęło pudło z jeszcze gorszymi rupieciami.

– Jak mówiłam, ludzie znoszą tu wszystko. – Kobieta otarła zroszone potem czoło. – Jest kilka starych toporków i nawet pas z żelaza. Bez zapięcia, ale można dorobić. Miałam gdzieś jeszcze parę sztuk starej biżuterii, takiej z koralików, nikt by nie poznał, że dzisiejsza. Zaraz... – Sięgnęła po leżący na biurku rejestr i przeciągnęła po nim palcem. – Wciąż nie mogę doliczyć się kilku drobiazgów po tym włamaniu. Tyle rzeczy zginęło, ale te koraliki powinny gdzieś być. Tak, są! Ale nie tu, tylko na zapleczu. Schowałam tam cenniejsze drobiazgi. Proszę zaczekać.

Ruszyła truchtem na tyły, do schowka. Zza ściany dobiegło szuranie, jakie towarzyszy przesuwaniem skrzyniom.

Julia spojrzała od niechcienia na rejestr zaginionych przedmiotów. Serweta ażurowa (bez wad), spinki do mankietów (bez wad), torba damska skórzana (bez zapięcia), żelazko (niedziałające).

– Oto one. – Kobieta przesunęła pudło na biurku, by zrobić miejsce na błyskotki. Położyła obok siebie dwie pary kolczyków z nierówno oszlifowanych koralu i dwie blaszki w kolorze miedzi. Kompletu dopełniała potężna bransoleta, którą można było wsunąć zarówno na nadgarstek, jak i wyżej, na ramię. – Chyba się nadadzą, myśli pani?

Julia, zamiast przyjrzeć się biżuterii, wskazała głową na rejestr.

– Ukradziono żelazko? Do tego niedziałające?

Kobieta, rozczarowana brakiem zainteresowania świecidełkami, które za kilka dodatkowych groszy mogłaby udostępnić filmowcom, rozłożyła bezradnie rękę.

– Też tego nie rozumiem. Tam stało. – Skierowała wzrok na głęboką półkę pod oknem. Niemal całą jej powierzchnię zajmował komplet sztuczków z bursztynowymi łezkami na uchwytych, zasłaniając to, co znajdowało się tuż za nim. – Chyba z sześć lat tu tkwiło, aż półka zmieniła kolor pod wpływem rdzy. Nikt się nim nie interesował, choć to był prawdziwy antyk. Ale po co teraz komu żelazko na węgiel? Musiałby się trafić jakiś prawdziwy koneser, zawodowy zbieracz starzyzny, a u nas takich nie ma.

Julia podeszła do półki, gdzie stało kiedyś żelazko, i odsunęła sztucce. Gdyby miała wybierać, wolałaby ukraść widelce i łyżeczki zamiast czegoś, co służy jedynie do zbierania kurzu.

Kobieta mówiła prawdę, odbarwienie po stopie żelazka było aż nadto widoczne. Rdza wżarła się w miękką sosnę, pozostawiając rudy odcisk.

Już go wcześniej widziała. Może nie był aż tak wyraźny jak ten na półce, ale kształt wydawał się identyczny. Solidna, szeroka podstawa i zaokrąglony czubek trójkąta.

– Kiedy doszło do włamania? – spytała, nie odrywając wzroku od trójkątnego śladu.

– Kilka dni temu. Weszli od zaplecza, jeszcze ślady widać.

– Mam nadzieję, że policja pobrała odciski.

Kobieta pokręciła głową.

– Pewne sprawy lepiej załatwiać po swojemu, a ja i tak wcześniej czy później dowiem się, kto to zrobił. Do tego czasu oddam pieniądze, komu trzeba.

– Kilka dni temu... – powtórzyła Julia. – A dokładniej? Może pani sprawdzić datę?

Kobieta zostawiła ją przy regale i wróciła do biurka, by przejrzeć notes.

– Oczywiście, jak mogłam nie skojarzyć – westchnęła. – Przecież to się wydarzyło dzień przed tym, jak znaleziono tego Zabielskiego od koni. Martwego, znaczy się. Dwa nieszczęścia w tym samym czasie, ale z dwojga złego lepsza już kradzież starych rzeczy aniżeli życia. Wciąż zachodzę w głowę, dlaczego umarł. Młody był jeszcze i trzymał się całkiem nieźle, ale jak mówiłam, czart zabierał kiedyś takich do siebie i teraz znów to robi.

– Skąd pewność, że Zabielski trafił do piekła? – Julia uniosła brwi. – Aż taki był z niego zły człowiek?

– Przeciwnie. Dobry był chłop, choć dużo pił, a to już nie po bożemu. I miał swoje tajemnice. Niektórym to przeszkadzało, pewnie dlatego trzymał się na uboczu. Podejrzewano go o dziwactwa, nawet o to, że był niepełna rozumu, ale ja tam do niego nic nie miałam. Widzi pani te buty do biegania? Kupił je na prezent dla mojego jedynaka. Chłopak sprinterem był.

Julię zastanowił ton jej głosu. Wyraźnie zadrżał i przycichł.

– Już nie jest? – zapytała wprost. Buty były nowe, wciąż miały metkę. – Odwidziało mu się?

Kobieta nie śpieszyła się z odpowiedzią. Chwyciła za papierową chustkę i zaczęła polerować nią miedziane kolczyki.

– Coś się wydarzyło, prawda? – zagadnęła znów Julia. – W przeciwnym razie buty nie stałyby na półce.

Właścicielka lombardu przerwała czyszczenie.

– Nie każda historia nadaje się do tego, by o niej opowiadać. Niech pani tak nie patrzy, mój syn, dziękować Bogu, żyje. Więc dajmy już temu spokój. Chce pani te świecidełka czy nie?

– Wolę historię o kłątwie. O ile się nie mylę, pani rodzinę także dotknęła.

Kobieta nie zamierzała dłużej dopraszać się o uwagę dla błyskotek. Zabrała się do zawijania ich w osobne kawałki papieru i odkładanie do pudła.

Julia stanęła na wprost niej.

– Pani Knott? Pytałam, czy...

– Mam dobry słuch. Ale odpowiedzi się pani nie doczeka. Moje prywatne życie nie powinno pani interesować, bo niby z jakiego powodu? Zaczyna pani węszyć nie tam, gdzie powinna, a to mi się nie podoba.

Wymykała jej się z rąk. I do tego właśnie teraz, w najmniej odpowiednim momencie, kiedy zdawało się, że ma ją po swojej stronie.

– Nie zamierzałam pani zdenerwować.

Kobieta skończyła zalepiać karton, po czym dźwignęła go, by odnieść na zaplecze.

– Lepiej będzie, jeśli na dziś zakończymy tę rozmowę – powiedziała dobitnie. – Trafi pani do wyjścia.

Odeszła, taszcząc karton. Gdy wróciła, Julia wciąż kręciła się po lombardzie.

– Kim pani jest i czego tak naprawdę chce? – spytała Knottowa, mrużąc nieprzyjemnie oczy. – Może zaczniemy od początku, kiedy to powinnam zobaczyć pani dokument ze zdjęciem. Taki telewizyjny, bo chyba zapomniała mi go pani pokazać. Chyba że nie jest pani od żadnego filmu. Nie ma pani nic wspólnego z telewizją, prawda? Obserwowałam panią bardzo uważnie. Ludzie, których interesuje jakaś historia, starają się zapisać jej szczegóły. Pamięć bywa zawodna, a pani nie zapisała tego, co mówiłam o puszczy. Ani jednego słowa. Stare przedmioty, które pokazałam, też pani nie zainteresowały, ledwie pani na nie spojrzała.

Julia wyjęła z tylnej kieszeni dzinsów telefon, odszukała jedno z ostatnich zdjęć i podsunęła kobiecie pod nos.

– Ma pani rację. Interesuje mnie tylko to.

Knottowa nachyliła tułów i zmrużyła oczy, by przyjrzeć się fotografii białej koszuli, którą Lipski zdjął z pierwszego ciała wydobytego z ziemi.

– Chcę wiedzieć, czy to pani ją uszyła – powiedziała bez ogródek Julia. – Tę i kilka innych.

Kobieta odepchnęła rękę z telefonem i odeszła na kilka kroków, jakby w przestrzeni między nią a Julią nagle zabrakło powietrza.

– Nie mieszajcie mnie do tego – powiedziała poruszona. – Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Grzebano w nich młode kobiety. Na szyje wieszano im medaliki, podobne do tego, który ma pani.

Odruchowo złapała za łańcuszek i pociągnęła.

– A może nie były podobne... – zastanowiła się Julia. – Może tak mi się tylko zdawało. Niepotrzebnie pani to zrobiła. Ze strachu? Ja również obserwowałam panią bardzo uważnie. Ludzie, którzy mają coś na sumieniu, starają się ukryć swoją tajemnicę przed światem. A pani zdaje się mieć wiele do ukrycia. Więc owszem, zaczniemy tę rozmowę od nowa. Najlepiej od tych koszul.

Knottowa patrzyła, jak Julia chowa telefon do tylnej kieszeni. Niezdarny ruch palców sprawił, że uniosła brzeg bluzki i odsłoniła ukrytego za

paskiem glocka.

– Nie chciałam tylko, żeby były nagie – powiedziała potulnie, wycofując się drobnymi krokami w kierunku tylnego wyjścia. – Jestem dobrym człowiekiem, ja nigdy... Żeby tylko nie były nagie...

Obróciła się i ruszyła pędem do drzwi.

Julia nie zamierzała za nią biec. Wyjęła z pudełka na biurku czystą chustkę i łyżką zeszkrobała na nią rdzawy pył z półki. Nie miała wątpliwości, że gdy policyjni laboranci przyjrzą się jego chemicznemu składowi, okaże się w stu procentach zgodny z tym z ciała Zabielskiego.

Zatem było tak: ktoś nieszczególnie rozgarnięty wydumał sobie, że zabicie koniarza przejdzie do historii jako niefortunny wypadek podczas pracy, bo nikt nie zauważy różnicy pomiędzy stopą żelazka a końską podkową. Gdyby uderzył tak, żeby nie pozostawić odcisku kilku ostrych krawędzi, ta szopka może by się udała. Doskonale znał lombard, wiedział, że znajdzie tu przedmiot, który posłuży mu do zabicia Zabielskiego. Ukryty za pudełkiem ze sztuccami tak głęboko, że niewprawne oko przypadkowego gościa by go nie dojrzało. Wyniósł żelazko, a przy okazji kilka innych rzeczy, by nie budzić podejrzeń i stworzyć zasłonę dymną dla swojej zbrodni. Wybór padł na kilka świecidełek, które pewnie leżą teraz gdzieś w krzakach. Musiał też przypuszczać, że właścicielka lombardu nie zgłosi rabunku.

A może do żadnego włamania nie doszło?

– Pani Knott?! – zawołała Julia, stając na progu sklepu.

Była pewna, że kobieta nie odeszła daleko. Mimo zdenerwowania nie pozostawiłaby sklepu bez nadzoru.

Zeszła po rampie i skręciła za budynek. Zobaczyła stare drzewo śliwy i stojące przy nim trzy spore kamienie.

– Porozmawiajmy, pani Knott!

Zobaczyła szarość jej sukienki, która niemal zlewała się z barwą asfaltu. Tak jak przypuszczała, nie zamierzała uciekać. Szła w stronę Julii, ale już nie sama. Obok niej pojawił się mężczyzna. Mąż lub brat. Ubrany w roboczy kombinezon, którego nogawki niemal do połowy oblepione były błotem. Niósł coś w ręce, ale Julia nie była w stanie rozpoznać, co to. Zbyt skrętnie chował to za plecami.

Nie zdążyła dobiec do skody, kiedy ostrze siekiery wylądowało w bocznej szybie auta. Kilka odprysków szkła poleciało na jej ręce i twarz.

– Jeszcze jakieś pytania o naszego syna? – Mężczyzna zamachnął się ponownie. Tym razem celował w drzwi.

Szarpnęła za klamkę, przedramieniem odgarnęła z fotela większe odłamki szyby i wskoczyła za kierownicę. Czuła, jak co najmniej trzy ostre odpryski przebiły džinsy i potarły skórę pośladków.

Wycofała samochód, a potem skręciła dwieście metrów dalej, przy wąskiej drodze prowadzącej w głąb lasu. Tej samej, którą pół godziny temu jechała z właścicielką lombardu. Dotarła do zagajnika z młodymi brzoźami, z którego rozciągał się widok na Stacjonatę, i zgasiała silnik.

Musiała obejrzyć rany. Zsunęła spodnie na wysokość kolan i wygięła kręgosłup, by im się przyjrzeć. Wyglądały jak nacięcia skalpela. Pośliniła palec i przytknęła go po kolei do każdego z draśnięć. Nie było aż tak źle, kilka dni i nie będzie po nich śladu. Czerwone plamki na džinsach zignorowała, podobnie jak sterczące w oknie resztki szkła. Wyjęła z bagażnika koc, który wozila ze względu na wiecznie marznącą w aucie Sylwię, i rzuciła go na fotel. Było już bezpiecznie i na dodatek miękko.

Próbowała się uspokoić i zebrać myśli. Wiedziała już, czyje ręce uszyły koszule zabitym dziewczynom. Brakowało jej jednak dużo ważniejszej informacji. Nie mogła sobie darować, że nie zapytała Knottowej, czy uszyła podobną dla Sary Lewickiej. Zmarnowała szansę, być może jedyną. Zamiast tego w kieszeni spodni trzymała zwiniętą chustkę ze śladami rdzy po narzędziu, którym zadano śmiertelny cios Zabielskiemu.

* * *

Wszystko było już gotowe. Wodne kurtyny Alek uruchamiał kilkakrotnie, by mieć pewność, że nie zawiodą. Dziewczyna z obsługi po raz setny przetarła stoły i ławy przed klubem. Nie zapomniał nawet o kolorowych żarówkach, które rozciągnięte na kablach przed wejściem do dyskoteki miały stworzyć klimat południowoeuropejskich kafejek. Polskie Milano w niczym nie ustępowało włoskiemu, co stwierdził z dumą na godzinę przed uroczystym otwarciem.

Sam też wyglądał jak rasowy Italianiec. Jasnoróżowa koszula z podwiniętymi pod łokcie rękawami, lekkie spodnie w kolorze piasku i mokasyny bez skarpet. Na południu taki styl to nie tylko norma, ale i obowiązek każdego szanującego się mężczyzny. Klub to ja, a dobre wrażenie można zrobić tylko raz, tłumaczył sobie, stojąc w swoim gabinecie przed lustrem i popijając dwie pigułki paracetamolu lodowatym piwem z butelki. Powstrzymanie bólu i napierającej gorączki było tak samo ważne jak cała

reszta. Musi być w formie. Wieczór rozpocznie jakąś dowcipną przemową, a zaraz potem wzniesie toast za powodzenie biznesu. Pierwsze piwo dla wszystkich gratis, na zachętę, a później zaczną grać zespół. Wokalista obiecał wyciągać na parkiet co ładniejsze dziewczyny, za którymi jak w dym pójda inni, nawet najbardziej oporni. Po dwóch pierwszych kawałkach otworzy bar z mocnym alkoholem i ludzie zajmą się sobą. Jeśli nie dojdzie do jakiegoś mordobicia, wszystko przebiegnie tak, jak to sobie wymarzył. Najważniejszy będzie początek, bo musi przecież pokazać się ludziom. A potem zniknie w gabinecie, na salę będzie patrzył przez monitor na biurku. O północy pójda w niebo fajerwerki. Wynajęty pirotechnik pojawi się około dziesiątej. Ludzie zapamiętają ten wieczór na długo. Wrzucą na social media zdjęcia na tle rozświetlonego kolorami nieba. Lepszej reklamy nie trzeba. A jeszcze potem... potem już nikt nie będzie pytał, gdzie jest właściciel. I dobrze.

Jutro niedziela. Zamknie klub, położy się wreszcie do łóżka i odpocznie. Będzie leczył poparzenia i upijał się swoim sukcesem. Przede wszystkim da znać matce, że nie miała racji, mówiąc, że Milano to poroniony pomysł. Zadzwoi do niej albo wyśle esemesa, że może już tam sobie zostać i nie wracać, że nie ma do czego ani do kogo. Ten pociąg już odjechał, a ty spaliłaś za sobą ostatni most, jaki nas ze sobą łączył. Tak właśnie jej powie, co do słowa.

Wysączył piwo i odstawił butelkę koło kosza na śmieci. Kiedy prostował plecy, poczuł szum w głowie. Mieszanka leków z alkoholem zaćmiła go na tyle, że musiał uderzyć dłonią w skroń, by oprzytomnieć. Rozrzedź to wodą, idioto! – warknął na siebie. Odkorkował mineralną i wypił ją duszkiem.

Czterdzieści minut do startu.

Zrobiło się jakby duszno i Alek podwinął rękawy ponad łokieć, ale nie pomogło.

Co się dzieje z Muńkiem? Miał tu być i pomagać. Gnojek obiecał, ale pewnie zmienił zdanie i postanowił wystawić go do wiatru.

Wybrał do niego numer i wcisnął zieloną słuchawkę. Odczekał kilka sygnałów, jednak tamten nie odbierał.

Do Kostka wolał nie dzwonić. Prosić go o wsparcie przecież nie mógł. Co on niby miałby tu robić? Sprawdzić, czy dobrze się wjeżdża po kładce do klubu, czy wcisnąć się na dwóch kółkach pod stół, by się upewnić, że klepisko dobrze zamiecione?

Na myśl o tym, jak Kostek zgina kark, by zlustrować podłogę, zaśmiał się do swojego odbicia w lustrze. Ten narwaniec przecież w ogóle nie przyjdzie. Nie będzie chciał przy wszystkich demonstrować swojego kalectwa. Już raz to zrobił i niemal umarł z zażenowania. Co mógłby zaoferować pięknym dziewczynom? Że przewiezie je swoim dwukołowym porsche? Niech no tylko usiądą mu na kolanach i wio!

No już, spokój! Bez głupich projekcji. Pora spojrzeć prawdzie w oczy. Nie ma już trzech muszkieterów, nie ma przyjaźni. Było miło, ale już nie jest. Teraz radź sobie w pojedynkę, Koziej. Zostałeś sam na swoim własnym placu boju. Ale dasz radę, stary. Wreszcie masz swój dzień! Czy nie o tym marzyłeś przez ostatni rok?

Pół godziny.

Czuł, jak mokra od potu koszula przylepia mu się do pleców i prawego boku. Dobrze, że w ostatniej chwili zabrał z domu zapasową. Ta druga też jest niczego sobie, tyle że niebieska. To nawet lepiej. W końcu niebo nad Milano zawsze jest błękitne.

Delikatnie ją ściągnął. Opatrunek też powinien zmienić, bo zdążył nasiąknąć wodą z pęcherzy. To jednak musi poczekać. Nie ma już czasu na założenie świeżego, zresztą nie da rady wygiąć ręki tak, by kilkakrotnie owinąć tułów bandażem. Za bardzo boli, nawet po podwójnej dawce paracetamolu.

Muniek, ty łajzo...!

Wsunął ręce w rękawy zapasowej koszuli i zapiął guziki. Dasz radę, powtórzył w myślach.

Ważne, że szum w głowie ustał.

* * *

Z okna skody widziała doskonale, jak mężczyzna prowadzi konie do przyczepy. Ten mniejszy szedł potulnie, jakby było mu obojętne, co się z nim stanie. Harfa wyrywała się i stawiała dęba, jak na filmach o ujeżdżaniu dzikich mustangów. Człowiek siłujący się z nią co i raz ciągnął za uzdę, próbując osadzić klacz i zmusić ją do posłuszeństwa. Wydawała wtedy z siebie nie tyle pochrapywanie, ile wściekłe rzenie. Zmuszona smagnięciami po zadzie, stawiała jeden krok na trapie, po czym robiła dwa wstecz. Mężczyzna klął i bił ją coraz mocniej. W końcu odpuścił. Podprowadził Harfę do

wbitego w ziemię słupa i zawiązał wokół niego lejce. Koń skrobął kopytem w piachu i potrząsnął łbem.

Mężczyzna odszedł tylko na chwilę. Wyjął ze swojego auta niewielki, mieszczący się w dłoni przedmiot i wrócił do Harfy. Zbliżył rękę do jej szyi, po czym wbił w nią coś, co musiało być środkiem otumaniającym, bo po zaledwie kilku sekundach klacz zwiesiła łeb i znieruchomiła.

Wtedy przyniósł ze stajni sznur. Przykucnął przy przednich kopytach i związał je na tyle luźno, by koń mógł iść, lecz wystarczająco mocno, by czuł, że kolejna próba szarpaniny na wiele się nie zda.

Odczekał jeszcze minutę, po czym odwiązał uprząż od słupa. Coś mówił Harfie do ucha i poklepywał ją po szyi. Szła prosto do przyczepy, już bez protestów. Po chwili jej zad zniknął pod plandeką i dało się słyszeć szczyknięcie blokady, która bezpowrotnie odcięła oba konie od świata.

Mężczyzna wytarł ręce o spodnie, usiadł za kierownicą terenowego auta i włączył silnik. Zjechał z terenu ujeżdżalni i skręcił w piaszczystą drogę ciągnącą się pod lasem. Zwolnił tylko na chwilę, by przepuścić jadący z naprzeciwka czerwony rower.

Dziewczynę Julia rozpoznała od razu; nieco otyłą, w czarnych szortach i luźnej bluzce. Wolontariuszka Daria najwyraźniej wiedziała o likwidacji Stacjonaty, bo nawet pomachała do mężczyzny. Zatrzymał się i uchylił szybę. Rozmawiali krótko, najpewniej o tym, żeby pozwolił jej pożegnać się z końmi. Zeskoczyła z roweru, porzucając go na poboczu, i podbiegła do przyczepy. Wsunęła rękę między szczeble, by po raz ostatni pogłaskać swoich podopiecznych po aksamitnych chrapach. To, co zobaczyła przez pręty, musiało ją zaniepokoić. Zbyt dobrze знаła Harfę, by nie uderzył jej mętny wzrok zubożonej klaczy. Wróciła na przód, by zamienić z kierowcą kilka słów. Mężczyzna musiał ją zbyć lub powiedzieć coś, co rozwścieczyło dziewczynę, bo nagle zaczęła krzyczeć. Rozpaczliwie i z pretensją. Wskoczyła na przyczepę, chcąc zwolnić blokadę zamka, a gdy nie dała rady, zaczęła okładać pięściami drzwi terenówki. Wszystko potoczyło się szybko. Mężczyzna wyszedł z samochodu i coś jej tłumaczył, ale ona krzyczała dalej, domagała się wypuszczenia koni. Ustawiła rower w poprzek drogi i stanęła na jej środku, tarasując przejazd. Mężczyzna złapał ją za ramiona i popchnął w krzaki. Zanim się podniosła, terenówka z naczepą zmiażdżyła jej rower.

Dopiero teraz Julia włączyła silnik i brnąc w tumanach żółtego pyłu, który unióśł się za tamtym autem, podjechała do dziewczyny.

– Mówił, dokąd je wiezie? – zapytała Darię, pomagając jej przy okazji zebrać z drogi szczątki roweru.

Dziewczyna otrzepała pył z szortów. Zauważyła, że upadając, zraniła się w łokieć. Skrzywiła się na widok krwawiącej rany oblepionej piaskiem.

– Powiedział, że konie mają ochwat i musi je zawieźć do lecznicy.

Julia spojrzała na nią pytającym wzrokiem.

– Ochwat to choroba. Prowadzi do deformacji kopyt i innych poważnych komplikacji – wyjaśniła. – Ale ja mu nie wierzę, łągał jak pies. Widywałam je przecież każdego dnia, konie były zupełnie zdrowe, zdrowiutkie... Gdyby widziała pani oczy Harfy... – Głos jej drżał.

Dobrze, że ty nie widziałaś, jak szpikował ją lekami, pomyślała Julia.

– Trzeba obmyć tę ranę, inaczej dojdzie do zakażenia – powiedziała, by zmienić temat. – Dasz radę iść?

Daria skinęła smętnie głową. Ruszyły w kierunku płaskiego budynku, który jeszcze kilka dni temu służył Zabielskiemu za biuro. Trzymał tam płyn odkażający, wata lub plaster też powinny się znaleźć.

Przez chwilę szły w ciszy, Daria, lekko kulejąc, a Julia, międląc w ustach urwane źdźbło trawy.

– Już nigdy nie uwierzę ludziom – powiedziała dziewczyna, gdy podszli pod drzwi. – Nikomu.

– To całkiem rozsądne – zgodziła się Julia. – Mniej zaufania, mniej rozczarowań.

– Chciałam tylko, żeby ktoś się nimi zajął po śmierci pana Zabielskiego. Ale nie w ten sposób.

– Zostaną uśpione?

Daria kiwnęła głową.

– Weterynarz nie powiedział tego wprost, ale co innego może znaczyć „obiecuję, że nie będą cierpieć”? – Otarła łzę, która zakreśliła się w kąciку oka. – Mam nadzieję, że pan Zabielski zemści się na nich zza grobu za te konie. Niech spotka ich wszystko, co najgorsze! Weterynarza i sołtysa, bo to był na pewno jego pomysł, żeby zlikwidować te piękne stworzenia. Panu Zabielskiemu pękłoby serce, gdyby widział te biedactwa wiezione na śmierć. Ja sama bym ich obu... – Zagryzła wargi i zacisnęła mocno powieki.

– Może dosięgnie ich klątwa. Podobno nie ma domu, którego by nie dotknęła.

Daria kopnęła leżący na ujeżdżalni kamień.

– Tutejsi są tacy ciemni. Zdawałoby się, że dwudziesty pierwszy wiek, że żyjemy w centrum Europy – westchnęła ciężko. – Ale owszem, ja też słyszałam o diable, co to niby rzuca urok i sprowadza nieszczęścia. Prawda jest taka, że wszystko, co złe, dzieje się przez ludzką nikczemność. Ludzie sami na siebie bicz kręcą, ale gdy dojdzie do nieszczęścia, zrzucają winę na Szatana. Założę się, że słyszała pani o dziecku, które urodziło się kiedyś z czterema...

– Słyszałam. Syn samego Lucyfera.

– Niezła bajka, jak Boga Kocham. Jeszcze do niedawna moja matka straszyla mnie tą historią, ale w końcu dała sobie spokój. Chyba zrozumiała wreszcie, jak to beznadziejnie brzmi w jej własnych ustach.

Julia pociągnęła za kłamkę u drzwi do biura Zabielskiego i puściła Darię przodem. Dziewczyna z marszu zaczęła otwierać okna. Zaduch i temperatura w pomieszczeniu uniemożliwiały swobodne oddychanie.

– Tu powinna być apteczka – powiedziała, przekręcając klucz w drewnianej gablocie. Stało w niej czerwone pudełko z białym krzyżykiem pośrodku. Postawiła je na biurku, sama usiadła w fotelu Zabielskiego i oparła rękę o podłokietnik, by lepiej przyjrzeć się krwawiącej ranie.

Zawartość apteczki była bardziej niż skromna. Kilka plastrów wielkości kciuka, gazik, rolka bandażu i aspiryna, niczego więcej.

– Widziałam gdzieś roztwór z rivanolu – przypomniała sobie Julia.

Otworzyła szafkę poniżej i wyjęła litrowy słoik, na który natrafiła, gdy przetrząsali z Górnym biuro.

– Pan Zabielski czyścił nim konie, jak zraniły się w kopyta – powiedziała Daria. – Więc sama pani rozumie, że nie daruję weterynarzowi tego kłamstwa o ochwacie.

Julia przykucnęła przy fotelu, odkręciła zakrętkę i wylała bladożółtą ciecz na gazik. Przyłożyła go do zdartej skóry na jej łokciu.

– Pan Zabielski nie miał tu lekkiego życia – zagaiła, nie podnosząc wzroku i koncentrując się na oczyszczaniu rany. – Musiało mu bardzo zależeć na tym, by wkupić się w łaski ludzi z okolicy.

Daria się nie odezwała.

– Podobno trzymał sztamę z synem właścicielki lombardu.

– Mówi pani o tym chłopaku od Knottów, Kostku? – Dziewczyna skrzyżowała nogi pod stołem. – Owszem, bywał tu. Dużo biegał, niekiedy docierał aż do ujeżdżalni. Chyba wtedy się zaprzyjaźnili. No a potem... potem zdarzył się wypadek. Panu Zabielskiemu żal było chłopaka. Nad kaleką

wszyscy się litują, zwłaszcza że Kostek był ambitny, a przez wypadek jego marzenia o karierze przepadły. Więc pewnie o to chodziło.

– Syn Knottów jest kaleką?

– Od zeszłej jesieni jeździ na wózku. Wielka szkoda, bo dobry był w tych biegach. O ile mnie pamięć nie myli, pan Zabielski mówił, że szykuje się do olimpiady. Miał szansę na dobry wynik, naprawdę ciężko na to wszystko pracował. No a teraz tylko to mu zostało... – Zakręciła zdrową ręką kółko przy nodze fotela.

Stąd ta rampa przy lombardzie i agresja właścicielki, skojarzyła Julia. Wszystko zaczynało nabierać sensu.

– Co takiego się stało, że Kostek wylądował na wózku? – zapytała, odkładając gazik na stół.

Daria podmuchała na ranę, by osuszyć skórę.

– Są sprawy, o których się we wsi nie mówi. To jedna z nich, dość paskudna i do tego zupełnie dla mnie niezrozumiała.

– Sprawy pozornie niezrozumiałe zwykle mają proste wytłumaczenie. Mów, Dario.

– Jak wspomniałam, Kostek świata nie widział poza sportem. No i poza taką jedną. To też wiem od Zabielskiego. Ślub miał być. Miłość, te sprawy, wie pani. Że niby do grobowej deski.

– Słyszałam co nieco. Do grobowej, mówisz?

Daria przytaknęła z zapamiętaniem.

– Może gdyby im nie odbiło i nie wsiedli do samochodu naćpani, byłyby i ślub, i olimpiada. Kostek usiadł za kierownicą bez zapiętych pasów. Przywalił w jakieś zwierzę, chyba w sarnę, potem auto uderzyło w drzewo. Wyleciał przez okno razem z przednią szybą. Pozostałym dwóm nic poważniejszego się nie stało. Trochę się potłukli, ale z sińców łatwo się wylizać. Z przetrąconego kręgosłupa dużo ciężiej.

– Kim byli ci dwaj pozostali?

Daria rozerwała zębami papier osłaniający plaster i wyjęła podłużny beżowy opatrunek. Już bez pomocy Julii przyłożyła go do rany i docisnęła przylepiec.

– Jego stała brygada: syn sołtysa, Muniek Bugaj, no i ten drugi, Alek Koziej – odparła, ścisząc głos, który stał się nagle podejrzenie miękki. –

Dowiedziałam się o wszystkim na drugi dzień, kiedy przyszedłam do stadniny. Pan Zabielski siedział wtedy tu, gdzie ja, w fotelu. Patrzył w komputer jak zahipnotyzowany. Nic do niego nie docierało. Musiałam trzy razy

powtarzać, że zawór przy poidle się zablokował i że trzeba go od ręki naprawić, bo konie nie będą miały co pić. Wszedł i długo nie wracał. Wtedy zobaczyłam, że przeglądał w necie naszą lokalną stronę. Pisano o wypadku i pewnie to go tak poruszyło.

– Rozmawiałaś o tym z Zabielskim?

Daria potrząsnęła głową.

– Nie, ani słowem. Od tamtego dnia bardzo się zmienił. Chodził zamyślony, często musiałam mu dwa razy coś powtarzać, jakby nie słuchał, co do niego mówię. Pierwsze miesiące były najgorsze. Dużo przebywał z końmi, a z ludźmi coraz rzadziej. Bywały dni, że zamykał się w biurze i nie wychodził nawet wtedy, gdy ktoś chciał wynająć konia na przejażdżkę. Musiałam obsługiwać klientów i dbać o stajnię. Któregoś dnia słyszałam, jak rozmawiał z Kostkiem. Przez telefon, bo pan Zabielski do wsi nie zaglądał, jeśli naprawdę nie musiał.

– O czym rozmawiali?

– Mało wychwyciłam, bo podeszłam pod okno zbyt późno. Mówił coś o prawdzie i że on tego tak nie zostawi.

– Jesteś pewna? To ważne, przypomnij sobie dobrze.

– Cisza tu jest taka, że nie trzeba specjalnie nadstawiać uszu, żeby wiedzieć, co się dzieje za ścianą.

Julia zaczęła krążyć po gabinecie. To, że Zabielski wiedział zbyt dużo, było więcej niż pewne. To, że zginął właśnie z tego powodu, też nie ulegało wątpliwości, podobnie jak to, że powinien być tu Górny i słuchać słów Darii.

– Wiesz, gdzie doszło do tego wypadku?

– Całkiem niedaleko, będzie ze cztery kilometry stąd. Tam, za polami. – Wyciągnęła rękę w stronę asfaltówki za Kampinosem.

– Policja prowadzi dochodzenie w sprawie śmierci pana Zabielskiego – powiedziała wprost Julia. – Powinnaś wiedzieć, że nie zginął w wyniku zwykłego wypadku przy oporządzaniu koni.

Daria podniosła na nią oczy, które nagle zrobiły się jakby zamglone.

– To nie była Harfa...? – spytała łamiącym się głosem.

Julia pokręciła głową.

– Nigdy w to nie wierzyłaś, prawda?

– Harfa była dzika, ale nie zrobiłaby mu krzywdy. Wie pani, co czuję?

– Ulgę?

– Tak, wielką. Wolę już stracić wiarę w ludzi, byle nie w zwierzęta. Dziękuję, że powiedziała mi pani prawdę.

Dziewczyna podniosła się z fotela i bez słowa ruszyła do wyjścia. Julia szła za nią, obserwując, jak Daria wciąż trzyma się za łokieć. Przestała już utykać, niemal przeskoczyła przez wysoki próg stajni.

– Nigdy więcej tu nie wrócę – przyznała, kiedy stanęła między boksami.
– Za dużo tu złych wspomnień. Zresztą koni tu więcej nie będzie. Sołtys rozwali tę budę albo zamieni ją w kolejną świńską rzeźnię, ewentualnie w psiarnię, żeby jego synalek miał się czym zająć.

– Ten, co wyszedł cało z wypadku?

– Mhm, Muniek. Miejscowy głupek udający cwaniaka. Do tego zdrajca. Kostek pewnie do tej pory nie wie, że Muniek zaczął się spotykać z tą jego byłą dziewczyną. Widziałam ich raz w lesie, jak wracałam od koni. Są sobie warci: ona leci na kasę, a on wiadomo, jak to facet. – Daria przeciągnęła dłonią po dwóch skórzanych siodłach wiszących na hakach. – Liczy się ciało. No ładna jest blondi, trzeba przyznać. Ciekawe tylko, jak długo pożyje. Och, niech pani tak na mnie nie patrzy. Tak się mówi. Jak coś jest, to żyje, a jak się kończy, to zdycha.

– Ludzie też zdychają?

– To tylko młodzieżowy żargon. – Dziewczyna uśmiechnęła się uspokajająco. – Myślałam, że pani załapie.

– Prawie mi się udało. Mówisz, że tamta to blondynka?

– Niebieskooka.

Zadziałał automat. Julia wyjęła z kieszeni telefon i odszukała zdjęcie Sary. Niby nie było możliwości, by swobodnie spacerowała po okolicy, ale mimo wszystko pokazała je Darii.

Dziewczyna zasłoniła dłonią ekran, by rzucić na niego cień i dobrze się przyjrzeć.

– Nawet podobna, ale to nie ona.

– A tej nigdy nie widziałas?

Oparła ramię o słupek boksu.

– Kolejna zaginiona? Słyszałam o zwłokach w lesie. W całej okolicy aż huczy o tych dziewczynach. Fatalna sprawa... Tutejsze panny boją się wychodzić same z domów.

– Ty się nie boisz?

Parsknęła śmiechem.

– Niech pani tylko na mnie spojrzy. – Rozłożyła ręce, by pokazać się w całej okazałości. – Kto miałby ochotę na mnie napaść? Chyba tylko jakiś ślepy. Gdzie mi do takich dziewczyn jak ta na zdjęciu? Chociaż... nie, na pewno nie.

Julia wbiła w nią wyczekująco wzrok.

– Mówiłam, że jest ich trzech: Kostek, Muniek i Alek – powiedziała Daria, widząc, że się nie wywinie. – Pomyśli pani, że zwariowałam, bo żaden normalny chłopak by się mną nie zainteresował. A już na pewno nie ten. Ale ja przez chwilę myślałam, że może... Alek jest najlepszy z ich paczki, nigdy nikomu krzywdy nie zrobił. Do tego zaradny. Pewnie dlatego, że sam musiał do wszystkiego w życiu dojść. Matka go zostawiła i wyjechała. Wychowywał się u babki, ale zmarła przed jego maturą. Nie podszedł do niej, zajął się zarabianiem pieniędzy. Oczywiście najpierw u sołtysa, on tu niemal wszystkich trzyma u siebie w kieszeni. Odłożył trochę grosza i zainwestował w swój pierwszy interes. To dobry chłopak, pracowity. Rzadko go można spotkać na ulicy, bo zawsze jest w pracy. Ale zaraz po tym, jak pan Zabielski zmarł, spotkałam go tam, na drodze. Ja taka niechlujna byłam, bo prosto od koni, a on miły był bardzo. Zatrzymał się, chciał ze mną porozmawiać o tym, co się stało w stajni. Przejął się szczerze, a to dobrze świadczy o człowieku. Mówiłam już, że był dla mnie miły?

Julia czuła, że nastolatka zaraz odpłynie w marzeniach o romantycznej miłości.

– Dziś otwiera swój nowy klub. – Daria rozciągnęła usta w uśmiechu. – Zapowiada się impreza roku.

– Klub Milano? – Julia przypomniała sobie ulotkę zabraną przez Brewkę z recepcji motelu.

– Pani też o nim słyszała? – Oczy dziewczyny zalśniły. – Gdybym miała odwagę, zajrzałabym tam, może znów by do mnie zagadał. Chociaż nie... na pewno byłoby mu wstyd pokazać, że zadaje się z kimś takim jak ja. Pani nawet nie wie, jakie dziewczęta przychodzą do takich klubów.

– Piękne, szczupłe blondynki? – mruknęła Julia, bardziej do siebie niż do niej.

Mina Darii zrzędnęła. Przepisnęła się obok Julii i nie oglądając się za siebie, wybiegła na padok. W połowie drogi do roztrzaskanego roweru odwróciła się na pięcie.

– Może jednak jest w tej cholernej puszczy Antychryst, który mógłby zamienić mnie w jedną z nich! – krzyknęła z bólem w głosie.

– Gdybyś była tak nieskazitelnie piękna, tobyś już może nie żyła – zakończyła temat Julia. – A do klubu pójdziemy obie. Chcę zobaczyć na własne oczy, jak bawi się Milano. O której zaczyna się impreza roku?

Daria spojrzała spłoszona na zegarek.

– Za niecałą godzinę. Ale chyba jednak nie chcę...

– Chcesz, nawet bardzo.

Zmiażdżony przez naczepę rower wylądował w bagażniku skody. Daria usiadła obok Julii i instruowała ją, w którą ścieżkę należy skręcić, by dotrzeć do jej domu. Wciąż się wahała, czy dobrze robi, słuchając kobiety, która sama w żaden sposób nie zamierzała się przygotowywać do uroczystego otwarcia, ale skoro decyzja zapadła, musiała zrzucić zakurzone szorty i wskoczyć pod prysznic. Jeśli włoży na siebie małą czarną z brokatową lamówką pod szyją i pociągnie tuszem rzęsy, to może nie będzie aż tak bardzo odstawać od reszty.

* * *

Szymański splótł dłonie na karku i unosząc głowę, rozejrzał się po wierzchołkach drzew. Stał na skraju polany, po prawej miał czterometrową ambonę, która wyglądała jak niedokończony kurnik, a kilkadziesiąt kroków dalej majaczył ukryty paśnik.

– Długo jeszcze będziemy ganiać po lesie? – powiedział, przekręcając szyję, by rozluźnić mięśnie. – Nie ma jej tu, stary, odpuść wreszcie. Z tej wieżyczki to możesz sobie co najwyżej szyszki pooglądać.

Stop Hunting podało tylko dwa miejsca, gdzie stały ambony dla myśliwych. Górny uznał to za miłe zaskoczenie; spodziewał się, że w puszczy podobnych czatowni jest co najmniej kilka, jak nie kilkanaście. Zaczęli od tej dalszej, położonej w centrum lasu. Skoro spotkanie miało się odbyć na uboczu, miejsce to wydawało się idealne. Uroczysko położone w całkowitej głuszy i drewniana budowla na skraju polany. Pokręcili się po okolicy, jednak nie zauważyli nigdzie ani Julii, ani śladów opon.

Inaczej było nieopodal drugiej czatowni. Na żwirowo-piaszczystej drodze zobaczyli odciski pozostawione przez skręcające koła. Górny zaczął się zachowywać jak w transie. Dwukrotnie obszedł rewir dokoła pustego o tej porze roku paśnika, po czym wdrapał się na stojącą kilkadziesiąt metrów dalej ambonę. Nie zwracał uwagi na to, że deszczułki są zdezelowane

i ledwo trzymają się przerdzewiałych wsporników. Kiedy znalazł się na szczycie, oparł ręce o barierkę i zaczął wpatrywać się w horyzont.

– Gdzieś ją poniosło – wybełkotał, obracając się wokół własnej osi. – Dałbym tysiąka za to, żeby wiedzieć dokąd.

– Ona dałaby dwa za to, żebyś się tego nie dowiedział. Złaź. Już dawno stąd odjechała.

Górny po raz ostatni przebiegł wzrokiem po okolicy, po czym zszedł na dół.

– Pojechała dalej, do wsi – powiedział, cmokając z niezadowoleniem przez zęby.

– Albo wróciła do motelu. Załatwiła, co miała załatwić, i zwinęła się stąd przed nocą – odparł Szymański.

Górny pokręcił głową.

– Gdyby którakolwiek z nich wróciła, portier już by się do nas odezwał. Milczy, więc nie pokazała się żadna. Jak znam życie, Brewka siedzi już bezpiecznie u matki, a Julia węszy dalej. Będzie tak krążyć do upadłego.

– Niedługo zajdzie słońce.

Górny poklepał go serdecznie po ramieniu.

– Julia nie zarwie akcji, żeby wrócić na dobranockę, zapewniam cię.

– Samotne szwendanie się po okolicy po zmroku może jej nie wyjść na dobre.

– Ma rozum i ma broń. Da radę.

Mówił jedno, myślał drugie. Był pewien, że to kwestia czasu, gdy usłyszy strzał dochodzący z którejś strony puszczy, może nawet całą serię.

Nie oglądając się na Szymańskiego, ruszył do auta. Słyszał za plecami, jak tamten dzwoni do swojej dziewczyny i tłumaczy się gęsto, że nici ze wspólnego podgryzania popcornu przy filmie. Musiała być rozczarowana, bo trzy razy powtórzył, że mu przykro. Bardzo, bardzo, pysiu.

– Daję wam góra pół roku – powiedział Górny, otwierając pilotem samochód. – Potem pysia zacznie histeryzować, że nie tego chciała.

Szymański szarpnął klamką.

– Słucham?

– Słuchać to dopiero będziesz. Żadna tego nie wytrzyma. Pół roku, nie więcej.

Górny wcisnął sprzęgło i przekręcił kluczyk w stacyjce. Wyturlał się z bocznej drogi i wjechał na ubity trakt ciągnący się wzdłuż linii lasu. Za oddalonym o trzysta metrów zakrętem łączył się ze znaną mu już drogą

prowadzącą do ośrodka Zabielskiego. Już po chwili zobaczył zarys ciemnej kanciastej bryły, która wciśnięta w głąb wykarczowanego terenu zlewała się powoli w jedno z nadciągającym mrokiem. Mimo to wyraźnie było widać otwarte na oścież drzwi stajni.

Zaciągnął hamulec i opuścił szyby. Do wnętrza wdarł się zapach wieczornego powietrza.

– Musieli już zabrać stąd konie – zauważył. – W przeciwnym razie stajnia byłaby zamknięta przed wilkami. Cicho tu teraz jak w grobie. Ani jednego szmeru.

Sięgnął przez kolana Szymańskiego do schowka i wyjął paczkę papierosów. Wsiadł z samochodu i błysnął ogniem zapalniczki.

– Chłop się narobił, a ktoś mu to wszystko w kilka dni elegancko pozamiatał. Na jego miejscu bym się porządnie wkurwił – rzucił, wciągając dym. – Nie wiem jak ty, Szymański, ale ja mam ochotę zgarnąć tych wesołków z opla i przycisnąć o zdjęcia z asfaltówki. Któryś w końcu pęknie i zacznie śpiewać. Coś mi mówi, że to będzie wyjątkowo intrygująca ballada.

– Chcesz ich wyłapać teraz?

– Nie ja. Ty. Ściągniesz radiowóz, a potem zapukasz do drzwi ich domów i wsadzisz każdego na czterdzieści osiem. Osobno, żeby nie mieli ze sobą kontaktu. Ja z ekipą zajmę się miłą panią od medalików. Też chwilę posiedzi. Ta zabawa w ciuciubabkę zaczyna mnie już męczyć.

W oddali błysnęło. Górny spojrzął na niebo, ponad wierzchołki sosen, które drgnęły od nagłego, chłodniejszego podmuchu wiatru. Pociągnął jeszcze dwa szybkie machy, po czym wcisnął butem niedopałek w żółtą ziemię.

– No to wio – powiedział, włączając silnik.

Kolejny, tym razem mocniejszy błysk rozjaśnił niebo. Górny widział kątem oka, jak Szymański liczy coś pod nosem. Grzmot rozległ się, gdy dobił do siedmiu. Piach z drogi uniósł się przed kołami ich auta i zawirował.

– Czujesz? – Szymański wciągnął powietrze w płuca.

– Czuję. Zawiewa łajnem od otwartej stajni.

– Nie chodzi o łajno. Dym idzie. Spod grilla, buczyna albo olcha.

– Dziś jest zabawa we wsi – przypomniał Górny. – Otwarcie dyskoteki. Lubisz tańczyć, Szymański?

Młodszy policjant błysnął białymi zębami.

– Taki z ciebie Travolta? To dziś tańczyć, niestety, nie będziesz. Ale z tą wiejską potupajką dobrze się składa, wręcz idealnie. Wszyscy młodzi będą w jednym miejscu. Nasi przyjaciele też powinni się tam pojawić.

Szymański poprawił w bocznym lusterku włosy, stawiając zmarniały czubek, który zwichrzył się od wiatru.

– Pijanych nie zapuszkujesz – skomentował.

Górny sprawdził godzinę na zegarku. Było kilka minut po ósmej.

– Impreza dopiero się zaczęła. Są raptem po rozchodniaczku, i to pewnie chrzczonym. Trzeźwi jak niemowlęta. Zapuszkuję.

Radiowóz miał wyruszyć z Nowolipek nie wcześniej niż za kwadrans. Jak szybko wyliczył Szymański, przy sobotnim obłożeniu szos oznaczało to, że pod Milano dotrze za czterdzieści minut.

– Długo – powiedział z irytacją. – Bez posiłków niewiele zdołamy. Wiesz, w co się może zamienić wiejska zabawa, jeśli wpadniemy tam tylko we dwóch, bez obstawy? Nie ryzykowałbym.

Górny spojrzał na niego z pokerową twarzą. Młody myślał kategoriami mierzonymi w sztachetach wyrwanych z płotu. Tych dwóch chłopaków sfotografowanych przez Zabielskiego mogło się posunąć do wszystkiego, to było jasne. Cała reszta stanęłaby za nimi murem, rozochociona sytuacją i gotowa wymachiwać im kosami przed nosem. Nic przyjemnego. Może i przyznałby Szymańskiemu rację, że akcję należy wstrzymać do przyjazdu posiłków, gdyby nie jeden szczegół. Wśród tych ludzi może znajdować się ten, dla którego ulubioną atrakcją jest zakopywanie młodych kobiet pod ziemią. I gdzieś tam wśród nich jest Julia, gotowa na wszystko, by odnaleźć Sarę Lewicką. Będzie chciała wyłowić tego człowieka z tłumu. O ile on nie wyłowi jej pierwszy.

Docisnął pedał gazu.

ROZDZIAŁ XV

Dawno nie miała na sobie sukienki. Chyba ostatni raz w dniu, w którym ojciec dostał legitymację partyjną na kolejną kadencję. Przyszedł do domu, zionąc samozachwytem i piwem, które, jak wytłumaczył matce, wychylił za swój sukces. Zarządził w domu święto i kazał im się ładnie ubrać na popołudniowy raut z klubowymi kolegami i ich rodzinami. Na godzinę przed wyjściem usiadł na kanapie i polecił im ustawić się w rzędzie. W sukienkach. Kwalifikacja na tak lub na nie była szybka i bezdyskusyjna. Sprowadzała się do sprawdzenia, czy dekolt zasłania rowek między piersiami i czy kolana nie wystają zbyt śmiało spod spódnic. Zbyt śmiało oznaczało powyżej rzepki. Matka nie miała niczego powyżej rzepki, a ona i Reni wszystko. Chociaż nie, tylko ona wyglądała nieskromnie. Reni wyszła na środek pokoju w dżinsach z dziurami na kolanach i w luźnej czarnej podkoszulce z napisem „Jestem inna z natury”.

Ojciec rozciągnął ramiona na zagłówek kanapy, chyba najszerszej, jak potrafił, i spojrzął na nią z tym swoim dobrotliwym uśmiechem na ustach.

– Chyba mnie nie zrozumiałaś, córeczko. Wyglądasz jak menel, nie jak kobieta. I co to za błazeńskie hasło? No, biegaj się przebrać.

Biegaj. Jego ulubione słowo, którym wymuszał posłuszeństwo.

Reni nie włożyła sukienki, przez co doszło do kolejnego spięcia i wymiany wielu epitetów, wśród których „niewdzięczna chłopczyca” był najdelikatniejszym. Najpierw ryczała w swoim pokoju, a potem się w nim zamknęła. Przysunęła do drzwi komodę, zabarykadowała się na dobre.

Mina matki mówiła, że sama z chęcią zrobiłaby to samo, byle tylko nie musieć szczyrzyć zębów do partyjnych koleżków ojca, ale zamiast tego zawiesiła sobie na szyi sznur sztucznych pereł i wsunęła na stopy szpilki.

Nie pasowały do letniej sukienki, były z grubego zamszu, zbyt ciężkie, z krytymi palcami, co wyglądało naprawdę fatalnie.

Jej sukienka była niebieska. Gładka, z półkola, z żółtym paskiem w talii. Dobrze, że jeszcze pasowała, bo ostatni raz miała ją na sobie w gimnazjum. Cisnęła pod pachami i w biuście, który od tamtego czasu urósł o dwa rozmiary, ale skromniejszej w swojej szafie nie znalazła.

Ta, którą miała na sobie teraz, była czarna i o wiele krótsza od gimnazjalnej, a dekolt śmiało pokazywał rowek między piersiami. Kupiła ją na zimowej wyprzedaży, za własne pieniądze i na własnych zasadach. Była tania, ale nadawała się i do kina czy na imprezę, i do pracy. Zwłaszcza do pracy...

Umyte porządnie włosy wciąż były wilgotne. Czuła to, gdy przy każdym ruchu głowy dotykały jej pleców. Były cudownie świeże i pachniały dobrym szamponem, nie tym najtańszym i rozwodnionym co zwykle. Po tygodniach spędzonych w piwnicy nie można chyba chcieć niczego więcej. Paznokcie, obcięte, wyszczotkowane i pociągnięte lakierem o barwie jarzębiny, połyskiwały, jakby szykowała się na czerwony dywan.

Zachwiała się na wysokich obcasach, ale tylko przez chwilę. Tego się przecież nie zapomina, wystarczy zrobić kilka kroków i wszystko wraca. Buty były jej, i sukienka, i lakier. Przechowane w miejscu, do którego nie miała dostępu od dwóch miesięcy. Wyciągnięto je z jakiegoś zakamarka domu, zawiązane w worek na śmieci i lekko cuchnące przez brak dostępu powietrza, ale czyste i – co najważniejsze – jej własne.

Tylko perfum nie było. A miała je na pewno przy sobie, gdy ją tu przywieziono. Kwiatowo-pudrowy zapach Chloé, podróbka, ale dobrze udająca oryginał. Tymi, które teraz dostała, nie chciała się psikać. Gdy zdjęła korek, od razu odrzucił ją odór mieszanki denaturatu z jaśminem. Wołała już nie pachnieć niczym, zwłaszcza że miła woń szamponu otulała jej włosy. To w zupełności jej wystarczało.

– Jesteś gotowa? – usłyszała najpierw głos, a potem nieśmiałe pukanie do drzwi. – Mogę wejść?

Podniosła się z taboretu i zanim odpowiedziała, wyjrzała przez uchylone okno. Z rozkoszą zmrużyła oczy i wciągnęła do płuc wieczorne powietrze.

Kolejne pukanie.

– Za chwilę! – zawołała, nie odwracając twarzy od okna.

Chciała jeszcze przez moment pobyc sama. Napawać się świeżym powietrzem i patrzeć w zasnute chmurami niebo. Wciąż z niewiadomego

powodu utrzymywano ją przy życiu, ale wiedziała, że koniec jest bliski. Kazano jej zrzucić z siebie białą koszulę, zmyć z ciała brud i wbić się w megaseksowną kieckę. To twój ostatni dzień, usłyszała. Masz wyglądać tak jak pierwszego dnia, gdy się tu pojawiłaś.

Zaraz po kąpieli, jeszcze w ręczniku, wprowadzono ją do tego pokoju, co zwykle. Z zamkiem w drzwiach, szerokim łóżkiem i szafą z lichej płyty wiórowej. Bez żadnego dywanu, z widocznymi rysami na podłodze, które wyglądały jak wijące się czarne węże. Tak o nich pomyślała, stojąc bosymi stopami na jasnych panelach. Na łóżku leżała jej sukienka, a pod nią buty. Niewiele z tego rozumiała, w głowie wciąż powracało „to twój ostatni dzień”.

Klamka drgnęła i drzwi się otworzyły.

– Już naprawdę pora – usłyszała.

Powoli się obróciła i spojrzała na sylwetkę uwięzioną w wózku inwalidzkim. To był on, Beztwarzy. Wreszcie, nie mając opaski na oczach, miała okazję go sobie obejrzeć. Szukała słów, jakimi mogłaby go opisać. Gdy go dotykała, zazwyczaj miał na sobie spodnie dresowe, podkoszulek i buty cichobiegi. Albo tylko bokserki. Starał się ukryć przed nią swoje niesprawne ciało, zakrywając się kocem. Teraz miał na sobie porządne džinsy, koszulę na guziki i stare trampki. Wyglądał dziwnie jak diabli. Wolała go w zwykłej wersji, była przynajmniej prawdziwa. Tak jak wolała Reni w poprzecieranych spodniach, a nie w sukience. Wystroił się, ale tam, głęboko w środku, wciąż był przecież sobą. Dawnym sportowcem, a nie wystrojonym kaleką. I jeszcze ta saszetka nerka zapięta wokół bioder, niepasująca do niczego.

Kiwnęła zgodnie głową i zrobiła ruch nakazujący mu wycofanie się z przejścia. Przecisnęła się do sieni, gdzie wciąż czuć było zapach po jej kąpieli. Natychmiast odwróciła spojrzenie od wąskiego korytarza, który prowadził do łazienki. Nie chciała widzieć białych kafelków, kosza z narzędziami ogrodowymi ani tym bardziej wanny. Drzwi, te na wprost, ze skoblem i otwartą kłódką, też ominęła wzrokiem. Starła się o nich nie myśleć, niemniej gdy poczuła wokół kostek muśnięcie piwnicznego chłodu, jaki przecisnął się spod dolnej krawędzi drzwi, serce podeszło jej do gardła.

To twój ostatni dzień.

– Gdzie są wszyscy? – zapytała, rozglądając się po sieni.

– W lombardzie. Jesteśmy tu sami. To jak, gotowa?

Nie czekając na odpowiedź, podjechał do drzwi wejściowych i przekreślił zatrask. Ten dolny, bo żeby sięgnąć do górnego, musiałby się wysilić. Przejechał przez próg i zatrzymał się tuż przed niemal płaską pochylnią.

Wyciągnął do niej rękę. Wolałaby go w ogóle nie dotykać, ale uległa. Jego dłoń była zimna, zbyt długo trzymał ją na metalowych obręczach przy kołach. Do tego dość chropowata i z wyczuwalnymi odciskami. Nie próbowała się uśmiechać, choć może powinna. Może na to czekał.

– Zbiera się na deszcz – powiedziała, patrząc w niebo.

Nie była pewna, czy usłyszał, bo czegoś nasłuchiwał w oddali. Echo niosło muzykę, szybką i prostą.

Byli już przy furtce. Mogła ją otworzyć i wybiec na drogę, wołając o pomoc lub po prostu uciekając w ciszy. Wystarczyło tylko przekreślić żelazną klamkę.

Zatrzymał się nagle i obrócił kołami w stronę domu. Napał rękami na obręcze i odjechał ceglastą ścieżką za budynek. Została sama. Po raz pierwszy, odkąd się tu znalazła. Bez murów, piwnic, sufitów i drzwi. Sama i naprawdę wolna.

Wystarczyło chwycić za klamkę.

Po co to zrobił? Wystawił jej posłuszeństwo na próbę, by zorientować się, czy lojalnie tu zostanie, czy też wyslizgnie się przez bramkę i zacznie wołać o pomoc? Przecież mogła.

Stała osłupiała i patrzyła w ciemność za domem. Serce waliło jak oszalałe. Odczekała kilkanaście długich sekund, ale wciąż nie wracał.

Furtka.

Klamka.

Oglądając się za siebie, wyszła na drogę. Po prawej biegła zabudowana szosa prowadząca do wsi, skąd dobiegały discopolowe rytmy. Droga po lewej była pusta i kończyła się ścianą lasu.

Wszystko wróciło. Opętńczy bieg przez ciemność rozpiętą między drzewami i rozpaczliwe chwytnie powietrza w płuca. Ujądanie, które zbliżało się i w końcu ją dopadło.

Schyliła się, by zdjąć buty. Bez nich będzie szybciej i wygodniej. Nie skręci nogi w kostce, co najwyżej zedrze sobie skórę. To tylko dwieście, może trzysta metrów. Spróbuje ten ostatni raz.

– Rzeczywiście, idzie na burzę – dotarło do niej, nim zdążyła wyprostować plecy. Nie usłyszała dobrze naoliwionych trybów w wózku. Chłopak

znalazł się tuż za nią nie wiadomo kiedy. – Co robisz? – spytał, przyglądając się jej bosej stopie.

– To tylko kamień w pantoflu – odparła.

Czarnej, skołtunionej bestii, która podbiegła do furtki, też wcześniej nie zauważyła. Po chwili usłyszała skowyt, przeciągły i rozjuszony. Monstrum było tak blisko. Dotarł do niej mdły smród jego brudnej sierści.

To twój ostatni dzień.

Tak Beztwarzy chciał się z nią zabawić? Dając jej wolność i zaraz potem puszczając to kudłate bydlę?

Od zwierzęcia, które już raz niemal obdarło ją ze skóry, oddzielał ją jedynie wózek i siedzący na nim chłopak. Wystarczy, że koła przesuną się o pół metra, a wtedy ten potwór dopadnie ją w sekundę i dokończy to, co mu wtedy przerwano.

Na razie pies wysunął w jej stronę pysk i wciągnął w nozdrza jej zapach. Musiał rozpoznać woń, bo podniósł na nią żółte ślepia i wyszczerzył kły.

– Jedyne taki w okolicy – powiedział chłopak, głaszcząc gorliwie bestię po najeżonym karku. – Hybryda psa z wilkiem. Starcza za stado rottweilców. Ojciec dał za niego majątek, żeby pilnował obejścia.

Stała jak wryta i patrzyła na koła wózka, modląc się, by nie odjechały ani na centymetr.

– Woolfie, przywitaj się z panią – powiedział do zwierzęcia, po czym zwrócił się do dziewczyny: – Chyba niepotrzebnie was sobie przedstawiam. O ile wiem, już się znacie. Woolfie w każdym razie ciebie poznaje.

Poczuła, jak łzy płyną jej po policzkach. Potarła odruchowo oczy. Tusz rozmazał się po twarzy i dłoni. To musiał być żalony widok, ale nie czuła wstydu. Było jej obojętne, co sobie pomyśli Beztwarzy. Jedyne, co czuła, to strach przed bólem.

Czekała, aż się roześmieje albo rzuci coś z pogardą. Do tej pory nigdy tego nie robił. Jak na okoliczności, w jakich się spotkali, był wręcz absurdalnie miły. A właściwie obojętny, co dla niej było jednoznaczne z uprzejmością. Zrobi to teraz, wygląda przecież arcygłupio z rozmazanym tuszem.

Nie zaśmiał się, tylko wyjął z saszetki paczkę chusteczek i wyciągnął w jej kierunku.

Bała się wykonać jakikolwiek gest. Widziała, jak wilczarz przestępuje z łapy na łapę, szykując się do skoku. Chłopak przytrzymał go za kudły na karku i zamachał chusteczkami.

– No, wytrzymaj się. Nie będziesz przecież chodzić taka... – Powstrzymał się przed wypowiedzeniem słowa „obsmarkana”. – Nie możesz chodzić w takim stanie.

Jasne, że nie. Przecież to ostatnia noc. Nie po to ją wykąpał, żeby teraz prezentowała się jak straszycło. Zepsułby sobie całą przyjemność.

Złapała paczuszkę i wyciągnęła z niej dwie chusteczki. Jedną potarła skórę na twarzy, drugą osuszyła zabrudzoną rękę.

– Tam rzuć. – Wskazał na pokrzywy rosnące przy płocie.

Cisnęła je w zielsko i znów czekała. Zapadająca na drodze do lasu ciemność wabiła ją, ale kudłata bestia była coraz bardziej podniecona.

– Spokój, Woolfie! Teraz zostaniesz tu i będziesz pilnował domu. Dobry piesek... Dostaniesz coś ode mnie na odchodne. Żeby ci się lepiej pilnowało.

Beztwarzy znów sięgnął do saszetki. Tym razem wyjął z niej folię aluminiową. Gdy tylko ją rozwinął, od razu poczuła zapach domowej kiełbasy. Nie było jej dużo, zaledwie na długość palca.

– Świnka była mała i różowa... czujesz świnkę, ty mały łobuzie? – Powiedział, wymachując mięsem tuż przed psim nosem. – Mała i różowa. Całkiem różowiutka. Chcesz świnkę, Woolfie?

Podrzucił kiełbasę, a pies pochwycił ją w powietrzu i nie rozgryzając, przesunął wprost do gardła.

Chłopak zapiął zamek saszetki i przymknął za sobą furtkę. Nie rozumiała, dlaczego nie zatrzaskuje jej do końca. To kudłate bydło, które oblizywało się teraz po pysku, gotowe było przedostać się na ulicę.

Pies wydał z siebie piskliwy dźwięk i zaraz potem kolejny, do którego dołączyło pochrząkiwanie i odkrztuszanie. Zbyt łapczywe połknięcie kiełbasy musiało się tak skończyć, ale nawet przez chwilę go nie żałowała. Gdy zaczął skowycić i słabnąć, przeszło jej przez myśl, żeby zebrać się na odwagę, podejść do potwora i huknąć go między ślepie. Teraz mogła to zrobić, bo usiadł i zwiesił łeb, próbując zwymiotować to, co zalegało mu w przełyku. Gęsta ślina wymieszana z pianą ściekała z włochatego pyska.

– Nie musisz na to patrzeć, to nie będzie nic miłego. – Chłopak zjechał swoim wózkiem na asfaltową jezdnię i ustawił się przodem do łuny, jaka biła od świateł dyskoteki.

Otwierała już usta, by zapytać, czy bestia zdycha, ale ją uprzedził:

– Powiedzmy, że ktoś obcy wdarł się na posesję i nakarmił to szczekające gównem kiełbasą z gwoździem. No nie patrz tak. I otwórz tę bramkę

szerzej.

Kopnęła furtkę, jak jej kazał. Spojrzała na leżącego już całkiem płasko psa. Cierpiał, ostrza gwoździ z pewnością zrobiły w jelitach swoje. Co za piękny widok. Nie zastanawiając się długo, wbiegła na ścieżkę i stanęła nad zwierzęciem. Uniosła nogę i nacisnęła stopą na jego brzuch. Nie miał siły się podnieść, jedynie jęczał sparaliżowany bólem. Łzy znów popłynęły jej po twarzy, tym razem z ulgi.

Nie chciała być świadkiem tego, jak zdycha. Wystarczyła jej świadomość, że była ostatnią osobą, jaką ta bestia widziała przed śmiercią. Nie oglądając się już więcej za siebie, wyszła na ulicę.

Las czy kaleka na wózku? Musiała wybrać teraz, w tej chwili.

– Jesteś wolna. – Chłopak popatrzył jej prosto w źrenice. – Możesz iść ze mną lub zniknąć.

Dziwne to było spojrzenie i dziwnie się też poczuła. Uprzytomniła sobie, że nie wie nawet, jak chłopak ma na imię. Do tej pory nawet nie chciała tego wiedzieć, wołała nie nazywać go żadnym konkretnym imieniem. Był po prostu Beztwarzym. On też nigdy nie zapytał jej o imię, choć wiedział, że to, którym przedstawiła się pierwszego dnia, było tylko ksywką. I ani razu tej ksywki nie wypowiedział. Zwłaszcza że gdy trafiali do jednego pokoju na regularne spotkania, zwane godzinkami, nie rozmawiali ze sobą niemal wcale.

Las czy chłopak?

* * *

Gdy Julia zaparkowała samochód dwie ulice od klubu, pierwsze krople deszczu już odbijały się od maski skody. Mogłaby stanąć bliżej Milano, chociażby przy kontenerze na śmieci, który wypełniały odpady po remoncie, ale wołała nie rzucać się w oczy. Poza tym ryzyko, że któryś z imprezowiczów obierze sobie jej wóz za cel rzutu puszką po piwie, było zbyt duże.

Daria była innego zdania, nie chciała człapać na piechotę. Bąknęła coś o nadciągającej ulewie i konieczności chowania się przed burzą, ale tak naprawdę chodziło jej o to, by zająć przed klub niczym gwiazda filmowa. Może dzięki temu stałaby się zauważalna. Nie przeszkadzało jej, że skoda z wybitą boczną szybą nie przypominała limuzyny.

Wokół starej remizy kłębiły się grupki młodych ludzi, od których bił zapach firmowych perfum wymieszany z papierosowym dymem. Jedni sie-

dzieli przy stołach, na których stygły grillowane karkówki, inni krążyli z butelkami bez kapsli. Śmiech kuso ubranych dziewcząt przecinał co chwila powietrze i muzykę sączącą się z wnętrza klubu.

Stały na wprost wejścia, pod drzewem, gdzie deszcz nie dosięgał ziemi.

– Ładnie grają – powiedziała z podekscytowaniem Daria. – Kapela przyjechała aż z Warszawy.

Aż z Warszawy zabrzmiało, jakby dotarli tu z drugiego końca świata.

– Zaczynają śpiewać mój ulubiony kawałek. O dziewczynie ciemnonokiej. Mogę iść? – Zakołysała ramionami. – Drugi raz tego nie zagrają. Proszę.

– Tylko jedna piosenka – zgodziła się Julia. – Jak się skończy, wrócisz i pokażesz mi, kto jest kim.

– Obiecuję.

Przygładziła włosy, choć jeszcze kilka minut temu nakręcała je rozgrzaną lokówką i robiła lekki tapir z grzywki, by nie opadała na czoło. Wzięła głęboki oddech, jakby szykowała się do biegu, po czym ruszyła do wejścia.

Trudno było zrozumieć, co wokalista wyśpiewywał o dziewczynie ciemnonokiej. W pierwszej zwrotce kochała jedynie czerwone róże, a w drugiej już tylko spacerować po plaży. W trzeciej nie kochała niczego i nikogo, za to kochano ją. Bez jej wiedzy, chociaż coś podejrzewała. Czwartej zwrotki Julia już nie słuchała. Wykorzystała moment, gdy kropienie deszczu na chwilę ustało, i podeszła do stanowiska z grillem. Zadaszone i obudowane plastikowymi osłonami, zatrzymywało duchotę i zapach piekącego się mięsa. Dwudziestokilkulatka obsługująca ruszt, przypominająca wyglądem młodą Kate Winslet, podniosła wzrok na Julię, która nijak tu nie pasowała.

– Pani to chyba nietutejsza – powiedziała na widok zwykłego podkoszulka i džinsów. – Ale bez stresu, Milano wita wszystkich. Kiełbaski jeszcze niegotowe, więc co... browara?

Nie czekając na odpowiedź, sięgnęła po piwo z piknikowej lodówki i rozejrzała się za otwieraczem. Musiał się zapodziać, więc sprawnie uderzyła szyjką butelki o krawędź grilla. Kapsel odskoczył gdzieś w trawę.

– Pierwsze piwo gratis. Za ewentualny napiwek z góry dziękuję.

Julia rzuciła dziesięciozłotowy banknot na wiklinową tackę i odebrała butelkę.

Nie zamierzała pić, z procentami pożegnała się wiele lat temu, gdy niemal obróciły jej życie w perzynę. Dlatego czułaby się o wiele lepiej, gdyby Prawie–Kate nie przyglądała jej się tak badawczo. Najwyraźniej nie przywykła do tego, by ktoś, kto wybrał się na wiejską zabawę, nie zaczął jej od spożycia alkoholu.

Przyłożyła więc butelkę do ust i poruszyła fałszywie krtanią.

– Niezłe, mocne – pochwaliła, po czym otarła usta wierzchem dłoni.

Prawie–Kate chyba jej nie uwierzyła.

– Jak dla przedszkolaka. Ale na rozpęd w sam raz – dodała. – Bar z poważnym towarem otwiera się za... – Sprawdziła godzinę na zegarku. – Właściwie to zaraz. Właśnie powinna zacząć się inauguracja. Przemowa będzie.

Dziewczyna włączyła przycisk w słupku podtrzymującym wiatę. Łączył się kablem z zawieszonym pod dachem głośnikiem.

– Ostatnie darmowe rozlanie przed przemową! – krzyknęła do mikrofonu. – Piwo dostępne u mnie lub na stoisku przy wejściu do klubu! Zapraszam! Ostatnie rozlanie!

Zakłębiło się przy dymiącym grillu. Julia czuła, jak ktoś bezpardonowo napiera na jej plecy i ociera się o biodra. Nie oglądając się za siebie, odeszła z butelką kilka metrów dalej. Prowokowanie pyskówki z jakimś lokalnym erotomanem nie miało sensu, zwłaszcza że w jej kierunku szła już Daria. Z płonącymi policzkami i tajemniczą miną.

– Zaraz wyjdzie na scenę – szepnęła drżącym głosem, nachylając się Julii do ucha. – Alek Koziej będzie mówić. Chodźmy zająć miejsce, bo za chwilę nie będzie gdzie nogi postawić.

Oczy Darii się szklily, poziom ekscytacji sięgał już poza skalę. Zapomniała o zmiażdżonym rowerze i wywiezionych na zgubę koniach. Pociągnęła Julię za rękę w stronę wejścia.

Pomieszczenie było niezbyt duże, za to wysokie. Przy suficie, w plątaniu kabli i szyn z umocowanymi na nich punktowymi reflektorami, widać było otwór, przez który przebiegał strażacki ześlizg. Poza nim po starej remizie nie pozostał ślad. Wszystko, co zagracało powierzchnię po przeniesieniu strażaków w inne miejsce, zostało usunięte i zastąpione elementami dyskoteki. Na ścianach wisiały oprawione w ramy plakaty z zespołami disco polo, winylowe płyty tworzące abstrakcyjne kombinacje oraz głośniki. Po niezbyt długim podeście, na którym stały półtorametrowe gło-

śniki, kręciło się kilku spoconych muzyków. W trakcie krótkiej przerwy wycierali karki ręcznikami i pili wodę z plastikowych butelek.

Minęło kilka minut, nim sala zaczęła się zapełniać na nowo. Darmowe piwo się skończyło, co oznajmił cichy gong wiszący przy stanowisku z grillem. Powrót imprezowiczów pod dach przyśpieszył również coraz silniej padający deszcz.

Wejście właściciela lokalu wbrew oczekiwaniom gości nie było spektakularne. Na rzucone przez wokalistę „orkiestra tusz!” uderzono zbyt krótko w perkusję, po czym zaległa cisza. Boczne drzwi otworzyły się i stanął w nich młody człowiek w okularach. Nie wydawał się szczęśliwy i dumny, tylko raczej obolały. Szedł powoli, lekko przykurczony, trzymając się jedną ręką za żebra.

– To przez pożar – szepnęła Daria. – Biedak męczy się, w końcu niemal spłonął żywcem. Pani nic nie wie... Gdyby nie przyjaciele, nie byłoby go tu teraz. Zjawili się w ostatniej chwili. Szczęście od Boga. – Zrobiła dyskretnie znak krzyża na piersiach, unosząc przy tym wzrok ku sufitowi z dziurą na ześlizg.

Wyprostował się dopiero wtedy, gdy z końca sali doszły go pojedyncze gwizdy. Musiał wziąć je za dobrą monetę, bo podniósł rękę i pomachał do gwizdzących.

Zachwiał się, kiedy postawił nogę na podeście, ale szybko złapał równowagę. Przetarł dłonią wilgotne czoło i stanął przy mikrofonie. Puknął w niego dwukrotnie palcem.

– Słyszać mnie dobrze? – zagadał i przebiegł wzrokiem po głowach uczestników imprezy.

Odpowiedziało mu entuzjastyczne „słyszać!”.

Górne światła przygasły, na gospodarza skierowano reflektor zawieszony naprzeciwko sceny. Alek zmrużył oczy i poprawił wysokość mikrofonu, podciągając go oczko wyżej.

– Mówić długo nie będę, bo nie po to tu przyszliście, żeby słuchać, jak przynudzam. Kapela też nie wzięła forszy za bezczynne siedzenie, a tania nie jest. – Zaśmiał się szczerze. – Jednak zanim oddam chłopakom mikrofon, chciałbym powiedzieć wam wszystkim, że oto spełniło się moje marzenie. Po pierwsze, jak widzicie, nadal żyję. – Mówiąc to, rozłożył ręce i okręcił się wokół własnej osi. – A po drugie udało mi się dokonać cudu.

– Bravo! – krzyknęła piskliwie jakaś dziewczyna spod sceny. – Milano rządzi!

Alek przez dłuższą chwilę patrzył po twarzach przybyłych, próbując odnaleźć wśród nich te, które były dla niego najważniejsze.

– Nie chodzi o Milano. Chodzi o nich, o moich przyjaciół. Jeszcze godzinę temu wątpiłem, czy będą tu ze mną w ten szczególny dla mnie wieczór. Między nami wydarzyło się wiele nieprzewidzianych sytuacji. Nie każda przyjaźń zniesie wszystko, ale jak się okazuje, nam się udało. Przyszli i są tu teraz ze mną. Nie dlatego, że postawiłem tę budę na nogi, ale dlatego, że wiedzieli, jakie to dla mnie ważne, byśmy mogli świętować otwarcie klubu razem, we trzech. Więc, kochani goście, chciałbym, żebyście powitali ich brawami. Przedstawiam wam najbliższych mi ludzi. – Alek wyciągnął rękę w prawą stronę. – Przywitajcie Muńka Bugaja i... – drugą ręką wskazał przeciwną część sali, tuż przy samym wyjściu – Kostka Knotta. Światła!

Dwa reflektory obsługiwane przez oświetleniowca ukrytego na tyłach sceny zostały skierowane w dwa przeciwległe kąty klubu.

– Podejdźcie – zachęcił przyjaciół ruchem palców.

Tłum rozsunał się i Muniek ruszył jako pierwszy. Szedł szpalerem, unosząc nad głową dłonie i triumfalnie klaszcząc. Nie widział spojrzeń, jakie błądziły po jego spodniach i koszuli upstrzonych resztkami ziemi ze szklarni. W ogóle mało co widział po dwóch wypalonych jointach.

Wgramolił się na podest przy pomocy mężczyzny z obsługi technicznej. Ukłonił się nisko, po czym dorwał mikrofon.

– Dobrze się bawicie?! – wrzasnął.

Sam bawił się świetnie. Na dowód euforii rozpiął guziki koszuli i ściągnął ją z karku. Zawirowała kilkakrotnie nad jego głową, po czym zawisa zwinięta na szyi.

– Jak powiedział mój serdeczny przyjaciel Alek, nasza paczka znów działa razem. Ale, ale... – wybełkotał. – Brakuje tu jeszcze jednego. Kostek, mordo... Łap za te swoje kółka i dawaj tu do nas!

Tym razem tłum rozstąpił się znacznie szerzej. Widok Knotta na wózku nie był dla nikogo zaskoczeniem. Chłopak poczuł nawet na ramieniu kilka krzepiących klepnięć. Położył ręce na kołach, ale zaraz potem je cofnął. Nie musiał pokonywać tej drogi sam. Był z nim ktoś, kto powoli popychał wózek do przodu.

– Dawaj, ty nasza wioskowa kaleko! – Muniek zatoczył się, śmiejąc. – Siły nie masz? A... w towarzystwie. Kto tam jest z tobą? Co to za ofiara losu tak się wlecze?

Im byli bliżej, tym rysy twarzy dziewczyny pchającej wózek Kostka stały się coraz wyraźniejsze. Gdy przystanęli pod sceną, Muniek nagle zamilkł i znieruchomiał.

– Jaki ten świat jest mały... – rzekła dziewczyna i wysunęła się naprzód.

Podeszła tak blisko, że Muniek czuł zapach jej szamponu do włosów.

Chciała powiedzieć o wiele więcej, ale ktoś podstawił w okamgnieniu rampę, by Kostek mógł wjechać na podest. Nie mogła go teraz zostawić. Miała wobec niego dług i zamierzała go spłacić.

– Za godzinę będziesz wolna, ale teraz po prostu bądź przy mnie blisko – poprosił Kostek chwilę wcześniej, gdy znaleźli się pod klubem. – Niech wszyscy zobaczą, że nie jestem taki ostatni, że i ja mogę... że mnie też może ktoś...

Nie dała mu skończyć, mówiąc:

– Przysługa za przysługę.

A potem pchnęła wózek w kierunku Milano.

Alek z minuty na minutę wyglądał coraz marniej. Wysięk, jaki włożył, by poinformować, że zaplanowany o północy pokaz fajerwerków został odwołany z powodu nadciągającej burzy, kosztował go kolejne krople potu na czole.

Pomruk niezadowolenia był tak samo słyszalny jak odgłosy wiszących nad klubem chmur. Pojawiło się kilka gwizdów, tym razem pozbawionych entuzjazmu.

– Zamknąć się! – wrzasnął do mikrofonu Muniek. – Co za chamstwo! Mało wam? Macie co pić, muzyka jest, więc bawić się, do diabła! Orkiestra, grać!

Pojedynczy strzał rozległ się, nim muzycy zdążyli zrobić krok w kierunku sceny. Wszyscy zamarli i obserwowali, jak Muniek w zwolnionym tempie łapie się za klatkę piersiową, a potem podnosi zakrwawioną dłoń. Czerwień płynęła pomąku od palców do łokcia. Kiedy pierwsze dwie krople spadły pod jego nogi, rozległ się przeraźliwy wrzask jakiejś dziewczyny. Poza nią nikt nie wydobył z siebie głosu i nikt się nie poruszył.

– Co się stało? – Daria wspięła się na palce, ale kilku roślących chłopaków i tak zasłaniało jej widok. – Co się tam dzieje?!

Dopiero teraz szum zaczął narastać. Ktoś krzyknął, ktoś inny rzucił się w panice do wyjścia.

Kolejny strzał.

– Zostań tu – nakazała Julia, po czym zaczęła przeciskać się do przodu.
– Na bok!

W prześwicie między ludźmi zobaczyła jedynie dłoń z lufą skierowaną w stronę sceny i kawałek ramienia. Odepchnęła kolejne dwie osoby i sięgnęła za pasek od spodni. Ale glocka nie było. Przeklęła w myślach. Ścisk przy grillu i darmowa dolewka... Przez tego, kto z zapalem napierał na jej biodra, broń musiała się wysunąć i upaść pod nogi.

Miała do wyboru albo wycofać się z klubu jakimś bocznym wyjściem, albo...

– Proszę, nie rób tego! – usłyszała kobiecy krzyk dobiegający ze sceny.

Nie było czasu na szukanie bocznego wyjścia. Potrącając przerażonych młodych ludzi, przedzierała się dalej w stronę podestu.

– Nie rób tego! – powtórzyło się błaganie.

Znajdowała się już na tyle blisko, by móc zobaczyć, co się tam dzieje. Było ich czworo. Alek klęczał przy Muńku, zaciskał dłonie na sączącej się ranie i coś do niego mówił, chyba błagał, żeby otworzył oczy. Dziewczyna, której twarz знаła za zdjęcia, chwiała się na nogach i zasłaniała siedzącego na wózku Kostka Knotta. Patrzyła prosto w oczy komuś, kto celował do niej z broni.

Julia powiodła wzrokiem ku napastnikowi. Wystarczył ułamek sekundy, by zrozumiała, kto stoi kilka kroków przed nią. Drobne ramiona i ścięte na jeża włosy. I złoty glock wycelowany w skamieniałą Sarę Lewicką.

– Posłuchaj jej, Moniko. Oddaj broń, a załatwimy to wszystko w inny sposób. – Julia zrobiła powoli krok naprzód i wyciągnęła rękę.

Brewka obróciła głowę, ale tylko na chwilę. To, co działo się na scenie, interesowało ją dużo bardziej niż sytuacja za plecami.

– Odsuń się, wariatko. – Kiwnęła na bok pistoletem, nakazując Sarze, by ta ruszyła się w prawo.

Nie zadziało. Dziewczyna stała niewzruszenie, nie zamierzając odstąpić od wózka.

– Rusz się, słyszysz?! Na bok!

Sara tylko pokręciła głową.

Monika musiała uznać ten bunt za wyjątkowo komiczny, bo roześmiała się cierpko.

– Widzę, że zakwitła tu romantyczna miłość. Jakie to wzruszające. Miłość to piękna rzecz. Szlachetna. Tak jak miłosierdzie. Mi-ło-sier-dzie.

Nawet podobnie brzmi, nie uważasz? Szkoda, że nie wszystkie z nas mogły go doświadczyć. Już wiem! Może twój nowy przyjaciel nie zna tego słowa? Zapytaj go. Albo nie, lepiej będzie, jak sama to zrobię. W końcu długo czekałam na tę rozmowę. Tamten sztywny już ze mną nie pogada, więc załatwimy to we dwoje.

Już miała zrobić krok naprzód, gdy poczuła, jak coś zaciska się na jej szyi i ciągnie ją do tyłu.

– Mówiłam ci, że nie znoszę, kiedy ktoś bawi się moimi zabawkami – szepnęła jej do ucha Julia. – Powinnaś była posłuchać.

Dziewczyna wydała z siebie chrapliwy dźwięk. Wyglądało na to, że zaczyna się dusić, więc Julia poluzowała ucisk. Niepotrzebnie. Wystarczył moment, by zgięty łokieć Brewki wbił się mocno w jej żołądek. Dwa uderzenia i była wolna. Stała teraz nad nią, celując lufą w jej głowę.

– Zabawkami należy się dzielić, taka jest zasada.

Julia zrobiła ruch, chcąc podnieść się z klęczek. Powstrzymał ją chłód metalu przyciśniętego do czoła. Nie odrywając lufy od głowy Julii, Brewka przykucnęła i pokiwała energicznie ogoloną głową.

– Naprawdę liczyłeś na to, że pozwolę ci załatwić to za mnie?

– Prosiłam tylko, żebyś...

– Ciii... teraz ja mówię. Dobrze wiem, o co mnie prosiłaś. Żebym grzecznie czekała na finał, opalając się na durnym leżaku. Tylko wiesz co? Szybko mi się to znudziło. Zresztą leżak śmierdział rybami, a wiesz, że brzydzę się ryb. Dlatego wpadłam. Nie patrz tak, Julia, przecież ci mówiłam, że zamierzam tu przyjść i się zabawić. Nie pamiętasz? Mówiłam też, że nie zapomnisz tej imprezy do końca życia. Jak widzisz, dotrzymuję słowa. Bo chyba się nie nudzisz? Zdradzę ci, jaki będzie kolejny punkt programu. Ten frajer na wózku zaraz zainkasuje kulkę. Jeśli nie chcesz dostać kolejnej, ani drgnij. Kolejnego ostrzeżenia nie będzie.

Podniosła się, wskoczyła na podest i wywijając bronią, podeszła do mikrofonu. Światło reflektora padało wprost na jej chudy tułów w zielonym T-shircie.

– Po pierwsze, nikt się nie rusza, rozumiano? Po drugie, niezła impreza, co? – Zachichotała. – Ale to jeszcze nie koniec zabawy. Za chwilę ten człowiek dołączy do swojego kumpla. Szybkie pach, pach i będzie po sprawie. Co tak patrzycie? Że zwariowałam? Że niby nie wiecie, co się dzieje pod waszym nosem? Macie rację, czasem lepiej jest niczego nie słyszeć i nie widzieć. Ja też nie widziałam. Nie pozwolono mi oglądać jego twarzy,

kiedy zamykano mnie w pokoju z łóżkiem i kazano robić wszystko, żeby ten kaleka... – Zacisnęła usta, słowa przechodziły jej przez gardło z coraz większym trudem. – Nie pozwolono mi widzieć, dokąd mnie wiozą. Tygodniami gniłam w piwnicy bez okien. Zakazano mi patrzeć, ale słyszałam wszystko. Głosy łatwo zapamiętać, a ja bardzo chciałam zachować je w swojej pamięci. Było ich trzech. Jeden z nich już się z nami pożegnał. Znaliśmy się krótko, bo tylko tyle, co jazda z miasta na to wiejskie zadupie. Drugi... – Spojrzała na Alka, który siedział skurczony przy zwłokach przyjaciela, a potem na Kostka. – Żal mi cię, tyle zachodu na nic. Powiedz nam wszystkim, jak to jest mieć w łóżku kobietę i nie móc z nią zupełnie nic, bo... – Wyciągnęła przed siebie palec wskazujący i powolnym ruchem zgięła go w dół. – Byłyśmy ci potrzebne, bo miałaś nadzieję, że może coś ci tam na dole drgnie? Jakże mi przykro, że nic z tego nie wyszło. Żadna kobieta nie będzie w stanie znów zrobić z ciebie mężczyzny. Zresztą kolejnej próby już nie będzie. Czas ci się kończy. Tamte dziewczyny też miały go mało. Przypomnij mi: jak to brzmiało? Te słowa, które każda z nas słyszała, kiedy przekraczała próg twojego pokoju. Że mamy dać z siebie wszystko, i że jeśli zbyt słabo się postaramy, to karą będzie śmierć? Wiesz, co się wtedy czuje? Użyj wyobraźni. Pomyśl sobie, jak to by było, gdyby ktoś pod groźbą śmierci kazał ci wtoczyć się wózkiem na szczyt skały. Brzmi trochę okrutnie, co? Więc za każdą z nas po kulce. Ale zanim to zrobię, muszę cię poprosić o pomoc: zwierz się starej przyjaciółce, ile ich było. Ile dziewczyn ugotowało się w tej twojej obskurnej wannie?

Przesunęła się tak, by światło nie raziło jej w oczy. Stała bokiem i co kilka sekund obracała głowę, by skontrolować, co dzieje się w sali. Wystarczył byle szelest lub szept, aby ostrzegawczo skierowała dłoń z bronią w daną stronę. Przede wszystkim skupiała jednak uwagę na Julii. Spodziewała się, że ta, wykorzystując moment nieuwagi, poderwie się i znów zechce ją powstrzymać. Na razie nie próbowała żadnych sztuczek. Klęczała tylko, co wyglądało dość komicznie.

I nagle światła na kilka sekund przygasły. Burzowy wiatr musiał narużyć kable i doszło do zakłócenia w przepływie prądu. Gdy znów zrobiło się jasno, Julia stała pod sceną.

Brewce wydało się, że zaciska coś w schowanej za plecami dłoni. Ktoś pewnie podał jej pręt lub pustą butelkę po piwie. Zeskoczyła z podestu i znów wymierzyła w nią glocka.

– Nie zmuszaj mnie... – powiedziała błagalnie, patrząc jej prosto w oczy. – Nie masz pojęcia, przez co przesłam. To nie jest twoja wojna, więc odejdź, zanim będzie za późno.

Julia stała nieugięta. Brewka kątem oka widziała, że ręka, którą do tej pory chowała za plecami, wysuwa się powoli do przodu.

– Będziesz liczyć do trzech? – zapytała Krawiec.

– Nie. Załatwię to szybko, choć wolałabym wcale tego nie robić. Coś nas w końcu łączyło.

Julia wzruszyła ramionami.

– Nie było tego wiele, więc nie ma co popadać w sentymenty.

Brewka wzięła głęboki oddech.

– Chrzanisz mi całą robotę – szepnęła. – Proszę cię po raz ostatni, daj mi dokończyć mój plan.

– Wiesz, jak to jest z planami. Nie zawsze wychodzą. Wygląda na to, że nie masz wyjścia. Najpierw musisz zabić mnie, a potem jego. Pójdzie ci gładko, nie zamierzam się bronić, a w kalekę łatwo wycelować. Dziewczyna, która go zasłania, w końcu skapituluje. Ledwo trzyma się na nogach. Na moje oko ma już dość.

Julia spojrzała znacząco na Sarę, która w lot zrozumiała, że to jest ten moment. Odblokowała stopą hamulec wózka i zaczęła wycofywać go bezszelestnie w głąb sceny. Jedyne, co mogła zrobić, to ukryć Kostka za piramidą głośników. Alek, słaniając się na boki, ruszył za nimi.

– A propos sentymentu – ciągnęła dalej Julia. – Skoro to ma być nasze pożegnanie, należy mi się ostatnia przysługa.

– Kapela ma zagrać specjalnie dla ciebie jakiś discopolowy chłam? To akurat mogę załatwić.

– Wypuść ludzi.

Brewka się skrzywiła.

– Pomysł z piosenką wydaje mi się lepszy.

– Oni nie mają z tym nic wspólnego. Wypuść ich.

– Wypuszczę, ale dopiero gdy kaleka zarobi już swoją kulkę. Chcę dla niego publicznej egzekucji.

– Ci ludzie są przerażeni. Jeden człowiek już nie żyje, a oni nie chcą patrzeć, jak ginie kolejny.

Brewka uzmysłowiła sobie, że zbyt długo nie kontrolowała tego, co dzieje się za jej plecami. Na podeście leżało ciało Muńka, ale poza tym było pusto.

Wysyczała pod nosem jakieś bluźnierstwo i już bez sentymentu wycelowała pistolet w głowę Julii.

– Sama się o to prosiłaś. Jeśli chcesz, możesz zamknąć oczy.

Julia poczuła, jak krople krwi spryskują jej twarz. Seria strzałów przeszływała klatkę piersiową dziewczyny. Zanim upadła, w ułamku sekundy zobaczyła jeszcze, że tym, co Julia tak kurczowo zaciskała w dłoni, była para słonecznych okularów.

Zapadła głęboka cisza. Trwała krótko, tyle co jeden oddech. Potem krzyk jednej z dziewcząt rozdarł powietrze, a drzwi Milano otworzyły się z hukiem. Tłum zaczął napierać ku wyjściu, nie bacząc na to, że pod nogami leży ciało Brewki.

Julia obróciła się w kierunku, z którego oddano strzały. Górny stał w progu gabinetu Alka. Zza jego pleców zaczęli wychodzić mundurowi. Podniósł rękę, dając jej znak, żeby do niego podeszła. Nie zamierzała. Dla niej ta noc jeszcze się nie skończyła.

Zakręciła się na pięcie i wmieszała w tłum.

* * *

Było po drugiej w nocy, gdy zeszła z piętra dawnej remizy. Wcześniej przez wlot po rurze zjazdowej obserwowała, jak ludzie Górnego wyprowadzają Kostka Knotta i Sarę Lewicką i jak pogotowie zabiera ledwie żywego Kozieja. Zwłoki Bugaja i Brewki wyniesiono na samym końcu. Z tego, co dotarło do jej uszu, wynikało, że poza serią oddaną w tors Moniki jedna z kul rozerwała jej tętnicę w szyi. Słyszała też, jak Górny z cierpliwością tłumaczył Madejskiemu przez telefon, że kobieta, do której mierzyła Brewka, była jedynie podobna do Julii. Chybabym ją rozpoznał – zapewniał. Potem wyłuszczył Szymańskiemu, że jeśli nie będzie trzymał gęby na kłódkę, dostanie w łeb. Krótko i na temat.

Technicy kryminalni wciąż kręcili się po klubie. Wymknęła się niezauważenie po schodach przeciwpożarowych i odbiegła na bezpieczną odległość.

Teraz musiała dyskretnie rozejrzeć się po wsi. W uliczkach było już zupełnie cicho, nie chciała uruchamiać silnika zdezelowanej skody, by nie ściągać na siebie niepotrzebnie uwagi.

Spojrzała na ciemne niebo. Burza powoli ustawała, jednak deszcz wciąż siekał po plecach. Naciągnęła na głowę bluzkę i ruszyła przed siebie.

Dom, którego szukała, nie rzucał się w oczy. Był parterowy, ceglany, bez choćby muśnięcia tynkiem, jak wiele domów, które mijalała po drodze. Miał za to podjazd na wózek, identyczny z tym przy lombardzie, tylko nieco niższy.

W oknach panowała ciemność, a zasłony były szczelnie zasunięte, co wzięła za dobry omen. Mogła czuć się w miarę swobodnie, wiedząc, że nikt nie wypatrzy jej zniecka, jak kręci się po obejściu. Furtka, choć niewysoka, była zamknięta od środka na żeliwny rygiel. Musiała stanąć na palcach, by namacać go po drugiej stronie bramki i zwolnić zasuwę.

Cofnięty w głąb podwórza front domu tonął w mroku. Włączyła latarkę w telefonie i omijając okna, omiotła światłem wąski chodnik, by nie wdepnąć w krwistobrunatną plamę, która ciągnęła się od jej nóg w kierunku krzewów. Ślad kończył się między bielącymi się gałęziami dereni. Przy ich korzeniach leżało coś kudłatego. Podeszła bliżej i rozpoznała sierść oraz pazury. Przesunęła światłem latarki po pysku z wywalonym jęzorem okrytym krwią i po wytrzeszczonych oczach. Żółtych, typowo wilczych. Dla pewności, że ma do czynienia z psim truchłem, trąciła czubkiem buta dolną szczękę zwierzęcia.

Wydawało się, że droga jest czysta. Pies był sztywny, a światła w domu pogaszone. Nie oznaczało to jednak, że stoi pusty. Przed wejściem, na kawałku urwanej ceraty, stała para czarnych męskich kaloszy utyłanych w ciemnej mazi. Maż wyglądała na świeżą, wciąż połyskiwała wilgocią w świetle latarki, ukazując poprzylepiane do niej kawałki słomy. Byli w domu, kobieta z lombardu i jej mąż.

Zostawiła za plecami wejście i skierowała się do bocznej ściany budynku, szukając tego, o czym mówiła Brewka: zabitego piwnicznego okna. Na tyłach domu, gdzie znajdowały się rabaty z kwiatami i warzywnik, były dwa okna z niewielkim zadaszaniem u góry, oba zaślepione dyktą zbitą z dwóch kawałków.

Przesunęła palcami po dyckie, próbując znaleźć w niej jakąkolwiek szczelinę, przez którą dałoby się wpuścić strumień światła i zobaczyć na własne oczy celę. Wyczuła pęknięcie tuż nad ziemią, niewielkie, zaledwie trzycentymetrowe. Pozostała część sklejk przywierała ściśle do drewnianej ramy okna. Gdyby nie to, że był środek nocy i cisza tak wielka, że słychać było nawet głośniejszy oddech, napięłaby mięśnie nóg i wyważyła ją kilkoma uderzeniami.

Zgasiła latarkę i wsunęła palec do niszy, by sprawdzić grubość sklejki. Szybko pozbyła się złudzeń. Odłupywanie jej kawałek po kawałku zajęłoby co najmniej godzinę.

Sięgnęła po zapalniczkę. Przysunęła płomień do pilśniowej deski z nadzieją, że rozprawi się z nią szybciej niż jej słabe palce. Jednak ogień jedynie ją osmalił, pozostawiając czarną smugę. Potrzebowałaby ogniska, by strawił deski i pozwolił jej dostać się do środka. Wszystko, co miała suche, a co mogłoby służyć za rozpałkę, zostało w aucie. Cała reszta, wliczając ubranie i to, co znajdowało się w ogrodzie, nasiąknięta była deszczem.

Myśl, Krawiec, zgaśniła się, mając świadomość, że to tylko kwestia czasu, kiedy pod dom Knottów podjadą policyjne wozy. Coś suchego...

Pies. Przecież musiał gdzieś mieszkać. Powinna być tu jakaś buda, sucha w środku. Wystarczyłoby wziąć trochę słomy z wyściółki.

Poderwała się i obiegła ogród. Budy nie było, znalazła za to kojec, całkiem przyzwoity jak na wiejskiego psa. I wyściełany nie słomą, tylko kocem. Poprzecieranym, lepiałym się od brudu, ale suchym. Chwyliła go z obrzydzeniem i zaraz potem usłyszała warkot. Drugi pies. Gdzieś w głębi, rozespany, ale czujny. Musiała odejść spod psiej zagrody jak najszybciej. Wróciła pod piwniczne okno, zostawiając za sobą piski wymieszane z pojedynczymi szczeknięciami.

Przysunęła płomień zapalniczki do koca. Musiał być nasiąknięty tłuszczem z psiego żarcia, bo błyskawicznie zajął się ogniem. Podobnie błyskawicznie zaczął się unosić smród spalenizny, którą deszcz tłumił z marnym skutkiem.

Zahaczyła derkę o metalowy okap, modląc się, by ogień strawił dyktę choćby w części. Co rusz dociskała ją podeszwą, nasłuchując przy tym, czy nie skrzypnęły drzwi domu lub otwierane okno.

Płyta w końcu poczerniała na tyle, że Julia mogła zdusić ogień i spróbować wsunąć palce w nadpalone miejsce. Wystarczyło teraz tylko ciągnąć, odłamując kawałek po kawałku kolejne fragmenty dykty. Kruszyły się z oporem, ale niemal bezgłośnie.

Kiedy ponownie włączyła latarkę i skierowała światło w czarną czeluść, najpierw oceniła wysokość piwnicy. Nie groziło jej złamanie karku, przełożyła więc nogi przez krawędź okna i zsunęła się do środka.

Pierwsze, co poczuła, to odór fekaliów. Zasłoniła nos zgiętym łokciem i rozejrzała się po kątach. Zobaczyła materac, rysunki dzielące podłogę na

nierówne kwadraty oraz pusty talerz stojący obok kubła na odchody. Biegnące ku górze schody były tym, co interesowało ją najbardziej, zwłaszcza że drzwi u ich szczytu zdawały się uchylone.

Weszła po stopniach do służby prowadzącej do wnętrza domu. Nim pchnęła drzwi, przystanęła i nasłuchiwała. Musiała być pewna, że po domu nikt się nie kręci. Nie usłyszała niczego poza tykaniem zegara dobiegającym z któregoś pomieszczenia.

Odruchowo spojrzała na swój zegarek. Dochodziła trzecia. To było naprawdę dziwne, że kryminalni z zespołu Górnego jeszcze tu nie dotarli. Chłopak Knottów musiał ich czymś zatrzymać, skoro tak się ociągali. Zapewne zaczął negocjować za obietnicę, że dadzą spokój jego starym i nie zabiorą się do przetrząsania domu po nocy.

Puściła pod nogi strumień światła i zaczęła iść w kierunku, który stanowił główną część mieszkalną. Zobaczyła kuchnię, a potem troje drzwi do kolejnych pomieszczeń.

Zawahała się, do których drzwi podejść najpierw. Drogą eliminacji odrzuciła te po prawej, z łukowatym podcięciem u dołu. To musiała być łazienka, pomieszczenie z przepływem powietrza. Najważniejszy był pokój Kostka. To tam odbywały się spotkania z dziewczynami i tam zapadały decyzje o ich życiu lub śmierci.

Gdy tylko zobaczyła na podłodze plataninę czarnych rys pozostawionych przez gumowe koła wózka, wiedziała, że prowadzi ona do pokoju chłopaka.

Nacisnęła klamkę.

Gdyby nie fakt, że Kostek okazał się kryminalistą, pewnie poczułaby ukłucie w sercu na widok plakatów, pucharów i wszelkiego rodzaju sportowych bambetli, które były już tylko wspomnieniem jego poprzedniego życia. Daria miała rację, żył dla sportu. I najwyraźniej nie zmieniło się to nawet wtedy, gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa. W przeciwnym razie zerwałby plakaty i wyczyścił swoje cztery ściany z wszelkich pamiątek. Więc jednak miał nadzieję na cud... Za to tapczan był nijaki, przykrywała go szara narzuta bez żadnych lekkoatletycznych symboli. Obok niego, na nocnym stoliku leżało kilka kolorowych kosmetyków. Kobięcych.

To stąd zabrał Sarę Lewicką na otwarcie Milano. Udostępnił jej własną przestrzeń, by mogła się wyszykować. Prawdziwa nobilitacja po dwóch miesiącach gnicia w piwnicy. Czy dlatego próbowała mu się odwdziaczyć, zasłaniając go własnym ciałem przed strzałem z glocka? Nie, to niemoż-

liwe. Nielogiczne. Powinna go zepchnąć ze sceny, by ułatwić Brewce robotę. Była już wolna, mogła w każdej chwili odejść. A jednak postąpiła zupełnie inaczej. Pewnie nie miała pojęcia, że dopadł ją klasyczny syndrom sztokholmski.

Uchyliła drzwi szafy. Poza równo poukładanymi na półkach T-shirtami, spodniami i kilkoma parami dresów, znalazła stare magazyny „Playboya” i płaskie metalowe pudełko, które po otwarciu wypuściło z siebie zapach suszu z marihuany. Klasyka, jeśli chodzi o chłopaka, któremu życie podcięło pęć. Desperackie próby zagłuszenia poniesionej straty i zajęcia się prostymi przyjemnościami, ot co.

Więc tak wygląda pokój młodego seryjnego zabójcy. To tu dziewczyny wrywały się, walcząc o to, by nie zaciągnięto ich w miejsce kaźni. A może prowadzono je na śmierć prosto z piwnicy? Jeszcze żyły, kiedy zawieszano im na szyi medalik ze Świętym Krzysztofem, czy było już po wszystkim?

Julia cicho zamknęła za sobą pokój i podeszła pod drzwi łazienki. Ich ostatni przystanek, pomyślała.

Serce jej biło jak oszalałe, gdy naciskała klamkę. Za chwilę miała zobaczyć to, co widziały one, zanim zaaplikowano im dawkę prądu.

Wilgoć.

Poczuła ją, zanim jeszcze postawiła stopę na białych kafelkach. Do tego paskudny zapach leżącego na pralce ręcznika. Smród mokrej sierści. Ten, kto przeciągnął truchło psa po trawniku i rzucił je w krzaki, musiał niezbyt dokładnie opłukać po wszystkim dłonie.

Wanna. Kiedyś biała, teraz z wyraźnymi odpryskami emalii, które ukazywały ciemne żeliwo. Ustawiona na szeroko rozstawionych wspornikach, na wprost drzwi.

Julia podeszła do jej brzegu i przeciągnęła ręką po krawędzi, jakby próbowała wyczuć pod opuszkami palców choćby cząstkę energii pozostawionej tu przez zamordowane dziewczyny. Ale nie wyczuła nic prócz chłodu żeliwa.

Do jej uszu dotarł za to szmer. Dochodził z korytarza i zbliżał się do drzwi łazienki.

Nie zdążyła wybiec. Ktoś stał już pod drzwiami i włączał górne światło. Lampa zamigotała. W drzwiach stanął ten sam mężczyzna, który wybił szybę w skodzie. Teraz przyjrzała mu się dokładnie. Niski, z ogorzałą twarzą, pękatym owłosionym torsem i w rozciągniętych bokserkach sięgających połowy ud. Tuż za nim stała matka Kostka.

– To ona – powiedziała kobieta, nie spuszczać wzroku z Julii. – Ta niby z telewizji.

Mężczyzna skrzyżował ręce na piersiach.

– Może chce zrobić z nas celebrytów. Trochę późno na kręcenie wywiadu. Ale tak się składa, że my lubimy przyjmować gości. – Zaśmiał się, spoglądając przez ramię na żonę. – Było ich trochę ostatnimi czasy, prawda, kochanie? Nawet tu pomieszkiwali. Ale plątać się po domu, nie plątali. Natomiast pani, z tego, co widzę, ciekawska. To widać taka telewizyjna przypadłość, nie za ładna. Żeby tak zaglądać innym w kąty... Do tego po ciemku. Ale skoro tak bardzo lubi pani ciemność... Kochanie, wiesz, co masz robić? – Włochacz nachylił się do żony.

Miała jedną szansę na milion, by niepostrzeżenie wybrać numer do Górnego. Jednak zdążyła tylko spojrzeć na ekran. Mężczyzna wyrwał jej telefon i podał go Knottowej.

– Bez takich numerów, paniusiu. A ty rusz się wreszcie – popędził żonę. – Trzeba się zająć naszym miłym gościem.

Kobieta odeszła. Julia słyszała, jak kręci się po przedpokoju, a zaraz potem dotarł do niej dźwięk kluczy i szczęknięcie zamka w głównych drzwiach. Zrozumiała, że zostali w domu we dwojkę.

– Wasz syn, Kostek... Chłopak spał sobie życie i prawdopodobnie nie wygrzebie się szybko z kłopotów. Na pana miejscu radziłabym mu ich nie dokładać.

Przyjrzał jej się uważnie.

– Gównu pani wie.

– Wystarczy tych sekretów, panie Knott. Dziś w klubie wiele się wydarzyło. Przyszła jedna taka, co miała pretensje. Na tyle duże, że zaczęła śpiewać. I wyśpiewała wszystko, prosto ze sceny.

Mężczyzna poruszył niespokojnie łopatkami.

– Co niby?

– O tym, co musiały robić. Ona i pozostałe. W tamtym pokoju. – Julia popatrzyła na drzwi pokoju naprzeciwko.

– Nie widzę nic dziwnego w tym, że młodzi zamykają się i próbują igraszek. Najwidoczniej tej pannie się nie spodobały.

– Najwidoczniej – przyznała Julia. – Pana syn również najwidoczniej często nie był zadowolony z usług przywożonych tu dziewczyn.

Knott okręcił się niecierpliwie w kierunku przedpokoju.

– Młodzi bywają wybredni – mruknął. – Ale do czasu. Mój chłopak młody jest, a u młodych krew nie woda. Temperament jak u byka.

– Słyszałam co innego.

Zaciął usta, jakby miał zamiar splunąć na białe płytki. Zamiast na podłogę wycelował w otwarty sedes.

– Że niby nie jest mężczyzną? Brednie kłamliwej suki... Wszystko u niego działa, tylko czasu mu trzeba więcej. Lekarstwa mu trzeba.

– One miały być tym lekarstwem?

– To wszystko kurwiszony przecież – powiedział, wykrzywając z obrzydzeniem twarz. – Po to są, żeby chłopą rozkręcić. A tamta to jeszcze wczoraj powinna...

– Co powinna? Ugotować się jak poprzednie?

– Niezłą ma pani fantazję. Zupełnie jak ci z telewizji. Też roją sobie bzdury. Nikt tu nie zginął.

– Mówi panu coś nazwisko Brewka? – Julia założyła ręce na piersiach. – Nic a nic? No tak, nazwiska tych dziewczyn nikogo nie obchodziły. W końcu wszystkie to kurwiszony.

Knott splunął ponownie.

– Nic nie wiem o żadnej Brewce.

– Syn nie przedstawił... Szkoda.

– Może jak się tu znów pojawi, to ją sobie przypomnę.

– Obawiam się, że nie skorzysta z zaproszenia. Brewka nie żyje od kilku godzin.

Błysnął żółtymi od papierosów zębami i obejrzał się za siebie po raz kolejny.

– Żona się spóźnia? – spytała z udawaną troską Julia. – Jeśli poszła szukać syna, to raczej go nie znajdzie. Chłopak jest na przesłuchaniu, razem z Sarą Lewicką. Jej pan również nie kojarzy? Na pewno oboje mają policji wiele do powiedzenia.

Widziała, jak Knott bije się z myślami, czy nieobecność żony rzeczywiście nie trwa zbyt długo. Powinien teraz wyjść z łazienki i sprawdzić, co ją zatrzymało. Zawołać albo obejść dom. Ale postanowił inaczej.

Uderzenie wielkiej łapy w mięsień nad obojczykiem spowodowało, że zachwiała się na nogach. Jak przez mgłę widziała, że unosi się w powietrzu i po chwili wiruje zgięta wpool. Obrócił nią jak kukłę i przerzucił sobie przez ramię. Jeszcze tylko przez moment widziała białe płytki i przedpokój pory-

sowany kołami wózka inwalidzkiego. Potem poczuła piwniczny chłód i smród fekaliów.

Nadal było ciemno, gdy otworzyła oczy. Dużo ciemniej niż wtedy, gdy zsuwała się tu przez okno. I oddychała teraz ciężiej, jakby przez grubą warstwę płótna. Zrozumiała, że to nie złudzenie. Wciągając łapczywie powietrze, poczuła, że do jej ust przylega szorstki materiał. Skrępowane nadgarstki zapiekły od czegoś ostrego. Wyczuła pod palcami twarde, gęsto ułożone ząbki. Ogrodowa opaska zaciskowa.

Szarpnęła się, próbując zrzucić z głowy worek, ale lepiej było położyć się na boku i wysunąć z niego jak z luźnego kokonu.

Kiedy uwolniła głowę, od razu spojrzała w stronę okna. W pierwszej chwili zdawało jej się, że straciła przytomność na długie godziny. Ale na zewnątrz wciąż panowała noc, niebo zasnuwane było ołowianymi chmurami i nic nie wskazywało, że wkrótce zacznie się przejaśniać. Otworzyła usta, próbując wydać z siebie jakiś dźwięk. Nie zabrzmiał ani głośno, ani wyraźnie. W uszach wciąż jej dzwoniło po tym, jak zarobiła w kark, ale własny charkot słyszała dobrze. Odchrząknęła i spróbowała ponownie.

Może się uda, przeszło jej przez myśl. Byle tylko ktoś kręcił się po okolicy. Podpełzła do ściany i opierając się o nią jednym bokiem, najpierw uklękła, a potem już całkiem swobodnie wstała z kolan. Podeszła do okna i otworzyła usta do krzyku. Wołanie o pomoc zakończyło się szybciej, niż mogła się spodziewać. Drzwi piwnicy otworzyły się i stanęła w nich ciemna postać Knotta.

– Już czas – powiedział krótko.

Trzymał w ręce latarkę i jeszcze jakiś drugi przedmiot. Mimo niewielkiej odległości, jaka ich dzieliła, nie sposób było rozpoznać, co to jest. Wiązka światła odbiła się od przedmiotu tylko raz; na pewno był ciemny i przypominał swoim kształtem średniej wielkości skrzynkę na narzędzia.

Na chwiejnych nogach weszła po schodach. Pełna przytomność wracała powoli, widziała jednak wyciągniętą rękę Knotta, która wskazywała na otwarte drzwi łazienki. Wciąż słyszała jak przez mgłę, ale szumu lejącej się wody nie sposób było nie rozpoznać.

– Piwnica taka obskurna, że łatwo się pobrudzić – wysapał jej do ucha. – Byłoby nieuprzejme wypuścić panią w takim nieładzie.

Wybełkotała coś, co zabrzmiało jak protest.

Zacisnął palce na jej ramieniu i pchnął ku otwartym drzwiom.

– Wykapiemy panią, kochanie, jak zwykle... – rzucił do żony. – Pomożesz się pani rozebrać.

Kobieta kiwnęła niepewnie głową, po czym nachyliła się nad wanną i zakręciła kurek. Szum wody zastąpiło głucho uderzenie o podłogę skrzynki trzymanej przez Knotta.

– Powinien zadziałać bez problemu, o ile nie złapał wilgoci. Niepotrzebnie do ogrodu wyniosłem.

– Co to jest? – wymamrotała Julia, patrząc, jak Knott wyciąga z za pralki kable i podpina je do skrzynki.

– Zabaweczka taka. – Mężczyzna potarł czubek nosa, na którym zawisła kropla potu. – Myślałaś, że telewizyjna kamera? Że będziemy film kręcić? – zaśmiał się podle. – Konwerter do prądu. Służył mi jeszcze w Peerelu, jak pracowałem w rzeźni. Przydatna rzecz, nie powiem, więc zachowałem. To zabytek, teraz w sołtysowej ubojni stosuje się mocniejsze, nie to co ta kruszyna. Wystarczy raz przyłożyć świni do łba i po krzyku. Kiedyś waliło się po prostu obuchem, aż krew tryskała, ale w dzisiejszych czasach nie można. Humanitarnie ma być. Kilka drgawek i dopiero wtedy na hak. Spokojnie, ty też niczego nie poczujesz. Szybko pójdzie, ani się obejrzysz. Przecież chciałaś wiedzieć, jak to było z tymi dziewczynami. Więc się dowiesz. Dołączysz do nich, martwa, ale czysta.

Julia spojrzała ukradkiem na coś, co Knottowa właśnie kładła na pralce. Biała koszula. Taka sama jak u dziewczyn, które zakopano w Kampinosie. Błaszany medalik na łańcuszku też przygotowała. Czekał na swoją kolej, kiedy będzie już po wszystkim.

– Zostaw nas – zwróciła się do męża, gdy skończył podpinanie kabli i odłożył ich końcówki na brzeg wanny. – Zawołam, jak skończymy.

Wycofał się, ale zostawił drzwi uchylone. Musiał pójść do kuchni, bo po chwili dotarło do nich brzęknięcie szkła i dźwięk nalewanego płynu.

– Potrzebuje się znieczulić, zanim zacznie – powiedziała ściszym głosem matka Kostka. – Bez przełknięcia pięćdziesiątki nie dałby rady.

Rozpięcie paska w dzinsach Julii i zsuniecie ich z bioder trwało kilka sekund. Kobieta przykucnęła, by wyswobodzić jej stopy z nogawek, ale Julia stała niewzruszenie, nie unosząc nóg. Knottowa podniosła wzrok i spojrzała jej w oczy.

– Niech pani nie utrudnia – powiedziała cicho proszącym tonem.

– Nie zamierzam. Ale najpierw ręce. Bola.

Tamta pokręciła głową.

– Nie mogę.

– Możesz. Rozetnij opaskę.

Kobieta dźwignęła się z podłogi i podeszła do pralki. Ze znajdującej się pod nią skrzynki wyjęła nożyce ogrodowe. Długo obracała je w palcach, zanim stanęła przodem do Julii.

– Spokojnie, nie ucieknę. – Nadstawiła związane ręce. – Nawet zaczyna mi się tu podobać.

Jeśli liczyła na to, że matka Kostka weźmie ją za szaloną, to się udało. Widziała to w jej oczach. Osłupienie i wątpliwość, czy dobrze robi. A jednak przecięła opaskę i odłożyła ją obok medalika i koszuli.

– Więc to miała być kara – powiedziała Julia, rozcierając czerwone pręgi na przegubach. – Zabijaliście je za to, że nie potrafiły uleczyć waszego syna.

– Ciszej! – Kobieta wyjrzała przezornie do przedpokoju. Obie poczuły zapach dymu z papierosa. – Nie ja. Ja nigdy przy tym nie byłam, nie przy kąpieli. Ani mój syn. Nie wtedy, kiedy...

– ...działał konwerter.

– Nigdy. Kostek tylko je mył. Lubił to, ale nigdy ich nie krzywdził. Musi mi pani uwierzyć.

– Kazał sobie dowozić dziewczyny.

Knottowa uśmiechnęła się smutno.

– Kostek? Widać, że nie zna pani mojego syna. Zresztą po co miałyby to robić? Nie czuje nic odtąd. – Pokazała dłonią na wysokości pasa. – Nie ma na to lekarstwa. Medycyna jest bezradna. Ale mąż nie chciał o tym słyszeć. Teraz bluzka, niech pani ją lepiej sama zdejmie. Ja nie dam rady...

Usiadła na brzegu wanny i zgarbiła ramiona.

– Nie mógł dopuścić do siebie myśli, że jego syn nie jest już mężczyzną. Wie pani, o czym mówię... Wciąż w to nie wierzy. Liczy na to, że chłopak wstanie z wózka i znów będzie jak dawniej. Ale nie będzie. Ja to wiem, i syn też. Od niedawna zaczął kłamać ojcu, że wraca mu czucie. Czuje się winny tego, ile pieniędzy włożyliśmy w leczenie. Obwinia się, że zawiódł. Synowie nie chcą zawodzić swoich ojców, chcą, żeby widzieli w nich prawdziwych wojowników. Kostek nigdy nie prosił o te dziewczyny, on tego nie potrzebował. Ale się pojawiły. Odkąd się zorientował, że tak nagle znikają z naszego domu... Wcześniej nie palił aż tyle tego świństwa. Owszem, trochę pociągał, żeby o wszystkim zapomnieć, zwłaszcza o tym wypadku. Gdy

zaczął się domyślać, co robi jego ojciec, uciekał w trawkę coraz bardziej. Wie pani, do kogo miał pretensję? Po raz kolejny do siebie. Nie zna go pani...

Myśli przelatywały Julii przez głowę niczym meteoryty. Zgodnie z tym, co mówiła Brewka, w samochodzie wiozącym ją spod warszawskiej Kinoteki były dwie osoby. Jedna z nich zakończyła ten wieczór z przestrzelonym brzuchem. Drugą, tą za kierownicą, nie mógł być przecież młody Knott.

– Jeśli nie Kostek przywoził tu dziewczyny, to kto? Pani mąż i Muniek? To był ich pomysł?

– Mąż chciał dobrze, żeby ten nasz w końcu wyzdrowiał. We dwóch się do tego zabrali, ale to Bugaj zamawiał te dziewczyny. Miało być ich wiele, dla urozmaicenia, że niby im więcej bodźców, tym lepiej. Nie wiem, skąd je brał, ale jak się ma pieniądze, to wszystko można. Przywozili je z miasta.

– Blondynki z niebieskimi oczami.

Kobieta pokiwała głową.

– Wszystkie jak od sztancy.

– Słabość do typu Barbie?

– Raczej złamane serce. Mąż miał nadzieję, że w ten sposób naszemu synowi przejdzie, że to taki rodzaj odwetu i kuracji zarazem. Tamta, narzeczona, odeszła zaraz po wypadku i chłopak się załamał. No, niech się pani już rozbiera, mąż przecież zaraz tu wróci. Nie chcę kłopotów, a stać tak z opuszczonymi nogawkami to pani niewygodnie.

To akurat się zgadzało, dlatego Julia schyliła się i podciągnęła dzinsy na biodra.

– Co pani...? – Knottowa poderwała się z brzegu wanny, ale Julia ręką usadziła ją tam z powrotem.

– Żelazko. To, którym zabito Zabielskiego. Stało w pani lombardzie.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Było włamanie, przecież widziała pani.

– Widziałam zbitą szybę i wyłamany zamek, do którego nie wezwała pani policji.

– Naprawdę nie wiem, kto mógłby... Nic już nie wiem... To wszystko za trudne dla mnie. Ja chcę tylko spokoju.

– Komu przeszkadzało, że Zabielski żył? Co takiego wiedział o wypadku na szosie, że ktoś postanowił go zlikwidować?

Wzięła ciężki oddech, jakby na jej piersiach leżał worek pełen cementu. Nie zdążyła ponownie otworzyć ust, gdy w przedpokoju rozległo się szura-

nie butami. Drzwi łazienki skrzypnęły i stanął w nich Knott.

– Woli panienska w ubraniu? Mnie tam bez różnicy. A z tobą porozmawiam później – rzucił, nawet nie patrząc na żonę.

Zrobił krok w kierunku Julii. Czuła, jak odór wódki wymieszany z tytoniowym dymem przylepia jej się do twarzy, ale nie cofnęła się ani o centymetr. Nie drgnęła nawet, gdy wykonał szybki ruch, identyczny jak poprzednio, z ręką uniesioną nad jej szyją. Jednak tym razem nie uderzył, zaśmiał się tylko szyderczo, wyraźnie rozbawiony sytuacją.

– Miło było, ale robi się naprawdę późno – sapnął i zaraz potem ziewnął, pokazując żółte zęby. – Kończmy z panią i wracajmy do łóżka. Z samego rana trzeba zająć się chłopakiem. Dzieciaka mi męczą na dołku, jak bandytę przesłuchują. Taa... mojego chłopca jak bandytę. Ale on nic nie powie, nie wsypie tatusia. Łańcuszka z medalikiem też pani nie chce? To założymy potem, jak będzie po wszystkim. Ostatni żona oddała.

– Zaszczyt – odparła Julia.

Znów się zaśmiał, cierpko i krótko. Nachylił się nad wanną i pacnął dłonią o powierzchnię wody.

– Jeszcze ciepła, będzie przyjemnie. Jest panienska naszym gościem specjalnym.

– Tamte dziewczyny nie były? – zdziwiła się Julia. – Ach, zapomniałam: kurwiszony. Kurwiszonom wystarczała zimna.

Knott wyprostował owłosione plecy i strząsnął wodę z dłoni.

– Starczy już tego. A ty co robisz? – Tym razem spojrzął na żonę. – Odłóż to na miejsce.

Trzymała w rękach kable, czerwony i czarny. Rozciągała je bez pośpiechu, przy okazji prostując.

– Mówię niewyraźnie?

Gdy kable były już rozciągnięte, przełożyła je do jednej ręki, a drugą przycisnęła włącznik w konwerterze.

– Sprawdzam, czy zadziałają. Mówiłeś, że czasem zawodzą, więc lepiej mieć pewność.

– Oddaj, bo zrobisz sobie krzywdę.

Wyciągnął dłoń, by zabrać jej przewody. Musiał albo źle wycelować palcami, albo żona zachowała się niezręcznie, bo przyłożone do mokrej skóry końcówki kabla strzeliły prądem. Knott zatoczył się pod ścianę i wybałuszył oczy. Dyszał, patrząc na trzęsące się ręce.

– Kurwa jego mać... – wybełkotał pod nosem. – Wyłącz to, kretynko!

Knottowa nie zamierzała go posłuchać. Podeszła do męża i zbliżyła kable do jego twarzy.

– Wejdiesz sam czy mam ci pomóc się rozebrać? Woda jeszcze ciepła, będzie przyjemnie.

– Nie lubię takich żartów.

– Myślisz, że to żart? – Kobieta złączyła kable nad jego głową.

Trzask prądu wyzwolił w gardle Knotta niewyraźny mamrot, a spod jego bokserek spłynął na białe kafelki moc.

– Medalik teraz czy później? – Matka Kostka przekrzywiła głowę. – Chociaż nie wiem, czy warto. Jak pani myśli?

– Myślę, że powinniśmy zakończyć to przedstawienie. Radzę odłożyć te kable, bo mąż jest bliski zawału. Przytknęło go i jakiś niekomunikatywny się zrobił. Na wodę nagle boi się patrzeć, nie mówiąc o tych drucikach.

Julia nachyliła się nad wanną i pociągnęła za łańcuszek z korkiem. Woda wirowała powoli.

– Nie chce pani widzieć, jak ten potwór skręca się z bólu? – spytała z plugawym uśmiechem Knottowa.

– Jakoś mnie to nie bawi. Rozumiem, że nie żal pani męża?

Kobieta pokręciła zaciekle głową.

– On tamtych dziewczyn nie żałował. Gdyby nie ja... Przynajmniej wyprawiałam je do Boga z godnością. Były ludźmi, nie zwierzętami.

– Wystarczyłoby, żeby je pani wypuściła z tego domu, a wyprawa do Boga nie byłaby konieczna.

– Nie mogłam.

– Nie chciała pani, a to różnica. Wołała pani przymknąć oko na to, co dzieje się pod waszym dachem. I niech nie mówi pani o godności. Biała koszula i medalik to dla pani godność? Jak dla mnie to dość podły sposób na zapewnienie sobie spokojnego snu, podczas gdy pani mąż wywoził kolejne ciała do lasu. Co pani robiła, kiedy zabijał je w tej wannie? Rozwiązywała krzyżówkę za ścianą czy oglądała serial? Umierały w cierpieniu. Bezbronne i przerażone. A pani dawała im na pocieszenie medalik?

Julia przytrzymała nogą konwerter i pociągnęła za kable tuż przy złącznikach. Wołała odciąć Knottową od prądu na wypadek, gdyby ta szczerść nie przypadła jej do gustu. Matka Kostka wciąż trzymała przewody blisko niej i męża, jakby zamierzała się nimi posłużyć.

Knott zaczął na nowo łapać oddech. Odlepił plecy od ściany i spojrzał zdeprymowany na żółtą kałużę pod nogami.

– Co, wstyd? – Julia spojrzała mu w oczy. – Bez przesady. Nie ma co popadać w rozpacz. Już niedługo sikanie przy innych stanie się dla pana normą. Do wspólnych kąpieli w więzieniu też pan przywyknie. Męskie grono szybko pana ośmieli, zapewniam.

Stała pomiędzy nimi: kobietą, której mało udolne próby zrobienia z siebie anioła spełzły na niczym, a mężczyzną – ośmieszonym samcem alfa. Nic nie mówili. W mieszkaniu znów zapanowała cisza, taka jak wtedy, gdy Julia po raz pierwszy wychodziła z piwnicznej otchłani. Tylko tykanie zegara gdzieś w głębi domu stawało się jakby wolniejsze. I spojrzenia, jakie wymieniali między sobą, też wydawały się nazbyt dwuznaczne.

– To był uroczy wieczór, ale nadużywanie waszej gościnności byłoby grzechem – powiedziała Julia, robiąc przezornie krok w kierunku przedpokoju.

Przeczuwała, że drzwi wejściowe są zamknięte. Najbliższym miejscem, z którego mogłaby się wydostać z domu, był pokój Kostka. Kilka kroków dzieliło ją od tego, by znaleźć się z dala od zabójczego tandemu Knottów.

Wystarczy tam wbiec i wyskoczyć przez okno. To zajmie kilka sekund. Pięć, może sześć. Nie może dłużej czekać.

Musi to zrobić teraz.

Nie powinna była odwracać się do nich plecami nawet na chwilę.

Poczuła ból w okolicy żeber. Ostry i przeszywający, biegnący przez lewą część ciała.

Nożyce ogrodowe, którymi Knottowa rozcięła wcześniej plastikowe opaski na jej nadgarstkach, teraz tkwiły w jej ciele. Krótko, bo po chwili poczuła szarpnięcie. Ból rozsadał jej bok. Obróciła się i zobaczyła uniesioną rękę z zakrwawionymi ostrzami. Kobieta zamachnęła się, ale kolejny cios tylko przeciął powietrze.

Julia odbiła się od ściany i zgięta wpół dobrnęła do pokoju Kostka. Trzasnęła drzwiami i przekreśliła lichey zatrzask, który pękłby pod byle uderzeniem, zamieniając się w kilka metalowych płytek i dwie śruby.

Ale nikt nie uderzył w drzwi. Znów zrobiło się cicho. Julia wiedziała, że to chwilowe, że zaraz wpadną tu z czymś dużo groźniejszym niż nożyce.

Wijąc się z bólu, podeszła do okna i je otworzyła. Rześkie, poburzone powietrze miało posmak krwi. Czuła ją w ustach.

Chciała podnieść nogę, żeby ją przełożyć przez okienną ramę, ale mięśnie były zbyt miękkie. Wszystko stawało się wiotkie i zamglone.

Skąd ten smak krwi?

Istna groteska, żeby zdychać wśród tych ludzi, pomyślała, osuwając się na podłogę. Będą mieli co zakopywać w lesie. Pojawi się kolejny grób. Byle tylko nie zapięli mi tego tandetnego medalika na szyi i nie ubrali w białą koszulę. Jak umierać, to w dżinsach.

Szlag by to, jasna cholera...

ROZDZIAŁ XVI

— Julia? Słyszysz mnie, Krawiec?
Słyszała jak przez mgłę.

– Otwórz oczy.

Powieki miała ciężkie, ale podniosła je na tyle, by zobaczyć nad sobą ciemną plamę. Nie rozpoznawała twarzy, ale głos brzmiał znajomo.

– Lipski – wymamrotała, z trudem rozchylając usta skryte pod maską tlenową.

– Spodziewałaś się kogoś innego?

Ledwie poruszyła głową.

– Nie. Wiedziałam, że kiedyś trafię pod twój skalpel. Kwestia czasu. No i proszę, poszło szybciej, niż się spodziewałam. Ale dobrze, że nie położyli mnie u Rajtara. Gdyby chcieli, nie pozwól. Nie odróżnia płuca od wątroby.

– Nie pozwolę.

– Dobry z ciebie przyjaciel. Nigdy ci tego nie mówiłam, ale mam cię za przyjaciela, wiesz?

– Miło mi, Krawiec. Powiem ci, że bywasz denerwująca, ale zasadniczo nic do ciebie nie mam.

– Czyli że też mnie lubisz?

– Gdyby było inaczej, nie siedziałbym tu teraz.

– No, to mamy ustalone. A teraz prośbę mam.

Mówiła z coraz większym trudem. Musiał nachylić się nad nią i zawiśnąć tuż nad jej twarzą. Odchylił jej na moment maskę tlenową.

– Kiedy już mnie potniesz i zbadasz, zszyj najlepiej, jak potrafisz. Tymi jedwabnymi nićmi. I dokładnie. Inaczej moja matka cię dojedzie. Zaczekaj, nie odsuwaj się, jeszcze jedno...

– Nie chce mi się słuchać tych bzdur.

– Ostatnie, obiecuję. Chodzi o Sylwię. Przypudruj mnie jakoś, żeby... wiesz.

– Sama się przypudrujesz, jak zejdziesz ci z żył ta chemia, co ją od doby wciągasz przez rurki. Myślisz, że tak łatwo jest umrzeć? No to muszę cię rozczarować. Pociągniesz jeszcze kilka ładnych lat.

Zmarszczyła brwi, jakby właśnie usłyszała najlepszy dowcip świata.

– Nie pocieszaj, nie trzeba. Teraz czekam tylko na to światło w tunelu. Powinno już być, nie sądzisz? To wszystko się jakoś opóźnia.

– Lepiej nic już nie mów. Odpoczywaj. Pielęgniarka da ci zaraz kolejną porcję znieczulenia. Będziesz senna, prześpisz to wszystko.

– Tak, prześpię... Pamiętaj o niciach!

Zamknęła oczy. Nie mogła już widzieć, jak Lipski kiwa z politowaniem głową. Odplynęła, trzymając jego dłoń.

* * *

Ocknęła się na dźwięk skrzypienia. To na pewno wózek z narzędziami, pomyślała. Brakowało jednak metalicznych pogłosów, jakie wydawały piły do cięcia ciała. Czyli raczej drzwi, bo kliknęła klamka. I potem głos. Kobięcy, cichy i mówiący, że można, ale na krótko, dosłownie na minutę.

Zatem wizyta. Ostatnie pożegnanie, zanim zamkną nad nią wieko trumny.

Męskie chrząknięcie, ciche i dyskretne.

Pewnie ojciec ściągnął tu matkę, by odmówiła koronkę za spokój jej duszy. Oby oszczędzili tego Sylwii. Chyba nie byli aż tak lekkomyślni, żeby ciągnąć ją ze sobą do domu pogrzebowego.

Dobrze, że uprzedziła Lipskiego o tych niciach, bo matka od razu zabrała się do oglądania stanu jej skóry. Nigdy dotąd jej tak nie głaskała, no, może tylko, gdy była dzieckiem.

Całkiem miły ten dotyk. Tylko dlaczego po twarzy? Rana jest przecież niżej, gdzieś w okolicach płuc. Może wreszcie zrozumiała, że nie wszędzie wypada wścibiać nos. Późno, bo późno, ale jednak. Cud.

Nie, to jednak nie matka. Jest o wiele za cicho jak na nią. I za spokojnie. Nie przepuściłaby okazji, żeby ją złajać i wytknąć jej, że to się musiało tak skończyć. Zdrowaśki też nikt nie odmawia.

Gdyby miała siłę, otworzyłaby oczy, ale jej powieki były jak z ołowiu. Spod rzęs widziała tylko rozmazaną plamę, która siedzi przy niej i nic nie

mówi. Może po śmierci przestaje się słyszeć? Oby tylko mogła wciąż czuć ten miły dotyk. Tak dobrze się wtedy zasypia.

– Proszę już wyjść.

Jednak coś tam się słyszy.

– Kwiaty można wstawić do tamtego dzbanka. Proszę mi je dać, wszystkim się zajmę. Są wyjątkowo piękne. A to? Kilka słów dodanych do lilii... tak, rozumiem. Tak trzeba.

Już przynoszą kwiaty. I szarfy z napisem „Ostatnie pożegnanie”.

Sen.

* * *

– Mają państwo pięć minut.

Kolejne skrzyknięcie i jakieś większe zamieszanie. Jednak przyprowadzili Sylwię. Usłyszała „mamuniu kochana!” i szybkie kroki w jej kierunku. Zaraz potem dotarło do niej „babciu, nie zmieścisz się na tym stołku”.

– Mamuniu, to ja, weź się obudź.

Julia poczuła, jak córka kładzie się obok na łóżku i oplata jej brzuch rękami.

– No weź, mamo. – Sylwia potrząsnęła lekko jej ciałem.

Poruszyła rzęsami, ale to było za mało.

– Odejdź od niej, dziecko. Nie możesz jej tak uciskać, rana dopiero co zszyta. Słyszałaś, co mówił lekarz.

– Mamuniu, ja już nigdy... ja już zawsze... Obiecuję, tylko otwórz oczy.

– Chlipnęła, najpierw cicho, ale po chwili przerodziło się to w regularne buczenie. – Mam dla ciebie prezent, powąchaj.

Julia odczuła gmeranie przy twarzy, a zaraz potem do jej nosa dotarł znajomy zapach.

– Przywiozłam, bo wiem, że lubisz – powiedziała Sylwia, łkając.

Oscypek.

A zatem słyszała i czuła. I chyba coś zaczynała widzieć. Dziwna jest ta śmierć.

– Nie grzeb matce przy oczach. – Emilia odciągnęła dłoń Sylwii. – Przyjdzie czas, że sama je otworzy. I popraw jej maskę na twarzy, mama potrzebuje teraz dużo tlenu. Tak, dobrze, a teraz dajmy jej odpocząć. Wrócimy tu jutro, obiecuję. No, chodź już, kochanie. Pojedziesz z dziadkiem do domu. Ja zajrzę do kościoła, dam na ofiarę. Co za historia! Edmundzie...

nie stój jak na pogrzebie. Tylko wieńca ci brakuje. Boże, co ja też mówię! Chodźmy już, bo nas wyganiają.

Znów cisza.

* * *

– Tylko, bardzo proszę, bez wywoływania emocji. I na krótko. Żadnych przesłuchań.

– Jasne.

Brak jakichkolwiek odgłosów trwał tyle, ile wzięcie dwóch oddechów.

– Julia? – usłyszała i od razu poczuła, jak jej dłoń wędruje w górę do czyichś ust. Pośmiertna lewitacja. Tyle o tym czytała i nie wierzyła. A jednak istnieje.

– To ja, Adam. Nie mogłem wcześniej, mamy kocioł na Nowolipkach. Wyrwałem się na chwilę i zaraz muszę wracać. Mam nadzieję, że mi to wybaczysz. Zwłaszcza że i tak zaraz mnie stąd wygonią. Cholera, wyszło tak beznadziejnie, że sam nie wiem, co mam ci powiedzieć. Kiedy zobaczyłem cię w tamtym pokoju... To było straszne, wierz mi. Ale prokuratura już się za nich wzięła. Sieracka nie odpuści, siedzi razem z nami na Nowolipkach i ostrzy sobie zęby. Nie chodzi tylko o te dziewczyny, ale i o ciebie. Kiedy usłyszała, że o mały włos, a byłoby po tobie... Żałuj, że nie widziałś jej w akcji. Wścieklizna: level hard. Pewnie nie wiesz, że rana penetrowała przez czwarte żebro aż do opłucnej. Kilka centymetrów w lewo i nie gadalibyśmy teraz. Gówniana historia, pewnie nie chcesz tego słuchać. Skurwysyny... Wiesz, że wydał ich własny syn? Nie miał najmniejszych oporów, by ich wsypać. Musiał ich szczerze nienawidzić. Szczególnie ojca, choć matka też święta nie była. Opisał nam wszystko z detalami, dlatego wpadliśmy do ich domu tak późno. Wyobraź sobie, że chciał tam być w momencie aresztowania. Kazał zapakować wózek do radiowozu i pojechał z nami. Mówił, że chce spojrzeć im w oczy, taki z niego kozak. No, powiem ci, miło nie było. Dobrze, że już nie słyszałaś wrzasków jego matki. Rzucała się jak opętana. Stary Knott nic nie mówił, najwyraźniej dotarło do niego, jak to wszystko się skończy. W łazience znaleźliśmy kable elektryczne, ale domyślałam się, że już to wiesz. W ogóle to cholernie mi głupio, Julia. Wiedziałem, kto kupował te medaliki, ale zamiast jechać prosto do Knottów, błądziłem po tym durnym lesie... Szkoda gadać. Pewnie jesteś ciekawa, co się dzieje z Sarą Lewicką. Jest cała, ale nie chce wracać do sta-

rych. Ma prawo, jest już pełnoletnia. Cały czas mówi o Bangkoku, że niby ma tam kogoś bliskiego. Wciąż nie może uwierzyć, że udało jej się to wszystko przetrwać. Ten chłopak, Kostek, uratował ją dzięki swoim kłamstwom. Mówił ojcu, że jej terapia na niego działa, wiesz, o czym mówię... Tak naprawdę był w szoku, że Sara trafiła do jego domu. Kiedy usłyszał, że jest dziewczyną, postanowił, że za nic nie da jej skrzywdzić. Uznał, że jest wyjątkowa. Chyba ją nawet polubił, ale po tym, co przeszła, wspólnego życia im jednak nie wróżę.

Zamykamy powoli sprawę, Julia. Powiem ci jeszcze, że wiem, dlaczego zginął Zabielski. Na tych zdjęciach, które znaleźliśmy w jego sejfie, widać zbrodnię. I to podwójną. Zaczęło się od wycieczki za miasto starym oplem Alka Kozieja. Jechali we trzech. Alek i Muniek zjarali się ziołem i doszło do wypadku. Muniek prowadził, sztywny jak szpadel. Wjechał w dziewczynę na poboczu i wbił ją w drzewo. Trup na miejscu. Zakopali ją w lesie. Wiesz, kto im pomagał? Stary Bugaj. Tak kochał syna, że pomógł gnojkwowi ukryć zwłoki. To właśnie miał Zabielski na swoich zdjęciach: materiał dowodowy z wypadku. A co za tym idzie, doskonałą sposobność do szantażu. Pamiętasz te wnioski o dofinansowanie na zabezpieczenie stadniny przed wilkami? Wciąż badamy sprawę, ale podejrzewam, że Zabielski długo próbował dostać forszę legalnie, bez uciekania się do zastraszania Bugaja, aż w końcu puściły mu nerwy i postanowił zagrać *va banque*. Wyobrażasz sobie syna sołtysa w kajdankach? Oni też sobie tego nie wyobrażali. Lepiej było zamknąć Zabielskiemu usta na dobre. Zaczęło się od trucizny, a skończyło na sfingowanym końskim kopycie. Bugajowie nie przyznają się do zbrodni, więc pewnie maczał w tym palce ich synalek. Przyciśniemy ich, Julia. Żałuję tylko, że Muniek nie żyje, bo na pewno miałyby nam równie wiele do powiedzenia. Brewka spieprzyła nam robotę. Dzieciaki są narwane i albo nie myślą wcale, albo myślą głupio.

A, jeśli chodzi o tego opla, to spłonął. Wiesz dlaczego? I tu mamy kolejną zbrodnię. Jeśli cię męczę, to daj znać, porusz palcem. – Górny odczekał, ale palce Julii nie poruszyły się ani o milimetr. – Będę się streszczał, ale powinnaś wiedzieć, co ci gówniarze odstawili. Tylko dwaj siedzieli w tym oplu przypięci pasami: Alek i Muniek. Kiedy ten drugi najpierw wjechał w dziewczynę na poboczu, a potem wylądował autem na drzewie, domyślasz się pewnie, co się stało. Kostek wyleciał przez przednią szybę. Sądząc, że kumpel nie przeżyje wypadku, w głowie Muńka zrodził się szatański pomysł. Zeznał, że za kierownicą siedział właśnie Kostek. Do poda-

nia tej wersji wydarzeń zmusił też Alka. Chciał w ten sposób uniknąć konsekwencji za zabójstwo na haju. Koziej się zgodził, ale sumienie nie dawało mu spokoju. Nie dość, że Kostek przeżył, to jeszcze regularnie namawiał go do zgłoszenia sprawy. Suszył Alkowi głowę, by ten wycofał fałszywe zeznania i nakłonił policję, żeby zbadała ślady wewnątrz opla, bo wypadek wyglądał zupełnie inaczej. Jak się domyślasz, Muńkowi nie było to na rękę. Ryzyko, że Koziej się wygada, było zbyt duże, dlatego grat nagle spłonął. Ogień zniszczył dowody, a Muniek znów mógł spać spokojnie.

Co jeszcze... wiem, że pod ziemią muszą się znajdować jeszcze co najmniej dwa ciała. Będziemy szukać dalej.

– Proszę już iść. Mówiłam, że można tylko kilka minut... Jutro tak, a teraz do widzenia. – Głos kobiety był spokojny, ale stanowczy.

– Trzymaj się, Julia. – Poczowała pocałunek na czole. – Uciekam do roboty, a ty tu sobie leż. Masz teraz święty spokój. Jak w niebie normalnie. Aż ci zazdroścę. Jakbyś szukała swojego telefonu, to leży na stole, podpiąłem pod kabel, żeby podładować ci baterię. Chcę mieć wreszcie z tobą kontakt, bo to, co ostatnio odstawiłaś, kiedy zwiłaś z Brewką... Nieważne. Rozumiem, że musiałaś. To pa, Kocham.

* * *

– Nie ma mowy. Powariowali dziś wszyscy z tymi odwiedzinami. Nie wejdzie pani.

– Wejść. Chce się pani ze mną kłócić? Ze mną? Dokumenty pani poproszę.

Znowu zamieszanie. Podniesione głosy, jeden z nich należał do kobiety, która ciągle otwierała drzwi, a drugi do osoby, której nie spodziewała się usłyszeć.

– Julia... To ja. Pilnują cię tu, jakbyś była królową angielską.

Bodnar. Tylko tej jeszcze tu nie było.

– Słyszałam, że udajesz martwą. Nie wyglądasz szczególnie pięknie, powiem ci szczerze, ale widziałam gorsze przypadki. Mieliśmy ostatnio też takiego jednego z raną kłutą. Też w okolicach serca. Pożarł się z własnym bratem o żonę. Żeby było ciekawiej, nie o swoją, tylko jego. Zazdrosny o bratową, znaczy się. Nie, nie przeżył, od takiego ciosu nie ma szans. A co poza tym...? U mnie wszystko gra. Mirella wciąż mnie namawia, żebym przeniosła się do Warszawy. Zrobię to, Julia. Chrzanić wszystko, tylko

miłość się liczy. À propos miłości. Wiesz, kto zadzwonił do mnie z informacją, że dostałaś kosę? No, domyśl się. Pewnie myślał, że nie przeżyjesz i że ze względu na stare dzieje wypada mu powiadomić o tym wiarę z naszego komisariatu. To naprawdę porządny gość. Pamiętasz, jak cię pytałam, czy mam śledzić jego żonę? Oczywiście, nie pozwoliłaś mi, bo ty przecież dumna jesteś i w takie gierki nie wchodzisz. Tylko widzisz, ja owszem. Mówię ci to teraz, bo i tak nic mi nie jesteś w stanie zrobić. Możesz tylko leżeć i słuchać. Kojarzysz mojego maila, w którym ci pisałam, że mam wieści? Nie odezwałaś się wtedy, więc słuchaj teraz: powęszyłam tu i ówdzie, nie do końca legalnie. Mówię ci jak na świętej spowiedzi, bo wiem, że i tak mnie nie wsypiesz. A nawet gdybyś chciała, to i tak nikt ci nie uwierzy. Człowiek w twoim stanie jest niepoczytalny, więc luz. Wiem na pewno, że to nie jest jego dziecko. On też już wie, co się święci. Był w Oslo, żeby zbadać sprawę. Pewnie będzie robił dobrą minę do złej gry, ale niezbyt długo. Nie jest głupi, jak nic zażąda badań na wykluczenie ojcostwa, żeby mieć wszystko czarno na białym. Właśnie, czarno na białym... Ten facet, kochanek jego żony... pewnie nawet badania nie będą potrzebne. Dzieciak będzie jak mleczna czekolada. Szkoda doktorka, że pani doktorowa tak brzydko się zachowała. Powiedziałabym dosadniej, ale w takim miejscu nie wypada. Porobiło się, Julia, porobiło... Widzę, że masz już pierwsze kwiaty. Piękna wiązanka. Różowe lilie, pachną jak szalone. I liścik jest. Mogę przeczytać?

– Koniec odwiedzin, proszę opuścić salę. Nie, nie musi już pani sięgać po legitymację. Tu panują inne zasady, to nie komisariat. Proszę wyjść.

* * *

Był środek nocy, kiedy oprzytomniała. Wreszcie nie słyszała głosów, otaczała ją cudowna cisza. Wciąż nie otwierała oczu, ale czuła, że na jej twarzy nic już nie leży, nic jej nie uciska. Oddychała swobodnie, a do jej nosa docierał zapach lilii. Stojące na stole kwiaty pachniały słodko jak landrynki, którymi objadała się w dzieciństwie. Najbardziej lubiła te białe, anyżowe. Już zapomniała, jak smakują.

Chyba jednak żyję, pomyślała i poruszyła rękami. Z lewej strony łóżka coś dźwięczało, niemal niesłyszalnie. Maszyna do EKG. Obróciła głowę w jej stronę. Jeśli po otwarciu oczu zobaczy na ekranie płaską poziomą linię, wszystko będzie już jasne. Kiedyś usłyszała w żartach, że asystolia to

najstabilniejszy z rytmów serca. Żadnych wahan, żadnych niespodzianek. Po prostu ciągła linia.

Na trzy.

Raz...

Dwa...

Otworzyła oczy. Uśmiechnęła się na widok skaczących jaskrawożółtych kresek.

Na jedwabne nici Lipskiego jeszcze nie czas. Ani na wieńce.

– Widzę, że się pani ocknęła – usłyszała.

Pielęgniarka, która jednocześnie robiła za jej prywatnego bramkarza, stała w drzwiach z kulami ortopedycznymi. Podeszła do łóżka Julii i oparła je o ścianę. Przy okazji zapaliła nad jej głową małą lampkę.

– Jak się pani czuje?

– Bywało lepiej. Trochę kręci mi się w głowie.

– To normalne. Przyszłam sprawdzić, jak pani zareaguje na zmniejszoną dawkę leków. Podałam tylko przeciwbólowe, już bez nasennych. Lekarz zdecydował, że powinna pani powoli wracać do żywych, w końcu od operacji minęła już trzecia doba.

– Wypis? – Julia poruszyła się w pościeli.

Pielęgniarka pokręciła z uśmiechem głową.

– Niech się pani tak z tym nie śpieszy. Jest pani zbyt słaba, żeby wracać do domu. Chociaż, sądząc po liczbie odwiedzających, podejrzewam, że pani bliscy woleliby mieć ją już przy sobie. Pewnie pani nie wie, ale było tu jak na dworcu.

– Raczej jak przy konfesjonale.

– To normalne. Ludzie chcą mówić, a na szczerść zbiera im się zwłaszcza przy łóżku chorego.

– Wiedzą, że się ich słyszy, ale nie będzie reakcji. Jak podczas rozmowy z Bogiem.

– Coś w tym jest – przytaknęła pielęgniarka i sprawdziła poziom leku w kroplówce. – Jutro panią spionizujemy. Przyniosłam kule, ale jeśli pani woli, przyprowadzę balkonik.

– Jak dla amerykańskiej emerytki?

– Jak dla człowieka po operacji. A chodzić trzeba, i to dużo. Nie chcemy przecież, by doszło do utraty tkanki mięśniowej, prawda?

Pielęgniarka poprawiła Julii poduszkę i zbadła puls, patrząc na swój zegarek.

– W razie czego ma pani przy łóżku przycisk – powiedziała, odkładając dłoń Julii na kołdrę. – Proszę dzwonić, gdyby cokolwiek złego się działo. Tętno może spaść, podczas operacji straciła pani mnóstwo krwi.

Kobieta wyciągnęła rękę, by zgasić lampkę.

– Te kwiaty... widziała pani, kto je przyniósł? – zaczęła ją jeszcze Julia.

Pielęgniarka obróciła się w stronę wazonu z liliami.

– Tyle osób się od wczoraj przewinęło przez tę salę. Przykro mi, ale nie pamiętam. Ale jest liścik. Przeczytać na głos?

Julia zaprzeczyła gestem dłoni.

– Nie trzeba, dziękuję.

Pielęgniarka stanęła przy drzwiach, szykując się do wyjścia z sali.

– W razie czego: przycisk. Dobranoc, pani Julio.

– Dobranoc.

Odczekała, aż jej kroki oddalą się na korytarzu, po czym odgarnęła kołdrę i usiadła na brzegu łóżka. Zgięta wpół zsunęła stopy na posadzkę. Od wazonu z liliami dzieliło ją kilka metrów. Kabel od EKG zdawał się długi, za to rurka prowadząca od wenflonu do stojaka z kroplówką o wiele za krótka. Wypięła igłę spod skóry i sięgnęła po kule. Jęknęła, czując, jak szew na plecach ciągnie, jakby miał rozerwać świeżo zszytą ranę.

Doczłapała do stolika i opadła na stojące przy nim krzesło. Wyciągnęła z kwiatów małą różową kopertę i wyjęła z niej liścik. Spodziewała się życzeń szybkiego powrotu do zdrowia i klasycznej drukowanej czcionki na jednym z tych karnetów, jakie oferują kwiaciarnie, by nie trzeba było główkować nad tym, co przekazać obdarowywanemu. List był jednak w całości napisany odręcznie i wcale nie zawierał życzeń.

Znasz mnie na tyle, by wiedzieć, że nigdy nie byłem zbyt religijny. Ostatni raz modliłem się na swojej pierwszej komunii, choć i tak każde moje słowo było nieszczerze i wymuszone. Nigdy też nie czułem potrzeby, by zgiąć kolana i prosić faceta siedzącego gdzieś tam, na chmurze, by coś dla mnie zrobił. Nie zmusiłem się do tego nawet wtedy, gdy umierał mój ojciec. I wierz mi, nie sądziłem, że kiedykolwiek do tego dojdzie. Byłem jak skała, przynajmniej we własnym mniemaniu. Obchodziło mnie tylko mędrca szkiełko i oko – tyle razy mi to wypominałaś, pamiętasz?

Ale przyszedł dzień, w którym dowiedziałem się, że może Cię zabraknąć. Po prostu. Znienacka, bez żadnego uprzedzenia i bez naszego pożegnania. Ugiąłem kolana. I znalazłem słowa, którymi zaklinałem wszystkie moce,

boskie i piekielne, by Cię stąd nie zabierały. Brzmię jak desperat... Niech i tak będzie. To nie ma teraz żadnego znaczenia. Ważne, że jesteś. Nie muszę patrzeć na Ciebie codziennie ani Cię słyszeć, ale wiem przynajmniej, że ten marny świat nie zabrał kogoś mi tak bardzo bliskiego. Nie udźwignąłbym tego, wierz mi.

PS Piszę ten list po butelce wina, bo inaczej nie wydusiłbym z siebie słowa. Więc gdy spotkamy się następnym razem, nie drwij, że taki ze mnie mięczak. Albo drwij, rób wszystko, co chcesz, bylebym znów usłyszał, jak się śmiejesz.

A.M.

Odłożyła list na bok i sięgnęła po telefon. Po tym, jak potraktował go ojciec Kostka, miał pęknięty ekran i opornie reagował na funkcje dotykowe. Bateria była bliska wyczerpania, pielęgniarzka musiała wypiąć telefon z gniazdka. Ale Julia zdążyła jeszcze wejść na Allegro i kupić film na DVD. Chciała w końcu obejrzeć *Dziewczynę z portretu*. Dla Reni i dla wielu jej podobnych. Ale przede wszystkim dla siebie. Jak to szło? Gdyby ludzie odważyli się wiedzieć więcej, czuliby więcej i rozumieliby więcej.

[1] Zwycięzca bierze wszystko (ang.).

[2] Przegrany musi polec (ang.).

[3] Mt. 18, 20.